Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE

ZYGMUNT MIŁKOWSKI Z ŻONĄ

POLSKA AKADEMJA UMIEJĘTNOŚCI

TEODOR TOMASZ JEŻ
(ZYGMUNT MIŁKOWSKI)

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE

WSPOMNIENIA

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ ADAM LEWAK
WSTĘPEM POPRZEDZIŁ ALEKSANDER BRÜCKNER

Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

TOM III

KRAKÓW 1937
NAKŁADEM POLSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—ŁÓDŹ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

92[T.I. Ka]: 884-3

28831/2

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego

SPIS TREŚCI TOMU III

XVII. Pułkownik (1863) 1
XVIII. Kostangalja (1863) 58
XIX. W Bukareszcie i Konstantynopolu (1863) 113
XX. Galicja znów. Aresztowanie. Paryż (1863—1864) 173
XXI. W Serbji (1864—1866) 235
XXII. Na wystawie w Paryżu 1867 319
XXIII. O Adamie Mickiewiczu. — Wystawy paryskiej ciąg dalszy 367
XXIV. W Brukseli (1868—1870) 425
XXV. Podróż do Polski i do Szwajcarji w r. 1871 471
XXVI. W Lozannie (1871—1873) 528
Indeks osób 581

ROZDZIAŁ XVII

PUŁKOWNIK

Zanim przystąpię do opowiadania wypadków dalszych, zastanowić się muszę nad przyczynami niepowodzenia, jakiego doznały zabiegi moje w Galicji. Gdyby kto powiedział, że głównie niepowodzenie przypisać należy nieudolności mojej, nicbym na to do odpowiedzenia nie miał i dodałbym może od siebie, żem się nie umiał postawić, narzucić, żem nie umiał zaimponować i przez to ku sobie ufności wzbudzić. Nie umiałem tego — nie tkwiło to w naturze mojej; nie miałem przytem czem nadsztukować braku tytułów, przeszłości i powagi majątkowej, gdy zdawanie przed publicznością egzaminu z uzdolnień stanowiło niemożliwość absolutną.

Z jednej przeto strony stanęła nieudolność moja.

Zobaczmyż, co stało ze strony drugiej, ze strony ogółu, z którym do czynienia miałem.

Jeżeli zarzuty czynić wolno mnie, to i mnie toż samo przysługuje prawo.

Zarzucam ogółowi w Galicji, w zaborze austrjackim, brak myśli polskiej, polskiej powtarzam, to znaczy ogólnopolskiej, obejmującej Polskę całą, przedrozbiorową, oddziaływającej na odczuwanie krzywd, zadawanych jej od czasu, jak, wyekspensowawszy zapasy dawnej energji obrończej, oglądać się jęła za nowemi. Rozbiory i różnorodne rządy, jakim podległ zabór każdy zosobna, to sprawiły, że każdy z nich na sprawę polską, która dla wszystkich jedną być powinna, zapatruje się przez pryzmat własnych, bliższych, bezpośrednio go dotykających kłopotów. Dzieje się to wedle przysłowia: „Bliższa ciała koszula, niż kaftan“, a stopniuje wedle sfer społecznych, odpowiednio do przenikającego je uświadomienia polityczno-narodowego.

Sfera niższa, t. zw. ludowa, najniżej — niżej zera — w r. 1863 w Galicji, a i w całej Polsce, stała; powodowała się względem na siłę, na przemoc: kto silniejszy, ten praw. Sfera najwyższa, kierownicza, uświadomienie posiadała, lecz i jej przemoc imponowała, a imponowała tem mocniej, że świtająca w Austrji era konstytucyjna była dla niej tą przysłowiową „babką“, co „na dwoje wróżyła“ we względzie stanowiska przewodniego, którego zachowanie zależało od cesarza; więc się na cesarza oglądała i poczuwając się do obowiązków względem całej ojczyzny własnej, menażowała narzuconą: siedziała na dwóch stołkach, dyplomatyzowała. Panu Bogu świeczkę, djabłu dwie stawiała. W sferze pośredniej, w tak zwanej inteligencji, składającej się z nadającej jej ton szlachty średniej ręki, z mieszczaństwa, oficjalistów, młodzieży szkolnej, wogóle z całej tej warstwy ludności, która się od dołu oderwała, a góry nie dosięgła, uświadomienie, najmniej sfałszowane, najwyraźniej i najwłaściwiej obowiązki wskazywało. Powstanie w Kongresówce wzięła ona odrazu i bez namysłu na rachunek własny. Lecz nie mogła mu służyć inaczej, tylko krwią, nie posiadała bowiem środków, stanowiących nerw wojny, nie posiadała obok tego organizacji, warunkującej porządek służbowy, konieczny w razach takich, jak niesienie na teatr wojny pomocy. Ani środków, ani organizacji. Organizacja improwizowana brakowi środków zaradzić nie mogła. Te ostatnie znajdowały się w rękach sfery najwyższej, posiadającej oraz kadry organizacyjne, oparte na solidarności interesów klasowych, nakazujących jej stawienie, jak rzekłem wyżej, świeczki jednej Panu Bogu, djabłu dwóch. Dwie świeczki były dla Wiednia, jedna dla Warszawy. Ta jedna, zapalana z oglądaniem się na dwie tamte, służyła mnie w zabiegach moich. Przy takiem skąpem i raz gaszonem, znów słabo podsycanem oświetleniu drogi organizacyjnej, na którą wkroczyłem, kto wie, czyby człowiek najświetniejszemi obdarzony zdolnościami dokazać mógł więcej, aniżeli ja. Ze mnie, z mego pomysłu zorganizowania oddziału w Galicji wschodniej, wypośrodkował się następnie korpus Gołuchowskiego, korpus dywersyjny, który ze spieszących dla zgniecenia powstania w Królestwie wojsk rosyjskich ani jednego nie odciągnął plutonu, ośmieszył tylko siebie i Galicję. Korpus ów świadczy, do jakich względem Polski obowiązków poczuwała się sfera najwyższa, owa

sfera kierownicza, która miała trzy ojczyzny — dwie faktyczne, jedną idealną: ciaśniejszą galicyjską, obszerniejszą austrjacką i bezgraniczną polską. Tej ostatniej służyła z łaski, odniechcenia, i pomoc, jaką mojej robocie niosła, wyglądała na pomoc naodwrót.

Przewidywałem to, dlatego niechętnie przyjąłem nominację w Warszawie, następnie dwukrotnie o dymisję podawałem.

Udzielono mi nakoniec tak przeze mnie pożądanej dymisji.

Uradowania, jakie mnie opanowało, opisać nie potrafię.

Dymisja zapobiegła dezercji z posterunku, jaka mi się w głowie majaczyła. Gotów już byłem plunąć na wszystko, z pierwszym lepszym oddziałem na teatr powstania pójść i pod jakiemeś przybranem nazwiskiem w odmęcie utonąć.

Goniec (Małuja, zdaje się), co mi zawiadomienie o dymisji przywiózł, przywiózł zarazem rozkaz, ażebym się we Lwowie stawił i następcy memu sprawę z czynności zdał. Wysocki donosił mi przytem, że przyjechać ma dla widzenia się z nim i porozumienia Różycki, i moja przy tem obecność jest potrzebną; nadto, ponieważ Różycki przyjechać nie może do Lwowa, obmyślić przeto winienem sposób przewiezienia Wysockiego na granicę rosyjską.

Wysocki, ja i podobne nam, piętnem patrjotyzmu wojującego nacechowane figury do Galicji przyjeżdżać i po Galicji krążyć mogły jeno sposobem przekradanym. Policja i żandarmerja miały rozkaz imania nas i internowania. W tych warunkach przewiezienie Wysockiego byłoby rzeczą bardzo trudną i na urządzenie jej wymagającą dużo czasu, gdyby uskutecznienia niezwłocznego nie ułatwili Szawłowski i Abgarowicz. Pierwszy dał pojazd kryty, drugi osobę swoją. Abgarowicz na swoje imię wziął ekstrapocztę, pojechaliśmy do Lwowa, i na trzeci dzień później Wysocki i ja znajdowaliśmy się w leżącym nad Zbruczem Sidorowie, wsi dużej, przylegającej do granicy moskiewskiej, będącej własnością Adama Pajgerta, autora *Kadmei*, tłumacza Szekspira i Byrona. W jego domu zastaliśmy Edmunda Różyckiego, którego na dzień przedtem przez Zbrucz przekradanym sposobem przeprowadził Stanisław Pajgert, stryjeczny Adama brat. W domu poety zebrało się nas trzech hersztów, kwalifikujących się w Austrji do kozy, w Rosji na szubienicę i rozstrzelanie: „Naczelny dowódca sił zbrojnych

województwa lubelskiego i ziem ruskich“ Józef Wysocki, „organizator główny ziem ruskich“ (Wołynia, Podola i Ukrainy) Edmund Różycki i „dymisjonowany naczelnik sił zbrojnych na Rusi“ — ja.

Po otrzymaniu dymisji, uwalniającej mnie od wszystkiego, co mnie dotychczas zobowiązywało, stałem się prostym do szeregów powstańczych ochotnikiem. Z czynności moich zdałem szczegółową we Lwowie Wysockiemu sprawę i w oczach jego spaliłem nominację warszawską.

— Schowaj to — upomniał mnie generał, gdym się do całopalenia zabierał.

— Naco? — zapytałem.

— Na pamiątkę bodaj.

— Ażeby, gdy mnie Austrjacy złapią, pamiątkę tę przy mnie znaleźli...

Obecność moja w Sidorowie rację o tyle tylko miała, o ile służyła do informowania wodzów, co po mnie działalność obejmowali. Opowiedziałem im przebieg czynności moich, wyłuszczyłem plany i zamiary moje, odpowiadałem na zapytania, pozatem czas spędzałem w towarzystwie Pajgerta i jego pani, młodej kobiety, niedawno poślubionej i nieodpowiadającej ani ideałowi towarzyszki życia poety, ani tłu, na którem rolę gospodyni pełniła. Tło stanowiły książki. Książki u p. Adama, książki u jego ojca, człowieka uczonego, biegłego w językach, zwłaszcza starożytnych, znawcy gruntownego greckiej i łacińskiej literatury, i poety, przekonanego, że lepiej aniżeli syn wiersze pisze. Utwory swoje własnym kosztem drukował, syn nakłady wykupował i niszczył, nie chcąc naszwank narażać powagi ojcowskiej, kompromitującej się utworami, którychby się nie powstydził sławny Rozbicki. Np.:

Co ja słyszę, co ja widzę,
Wpadł zefirek w kukurydzę.
Tak się rosy obuchał,
Że całą noc dmuchał.

Gdy się syn ożenił, oddał mu gospodarstwo, sam zaś oddał się muzom, pędząc żywot z książką i piórem. Ciekawa to była postać, żywcem niejako wyjęta z opisów mędrców wieków średnich: suchy, zawiędły starzec; brakło mu jeno togi

i charakterystycznego nakrycia głowy, w którem przedstawiają Fausta na deskach scenicznych.

Pokolenie Pajgertów, do którego ojciec Adama należał, bawiło się, jak się zdaje, naukami. Nieżyjąca naówczas stryjenka Adama, matka Stanisława, umiała po grecku i po łacinie. Opowiadano mi, że gdy na jakiemeś zebraniu towarzyskiem ktoś, co jej Artura Gołuchowskiego przedstawiał, przedstawiając, szepnął mu: „Gadaj do baby po łacinie“. Ona to usłyszała i odpowiedziała, że i po polsku rozmówić się potrafi.

Z tego pokolenia Pajgertów pozostawał jeszcze ojciec Adama, poety rzetelnego, przytem człowieka wykształconego, zacnego, miłego, nieobdarzonego jednak zdrowiem tęgiem. Szczupły, małego wzrostu, wyglądał mizernie, mimo że zdobiły oblicze jego wąsy zawiesiste. Zato właściciel leżącego o miedzę Krzyweńkiego, brat jego stryjeczny, zbudowany naurząd, cieszył się zdrowiem czerstwem i siłę posiadał niepospolitą, którą oddał na usługi sprawy publicznej. Znawca tajemnic Zbrucza, wykręcającego się w kolano pod Sidorowem, przeprowadzał przez tę rzekę pograniczną osobistości, napiętnowane zbrodnią stanu. Uzbrojony w kij sękaty, mógł dać radę kilku strażnikom, gdyby mu drogę zastąpili. Dzięki jemu zdrowo i bezpiecznie przeprawił się Różycki.

Konferencja pomiędzy Wysockim a Różyckim trwała dni dwa i w ten rozstrzygnęła się sposób, że Ruś, albo raczej większa część Rusi, obejmująca Wołyń, Ukrainę, jakoteż cztery północno-zachodnie powiaty Podola (płoskirowski, latyczowski, lityński i winnicki), w maju rozpoczną powstanie. Po wybuchu powstania na Rusi Wysocki wkroczy z Galicji naczele oddziału o ile można najliczniejszego. Naostatek ruszy się Podole pod dowództwem mojem. Zostałem przeto znów wodzem, w szczuplejszym aniżeli poprzednio zakresie, — w zakresie, odpowiadającym bardziej moim życzeniom, aspiracjom i ambicji.

Że ambicja wskazywała mi wyżyny i pchała ku nim, temu przeczyć nie będę. Przecząc, popełniłbym kłamstwo. W moich niemłodzieńczych już nawet rojeniach kierowałem siebie na polskiego, jeżeli nie europejskiego Washingtona, tyle jednak miałem rozgarnienia, żem wiedział, iż na stanowisko to nie wlatuje się skrzydłem orlem ni sokolem, lecz kroczy się ku niemu drogą zasług, świadczących wobec mnie samego prze-

dewszystkiem, wobec mego własnego sumienia, że podołam. Co do podołania mianowicie, wątpliwość trapiła mnie zawsze, najbardziej zaś od chwili, jak dostała się mi nominacja na naczelnika sił zbrojnych na Rusi. Stanowisko to przyjąć musiałem: przyjąłem je warunkowo, tymczasowo i doznawszy na niem niepowodzeń, zatrutych podejrzeniami i oszczerstwami, połączonemi z niekarnością, następstwem naturalnem braku organizacji uprzedniej, z niewypowiedzialnem uradowaniem zeszedłem z niego. Zachodziło atoli jedno ale. Przykroby mi było, gdyby następcy moi, Wysocki i Różycki, puścili mnie z kwitkiem. Z wdzięcznością przeto przyjąłem ofiarowane mi — ofiarowane, powtarzam, bom się o to nie upomniał, — naczelnictwo, określone szczegółowo w następującej, udzielonej mi w Sidorowie za nrem 24, d. 10 kwietnia 1863 r. nominacji:

Naczelny dowódzca sił zbrojnych województwa lubelskiego i ziem ruskich.

W imieniu Rządu Narodowego, za porozumieniem się z Głównym Organizatorem ziem ruskich, mianuję niniejszem Pana Zygmunta Miłkowskiego naczelnikiem siły zbrojnej części południowej Podola, a mianowicie powiatów: kamienieckiego, uszyckiego, mohylowskiego, bracławskiego, hajsyńskiego, olhopolskiego, bałtskiego, jampolskiego i oddziałów wschodnich.

Wszystkie oddziały, wkraczające w tę część Podola, przechodzą pod rozkazy Pana Miłkowskiego.

m. p. podp. J. Wysocki.

Dziś, sądząc o wypadkach z trzydziestokilkoletniego oddalenia, wytłumaczyć sobie mogę zmianę akcji powstańczej na Rusi, pomyślanej przeze mnie. Pomysł mój polegał na zapoczątkowaniu powstania przez wkroczenie oddziału zbrojnego z Galicji. Opierał się on na tem, że było to rzeczą możliwą w lutym, w pierwszych dniach marca, kiedy wojska rosyjskie, rozsypane drobnemi oddziałami po leżach zimowych, nie były w stanie ani na granicy, ani wgłębi kraju, skutecznie stawiać opór. Oddział, staczając potyczki, samym przechodem swoim budziłby ducha i wywoływał ruch powstańczy na prawo i na lewo, pod warunkiem, ażeby się wystrzegał błędów powstań r. 1831, które zamiast lokalizowania akcji przenosiły ją do Królestwa. W drugiej połowie marca, gdy się Moskale upamiętali i przysposobili, stało się to już rzeczą trudną, a tem trudniejszą, że przysposobieniu się moskiewskiemu odpowiadał upór lwowskiego Komi-

tetu białego, obstającego przy teorji niewywoływania powstania, lecz oczekiwania, aż samo wybuchnie. Dzięki teorji tej, pozwalającej pojedyńczym ochotniczym oddziałom wymykać się do Kongresówki, wytargowana i przeze mnie tu i ówdzie zasnuwana organizacja w rękach mi się rozsypywała. To samo groziło Wysockiemu. Skutkiem tego pomysł mój został przezeń zaniechanym i plan akcji zmieniony o tyle, że zapoczątkowanie pozostawionem zostało Rusi w zaborze moskiewskim i po nim dopiero Galicja z pomocą orężną pospieszyć miała. Czyniło to zadość teorji Komitetu białego, zapatrującego się na sprawę polską przez pryzmat okolicznościowych galicyjskich interesów. Zdziwiło mnie, że powstanie podolskie zerwać się miało później. Zapytałem Różyckiego o przyczynę.

— Wyprosili się Podolanie — odpowiedział mi.

Kiedy kilka lat przedtem rząd powołał szlachtę do obradowania w kwestji włościańskiej, szlachta podolska nietylko w porównaniu z innemi gubernjami krajów zabranych najliberalniejsze i najbardziej postępowe przedstawiła postulaty, ale wystosowała do cara adres, brzemienny „wiernopoddańczą“ zbrodnią stanu. Domagała się połączenia w jedną całość krajów Polsce zabranych. W odpowiedzi na to „wiernopoddańcze“ zuchwalstwo marszałkowie gub. podolskiej wezwani zostali do Petersburga i uwięzieni. Ponieważ to się działo w czasie, kiedy Aleksander II w łaskawego się jeszcze bawił monarchę, wyskok przeto wybrańców obywatelstwa podolskiego, uważany za „szałost“, nie pociągnął za sobą smutnych dla „szałunów“ następstw. Traktowani w więzieniu z względami wysokiemu ich stanowisku należnemi, byli czas jakiś trzymani i na wolność wypuszczeni z ojcowskiem upomnieniem, ażeby, jeżeli im o ich skórę chodzi, nie wdawali się w rzeczy podobne. Zdarzenie to ubrało ich w aureolę patrjotyzmu i na mężów stanu pasowało, — na mężów stanu, którzy więzieniem dług ojczyźnie spłacili. Szlachcic polski, jak skoro mężostwo stanu w sobie poczuje, natychmiast dyplomatyzować poczyna, biorąc za punkt wychodni siebie. Na mocy dziedziczności odzywa się w nim stary indywidualizm, rodzic *liberum veto*. Skutkiem tego na Podolu rosyjskiem zawiązało się kółko, odpowiadające galicyjskiemu Komitetowi białemu. Ten ostatni nie chciał organizować siły zbrojnej dla Rusi, póki na Rusi powstanie nie wybuchnie; Komitet podolski tak

manewrował, ażeby do wybuchu nie doszło. Po spłaceniu długu przez marszałków uważał on inne spłacanie za zbyteczne, przecząc tem postulatowi własnego adresu, który domagał się poparcia i potwierdzenia ze strony narodu, jeżeli nie miał uchodzić za marszałkowski wybryk. Na tej sprzeczności nie kończyło się. Komitet podolski powstania nie chciał, a pieniądze na broń dawał. Wkońcu wyprosił sobie u Różyckiego zwłokę dla wybuchu. Różycki na zwłokę przystał pod warunkiem, żebym ja powstaniu podolskiemu przewodniczył. Mnie warunek ten zadowolnił; jakie zaś on następstwa sprowadził, o tem będzie niżej.

Dziesiątego czy jedenastego kwietnia rozjechaliśmy się z Sidorowa. Wysocki pojechał do Łosiacza dla porozumienia się z Gołuchowskim, poczem miał się ze mną zjechać w Pilawie u Pieńczykowskiego; Różycki i ja odstawieni zostaliśmy wpobliżu do wsi, której nazwa z pamięci mi wypadła, a w której mieszkał właściciel jej, Mieczysław Potocki, konserwator zabytków starożytności we wschodniej Galicji, odnalazca — jeżeli się nie mylę — posągu Światowida w Zbruczu. W gościnie u Potockiego spędziliśmy dwie doby. Różycki oczekiwał na urządzenie powrotnej przez Zbrucz przeprawy. Ja narazie nic lepszego do czynienia nie miałem, a przytem chodziło mi o bliższe naczelnika mego poznanie, jakoteż o omówienie z nim zadania mego.

Edmund Różycki, syn wsławionego heroicznem przeprowadzeniem śród wojsk rosyjskich oddziału jazdy przez Wołyń Karola, wydarty dzieckiem matce na ukaranie ojca i oddany do szkoły wojskowej moskiewskiej nato, ażeby się na wroga własnej urobił ojczyzny, liczył lat około czterdziestu. Wychowany w korpusie kadeckim, posłany został na Kaukaz. Na Kaukazie dosłużył się stopnia pułkownika i w momencie zaznaczenia się w perspektywie wybuchu powstańczego w Polsce ambicja jego znalazła się wobec takiej alternatywy: albo służba caratowi, torująca drogę do najwyższych zaszczytów i bogactwa; albo służba ojczyźnie, bez żadnego innego jak tylko w sumieniu własnem wynadgrodzenia. Wybrał tę ostatnią, o dymisję podał, — udzielono mu jej; z Kaukazu wprost na Wołyń przyjechał i w oczekiwaniu na wypadki zarabiał na życie, trudniąc się miernictwem. Krok ten, gdym się o nim dowiedział, zgóry mnie dla niego na niewidziane jaknajlepiej

usposobił. Poznanie się z nim ani trochę nie osłabiło we mnie powziętej o nim z posłuchów opinji. Przeciwnie. Dobra moja opinja wzmogła się od pierwszego niemal rzutu oka na tę krzepką, mocno zbudowaną, dobrego wzrostu postać, wolną od afektacji żołnierskiej, a nacechowaną na ubranem w ramy kruczych włosów obliczu wyrazem dobrodusznej szczerości, widnej w uśmiechu, przeglądającej przez wyraziste czarne oczy, dzwoniącej w intonacji głosu. Zajął mnie on żywo. W Sidorowie toczyliśmy ze sobą rozmowy fachowe i tylko, kiedyśmy wespół z gospodarstwem do obiadu i wieczerzy zasiadali, miałem sposobność słyszenia z ust jego wyrazów, świadczących, że fach żołnierski nie zasłaniał mu oczów na objawy narodowego polskiego życia. Literatura polska mianowicie obcą mu nie była. Znał ją z naukowej i beletrystycznej strony; interesowała go ona; wiedział nietylko o świecących na horyzoncie piśmiennictwa naszego gwiazdach pierwszej wielkości, ale i o Adamie Pajgercie, i o mnie. O tyle tylko z tej strony poznałem go w Sidorowie.

W domu Mieczysława Potockiego bliżej Różyckiego i z tej i ze stron innych poznałem. Miałem ku temu swobodę zupełną. Pozostawaliśmy we dwóch bez świadków i we dnie i w nocy, gospodarz bowiem, mieszkający samotnie w dużym, z szykiem pałacowym urządzonym dworze, schodził się z nami przy stole i wyzywał nas na mówienie wyłącznie o sprawie polskiej, dziwiąc się naiwnie, gdyśmy mu ją wykładali, że też o tem nie wiedział.

— Gdybym był wiedział — powtarzał z akcentem żalu w głosie. — Tyle dla niej zrobić można było!

Pocieszaliśmy go, że roboty i nadal nie zabraknie.

Miał u siebie zbiór pięknych malowideł i archeologicznych okazów. Raz nas po domu swoim oprowadził, pokazywał i tłumaczył, zatrzymując się dłużej nieco przy portretach przodków, wojewodów i hetmanów. Przypominam sobie szczególnie portret prześlicznej kobiety w robronach; nie wiem jednak — zdaje mi się, żem o to nie pytał, — do jakiej linji Potockich portrety te się odnosiły, zapewne do Pilawitów, którzy się na kilka rozszczepili gałęzi. Poza tym jednym razem zostawiał nas samym sobie.

Miło i prędko upłynęły mi dwa dni w towarzystwie Różyckiego spędzone. Rozmowy z nim dotykały przedmiotów

rozmaitych: i naukowych, i literackich, i artystycznych. Dziwiło mnie, że ten wychowaniec kadecki, kaukaski wojownik, któremu ani w kadetach, ani w szeregach polskich rzeczy nie wykładano, tyle i tak o nich wiedział i po polsku płynnie mówił. Zaintrygowała mnie — przypominam sobie — jedna mianowicie kwestja. Opowiadał mi Różycki o wrażeniach z pobytu w Paryżu, gdy za urlopem zagranicę jeździł.

— Widzieliście się — wtrąciłem — z ojcem.

— Widziałem się — odrzekł. — Spędziliśmy z sobą tygodni kilka.

— No? — zapytałem.

— Nawracał mnie na towianizm.

— I nawrócił? — zapytałem.

— No... nie... Ale...

I jął się z punktu psychologicznego tłumaczyć mi, dlaczego ojciec jego, równie jak Mickiewicz, Słowacki i inni, towianizmowi opętać się dał. Zjawisko to wyprowadzał z nastroju mistycznego, jaki się daje pierwotnemu młodych pokoleń wychowaniu, urabiającemu umysły rodzaju trojakiego: ślepo wierzące we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje; wierzące w zasady religji, lecz nie w przystosowanie tych zasad; tracące wiarę i poszukujące zasad innych. Zdaniem jego, towianizm poszedł tą drugą drogą i jest jedną z odmian kierunków, mających na celu poprawę Kościoła. Mówił i sądził o tem zupełnie objektywnie. Słuchając go wówczas, przekonany byłem, że od towianizmu jest równie jak ja dalekim, — zdumiłem się też, gdym się w lat kilka później dowiedział, że w towianizmie ugrzązł. W duszy jego odbyć się musiał zasługujący na studjum specjalne proces psychologiczny. W czasie owym był to człowiek zupełnie trzeźwy, najmniejszej do mistycyzmu niezdradzający skłonności. O chorobie tej mówiliśmy długo. O ojcu wyrażał się z uszanowaniem, ale jako o człowieku dotkniętym chorobą umysłową, i miał pretensję do doktryny za to, że wyjałowiła taki, jak Mickiewicza, genjusz poetyczny.

— Gdyby nie towianizm, czegoby ten człowiek po *Panu Tadeuszu* nie stworzył był jeszcze! — powtórzył razy parę.

— „Gdyby nie towianizm, jaką piękną i pożyteczną rolę byłby odegrać mógł Różycki Edmund po upadku powstania!“ — powiadam obecnie.

Po dwóch dniach pobytu u odnalazcy posągu Światowida rozstaliśmy się. Różyckiego Stanisław Pajgert poprowadził za Zbrucz i oddał w ręce oczekujących na niego na lewym brzegu spólników zbrodni stanu; ja pojechałem do Pilawy celem omówienia z Wysockim ostatecznie formacji oddanych pod dowództwo moje oddziałów wschodnich. O Podolu, z wyjątkiem tego tylko, ażeby nagliło o wysłanie zamówionej i zapłaconej przez Podolanów broni, nic z nim więcej do mówienia nie miałem. Co się zaś oddziałów wschodnich tyczy, dla tych przedewszystkiem i nadewszystko potrzebne były pieniądze, i o to właśnie mi chodziło. Dotknąłem tej, zaznaczonej już dawniej w Krakowie, materji w Sidorowie, przedstawiłem jej ważność międzynarodową, uzyskałem uznanie tej ważności ze strony Różyckiego, który — zdaje się — po raz pierwszy z tą spotkał się kwestją; lecz kwestje bliższe spychały ją na później, a przytem Wysocki funduszami nie rozporządzał dowolnie: potrzebował w tym względzie porozumieć się pierwej z Gołuchowskim i z innymi, w ostatku odnieść się do Rządu Narodowego.

Ważność międzynarodowa kwestji polegała na przeprowadzeniu jawnie i otwarcie polskiego zbrojnego oddziału przez Rumunję, względnie przez Mołdawję, czyli na zgwałceniu międzynarodowego prawa na najdrażliwszym dla dyplomacji, europejskiej gruncie: na gruncie kwestji wschodniej. Byłoby to dolaniem oliwy do ognia przy nastroju opinji publicznej w Europie, corazto mocniej i wyraźniej oświadczającej się za sprawą polską przeciwko Rosji. Mogłoby to zgwałcić platonizm sympatji, manifestującej się niedwuznacznie w całym świecie ucywilizowanym, zniewolić gabinety do wystąpienia w dosadniejszy nieco, aniżeli ustnem i pisanem słowem karcenie Rosji i komplementowanie Polski, sposób. Było to przypuszczenie. Jakiegoż jednak dzieła człowieczego, jakiego przedsięwzięcia przypuszczenie nie poprzedza? Chodzi o to jeno, ażeby się ono na racjonalnej opierało podstawie. W handlu, w przemyśle, we wszelakiej pracy, w każdej robocie jest to regułą, bez stosowania się do której ludzkośćby zmartwiała i zamarła. Polityka na kroku każdym wedle tej reguły działa i z niej wychodzi. Byłaż w r. 1863, wobec powstania polskiego, podstawa do przypuszczenia interwencji europejskiej racjonalniejsza nad wmieszanie do sprawy polskiej Rumunji, benjaminka dyplomacji, świeżo narodzonego

a minowanego przez stronnictwa zdetronizowanych hospodarów i przez aspiracje do wielkości narodowej? Grunt ten nadawał się do wyprowadzenia sprawy polskiej drogą czynu dokonanego nazewnątrz, do przełamania lokalizacji powstania. Ale nato koniecznym był wysiłek przedewszystkiem pieniężny na sformowanie jędrnego parotysięcznego korpusiku, wkroczenie do Mołdawji i zajęcie jej na rzecz powstania polskiego. Wysocki to rozumiał i dlatego wysłał z Krakowa w lutym jeszcze Paszkiewicza z pierścieniem do Branickiego. Branicki i słychu o sobie nie dawał. Rachunek na niego zawiódł. Trzeba było za innemi oglądać się źródłami do zaczerpnięcia z nich funduszu na oddziały wschodnie.

Myślałem o tem w Paryżu w r. 1859, kiedy się powstanie w dalekiej ukazywało perspektywie; myślałem, na Mołdawji przebywając i młodzież w niej przytrzymując; mówiłem o tem z Komitetem Centralnym; gdy powstanie wybuchło, najpierwszym moim w charakterze naczelnika sił zbrojnych na Rusi rozkazem był przesłany przez oficera od huzarów rozkaz na Podole wysłania o ile można najwięcej pieniędzy do Konstantynopola pod adresem Franciszka Sokulskiego, do którego pchnąłem z instrukcjami dwóch, jednego po drugim, wysłańców: Dąbrowskiego i Czajkowskiego. Na rozkaz ów Aleksander Sobański posłał 5.000 rsr.

Te 5.000 rsr. w ręku Sokulskiego stanowiło cały fundusz na sformowanie oddziału zbrojnego na Wschodzie. Na cel ten, na sprowadzenie następstw doniosłości rzetelnej, potrzeba było mniejwięcej miljon franków.

Ponieważ nie było co już liczyć na Branickiego, pozostawał Rząd Narodowy.

Dla wyczerpującego sprawy tej omówienia pojechałem do Pilawy, gdzie w powrocie do Lwowa Wysocki zatrzymać się miał. O ile sobie przypominam, nie nadjechał był jeszcze. Parę godzin spędziłem w towarzystwie Abgarowicza, który miał Wysockiego do Lwowa konwojować, i gospodarstwa pp. Pińczykowskich. W pamięci mi pozostała pani, kobiecina młoda i pokaźna, *sports-woman*'ka zapalona, zajęta przeważnie końmi, najchętniej o nich mówiąca i narzekająca na to, że jest matką córki, którą będzie musiała wydać za szewca. Przewidywana ta konieczność martwiła ją zgóry. Pocieszała się końmi. Była,

zdaje się, Mysłowską z domu, trzymała małżonka krótko na uwięzi.

Wysocki nadjechał, krótko zabawił, wręczył mi na zadatek 3.000 rsr. na rzecz oddziałów wschodnich, wyraził nadzieję wystarania się we Lwowie o 100.000 franków i przyrzekł kołatać o uzupełnienie funduszu potrzebnego u Rządu Narodowego.

O tem, żebym ja na Wschód jechał i osobiście formacją oddziału się zajął, mowa była wprawdzie, ale tak Wysocki jak ja uznawaliśmy to za rzecz przedewszystkiem do zgodzenia z powierzonem mi zadaniem niemożliwą. Świadczy o tem samo nominacji mojej brzmienie, przywiązujące mnie do Podola rosyjskiego i oddające oddziały wschodnie pod dowództwo moje, dla którego nie mogłem się rozedrzeć na dwoje dla działania zarazem na Podniestrzu i nad Bosforem. Sprzeciwiało się temu fizyczne niepodobieństwo, do którego łączyły się moje osobiste powody, nakazujące powierzenie formowania na Wschodzie oddziałów komu innemu, aniżeli mnie. Śród przebywających w Turcji wychodźców polskich, mianowicie w sferze oficerów, którzy w wojnie wschodniej r. 1853—56 udział wzięli, liczyłem dużo nieprzyjaciół [1]. Niektórzy pomiędzy nimi pałali przeciwko mnie gniewem zawziętym, najzawziętszym zaś ci zwłaszcza, którzy, gdybym się w Konstantynopolu wcelu formowania oddziału pojawił, pomagać mi byli winni: agent agenta dyplomatycznego Rządu Narodowego ks. W. Czartoryskiego, pułkownik Władysław Jordan, jakoteż Sadyk pasza, wódz pułków kozackiego i dragońskiego, pełniących służbę milicji w rodzaju tej, jaką we Francji pełnią legjony zagraniczne. Sadyk pasza stracił był wprawdzie wpływy, jakie posiadał dawniej, i agencja imienia Czartoryskich straciła dawniejsze znaczenie. Z ich strony na wielką liczyć nie było można pomoc. Lecz kto pomagać nie może, może szkodzić. Na to liczyłem z pewnością i dlatego, pragnąc, ażeby się przedsięwzięcie powiodło, o udawaniu się na Wschód osobiście anim myślał.

Sprawy formacji zbrojnej na Wschodzie układały się cale obiecująco, ze względu na ochotę wychodztwa polskiego wzięcia w powstaniu udziału. Odnoszące się do tego wiadomości przywiózł z Konstantynopola Walery Przewłocki, który się we Lwo-

---

[1] Patrz rozdz. p. t. *W Konstantynopolu.* (Nota T. T. Jeża).

wie widział z Wysockim, sprawę mu zdał i Wysocki zużytkowanie relacyj jego odłożył na później, po porozumieniu się z Różyckim. Wręczenie mi trzech tysięcy rsr. Przewłockiego się tyczyło. Wiadomości, jakie on przywiózł, opiewały, jako w Konstantynopolu da się z łatwością zebrać ludzi 600, których poprowadzi wybrany przez wychodztwo major Aleksander Łaski, oficer od inżynierji z r. 1831. To mnie najzupełniej co do naczelnictwa oddziału uspokoiło i zadowolniło. Łaskiego znałem jeno ze słyszenia, świadczącego jednogłośnie o fachowej znajomości rzeczy i o zacności moralnej. Pewny więc byłem, że on fachowo rozwiąże zadanie militarne wedle instrukcji, jaką mu przez Przewłockiego, którego Wysocki mi do rozporządzenia oddawał, przesłać zamierzałem.

Oddał mi do rozporządzenia Przewłockiego i wręczył 3.000 rsr.

— To na nic — rzekłem.

— To na tymczasem. Uzupełnię 100.000 franków, jeżeli nie skądinąd, to z funduszów ruskich.

— Tyle generał z funduszów tych nie wyspekuluje — zauważyłem.

Funduszami ruskiemi nazywaliśmy pieniądze, napływające z Podola na broń. Od zaangażowanych na kupno karabinów sto tysięcy nie pozostawało. Były jednak dalsze zapowiedziane przysyłki i można było na nie liczyć, ale nie co do terminu. Mogły nadejść dziś, jutro, za tydzień, za miesiąc. Wobec tej niepewności naznaczyłem Wysockiemu Krzyweńkie jako moją główną kwaterę, w której jeżeli nie ja, to Przewłocki obecnym będzie. Wystąpiłem przytem z objekcją co do cyfry.

— Sto tysięcy to psu mucha, mój generale — rzekłem. — Na ściągnięcie bowiem, uzbrojenie, ubranie, żywienie, przewiezienie i przeprowadzenie 600 ludzi, na kupno koni i wyekwipowanie z pięćdziesięciu kawalerzystów to nie wystarczy.

— To prawda — odrzekł Wysocki.—Rzad Narodowy parękroć dodać musi.

— Niech generał kołata, nalega...

— Będę kołatał, nalegał.

— Przewłockiego zatrzymam — odrzekłem. — Wyprawię go, gdy mu będę mógł sto tysięcy wręczyć.

Wysocki słowa te moje za słuszne uznał, raz jeszcze przy-

rzekł kołatać do Rządu Narodowego, — wezwano nas do obiadu. Po obiedzie Wysockiego Franciszek Abgarowicz do Lwowa powiózł, ja pojechałem do Zwiniacza, gdzie w domu Józefa Mysłowskiego oczekiwał na mnie Przewłocki.

Józef Mysłowski byłby człowiekiem choć do rany przykładaj, gdyby nie grał roli kapotowca przebranego we frak i niewiedzącego, co z nogami i rękami robić. Należał do galicyjskich zbogaconych Mysłowskich — z tego tytułu ubrał się w żonę z domu Lanckorońską. Lanckorońszczyzna pod postacią żony, jej matki i jeszcze kogoś — żoninej czy teścinej siostry — przygniatała biedaka i stawiała się poważnie wobec gości, niestojących rodowo narówni z rodem Lanckorońskich. Zabawnie wyglądały te niewiasty. Przewłocki imponował im swoim akcentem dżentelmańskim. Nie miałem czasu zabrać z niemi bliższej znajomości; robiły one na mnie wrażenie aktorek, przedstawiających na scenie z przesadą wielkie damy; zamieniłem z niemi frazesów niewiele; pożałowałem w duchu Mysłowskiego, „Józiem“ powszechnie zwanego; dałem Przewłockiemu 3.000 rsr.; poleciłem mu, ażeby się przeniósł do Krzyweńkiego, czekał tam na mnie i zawiadomił mnie niezwłocznie, gdyby obecność moja stała się potrzebną, zwłaszcza gdyby zapowiedziane przez generała pieniądze nadeszły. Sam pojechałem do Rukomysza.

Wybierałem się na Podole nie dla przejażdżki, ani też dla interesu, pozwalającego liczyć na szanse powrotu. Rzucałem żonę i dziecko, które kochałem duszą całą. Wolno mi było pomyśleć o nich. W inspekcyjnych wędrówkach moich omijałem Czortków, żonie mojej bowiem pozwolenie zamieszkania pod dachem ojcowskim udzielone zostało na warunkach ścisłego internatu, których przekroczenie pociągało za sobą dla niej wygnanie. Obowiązaną była meldować się w starostwie, nie wolno jej było z Czortkowa bez specjalnego wydalać się pozwolenia. W warunkach takich odwiedziny moje narazić ją mogły na odstawienie do granicy etapami, pod eskortą żandarmską. Pozwoliłem sobie przeto raz jeden tylko do Czortkowa wpaść, spuszczając się na to, że: „do razu sztuka“. Drugi raz nie próbowałem. Wobec perspektywy jednak rozstania się z drogiemi mi istotami na zawsze zapragnąłem bodaj popatrzeć na nie. Takim był jeden interes, tłumaczący się potrzebą serca, który mnie do Rukomysza sprowadził.

BIBLIOTEKA

Był jeszcze i interes drugi. Ekwipunek mój wojenny znajdował się w komplecie. Nie sprawiłem sobie wprawdzie żadnego munduru, ale posiadałem szablę, rewolwer i siodło, posiadałem mapę doskonałą; nie posiadałem konia. Potrzebny mi był nietylko koń, ale i objeżdżenie się na nim. Gdym o tem Szawłowskiemu i Abgarowiczowi wspomniał, natychmiast znalazła się rada. Wypadał właśnie w Tarnopolu jarmark; na jarmark ów jechał Ignacy Cywiński, właściciel Hupał, jurysdator Abgarowicza, ojciec dwóch prześlicznych dziewczątek, małżonek młodej i przystojnej kobiety, o której wzbudzająca podziw ogólny fama chodziła, że... „czyta Słowackiego", przytem człowiek znający się na koniach, jak nikt w okolicy.

— Cywiński ci kupi w Tarnopolu konia — powiedział któryś z nich.

Cywiński komis ten przyjął i kiedy on do Tarnopola pojechał, dla mnie urządzony został zjazd z żoną. Kuzynka, p. Ludwikowa, zawiozła mnie do Romaszówki, do baronostwa Hejdlów, których dom gościnny był etapem dla ochotników powstańczych; Franciszek żonę moją sprowadził za pozwoleniem starosty czortkowskiego do domu niemniej gościnnego i również dla powstańców otwartego państwa Hulanieckich, mieszkających w Słobódce o pół mili od Romaszówki, a o milę z czemeś od Czortkowa. U Hulanieckich widziałem się z nią; widziałem moje dzieciątko, które już chodzić i szczebiotać poczynało. Łzawo mi koło serca było. Żal mi je ściskał. Czułem, iżbym się był rozpłakał, gdyby nie to, żem w sobie łzy tłumił, nie chcąc wywołać wybuchu ze strony mojej kobiety, zrezygnowanej, lecz z przebijającym się z jej oczów, z uśmiechów i z tonu mowy przymusem ofiarnym, połykającym rozpacz. Upewniałem ją, że na mnie kula nieulana jeszcze; starałem się w sposób żartobliwy wzmocnić w niej ducha. I jam się przymuszał. Po ucałowaniu dziecka, po pożegnaniu się z żoną — smutno mi było.

Cywiński z zadania wywiązał się należycie: kupił mi klacz siwą, smukłą, silną, lotną i dobrze ujeżdżoną. Niedługom na nią w Rukomyszu po powrocie z Romaszówki czekał. Przez kilka dni jeździłem na niej; codziennie rano wyjeżdżałem do Hupał, wieczorem wracałem. Mila bezmała drogi tam, mila spowrotem; powtarzane to ćwiczenie przytwierdziło mnie na nowo do siodła, na którem nie siedziałem od czasów wojny tu-

reckiej. Pelargonja — tak się klacz moja zwała — posiadała w perfekcji wszystkie konia wierzchowego przymioty: chody miała lekkie, była zwrotna, żywa, niestrachająca się; niewiadomo jeno było, jak się w boju zachowa. Nie dowiedziałem się o tem nigdy.

Z Krzyweńkiego od Przewłockiego żadnej nie otrzymywałem wiadomości. Wiadomość nadeszła do mnie ze Lwowa, od Małui, sekretarzującego przy Wysockim. Chodziło o przypilnowanie partji broni, mającej być wysłaną z Czerniejowiec i przeprawioną za Zbrucz przez Dźwiniaczkę. Ponieważ przesyłka ta mego się bezpośrednio tyczyła zadania, po otrzymaniu przeto zawiadomienia powierzyłem F. Abgarowiczowi ekwipunek mój i konia z tem, ażeby je odstawił do Krzyweńkiego dla wyprawienia za Zbrucz, sam zaś niezwłocznie do Dźwiniaczki pospieszyłem.

Dźwiniaczka leży nieopodal od Dniestru i nieopodal od Zbrucza, w kącie, jaki te dwie rzeki po stronie austrjackiej tworzą. Przeprawą broni zajmował się jeden z synów właściciela tej wsi, Józefa Kęszyckiego, szlachcica w rodzaju swoim typowego. Do galerji typów, z jakiemi mi się w Galicji spotkać zdarzyło, przybywał jeszcze i on na miejsce w szeregu niepoślednie, tuż obok poetów: Franciszka Wolańskiego, Waszczyńskiego, Kalasantego Pajgerta. Ścigał dwa zajączki: jeden miał omyk dyplomatyczny, drugi filantropijny. Ściganiu oddawał się gorliwie, niezmordowanie: w zakresie dyplomatycznym pisywał noty i memorjały po łacinie do wszystkich panujących i do wszystkich przewodniczących gabinetom; w zakresie filantropijnym leczył wszystkich metodą homeopatyczną. W zakresie jednym i drugim powodzenie mu sprzyjało, o czem świadczyły wielkie, oprawne, z pozoru wyglądające jak księgi handlowe *(grands livres)* księgi, z których jedna zawierała w sobie kopje not i memorjałów, druga, porubrykowana, imiona i nazwiska, wiek, płeć, stan, rodzaj choroby, rodzaj pigułek, przebieg choroby, rezultat leczenia. Porządek, ściśle zachowywany tak w dyplomacji, jak w homeopatji, zaliczał sobie na karb zasług obywatelskich. Sąsiedzi z zasług tych żartowali sobie. Jego to nie zrażało. Nie wiem, czy się sąsiadom zwierzał. Mnie ten spotkał zaszczyt, że mi najprzód regestry, tyczące się homeopatycznego leczenia pokazał, następnie, skutkiem tego może, żem się w nich

uważnie rozpatrywał, z memorjałami i notami zapoznał. Memorjałami szczególnie papieża bombardował. Odczytał mi jeden.

— Czy aby Ojciec święty to czyta — pozwoliłem sobie zrobić uwagę.

— Po łacinie! — odparł tonem mówiącym. — Jakżeby pism ode mnie w tym języku czytać nie miał?

Zapewniał mnie, że wszystkie jego memorjały czytane i na uwagę brane są.

— Otrzymuje pan na nie odpowiedzi? — zapytałem.

— No... hm... — zaczął i opowiedział mi spotkanie się i zaznajomienie w wagonie, w podróży do Ostendy, z jakimeś Anglikiem, z którym o polityce się rozgadał i przekonał się, że znanym mu był ostatni jego do królowej angielskiej adresowany memorjał.

— Cóż za jeden był ów Anglik?

— Ważna jakaś figura... bodaj czy nie sam minister. Nie wypadało mi pytać go. Ale któż inny czytaćby mógł pisma do królowej adresowane?

— Może sekretarz — rzekłem.

— Może sekretarz... Bądźcobądź memorjały moje czytane są i na rozum brane... no... i... zrobią one swoje... oho!..

Nie przeczyłem, objekcji żadnej nie czyniłem, wątpliwości nie okazałem w przekonaniu, że byłoby to nadaremnie. Nasłuchałem się też dużo wniosków i wywodów głęboko dyplomatycznych, świadczących, że choroba dyplomatyzowania doprowadza niektóre z grona szlachty naszej jednostki do manjactwa.

Bawiłem w Dźwiniaczce dni dwa czy trzy. Z odwiedzających pp. Kęszyckich gości zapamiętałem najmłodszego Agenora i Artura Gołuchowskich brata, Mieczysława, do którego przywiązana jest anegdota o pobycie cesarza Franciszka I we Lwowie. P. Mieczysław, chłopiec natenczas mały, umieszczony w jakimeś konwikcie, wyznaczonym został na powitanie cesarza, gdy ten zwiedzać będzie szkoły. Gdy tedy cesarz przyjechał, chłopak stanął przed nim, zaczął wyuczoną przemowę, zaciął się, język się mu splątał i rozpłakał się. Franciszek I po głowie go pogłaskał i na pocieszenie po polsku się do niego odezwał:

— Nie plakala... nie plakala... gadala, jak umiala...

Po wyekspedjowaniu broni Kęszycki odwiózł mnie do sąsiada, od którego dostałem się do Krzyweńkiego. Przed wy-

jazdem z Dźwiniaczki byłem świadkiem sposobu, w jaki tanim kosztem czernić sobie można włosy na głowie. Polecam go elegantom, dbającym o to, ażeby nie świecić szpakowacizną. Bierze się talerz, kapie się nań z łojowej świecy kropel parę, trzyma się ów talerz stroną łojem nakapaną nad świecą, póki się nie okopci całkowicie, i stroną tą następnie wyciera się głowę dokoła.

— Widzisz pan dobrodziej, nie lubię pieniędzy na głupstwa wyrzucać — tłumaczył mi przy tej operacji właściciel Dźwiniaczki.

Pojechaliśmy razem do sąsiada (nazwisko zapomniałem) i ten opowiedział parę szczegółów, tyczących się następstw, jakie się na czole i uszach pokazują, takiego sposobu czernienia włosów.

W Krzyweńkiem nie zastałem już ani konia, ani ekwipunku mego, przeprawionych za Zbrucz, i zjechałem się z kurjerem, przybywającym ze Lwowa od Wysockiego, z rozkazem dla mnie. Rozkaz brzmiał lakonicznie i wprawił mnie w zdumienie. Nakazywał on mi jechać niezwłocznie na Wschód, organizować oddział wkraczający i prowadzić go na Ruś. W zdumienie mnie on wprawił.

Co się Wysockiemu stało!

Ani ja, ani obecny Przewłocki nie umieliśmy sobie tego wytłumaczyć.

I dotychczas napewne nie wiem, co go Wysockiemu podyktować mogło. Domyślałem się — i dziś się domyślam —, że wykołatali go podolscy „mężowie stanu“, którzy u Różyckiego wyprosili sobie odłożenie wybuchu powstańczego na później, na ostatek, i życzyli sobie, ażeby wybuch ów odłożonym został do terminu nieograniczonego. Obecność moja przeszkodziłaby temu. Ze mną musiałby wybuch bądźcobądź nastąpić. Na zapobieżenie temu sposób jedynie praktyczny polegał na wyprawieniu mnie hen — daleko, za Dunaj, gdzie, jak powiada pieśń kozacza, „kruk kości nie zaniesie“. Stamtąd albobym przyszedł na czele szyków orężnych, albo nie przyszedł. Tak czy owak był ktoś, na kogo w danym razie odpowiedzialność za wybuch zwalić było można. Wobec władz moskiewskich gotowe tłumaczenie:

— Przyszedł z zagranicy emigrant... awanturnik... i powstanie wywołał.

Tak mi się przedstawia powód, dla którego, inaczej zapewne wymotywowany, rozkaz ów u Wysockiego wykołatanym został. Powtarzam jednak, że to domysł z mojej strony. Powodu istotnego nie znam.

Rozkaz ów zdumił mnie. Nie posłuchać nie mogłem, uznając bezwarunkowo potrzebę karności wojskowej, w takich zwłaszcza wojnach, jak ta, którąśmy toczyli. Mogłem jednak, miałem prawo i obowiązek odwołać się *du pape mal informé au pape bien informé*. Przez tego przeto samego kurjera, co mi rozkaz przywiózł, napisałem do generała, przypomniałem mu wszystkie nasze o znaczeniu formacji na Wschodzie rozmowy, przedstawiłem mu moje osobiste na gruncie tamtejszym położenie i nieprzyjazne mi stosunki, i zawiadomiłem go, że czekam na jego rozkaz, do przesłania którego wskazałem mu drogę telegraficzną. Każe mi jechać — pojadę. Zastrzegłem sobie tylko, ażeby mi nie nasyłał ludzi, którychbym z pożytkiem w organizacji zużytkować nie mógł. Zastrzeżenia tego powodem było przydzielenie do mojej komendy Bednarczyka, znanego mi ze strony nienajlepszej, z tego mianowicie, że był to człowiek przesiąknięty duchem intrygi. Do tego, co mnie na Wschodzie od obrażonych przeze mnie wyższych i niższych oficerów czekało, dołączenie takiego osobnika usprawiedliwiało moje zastrzeżenie i wzmacniało powody odwołania rozkazu.

Nie pomogło to wszystko.

Drogą telegraficzną otrzymałem krótkie i wyraźne potwierdzenie rozkazu.

Pojechałem.

Pocztą obywatelską podążyłem ku granicy Mołdawji. Droga wypadała mi albo przez Czerniejowce i Michaleny, albo, Czerniejowce omijając, przez Foltyczany. Wybrałem tę ostatnią, przez Michaleny bowiem nie mógłbym się przesunąć tak, ażeby mnie nie poznano. Dostawiono mnie przeto z Krzyweńkiego do jakiejś wsi, będącej własnością jednego z Pasakasów, który mnie odwiózł do innej wsi, położonej wgłębi Bukowiny, zadzierżawionej przez Wilhelma Długoborskiego, człowieka przedsiębiorczego, w zadzierżawionym bowiem przez siebie majątku rolę uprawiał, hutę szklanną założył i sery szwajcarskie wyrabiał. Pasakas, wioząc mnie, dopuścił się względem osoby mojej napaści formalnej, spowodowanej ciekawością. Na drodze za-

czepił mnie o pannę Pustowojtow. Głośnem było w momencie owym nazwisko jej. Rozmowa o niej toczyła się zrazu spokojnie. Na zapytania Pasakasa odpowiadałem, com wiedział; gdym jednak odpowiadać zaczął: „nie wiem", on mi wierzyć nie chciał i posądzał mnie, że przed nim tajemnicę robię. Zaręczałem mu — nie wierzył i ustawicznie mnie zapytaniami nagabywał. Natarczywość z jego strony wzrastała, prosił, błagał, zaklinał, wreszcie ukląkł i dłonie złożył. W życiu mojem drugiego równie ciekawego człowieka spotkać mi się nie zdarzyło. Tem w pamięci mojej utkwił. Inaczej byłby z niej wypadł wraz z tysiącami osób, z któremi więcej lub mniej do czynienia miałem. Dzięki Pasakasowi poznałem, do jakiej ciekawość dojść może potęgi.

U Długoborskiego przenocowałem tylko. Wyprawił mnie z Żydem, wiernikiem swoim, posługującym mu w handlu szkłem i serem na Mołdawji. Na drodze, nim Bukowinę minąłem, jeszcze raz nocować musiałem. Wreszcie, bez prezentowania się na komorze mołdawskiej dla wizy paszportowej (dopełnił tego mój przewodnik) wkroczyłem na grunt rumuński, na którym mi aresztowanie groziło. Potrzebowałem przeto przez Rumunję jaknajrychlej się przemknąć i nie dać się poznać. Zajechałem do Wincentego Długoborskiego, b. oficera artylerji rosyjskiej, który w r. 1829 na Rumunji pozostał i za dzierżawami chodził. W czasie onym trzymał dzierżawę tuż pod Foltyczanami. Przed r. 1848 brał czynny w robotach nieboszczyka Filanowicza udział i chętnym był do robót tego rodzaju. Był to stary kawaler, trochę dziwak, słuszny, chudy, dobry człowiek i Polak.

Gdy mi się w udziale dostało prowadzenie na teatr powstania oddziałów wschodnich, obmyśliłem sobie w zarysach ogólnych plan, w którym konieczność geograficzna wskazywała przejście zbrojną ręką przez Mołdawję, czyli wciągnięcie Rumunji do polskiej akcji powstańczej. Wciągnięcie to pociągało za sobą sprzężenie kwestji polskiej z kwestją wschodnią — z najdrażliwszym w Europie punktem politycznym. Rumunja, państewko świeżo przez wybranie Kuzy na hospodara w Mołdawji i w Wołoszczyźnie ukute, nie stało jeszcze na silnych i niewzruszonych podstawach, i wewnątrz i nazewnątrz. Wewnątrz złączenie księstw niemile było widzianem przez pretendentów do tronów hospodarskich, silnych nie liczebnie, ale majątkowo,

posiadających rozległe dobra i mogących za pieniądze stworzyć dla siebie stronnictwa, gotowe ich poprzeć i rozdział przywrócić. Nazewnątrz złączenie zawadzało głównie Turcji, która na nie przystała wprawdzie, ale bardzo niechętnie, traktat bowiem, zapewniający Rumunji niezależność polityczną, uważała, jak się wszystkie traktaty uważają, za stan przejściowy, wymuszony, nadający się do złamania przy pierwszej sposobności. Malkontenci, wielcy bojarowie, mianowicie dwie rodziny, Sturdzów i Bibesków, jakoteż Gików, Stirbejów i in., pretendenci do tronów hospodarskich jedni w Mołdawji, drudzy na Wołoszczyźnie, znajdowali w Wysokiej Porcie poparcie i wespół z rządem tureckim w Konstantynopolu przeciwko zjednoczeniu knowali. Zjednoczenie niekoniecznie ochoczo przyjęły i uznały Austrja i Rosja ze względu na to, że te dwa mocarstwa oddawna na Księstwa Naddunajskie zapatrywały się, jak na należną im zdobycz. Rosja zjednoczenie uznała naprzekór Turcji, Austrja dlatego, że nie mogła się mu opierać, nie mając innej dobrej do opierania się racji, tylko apetyt na żyzną, bogatą krainę, przylegającą do jej posiadłości, panującą nad Dunajem i sięgającą do morza Czarnego. Racja podobna ujść mogła przy rozbiorze Polski, kiedy Europie ton nadawał niedołężny Ludwik XV, a Anglja mało jeszcze znaczyła. W lat kilka atoli po wojnie wschodniej, po świeżych tryumfach orężnych Francji i Anglji, sprzymierzonych z Turcją, wobec dominującego stanowiska, jakie Francja w Europie zajmowała, gabinetowi wiedeńskiemu nie wypadało apetytów swoich zdradzać i zjednoczeniu księstw się sprzeciwiać. Dzięki przeto Francji i Anglji, zwłaszcza zaś Francji, zjednoczona pod Kuzą Rumunja stała się ukochanem dzieckiem, benjaminkiem Europy, najdrażliwszym punktem politycznym, którego zahaczenie i wciągnięcie do rejonu powstania polskiego sprowadzić mogło, jeżeli nie musiało, interwencję europejską w walce, prowadzonej z naszej strony bez pieniędzy, bez broni, bez żadnych zzewnątrz zasiłków. Nie posiadaliśmy nawet drogi cokolwiek bezpiecznej do sprowadzania za własne nasze pieniądze kupowanego oręża. Chociażby przeto dla tego samego pożądaną dla nas było rzeczą wciągnięcie Rumunji w sferę powstania naszego.

Z tego ogólnego względu wynikał sam przez się plan wykonania, polegający na zgwałceniu terytorjum obcego.

Zgwałcenie terytorjum rumuńskiego wymagało wkroczenia nań z odpowiednią siłą zbrojną. Obliczałem i, jak dziś rzeczy widzę, obliczałem trafnie, potrzeba nato było ludzi 600 do 800, dobrze uzbrojonych i dobrze prowadzonych. Z siłą taką, zorganizowaną na gruncie tureckim, w Tulczy, przejść można było wzdłuż przez Mołdawję całą, zatrzymać się w Jassach, zabrać broń, jaka się tam w arsenale znajdowała (około 3.000 sztućców), uzbroić się, sformować oddział parutysięczny, złożony z piechoty, jazdy i artylerji, i wkroczyć na Podole w punkcie, który zgóry upatrzyłem był. Co się tyczy pomnożenia oddziału do liczby parutysięcznej, liczyłem na rozsypanych w Mołdawji Polaków, których obecność wojska polskiego do szeregówby ściągnęła.

Stosownie do tego u Wincentego Długoborskiego porozpisywałem rozporządzenia i instrukcje, adresując je do ludzi pewnych, do Olchowskiego, Skalskiego, Tyszkiewicza i in. Spisałem instrukcję Długoborskiemu. Polecałem im werbować ochotników i ściągać ich powoli w okolicy Jass. Do Bednarczyka, którego mi Wysocki przykomenderował, napisałem, zalecając mu przysposabianie na Mołdawji w ilości jaknajwiększej amunicji, i nieopuszczanie kraju bez wyraźnego mego rozkazu. Wszystko to załatwiłem w ciągu jednego dnia; na trzeci dzień rano pocztą ruszyłem do Gałacu w towarzystwie bawiącego natenczas u Długoborskiego niejakiego Józefa Żmijewskiego, którego wziąłem ze sobą dla bezpieczeństwa nietyle mojej osoby, ile pieniędzy, na organizację oddziału przeznaczonych. Napaście, rabunki, morderstwa do rzadkości wówczas na Mołdawji się nie zaliczały. Szkodaby przeto było tych trzech tysięcy rubli, które przy sobie miałem.

Opisywałem już pocztę rumuńską, więc się powtarzać nie będę. Przerzucając się z wózka na wózek, wielkim pędem, bez wypadku, traktem na Roman Bakeu, Tekusz, dostałem się do Gałacu; zastałem tam parowiec, odpływający do Konstantynopola; na parowcu napisałem do Sokulskiego, uprzedzając go o przybyciu mojem i o celu przybycia; wysiadłem w Tulczy dla rozpoznania gruntu i przysposobienia kwater dla ochotników.

W Tulczy zabawić musiałem dni kilka. Obecność moja potrzebną była dla uregulowania przyjmowania ochotników. Oficjalne z czynności tych sprawozdanie znajduje się w napisa-

nej przeze mnie w r. 1865, a w r. 1880 przez Żupańskiego w Poznaniu wydanej książce p. t. *W Galicji i na Wschodzie*. Przepisywać jej nie będę. Posłuży mi ona za osnowę, na której przytoczę wspomnienia, uzupełniające sprawozdawcze opowiadanie szczegółami natury osobistej, malującemi rzeczy i ludzi, i uwydatniającemi fakty. Zabawiłem w Tulczy; pojechałem do Konstantynopola; w Konstantynopolu zabawiłem bodaj czy nie tydzień cały; do Tulczy powróciłem i oddział wyprowadziłem. Wszystko to szczegółowo opisane znajduje się w powyżej wymienionej książce. Zaznaczyłem w niej razy parę z naciskiem, żem był w pieniądze zaopatrzony niedostatecznie, bardzo niedostatecznie. Na sformowanie oddziału, dokonanie wyprawy, otrzymałem 115.861 franków. Nie mogłem przeto o 600, tem mniej o 800 ludziach ani myśleć. Ograniczyć musiałem życzenia i zamiary moje do ludzi 300 i brak liczebny zastąpić szybkością ruchów na teatrze działalności wstępnej, którym była Mołdawja.

Pieniądze przybywały częściami, kapaniną, to pod adresem Sokulskiego, to przywożone przez przybywających ze sztabu głównego, przykomenderowywanych do oddziału wschodniego oficerów. Przybył Walery Przewłocki, mianowany komisarzem wojskowym. Pewny byłem, że pieniądze przywozi. Pieniędzy nie przywiózł, ale zapewnił, że je w ilości kilku tysięcy rubli wiezie Franciszek Zima, major, przeznaczony do oddziału na szefa sztabu. Przywiózł mi oraz nominację na pułkownika.

O nominacji tej słówko rzeknę.

Była ona w porządku. Porządek wojskowy wymaga, ażeby oficerowie posiadali stopnie odpowiednie, idące od niższych ku wyższym. Służby w szeregach wojska regularnego nie odbywałem. W szeregach legjonu dosłużyłem się porucznikostwa, nieuznawanego przez żaden rząd żadnego z państw, figurujących w *Almanachu Gotajskim*. Nieregularnym przeto był mój stopień i nieregularnie, a do stopnia tego nieodpowiednio, zamianowany zostałem „naczelnikiem siły zbrojnej na Rusi“. Nominacja ta stawiała mnie w hierarchji wojskowej wysoko. Wobec niej przeto ta, którą mi Przewłocki wręczył, była degradacją. Nie pragnąłem się tytułować inaczej, tylko: naczelnikiem. Nie poczuwałem się do prawa ubierania się w generalstwo, alem się poczuwał do prawa funkcjonowania w tym stopniu. Nadanie mi więc tytułu, o który się nie ubiegałem,

a który do zajmowanego poprzednio stanowiska był degradacją, sprawiło mi przykrość, przykrość tem większą, że tytuł „naczelnika“, noszony przez Kościuszkę, odpowiedni pełnionej przeze mnie poprzednio i obecnie funkcji, skromny w sobie, nienaśladujący nomenklatury w hierarchji porządkowej, przyjętej w wojskach regularnych, uważałem za wystarczający i zaszczytny. Wogóle byłem za tem, ażebyśmy się w naszych szeregach powstańczych nie stroili w pióra, zapożyczone u rządów państwowych. W ich oczach stopnie nasze były to „androny“ — jak się W. Pol wyraził w gawędzie p. t. *Wachmistrz Dorosz.* Zastąpić je mogliśmy wygodnie nomenklaturą zrozumiałą: dziesiętnicy, setnicy, tysiącznicy i t. d. Tytuł „naczelnik“ właściwie odpowiadał i temu, co stał na czele sił zbrojnych całego działu Polski, i temu, co przewodniczył oddziałowi, działającemu niezależnie, a liczącemu nie więcej, jak 200—300 ludzi. Pewny byłem, że on przy mnie pozostanie. Nominacja więc na pułkownika ubodła mnie. „Czy Wysocki nie ma o czem lepszem do myślenia?“ — pomyślałem sobie.

Byłby mi taką samą przykrość sprawił tytuł generała. Ponieważ jednak tytułowanie oficerów wedle nomenklatury, zaprowadzonej w wojskach regularnych, przyjętem zostało przez Rząd Narodowy, gorzką przeto dla mnie pigułkę bez skrzywienia się połknąłem i ani protestowałem, ani reklamowałem. O przykrości, jaką mi ona sprawiła, po raz pierwszy na tem miejscu wspominam.

Ubrany w tytuł pułkownika, sprawę organizacji prowadziłem nie lepiej, ani gorzej. O przejściach, jakie ona przebyła, o planach i projektach, jakiemi byłem bombardowany, o trudnościach, jakie zaszły, szczegóły podaje książka *W Galicji i na Wschodzie.* Zaznaczę tu jeno, że trudności przysporzyło mi najbardziej odmówienie pomocy ze strony do niesienia mi pomocy obowiązanej: ze strony agencji ks. Czartoryskiego, sprawującego zagranicą interesy polityczne powstania. Ze strony tej spotkało mnie, zamiast pomocy, wyzwanie na pojedynek niejakiego Abramowicza, majora, oficera od inżynierji z r. 1831, który wystosował do mnie list i w liście tym wymotywował wyzwanie obrazą, jaką wyrządziłem oficerom polskim w *Udziale Polaków w wojnie wschodniej.* Książka ta ściągała na mnie wyzwania, które jednak do skutku nie przychodziły. Abramo-

wicz, którego osobiście nie znałem, nie czytał jej dawniej; przeczytawszy obecnie, uczuł się obrażonym i powziął postanowienie zmycia obrazy we krwi.

„Później, Sz. Majorze — odpisałem mu — będę panu służył. Obecnie obowiązek, jaki na mnie Rząd Narodowy włożył, nie pozwala mi na śmierć lub rany wystawiać się gdzieindziej, tylko na polu bitwy“.

Tej treści odpowiedź zażegnała napaść, pochodzącą od człowieka, którego długa, blada twarz i wyraz jej znamionowały śledziennika. Widywałem go dawniej zdaleka. Opowiadano mi o nim, że należał do rodzaju ludzi, piastujących w duszy wieczne ze świata i z siebie niezadowolnienie.

Osobistością bardzo ciekawą, z którą się w Konstantynopolu zszedłem, była eks-Ludka Słowackiego, naówczas generałowa, małżonka Sadyka-paszy (Michała Czajkowskiego). Sadyk-pasza najdotkliwiej był przeze mnie obrażonym: liczyłem na to, że z jego strony największe mnie spotkają trudności. Miłe mnie też spotkało zdziwienie, gdy mi Sokulski oznajmił o jego przychylnem dla organizacji oddziału usposobieniu. Z pozostających pod dowództwem Sadyka, kozackiego i dragońskiego, pułków dezerterzy przybiegali do Konstyntynopola i do Tulczy, meldując się do oddziału. Drażliwa to dla mnie była rzecz. Przyjmowanie i ukrywanie w szeregach polskich dezerterów z wojska tureckiego na gruncie tureckim kompromitowało w oczach rządu W. Porty organizację, na którą on przez palce patrzył. Zapowiedziałem, że zbiegów przyjmować nie będę, ale zapowiedź ta nie skutkowała. Owóż Sokulski oświadczył mi, że Sadyk-Pasza zbiegów w szeregach naszych poszukiwać nie będzie i że, pod niebytność męża, generałowa pragnie ze mną rozmówić się w tej sprawie.

Pragnieniu temu z ochotą uczyniłem zadość. Poszedłem do niej w towarzystwie Sokulskiego, a idąc miałem w myśli przecudne, wspomnieniu o niej poświęcone strofy, zamykające czwartą pieśń *Beniowskiego*:

Ja, co przebiegłszy świat — kochałem jedną.
Twój czar nade mną trwa.

Słowacki, młodym będąc chłopcem w Wilnie, rozkochał się był w starszej od siebie Ludwice Śniadeckiej.

Z temi strofami łączyły się inne, wystosowane do niej,

jako do „Safony, bardzo podobnej do greckiej“, która „się nieszczęściem kochała w Moskalu“. Odnosiły się one (strofy) do awanturniczego jej życia.

Przed wojną turecką r. 1828—29 panna Ludwika Śniadecka rozmiłowała się w jakimeś oficerze gwardji rosyjskiej, który zginął pod murami Warny. Dowiedziawszy się o tem, stroskana kochanka wybrała się do Turcji celem odszukania zwłok umiłowanego. Odnalazła je jakoby, sprawiła dla nich trumnę, trumnę ze sobą zabrała i podróżując po Europie, nie rozstawała się z nią. Wszędzie, gdzie się na dłużej czy krócej zatrzymywała, trumna z kościotrupem Moskala zajmywała miejsce przy jej łóżku, pomiędzy łóżkiem a ścianą. Obok tego, jak wieści chodziły, romansowała z Anglikami i skończyła na tem, że się zespoliła z Michałem Czajkowskim, zrazu tak sobie, następnie, gdy Czajkowski przyjął islamizm i przez to zerwał z pierwszą żoną, pozostawioną przezeń wraz z czworgiem dzieci w Paryżu, w charakterze małżonki regularnej. Czułem do niej żal głęboki za to, że najprzód Moskala, potem Czajkowskiego przełożyła nad autora *Kordjana*, który, posyłając jej ostatnie „Bądź zdrowa!“, czekał na nią po śmierci:

Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć...

Szedłem do niej z wysłowić się niedającą ciekawością. W domu tureckim, na piętrze, w salonie umeblowanym pół na wschodni, pół na europejski sposób, przyjęła mnie i uprzejmym powitała uśmiechem kobieta, której starą nazwać nie można było, mimo że głowę jej okrywały mlecznej białości włosy. Przeciwko starości mówiły kształty postaci, przez poetów do topoli przyrównywane, oblicze świeżością wieku w warunkach pomyślnych dojrzałego tchnące, rysy oblicza poprawnością wytworną nacechowane i oczy piękne a mówiące. Powitała mnie uprzejmie uśmiechem, usiadła, miejsce mi obok wskazała i bez wstępów rozmowę ze mną zawiązała o interesie, tyczącym się zbiegów z pułków, pod dowództwem jej męża pozostających.

Mówiła w imieniu męża — niekiedy odzywała się w pierwszej osobie liczby mnogiej.

— Mąż mój do robót powstańczych, jako generał turecki, mieszać się nie może, ale powstaniu sprzyjamy, sprzyjamy du-

szą całą. Na zachęcenie do dezercji stanowisko mu jego nie pozwala, ale oczy na nią zamyka. Posłaliśmy do Tulczy majora Muchę z kilkoma kozakami na werbunek na Dobrudży... On się z panem porozumie i jeżeli wam ochotników nie napędzi, to żadnego nie zabierze.

Mówiła głosem takim dźwięcznym, młodym, że słuchając jej wierzyć się nie chciało, iż pochodzi on z ust kobiety bodaj czy nie sześćdziesięcioletniej. Głos jej brzmiał taką szczerością, że trudno było słowom jej nie wierzyć. Wierzyłem i nie zawiodłem się.

Z mojej strony zapewniałem ją, że dezercji nie wywołuję, przyjmuję zaś do oddziału takich tylko, co składają dymisję formalną.

— Niech pan się nie ścieśnia — odparła. — Nie myślimy przeszkadzać tym, co chcą o Polskę walczyć... Obydwaj męża mego zięciowie do powstania poszli. Poszły za nimi i żony — dodała.

W ciągu rozmowy ostrzegła mnie co do niejakiego Wielopolskiego:

— Będzie wam żołnierzy buntował. Niespokojny chłopiec... socjalista... demagog...

Zrobiłem gest, który ona spostrzegła.

— Wątpię — rzekła — ażeby w wojsku z demagogów pociecha jaka była.

Zwróciła mowę do Sokulskiego i zapytała go o Jordana, agenta ks. Czartoryskiego, nieprzychylnie się odnoszącego do formacji oddziału, o czem wiedziała.

Sokulski jej odpowiedział, że Jordan nietylko pomocy odmawia, ale przeszkody stawia.

Chodziło o skonfiskowaną przez Turków broń, którą Garibaldi przysłał (800 sztuk), a którą połączone Polaków usiłowania wydostaćby mogły.

Oburzyło ją to.

— To niegodnie — rzekła. — Wobec sprawy publicznej zamilknąć powinny wszelkie pretensje osobiste.

Następnie znów się do mnie zwróciła.

Na rozmowie z nią godzina, jeżeli nie więcej, niby jedna upłynęła chwila. O mojej książce, w której sponiewierałem Sadyka paszę, wspomniała dopiero, kiedym się z nią żegnał.

Nazwała ją owocem walki stronniczej, w której się przeciwnika nie oszczędza.

— Kiedy ojczyzna woła, na walki te miejsca niema.

Takiemi były ostatnie jej słowa. Kobieta ta jaknajlepsze na mnie wywarła wrażenie. Wyszedłem od niej oczarowany. Nie dziwię się, że Słowacki obraz jej, młodej i uroczej, w duszy nosił, i że obraz ten za ideał poetyczny mu służył.

Ale — czemuż ona nie jego, ale jakiegoś Moskala, a później Czajkowskiego pokochała?

Tego jej wybaczyć nie można.

Ponieważ w pamiętnikach moich więcej o niej nic nie będę miał od siebie do powiedzenia, dodam przeto jeszcze, że obok Czajkowskiego, mimo że on islamizm przyjął, z łona Kościoła katolickiego nie wyszła i kiedy się on na prawosławie nawrócił, ona już nie żyła. W kobiecie tej, na której sporo ciężyło grzechów, pozostawała jakaś iskierka przez ojca przekazana i w jej duszy tlejąca. Wszak była to córka Jędrzeja Śniadeckiego. Relacje o niej, udzielone mi przez córki Sadyka paszy z pierwszej żony, powtórzę na swojem miejscu.

W czasie pobytu mego w Konstantynopolu, śród zajęć, które mi cały zabierały czas, nasunęła się na oczy moje osobistość oryginalna. Przedstawił się mi Polak z wojska rosyjskiego, przybywający wprost z Kaukazu, nazwiskiem Celiński, człek wzrostu średniego, suchy, rudy, łysy i wielomowny. Ponieważ obok wyprawy, którą sztyftowałem do Polski, agencja hotelu Lambert (ks. Czartoryskiego) sztyftowała wyprawę na Kaukaz, człowiek przeto, przybywający stamtąd, był dla mnie osobistością ciekawą gwoli informacyj, jakich mi udzielić mógł. Interesował mnie Kaukaz dla dwóch powodów: dlatego, że agencja polska uważała za rzecz ważniejszą niesienie pomocy broniącym się przeciwko Moskwie Czerkiesom, aniżeli swoim, oraz dlatego, że odeski wydział Rządu Narodowego domagał się, ażebym wyprawę zwrócił do Odesy, zdobył ją, i sformowawszy w niej korpus, rozpoczął regularną przeciwko Rosji kampanję, w której udział wziąść miało 6.000 Czerkiesów. Na przedsięwzięcie podobne mógłbym się ważyć, gdybym posiadał conajmniej dziesięć miljonów franków w ręku, potrzeba bowiem było na to pięć do sześciu tysięcy ludzi dobrze uzbrojonych, artylerji, najęcia statków przewozowych i przepłynięcia morza

Czarnego, tak ażeby nikt floty tej nie dostrzegł. Na to bodaj czyby i dziesięć miljonów starczyło i czyby się dała wyprawa taka przed końcem roku urządzić. Wyperswadowałem ją przeto wysłańcowi Wydziału odeskiego, jakoteż Przewłockiemu, któremu się była podobała. Jak bo się podobać nie miało zdobycie takiego miasta jak Odesa i kampanja regularna!.. Że jednak z propozycją łączył się kontyngens czerkieski, a z Czerkiesami szykowana dla nich pomoc hotelu Lambert, potrzebne mi przeto były sprawy tej tyczące się jaknajdokładniejsze informacje. Z informacjami właśnie nadarzał się przybywający wprost z Kaukazu, przysłany przez Wydział odeski i oddający się pod rozkazy moje Narcyz Celiński.

Informacje, jakich mi udzielił, tyczyły się pojedyńczych osobistości, stanowiska w armji rosyjskiej, operującej na prawem skrzydle przeciwko plemieniu Ubychów, zajmujących, na które można rachować. Osobistości takich wymienił mi kilkanaście: paru pułkowników, majorów, z dziesiątek oficerów niższych. Mogli się oni przydać na teatrze powstania jako wojskowi, z wojną podjazdową oswojeni. Zresztą przydatność ich ograniczała się płaceniem podatku narodowego. Co zaś do Czerkiesów, do pomocy z ich strony jakiejkolwiek, na to liczyć absolutnie nie można było.

Poinformowawszy mnie o wszystkiem, o czem wiedzieć mógł podporucznik, pełniący służbę sztabową w pułku sewastopolskim, główna kwatera pułkowa w Pseboju, Celiński, który był za paszportem i do Odesy wracać miał prawo, zażądał ode mnie rozkazów. Po krótkim namyśle kazałem mu wracać do Odesy i na Kaukaz z rozkazem, wzywającym Polaków, w szeregach moskiewskich służących, do spieszenia na teatr powstania. Rozkaz ów Celiński za zupełnie racjonalny uznał i podjął się spełnić go niezwłocznie. Pożegnaliśmy się. I tylem go widział.

Ale później doszły mnie o nim posłuchy.

Zamiast do Odesy i na Kaukaz, udał się do Gałacu, a stamtąd do Czortkowa, do mojej żony. W przejeździe przez Mołdawję i Bukowinę tak się zachowywał, że członkowie organizacji powstańczej wzięli go za osobistość podejrzaną, a z Czerniejowiec przesłano żonie mojej ostrzeżenie, ażeby się miała na baczności, gdy się u niej pojawi szpieg. Wygląd jego podejrzenie

potęgował. Jak szpiegiem być nie miał człek rudy, łysy, chudy, zarywający w mówieniu z moskiewska... W Czortkowie zachowywał się również w sposób podejrzenie wzbudzający: ustawicznie żonę moją dopytywał się o wiadomości o mnie, na rozmowy słuch nastawiał, gdy z poczty nadchodziły listy, dowiadywał się skąd i od kogo, zabawił dni kilka, powiadając, że na mnie czeka; nie doczekawszy się jednak, na teatr powstania się udał. W powstaniu walecznie i umiejętnie poczynał. Został w jednej z potyczek przez Moskali wzięty, na Syberję wysłany i tam rozstrzelany za sprawę wybuchu powstańczego nad Bajkałskiem jeziorem. Dziwny to był człowiek — odważny, przedsiębiorczy, Polak gorący, lecz niespokojny, nieumiejący trzymać się raz wytkniętej drogi, posiadający zdolność popsucia każdego przedsięwzięcia, do którego rękę przyłożył. Guttry, gdy się o jego rozstrzelaniu na Syberji dowiedział: „To mu się należało" — rzekł.

W r. 1846 wziął udział w przysposobianem w Poznańskiem powstaniu i dostawszy jakieś polecenie, tak pobałamucił, że spiskowi surowoby się z nim byli obeszli, gdyby się był przed nimi do Królestwa nie schronił. W Królestwie pojmany, wskazanym został „w sałdaty" i wysłanym na Kaukaz, skąd po siedemnastu latach wynurzył się w Konstantynopolu, ażeby rozkazu mego nie spełnić, i następnie na Syberji wziął udział w sprawie, ażeby ją popsuć. Przyczyną niepowodzenia powstania zesłańców polskich nad Bajkałem był nie kto inny, jeno Celiński. Człowiek ten podległym był ułomności moralnej, tkwiącej całkowicie w temperamencie, inaczej posiadał wszystkie warunki, składające się na dzielność. Dzięki temperamentowi nie przerobił go rygor, jakiemu przez lat siedemnaście podlegał w szkole moskiewskiej. Świadczy to przeciwko opinji, jaką o szkole tej miał Mickiewicz, który powiadał Norwidowi: „Ażebyś się na porządnego wykierował człowieka, potrzebaby ciebie na lat kilka w sałdaty moskiewskie oddać"...

W Konstantynopolu mieszkałem u kolegi mego z wojny węgierskiej, Śliwińskiego, który, pełniąc funkcję kasjera przy jakiemeś przedsiębiorstwie handlowem, zapewnił sobie byt przyzwoity i ożenił się z urodzoną i wychowaną na Perze Niemką. Sam on do oddziału się jeden z pierwszych u Jagmina, zamianowanego przeze mnie dowódcą bataljonu, zapisał. Ona posta-

nowiła do Galicji pojechać, ażeby się bliżej męża znajdować. Kobieta młoda, przystojna, odznaczała się wzrostem większym niż mierny i kompleksją wcale nie niewieścią. Kiedy do Galicji jechała, urzędnicy na komorze austrjackiej wzięli ją za przebranego na kobietę chłopca i puszczać jej nie chcieli, póki się nie przekonali, że ich pozory łudziły. Z mężem stanowiła kontrast w oczy bijący: on szczupły i chuderlawy, ona naurząd zbudowana. Mówiła wszystkiemi na Perze w obiegu się znajdującemi językami, a więc: po francusku, po włosku, po niemiecku, po ormiańsku, po grecku, po turecku; nie mówiła po polsku, ale się duszą i sercem przy mężu spolaczyła i użalała się przede mną, że jej mąż z sobą do oddziału wziąść nie chce. Odwoływała się do mnie. Nie mogłem na to pozwolić, raz dlatego, że wogóle kobiet nie życzyłem sobie w oddziale, powtóre dlatego, żem się nie poczuwał do prawa sprzeciwiania się prawom małżeńskim.

Załatwiwszy, co do załatwienia było w Konstantynopolu, i pozostawiwszy dla dopilnowania transportów Przewłockiego, powróciłem do Tulczy.

W Tulczy trzy szczególnie zajmowały mnie rzeczy: organizacja, broń i przeprawa przez Dunaj.

Organizacja od chwili przybycia Jagmina szła porządnie. Do tej chwili ochotników zapisywał Liczbiński i odsyłał ich na kwatery. Gdy Jagmin dowództwo bataljonu objął, sformowaliśmy kadry na trzy kompanje piechoty i wcielaliśmy w nie przybywających ludzi. Dwie kompanje, pierwsza pod dowództwem Augusta Cieszkorowskiego i trzecia pod dowództwem Karola Brzozowskiego, kwaterowały w Tulczy, dla drugiej, której dowodził Władysław Towarnicki, upatrzyliśmy kolonję niemiecką, nieopodal położoną, zwaną Franzensthal, i tam ją ulokowaliśmy. Nadto, śród ochotników, znajdowało się dużo oficerów, dla których w kadrach miejsca nie było. Z tych sformowaliśmy kompanję oddzielną pod kapitanem wojsk francuskich Chevalier, przeznaczoną na zaopatrzenie w oficerów kontyngensu ochotników, zbierających się na Mołdawji. Kompanja druga musztrowała się; pierwsza i trzecia poprzestawać musiały na wykładzie teorji dla oficerów i musztrach sznurkowych dla podoficerów w izbach, w szopach i ogrodach. Szeregowcy, pobierając żołdu po 3 piastry dziennie, czekali.

Do szeregów przybywała młodzież uniwersytecka — śród niej socjaliści i chłopomani, pomiędzy tymi ostatnimi i ów zaznaczony przez generałową Sadykową Wielopolski. O obecności swojej dali mi znać żądaniem, z którem się do mnie zwrócić mieli, wybierania oficerów. Dowiedziawszy się o tem, uprzedzając podanie, przywołałem do siebie kilku, a z nimi i Wielopolskiego, i rozmówiłem się z nimi po przyjacielsku. Zacząłem od tego, żem im przedstawił istotę i wymogi rzemiosła wojskowego, o których oni wyobrażenia nie mają. Jakże oficerów, którzy rzemiosło znać powinni, wybierać mogą? Na to któryś napomknął o ważności zaufania do naczelników ze strony podwładnych.

— Pod warunkiem — odrzekłem — ażeby podwładni naoślep nie obierali, a warunkowi temu zadość uczynić niesposób, jeżeli sami rzemiosła nie znają.

Opowiedziałem im o sobie, żem w sekcji, złożonej z nieznajomych mi i mnie nieznających, na gefrejtera wybranym został dlatego, żem miał brodę.

Wytłumaczyłem im potrzebę karności, której z całą przestrzegać zamierzam surowością, i porozumiałem się z nimi. Nie dowierzając wszelako porozumieniu temu, wszystkich inteligentów wcielać kazałem do trzeciej kompanji, pod dowództwo Brzozowskiego, dodawszy jemu porucznika Ignacego Golczewskiego i podporucznika Piotra Gąsowskiego, ludzi młodych, wykształconych i przyzwoitych, dających rękojmię, że się potrafią odpowiednio z tego rodzaju żołnierstwem obchodzić. W sposób ten obezpieczyłem się z tej strony i żadnych później z racji socjalizmu nie miałem kłopotów.

Ochotnicy napływali, jedni w liczbie największej z Konstantynopola, drudzy z Odesy, inni ze stron rozmaitych.

Z Konstantynopola, obok oficerów z Legjonów polskich na Węgrzech, jakoteż z pułków formacji Zamoyskiego i Sadykapaszy w czasach wojny wschodniej, przybywali szeregowcy rozmaitego pochodzenia, w największej liczbie byli żołnierze z wojsk rosyjskich, którzy, wzięci w czasie ostatniej wojny do niewoli, w Turcji pozostali. Woleli tułaczkę na obczyźnie, aniżeli służbę we wrogich szeregach. Na wieść o formujących się szeregach polskich pogarnęli się, i byliby się w większej pogarnęli liczbie, gdyby ich było za co sprowadzać. Stawili się ci, co się

znajdowali bliżej; do tych zaś, co się po całej azyjskiej i europejskiej rozsypali Turcji, co się zapędzili do Egiptu i do Grecji, i wieści nie dochodziły. Może się o powstaniu dowiedzieli, gdy już powstanie upadło. Spotkałem się z jednym z takich w r. 1865. Pomiędzy tymi, co się w porę dowiedzieli i do szeregów pospieszyli, trafiały się osobniki, zasługujące na cześć. Przybyło kilkunastu z r. 1831, zesłanych w onym czasie na Kaukaz, zbiegłych do Czerkiesów, sprzedanych przez Czerkiesów Persom lub Kurdom i tułających się następnie po Azji lata i lata. Starce. Stoi mi w oczach jeden białowłosy jak gołąbek. Zjawił się w ich liczbie i Augustyn, o którym pisałem poprzednio. Ten, w obawie, że spowodu starości przyjętym nie będzie, nie przyjął żołdu, zaopatrzył się we własny karabin i w przybory, i nie żądał niczego, tylko tego:

— Ażebym kości na polskiej złożył ziemi...

— Nie dojdziesz — perswadował mu oficer, wpisujący ochotników do regestru.

— Dojdę, panie, dojdę... — błagał.

Inny, w sile wieku, chłop zwięzły, mazurujący, gdy zapisanym został, wydobył z zanadrza skórzany woreczek, wysypał z niego na stół kilkanaście medżidyj złotych, wartujących zgórą trzysta franków, i ku oficerowi posunął:

— To co? — zapytał ten ostatni.

— Taze medzidzyje — odrzekł.

— Na co?

— Do składu...

— Do przechowania?

— Ta jak tam...

— Kwit ci na to wystawić potrzeba...

— I... nie potsa... Niech tam to rząd nas weznie.

Były to jego zarobki po czyflikach, uskładane przez lat siedem.

O wysłudze, o wynadgrodzeniu za wysługę żaden ani pomyślał. Wynadgrodzenie widzieli w tem, że idą na Moskala, że w polskich szeregach walczyć będą. Wyszli ze szkoły służby moskiewskiej — i szkoła ta na Moskali ich nie przerobiła. Idea ojczyzny pociągnęła ich, pomimo że nikt im o niej nie mówił. Ja, com posiadał w zupełności uświadomienie, któremu przyświecały przykłady ojca, dziada, którego dziedziczność popy-

chała i tradycja prowadziła, w którym krew przemawiała, czułem się niejako olśniony wobec potęgi idei polskiej, przewodniczącej prostym i ciemnym ludziom — chłopom od pługa i od cepa. Zrozumiałem doniosłość powstania, na upadek zgóry wskazanego.

Obok tych chłopów przychodzili tacy, w których sumienie się odezwało.

W Legjonach polskich na Węgrzech, w ułanach, służył młody szlachcic z Wołynia nazwiskiem Jackowski. Po wojnie wraz z innymi znalazł się w Turcji, w Turcji pozostał, przenosił się z miejsca na miejsce, chwytał się zajęcia raz tego, znów innego, i nabył pociągu do kieliszka. Dzięki pociągowi temu, znikczemniał. Zabłądziwszy na Dobrudżę, nad Dunaj, jął się rybactwa dlatego, że fach ten, zapewniając kawałek chleba, nałogowi zapory nie stawił. We dni sieci ciągnął, na noc się spijał i o jutrze myśleć nie potrzebował. Zasłyszawszy jednak, że się w Tulczy Polacy na wojnę przeciwko Rosji zbierają, do Tulczy przyszedł i do zapisu stanął boso, bez czapki, w przyodziewku złożonym ze spodni płóciennych i z koszuli, sczerniały, brudny. Oficer, co ochotników spisywał i z nim na Węgrzech kolegował, nie poznał go, aż gdy nazwisko swoje wygłosił.

— Jackowski? ty, Jackowski? — wpatrując się weń odezwał się zdziwiony.

— A no... ja...

— Cóż ty?

— A cóż... Przed śmiercią mazura chcę jeszcze w Polsce potańczyć i hołupca siarczyście wyciąć.

Do hołupca bose złożył pięty.

Chęci jego, niestety, nie stało się zadość. Zginął na polu bitwy, nim do Polski doszedł. Spotkał go lepszy i zaszczytniejszy koniec, niż ten, jaki sobie sposobił w szuwarach naddunajskich.

Kobiet nie życzyłem sobie w szeregach. Jednej w Kostantynopolu z łatwością wyperswadowałem, z drugą w Tulczy miałem nieco kłopotu.

Na lewym brzegu Dunaju, naprzeciwko Tulczy, poza północnem ramieniem rzeki, leży Izmaiłów, niegdyś twierdza turecka, upamiętniona raportem lakonicznym, przesłanym po zdobyciu jej przez Suworowa Katarzynie II. Należał on do Rumunji

w r. 1863 i posiadał taki sam dla żebraków zakład, jakim dyrygował Jan Tyszkiewicz. Zakład izmaiłowski pozostawał pod dyrekcją Tokarskiego, o którym już wzmiankowałem w jednym z poprzednich rozdziałów. Wzmiankowałem i o jego małżonce pochodzenia tatarskiego. Razu pewnego spada na mnie wizyta: państwo Tokarscy w towarzystwie kilku oficerów rumuńskich. Pani, jaśniejąca, wesoła, wystrojona, przystąpiła do mnie obcesowo, jakbyśmy się od wieków znali i w bliskiej ze sobą pozostawali zażyłości. Dziwiło mnie to trochę, lecz nie domyślałem się, co ta serdeczność znaczy. Oświadczenie jej, że ze mną pójdzie, wziąłem za żart i żartobliwie na nie odpowiedziałem. Ona mi na to nogi spod spódnicy pokazała.

— Patrz, pułkowniku...

Przy bucikach miała ostrogi.

— Wybrana już jestem.

— Widzę — odrzekłem. — Ostrogi i strzały w oczach, tego dosyć na pokonanie nieprzyjaciela najgroźniejszego.

— Nie żartuję — odparła. — Idę z tobą. Obaczysz, jak się będę sprawowała.

Rozmowę tę, do której się oficerowie rumuńscy wtrącali, trzymałem w tonie żartobliwym. Gadaniny na serjo nie brałem. Pozostawałem w błędzie, z którego wyprowadził mnie Tokarski.

— Proszę cię na słówko — odezwał się.

Do przyległej wyszliśmy izby, i on mi oznajmił, że żona jego zupełnie na serjo do powstania się wybiera.

— Oszalała — rzekłem.

— Czemu? — odparł.

— Kobieta...

— Czy Pustowojtówna nie kobieta?

— I ty z nią? — zapytałem.

— Ja... ja... to jest: nie teraz... Później... Ale ona, widzisz, zapaliła się kobieta... Weź ją!

Prosił, perswadował i, kiedym mu stanowczo odmówił, ręce załamał i zawołał:

— Cóż ja pocznę!

Po rozprawie z panem miałem jeszcze rozprawę z panią. Przekonywała mnie przykładem Pustowojtówny i zaręczała, że taką samą będzie.

— Dziękuję! — odrzekłem.

Rozgniewała się, zagroziła, że się do oddziału przyłączy, a gdy się przyłączy, to jej wypędzić nie będę ani mógł, ani śmiał.

— Będę mógł i będę śmiał — odparłem. — Bez litości i bez najmniejszego na panią względu, wypędzę.

— Miałam ciebie, pułkowniku, za człowieka lepiej wychowanego — rzekła z akcentem.

— Boś mnie pani nie znała.

— Jesteś mnichem! — w oczy mi cisnęła.

W towarzystwie oficerów humor odzyskała. Rozstaliśmy się dobrze. Mąż tylko pożegnał mnie z westchnieniem i odszedł z miną kwaśną. Widoczne było, że Tokarski, człowieczek posiadający umiejętność kręcenia biczów z piasku, ubrał się w żonę, której miał póty, i nierad był temu, że chybił okazji pozbycia się jej tanim kosztem.

Z Odesy stosunkowo, spowodu oddalenia i trudności odbycia bez paszportu podróży morskiej, przybywało niewielu. Zjawił się Michalski Władysław z synem, młodziutkim chłopcem: ojciec jego w sprawie Konarskiego wskazanym był na powieszenie i on (Izydor) w procesie figurował i ukaranym był. Była to szlachta podolska; słyszałem o nich, alem ich nie znał osobiście. Równocześnie z nimi przybył i przedstawił się mi człek słuszny, szczupły, z pełnym na obliczu ciemnym zarostem, ponuro patrzący:

— Jan Darowski, rotmistrz od huzarów moskiewskich.

— Jan Darowski? — powtórzyłem, wpatrując się w niego.

— Jan Darowski — odpowiedział, oczy na mnie podnosząc.

— Czy nie z Krasnego?

— Z Krasnego.

— Jan Darowski z Krasnego — zacząłem —, kiedym liczył lat nie więcej jak dwanaście, a rodzice moi mieszkali w Klebani, jadąc konno w mróz trzaskący na święta Bożego Narodzenia do mieszkających w Humańszczyźnie Zalutyńskich, do nas był zajechał i rozgrzewał się.

— To ja byłem — odrzekł.

— Stanąłeś mi wówczas w wyobraźni w świetle heroicznem.

— Toż czemu?

— Kochałeś się w pannie Oldze i dla niej się na zamarznięcie wystawiłeś.

— Tak... to dawne czasy... Ta panna Olga jest dziś moją żoną.

Wysoko romansowa oraz romantyczna była to historja. Darowskich dwie stryjeczne rodziny zamieszkiwały na Podolu i na Ukrainie: w jednej braci kilku i w drugiej braci kilku, jedni bogaci, drudzy posiadali część w Krasnem, miasteczku w powiecie jampolskim. W tej i w tej ojcowie jednakowe dwom czy trzem synom ponadawali imiona: Jan i Jan, Aleksander i Aleksander, podobno także Adam i Adam. Z kraśniańskich jeden tylko nosił imię Kazimierza, którego śród tamtych nie było dlatego, że na świat nie przyszedł osobnik, domagający się chrztu. Jednakowość imion braci stryjecznych sprowadzała konfuzję, dla rozróżniania ich przeto nadano im przymiotniki, jednym: „porosły“, drugim: „goły“. Jan „porosły“ był panem Tetijowa na Ukrainie, Krzyczanówki na Podolu i innych jeszcze jakicheś majątków. Jan „goły“ wespół z trzema braćmi dziedziczył część na kollokacji.

Tento ostatni był bohaterem romansu, który mnie tak w swoim czasie zafrapował, żem marzył o kochance i dojeżdżaniu do niej konno w mróz trzaskący, bez futra, w czapce na bakier, w lekkiej żółtej chusteczce podwiązującej uszy. W stroju takim Jan „goły“ w pamięci mi stał.

Heroizm taki zasługiwał ze strony panny na wynadgrodzenie. Wynadgrodzenie nastąpiło, ale nieodrazu. Zalutyńscy, rodzina tej kategorji, którą W. Pol ucharakteryzował: „z podstarościch na dziedzica“, porosła przy Potockich w pierze, wysoko się nosiła. Prowadziła ona dom otwarty, dawała bale, jeździła karetą w sześć koni — wielkie państwo. Wielkiego tego państwa słabą przy całym szyku stronę stanowiła wielka ilość dzieci: kilku synów i kilka córek. Póki to było młode a rodzice żyli, póty się szyk utrzymywał: panicze paniczowali, panny się drożyły i takiego Jana „gołego“, szlachcica z antenatów, trzymała zdaleka panna Olga dlatego, że małżeński z nim związek nie ukazywał jej w perspektywie tego szyku, jaki ją w domu rodzicielskim otaczał. Biedny Jan daremnie dojeżdżał do pani serca swego i zimą i latem, wreszcie zrozpaczony, lecz z miłości nieuleczony, do wojska się zaciągnął. Dał za wygraną. Gryzła go myśl o kochance w objęciach innego. Gryzł się całych lat dwanaście, i swego dokazał. Po śmierci starych pp. Zalutyń-

skich pokazało się, że noszenie się wysoko nie wychodzi pannom na dobre. Dwie za życia rodziców wydały się dosyć bogato; inne przebierać nie mogły; panna Olga czekała, przebierała, wreszcie wiernemu w miłości Janowi „gołemu“ rękę oddała.

Z tymto Janem po dwudziestu kilku leciech niesłyszenia o nim zeszedłem się na gruncie tureckim w wybierających się do Polski przeciwko Moskwie szeregach.

Schodzenie się z takimi jak on, jak Michalscy, z ludźmi z moich okolic, otuchy mi dodawało. Schodzenie się to bowiem czyż nie świadczyło, że myśl polska, ta myśl, co mnie spośród nich wyprowadziła i oręż mi w ręce włożyła, że ta myśl na gruncie polskim trwa i żyje w niepokalanej czystości swojej? Schodzili się w niej i jednoczyli, tu, pod mojem dowództwem, szlachcice i chłopi i mieszczanie.

Z tamtych stron, przez Odesę, przybył jeszcze Choiseul, przybył Wojno. Ten przyjeżdżał wprost z Petersburga, ze szkoły artylerji, wysłany w stopniu oficerskim do korpusu, pozostającego pod dowództwem gen. Kotzebue. Młody, piękny, zapału pełen, oczy mi — że się tak terminem biblijnym wyrażę — radował.

Trafiali się jednak i tacy, którzy uradowania nie sprawiali. Jakiś np. Sobolewski czy Sokołowski — nazwisko zapomniałem — domagał się nominacji na majora na tej podstawie, że we Włoszech pod Garibaldim służył. Stopnie przyznawaliśmy pod warunkiem złożenia na nie dowodów. Ów Sobolewski dowody składał, lecz fotograficzne: pokazywał nam fotografje własne w mundurze, w kilku pozach. Takich dowodów uznać nie mogliśmy.

Ale nię mogliśmy nie uznać dowodów, jakie nam złożył Włoch, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, a który złożył plik spory, zawierający w sobie, obok sonetów i listów rozmaitych, listy własnoręczne i rozkazy Garibaldiego, i autentyczną nominację na majora. Przepatrzywszy je, nic innego do powiedzenia nie miałem, tylko:

— To dobrze, majorze, ale odpowiedniego stopniowi twemu stanowiska dać ci w oddziale nie możemy.

— Ależ ja — podchwycił — nie po stanowisko, ale poto, ażeby za Polskę walczyć, przychodzę... Zadowolni mnie stanowisko prostego w szeregach polskich szeregowca.

Uścisnąłem mu dłoń i zapisać go kazałem do kompanji oficerskiej. Dobrze, doskonale się prowadził przez cały czas pobytu w Tulczy i w marszu. Gdy do bitwy przyszło, gdzieś się zapodział, że go nikt ani przy kompanjach w pierwszej linji, ani w kompanji oficerskiej nie widział. Po bitwie dopiero, gdy upojeni zwycięstwem żołnierze okrzyki wydawali, zjawił się i, do mnie się zwracając, z deklamacyjnym przemówił akcentem:

— Dwóch wielkich widziałem ludzi: Garibaldiego i ciebie, pułkowniku!...

Spółziomek jego, oficer z wojska regularnego, jakoteż inni cudzoziemcy: trzej Francuzi, dwóch Węgrów i dwóch Niemców, sprawowali się w sposób zaszczyt im przynoszący.

Co do Polaków, żołnierzy karniejszych, bojowników waleczniejszych żadna chyba nie posiada armja.

O! czemuż ich więcej mieć nie mogłem!

Brak środków nie pozwalał na sprowadzanie Polaków po Turcji rozsypanych. Nastręczali się mi zato ochotnicy z innych narodowości: Włosi, Moskale i Węgrzy.

Włochów miał przysłać Garibaldi; miał przyprowadzić ich jeden z synów jego, Menotti. Zamiar ten rozchwiał się z tego jakoby powodu, że Rząd Narodowy agentem politycznym swoim zagranicą zamianował ks. Władysława Czartoryskiego [1]. Napewne tego nie twierdzę, luboć nie wyznać nie mogę, że nominacja ta pomyślaną była niekoniecznie szczęśliwie. W emigracji owoczesnej nie brakło ludzi, których nazwiska nie raziły stronnictw przeciwnych. Dr Seweryn Gałęzowski naprzykład, nie klerykał ani dyplomata jak Czartoryski, nie rewolucjonista czerwony jak Mierosławski, człowiek powszechnie szanowany, byłby bez porównania odpowiedniejszy. Nie wchodząc jednak w to, dlaczego syn Garibaldiego nie przybył [2], wyznać muszę, że o ile przybycia jego pragnąłem gorąco, o tyle do ochotników włoskich bez niego nie miałem przekonania. Garibaldi zapewne dałby sobie z nimi radę. We mnie oni ufności nie wzbudzali, raz dla niesforności, temperamentowi włoskiemu właściwej,

---

[1] Drugim, w Turynie, był Józef Ordęga, o przekonaniach liberalnych.

[2] Rząd Narodowy przeciwny był, ze względu na Austrję, legjonom włoskim i węgierskim; dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego w Galicji w r. 1864 zawarto umowę z Garibaldim i jen. Klapką.

powtóre dlatego, że niesforność ta, nieoszlifowana służbą w szeregach wojska regularnego, dałaby się mocno we znaki na polach bitew szczególnie. Temperament zapalny z łatwością ulega przestrachowi panicznemu, byle czem wywołanemu. Dlatego, niebardzo mi o Włochów chodziło.

Mniej jeszcze, aniżeli o nich, chodziło mi o Moskali, którzy się na miejscu, w Tulczy i w okolicy znajdowali. Byli to tak zwani nekrasowcy, starowiercy, w Turcji osiedleni i obowiązani względem niej do służby wojennej w czasie wojny. Raił mi ich mocno Kucz, brat redaktora owoczesnego *Kurjera Warszawskiego*, człek dowcipny i złośliwy. Kiedy służył w kozakach Sadyka-paszy, napisał dla znajdujących się w znacznej liczbie w szeregach Żydów regulamin, w którym komendy pozmieniał: „baczność“ na „hörste!“, „do prawego równaj się!“ na „do prawego fastryguj się!“, „do ataku broń!“ na „pikes na gwałt!“ i t. p. W Tulczy toaleta jego znajdowała się w stanie takim prawie, jak Jackowskiego. Odzież jego, luboć nie tak jak tamtego pierwotna, dużo pod względem czystości pozostawiała do życzenia; oblicze zdradzało wlewanie w gardło trunków alkoholicznych. Nagabywał on mnie o nekrasowców, przyprowadził do mnie ich setnika, Griszę Raznocwietowa, i ręczył za nich jako za dzielnych żołnierzy. W dzielność ich nie wierzyłem, miałem bowiem o nich relacje w czasie wojny wschodniej, wiedziałem oraz, że zalecają się jako pijacy, złodzieje i rabusie. Ponieważ jednak z naleganiem Kucza łączyły się namowy kilku innych, kazałem pokazać sobie wyborowych nekrasowców. Chciałem się z nimi rozmówić o warunki. Gadać jednak nie było z kim. W dziesiątku, co się mi przedstawił, ani jeden się na nogach utrzymać nie mógł. Więcej się już z nimi nie wdawałem.

O Węgrach ochotnikach wieści krążyły i powtarzały się tak uporczywie, że dla powzięcia o nich opytu jeździł raz Czajkowski, drugi raz Woronicz, trzeci raz Zima. Przyjeżdżał oraz pułkownik Friguessy. Liczbę ich podawano na kilkaset głów, nigdy jednak dokładnie. Życzyłem ich sobie bardzo; niestety, nie spełniły się życzenia moje.

Oprócz do Konstantynopola, z Tulczy wyjeżdżałem jeszcze dwa razy: raz wzdłuż Dunaju, ku Isakczi, celem rozpoznania miejscowości na przeprawę przez Dunaj, drugi raz do Kiu-

stendżi dla rozmówienia się z pułkownikiem B. [1], pełnomocnikiem Garibaldiego. Wzdłuż Dunaju jeździłem z Witwickim, który, jako stały Tulczy mieszkaniec i myśliwy, znał okolice. Rekonesans ten doprowadził mnie do postanowienia przeprawienia się łodziami z Isakczi do Kartalu, w miejscu zwykłej przeprawy wojsk rosyjskich. Postanowienie to następnie, jak wiadomo, zmieniło się. Obok rekonesansu chodziło mi jeszcze o wypróbowanie wierzchowca, młodego, bardzo ładnego, na gniadem tle zlekka, niby gazą, dereszowacizną przysypanego ogierka, nabytego u majora tureckiego. Posiadał on zalety wszystkie, tylkom w wytrwałość jego wątpił. Sprzedałem go jednemu z młodych ochotników do jazdy i nabyłem u jakiegoś szynkarza tulczańskiego gniadego mierzyna, nie nader pokaźnego, ale pewnego. Nadał mi się on doskonale.

W Kiustendżi w r. 1854 budowałem magazyny na zboże, przeznaczone dla wojsk francuskich, przebywających naonczas w Krymie. Leżała wówczas w ruinach. Znalazłem ją od- i przebudowaną, podnoszącą się dzięki drodze żelaznej, łączącej ją z Czarnowodą, po turecku Karasu, leżącą nad Dunajem. Przeszedłem się po mieście. Tu i ówdzie znalazłem ślady zniszczenia sprzed lat dziewięciu. Maskowały je nowe domy, parę hotelów, sklepy, dworzec kolejowy i cała jedna połać, zajęta pod warsztaty drogi żelaznej. Wszystko to nowe, wiele budowli niepokończonych; europeizm się rozsiadał i przygniatał sobą budownictwo tureckie, charakteryzujące się tem, że nosi na sobie cechy tymczasowości. Cechy te widnieją nawet na gmachach murowanych, na pałacach, na najwspanialszych meczetach. Zawsze czuć się w nich daje szałas, mający być na inne przeniesiony miejsce, namiot, przeznaczony na zwijanie i rozwijanie. Architektura turecka świadczy, że wyznawcy proroka, gdy świat podbijali, utrzymania zdobytych krajów na zawsze pewnymi nie byli. Studnie jeno i do pewnego stopnia i czasu warownie budowali fundamentalnie.

Z pułkownikiem B. rozmówiłem się dokładnie. Zapewniał on, że Garibaldi szczerze pragnął przysłać nam oddział ku po-

---

[1] Tak nazwisko jego zanotowałem we *W Galicji i na Wschodzie*. Jak zaś się nazywał, zapomniałem. (Nota T. T. Jeża). Borzysławskim, wysłanym przez włoskie stronnictwo ruchu na Wschód.

mocy, lecz trudności przewozu stanęły uskutecznieniu pragnienia jego wpoprzek. Bez oddziału i Menotti przybyć nie może. To ostatnie mi zawadzało, przy przejściu bowiem przez Rumunję ogromnieby nam je ułatwił urok przywiązany do nazwiska bohatera wieku. Wielkiem jest podobieństwo do prawdy, że gdyby się w szeregach naszych syn Garibaldiego znajdował, Rumuniby nas nie zaczepiali w obawie pozbawienia go życia. Na polu bitwy kule nie omijają ludzi z nazwiskami.

W powrocie do Tulczy zwiedziłem Kara-Osman, niezamieszkałe nad morzem ustronne uroczysko, o wybrzeżu piaszczystem, przystępnem dla łodzi wielkich i dla statków małych. Znanem było ono kontrabandzistom. Wybraliśmy je na wylądowanie broni, którejby się nie dało przewieźć okrętem do Tulczy przez Sulinę, gdzieby celnicy paki rewidowali. Musieliśmy je, po wylądowaniu, przewozić na wozach mil dziesięć, jeżeli nie więcej. Daje to miarę warunków, w jakich z Rosją toczyliśmy wojnę, kiedy nawet sprzyjające sprawie naszej państwo takie nam stawiało trudności. Pozostawaliśmy pod dozorem, na łasce, która się lada moment na niełaskę zmienić mogła.

Pod miastem w dwóch obozach stały wojska tureckie, pozostające pod dowództwem Reszida-paszy, gubernatora, człowieka gładkiego i zręcznego. Złożyłem mu wizytę, przyjął mnie bardzo uprzejmie i uprzejmość stale okazywał, pomocy użyczając o tyle, że oczy zamykał na przybywające partje ochotników i ostrzegał o szpiegach za pośrednictwem Cholewińskiego, urzędnika w biurze telegraficznem.

Od szpiegów się roiło, ale była to wogóle hołota, kręcąca się po karczmach śród ochotników, którzy im żadnej udzielić nie mogli wiadomości, sami o niczem nie wiedząc. Wiedzieli tylko, że do Polski pójdą. Był to *secret de polichinelle*. Chodziło o to, kiedy i którędy pójdziemy. O tem się tylko ode mnie albo od Zimy można było dowiedzieć, tego dokonać nie mogli szpiedzy zwyczajni, ale tacy, coby do nas trafili i zaufanie nasze pozyskać potrafili. Majstrów takich jawiło się dwóch: doktór medycyny, człowiek młody, wykształcony, towarzyski, elegancki, mówiący kilkoma językami i składający się dokumentami, świadczącemi, że pozostawał w stosunkach ścisłych z kurją rzymską — zdaje się Niemiec; drugi — Grek, człek poważny, miny apostolskiej. Obydwa, dla otwarcia sobie do nas przy-

stępu, jednym posłużyli się pretekstem: dostawą broni. Doktór powiadał, że na Malcie ma kilka tysięcy karabinów, zamówionych dla brygantów przez Stolicę Apostolską, która zobowiązań nie dotrzymała, i broń jest do wzięcia. Broń doskonała, gwintowana, na pokaz przywiózł sztuk parę do Gałacu. Ofiarował ją tanio, od ceny bowiem potrącał zadatek, otrzymany od kurji rzymskiej. Oferta była tentującą, tem bardziej że doktór podejmował się dostawić broń do Tulczy. To właśnie w nas podejrzenie obudziło. Ja się z nim nie wdawałem; pozostawiłem tę rzecz Zimie, który w Gałacu, dokąd pojechał dla oglądania próbnych sztuk, kazał go śledzić i wyśledził, że po karabiny na pokaz chodził na wojenny statek rosyjski. Dowiedziawszy się o tem, powziął Zima zamiar ująć doktora i powiesić. Czynił w tym celu zabiegi, ale doktór zwąchał snadź pismo nosem i złapać się nie dał. Miał z Gałacu do Tulczy przyjechać — nie przyjechał, skamforował się.

Z Grekiem poszło nam lepiej; nie powiesiliśmy go wprawdzie, aleśmy za jego pomocą Moskali w pole wyprowadzili. Prawda, żeśmy o nim, jak skoro do Tulczy przybył, zostali uprzedzeni przez konsula angielskiego. Był to angielski poddany z wysp Jońskich, znany przedstawicielom Anglji na Wschodzie. Zdaniem konsula był to człowiek bardzo zręczny i bardzo niebezpieczny. Zgłosił się on do mnie ze skargą na Władysława Jordana, który z nim jakoby nie chciał pertraktować o dostawę broni dla powstańców polskich. Takie wprowadzenie sprawy świadczyło, że obcemi mu nie były stosunki, jakie w emigracji polskiej panowały.

— Możeś pan — rzekłem — podawał warunki do przyjęcia trudne?

— Podawałem zwykłe, transportowe warunki przy dostawach drogą kontrabandy — odrzekł.

— Może pan Jordan uważał je za niedające pewności?

— Pewność wszelka jest względna... Ta, którą ja daję, jest wielka, prawie zupełna, prowadzę bowiem handel nadbrzeżny *(cabotage)*, rozporządzam liczną flotyllą łodzi, obsługujących nietylko brzegi Czarnego morza, ale i wpadające do niego rzeki: Dunaj, Dniestr, Dniepr...

— Dniestr?... — bąknąłem tonem niedowierzania.

— Tak — odrzekł. — Mamy składy w Akermanie i stam-

tąd docieramy wgłąb kraju: do Bałty, do Mohylowa, do Kamieńca, do Berdyczowa.

— I moglibyście tam wszędzie broń dostawić?

— Wszędzie.

— Moglibyście dla nas broń nabyć?

— Moglibyśmy.

— Dziwi mnie — zacząłem —, że pan Jordan z panem o tem mówić nie chciał.

— I mnie to zdziwiło — odrzekł. — I byłbym rzeczy tej zaniechał, gdybym szczerze, z całej duszy i z całego serca sprawie polskiej nie sprzyjał.

— Dobrze, żeś się pan do mnie zgłosił — odparłem.

— To niewszystko — podchwycił.

— No? — zapytałem.

— Łodzie moje nadać się mogą do przeprawy.

— A?...

— Do przeprawy takiej, której się żywa dusza nie domyśli...

— Takiej nam właśnie potrzeba.

— ...i dowiezie wojsko polskie na oznaczony mi przez pana zgóry punkt.

— To dobrze — rzekłem. — Propozycje pańskie są dla nas ponętne i ważne, tak te, co się tyczą dostawy broni, jakoteż te, które się do przeprawy oddziału naszego odnoszą. Co do pierwszych, zawiadomię o nich Rząd Narodowy; co do drugich, poradzić się muszę z szefem sztabu, namyślić się... Tak odrazu odpowiedzieć panu nie mogę.

Grek głowę z uznaniem pochylił i zapytał, kiedy ma po odpowiedź przyjść. Naznaczyłem termin nazajutrz.

Rozmowa powyższa miała miejsce w czasie, kiedyśmy się już do wymarszu wybierali. Broń, luboć nie taka, jakiej życzyliśmy sobie i spodziewali się, nadeszła; rusznikarz ją reperował; Brzozowski kule lał i ładunki robił; żołnierze się do drogi sposobili. Przeprawa była obmyślona, zapewniona i obezpieczona.

O naznaczonej godzinie Grek stawił się nazajutrz.

— Będziemy mówili o przeprawie tylko — zacząłem. — Ile pan masz łodzi?

— A ile pan masz ludzi, koni i wozów?

— Koni i wozów niewiele; ilości ludzi sam jeszcze dokładnie nie wiem... przybywają.

— Przypuśćmy: trzy tysiące.

— Tyle zapewne nie będzie.

— Mniejwięcej.

Wymienienie cyfry 3.000 poznać mi dało, że się ów jegomość informował w Konstantynopolu, gdzie Witold ks. Czartoryski, który się tam po wyjeździe moim pojawił, rozpowiadał, żem zgromadził trzy tysiące ludzi, żem się zaopatrzył w jazdę i artylerję.

— Taak — odrzekłem, wiedząc z kim mam do czynienia. — Więc łodzi starczy?

— Starczy na dwa razy tyle.

— To dobrze. Pan ich nie masz na Dunaju.

— Mam, ale małe, kilka zaledwie; resztę sprowadzić muszę.

— W jakim czasie?

— Za tydzień... za dni dziesięć — odpowiedział po namyśle.

— To dobrze. No... a teraz, pozostaje nam jeszcze umówić się o cenę przewozu.

Nie pamiętam cyfr, które umowy tej, niebranej na serjo ani przez Greka, ani przeze mnie, osnowę stanowiły. Targowaliśmy się — i targu dobili, poczem Grek zapytał:

— W którym punkcie oddział wysiądzie?

— O tem powiem panu, gdy się zaambarkuje.

— Słusznie — odparł —, pozwól mi pan jednak na uwagę jedną...

— Proszę — odparłem.

— Wskażę punkt, który, zdaniem mojem, odrazu was na drogę wprowadzi.

— Czy nie Odesa?

— Nie... o! nie... Coś pewniejszego i do zdobycia łatwiejszego, aniżeli Odesa.

— Naprzykład?

— Ak-Kerman.

— Hm?...

Udałem namyślanie się.

Zdaje się, komedję grałem wybornie. Grek czekał. Po namyśle odezwałem się:

— Gdyby nie niemożliwość dostania się tam niepostrzeżenie...

— Panie pułkowniku — Grek na to — wobec znajomości, jaką posiadam, jezior, jeziorek, trzęsawisk, zatok, przesmyków i zakrętów u ujść dunajskich i na wybrzeżach morskich, niemożliwość nie istnieje... Podwiozę was Limanem pod Ak-Kerman o dnia świtaniu. Zdobędziecie miasto, nadające się zarówno do rozpoczęcia kampanji w polu, jakoteż do obrony za murami, zabezpieczające przytem komunikację z zagranicą i odwrót w razie potrzeby.

— To prawda... — powiedziałem napół do siebie. — Tylko...

— Co?

— Wydaje mi się to rzeczą bardzo trudną.

— Nie będę utrzymywał, że to łatwe. Nasuwam myśl, podaję projekt i upierać się przy nim nie myślę. Ofiaruję usługi moje, wiedząc napewne o tem tylko, że działalność wasza, panowie, rozpocząć się musi od niełatwej przeprawy przez Dunaj, której otwarcie dokonać nie możecie. Podejmuję się oddział polski przewieźć i przeprowadzić, dokąd każecie.

Podczas kiedy on mówił, w głowie mojej zasnuł się pomysł.

— Do Ak-Kermanu więc doprowadzić nas pan możesz? — zapytałem.

— Mogę — z mocnym odpowiedział przyciskiem.

— Dobrze — rzekłem. — Pod warunkiem...

— Pod jakim?

— Że flotylla na nasze w Ak-Kermanie rozporządzenie pozostanie póty, póki jej odejść nie pozwolę.

— Ten warunek sam zaproponować chciałem.

— A więc dobrze. Sposób się pan do przewiezienia nas.

W chwili tej Grek transfigurował się. Oczy blasku szczególnego nabrały, oblicze jego zajaśniało, na kolana się osunął, palce nakrzyż złożył i całując ten krzyż improwizowany, przysięgał. Przysięgał na zbawienie Grecji służyć sprawie polskiej, jakby greckiej służył, a to dlatego, że jedna i druga jest sprawą wolności, że jedna i druga ma tego samego wroga: Rosję. Zapał mu z oczu bił.

Wytrzymałem atak ten zupełnie poprawnie, nie dałem bowiem po sobie poznać, że mu ani trochę nie wierzę. Udawał on, udawałem ja. Rozstaliśmy się jak dwaj najlepsi przyjaciele: jeden zaprzysiężony, drugi winszujący sobie, że się pozbył świadka w momencie, kiedy świadkowie tego rodzaju byli naj-

mniej potrzebni. Grek przyrzekł powrócić za tydzień, najdalej za dni dziesięć. W dniu rozstania się jego ze mną otrzymałem z Izmaiłowa telegram, zawiadamiający mnie, że telegrafował do gen. Kotzebue, wziął pocztę i na perekładnych do Odesy ruszył. Życzyłem mu szczęśliwej podróży. Wiózł on wodzowi sił rosyjskich wiadomość, wprowadzającą go w błąd. Wiadomość ta to sprowadziła następstwo, że gen. Kotzebue, zerekwirowawszy ile mógł podwód w Odesie, zabrawszy nawet dorożki, wywiózł wszystkie rozporządzalne wojsko i obstawił niem Ak-Kerman. Następstwo dalsze w ten wyraziło się sposób, że wojsko obrabowało znajdujące się w tej części Besarabji kolonje niemieckie, skąd powstały liczne procesy, które bezpośrednio generała dotknęły i niemałą mu przykrość sprawiły. Nie zapomniał mi tego, gdy, objąwszy funkcje generał-gubernatora warszawskiego, dowiedział się, że Miłkowski, co szpiega jego na swoją zużytkował korzyść, a T. T. Jeż, literat — jest to jedna i ta sama osobistość. Przez czas jego wielkorządztwa, jak również później przez czas panowania Hurki, żadnej mojej w Warszawie ulokować nie mogłem pracy.

Stało się to jednak później. Tymczasem, ponieważ wyczekiwana broń nadeszła w ilości i jakości, świadczących o trudnościach, z jakiemi zaopatrywanie się w nią przez nas połączonem było, świadczących oraz o sprzyjaniu, jakiem nas rząd turecki otaczał, sposobiliśmy się do wymarszu. Po broń posłać musieliśmy wozy, najęte u gospodarzy Polaków w Tulczy osiedlonych. Spodziewaliśmy się 120 karabinów, w Atenach nabytych, oraz 200 sztućców angielskich, ofiarowanych przez Łękawskiego [1], pełnomocnika Urqhardta, który się trudnił specjalnie podtrzymywaniem walki Czerkiesów przeciwko Rosji, zbierał dla nich w Anglji składki, zaopatrywał ich w broń, w amunicję, — składy miał w Konstantynopolu, w arsenale rządowym. Ze składów tych, za jego upoważnieniem Turcy wydać nam mieli sztuk 200, przytem działo jedno systemu Withworta. Zamiast tego wydano nam 40 sztucerów moskiewskich. Wydawanie broni dokonywało się w nocy, sposobem kradzionym, pospiesznie, tak

---

[1] Łękawski oddał Miłkowskiemu część broni, przygotowanej dla wyprawy polskiej na Kaukaz; zrobił to bez pozwolenia W. Jordana i bez wiedzy Urqhardta.

że odbierający ją (Przewłocki i Akord) nie mieli możności nietylko sztuk policzyć, ale do pak nawet zajrzeć. Wzięli, co im dano. W Tulczy dopiero pokazała się zamiana broni angielskiej na moskiewską. Pokazało się przytem, że broń wszystka jaknajstaranniejszej wymagała naprawy. Na szczęście nasze naprawa była możliwą dzięki obecności doskonałego rusznikarza w osobie Ratyńskiego. Ratyński wziął się do pracy gorliwie. Założyliśmy lejarnię kul i fabrykę ładunków pod dyrekcją Karola Brzozowskiego. Zarządziłem przegląd obuwia i odzieży, jakoteż lederwerków, które kazałem rozdać pomiędzy żołnierzy. Podoficerowie dostali rozkaz trzymać sekcje swoje w pogotowiu i gdy godzina wymarszu wybiła, wymaszerowaliśmy. Od sposobu, w jaki się to odbyło, rozpocznę rozdział następny, w tym zaś wspomnę jeszcze o kilku osobistościach, z któremi miałem do czynienia, a które na wspomnienie zasługują.

Gdym w maju w Tulczy na ląd wysiadł, pierwszym, z którym się spotkałem, był wysłany przeze mnie w lutym jeszcze z Michalen Józef Czajkowski. Zapytałem go niezwłocznie o obecnych tam Polaków. Wymienił mi kilku, między innymi Liczbińskiego, Witwickiego, Cholewińskiego, Żukowskiego i Woronicza.

— O? — odezwałem się, usłyszawszy nazwisko tego ostatniego.

Ów Woronicz, (Janusz mu na imię), powstaniec z r. 1831, stronnik hotelu Lambert, znanym był w emigracji jako „twórca króla *de facto*“ spowodu wydanej przezeń p. t. *Król de facto* broszury [1], w której domagał się, ażeby emigracja ks. Adama Czartoryskiego królem zamianowała. Wydawało się mu, że nominacja ta ułatwi odzyskanie Polski, że pomoc zewnętrzna prędzej się znajdzie dla króla, aniżeli dla kraju. Opinję tę podzielało wielu w stronnictwie hotelu Lambert, odpowiedni nawet wybito medal i propagowano myśl tę usilnie. Woronicz, jeden z najgłośniejszych propagatorów, był w innych stronnictwach przedmiotem docinków i szyderstw.

Gdy się Woronicz w r. 1854 do kozaków przez Sadyka formowanych zgłosił, Sadyk głośno się nim chwalił, jako po-

---

[1] Tytuł broszury tej, drukowanej w r. 1839, był *Rzecz o monarchji i dynastji w Polsce.*

tomkiem Worony z w. XV, sokołem z kozaczego gniazda, z krwi i kości Kozakiem. Zdaje się, że go przedtem nie znał osobiście, gdyby znał był bowiem, nie byłby go z takim naciskiem za kozacze sokole podawał. Janusz Woronicz mógł być Matwija Worony potomkiem, ale wyglądem i postawą nie przynosił zaszczytu kozactwu, pojmowanemu tak, jak je przedstawiają dumy i podania, jak je w utworach swoich powieściowych malował Michał Czajkowski. Średniego wzrostu, sucherlawy, na twarzy czerwony, zaopatrzony w nos długi i w rysy oblicza wszelakiego pozbawione wdzięku, trzymający się trochę pochyło i mówiący głosem skrzeczącym, wydawał raczej człowieczynę pokornego, aniżeli oczajduszę, nadającego się na pokaz. A w tym właśnie sensie Sadyk-pasza zużytkował go odrazu, jak skoro się na Wschodzie pokazał. Otrzymawszy firman na organizowanie pułku kozaków z ochotników, potrzebował ochotników, których znaleźć można było na Dobrudży, zapełnionej naonczas zbiegami z Rusi od pańszczyzny i z szeregów moskiewskich. Był to materjał do wzięcia, należało jednak umieć go wziąść: wysłać na Dobrudżę człowieka, zdolnego rozbudzić śród Rusinów wspomnienia kozaczyzny postawą i mową. Sadyk-pasza posłał Woronicza pod nazwiskiem Worony. Worona w ruskiej mowie znaczy: „wrona“ — noszący to nazwisko przedstawił się zbiegom z Ukrainy i Podola, gotowym dać się do szeregów kozaczych zwerbować, w postaci wrony zmokłej. Misja przeto jego na Dobrudży w r. 1853 skończyła się na niczem. Nie zwerbował ochotnika ani jednego; powrócił, wisiał przy pułku, przeszedł następnie do służby angielskiej, do szeregów, organizowanych przez hr. Władysława Zamoyskiego pod nazwą Dywizji Polskiej, i po skończeniu wojny znalazł się w Tulczy w charakterze kanclerza przy wicekonsulu francuskim, p. Deluvier.

Obecność na gruncie, na którym zamierzałem organizować oddział, twórcy „króla *de facto*“ nie wydawała mi się pożądaną. Przewidywałem ze strony stronnictwa tego króla trudności i przeszkody, które w rzeczy samej nastąpiły; przewidywałem oraz, że Woronicz czynny i gorliwy weźmie w stawianiu mi ich udział, tem bardziej żem go w *Udziale Polaków w wojnie wschodniej* dotknął osobiście i złośliwie, wspominając o jego niepowodzeniu werbowniczem, spowodowanem ujemnemi jego osoby właściwościami. Przewidywania moje nie sprawdziły się.

Śród tych, co mi pomagali w Tulczy, Woronicz był jednym z najgorliwszych. Najzupełniej bezinteresownie oddawał mi usługi, jakich tylko od niego zażądałem. I nigdy ani wspomniał o urazie, ani najmniejszej do niej aluzji nie czynił. Zadziwiała i budowała mnie ta jego zacność. Wiązała się do człowieka tego śmieszność jedna: szarmanterja wobec płci pięknej, połączona z przekonaniem, że żadna niewiasta oprzeć się mu nie jest w stanie. Narażało to biedaka niekiedy na zabawne nieprzyjemności, ale nie zrażając się, uprawiał rzemiosło zdobywcy serc z gustem i przekonaniem.

Przy wicekonsulacie francuskim Woronicz pełnił funkcję kanclerza, t. j. sekretarza. Wicekonsul, p. Deluvier, mieszkał z żoną, prześliczną kobietą. Wicekonsulów w Tulczy przebywało kilku, żaden z nich, zdaje się, nie był żonatym z wyjątkiem pana Deluvier, zaznaczającego się tem mianowicie, że szczerze sprawie polskiej sprzyjał i niósł nam pomoc nietylko, o ile na to pozwalało urzędowe jego stanowisko, ale i poza tem. Urzędowie osłaniał ochotników naszych opieką francuską, do udzielania której upoważniały go kapitulacje; pozatem, nad organizowaniem się naszem czuwał, jakby o francuską chodziło sprawę: zawiadamiał nas, ostrzegał, udzielał mi regularnie dzienników; w domu jego spędziłem kilka miłych wieczorów w towarzystwie jego żony, równie jak on sprawę polską gorąco do serca biorącej i oburzającej się na Napoleona III za to, że nie porusza wszelkich sprężyn i Polsce z pomocą nie śpieszy. Oburzyło ją szczególnie nazwanie przez dzienniki „kradzieżą“ pamiętnego zabrania z banku kilku miljonów na rzecz powstania.

— To niegodziwe! to niegodziwe! — powtarzała, mówiąc o doszłej świeżo o fakcie tym wiadomości. — Wszak toczycie wojnę, usprawiedliwiającą podobne rzeczy! Powinniście dzienniki pozwać o oszczerstwo!

Z trudnością dała sobie wytłumaczyć, że, nieuznawani za stronę wojującą, nie możemy się w tego rodzaju procesy bawić.

— Nasza wojna nazywa się „buntem“, nasze wojska — „bandami“, nasi wodzowie — „hersztami“; w oczach praw międzynarodowych uchodzimy za „złoczyńców“, których rząd, uznany za prawowity, ma prawo karać śmiercią taką, jaka się mu podoba...

— Ależ za wami przemawia sprawiedliwość!

— Za nami przemawia sprawiedliwość, przeciwko nam prawo, które sprawiedliwość na rzecz przemocy skrępowało i obezwładniło... O to właśnie walczymy, ażeby prawo i sprawiedliwość do równowagi doprowadzić. Gdybyśmy z walki wyszli zwycięsko, skorzystałaby na tem nie sama tylko Polska, ale ludzkość cała.

— Tak! tak! — zawołała. — Toteż sprawa wasza jest świętą! świętą! stokrotnie, miljonkrotnie świętą! Któż Polskę skradł i okrada... i okrada?

Ledwie nieledwie uspokoiła się kobieta.

Szarpie dla nas i bandaże przysposabiała.

P. Deluvier zachowywał się względem nas poprawnie i dyskretnie, nie pytając nigdy o żadne, tyczące się wyprawy, tajemnice, — nie tak jak spółziomek jego, kapitan parowca wojennego, należącego do eskadry francuskiej, wchodzącej do składu t. zw. flotylli dunajskiej, utrzymywanej przez wszystkie mocarstwa europejskie, posiadające floty wojenne. Z flotylli tej każde z mocarstw, z wyjątkiem Rosji i Anglji, przysłało do Tulczy na wieść o gromadzeniu się w niej Polaków parowiec jeden. W porcie tulczańskim stało parowców kilka, pomiędzy niemi francuski. Kapitan tego ostatniego, jak skoro przybył, natychmiast wizytę mi złożył i następnie odwiedzał mnie codziennie i zamęczał zapytaniami, na które odpowiedzieć nie mogłem. Obchodziła go szczególnie przeprawa nasza. Niecierpliwiło mnie to, tem bardziej że interesowanie się kapitana przeprawą pochodziło z prostej ciekawości, pokrewnej tej, dla zaspokojenia której Pasakas przede mną klękał. Francuzowi ten krok pierwszy, jaki oddział nasz miał postawić, przedstawiał się w postaci zagadki, której sam rozwiązać nie umiał. Nękał więc mnie; prawidła grzeczności nie pozwalały mi za drzwi go wyrzucić.

Równie ciekawym okazał się Zwiezdowski, znany w powstaniu pod nazwiskiem Topora, b. profesor Akademji Wojennej w Petersburgu, naczelnik powstania na Białorusi. Po upadku wybuchu białoruskiego udało się mu umknąć do Odesy i z Odesy dostać się do Tulczy. Do Tulczy zajechał przejazdem tylko, chciał się bowiem dostać do Królestwa, dokąd dostał się następnie i ranny, przez Moskali ujęty, zginął na szubienicy w Krakowskiem, pod dowództwem Bosaka. Znałem go osobiście r. 1859 w Paryżu i ceniłem jako wojskowego uczonego,

ale raziła mnie w nim gadatliwość niepomierna. Nie wiedziałem jednak, że z właściwością tą łączy się ciekawość. Rad byłem jego przybyciu; rad byłem temu, że rozpytywał mnie o szczegóły organizacji, uzbrojenia, umundurowania i t. p. Na tem jednak nie poprzestał. Jął się zadawać mi pytania corazto drażliwsze: co do kierunku przemarszu przez Mołdawję naprzykład. Odpowiadałem ogólnikami.

— No... ale — zaczął — masz djablo trudne przed sobą zadanie: przeprawę przez Dunaj.

— A tak — odrzekłem.

— Czy je rozwiążesz?

— Spróbuję.

— Bo to widzisz... Dunaj.

— Wiem, co to Dunaj.

— Jakże przerzucisz kilkuset ludzi uzbrojonych, pociągi, konie?

— To rzecz już obmyślona.

— Jak?

Dopytywał mnie tak nalegająco, żem mu wkońcu powiedzieć musiał:

— Słuchaj, gdybym cię nie znał, to, wiedząc żeś wojskowy i wiedzieć powinieneś o znaczeniu tajemnicy w operacjach wojennych, wziąłbym ciekawość twoją za ciekawość w zamiarach podejrzanych.

— Wziąłbyś mnie za szpiega?

— Prawie — odrzekłem.

Nie obraził się, zrozumiał bowiem, że nie było o co.

Przeprawa nasza stanowiła przedmiot ciekawości, rzec bez przesady można, europejskiej ze względu na oczekujące na nią przedstawicielstwa mocarstw, przypuszczających, że ją nam Turcja ułatwi. W razie gdyby się to przypuszczenie sprawdziło, wywiązałaby się stąd kwestja dyplomatyczna na gruncie kwestji wschodniej. Cośby z niej na naszą może nawet korzyść wyniknąć musiało, ale nie byliśmy w możności zmusić Turcji do udzielenia nam czynnej pomocy. Musieliśmy się zadowalniać tolerancją z jej strony i przeprawę obmyślać sobie sami.

Budziła ona interes ogólny, w jednej atoli Anglji tylko istotnie życzliwy, bo posunięty aż do pomocy czynnej. Do-

kładną z tego sprawę zdałem w sprawozdaniu mojem [1]. Z ofiarowanej nam pomocy korzystać nie potrzebowaliśmy, ale w ciągu organizacji naszej korzystałem nieraz z zawiadomień, udzielanych mi przez wicekonsula angielskiego, który z początku trzymał się od nas zdaleka, następnie zbliżył się i często mnie odwiedzał.

Odwiedzał mnie niekiedy — nie często — jeszcze jeden z wicekonsulów, o którym nieco obszerniej wspomnieć winienem.

Kiedy mnie w r. 1853 losy wrzuciły do Tulczy, gdym się w mieście obył i oznajmił trochę, o uszy często obijało się mi nazwisko: Jesse[2]. Stary Jesse był wicekonsulem któregoś z mocarstw i bodaj czy się handlem nie trudnił. Nazwisko jego o słuch mi się obijało nie z jego, ale z jego syna powodu, który liczył wówczas około 25 lat wieku.

Był to chłopak smukły, przystojny, używający opinji oczajduszy, mimo że łagodny wyraz jego oblicza, ubranego w zarost płowy, nie zdradzał popędów drapieżnych, przywiązanych do znaczenia wyrazu: korsarz. A korsarstwem się bawił. Zabawki tej, dokonywanej na Dunaju naczele dobranej drużyny, nie brano mu za złe bynajmniej. Ten fach, zakazany urzędowie, w opinji publicznej nie uchodził w Turcji za ubliżający oddającym się mu osobnikom. Nawet urzędowie cieszył się on tolerancją, usprawiedliwiającą się tem, że niektóre z mocarstw osłaniały opieką swoją czynności, noszące nazwę występków, nawet zbrodni. Zaznaczyłem w jednym z poprzednich rozdziałów pamiętników moich agentów konsularnych austrjackich: jednego, co przewodniczył rozbójnikom, drugiego, który prowadził handel dziewczętami; zaznaczyłem oraz, że domy rozpusty na Wschodzie znajdowały się pod specjalną monarchji austrjackiej opieką. Korsarstwo przeto nie ubliżało zgoła młodemu Jessemu. Praktykował on je zręcznie, śmiało, znikając od czasu do czasu na dni kilka z Tulczy, powracając następnie i wywołując domysły i przypuszczenia nadziane heroizmem. Opowiadano o walkach i o czynach jego zadziwiających. Że być w opowiadaniach tych musiało przesady trochę, to pewne; niemniej przeto istota rzeczy nie mijała się z prawdą, i patrząc

---

[1] *W Galicji i na Wschodzie*, str. 103. (Nota T. T. Jeża).

[2] Czytaj Dżesse. (Nota T. T. Jeża).

na tego młodzieńca (widziałem go razy parę), myślałem o dzbanie, noszącym wodę póty, póki mu się ucho nie urwie.

Od czasu onego minęło lat dziesięć. Gdym przybył do Tulczy celem organizowania oddziału orężnego, obiło mi się o uszy nazwisko: Jesse.

— Stary więc jest zawsze konsulem — rzekłem.

— Nie stary, ale młody — odpowiedziano mi.

— Co za młody?

— A tenże... ten.

— Jakim konsulem?

— Włoskim.

Ponieważ znałem grunt wschodni, niebardzo mnie to zdziwiło. Nie liczyłem jednak na niego, mimo że przebywający w Tulczy Polacy, informując mnie o tulczańskich sprawach i ludziach, mówili mi o nim jako o człowieku, gorąco sprawie naszej sprzyjającym. Przyjąłem to do wiadomości, nie wysnuwając stąd żadnych możliwych następstw.

Następstwo przyszło samo.

Razu pewnego Zima oznajmił mi, że Jesse ma z nami w rzeczy przeprawy przez Dunaj do pomówienia.

Zastanowiło mnie to odrazu. Któż, jeżeli nie ekskorsarz mógł lepsze w tej materji skazówki dać? Przyjąłem *rendez-vous*, Jesse stawił się w godzinie oznaczonej i nie dłużej aniżeli w godzinę rzecz cała omówioną i ułożoną została. Układało się nas trzech: Zima, Jesse i ja; tajemnica, od której zależało powodzenie, tajemnicą być przestała nie rychlej aż w chwili ostatniej, kiedy oddział, z Tulczy wyprowadzony i w oczeretach uśpiony, ze snu zbudziłem i do wsiadania na okręt wezwałem.

Przeprawa ta była istotnym majstersztykiem, luboć powiodła się połowicznie tylko, wylądowaliśmy bowiem na lewym brzegu Dunaju nie w tym punkcie, w którym wylądować zamierzałem. Gdzieśmy powinni byli o południu stanąć, tam dostaliśmy się wieczorem dopiero. Zawinił w tem Jesse, kompetentniejszy niż Zima do ocenienia siły statku. Upatrzony przezeń parowiec przez Dunaj nas przewiózł, lecz nie był w stanie płynąć pod wodę aż do Kartalu z ładunkiem dwiestu zgórą ludzi i kilkunastu koni. Począł się zanadto pogłębiać, zagroziło nam zatonięcie, musieliśmy corychlej do brzegu przybijać.

Przeprawa, przez Jessego nam zaproponowana, polegała

na zdobyciu statku przewozowego. Propozycję tę z własnego wydobył doświadczenia, z zastosowaniem do zadania naszego. Wykonanie w następujący odbyło się sposób. Wybrałem dziesięciu pewnych żołnierzy i jednego podoficera, kazałem im do torb pochować oznaki wojskowe i wręczywszy każdemu z nich po rewolwerze nabitym, taką do nich wystosowałem przemowę:

— Pojedziecie do Suliny na zarobki, których będziecie szukali póty, póki nie przyjedzie major Zima. Major wskaże wam, co robić macie. Czekając na niego, niech mi się żaden nie wygada, skąd przybywa, i niech się żaden, broń Boże, nie upije.

Z tem zaleceniem dziesięciu młodych i silnych chłopaków, pod dowództwem o niczem niewiedzącego Kaczanowskiego (sierżanta), odpłynęło do Suliny. Statkiem następnym udał się tam Zima. Zima żołnierzom, którzy roboty szukali nato, ażeby jej nie znaleźć, wskazał odchodzący z Suliny do Gałacu statek parowy i kazał się im na statek ów zaambarkować. Był to właśnie upatrzony przez Jessego okręt przewozowy, holownik o szerokim pokładzie. Zima wsiadł razem z żołnierzami. Na pokładzie znalazł się i Jesse, udający, że Zimy nie zna, i na żołnierzy polskich najmniejszej niezwracający uwagi. We wigilję wyruszenia z Suliny Zima przesłał mi dokładny opis zewnętrznego wyglądu statku, oraz zawiadomił mnie o sygnałach, jakie mu z brzegu dać miałem na znak zaatakowania załogi, co nastąpić powinno było mniejwięcej na połowie odległości pomiędzy Tulczą a Isakczą w punkcie, w którym przybicie do brzegu i ambarkowanie oddziału okazałoby się najdogodniejszem.

Cały ten plan, wykonany literalnie, był pomysłem Jessego. Myśmy go dokładnie wykonali. Zima z żołnierzami, zapomocą przyłożenia do piersi majtkom, kapitanowi i Jessemu rewolwerów, statek zdobył, — przeprawiliśmy się; następnie Jesse i kapitan zanieśli przeciwko nam skargę o gwałt, dokonany w biały dzień na rzece, na której swobodę nawigacji osłania kolektywna mocarstw gwarancja. Skarga ta, którejby opłacony przez nas sowicie kapitan podawać nie myślał, świadczy o intencjach, jakie ten ekskorsarz dla sprawy polskiej żywił. Widział on ją duszącą się w granicach zaboru moskiewskiego; czuł i rozumiał, że potrzeba dla niej, ze względu na jej międzynarodowe znaczenie, przestworza szerszego, europejskiego. Podał skargę w przypuszczeniu, że ona poruszy gabinety, że wywoła wymianę

not, poszukiwania odpowiedzialności, żywsze i energiczniejsze aniżeli dotychczas zainteresowanie się opinji publicznej w środowiskach, w których opinja publiczna zajmuje wskazicielskie, niekiedy kierownicze stanowisko. Miał ów ekskorsarz pojęcia polityczne szersze i głębsze, aniżeli niejeden mąż stanu. Pragnął oddawać nam przysługi wszelakie możliwe; oddał tylko jedną: umożliwił przeprawę, która bez niego z wielkąby nam była przyszła trudnością. Podarował nam przytem kilka sztuk siecznej i palnej broni, w liczbie tych jedną gwintowaną, tak dalekonośną, że kilka z niej strzałów zaniosły w bitwie pod Kostangalją kule do umieszczonych za rezerwami podwód, co wojska rumuńskie woziły, i spowodowały ucieczkę wozów.

Z uczuciem wdzięczności dla Jessego kreśliłem wspomnienia o nim. Nie wiem jednak, do jakiej on należał narodowości. Pełnił funkcję konsula włoskiego; ani nazwiskiem atoli, ani zewnętrznością swoją Włocha nie wydawał. Skłonny jestem przypuszczać, że należał on z pochodzenia do narodowości angielskiej.

ROZDZIAŁ XVIII

KOSTANGALJA

Wspomnienia z Tulczy dużo w mojej pamięci i w sercu zajmują miejsca. Śród nich przodują miłe, tyczące się spółpracowników, co wraz ze mną rękę do dzieła przykładali. W rozmiarach, jakie, stosunkowo do środków pieniężnych, wyprawa przybrać musiała, zrobili oni wszystko, co zrobić było można. Oni — było ich niewielu — dwóch mianowicie: Franciszek Sokulski i Franciszek Zima. O Sokulskim pisałem poprzednio. Należał on do rodzaju tych ludzi, co głośnymi być nie umieją i których bardzo blisko poznać potrzeba, ażeby wartość ich ocenić. Nie orzeł — do górnych niezdolny wzlotów, kroczył po poziomie drogą obowiązku, jaki nań włożyła ojczyzna, pełniąc go tem gorliwiej, że się obarczył nim — dobrowolnie. O sobie, o przyszłości własnej, którą z łatwością obezpieczyć mógł, nie myślał. Gdy w dobrym był bycie, z potrzebującymi Polakami się dzielił, młodzież przy sobie tulił; gdy przyszła nań starość, pozostał bez chleba kawałka [1]. Zdarzało się mi z zacnymi i cnotliwymi ludźmi mieć do czynienia — zacniejszego i cnotliwszego nad Sokulskiego nie spotkałem. W czasie organizacji wyprawy mojej miałem w nim w Konstantynopolu pomocnika, na którego z całą, nieograniczoną spuścić się mogłem ufnością.

Drugiego podobnego pomocnika miałem w Zimie, koledze moim z wojny węgierskiej. Był on rodem z Galicji, bodaj czy nie ze Lwowa, gdzie w r. 1848 na żołnierza się pasował w szeregach gwardji narodowej, w legji akademickiej, jako słuchacz świeżo natenczas założonej politechniki. Zdaje się, że rodzina

---

[1] Znalazł przytułek w domu pp. Jaroszyńskich w Błudnikach pod Kołomyją i tam zmarł w kwietniu r. 1896 w 85 r. ż. (Nota T. T. Jeża).

jego, jak rodziny Smolki, Matejki i in., czeskiego jest pochodzenia. W Polsce zrodzony i wychowany, Polakiem się czuł do głębi, w legjonie polskim na Węgrzech kampanje: jesienną, zimową, wiosenną i letnią odbył zaszczytnie i w awansach zawsze o jeden wyprzedzał mnie stopień; dymisję otrzymał w stopniu kapitana, ja — porucznika. Wojnę całą od początku do końca odbyliśmy razem, w oddzielnych pod koniec, w kampanji letniej, bataljonach. Po wojnie, jakeśmy się z pułk. Czernikiem, z Jastrzębskim i Dobrzyńskim w jedno złączyli towarzystwo, takeśmy się nie rozstali aż w kwietniu r. 1850 w Szumli: ja udałem się do Anglji, Zima pozostał jeszcze, do roku następnego, w Turcji. Następnie schodziliśmy się w Anglji i we Francji, pókim jako emisarjusz do kraju wysłany nie został. Byliśmy ze sobą dobrze, bardzo dobrze, łączył nas stosunek więcej niż koleżeński — braterski. W Zimie cenilem wysoko prawość, zdrowy o rzeczach i ludziach sąd i zamiłowanie rzemiosła wojennego, które praktycznie i teoretycznie studjował. Wogóle wzbudzał on ku osobie swojej szacunek ze strony przełożonych, kolegów i podwładnych. Zajmowanie w Manchester posady bardzo korzystnej i przyszłość zapewniającej w jednej z najznaczniejszych przędzalni nie przeszkodziło mu na wieść o powstaniu w Polsce posadę opuścić, żony i dziecka odjechać i na teatr wojny pośpieszyć.

Przybycie jego wielce mi się pod dwoma nadało względami: uzyskałem w nim spółpracownika, na którego się z całą spuścić mogłem ufnością, i obok tego obecność jego osłoniła mnie od niechęci, jaką dla mnie żywili wszyscy prawie oficerowie za *Udział Polaków w wojnie wschodniej*. Niektórzy dotkniętymi się czuli osobiście; niektórym się wydawało, że nie mnie, lecz im dowództwo się dostać powinno było. Uznawanie mnie przez Zimę, uznawanego i szanowanego przez wszystkich, a niedźwigającego na sobie odpowiedzialności za książkę wielu niemiłą, stanowiło rodzaj wędzidła, gryzionego pocichu. Domyślałem się tego, lecz poznać po sobie nie dawałem. Traktowałem wszystkich jednakowo — grzecznie, uprzejmie, wymagając od tych, co służbę pełnili, ścisłego wykonywania rozkazów, pozostawiając tym, dla których w szeregach miejsca nie było, swobodę zupełną. Śród tych ostatnich — w kompanji złożonej z nadliczbowych oficerów — niezadowolnienie kipiało. Przewi-

dywałem je w Galicji jeszcze i dlatego takem się od przewodniczenia oddziałowi wschodniemu wypraszał. Nie wiedziałem jednak i wiedzieć nie chciałem, czy i co się knuje. Miałem wskazówek parę. Raz zjawił się w Tulczy Bednarczyk, któremu dałem był rozkaz przysposabiania na Mołdawji amunicji. Że jednak zajmowali się tem Długoborski, Skalski i Tyszkiewicz, rozkaz mój przeto miał znaczenie bardzo wyraźne, przywiązujące Bednarczyka do gruntu mołdawskiego. Wyznaczyłem mu zakres działalności specjalnej, uwalniającej mnie od niego. Cóż przybycie jego do Tulczy znaczyć miało? Nie pytałem o to. Zima go spowrotem na Mołdawję wyprawił.

Drugiej skazówki udzielił mi Michał Mrozowicki, zamianowany przez Rząd Narodowy komisarzem politycznym w Rumunji, akredytowanym jako taki przy hospodarze, którym był natenczas książę Aleksander Kuza. Przyjechał on, przedstawił się mnie i Zimie i ostrzegł mnie poufnie, że mi w sztabie, t. j. u gen. Wysockiego, buty szyją.

Było to do przewidzenia. Szyto mi buty w Konstantynopolu, gdzie stronnicy hotelu Lambert czynili zabiegi celem narażenia mnie na kompromitujące osobę moją *fiasco*. Do sztabu poza plecami mojemi szły zawiadomienia o niedołężnem organizowaniu oddziału, mianowicie zaś o szczepieniu przeze mnie w szeregach niesubordynacji. I korespondencje tej treści posyłane były do dzienników lwowskich, które jednak doniesień tych nie ogłaszały, nie przez wzgląd na mnie, lecz nie chcąc zapewne rzeczy takich podawać do wiadomości publicznej w czasie toczącej się walki. Przypuszczam, że korespondencje owe redakcje odsyłały Wysockiemu, który zarzuconym być musiał pisemnemi i ustnemi donosami, sądząc wedle następstw, jakie się o mnie oparły.

Na niedługo przed wymarszem przybyli ze Lwowa, *via* Konstantynopol, dwaj lekarze, przysłani do oddziału mego (Dąbrowski i Miłkowski). Nominacje ich opiewały, że przeznaczeni są do korpusu generała Menottiego Garibaldiego. Nie rozumiałem, coby to znaczyć miało. Z Włochami układy, prowadzone przeze mnie, były już ukończone, i zawiadomiłem był już sztab tak o losie, jaki spotkał przysłaną przez Garibaldiego broń, jakoteż o niemożliwości przewiezienia oddziału garibaldczyków. Nie rozumiałem tego i dotychczas nie rozumiem.

Podobne strzelanie bąków musiało być wynikiem warunków, w jakich się wojna toczyła. Wysocki się ukrywał wobec policji austrjackiej i w ukryciu ani przychodzących wiadomości i raportów kontrolować należycie nie był w stanie, ani też nie mógł uniknąć dawania rozporządzeń niewłaściwych.

Drugiem następstwem, co się o mnie oparło, była przysłana mi destytucja. W tym względzie nie mogłem się mylić: sporządzili mi ją przyjaciele.

Na dziesięć może dni przed wymarszem przybyli Skalski i Tyszkiewicz — o nich poniżej będzie. Równocześnie z nimi pojawił się w Tulczy młody człowiek, brunecik, miłej powierzchowności, bardzo inteligentny, który się mi przedstawił pod imieniem Karola Lewakowskiego. Przybywał ze Lwowa i okazywał ochotę zaciągnięcia się do szeregów, ale nie pierwej aż się doczeka Mrozowickiego, od którego zależy. Przyjąłem to do wiadomości i byłbym się młodzieńcem nie interesował, gdyby mi raz Zima nie powiedział, że to jakaś figura podejrzana.

— Z czego tak sądzisz? — zapytałem.

— Z zagadkowych konszachtów, jakie prowadzi z żołnierzami, z zapytań, jakie im zadaje.

— Trzeba go mieć na oku — odrzekłem.

W parę dni później Mrozowickiemu, który był nadjechał, mówiłem o Lewakowskim, o jego zachowywaniu się zagadkowem i o tem, że się na niego powołuje.

— A tak — była Mrozowickiego odpowiedź. — Mam z nim do czynienia. To człowiek zupełnie pewny.

Mrozowicki odjechał; Lewakowski został.

Gdy tu kule się już lały, tam ładunki zwijały, ówdzie przy szypieniu miechów, stuku młotów i zgrzycie pilników odbywało się reparowanie karabinów, pewnego wczesnego ranka znalazłem się był sam w mieszkaniu mojem. Na kominie dopalał się ogień, przy którym się gotowała kawa; przy stole siedziałem z piórem w ręku, nad ćwiartką papieru — bodaj czy nie nad listem do żony, oznajmującym jej o bliskich przenosinach z Tulczy na pole zapasów wojennych. We drzwiach jawił się Lewakowski.

— A co tam? — zapytałem, wstając i spotykając się z nim na środku izby.

— Ja do pułkownika z interesem.

Rzekłszy to, wydobył z zanadrza pugilares, z pugilaresu wyjął małą ćwiarteczkę papieru i podał mi ją.

Przeczytałem — osłupiałem.

Była to destytucja jaknajformalniejsza: pozbawienie mnie dowództwa oddziału, z rozkazem, ażebym je zdał Łaskiemu.

Jeszcze mi osłupienie nie przeminęło, gdy Lewakowski ćwiartkę z palców mi wyjął i w ogień rzucił.

— Co pan robisz?! — zawołałem.

— Taki mam rozkaz.

— No... — zacząłem.

Nie dał mi przyjść do słowa.

Istota rozkazu taką wedle opowiadania jego była:

Został przywołany do Wysockiego, i ten, wręczywszy mu destytucję dla mnie, pouczał go, jak ma sobie postąpić. Chodziło, o ile sobie z opowiadania Lewakowskiego przypominam, o to, ażeby sprowadzić Łaskiego i mnie w obecności jego zdestytuować. Porządek tego wymagał, inaczej bowiem oddział pozostałby bez dowództwa. Działo się to w obecności ks. Adama Sapiehy. Ten, wysłuchawszy, o co chodzi, zapytał Wysockiego o powód tej względem mnie surowości. Wysocki za powód podał donosy.

— Czy sprawdzone? Czy generał pewny jesteś, że donosów nie dyktowały pobudki osobiste?

Wysocki przypomniał sobie zapewne usilne wypraszanie się moje od objęcia osobiście dowództwa nad oddziałami na Wschodzie. Na uwagę księcia zmienił instrukcję, polecając Lewakowskiemu zbadać stan rzeczy na miejscu i nie inaczej mi destytucję wręczyć, aż się dowodnie o prawdziwości oskarżeń przekona. Oskarżenia tyczyły się głównie subordynacji, która w oddziale moim była wzorową, mimo że ani ja, ani Zima — mój jako szef sztabu *alter ego* — min nie przybieraliśmy i nie huczeli. Konszachty przeto Lewakowskiego z żołnierzami miały na celu zbadanie stanu rzeczy. Badanie na moją wypadło korzyść. Oszczędziło mi ono ogromnej przykrości — przykrości, któraby się we wspomnieniach była spotęgowała. Boć — byłbym rozkazu posłuchał i wszystko złe, jakieby stąd wyniknąć musiało, na mójby poszło karb. W pierwszej chwili uczułem był do Wysockiego żal; lecz żalu się prędko pozbyłem, wyobraziwszy sobie trudne warunki, w jakich on naczelne do-

wództwo swoje sprawował. Gdy mu słuch zalały skargi na mnie, gdy sobie przedstawił następstwa nieładu w oddziale, mającym wcale niełatwe do rozwiązania zadanie militarne, musiał powziąść postanowienie powierzenia wykonania onego człowiekowi, dającemu pewniejsze aniżeli ja rękojmie. Zarzucić mu jeno można wydanie wyroku bez wysłuchania drugiej strony. Ale i to było rzeczą trudną. Szczęście moje, że trafił na Lewakowskiego, który celem zbadania istoty rzeczy zwrócił się do środowiska, w którem ona tkwiła — do żołnierzy. Widział ich w karby ujętych, zaopatrzonych, do posłuszeństwa wprawionych i zadowolnionych. Rzeczby mu się zapewne inaczej przedstawiła, gdyby się był zwrócił do środowiska, z którego wychodziły korespondencje i skargi. Nie patrząc oczami własnemi, widziećby mógł, coby chciano, ażeby widział. Szczęściem dla mnie, stało się inaczej.

Środowisko mnie niechętne nie było liczne. Składało się ono z kilku osobistości, bądź rozżalonych na mnie za pośrednie ich w książce mojej dotknięcie, bądź też będących tego zdania, że zajęte przeze mnie stanowisko im, nie mnie się należało. Nie wypowiadali tego głośno, lecz nastroili jednego spomiędzy siebie, który się nadawał, ze względu na inteligencję, na rzecznika pretensyj podobnych. Był nim major Józef Jagmin, mianowany przeze mnie dowódcą bataljonu, człowiek waleczności niezrównanej, ale głowy bardzo słabej. Karjera jego wojskowa rozpoczęła się na Litwie r. 1831 w szeregach powstańczych. We Francji należał do Tow. Demokratycznego i był jednym z najgorliwszych zasad jego wyznawców, gorliwość swoją tłumacząc tem, że przy ciężkiej w jakiejś fabryce pracy i przy małym zarobku regularnie na posiedzeniach sekcji bywał i regularnie podatek płacił. Obok tego, w przekonaniu o nieochybności wybuchu rewolucyjnego z celem odbudowania Polski, studjował sztukę wojenną, którą całkowicie widział i zamykał w regulaminie. Regulamin był dla niego alfą i omegą wszechwiedzy wojskowej. Umiał go napamięć i mimo to uczył się, powtarzając codziennie komendy, tyczące się obrotów ciała, robienia bronią i ewolucji linji. Regulamin był dla niego, czem jest brewjarz dla księdza; otwierając go, minę przybierał jakby się miał modlić, co odpowiadało w zupełności wyrazowi jego oblicza, nacechowanego wyrazem zakrystjańskim, jakoteż bu-

dowie postaci słusznej, grubokościstej i ciężkiej. Zeszedłem się z nim w Węgrzech, gdzie się on do legjonu zaciągnął w stopniu podporucznika. Kiedy awansował na porucznika, ja w jego plutonie byłem podoficerem i pod jego komendą odbyłem całą wiosenną w r. 1849 kampanję. Na podporucznika awansowałem do trzeciego bataljonu, on w pierwszym dowodził kompanją. Kiedy w czasie wojny wschodniej (1853—56) Zamoyski formował dywizję polską w służbie angielskiej, Jagmin, nie zważając, że jest to formacja barwy arystokratycznej, do szeregów jej się zaciągnął i dostał stanowisko dowódcy bataljonu. Zasady już go nie obchodziły. Obchodziła go wojna z Moskalami; dla niej zapomniał o zasadach demokratycznych, które zresztą wyznawał formalnie, kiedy wyznawał, — rozstanie się z niemi przyszło mu z łatwością. Tym razem jednak nie wojował: nim się dywizja sformowała, zawarty został pokój; zaciągi rozpuszczono i Jagmin wystąpił z szeregów ze stopniem majora, z medalem angielskim i z dekoracją turecką. Ów stopień, ów medal i owa dekoracja zdusiły w nim demokrację doreszty, lecz nie zdusiły ochoty bicia się o Polskę. Gdy przeto powstanie wybuchło, był jednym z pierwszych śród tych, co się do Sokulskiego, po przybyciu do Konstantynopola z odezwą moją Józefa Czajkowskiego, zgłosili.

Rozkazy Rządu Narodowego zasłoniły przed oczami Jagmina ujemne osobistości mojej strony. Poszedł pod dowództwo moje. W Tulczy jednak nie omieszkano wykazać mu owe strony, i to ze strony najbardziej do przekonania jego trafiającej — ze strony regulaminowej. On w szeregach, w służbie, awansował z podporucznika na porucznika, z porucznika na kapitana, z kapitana na majora; ja na tej drodze doszedłem tylko do porucznika i, bawiąc się piórem, podczas kiedy on żołnierzy musztrował, zostałem nagle jego wodzem. Porządek wywrócony! Wykazano mu to jasno jak na dłoni: zrozumiał; przejęło go oburzenie tem większe, że naruszenie owo porządku regulaminowego nazwano niekoniecznie zrozumiałym dla niego terminem: „fałsz w organizacji“. „Fałsz w organizacji“ wydał się mu rzeczą potworną. Oburzenie jego wszelako tłumił i powściągał rozkaz Rządu Narodowego i zmuszał go do przestrzegania subordynacji, w której za wzór służył. W tym względzie nic mu w najmniejszej rzeczy do zarzucenia nie miałem. Oburzenie

w sobie, wgłębi duszy swojej trawił, i on, major, słuchał porucznika. Przypuszczam, że zamianowanie mnie pułkownikiem niemało na to wpłynęło.

Moment wymarszu zbliżał się. Plan operacji miałem ułożony odpowiednio do warunków, w jakich się ona odbywać miała.

W historji powstania, napisanej przez B. Limanowskiego p. t. *Historja powstania narodu polskiego 1863 i 1864*[1], szanowny autor pisze:

„Zygmunt Miłkowski, zebrawszy oddział z 213 ludzi, nie poszedł przez rosyjską Besarabję — jak mu nakazywano —, lecz Besarabję rumuńską, gdzie...“ etc.

Wyrazy „jak mu nakazywano“ ja podkreśliłem. Nikt mi nic co do planu operacyjnego nie nakazywał. Wchodził on do planu ogólnego powstania na Rusi, nakreślonego przeze mnie w lutym. Pomocnicza rola, jaką Rumunja w odniesieniu do ruchu orężnego w Polsce odegrać mogła, tkwiła mi w myśli od r. 1859. Dla niej w roku owym wyjechałem z Paryża i następnie na gruncie ją urabiałem, wychodząc z tego przedewszystkiem punktu, że Rumunja, właściwie zaś północno-zachodnia Mołdawja, była jedyną miejscowością, wprowadzającą Polskę w styczność z Europą. Wyzyskanie jej w tym celu przedstawiało mi się jako rzecz konieczna. Brak środków pieniężnych przeszkadzał temu do samego wybuchu powstania; gdy zaś powstanie wybuchło, gdy mi się dostało niepożądane przeze mnie naczelnictwo sił zbrojnych na Rusi, najpierwsze moje rozporządzenia[2] tyczyły się t. zw. oddziałów wschodnich. Wówczas jednak sprawa przedstawiła mi się inaczej o tyle, że się w niej względy militarne, polegające na dostarczaniu powstaniu broni, amunicji i kadrów wojskowych, połączyły ze względami politycznemi, mającemi na widoku sprzężenie sprawy polskiej z kwestją wschodnią i wciągnięcie przez to do akcji Europy. Gdym za pośrednictwem Wysockiego wyprawiał do Paryża Paszkiewicza z rozkazem do Branickiego, ażeby z miljonem franków udał się do Konstantynopola, sformował w Turcji silny oddział i wkroczył na Mołdawję celem wsparcia powstania na Rusi, to już się samo przez się

[1] W tomie II, str. 166. (Nota T. T. Jeża).

[2] Wysłanie Józefa Czajkowskiego do Konstantynopola, polecenie dane oficerowi od huzarów wysyłania pieniędzy z Podola do Sokulskiego, wyprawienie z Krakowa Paszkiewicza do hr. Branickiego. (Nota T. T. Jeża).

rozumiało, że w razie takim Mołdawja przejść musi pod rozporządzenie władz powstańczych polskich. Zawojowanie Mołdawji, podbicie jej bodaj czasowo, wprowadzała do planu mego sama siła rzeczy, wynikająca z położenia geograficznego. Bo i jakże — którędy z Turcji, jeżeli nie przez Mołdawję, mógłby oddział polski na Ruś wkroczyć? Następnie, po wkroczeniu, miałżeby nie zatrzymać nadal na rzecz toczącej się w Polsce walki tej podstawy operacyjnej, unieprzystępnionej przez Europę dla Moskwy? Były to względy bardzo ważne, względy, którym, gdyby był Branicki słowa dotrzymał, miljon franków byłby uczynił zadość.

Ale Branicki słowa nie dotrzymał i koleją, o której powyżej opowiedziałem, organizowanie i prowadzenie na teatr powstania oddziału polskiego z Turcji spadło na mnie. Znajdowałem się pod dowództwem Wysockiego, na łasce kapaniną dochodzących rąk moich środków pieniężnych. Te ostatnie wpłynęły w wysokości 115.865 franków 10 centimów. Z organizacją musiałem się spieszyć dla dwóch powodów: raz dla nienadużycia tolerancji, jaką nam rząd turecki okazywał, powtóre dla niezwlekania pomocy powstaniu na Rusi.

Powstania na Rusi plan, przedstawiony przez Różyckiego w ogólnych zarysach w Sidorowie, był taki: Dokonać się miało przedewszystkiem powstanie na gruncie, na Wołyniu i Ukrainie, następnie wkroczyć miał z Galicji Wysocki, wkońcu na Podolu miałem wystąpić ja wespół z oddziałami wschodniemi. Opowiedziałem, jak się to stało, żem od Podola oderwany został. Znalazłszy się naczele oddziału wschodniego, miałem tylko wskazówki do orjentowania się wedle planu ogólnego, zresztą nic. Wysocki, od którego zależałem, nie mógł mi żadnych dawać co do planu wyprawy rozkazów, nie znając warunków miejscowych. Nie otrzymałem też w tym względzie rozkazów żadnych, tem bardziej zaś rozkazu przechodzenia przez Besarabję rosyjską, do której droga najprostsza i najkrótsza prowadziła przez Besarabję rumuńską. Szanowny historyk, czyniąc mi ten zarzut, widocznie na mapę nie patrzył, gdyby bowiem był popatrzył, a popatrzył uważnie, byłby się z zarzutem powstrzymał. Poza owoczesną granicą Besarabji rumuńskiej (dziś granica idzie Dunajem)[1], nawprost od Tulczy ku północy, rozlega się znany

[1] T. T. Jeż pisał te słowa w r. 1897.

w dziejach naszych Budżak, kraina bezleśna i bezwodna, w której w porze wiosennej „wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi“, w porze atoli letniej trawy usychają, słońce dopieka, „pragnienie piersi pali“ i przed upałem schronić się niema gdzie. Krainę tę zaludniają rzadkie rumuńskie i tatarskie osady oraz bułgarskie i niemieckie kolonje, w których oddział polski nie mógł na bodaj trochę przyjazne przyjęcie liczyć. Idąc dalej ku północy, a przypuszczając, iżby nas Moskale nie zaczepiali, dotarlibyśmy do Dniestru poniżej, może powyżej, pamiętnych pobytem Karola XII Bender. Przeszedłszy przez Dniestr, przerzucilibyśmy się z bezwodnych, bezleśnych, upalnych i rzadko zamieszkałych stepów budżackich na również bezleśne, bezwodne, upalne i rzadko zamieszkałe stepy chersońskie. Dokonawszy tego ostatniego czynu pochodowego, cobyśmy mieli dalej robić? Pozostawałoby nam chyba prosić Moskali, ażeby tym, coby taki trzydziestomilowy marsz wytrzymali, dali na Syberji przytułek. Czy takiem było oddziału przeznaczenie?

Plan taki ani mi w głowie nie postał; gdyby zaś był postał, byłbym go musiał zaniechać, wobec tego że mnie Kotzebue tamtędy wabił.

Miałem i z innej jeszcze strony w kierunku tym wabienie. Bodaj czy nie w wigilję wymarszu wpadł do mnie chłopak lat mniejwięcej dwudziestu, mieniący się wysłańcem od Polaków, oficerów lublińskiego czy zamojskiego pułku piechoty, wzywających mnie, ażebym na spotkanie pułku tego szedł, a oni mi go oddadzą. Młody ten człowiek mógł być rzeczywiście wysłańcem oficerów, alem go nie znał i nie miałem żadnego poręczającego jego prawdomówność dowodu. Doświadczenie ze szpiegami nakazywało mi wielką ostrożność. Zapytałem wysłańca o nazwiska oficerów. Dał mi nazwiska kilku poruczników i podporuczników. To żadnej nie dawało rękojmi, wobec tego zwłaszcza, że tak w korpusie oficerskim, jak w szeregach wojsk rosyjskich obecność Polaków reguluje się procentowo w takim stosunku, ażeby większość znajdowała się po stronie Moskali. Szanse przeto na przejście pułku do powstania były za zbyt małe, ażebym ryzykować miał oddział, wprowadzając go w położenie bez wyjścia i bez celu. Jedyną rzeczą, jaka mi pozostawała, było przejście przez Mołdawję, przejście „bądźcobądź“. Stosownie więc do tego ułożyłem plan.

Przy środkach, jakie do rozporządzenia miałem, nie było możności sformowania oddziału silnego, a zatem myśleć nie mogłem o zawojowaniu Mołdawji. Pozostawała jednak możność przemknięcia się przez nią, przeprowadzenia na teatr powstania paruset ludzi ostrzelanych, na jakich formującym się w kraju oddziałom brakło. Zakrojone zrazu na wielką skalę przedsięwzięcie zredukować musiałem do rozmiarów skromniutkich, które atoli powodzenie mogło podnieść cokolwiek. Starałem się przeto o zapewnienie sobie powodzenia i w tym celu wezwałem do Tulczy zamianowanych przeze mnie w Mołdawji komisarzy: Długoborskiego, Skalskiego i Tyszkiewicza. Stawili się Skalski i Tyszkiewicz. Stawili się i zdali mi sprawę ze składów broni, z zapasów żywności i z liczby ochotników, mających oddział mój wzmocnić. Tych ostatnich było około 300, kwalifikujących się do piechoty, i ze trzydziestu konnych, nad którymi dowództwo objął Drzewiecki, b. oficer od kozaków Sadyka-paszy. Składy broni i żywności rozłożone były na drodze, obchodzącej od zachodu Jassy. Na wysokości Jass kontyngens ochotników jeżeli nie w całości, to w większej części miał się do oddziału przyłączyć. Zamierzyłem sformować z nich drugi bataljon, do którego przeznaczyłem na dowódcę majora Grotowskiego, oficera z r. 1831, uczestnika wojny węgierskiej; niezwłocznie wyprawiłem go do Jass, zaopatrzywszy w instrukcje odpowiednie. Przygotowania te poczynały się w obwodzie byrłackim i szły etapami ku północy okolicą lesistą i górzystą, przedstawiającą łatwość przemykania się. Cała rzecz polegała na tem, ażeby się na prawy brzeg Prutu przedostać.

Przeprawa przez Dunaj; przeprawa przez Prut.

Pierwsza była zapewnioną.

Ta druga mnie ambarasowała, studjowałem ją i zamierzyłem był przeprawić się w Falczi albo w Leowie, zasłaniając się przed możliwym wojsk rumuńskich pościgiem demonstracjami, wykazującemi zamiar wkroczenia do Besarabji rosyjskiej. Skalski wskazał mi inny do przeprawy punkt, a mianowicie Goteszti, wieś dużą, oddzieloną od Prutu trzęsawiskami, przez które przechodzi do przeprawy droga, prowadząca do leżącej na prawym brzegu wsi Rynzeszti. Wskazał mi punkt ten dlatego, że leżąc na prywatnej, w czasie jarmarków tylko uczęszczanej drodze, przedstawiał możliwość ubieżenia go, za-

nimby linja Prutu na wieść o wkroczeniu naszem została przez wojska rumuńskie obsadzoną. A przy tem ukazywał mi jeszcze jedną wielką dogodność, tyczącą się pochodu dalszego: zobowiązywał się zgromadzić w Rynzesztach podwód kilkadziesiąt celem przewiezienia oddziału wgłąb kraju.

Podwody te, które w każdym razie przydatnemiby nam były, rozstrzygnęły los wyprawy. Skalski mógł je dostawić. Każdego roku woził do Gałacu kukurydzę i pszenicę, i miał rozległe z wynajmującymi się do przewozów włościanami stosunki w tej właśnie okolicy, która do punktu wyprawy przylegała. Ułożyłem się z nim przeto szczegółowo. Umówiliśmy się o frazesy w telegramach, mające mieć znaczenie dla nas dwóch tylko zrozumiałe. Miałem mu zatelegrafować, kiedy wyruszam; on mi miał dać znać, czy wszystko gotowe, i nadto wysłać na spotkanie oddziału przewodnika, czekać mającego u Świejkowskiego, trzymającego w dzierżawie o milę od Goteszt wieś, noszącą nazwę bodaj czy nie Konstantynówki, — nie pamiętam. We wsi tej czekać na nas miał nietylko przewodnik, ale i pierwszy skład pożywienia.

Marsz nasz w Besarabji rumuńskiej wytyczony był tak: Kartal, Wołkaneszti, Goteszti, przeprawa przez Prut, Rynzeszti. W Rynzesztach oddział wsiąść miał na podwody, przeciąć trakt główny, prowadzący z Gałacu do Jass, oddalić się o mil pięć i ciągnąć dalej od etapy do etapy, zabierając po drodze broń i ochotników.

Że wszystko to było urządzone i przysposobione, dowiedziałem się o tem później z ust Kuzy.

To, co wyżej, niech służy na usprawiedliwienie planu, powziętego i ułożonego przeze mnie bez żadnego rozkazu. Rozkaz jedyny, jaki mnie we względzie tym zobowiązywał, tyczył się sformowania oddziału na gruncie tureckim i doprowadzenia go na teatr walki. Rozkaz ten, luboć inaczej niż zamierzałem, nie bez mego wszakże udziału, wykonany został. Opowiem o tem w dalszym pamiętników moich ciągu; tu zaś poczuwam się do obowiązku poświęcenia słów kilku Skalskiemu, którego gorliwość na jaknajwiększe zasługuje uznanie. Należy on do rodzaju tych pracowników patrjotycznych, co, biorąc na siebie zobowiązania i pełniąc powinność, nie szukają rozgłosu. Iluż takich nazwiska w niepamięci utonęły! Świadczy to o ich bezintere-

sowności w służeniu sprawie polskiej, jakoteż o tem, że sprawa polska jest jedną z tych, które bezinteresownych służebników wytwarzają. Tacy jak Skalski, zwany Stefankiem Plumem, stanowią jej siłę. Niższe społeczeństwa naszego warstwy roją się nimi; w wyższych są oni rzadsi, ale są. Skalski w tych ostatnich za wzór służyć może. Spełnił on dobrowolnie wzięte na siebie zobowiązanie; nie jego wina, że natknął się na przeszkody, które doprowadzeniu dzieła do końca wpoprzek stanęły. Kościuszce stawiamy pomniki, mimo że dla Polski niepodległości nie wywalczył. Obyż wspomnienie, które Skalskiemu poświęcam, za pomnik dla niego stanęło!

Wspomnieć mi jeszcze wypada o Michale Mrozowickim, komisarzu politycznym Rządu Narodowego w Rumunji, który do Tulczy zajrzał. Człowiek zdolny, potrosze literat, entuzjasta, był on z tych, dla których forma zastępuje istotę rzeczy. Formy go olśniewały — poza niemi treści widzieć nie umiał. Wyłożyłem mu konieczność i znaczenie naszego przez Mołdawję przemarszu; zrozumiał to i uznał, i powinnością jego było udać się do Bukaresztu, wyjednać posłuchanie u Kuzy i starać się na drodze perswazyj politycznych osłaniać nas przed prawdopodobnemi zaczepkami ze strony wojsk rumuńskich, inaczej, postarać się zapewnić nam w Bukareszcie taką tolerancję, na jaką zdobył się rząd turecki. Mówiłem mu to, odczytałem napisaną przez konsula francuskiego odezwę, którą zamierzałem poprzedzić nasze na grunt rumuński wkroczenie; odezwa ogromnie mu się podobała, zachwyciła go, ale — do Bukaresztu nie pojechał i z tego, co do niego należało, nic nie zrobił. Kuzie przedstawił się po harapie, po mojej w stolicy Rumunji bytności, i wystąpił w kontuszu, w pasie litym, przy karabeli. W rozumieniu jego było to ważniejsze, aniżeli tamto. Po upadku powstania zaciągnął się do kozaków Sadyka, sprawił sobie mundur z wylotami, kołpak z kutasami i w stroju takim paradował w Paryżu. Z racji stroju tego, gdy w czasie karnawału oprowadzano po ulicach *Boeuf gras*, warta, utrzymująca na trotuarach porządek, wpuściła go do kawalkaty, w mniemaniu *qu'il est du cortège*. Ostatni raz w Paryżu się z nim w r. 1867 spotkałem w kawiarni de la Régence, wieczorem. Siedział przy stoliku, przed karafonem koniaku. Na zapytanie moje, co porabia, odpowiedział:

— Ot... przychodzę co wieczora do kawiarni, wypijam karafonik koniaku i idę spać...

— A we dnie?

— We dnie?... — ramionami wzruszył.

— Słyszałem, żeś w kozakach.

— At... — ręką machnął.

Rozpił się i smutnie zakończył. Odebrał sobie życie pod kołami lokomotywy. Podobno do stanu tego doprowadziły go stosunk rodzinne. Obwiniają jego żonę. Czy on jednak był bez winy?

Mrozowicki, który bodaj czy nie dwukrotnie odwiedzał nas w Tulczy, niczem się ani do formacji oddziału, ani do powodzenia wyprawy nie przyczynił. Wymarsz z Tulczy opisałem szczegółowo we *W Galicji i na Wschodzie*. Opis ów powtórzę w streszczeniu. Raszid-pasza, gubernator miejscowy, wypuścić nas nie chciał bez wzięcia od nas zapłaty na rzecz molocha dyplomatycznego. Musiałem mu się opowiedzieć, kiedy wyruszamy, i on, umówiwszy się ze mną, zarządził o dziesiątej rano, w mającym nastąpić wieczorem dniu wymarszu ogólne wszystkich żołnierzy naszych, z wyjątkiem podoficerów, aresztowanie. Wiedząc o tem we wigilję dnia tego dałem rozkaz całkowitego przygotowania się do drogi. Rozkaz ten powtórzyłem nazajutrz o piątej rano. Kiedy żołnierze w pełnym pakunku, tylko bez broni, oczekiwali na to, że lada chwila podoficerowie wyprowadzą ich krytemi drogami, nagle w ulicach pojawiły się gęste patrole tureckie i jęły się Polaków chwytać. Rozesłałem oficerów, ażeby zalecali żołnierzom naszym najmniejszego nie stawiać oporu. Dawali się więc brać i do więzienia odprowadzać spokojnie. Niektórzy jednak po ogrodach, po burzanach i po domach pokryli się. Branka trwała do czwartej popołudniu. Jak nagle się rozpoczęła, tak nagle ustała. Zaniepokoiła ona konsulów zagranicznych, którzy o dziesiątej rano otrzymali od paszy okólnik, oznajmujący im, że: „władza miejscowa widzi się zmuszoną do użycia środków surowych przeciwko włóczęgom, którzy wybrali sobie Tulczę na punkt wyjścia do spełnienia zamiarów zbrodniczych, na które rząd Wysokiej Porty, ze względu na stosunki sąsiedzkie i traktaty, obojętnem nie może patrzeć okiem“. Konsulowie francuski i angielski chcieli protestować; prosiłem ich, ażeby protest do następnego odłożyli

dnia. Nie wtajemniczyłem ich w układ z paszą, w układ, polegający na tem, że dla zachowania pozoru szanowania „traktatów i stosunków sąsiedzkich“ wyda ów okólnik i zarządzi brankę wszystkich żołnierzy polskich, i z tych zachowa, celem odesłania ich ostentacyjnie do Konstantynopola, trzydziestu, innych zaś puści późnym wieczorem. Wybór tych trzydziestu, ludzi starych, do trudów wojennych nieprzydatnych, pozostawiony był nam samym. W warunkach, w jakich pozostawałem, musiałem z bólem serca na układ ten przystać. Było to ultimatum, któremu oprzeć się najmniejszej nie miałem możności. O czwartej cały mój oddział, z wyjątkiem oficerów, podoficerów, tych co się pochowali i całej jednej kompanji, zakwaterowanej w Francensthalu, znajdował się w apsie tureckim.

Branka w wielki oficerów wprawiła niepokój. Co chwila ten i ów przybiegał do mnie z zapytaniem, co dalej będzie. Uspokajałem, mimo że i mnie niepokój przejmował, niekoniecznie bowiem ufałem słowu paszy, który mi przyrzekł, że po zachodzie słońca wypuści aresztowanych. Było to słowo dyplomatyczne. Znałem słów podobnych wartość. Niepokój jednak w sobie tłumiłem i każdemu odpowiadałem, że dziś, o dziesiątej wieczorem najpóźniej wyjdziemy.

Gdy branka ustała, zjawiło się u mnie, około piątej, oficerów trzech czy czterech z przedstawieniem, że wymarsz nasz, jeżeli nie zaniechać, to na później odłożyć należy. Stanowczo im oświadczyłem, że to być nie może, że wyjść musimy i wyjdziemy, chociażby nas zostało dziesięciu tylko.

Jak skoro słońce zaszło, udałem się do paszy, nie do konaku, ale do prywatnego jego mieszkania. Czekał na mnie w przedsieni. Spojrzawszy mu w oczy, zdawało mi się, że widzę w nich zmieszanie.

Raszid pasza należał do rodzaju dostojników nowego typu: niewysoki, szczupły, blady, trochę zezem patrzący, doskonale mówił po francusku i w obejściu się zachowywał formy ugrzecznienia zachodniego, złączonego z uprzejmością wschodnią:

Dłoń mi uścisnął i zapytał:

— Pora już?

— Pora — odrzekłem.

Rozmowy dalszej, zanotowanej we *W Galicji i na Wschodzie,* nie powtarzam. Pomijam również całą scenę wyprowadze-

nia aresztowanych z więzienia, zebrania się na zbornym punkcie w Tulczy, rozebrania broni, złączenia się z kompanją kapitana Towarnickiego za miastem przy reducie i ujścia nad Dunaj. Zanotuję to jeno, że gdyśmy mostek nad Dunajem przeszli, czekać musieliśmy na wóz, na którym znajdowały się różne niezbędne dla wojennej wyprawy rekwizyty, a między innemi kapiszony. Wóz nie nadchodził. Ładunki były rozdane, ale rozdanie kapiszonów odłożone, nie przypominam sobie dlaczego, do ostatniej chwili, w ostatniej chwili po nocy i w pośpiechu, odbyć się nie mogło. Oczekiwanie na wóz niecierpliwiło żołnierzy; odzywać się poczęły głosy, ażeby go do licha zostawić; mnie rozpacz prawie ogarniała. Cośmy byli bez kapiszonów warci? Nareszcie wóz się pojawił. Była godzina około dwunastej w nocy.

Noc bezksiężycowa sprzyjała wykradaniu się naszemu z dziedzin padyszacha. Była to jednak noc letnia, lipcowa, krótka. Maszerowaliśmy drogą, przetorowaną w wyschłych o tej roku porze oczeretach, ciągnących się wzdłuż Dunaju do Isakczi i zajmujących wgłąb kraju szeroki nizinny pas. Na wiosnę, podmokłe wodą, przedstawiają się one niby morze zieleni i są nie do przebycia. Wszystkie u ujść Dunaju brzegi i wyspy okrywa oczeret, w którym wylęga się niezliczona ilość ptactwa wodnego, wynoszącego się na zimę do ciepłych krajów, jesienią pustoszącego posiewy w przylegających do rzeki okolicach. Latem usuwa się ono z brzegów, ustępując miejsca wilkom i lisom. Wówczas ludzie, dla skrócenia sobie jazdy, drogi śród oczeretów torują. Drogi te wąskie, miękkie, nierówne, wyboiste.

Drogą taką wyszliśmy z Turcji do Polski.

Kto chodził po piasku lub po słomie, ten z łatwością wyobrazi sobie, jak nam iść było wygodnie.

Aleśmy szli do Polski.

Szliśmy raźno, śpiesznie, nie spotykając żywego ducha. Około trzeciej świtać poczęło; gdy zaś dobrze zaświtało, towarzyszyłem oddziałowi zboku, przedzierając się przez wikliny nadbrzeżne, studjując brzeg ze względu na to, żeśmy się mieli ambarkować. Niewszędzie dokonaćby się to dało. Tu statek przybićby nie mógł, ówdzie dla ludzi, zwłaszcza zaś dla koni przystępuby z lądu nie było przez zarośla. A nie posiadaliśmy narzędzi do usunięcia przeszkód. Badać więc musiałem uważnie, przypatrywać się, nachylać, — parę razy o mało nie wpadłem do wody.

W oczerety oddział niby w wodę wpadł. Życzeniem mojem było, ażebyśmy nie spotkali nikogo. Niestety życzeniu temu nie stało się zadość. Około siódmej najechał na nas jadący wozem parokonnym z Isakczi do Tulczy Turek. Nie na rękę mi to było. Chodziło o to, ażeby zniknienie nasze utrzymało się w Tulczy w stanie zagadki do południa przynajmniej. Turek, gdybyśmy go puścili, pośpieszyłby, do miasta wpadł, zaalarmował i przez to zmusił paszę do wysłania za nami pościgu. Kazałem mu przeto nawrócić i z nami jechać. Nie opierał się, przestrachu nie zdradzał, na poważnem jego obliczu malowało się zdumienie. W godzinę, trochę więcej może niż w godzinę później, znalazłszy nadający się do ambarkowania punkt, kazałem się oddziałowi zatrzymać.

Punkt przeze mnie upatrzony nadawał się do ambarkowania dlatego, że woda głęboka podmywała brzeg urwisty a twardy, na którym rosło kilka drzew grubopiennych, mogących służyć do uwiązania lin okrętowych. Załom brzegowy osłabiał prąd i pozwalał statkowi przybić tak blisko, ażeby wsiadanie nań dokonać się mogło wprost z lądu na pokład zapomocą pomostu. Mógł może punkt podobny znaleźć się i dalej, ale pewności w tym względzie nie miałem. Że zaś ciągiem jednym szliśmy godzin ośm, jeżeli nie dłużej, co, licząc na godzinę kilometrów cztery, czyniło conajmniej 32 kilometry na 50, dzielących Isakczę od Tulczy, uważałem przeto, żeśmy się już zatrzymać i na prowadzony przez Zimę statek czekać powinni. Na postanowienie moje i to jeszcze wpłynęło, że podejście pod samą Isakczę mogło, zwracając na nas uwagę mieszkańców tego miasteczka, w ambarkowaniu się przeszkodzić. Odbyliśmy duży, prawie forsowny na spiekocie lipcowej marsz. Wszystko za zatrzymaniem się przemawiało. Dałem więc stosowny Jagminowi rozkaz, i ten, niby z klatki wypuszczony orzeł, postawę przybrał i regulaminowo, z przeciąganiami i akcentami wygłosił komendę:

— Ba-ta-ljon — stój! Wee front! Bagnety na-łóż!

Garstka, szczecią bagnetów okryta, wyrównała się pod linję. Był to widok głęboko wzruszający. Ta garstka, świadoma różnicy, zachodzącej w siłach pomiędzy nią a armjami carskiemi, wyzywała carat do boju. Czegóż się spodziewała dla siebie? — na co liczyła? Nie było pomiędzy nami, w szeregach ani przed szeregami, ani jednego, któryby nie wiedział, że na drodze po-

chodu jego na szans dziesięć — dziewięć jest przeciwko niemu. Wiedziałem o tem ja — wódz drużyny; wiedział o tem najbardziej po prostaczemu myślący szeregowiec. Szliśmy złożyć życie na ołtarzu ojczyzny w tem przeświadczeniu, że gruntujemy tę potęgę moralną, co Polsce upaść nie da. W świetle tego przeświadczenia bagnety nasze uroczym pod osłoną oczeretów naddunajskich jaśniały blaskiem.

Kazałem zrobić apel. Na 258 ludzi, obliczonych w Tulczy, stanęło pod bronią 213 — brakło 45. Z tych, potrąciwszy 30, oddanych na pastwę Minotaura dyplomatycznego, na punkcie zbornym w chwili wymarszu nie stawiło się piętnastu. Byli to zapewne ci, co się pochowali w czasie branki tureckiej.

Pozostawało nam czekać w ukryciu na statki. Ukrycie samo się nam nasunęło — w oczeretach. Zeszliśmy z drogi i zniknęli z przyaresztowanym Turkiem. Żołnierze się posilili, wypoczęli, niektórzy posnęli; drogą przechodziły wozy i ludzie, nie domyślając się, jacy w oczerety zawitali goście; ja dozorowałem Dunaju, siedząc nad brzegiem, wsłuchując się w każdy odgłos, zdradzający warkot kół parowca, wpatrując się przez szkła w każdy ukazujący się w dali przedmiot, mający pozór statku. Statków przesunęło się kilka, lecz żaden nie odpowiadał opisowi, jaki mi przesłał Zima. Nareszcie, po dwugodzinnem blisko oczekiwaniu, ukazał się parowiec, idący przeciw wodzie i ciągnący za sobą na linach dwa żaglowce. Na dany przeze mnie sygnał ukazał się sygnał na parowcu, i po chwili statki żaglowe, z których do uszu moich doszła mętna wrzawa, urwały się, statek zaś parowy ku brzegowi się zwrócił. Stało się to mimo woli kapitana. Gdy sygnały moje znak umówiony dały, z żołnierzy każdy jednemu z majtków, podoficer Jessemu, Zima kapitanowi rewolwer do piersi przyłożył i posłuszeństwo nakazał. Załoga się poddała i na usługi nasze się oddała.

Ambarkowanie oddziału odbyło się prędko i gładko po rzuconym pomoście. Zmieściliśmy się wszyscy, od brzegu odbili i ku przeciwległemu zwrócili się brzegowi. Niestety, parowiec okazał się mniej silnym, aniżeli się wydawał. Dwiestu trzynastu ludzi, kilkanaście koni, wóz, był to dla niego ciężar za wielki. Szedł pod wodę, ale z wysiłkiem. Na środku rzeki mimo nas przesunął się z Gałacu do Tulczy idący, podróżnymi zapełniony parowiec Lloyda austrjackiego. Podróżni różnemi językami wo-

łali ku nam: „Niech żyje Polska!“. Okrzyk ten bodaj czy się kiedy słyszeć dawał na Dunaju. Myśmy go pierwsi wywołali i za dobrą wzięli wróżbę. Wróżba przez pół się ziściła. W przeprawie nam nie przeszkodziło nic: słońce jasno świeciło, wiatr wód Dunaju nie podnosił i na statek fal nie rzucał, Moskale, co na nas czyhali, nie pokazywali się. Była o nich mowa. Powiedziałem Jessemu, że gdyby nas zaatakowali, nie pozostawałoby nam nic innego, tylko abordować parowiec moskiewski i na pokład mu wsunąć dwieście bagnetów. Oczy mu się zaiskrzyły na te słowa.

— Ba — odrzekł i głową pokiwał. — Byłoby to dobrze: podwieźliby was. A tak...

— Co? — zapytałem, zaniepokojony tonem odezwania się jego ostatniego.

— Niedaleko zajedziemy.

— Do Reni tylko.

— Nie dociągniem ani do Kartału.

— Czemu?

— Statek ledwie dysze... Jest obawa, ażeby nie zatonął.

Była to dla mnie wiadomość bardzo niemiła. Zamierzałem wylądować w Reni, a w najgorszym razie w Kartalu dlatego, ażeby po wylądowaniu, zanimby wieść o tem doszła do komendantów załóg izmaiłowskiej i gałackiej, móc się od pierwszej jaknajbardziej oddalić, drugiej zaś do zabieżenia mi drogi sprzodu nie dopuścić. Wylądowawszy w Reni, byłbym miał przed sobą dzień cały marszu swobodnego, zbliżającego mnie do przeprawy przez Prut i do czekających na nas w Rynzesztach podwód. Rady jednak na to nie było. Zagroziło mi to, co owemu, o którym mówi przysłowie, że „morze przepłynął i na brzegu utonął“. Najmniejszej nie miałem ochoty z oddziałem w Dunaju się topić, po krótkiej przeto z Zimą i Jessem naradzie, po rozpytaniu się Jessego o drogi do przebycia na brzegu zapełnionym trząsawiskami, zgodziłem się na lądowanie pod warunkiem, ażeby nastąpiło nie pierwej, aż się okaże absolutna płynięcia dalej niemożność. Okazała się ona prędzej, niż życzyłem sobie. Statek do brzegu przybił — wylądowaliśmy. Wylądowaliśmy na wybrzeżu, wzdłuż którego szła wąska drożyna, wydeptana przez holowników. Opierała się ona stroną przeciwną o niezmierzone przestrzenie oczeretów, rozlegające się pomiędzy głównem ko-

rytem Dunaju, jego lewem ujściowem ramieniem kilijskiem, a jeziorem Jałpuch, wąskiem a długiem, sięgającem północnym końcem granicy rosyjskiej. Musieliśmy przeto obejść to jezioro od południa, dotrzeć do Kartalu i stamtąd traktem, idącym zrazu wzdłuż jeziora Kahul, równolegle z południa ku północy ciągnącego się do Jałpucha, wybrać się na besarabskie szerzyny. Cały marsz od punktu lądowania do Kartalu był wtrętem, pochód nasz opaźniającym o jeden dzień.

Do opóźnienia przyczyniała się w wysokim stopniu fatalna dla woza zwłaszcza droga. Woza rzucić nie mogliśmy, znajdowały się bowiem na nim rekwizyty, których pozbycie się stanowiłoby dla nas stratę niepowetowaną: apteka, amunicja, lance, kociołki, zapasy różne. Był on opakowany i ciężki, grzązł w miękkim gruncie, w miejscach zaś, w których sączące się i do Dunaju wpadające rzeczułki drogę przerywały, przenosić go trzeba było. Przestrzeń, jakąśmy do przebycia mieli, wynosiła 24 kilometry długości, całodniowy zwyczajny marsz wojskowy. W warunkach, w jakich go nam odbywać przyszło, był on trudny, męczący, — męczący tem bardziej, że słońce dopiekało całą temperatury lipcowej potęgą. Przejmowała mnie przytem obawa możliwych pobytu na trzęsawiskach następstw. Pragnieniem mojem było jaknajrychlejsze z zapadni tej wydobycie się.

Pragnienie to przyczyniło się do opóźnienia pochodu o godzinę jaką.

Wzdłuż brzegu natknęliśmy się na dwa rumuńskie „kuluki“ — strażnice graniczne. Na jednym było kilku żołnierzy i na drugim kilku. Straż nasza przednia opanowywała bez oporu jeden i drugi. Na pierwszym zasięgnąłem informacji co do odległości, dzielącej nas od Kartalu. Przerażeni Rumuni niewyraźne dawali odpowiedzi. Uspokoiłem ich i w spokoju zostawiłem. Powinienbym był przyaresztować i z sobą zabrać, ażeby znać nie dali do Izmaiłowa, skąd nam zagrażała załoga wojskowa. Ponieważ jednak spowodu trzęsawisk do Izmaiłowa drogi innej nie było, tylko ta, którąśmy maszerowali, ominąć nas zatem nie mogli, i aresztowanie ich racjiby nie miało. Przytem chodziło mi o to, ażeby w przemarszu naszym przez Rumunję najmniejszego niedopuścić się kroku, znamionującego nieprzyjacielskie z naszej strony zamiary. Do przechodzenia

przez kraj obcy upoważniały nas przechodzenia granicy państw sąsiednich przez Moskali: dawniejsze w czasie bitwy pod Dubienką (1792 r.) i świeże, gdy im potrzeba było okrążyć silną pozycję powstańców pod Kobylanką. Upoważniało nas to i usprawiedliwiało tem bardziej, że zarzut gwałcenia praw międzynarodowych nie tyczył się nas, spod praw tych wyjętych, opinja zaś publiczna całego świata ucywilizowanego zgóry we względzie tym przyznawała nam okoliczności łagodzące.

W przewidywaniu zarzutu tego zbrojne nasze wkroczenie na grunt rumuński poprzedziłem odezwą, którą władzom i dziennikom w Bukareszcie przesłałem, tak czas obrachowując, ażeby ją otrzymały równocześnie z wiadomością o wkroczeniu. Autorem jej jest konsul francuski. W tłumaczeniu polskiem brzmiała jak następuje:

Rumuni!

Jako Polacy zwracać się nie możemy do gabinetów europejskich celem podpisywania traktatów i zawierania układów. Pozostaje nam tylko tak wam, jak całemu światu ucywilizowanemu, przedstawić nasze względem was zamiary i postępowanie. Oto one:

Prowadzę przez Księstwa Zjednoczone oddział orężny i przez to gwałcę neutralność ziemi waszej.

Wobec Boga jednak i Europy w towarzyszy moich i mojem własnem imieniu oświadczam, że czynimy to zmuszeni potrzebą.

Niema dla nas alternatywy innej, tylko: albo nie stanąć na wezwanie ojczyzny, albo przejść przez ziemię waszą. Wybieramy to ostatnie. Niech nas świat sądzi.

Wierzcie, że przechodzimy jako przyjaciele wasi. Skrupulatnie szanować będziemy wszystkich w osobach ich i mieniu. Gdyby zaś drażliwość wasza narodowa poruszyła się, widząc nas przy ogniskach waszych, pomyślcie, że jesteśmy dziś żołnierzami niepodległości ojczyzny naszej, spod praw wyjętymi, że jutro będziemy może męczennikami.

Nieprzyjaciele nasi sami — czyż nie gwałcili ziem obcych? Nie wchodziliż oni wielokrotnie do Prus wcelu manewrowania przeciwko Polakom? W czasach zaś ostatnich strzelcy rosyjscy czyż nie strzelali do oddziału polskiego z gruntu austrjackiego?

Co czynią oni dla zadawania nam ciosów tem pewniejszych, możeż niedozwolonem być nam w obronie? — nam, nieposiadającym środków innych, tylko serca i ramiona, praw innych, tylko prawa naturalne, sprzymierzeńców innych, tylko sprawiedliwość boską i ludzi uczciwych sumienie?

Puśćcie więc nas, idziemy bowiem walczyć przeciwko nieprzyjaciołom cywilizacji i wolności.

Puśćcie nas, ponieważ przejść musimy bądźcobądź *(quand même)*.

Nie zapominajcie, że dwa narody nasze są bratnie i że krew rozlana spadnie na tego, co pierwszy zaczepi.

Gdyby zaś oskarżono nas przed wami, wywołując przeciwko nam zimną kwestję prawną, odpowiedzcie, i wraz z wami odpowie każdy człowiek serca:

Jakiż trybunał potępiłby syna za to, że przechodzi przez pola sąsiada, spiesząc na ratunek matki, smaganej przez mordercę.

12 lipca 1863 r. Naczelnik oddziału
Z. Miłkowski, pułkownik.

Zobowiązaliśmy się przeto, albo raczej jam się w imieniu oddziału zobowiązał, nie poczynać sobie po nieprzyjacielsku w kraju rumuńskim, i zobowiązania tego dotrzymywałem ściśle. Strażnicy rumuńscy byli uzbrojeni; mogłem im broń zabrać — pięć karabinów na jednym, pięć na drugim kuluku: nie uczyniłem tego. Na drugim kuluku, leżącym, jak miarkowałem, wpobliżu granicy trzęsawisk, za którą spodziewać się należało dróg kołowych, kazałem komendantowi strażnicy iść z nami i służyć nam za przewodnika. Przewodnik ów na błędną wprowadził nas drogę. Uczynił to zapewne umyślnie. Spostrzegłem się na tem, nawrócić kazałem, przewodnika uprowadzając, lecz najmniejszej mu nie wyrządzając przykrości, mimo żem mu był zapowiedział, że go rozstrzelać każę, jeżeli nam skrewi. Zabłądzenie to zbawiło nam czasu z godzinę, może więcej. Wieczorem dopiero wydostaliśmy się z matni jeziorek, przylegających do południowego krańca jeziora Jałpuch, i wyszli na drogę zwykłego, za panowania Mikołaja I, moskiewskiego na Turcję najazdu. Moskale w latach 1828 i 1853, wkraczając na Mołdo-Wołoszczynę, równocześnie wkraczali na Dobrudżę, celem wyrównania linji frontu operacyjnego przez opanowanie tej prowincji, pełniącej, skutkiem przedujściowego załomu Dunaju, funkcję fortecznego w strategicznym sensie bastjonu. Turcy nie znali militarnego prowincji tej znaczenia; Moskale opanowywali ją z łatwością, przechodząc przez most, który stawiali na Dunaju naprzeciwko Isakczi. Po przeprawie w r. 1828, dokonanej przy pomocy Zaporożców, osiedlonych przez W. Portę na Dobrudży, na pamiątkę tę kazał Mikołaj I zbudować nieopodal od miejsca przeprawy monaster dla czerńców. Do tegoto monasteru dociągnęliśmy późnym wieczorem, znużeni bezsenną nocą i całodziennym na upale marszem.

Monaster ów leży u południowego skraju jeziora Kahul, wąskiego, mil pięć zgórą ciągnącego się ku północy, do wsi dużej Etiulki, przy której wpada doń rzeczka tejże nazwy. Gdybyśmy byli wylądowali w Reni, albo przynajmniej w Kartalu, bylibyśmy nocowali jeżeli nie pod Etiulki, to niedaleko, o jakie trzy ćwierci marszu dalej od monasteru. Byłoby to nas o tyle odsadziło od pościgu załóg rumuńskich: gałackiej, liczącej ludzi 1000, i izmaiłowskiej, której liczbę podano mi na ludzi 900, nie licząc w to garnizonów pomniejszych i żandarmerji. Tak zaś odrazu znaleźliśmy się prawie osaczeni: na lewo garnizon gałacki, który nam drogę mógł zastąpić; za nami garnizon izmaiłowski, który, gdyby się był o wylądowaniu naszem w porę dowiedział, mógłby był nas pod monasterem uprzedzić. Straciliśmy ważny dla nas dzień jeden. Gdyby nie to, byliby nas Rumuni nie doścignęli i do stoczenia z nimi bitwy nie zmusili, bylibyśmy się przeprawili przez Prut, zanimby się oni opamiętali i, nawet na wypadek niezastania wozów na prawym brzegu Prutu, przemknąćbyśmy się byli mogli lasami mimo pościgi.

Gdym myślał o położeniu, w jakie nas opóźnienie marszu wprawiło, niewesoło mi było na duszy. Nie pokazywałem jednak tego po sobie. Rozpoznałem drogi, kazałem postawić warty, posilić się, czem kto przy sobie miał, i lec na spoczynek. Znużenie i mnie się mocno czuć dawało. Musiałem jednak uczynić, przed wyciągnięciem zbolałych kości, zadość etykiecie: przyjąć przełożonego monasteru, który w towarzystwie paru mnichów wyszedł, ażeby mi pokłon złożyć. Mnisi spodziewali się złych z naszej strony procederów, przełożony bowiem zaczął rozmowę od dziękowania mi za szanowanie domu bożego. Był to Moskal, mówiliśmy z sobą po rosyjsku. Wytłumaczyłem mu, że jesteśmy nieprzyjaciółmi nie narodu, ale rządu, że szanujemy wszystkie narody, ich zwyczaje i wiary, domagamy się, ażeby nas taksamo szanowano. Na dowód złożyłem w ręce mnichów datek na ich klasztor. Przełożony błogosławił nam i powodzenia życzył, zobowiązując się modlić na intencję naszą. Zapraszał mnie do klasztoru. Wymówiłem się. Po odejściu jego wyniesiono z klasztoru wina, chleba i sera dla żołnierzy. Nie wiem, czy zobowiązania się modlenia dotrzymał. Później się dowiedziałem, że na noc całą wyprawił dwóch gońców, jednego

do Izmaiłowa, drugiego do Bolgradu, zawiadamiając o obecności naszej władze rumuńskie i rosyjskie.

Nazajutrz wyruszyliśmy o dnia świtaniu. Marsz całodzienny odbyliśmy wzdłuż jeziora Kahul, bez najmniejszej przeszkody. Nic absolutnie znać nie dawało, że Rumuni nieprzyjazne jakie względem nas zamiary żywią. Nie spotkaliśmy żadnego podjazdu, nie widzieliśmy żadnego rekonesansu. Przypuszczałem, że garnizon gałacki podąża przeciwko nam drugą stroną jeziora; przypuszczałem atoli, że z Gałacu wyruszyć nie mógł wcześniej, niż myśmy spod klasztoru wyruszyli, i mając dłuższą aniżeli my do przebycia drogę, sprzodu nam nie zajdzie. Dla upewnienia się w tem nagliłem żołnierzy do pośpiechu. Ci, co odbywali marsze w dnie lipcowe, wiedzą, co one znaczą. Pod lejącym się z nieba żarem słonecznym maszerowanie, luboć żołnierze nasi lekko byli odziani, nad wyraz było uciążliwe. Umundurowanie składało się: z kitla płóciennego, takichże spodni, z czapki rogatywki z daszkiem, z trzewików — ot i wszystko. Zamiast płaszczów, zaopatrzyliśmy żołnierzy w deki, raczej kołdry, dlatego że taniej kosztowały i jako pledy płaszcze zastępowały. Te pledy na sobie nieśli, a do tego tornistry, ładownice i karabiny. Luboć przeto sama odzież nie ciężyła, to jednak, co do dźwigania było, ciężyło i parzyło, wywołując w ludziach wylewy potu. Ledwie się wlekli biedacy. Ponaglałem ich do pośpiechu, zapowiadając im dwa dni jeszcze wysiłku, po którym spoczną w chłodzie leśnym; lecz zmiarkowałem, że pomóc im potrzeba. W tym celu, po naradzie z Zimą i Przewlockim, postanowiłem podwód dwie nająć. Myślałem o podwodach dla oddziału całego, ale było to rzeczą nie do wykonania naprędce, a przytem pieniądze oszczędzać musiałem tak na żywność (za wszystkośmy płacili), jakoteż na opłacenie podwód, czekających na nas na prawym brzegu Prutu. Dotarcie do przeprawy stanowiło troskę moją największą i najważniejszą.

Bezprzeszkodnie, zatrzymawszy się na parugodzinny wypoczynek w lesie nad jeziorem, doszliśmy Etiulki, wsi dużej, położonej u wierchowin jeziora Kahul.

Ledwieśmy się dowlekli.

Nie więcej jak na pół godziny przed zachodem słońca rozłożyliśmy się pod wsią obozem, mając na lewo wpadającą do jeziora rzeczkę, na prawo ciągnące się do niej równoległe

wzgórza niewysokie. Przewłocki, który skutkiem dłuższego w Rumunji pobytu oswojonym był z porządkami krajowemi, udał się niezwłocznie do wsi, celem zakupienia żywności i najęcia podwód. Z jednem i drugiem załatwił się prędko, przy pomocy wójta i popa, — powrócił, prowadząc ze sobą dwa duże parokonne wozy i wioząc na nich zakupioną naprędce żywność. Mieszkańce okazywali uprzejmość i życzliwość. Wywzajemniliśmy im za to, zostawiając na cerkiew upominek pieniężny.

Noc przeminęła spokojnie. Gdyśmy nazajutrz do dalszej zbierali się drogi, ja najpierwszy zoczyłem na wzgórzu pierwszą pościgu rumuńskiego oznakę. Pokazała się żandarmerja konna.

— Masz go! — pomyślałem sobie.

Wgłębi duszy mojej, licząc na głośno objawianą dla nas świata ucywilizowanego sympatję, jakoteż na odezwę moją, przypuszczałem, że rząd rumuński tak nas ścigać będzie, jak nam Turcy zorganizować się wzbraniali. Nie liczyłem na to, alem przypuszczał, jak się przypuszczają rzeczy trudne, możliwe jednak. Możliwość ukazywała się mi w tem, że dla rządu rumuńskiego przepuszczenie nas przez terytorjum swoje było najmniej kłopotliwem. Mógł nas szukać i nie znaleźć, dogadzając w ten sposób i obowiązkom względem sąsiedniego mocarstwa, z którem w przyjaznych pozostawał stosunkach, i opinji świata ucywilizowanego, i nam. Myliłem się. Rząd rumuński inaczej te rzeczy pojmował; jak zaś je pojmował, wykazuje to dowodnie depesza urzędowa, przytoczona w chronologicznym porządku w sprawozdaniu mojem, w książce p. t. *W Galicji i na Wschodzie*. Depesze te opowiadają, co rząd rumuński myślał i co przeciwko nam przedsiębrał, ruszając wojska z Izmaiłowa, Gałacu, Reni, Tekucza, Jass i zewsząd, gdzie się jaka siła zbrojna na zakreślonej przez te miasta przestrzeni znajdowała. Było tego mniejwięcej 6000 wojowników.

— Masz go! — pomyślałem sobie, gdym ujrzał flankierskim szykiem powoli poruszających się żandarmów, wyglądających groźnie dzięki mieniącemu się barwami i połyskami umundurowaniu.

Zdjęliśmy obóz spokojnie i spokojnie dalej w marsz poszli. Gdyśmy mimo wsi przeciągali, ludność się wysypała i życzliwie nam się przyglądała. Kobiety żołnierzom wtykały: ta placki,

ta kawałek „pastermy“ [1], owa jajo pieczone, i dobrej drogi życzyły. Był tam pop, była i starszyzna gminna. Przejeżdżając mimo nich, konia zatrzymałem, ażeby im powiedzieć, żeśmy do kraju ich nie jako nieprzyjaciele weszli: przechodzimy tylko, spiesząc na wojnę przeciwko naszemu i ich wrogowi. Posiadałem na tyle język rumuński, że mnie krótkie nie ambarasowały przemówienia. Nie odpowiedzieli mi oni nic, lecz im z oczów przemawiała życzliwość dla nas. Za dobrą wziąłem to wróżbę. Życzliwość włościaństwa w Rumunji potrzebną nam była za Prutem szczególnie.

Nie wiedziałem nic zgoła o przedwstępnych wojsk rumuńskich ruchach. Pokazały się nam one za Etiuli, w odległości kilku wiorst od tej wsi, na towarzyszącej rzeczce Kahul szerokiej dolinie, — pokazały się w szyku bojowym, złożonym z trzech kolumn piechoty i kilkunastu jeźdźców. Miało to minę wyzwania, które nas jednak nie zobowiązywało. Nie zaprzestaliśmy marszu. Przypatrzenie się przez szkła kolumnom tym nie wzbudziło we mnie obawy, mimo że siły rumuńskie w stosunku do naszych były jak trzy do jednego. Przytem ściganie w rozwiniętym szyku było rzeczą niemożliwą. Szliśmy więc dalej spokojnie, nie przyśpieszając kroku: na przodzie wozy, przed wozami jazda, za wozami piechota, za piechotą Zima, Przewłocki i ja. Zima, Przewłocki i ja oglądaliśmy się. Po niejakimeś czasie ujrzeliśmy jeźdźca z białą na pałaszu szmatą — chustką zapewne —, którą ku nam powiewał. Wysłałem do niego Przewłockiego. Przewłocki powróciwszy oznajmił, że pułkownik Kalinesku, dowodzący wojskiem rumuńskiem, żąda, ażeby się oddział polski zatrzymał i dowódca jego na rozmowę z nim się zjechał. Odesłałem Przewłockiego z odpowiedzią, że się oddział polski zatrzyma, jeżeli się zatrzymają Rumuni, dowódca zaś oddziału chętnie na rozmowę się zjedzie na połowie odległości pomiędzy dwoma wojskami. Po odpowiedzi tej, gdy Przewłocki o przyjęciu warunków zawiadomił, gdym zobaczył, że się wojska rumuńskie zatrzymały, kazałem oddziałowi, nie zmieniając szyku pochodowego, stanąć. Widok świty, z jaką pułkownik rumuński spoza szeregów piechoty się wynurzył, zniewolił mnie

[1] Mięso na słońcu suszone. (Nota T. T. Jeża).

przywołać jazdę naszą dla eskortowania mi. W towarzystwie Zimy i Przewłockiego wyjechałem na rozmowę.

Zjechaliśmy się na drodze, pośrodku pomiędzy dwoma oddziałami.

Rozmowę zagaił Kalinesku zapytaniem:

— Jakeście się panowie odważyć mogli zgwałcić terytorjum rumuńskie?

— Konieczność nas do tego zmusiła — odrzekłem, objaśniając te wyrazy racjami, jakie w odezwie mojej podałem.

— Czemuś, pułkowniku, o pozwolenie rządu nie zapytał?

— Byłem pewny, że pozwolenia rząd nie udzieli.

— Mam rozkaz rozbroić was i zagranicę wyprowadzić.

— Broń niesiemy do Polski: dobrowolnie jej nie złożymy.

Na tem tle zawiązała się pół godziny może trwająca rozmowa, w której za argumenty służyły: rozkazy rządowe (dla Kalineski rządu rumuńskiego, dla mnie — narodowego) i honor wojskowy. Powtórzyłem przytem parę razy, że gdybym zmuszony został przyjąć bitwę, przyjmę ją z niechęcią i zgóry z siebie za rozlew krwi odpowiedzialność zdejmuję. Dodałem oraz, że nie zobowiązują nas, spod praw wyjętych, prawa międzynarodowe, i że, co się prawowitości naszego postępku tyczy, zdajemy się na sąd opinji publicznej Europy.

Gdyby był Kalinesku w wystosowanej do rządu swego po tej rozmowie ze mną depeszy telegraficznej słowa moje powtórzył, kto wie, czy nie byłby otrzymał rozkazu: ścigania, ale nie zaczepiania. Słów moich nie powtórzył: zatelegrafował, że uciekamy, że wojsko pod jego dowództwem, pełne zapału, gore pragnieniem zajrzenia nam w oczy [1].

Rozmowa tem się skończyła, że, gdym z niej oddziałowi sprawę zdał, żołnierze odpowiedzieli okrzykiem:

„Niech żyje Polska!“

Brzozowski podszedł do mnie z oświadczeniem, że kompanja jego (złożona z socjalizującej młodzieży) zobowiązała się pójść na bagnety — bez wystrzału. Podziękowałem kompanji za to.

Poszliśmy dalej.

Czas jakiś widzieliśmy za sobą posuwające się naprzód

---

[1] *W Galicji i na Wschodzie*, str. 138—140. (Nota T. T. Jeża).

kolumny rumuńskie pod osłoną tyraljerów. Załom gruntu, następnie lasek, dalej wieś zasłoniły nam ten widok. Po przejściu przez wieś (Hadżi Abduły) straciliśmy je z oczu zupełnie. Dociągnęliśmy do wsi Wolkaneszti i nieopodal za nią, zboku, upatrzyłem jar, w którym wybrałem miejsce na wypoczynek dla oddziału. Oddział się w nim całkowicie ukrył. Upatrzyłem sobie jeno nad jarem punkt, z którego obserwować mogłem trakt. Na trakcie nic się nie pokazywało.

W tej części Besarabji, słabo zaludnionej, grunt bezleśny wydyma się w wyżyny o łagodnej pochyłości dzielących wody rzeczułek. Nad rzeczułkami rozsiadły się wsie i miasteczka. Wolkaneszti leżą nad rzeką Kahulem, płynącym równolegle do Salczi, której jedno z ramion wypływa ze źródeł, znajdujących się w pobliżu Goteszt, stanowiących cel pochodu mego. Do Goteszt prowadził trakt; lecz ponieważ na trakcie byliśmy już wytropieni, postanowiłem przeto zejść z niego, zgubić się dla Rumunów w okolicy stepowej w taki sposób, ażeby szukali wiatru w polu i pozwolili mi zyskać na czasie. Po wyruszeniu przeto z wypoczynku poprowadziłem oddział stepem, wziąłem się lewem ramieniem naprzód pod górę w kierunku ku wsi Musaida i, niedostrzeżony, za górą znikłem. Liczyłem na to, że przez noc całą będą nas Rumuni szukali, nad ranem odnajdą, lecz oddalonego o całodzienny marsz doścignąć już nie będą mogli. Pokazało się, żem się przeliczył. Manewr ten byłby się mi powiódł w zupełności i dał nam możność przeprawienia się d. 15 lipca przez Prut, gdyby nie to, że Kalinesku, zatrzymawszy się w jakiejś wsi przed Wolkanesztami, doczekał się posiłków w piechocie i jeździe, której się szczególnie domagał, spędził z okolicy całej podwody i na podwodach nas ścigał.

Pod Musaidą, do której drogą przepaścistą doszliśmy późnym wieczorem, noc spędziliśmy spokojnie. Żołnierze wypoczęli. Trzeba było ich jadłem posilić. Wysłani po zakupno prowizyj na wieś powrócili z niczem. Wieś stała pustką — nie znaleźli w niej ducha żywego. Było to następstwem rozesłanych po gminach publikacyj, nakazujących mieszkańcom mieć się na baczności, ponieważ do kraju wpadła banda złoczyńców. Nie było rady. Wyruszyliśmy z noclegu naczczo z zamiarem skupowania żywności po drodze, a wyruszyliśmy tem śpieszniej, że jeden z wysłanych przeze mnie podjazdów spotkał podjazd

rumuński, który zgóry nas zaobserwował, zawrócił i cwałem się oddalił, gdy się mu nasi pokazali jeźdzcy. Nie wątpiłem, że Kalinesku, o nas zawiadomiony, ku nam się zwróci i śladem za nami pójdzie. Nie przypuszczałem, ażeby nas doścignąć mógł, tego będąc przekonania, że jak my piechotą idziemy, tak i on wojska swoje piechotą prowadzi.

Ze skupowaniem żywności poszło jakotako dzięki karczemkom po drodze, trzymanym przez Żydów. I ich publikacja o złoczyńcach doszła, ale oni się nie zlękli i dobrze na tem wyszli. Wysprzedawali nam wszystko, co mieli, najwięcej mąki kukurudzianej na mamałygę. W jednej z karczemek Przewłocki znalazł obwarzanków sporo — zabrał wszystkie, wynadgrodziwszy Żydówkę sowicie. Żołnierze po kieliszku wódki i po obwarzanku dostali. Posiłek substancjonalniejszy, mamałygę, którą ugotować trzeby było, odkładałem do popasu; na wszelki zaś wypadek na popas, luboć się zaczepki ze strony Rumunów nie spodziewałem, do spółki z Zimą upatrywałem pozycję bojową.

Od karczemki do karczemki, idąc prawym brzegiem pod wodę rzeczułki Salczi i nie widząc za sobą nikogo, doszliśmy około dziesiątej mimo stawu i rozlegającej się za nim wsi jakiejś (Kartauł) do punktu, w którym do Salczi wpada z prawej strony niezaznaczona na mapach żadną nazwą rzeczułka. U zbiegu tych dwóch wód drogi się rozchodziły: jedna na prawo prowadziła ku granicy rosyjskiej, druga na lewo ku Gotesztom. Przy zbiegu dróg tych stała karczma, opierająca się tylną stroną o jar, idący pod górę, zwężający się ku górze i zarosły krzewinami, a zwrócony dolnym otworem do drogi, towarzyszącej głównemu korytu Salczi. W karczmie tej Przewłocki coś jeszcze kupił, przyzostał się był w niej nawet, oddział zaś pociągnął dalej.

W odległości dwóch, może trzech kilometrów od tej karczmy ukazała się nam osada, położona nad prawobrzeżnym przytokiem Salczi, wyglądająca ponętnie dla oka i obiecująco w odniesieniu do użytku, na jaki upatrywałem pozycji. Duże drzewa, spoza nich przeglądające zabudowania, opierające się o wyżynę lasem porosłą, znamionowały zagrodę, zapewniającą wypoczynek w cieniu, któregośmy od Etiuli nie znajdowali, i oparcie pleców na wypadek zaczepki orężnej.

— Tu moglibyśmy od biedy bitwę stoczyć i odebrać Ru-

munom ochotę deptania nam po piętach — odezwał się do mnie Zima, zdaje się, gdyśmy się do zagrody zbliżyli.

To się w oczy rzucało.

Osada składała się z czworobocznego ogrodu warzywnego, okopanego rowem i obsadzonego grubopiennemi drzewami, położonego pomiędzy drogą z jednej a rzeczułką z drugiej strony. Za ogrodem nad drogą stała karczma; nad rzeczułką, płotem otoczone, widzieć się dawały zabudowania gospodarskie: szopy, stodoły, szpichlerze etc. Wszystko to leżało w dolinie, u stóp równolegle ciągnących się gór, z których jedna cyplem wchodziła w widła rzeczek, zlewających się nieopodal od położonej u wylotu jaru karczmy. Pomiędzy ogrodem a tą karczmą rozlegała się bujną okryta trawą dolina. Za karczmą zaś ową wznosiła się stożkowa, najwyższa w łańcuchu góra; u stóp jej wyżej zaznaczony jar przechodził.

Obejrzawszy pozycję, kazałem oddziałowi stanąć, uszykowałem go pod ogrodem, frontem do łąki, kompanja pierwsza na prawem, trzecia na lewem skrzydle, opartem o cyplowatą górę; kazałem broń w kozły złożyć, warty postawić, i ludzi do gotowania mamałygi wykomenderować. Wozy (mieliśmy trzy, wozy bowiem najęte w Etiuli kupiliśmy u właścicieli wraz z końmi i uprzężą) i jazdę ustawiłem za ogrodem, obok zabudowań. Za lewem skrzydłem trzeciej kompanji, nieco zboku, pomiędzy ogrodem a płynącą popod cyplowatą górą rzeczką rozlegała się łączka niewielka, dysząca świeżością i ocieniona rzadko na niej rozsadzonemi rozłożystemi drzewami. Na niej ustawiłem kompanję oficerską.

Rozkoszny to był po męczących przemarszach wypoczynek. Żołnierze za bronią w kozłach zalegli w cieniu drzew i bożkowi snu we władanie się oddali, oczekując na jadło, którego potrzebę mocno czuli. W powietrzu panowała cisza. Słońce świeciło jasno i dogrzewać już zaczynało. Myślałem o tem, że w samo południe, może o pierwszej, będziemy musieli ruszać dalej i maszerować w upał największy. Mieliśmy już chorych, między innymi kapitana Towarnickiego, którego naczele kompanji zastępował kapitan Dębicki. Z żołnierzy wielu miało nogi okaleczone, szmatami je sobie poobwijali i bez butów maszerowali. Żal mi ich było serdecznie, alem musiał z nich w dniu tym forsowny wydobyć marsz, ażeby dotrzeć do Konstanty-

nówki (tak — przypominam sobie: Konstantynówką nazywała się wieś przez Świejkowskiego dzierżawiona), pierwszej przygotowanej przez Stefanka (Skalskiego) etapy, na której znaleźć mieliśmy skazówki i przewodników. Studjowałem mapę i obliczałem odległość, a przytem, ażeby się nie znaleźć zaskoczonym znienacka, rozpatrywałem pozycję.

Pozycja była wyborna. Na prawo ciągnęła się góra, przerwana parowem przy karczmie, na lewo również góra cyplowego kształtu, o której pisałem poprzednio. Ogród, pod którym oddział uszykowałem, nadawał się na wypadek porażki na schron, celem zapewnienia odwrotu w porządku. Ku temu celowi służyć jeszcze mogły chałupy w liczbie kilku, położone na wysokości ogrodu, na połowie pochyłości z prawej ciągnącej się strony i dominującej nad drogą.

Obmyśliłem sobie to wszystko, idąc instynktowo za radą przysłowia: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże“. Wogóle w życiu ważną ono odegrywa rolę, najważniejszą atoli na wojnie. Mimo przeto żem się zaczepki nie spodziewał, przygotowałem się do odparcia jej; przewidując zaś możliwą porażkę, ułożyłem sobie: obsadzenie chałup na pochyłości dla ostrzeliwania drogi i obrony naszego prawego skrzydła; powierzenie obrony skrzydła lewego kompanji oficerskiej; ściągnięcie oddziału do ogrodu i trzymanie ogniem spoza okopów przeciwnika w oddaleniu póty, póki wozy pod przykryciem jazdy nie wyruszą. Zamierzałem w ostatku wyprowadzać kompanję po kompanji, co było rzeczą możliwą, dalsza bowiem droga szła pod górę, pomiędzy krzaki i zagajniki, nakazujące przeciwnikowi ostrożność.

Ułożywszy sobie plan taki, chciałem i ja wypocząć. Kości mnie bolały. Przeszedłem wzdłuż szeregu złożonych w kozły karabinów, kierując się ku łączce, na której się oficerowie nadliczbowi i lekarze rozłożyli. Nim do tej łączki doszedłem, przystanąłem, powiodłem okiem po zjętych snem żołnierzach, na których drzewa rosochate opiekuńczy rzucały cień, — błogo mi się zrobiło.

— Prześpią się, następnie podjedzą sobie i dziś do Konstantynówki dojdą — pomyślałem.

Odwróciłem się, puściłem wejrzenie ku karczmie przy parowie — zastanowiła mnie wzbijająca się poza nią kurzawa. Nie widziałem jej przedtem. Coby to być mogło?

— Chyba Kalinesku, zaopatrzony w kawalerję, wysłał silny podjazd, ażeby nas przytrzymać, nim z piechotą nie nadciągnie.

Domysł ten wymagał sprawdzenia, zamiast więc iść na łączkę dla zażycia wypocznienia, wezwałem Zimę i we dwóch czyniliśmy spostrzeżenia, dołączając do nich uwagi odpowiednie, a nie przypuszczając, ażeby Kalinesku, który później od nas z noclegu ruszyć musiał i miał dłuższą nieco aniżeli my do przejścia drogę, cały swój oddział prowadził.

Nie długośmy czekali na przekonanie się, że to nasze przypuszczenie było błędnem. W kurzawie, gdy do karczmy doszła, ukazały się nam wozy, które się zatrzymały i z których wysypała się piechota.

— A? — odezwaliśmy się i Zima i ja.

Zagroziła nam zaczepka. Nie kazałem jednak śpiących budzić, uważając że na to dosyć będzie czasu, gdy Rumuni się uszykują. Przypatrywaliśmy się i naradzali. Powzięty przeze mnie plan Zima uznał za dobry. Czekaliśmy, co dalej nastąpi.

Rumuni się w oczach naszych z ostentacją szykowali. Łatwo się było domyśleć, że chcą nam przewagę sił swoich wykazać. Kolumny się formowały, jedna po drugiej wychodziły i stanowiska zajmowały: trzy w pierwszej linji, czwarta w rezerwie, sama piechota. Jazda się nie pokazywała. Pierwsza linja zajęła wpoprzek dolinę, od wideł zbiegu rzeczułek do karczmy przy parowie. Kolumny wyglądały poważnie, każda dwa przynajmniej razy większa niż oddział nasz cały. Rzut oka wykazał nam, że będziemy mieli do czynienia z przeciwnikiem ośm razy silniejszym liczebnie.

Ani Zima, ani ja uwagi tej nie wypowiedzieliśmy głośno. Zanotowaliśmy ją sobie w umyśle. Zima się odezwał:

— Pora już Jagmina wezwać.

Jagmin chrapał w cieniu.

— Majorze!

Trzeba było wołanie razy parę powtórzyć i dotykalnie je wyrazić, ażeby Jagmin zerwał się, usiadł i słyszeć dał wykrzykniki:

— Ha!... aha!... co?

— Niech major żołnierzy rozbudzić każe.

— Albo co?

— A... o!... — wskazałem palcem.

Porwał się na równe nogi.

— Wstawać! — huknął, zapinając z pośpiechem na sobie mundur, upinając pałasz, wkładając na głowę kaszkiet i przybierając regulaminową do odbierania i dawania rozkazów postawę.

— Niech żołnierze broni nie rozbierają — rzekłem. — Niech się tylko ze snu otrząsną, poumywają i w pogotowiu będą.

Zarządziłem wydzielenie szesnastu ludzi i porucznika Wojny do obsadzenia chałup; kazałem jeździe spoprężyć i pomunsztuczyć konie i wozów zaprzężonych nieodstępować i — czekałem.

Gdyby jadło było gotowe, kto wie, czybym nie był nakazał pochodu, pozostawiając Rumunów w szyku bojowym. Nie mogłem jednak prowadzić dalej żołnierzy głodnych — prowadzić ich na to, ażeby być w godzin parę później dopędzonym przez jadące wozami wojsko i zmuszonym przyjąć bitwę w pozycji niedogodnej.

Czekałem więc z daniem rozkazu rozebrania z kozłów broni na ruchy kolumn rumuńskich, mianowicie na wysłanie przez nie tyraljerów. Nie śpieszyło się mi raz dlatego, że dzieląca nas od nich odległość, wynosząca dwa do trzech kilometrów, zostawiała nam na przyszykowanie się czasu dosyć, powtóre dlatego, żem uważał za rzecz ryzykowną oddalać się od osłaniających plecy nasze zabudowań i ogrodu. Zachodziła i ta jeszcze racja, bardziej polityczna niż wojskowa, że mi chodziło o stosowanie się do tego, com w odezwie powiedział:

„...że krew rozlana spadnie na tego, co pierwszy zaczepi“.

I Rumunom jednak nie śpieszyło się zaczepiać nas, gdy się gorące ich spełniły życzenia i myśmy do nich twarzą w twarz stanęli. Przez szkła widzieliśmy pułkownika sztabem otoczonego. Front objeżdżał, przed kolumnami się zatrzymywał, do żołnierzy przemawiał, — wreszcie zatrzymał się i spośród jeźdźców, których było z piętnastu, wysunął się jeden z białą na pałaszu chustką.

Parlamentarz.

— Jedź, Walery — odezwałem się do Przewłockiego.

Warunki do rozmówienia się takie same, jak pod Etiuli.

Przywołałem do eskortowania mi całą naszą jazdę.

Rozmowa odbyła się i zakończyła, jak poprzednio, z tą jeno różnicą, że akcentowała ją większa ze trony Rumunów — powiedziałbym — serdeczność. Serdeczność tem się wyraziła, że Kalinesku wypowiedział żal spowodu, że się na pewną narażamy klęskę.

— Patrz, pułkowniku — rzekł do mnie, wskazując ręką na stojące z bronią do nogi bataljony swoje. — Jestem od ciebie dziesięć razy silniejszy. Was garstka... *Je vous écrraserai...*

W wyrazie ostatnim „r“ z dobitnym wymówił przyciskiem.

Odpowiedziałem mu na to, że mnie to dziwić nie będzie.

Wszystkie poprzednie argumenty powtórzył i ja je również powtórzonemi odparłem argumentami. Nie powiedzieliśmy sobie nic nowego. Wreszcie wezwał mnie na rozmowę we cztery oczy. Odjechaliśmy na stronę i on do mnie w takim przemówił sensie:

— Pokonam was... to najmniejszej nie ulega wątpliwości.

— Być może — odrzekłem.

— Zważ, co nastąpi. Mam o was wiadomości dokładne. W szeregach waszych znajdują się ludzie znakomici, wielcy poeci, uczeni, oficerowie wysoko wykształceni: pozbawisz Polskę ich wszystkich.

— Może nie wszystkich — wtrąciłem.

— Co mówisz! — wykrzyknął. — Nie znasz wojska, które prowadzę. To dzicz... Gdy was złamie, co jest rzeczą nieochybną, żadna siła nie powściągnie rozwścieczenia, jakie żołnierzy rumuńskich opanuje. Wymordują was co do nogi. Ryzykując się na bitwę, bierzesz, pułkowniku, wobec ojczyzny swojej odpowiedzialność ogromną...

— Nacóż wy nas zmuszacie? — odpowiedziałem.

— Mam rozkazy.

— Wiem o tem i nie panu, panie pułkowniku, dziwię się, ale tym, co dają rozkazy ścigania nas na wozach. Przechodzimy przez wasz kraj spokojnie, nie krzywdząc nikogo. Ścigajcie nas, ponieważ tego wymagają nas nieobowiązujące stosunki międzynarodowe, ale jak się ściga przyjaciół; przeszkadzajcie nam, ale jak się przeszkadza ludziom, dla których, jak powiadacie, gorące żywicie spółczucie. Dziwi mnie przeto rząd wasz, nakazujący ci, pułkowniku, z taką ścigać nas zawziętością.

Nie wiedziałem, wiedzieć bowiem nie mogłem, że wozy Kalinesku *ex propria* wymyślił *diligentia*.

— Bijemy się więc — rzekł.

— Cóż począć! — odrzekłem —, jeżeli nie można inaczej...

Zwróciliśmy konie ku gromadzie, toczącej z Zimą i z Przewłockim rozmowę. Przerwał ją Kalinesku oznajmieniem boju. Nastąpiła scena pożegnalna, niepozbawiona charakteru. Oficerowie rumuńscy podawali nam do uścisku dłonie z wyrazami:

— *Au revoir sur le champ du combat.*

Jakiś młody oficer do mnie podjechał i dłoń mi uścisnąwszy, przemówił:

— *Colonel, dans la mêlée j'épargnerai votre tête.*

Podziękowałem mu. Rozjechaliśmy się.

Zapomniałem dodać, żem w rozmowie z naciskiem zaznaczył razy parę, że pierwsi strzelać nie będziemy.

Rozjechaliśmy się galopem. Przed szeregiem broni w kozłach konia osadziłem i kazałem Jagminowi, ażeby kazał rozebrać broń.

Rozebranie ściśle się według regulaminu dokonało.

Gdy bataljon pod bronią stanął, przemowa, z jaką się do żołnierzy zwróciłem, na następujących ograniczyła się wyrazach:

— A więc... będziemy się bili!

Byłbym może zdobył się na powiedzenie czegoś więcej, gdyby słów tych nie pokrył okrzyk:

— Niech żyje Polska!

Powiodłem po żołnierzach okiem. Na obliczach ich, w ich oczach okrzyk ten odbijał się jak słońce w wód lustrzanych krysztale. Czuć i widać było, że nie na wiatr go rzucili, że on im z najgłębszych głębin ich istot wypłynął. Pomiędzy nimi a mną, ich wodzem, dokonało się w mistyczny sposób zespolenie myśli i uczuć. Staliśmy się jedną duszą w dwóch stach ciał. Oni mi intonacją głosu, swobodną i spokojną postawą, powiedzieli:

— Prowadź nas na śmierć za Polskę.

Ja im odpowiedziałem:

— Pójdziemy.

Za Polskę?... nie w Polsce?

Oni czuli, ja rozumiałem, że polską, międzynarodową sprawę na międzynarodowym postawić należy gruncie, nietylko rozbudzając o niej echa sympatji, lecz zaczepiając Europę czynem. Ku temu nadawał się jedynie grunt kwestji wschodniej.

Znalazłszy się na nim, obowiązkiem moim było wyzyskać go do ostatnich granic możliwości. Dlatego nie zawahałem się w przyjęciu boju nierównego celem przedarcia się przez Mołdawję, wciągnięcia jej w sferę powstania polskiego i zainteresowania tym faktem gabinetów, interesujących się kwestją wschodnią i odnoszących się przychylnie do sprawy polskiej. Fakt ów otwierał dla nich furtkę, którą traktaty i względy dyplomatyczne zamknęły. Świadczyło o tem życzliwe, aż do pomocy czynnej dochodzące, odnoszenie się do nas konsulów francuskiego, angielskiego i włoskiego w Tulczy. Niech to będzie odpowiedzią na zarzut, uczyniony mi przez autora *Powstania w Polsce r. 1863/64*, niezłożenia broni na pierwsze Rumunów wezwanie. Lepiej aniżeli on istotę sprawy polskiej w r. 1863 rozumieli podkomendni moi, w dwóch trzecich ludzie niepiśmienni, gdy wobec ośmkrotnie silniejszego przeciwnika nie zawahali się wystąpić do boju.

Gdy to piszę, stoją mi oni żywo w oczach. Widzę ich, swobodnych, spokojnych, na rozkazy po wydaniu okrzyku czekających.

— Wyślij, majorze, tyraljerów — odezwałem się do Jagmina.

Jagmin wnet nastawił się i z odpowiednim akcentem, głosem donośnym komendę wydeklamował:

— Zapomniałeś kazać zabrać tornistry — zrobił mi pocichu uwagę Zima.

— Nie trzeba... — odrzekłem.

— A jeżeli nas pobiją?

— Nie pobiją.

Odpowiedź tę dałem pod wrażeniem postawy naszego żołnierza — postawy, wyrażającej ufność w zwycięstwo, chociażby okupione jaknajdrożej. Tego rodzaju ufność odczułem, gdy Kalinesku mówił mi o wymordowaniu nas przez dzicz rumuńską. Zwycięstwo w klęsce. Zwycięstwa takie zdarzają się i bywają owocne. Więcej aniżeli prawdopodobna możliwość onego nie przeraziła ani mnie, ani podkomendnych moich, oficerów i szeregowych.

Tyraljerzy wyszli, w łańcuch się wpoprzek doliny rozsypali i nim ruszyli — a nie ruszali, zanim tyraljerzy rumuńscy naprzód się posuwać nie poczęli — przed szeregiem ich prze-

jechałem, zalecając poruszanie się powolne, trzymanie się w linji, nie psucie prochu nadaremnie, i nie strzelanie, póki Rumuni pierwsi nie zaczną. Ostatnie to zalecenie powtarzałem dobitnie, ażeby z tyraljerów każdy przejął się niem i nie wypalił przed czasem. Chodziło mi szczególnie o trzecią kompanję, w której młodzież z karnością wojskową niekoniecznie oswojoną była.

Poszli naprzód Rumuni:

— Naprzód! — rozległa się u nas komenda, sygnałowana na świstawkach.

Nie mieliśmy bębnów ani trąbek dla braku doboszów i trębaczy, musieliśmy przeto przyjąć świstawki, celem dawania sygnałów, zwłaszcza tyraljerom do posuwania się naprzód, zatrzymywania się, zbiegania się w kupki, cofania się, etc.

Więc poszli naprzód i ja z nimi, albo raczej za nimi, w intencji powstrzymania od przedwczesnego rozpoczęcia ognia. Zimie powierzyłem dozorowanie prawego skrzydła — dozorowanie specjalne, spowodu żem przewidywał, iż to skrzydło Rumuni obchodzić będą. Z tego też powodu pod rozporządzenie jego oddałem oddzialik, który pod dowództwem Wojny chałupy nad drogą obsadził.

Przejeżdżam, oglądam się — patrzę, a Jagmin przy tyraljerach.

— Majorze! — odezwałem się, — miejsce twoje przy kolumnach rezerwowych.

Przyłapany na zgwałceniu regulaminu, skonfundowany, z żalem w sercu, spowodu że nie może oddawać się umiłowanemu przezeń przewodniczeniu w bitwie tyraljerom osobiście, jak niepyszny do rezerw się cofnął.

Tyraljerzy posuwali się krok za krokiem. Za nimi w odległości regulaminowej ruszyły rezerwy. To samo czynili przeciwnicy nasi. Żołnierze brodzili w trawie. Prawe skrzydło nasze musiało się ciągnąć pod górę, ponieważ lewe skrzydło rumuńskie pod górę się ciągnęło.

I tak podchodziliśmy jedni ku drugim — powolnie, spokojnie, krokiem miarowym, niby na placu parady.

Podeszliśmy ku sobie nareszcie tak, że już powinien był się rozpocząć ogień.

Rumuni nie strzelali i myśmy nie strzelali.

— Ach! cóż z tego będzie? — strzeliło mi w głowie.

Przyszło mi na myśl historyczne: *Messieurs les Anglais, commencez les premiers*! w bitwie pod Azincourt, w której Francuzi na łeb zostali pobici, pozostawiając przeciwnikom pierwszeństwo w ataku. Myśmy za przykładem Francuzów poszli. Zła wróżba. Czy i nas czeka pobicie? Mnie atoli w gorszej aniżeli pobicie przedstawiła się postaci. Rumuni mogli, słowu naszemu ufając, do nas bez strzelania na długość ramienia po ośmiu na jednego się zbliżyć i bez boju nas zabrać. Srodze mnie to zaniepokoiło i zakłopotało, i kiedym rozmyślał nad sposobem wyjścia z tego kłopotu, o słuch mój obiły się dźwięki rumuńskich trąbek sygnałowych.

— Ognia!

Doznałem ulgi, jakby mi się wielki z pleców zwalił ciężar.

Żołnierze nasi odpowiadać poczęli.

Ruszyłem wzdłuż linji tyraljerskiej, zalecając jak poprzednio:

— Nie śpiesz się! celuj dobrze! prochu nadaremnie nie psuj!

Przejechałem od drogi do cyplowatej góry, od tej powróciłem ku drodze i na drodzem się zatrzymał celem obejrzenia akcji w całości i zastosowania się do jej rozwoju. Zatrzymałem się i po polu bitwy okiem powodziłem, zawieszając dłuższe wejrzenia na stojących nieruchomo kolumnach rumuńskich. Domyśliłem się, że obejść nas zechcą — czekałem na zaznaczenie się ich ruchów.

Niepokoiło mnie ciągnięcie się w prawo naszego prawego skrzydła, które się oderwało od drogi i stąd powstała luka, mogąca wzbudzić w Kalinesce ochotę skorzystania z tego i zaatakowania nas w tym punkcie. Atakować, sądząc wedle sił, jakie udział w akcji brały, nie miał czem innem, jeno piechotą. Na odparcie ataku tego miałem tylko rezerwy trzech kompanij. Zamyślałem je użyć i zachciałem ich stan liczebny, zmniejszony po wysłaniu z nich tyraljerów, oglądnąć. W tym celu zwróciłem konia, podjechałem ku nim, spojrzałem po trzech garstkach, westchnąłem i stępem wracałem na poprzednie na drodze stanowisko.

Przypomina mi się jedno zdarzenie, z losami bitwy najmniejszej niemające styczności. Kiedym wracał powoli w zamyśleniu, w oczy mi wpadł leżący w trawie żołnierz, szturcha-

jący lasztokiem w lufę od karabina. Szturchanie to wydało mi się podejrzanem, wziąłem je za pretekst do uniknięcia kul z przeciwnej idących strony. Podjeżdżam do niego, poznaję Jackowskiego — owego Jackowskiego, niegdyś obywatela z Wołynia, co się rozpił, do rybaków się zaciągnął i boso do oddziału zameldował — i pytam go:

— Co tam robisz?

— Ładunek w połowie lufy ugrzązł i wpędzić go do końca nie mogę... — odpowiedział.

Stuknął jeszcze razy parę, ładunek wpędził, pochylony podbiegł kroków kilkanaście, złożył się, strzelił... i upadł. Natknął się na kulę, która go położyła na miejscu.

Na poprzedniem mojem na drodze stanowisku z poprzednim spotkałem się widokiem. Kolumny rumuńskie w nieruchomości pozostawały. I jam się unieruchomił. Stoję, czekam, wytężając zmysł widzenia w kierunku wojsk rumuńskich, nie widząc huku wystrzałów, nie słysząc grzechotu broni ręcznej ani gwizdu kul, które gęsto jednak mimo uszów przelatywać mi musiały. Uwagę moją całkowicie pochłaniał Kalinesku, który coś pod osłoną bitwy tyraljerskiej zamierzał. Zamiary jego mogły w jeden z trzech wyrazić się sposobów: albo obejściem nas na naszem prawem skrzydle, albo obejściem na skrzydle lewem, albo atakiem na lukę. Sposoby pierwszy i trzeci wydawały mi się najprawdopodobniejsze; drugiego ani przypuszczałem z tej racji, że wódz rumuński, rozporządzając przeważnemi siłami, nie potrzebował zgoła z taką jak nasza garstką wielkiej robić ceremonji.

Stało się jednak inaczej, aniżelim przypuszczał — inaczej najprzód co do ataku na lukę. Spodziewałem się piechoty; jawiła się jazda, o obecności której nie wiedziałem. Zapewne w czasie bitwy nadciągnęła. Ukazały mi się nagle poza kolumnami piechoty błyszczące hełmy, z któremi wraz wynurzyły się konie, i w szkłach moich binokli stanął widok szwadronu, w szyku plutonowym formujący się na drodze.

Trudno się było nie domyślić, w jakim on formuje się zamiarze. Zamiar ów w takiej przedstawił mi się postaci: jazda wpadnie w lukę i jeżeli jej przebić się uda, za nią całą ławą pójdzie piechota. Co tu począć? Przeciwko jeździe postawićbym mógł rezerwy, lecz w takim razie — cóżbym stawił przeciwko

piechocie? Łamałem się z myślami, obejrzałem się — od chałup zgóry biegnie ku mnie garstka z Wojną na przedzie. Nie zastanawiałem się nad tem, czy własne natchnienie pchnęło młodego, co jej dowodził, chłopca (oficera świeżo z Petersburga ze szkoły artylerji wypuszczonego) na widok zagrażającego nam niebezpieczeństwa, czy też Zima go wysłał. Z uczuciem ulgi przybycie tego oddzialiku przyjąłem. Kazałem mu wpoprzek drogi się ustawić i przygotować się do strzelania dowolnie.

Na zamiarze jazdy nie zawiodłem się. Błyszcząca, różnobarwna, groźna, poszła ona ku nam wedle przepisów regulaminowych, najprzód stępem, następnie kłusem, wkońcu cwałem. Gdy w ten ostatni wichrem ją niosący na nas chód wpadła, głosem, któregoby się Jagmin nie powstydził, wywołałem komendę:

— Do strzelania dowolnie! Od prawego i lewego skrzydła zaczynaj! Cel! Pal! Nabijaj!

Huknęły strzały po dwa naraz, pospiesznie jedne po drugich i wraz z niemi nastąpiło, co zwykle w razach podobnych następuje. Kilku ludzi z koni spadło, kilku wraz z końmi na ziemię runęło, parę koni wspięło się i rzutem gwałtownym wbok lub wtył szeregi zmieszało. W szeregu przednim żołnierze zwrócili konie jedni w prawo, drudzy w lewo. W mgnieniu oka powstał zamęt, potęgowany ustawicznem wpadaniem kul do środka. Zamęt ów szaloną zakończył się ucieczką.

— Aach... — odetchnąłem, gdy się jazda wstecz uniosła, pozostawiając po sobie tuman kurzawy, kilku ludzi zabitych i zranionych na drodze, kilka koni, cwałujących bez jeźdźców po polu.

Po rozwianiu się kurzawy uwagę wnet na piechotę rumuńską zwróciłem.

Tu nadarza mi się sposobność zareklamowania natchnienia na polu bitwy, — natchnienia, na które wogóle spuszczać się nie należy i liczyć na nie nie można, które atoli w danych wypadkach zastępuje liczbę. Przykładów natchnień tego rodzaju pełną jest historja wojen. Ono też zwycięstwo nam dało.

Zwróciłem uwagę na stojące dotychczas nieruchomo kolumny rumuńskie i dostrzegłem w nich ruch. Jedna mianowicie, przeszedłszy z szyku dywizjonowego w plutonowy, może w półplutonowy, zwróciła się ku drodze, idącej doliną Salczi.

Domysł. że kolumna ta wysłaną została wcelu obejścia nas od lewego naszego skrzydła, błyskawicznym oświecił mnie sposobem. Bez chwilki namysłu konia zwróciłem, pędem całym udałem się do stanowiska kompanji trzeciej, przez Brzozowskiego dowodzonej, i dałem jej rozkaz maszerowania pod górę biegiem za mną, zapowiedziawszy, że ją prowadzę na bagnety.

Kompanja, z młodzieży socjalistyczne piastującej idee złożona, ruszyła. Brzozowski chwycił się puśliska siodła mego. Prędko wbiegliśmy na górę. Po przeciwnej stronie, u stóp jej, ujrzeliśmy przesuwający się bataljon.

„Hura!“ nasze nad głowami Rumunów zabrzmiało.

Młodzież z pochylonemi bagnetami biegła ku niemu.

Bataljon się zatrzymał — stanął; lufy karabinów rumuńskich w naszą zwróciły się stronę; huknęła salwa — dym na chwilę widok nam zasłonił.

Hura! hura!

Czy dlatego, że w dymie Rumuni nie widzieli ilości ludzi, co ten krzyk wydawali, czy dlatego, że świeża porażka jazdy złe na nich wywarła wrażenie, czy też dla przyczyny jednej i drugiej, gdy dym się rozwiał, Rumunów już pod górą nie było. W dzikiej ucieczce, opanowani popłochem panicznym, rzucili się wstecz.

Zatrzymałem kompanję dla odprowadzenia jej na stanowisko, z którego ją porwałem, osłabiając przez to linję bojową. Dowódca odprowadzić jej nie mógł; Brzozowski padł u nóg mego konia. Słyszałem jego okrzyk „oj!“, widziałem, jak się dłonią za pierś chwycił i jak mu twarz zbladła, pewny byłem, że zginął, lecz dla sprawdzenia zatrzymywać się czasu nie miałem. Po salwie, zanim się dym nie rozszedł, przypuszczając, że Rumuni pod górą się jeszcze znajdują, chodziło mi o to, ażeby kompanja jaknajprędzej ich dopadła i dała im chłód bagneta polskiego pod ziobrami uczuć.

Nie nastąpiło to. Odprowadziłem kompanję, nie wiedząc, co się na dolinie, na linji bojowej dzieje.

Gdym zza góry powrócił i spojrzał, opanowało mnie zdumienie. Rumunów ani śladu. Kompanja druga, która sama jedna dolinę zajmowała, wysunęła się na linję tyraljerów rumuńskich, o kilometr bez mała od karczmy przy parowie. Na pochyłości góry, od tej karczmy do Kostangalji się ciągnącej, ty-

raljery kompanji pierwszej utrzymują ogień przeciwko tyraljerom prawoskrzydłowego rumuńskiego bataljonu, zajmującego nad parowem stanowisko.

Przyjechałem przed front kompanji drugiej. Jagmin tyraljerów ściągnął i przed nią rozpromieniony stoi. Ujrzawszy mnie, żołnierze wydawać poczęli okrzyki. Upojenie radości z odniesionego zwycięstwa w oczach i na obliczach im jaśniało. Jeden z nich, gdym mimo niego przejeżdżał, karabin do góry podniósł i strzelił.

— Ach! ty! będziesz proch psuł nadaremnie! — krzyknąłem i zamachnąłem się na niego pałaszem.

Żołnierz się uchylił od uderzenia, któreby nie było nastąpiło. Zapytałem o jego nazwisko. Hrabia de Choiseul Gouffry z Wołynia. Nie wiedziałem, że w szeregach naszych posiadamy przedstawiciela rodu tak znakomitego.

Ponieważ bataljon jeden rumuński czoło nam jeszcze stawił, kazałem kompanji drugiej zajść lewem skrzydłem naprzód, czyli regulaminowo „w prawo zajść“, i ostrzeliwać go zboku. Jak tylko kompanja ogień rozpoczęła, w bataljonie tym słyszeć się dały sygnały odwrotu, ściągnął tyraljerów swoich i znikł w parowie. Przypuszczałem, że się spoza karczmy frontem do nas wynurzy i bój wznowi. On jednak wynurzył się poza karczmą, na pochyłości wznoszącej się poza nią najwyższej w łańcuchu góry, na górę się wdrapał i na szczycie jej stanowisko zajął. Stanowisko to zgoła nam nie zagrażało.

Odnieśliśmy więc zwycięstwo — zwycięstwo zupełne i zrazu zagadkowe tak dla mnie i dla tych, co ze mną byli w ataku na bagnety, tak dla kompanji, co się na dolinie biła i dla kompanji ucierającej się na pochyłości góry, jakoteż dla Rumunów, którzy w boju okazywali jeżeli nie równą polskiej waleczność, to się prowadzili zupełnie poprawnie. Bili się porządnie, kroku dotrzymywali, czoła nastawiali. Raptem ogarnął ich popłoch. Dwa bataljony, zajmujące dolinę, uciekły przed jedną (drugą) słabą kompanją. Czy przeczuły obecność Jagmina i jego się zlękły? Kompanja nie atakowała — atakować nie mogła; tyraljerzy jej trzymali się, jak tyraljerzy pierwszej i trzeciej kompanji. Nie ona przeto bitwę rozstrzygnęła, luboć ucieczka tłumna przed jej się dokonała oczami.

Obliczając wszystkie wedle rachunku prawdopodobień-

stwa szanse, odniesienie przez nas zwycięstwa przedstawiało się jako niemożliwość absolutna. Za nami była pozycja, lecz jako schron w razie porażki, i nie w niej się biliśmy. Biliśmy się na otwartem polu — jeden przeciwko ośmiu, lichą bronią, szanse przeto, jakich nam użyczała waleczność, nie zapewniały zwycięstwa nad silniejszym liczebnie i w dobrą broń zaopatrzonym przeciwnikiem.

Mimo to zwycięstwo na naszą przechyliło się stronę. Szansę nagle i niespodzianie przechylił nagły, niespodziany i — dodać należy — zuchwały atak na bagnety.

Porwaliśmy się we czterdziestu mniejwięcej na mniejwięcej pięciuset bojowników, aleśmy spadli na nich, jak spada w dzień biały piorun na nieprzewidującą tego rzadkiego wypadku trzodę. Bataljon ani przypuszczał czegoś podobnego; gdy po jego salwie, w dymie, bojowy Polaków okrzyk o słuchy mu uderzył, paniczny go ogarnął popłoch, w popłochu na bataljony na dolinie rzucił się, jakbyśmy mu po piętach deptali, bataljony przestrachem zaraził i z sobą je porwał. Właściwie więc nie myśmy Rumunów rozbili, ale oni siebie rozbili sami. My do tego tylkośmy się przyczynili, a przyczynili wyłącznie moralnie, bośmy nad Salczą życia Rumuna nie pozbawili ani jednego. Nie strzelaliśmy wcale; żaden do ciała rumuńskiego na odległość pchnięcia nie zbliżył się bagnet. Jedyny Polak, co pomiędzy Rumunów wpadł, był Józef Czajkowski, który, jako kawalerzysta, powinien był znajdować się za ogrodem przy wozach, ale ciekawością pociągnięty opuścił stanowisko swoje, wynurzył się zza ogrodu w momencie, kiedy kompanja trzecia biegiem pod górę szła, przyłączył się do niej i widząc Rumunów ucieczkę, uważał za stosowne animuszu im do niej dodawać. Umiał on po rumuńsku, wjechał więc pomiędzy nich i krzyczał:

— *Fudżi, ka ti taje kapu!* [1]

Słuchaliż go, o! słuchali. Zmiatali, tylko się kurzyło za nimi. W zapale ucieczki żołnierze ciskali karabiny, ładownice, kaszkiety nawet. Tornistrów nie rzucali, zostawili je bowiem na wozach — a i wozy uciekły. Klęskę sobie urządzili Rumuni we wszystkich szczegółach wykończoną. Gdybym był miał koni ze dwadzieścia przynajmniej, bylibyśmy ich na cztery rozpę-

---

[1] Uciekaj, bo ci łep utną. (Nota T. T. Jeża).

dzili wiatry. Tak zaś — zostaliśmy tylko panami pobojowiska, na nas przeto spadł obowiązek opatrzenia rannych ich i swoich, jakoteż pogrzebania trupów. Kazałem przez wystawienie łańcucha szyldwachów zaznaczyć opanowanie przez nas placu bitwy i pośpieszyłem celem zarządzenia zbierania rannych.

Gdym przez pole bitwy przejeżdżał, spotkał mnie Akord.

— Gdzie Karol? — zapytał.

Pytał o Brzozowskiego.

— Padł w oczach moich... raniony, może zabity... — odpowiedziałem.

— Gdzie? — powtórzył zapytanie, głosem wielkiego zaniepokojenia.

— Tam — wskazałem mu — na przeciwległym stoku góry.

Spiął konia ostrogami — popędził.

Jadąc dalej, spotkałem dwoje ludzi, chłopa i babę, dźwigających pełne wiadra.

— Co to? — zapytałem.

Baba odpowiedziała mi po rusińsku:

— „Ta se... dla żowmiriw horiłka".

— Wylej! — krzyknąłem.

Chłop i baba szeroko ze zdumienia oczami na mnie się wpatrzyli.

— Wylej! — z groźnym powtórzyłem naciskiem.

Posłuchali. Dwa wiadra wódki wsiąkły w grunt rumuński.

Na opatrywanie rannych dogodniejszego i odpowiedniejszego miejsca nie było nad łączkę, którą w czasie bitwy zajmowała kompanja oficerska. Pomyślałem o niej i znalazłem pomysł mój urzeczywistnionym. Nie wiem, kto się rozporządził: Zima czy Przewłocki, może lekarze. Na skraju łączki z konia zeskoczyłem. Rannych było już sporo. Z brzegu leżeli Rumuni pojękujący i stękający — jeden lamentował na głos cały. Podszedłem do niego.

— Co ci?

Ręce do mnie wyciągnął i dłonie jak do modlitwy złożył.

— Tylko mnie nie zabijajcie — napół z płaczem przemówił.

— Nikt ciebie zabijać nie myśli.

— Nie zabijajcie mnie, ach! nie zabijajcie — błagał. —

Ja Polaków kocham. Jam się z wami bić nie chciał... Dałem dukata na sprawę polską... Nie zabijajcie mnie!

— Jak się nazywasz? — zapytałem.

Powiedział mi nazwisko swoje. Był to oficer w stopniu kapitana. Ależ lamentował! Nie miałem czasu zabawiać się przy nim. O kilkanaście kroków dalej zoczyłem młodego chłopca z oddziału, któremu lekarz, po odcięciu mu ręki, bandażował ramię. Był wesoły, uśmiechnięty.

— Pułkowniku, nie macie tam papierosa dla mnie? — odezwał się, zdrową rękę ku mnie wyciągając.

Nazywał się Wiktor Szydłowski.

Zapytałem lekarza o ranę kapitana rumuńskiego.

— Lekka — odrzekł. — Kula mięśnie mu przebiła.

Wogóle ranni nasi bez porównania lepiej operacje i bole znosili, aniżeli Rumuni, których corazto przybywało więcej. Lekarze dużo do czynienia mieli; z zadania swego wywiązywali się znakomicie, ze znajomością rzeczy i z poświęceniem.

Po obejściu ambulansu improwizowanego udałem się na pierwotne stanowisko oddziału, czekającego na mnie. Jak skorom się przed frontem pojawił i słów parę podziękowania za waleczność przemówił, przerwały mi mowę okrzyki: „Niech żyje Polska!“ — „niech żyje pułkownik!“ — świadczące o upojeniu, jakiem zwycięstwo przejęło żołnierzy.

Och, cóż bo to byli za żołnierze... Ta garstka Polaków, co ośm razy liczniejsze i lepiej uzbrojone roty w otwartem pokonała polu, nie ustępowała chyba w niczem zwycięzcom spod Obertyna, spod Kirholma, spod Kłuszyna, obrońcom Wiednia, zwycięzcom spod Stoczka, bojownikom, co pod Grochowem Olszynkę wsławili. O! nie ustępowała ona tamtym w niczem, — w tem bowiem tylko, że teatr, na którym wystąpiła, był inny, że tych walecznych było za mało, że za nimi nie stała Polska niepodległa, z otwartą historji kartą, na którejby ich czyn zapisała. Byłbym ich po rękach, po nogach całował, gdyby mi na to dostojeństwo wodza było pozwoliło.

Och! co to byli za żołnierze...

Kazałem im broń w kozły złożyć, posilić się, wypoczywać i być w pogotowiu na wypadek, gdyby Kalinesku bitwę wznowić zamierzył. Nie spodziewałem się tego, jednakże na baczności się miałem. Obmyślałem sobie tak: „Kalinesku dziś

nas nie zaczepi; wypoczniemy; żołnierze się prześpią i wieczorem do dalszego gotowi będą marszu. Pogrzebiemy naszych zginionych, naszych rannych na wozy zabierzemy, rannych rumuńskich opatrzonych zostawimy i na całą noc ruszymy do przeprawy".

Bylibyśmy tak zrobili, gdyby nie zaszły okoliczności, które plan ten zmodyfikowały.

Od naprzód wysuniętych czat dano znać o przybyciu od Rumunów parlamentarza. Na spotkanie jego posłałem Przewłockiego, przypuszczając, że Kalinesku znów mnie na rozmowę wezwie. Nie — nie o rozmowę, ale o pozwolenie zabrania rannych chodziło. Udzieliłem pozwolenia tego tem chętniej, że usuwali się przez to zbyteczni świadkowie zamierzonego na wieczór wymarszu. Postawiłem jeno warunek, ażeby przysłani po zabranie rannych stawili się bez broni. W godzinę może później przybyły wozy z żołnierzami do zbierania rannych i z lekarzem, w którym poznałem kolegę z wojny węgierskiej, Radolińskiego czy Radłowskiego (nazwisko zapomniałem). Po wojnie medycynę nie wiem gdzie przestudjował, nazwisko polskie przez zmienienie „ski" na „esko" zmienił i został w Rumunji lekarzem pułkowym. Pod jego dozorem rozpoczęło się wnet wyszukiwanie w trawie i zabieranie rannych i zabitych. Asystowałem temu zdaleka, chodząc wzdłuż drogi, co oś bitwy stanowiła.

W czasie przechadzki tej dwa spotkały mnie zdziwienia. Jedno sprawił mi oficer od żandarmów, który z wozami przybył. Nagle ze środka pobojowiska o słuch obił się mi ryk. Zwróciłem w punkt, z którego on pochodził, wejrzenie i ujrzałem oficera owego: głowę dogóry podniósł, gębę otworzył i ryczał, przerywając ryczenie od czasu do czasu wyrazami:

— Bracie mój! gdzie ty? co się z tobą stało? czyś ty żywy, czy umarły? Bracie mój! aaaa!

Brata stracił. Że go jednak pomiędzy zabitymi ani też pomiędzy ranionymi nie było, nie inaczej przeto, tylko ucieczką życie sobie salwował. Tego się oficer żandarmski nie domyślił. Sposób, w jaki żal swój wylewał, sprawiał efekt wysoce komiczny na tle zgoła niewesołem — na polu, zasypanem trupami, na którem słyszeć się dawały jęki rannych, jakoteż charakterystyczne wzdychania i chrapania konających.

Drugie zdziwienie sprawił mi Kalinesku. Stanął nagle przede mną, bez świty, bez pałasza przy boku, sam jeden; dłoń mi w milczeniu do uścisku podał i rzekł:

— Czuję się straszliwie zmęczonym... Usiądźmy!

Usiedliśmy na lekkiem gruntu wyniesieniu.

— Pułkowniku — zaczął —powiedz mi: co to się stało?

— Co? — zapytałem.

— Ano... Pobiliście nas haniebnie.

— Tak się zwykle bitwy rozstrzygają: jedna strona zwycięża, druga...

— Ależ wiem o tem — przerwał. — Wyniku jednak spotkania dzisiejszego zrozumieć nie mogę. *J'avais du guignon... C'est inconcevable...*

— Miałeś, pułkowniku, do czynienia ze starym żołnierzem.

— To prawda, cały jeden bataljon rekrutów. Mimo to jednak... *c'est inconcevable.*

Myślał zapewne o tem, że każdy bataljon rumuński był liczebnie dwa razy od całego naszego oddziału silniejszym.

— Ach!... biedak... — zawołał. — Kula mu płuco przeszyła...

Słowa te odnosiły się do rozlegającego się nieopodal chrapania konającego.

— Ale — ciągnął dalej — co się stało, to nie odstanie. Stało się! Myślmy o tem, co czynić dalej. Przystaniesz pułkowniku na zawieszenie broni? — zapytał.

— Owszem — odpowiedziałem po chwili namysłu. — Na warunkach?

— Do jutra do północy.

— Z tem, że przeciwko nam żadnych nie przedsięweźmiecie ruchów?

— Nieinaczej... Ale... i wy wzajemnie?...

— I my się nie ruszymy — odrzekłem.

— Więc zgoda. To dobrze. Wypadałoby umowę spisać, ale pomiędzy ludźmi honorowymi czy to potrzebne?

— Zapewne — odpowiedziałem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i następnie z pół godziny gawędkęśmy jeszcze toczyli. Przy pożegnaniu Kalinesku zagabnął mnie o trofea (broń, lederwerki, amunicja), które nam w ręce wpadły. Karabinów żołnierze nasi zebrali sztuk ze sto. Była to zdobycz *de bonne prise,* ale na nieprzyjacielu. Za nieprzyjaciół

żadną miarą nie mogliśmy uważać Rumunów. Byli oni narzędziami w rękach dyplomacji, narzucającej im dowolnie przez nią tłumaczone prawo międzynarodowe, w którego obronie rzekomo stawali. Dlatego, nie powołując się na *bonne prise,* oświadczyłem Kalinesce, że trofea mu zwrócę, nie ręcząc za stan, w jakim je odbierze. Zastrzeżenie tyczyło się karabinów i amunicji. Karabiny swoje gorsze żołnierze nasi pomieniali na rumuńskie lepsze, ładunki z patrontaszów pozabierali. Nie mówiłem tego Kalinesce, bom i sam o tem nie wiedział. Zastrzegłem się na wszelki wypadek.

Rozstaliśmy się z wodzem Rumunów jako przeciwnicy — przyjaciele.

Źlem zrobił, żem się nie domagał spisania umowy o zawieszenie broni. Umowa została dotrzymaną ściśle i rzetelnie, ale spisanie jej byłoby mnie zaopatrzyło w dokument, świadczący przeciwko raportom, przesyłanym przez Kalineskę do ministra wojny. W raportach zawiadamiał władzę swoją, żem ja, nie on, rozmów się domagał; w raporcie po bitwie pod Kostangalją nie przyznał się do przegranej i dawał do zrozumienia, jakobym ja, nie on, o zawieszenie broni prosił. Rzecz się później wydała i on źle na tem wyszedł. Szkoda jednak, że mi dokumentu brak.

Zawieszenie broni uradowało żołnierzy naszych. I mnie ono dogadzało, raz ze względu na wypoczynek, który się nam wszystkim po kilku dniach marszów forsownych należał, powtóre dlatego, że ciężko rannych mieliśmy tylu, iżbyśmy ich na trzy wozy zabrać nie mogli. Mieliśmy ich czternastu — w ich liczbie trzech oficerów frontowych i jeden nadliczbowy: porucznicy Antoni Sikorski, Jan Jurkowski, Olszewski (nadliczbowy) i Karol Brzozowski (dowódca kompanji trzeciej). Zginęło nam ludzi sześciu, pomiędzy nimi podporucznik kompanji pierwszej, Piotr Stankiewicz, b. podoficer artylerji belgijskiej, młody, wielkie nadzieje rokujący człowiek. Pod ciężko ranionych musieliśmy ze dwa, może trzy jeszcze dokupić wozy. Zyskiwaliśmy na to czasu dzień cały.

Po uprzątnięciu pola bitwy ściągnąć kazałem wedety naprzód wysunięte i dałem tyczące się noclegu rozporządzenia. Zabieraliśmy się do spoczynku, — spoczynku dobrze zasłużonego a spokojnego i zupełnego. Słońce się ku zachodowi już chyliło, kiedy straże dały znać o przybyciu kilku oficerów rumuń-

skich, żądających rozmówienia się ze mną. Wyszedłem do nich. Oświadczyli oni, że są delegatami od korpusu oficerów, którzy w imieniu narodu rumuńskiego proszą nas, ażebyśmy im rannych naszych powierzyli, nad którymi oni słowem honoru zobowiązują się czuwać, jak nad braćmi rodzonymi.

Mógłżem żądaniu temu odmówić?

Przyjąłem je, dziękowałem im, oni dziękowali mnie, dłonieśmy sobie ściskali serdecznie, po przyjacielsku.

Był to z ich strony czyn wysoce szlachetny i — dodać należy — rozumny, ten bowiem przygotował on wynik, że w spotkaniu następnem zwyciężyli nas bez bitwy. Bez tego rzeczy z pewnością innyby były wzięły obrót. Kto wie, czy na zwycięstwo powtórne tchuby nam było starczyło. Dwudziestu (6 zabitych, 14 ciężko rannych) z szeregów nam wypadło, dwudziestu paru lekko rannych nie nadawało się do stawiania ich w boju. Byliśmy liczebnie mocno osłabieni i do tego moralnie ujęci czynem, który odbierał ochotę zabijania tych, co po krwawej rozprawie, zamiast uczuciem zemsty zakipieć, w taki szlachetny, zacny sposób dłoń braterską podali. Nie wiem, komu spośród Rumunów najpierwszemu pomysł ten do głowy strzelił. Nie pytałem o to. Przeniknęło mnie pragnienie uniknięcia powtórnego z nimi spotkania i skupiło się całkowicie na czekających na nas u przeprawy wozach.

Wozy! wozy!

Byle się do przeprawy dostać.

Przerzucenie się na prawy brzeg Prutu przedstawiało się mi w umyśle pod postacią zwycięstwa. W dniu wymarszu z Tulczy o wozach miałem upewniającą mnie wiadomość. Liczyłem na nie, a przez nie na to, że dadzą mi one możność nietylko odskoczenia od pościgu Kalineski, ale wyjścia poza obręb koła, przewidywać się każących, a celem otoczenia nas śpieszących, wojsk rumuńskich z Jass, z Tekucza, z Bakeo i z innych miejscowości. Raz poza obrębem tego koła, dostawszy się w lasy, na drodze wytyczonej etapami polskiemi, zdobywaliśmy możność dopięcia celu, nie w takiej wprawdzie jakby należało, gdybym był posiadał środki odpowiednie, obszerności, budzącego jednak interes w Europie.

Przeprawa, wozy... wozy, przeprawa — w mózgu... mi świdrowały.

Noc upłynęła nam rozkosznie.

Nazajutrz, około szóstej rano, nadjechały obtyczone zielonemi gałęziami i wyłożone sianem podwody po rannych naszych. Powsadzaliśmy ich, pożegnali i wyprawili. Zabrano ich do Gałacu i ulokowano w szpitalu, gdzie, jak się o tem później przekonałem, na niczem im nie zbywało. Rumuni leczyli ich i pielęgnowali jak brać rodzoną. Towarzyszył im jeden z lekarzy naszych; Dąbrowski, który przy operacjach taką zręczność i pewność ręki wykazał, że rząd rumuński świetną mu ofiarował posadę. Dąbrowski posady nie przyjął i w lat parę później, z wielką dla cierpiących i nauki szkodą, świat ten pożegnał. Kopernicki powiadał mi, że był to jeden z najlepszych jego uczniów.

Po odejściu wozów z rannymi naszymi rozpoczęła się dla oddziału doba spoczywania rzetelnego. Pogrzebaliśmy zabitych z ceremonjałem odpowiednim w spólnym grobie, poświęconym przez popa rumuńskiego w braku księdza katolickiego. Ksiądz pojawił się był w Tulczy, zameldował się mi na kapelana do oddziału i... znikł. Na pogrzeb odkomenderowanym był pluton. Major Jagmin pożegnał poległych kilkoma słowy. Poza oddaniem im posługi ostatniej, oddział nie pełnił służby innej tylko obozową, dokonywaną ściśle spowodu ciekawości żandarmerji rumuńskiej, której się wydawało, że zawieszenie broni upoważnia ją do naglądania, co my robimy. Kilku żandarmów co się byli do karczmy wkradli, kazałem aresztować i za linję szyldwachów wyprowadzić.

Odosobniłem się od wojska rumuńskiego, lecz odosobnić się nie mogłem od odwiedzin obywateli, zamieszkałych w pobliżu Kostangalji. Około dziewiątej rano zameldowano mi jednego, później trochę drugiego, następnie trzeciego i t. d. Jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali, luzowali się, a każdy z nich przywoził w upominku coś do jedzenia lub picia. Że w Kostangalji z wyjątkiem mąki kukurydzianej nic innego dostać nie można było, upominki w postaci wędlin, bryndzy, chleba, etc., ogromnie się przydały. Gdy się datków tego rodzaju nagromadziło sporo, kazałem je pomiędzy kompanje rozdzielić.

Datkodawcy byli moimi gośćmi. Przyjmowałem ich na łące, nad strumieniem, w cieniu drzew. Rozmowa, rzecz natu-

ralna, toczyła się około przyczyny, która spowodowała wczorajszą rozprawę orężną. Czemu do niej przyszło? — czy jej uniknąć nie można było? — Można było — tłumaczyłem — gdyby rząd rumuński stosować się był zechciał do dyplomatycznego przymusu dyplomatycznie. Musiał, ze względu na Rosję, ścigać nas i przeszkadzać nam. Ale pomiędzy ściganiem i przeszkadzaniem a doścignięciem i przeszkodzeniem niemała zachodzi różnica. Myśmy wszystko zrobili celem wskazania i wyakcentowania tej różnicy. Czyż było co rządowi rumuńskiemu łatwiejszego, jak narobienie wrzawy ogromnej, ruszenie wojsk tysiące, nakazanie dowódcom nie nużyć żołnierzy i szukanie powstańców polskich tam, gdzie ich niema? W ten sposób i wilkby był syty i koza cała.

— My — powtarzałem — najmniejszej w kraju waszym szkody, mieszkańcom przykrości nie wyrządzamy... Śpieszymy do ojczyzny naszej celem bronienia jej od wroga... Godziż się nas ścigać jak złoczyńców? — Czy raczej nie dajemy Rumunom przykładu, który się im przydać może? Czytaliście odezwę naszą?

— Czytaliśmy.

— A więc...

Rumuni najmniejszej nie czynili trudności w przyznawaniu zgwałcenia przez nas granicy okoliczności łagodzących. Zarzucali mi, żem źle zrobił, nie porozumiawszy się uprzednio z rządem; przyznali mi jednak rację, gdym im wytłumaczył, że porozumiewanie się było dla nas rzeczą absolutnie niemożliwą ze względu na zawikłania, jakieby stąd wyniknąć musiały, gdybyśmy o nie tentowali. Tak zaś rząd rumuński ma ręce rozwiązane: może nas ścigać, zabijać, sromocić się w oczach Europy, pozyskiwać wdzięczność Rosji.

— Nie zrobi tego — zaprotestował któryś.

— Liczę na to — odrzekłem. — Zawieszenie broni daje do zorjentowania się czasu dosyć. To, co mówię panom, mówiłem pułkownikowi Kalinesce, mającemu telegraf na rozporządzenie swoje. Spodziewam się, że pułkownik przesłał do Bukaresztu dokładny z naszego zachowywania się, z naszych zamiarów i intencyj raport...

Nie obeszło się bez tego, że goście o zamiarach naszych czegoś się dowiedzieć chcieli. Miałem się na ostrożności. Na do-

tyczne zapytania odpowiadałem zapytaniami, odnoszącemi się do odległości od granicy rosyjskiej i prowadzących do niej dróg; mimochodem zaś dowiadywałem się o Prut, nadając materji tej charakter ekonomiczny, tyczący się spławności rzeki. Ponieważ jednak o granicę często i nalegająco zapytywałem, wszczepiłem przeto w Rumunów przekonanie, że o przekroczeniu jej zamyślam. Udzielali mi wskazówek odpowiednich. Granica przechodziła o wiorst dwanaście; stanowiła ją rzeka Jałpuch, obfitująca w brody, które znać trzeba. Opisywali mi topografję granicy. Zawiadomili mnie przytem, że równolegle z nami posuwają się wojska rosyjskie: kozacy i piechota, i patrolują ukradkowo na gruncie rumuńskim. Kiedyśmy się pod Kostangalją bili, oficerowie rosyjscy przypatrywali się zgóry — brawo nam dali, gdyśmy Rumunów zmotłoszyli. Przyjmowałem opowiadania te do wiadomości, zaręczając gościom moim, iż z większą aniżeli z Rumunami ochotą będziemy się bili z Moskalami, byle nam Rumuni po piętach nie deptali.

O to mi głównie chodziło. Przypuszczałem, że rząd rumuński, właściwie zaś książę Kuza, upamięta się i sfolguje ściganie, ograniczając je, dla uczynienia zadość wymogom dyplomatycznym, do strony formalnej. W tym sensie mówiłem z Kalineską i z gośćmi, pomiędzy którymi znajdował się prokurator z Kabulu, miasta powiatowego, oddalonego o milę od Kostangalji. Nie wątpiłem, że panowie ci zdadzą rządowi sprawę z rozmów ze mną i naprowadzą go na drogę, na której przykładem świecił rząd turecki. Nie mogłem zdradzać tajemnicy stanu, wskazując im przykład Anglji, oświadczającej się z gotowością osłonięcia nas na wypadek, gdybyśmy zostali na przeprawie przez Dunaj przez Moskali zaatakowani. Zresztą było to tylko oświadczenie, podczas gdy ze strony tureckiej istniał fakt w oczy bijący. Turcy się przeciwko nam rozsrożyli, uczynili zadość zobowiązaniu względem zaprzyjaźnionemu z Wysoką Portą mocarstwu i — puścili nas. Cóż Rumunji przeszkadzało urządzić się podobnie?

Przypuszczałem, że kilka dni namysłu łącznie z rozprawą orężną pod Kostangalją dostatecznemi są do naprowadzenia kierowników księstw połączonych na drogę bronienia nietykalności granic państwa rumuńskiego... „z umiarkowaniem“. W przypuszczeniu tem utwierdzał mnie krok korpusu oficerów

rumuńskich w odniesieniu do rannych naszych; utwierdzała mnie życzliwość, okazywana przez bojarów, co nas odwiedzali. Nie spuszczałem się jednak na to, — nie spuszczałem się raz dlatego, żem pozorom nie dowierzał, powtóre dlatego, żem chciał rządowi rumuńskiemu ułatwić zadanie sprzeciwiania się nam dla formy. Przyjmując przeto gości, bawiąc ich rozmową, przysposabiałem się do zniknięcia z Kostangalji w chwili, gdy się skończy termin zawieszenia broni. Chwilą tą była północ. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze byli o tem zawiadomieni.

— O północy musimy być w pogotowiu do bitwy.

Pod wezwaniem tem wozy z wieczora zostały posmarowane, konie pokarmione i posiodłane, warty obozowe zdwojone.

Mieliśmy przed sobą marsz forsowny — pięćdziesiąt wiorst.

Gdyby nie bitwa pod Kostangalją, byłbym go był na dwa dni rozłożył: w jednym dniu na wysokość Largi, wiorst 20, a w drugim do przeprawy przez Prut. Bitwa zmusiła mnie do poforsowania i do urządzenia wymarszu w sposób taki, ażeby Kalinesku nie domyślił się, w którą zwróciliśmy się stronę. Udało się nam to raz; czemużby udać się nie miało raz drugi.

Niepokoiła mnie plątanina dróg zaznaczonych na mapie. Lękałem się zabłądzić. Potrzebowałem wprost a jaknajprędzej do przeprawy się dostać i niespodzianie na nią spaść. Celem zabezpieczenia się przeciwko obłędowi wyprawiłem był zwieczora po bitwie jednego z podoficerów, umiejącego po rumuńsku, polecając mu, ażeby się w kierunku dróg rozpatrzył i za przewodnika mógł posłużyć. Miał wrócić nazajutrz — nie wrócił (później dowiedziałem się, że wpadł w ręce patrolowi żandarmskiemu, następnie w Rumunji podawał się za pułkownika), pozostawało mi przeto kierować się wedle mapy i kompasu.

Zniknięcie powiodło się nam w zupełności. Równo o północy, po ściągnięciu wart, wozy ruszyły przodem, za wozami oddział. Odbyło się to tak cicho, że ani psy zaszczekały, ani żaden z mieszkańców karczmy i folwarku wyjścia naszego nie słyszał. Trzymaliśmy się zrazu brzegów rzeczułki Mała Salcza, następnie wzięliśmy się w lewo i dotarli do jej lewobrzeżnego przytoku, wypływającego ze źródeł nieopodal Konstantynówki.

Wypoczęci, podżywieni, maszerowaliśmy żwawo w chłodzie nocnym, w krainie, której wygląd przedstawił się nam inaczej, aniżeli przebywane dotychczas okolice. Rzucała się w oczy

staranniejsza nieco kultura. Przechodziliśmy mimo pól uprawnych, przez kilka, może kilkanaście lat wieku liczące lasy. Nie spotykaliśmy nikogo, aż w jednym z lasków, na zakręcie drogi, najechał na tylną straż naszą żandarm i ujęty został. Od niego dowiedziałem się, że Kalinesku, skonstatowawszy zniknięcie nasze, rozesłał na wsze strony żandarmów, celem wytropienia nas. Ponieważ trafiło się to między 6 a 7 rano, Rumuni przeto, gdyby nas wytropili, nie byliby wsiąść nam na kark mogli, jeżeli wozów nie mieli. Pytałem o wozy. Jeniec mi na to odpowiedzieć nie umiał. Zabraliśmy go ze sobą i puścili po popasie w Konstantynówce.

Konstantynówka, Goteszti, przeprawa. Odległość od Konstantynówki do przeprawy pod Rynzesztami wynosi wiorst około ośmiu.

Dotarliśmy nareszcie do pierwszej etapy na wytyczonej i przysposobionej dla nas przez Skalskiego i Tyszkiewicza linji pochodu. Znaleźliśmy na niej żywność w pogotowiu, czterech ochotników kawalerzystów i — co mnie najbardziej pocieszyło — Drzewieckiego, naczelnika formującej się w Rumunji jazdy, wyprawionego przez Skalskiego na spotkanie nasze.

— Wozy? — wystosowałem do niego, jak skorom go zobaczył, zapytanie.

— A jakże... — odpowiedział. — Czekają już zapewne u przewozu.

— Ile?

— Stefanek (Skalski) mówił o sześćdziesięciu... same konne.

Ucieszyło mnie to i uspokoiło. Byłbym oddziałowi kazał maszerować niezwłocznie dalej, gdyby jedenaście do dwunastu godzin pochodu na spiekocie lipcowej nie nakazywało wypoczynku dla ludzi i koni. Minąwszy źródła Salczi, weszliśmy znów w krainę otwartą, bez cienia i wody. Ulokowałem oddział w parowie; ukryłem go na wszelki wypadek, mimo żem nie przewidywał napaści; sam zaś, wziąwszy ze sobą kilku oficerów, przy gościnnym stole dzierżawcy (Świejkowskiego) słuchałem szczegółów, jakie opowiadał Drzewiecki, o organizacji powstańczej w Rumunji. Według niego w pochodzie od Rynzeszt do Tyrga-Formoza przybędzie nam ludzi mniejwięcej dobrze uzbrojonych do ośmiuset, w tej liczbie około 60 jezdnych; major Grotowski czekał w Jassach na objęcie dowództwa nad

drugim bataljonem; o żywność nie potrzebowaliśmy troszczyć się — wszędzie była przysposobiona. Dawał mi nazwy miejscowości i nazwiska ludzi. Co się zaś wozów tyczy, była to według niego rzecz najmniejszej nieulegająca wątpliwości.

— Zastaniemy je u przewozu, a z niemi, jeżeli nie Stefanka, to Tyszkiewicza...

Śpieszyło się mi do tego przewozu. Niby na węglach siedząc, przeczekałem konieczne do dania wytchnięcia ludziom i koniom trzy godziny i wyprowadziłem oddział w spiekotę największą. Słońce lało zgóry upał niezdrowy jakiś, rozkładający a spokojny, senny niby. Przeszliśmy przez środek Goteszt, wsi dużej, rozłożonej nad traktem prowadzącym od Reni, lewym brzegiem Prutu, do Leowy, zwykłego punktu przeprawy wojsk moskiewskich, gdy do Rumunji wkraczały. Powyżej od Leowy, w pobliżu Jass, leży pamiętna w dziejach naszych Cecora, zaś obok Goteszt widne są jeszcze ślady szańców tureckich, do których przywiązanem jest wspomnienie zwycięstwa, odniesionego przez Moskali w r. 1769, a zaznaczonego przez Puszkina w wierszu *Do oszczerców Rosji:*

»I grianuł boj, kagulskij boj«.

Deptaliśmy grunt historyczny.

Goteszty leżą nad trzęsawiskami, rozlegającemi się szeroko wzdłuż Prutu, od Kahulu do Falczi. Przez trzęsawiska prowadzi droga, niedostępna w jesieni i na wiosnę, reparowana na początku lata każdego. Przemaszerowaliśmy przez środek wsi. Mieszkańce przyglądali się nam zdaleka. Prowadził nas młody człowiek, siostrzeniec czy synowiec Świejkowskiego. Droga ciasna, wyboista, przechodziła śród łozin i wierzbowin, ustępujących tu i ówdzie rozłogom, okrytym oczeretem lub osoką. Były to, jak mi przewodnik powiadał, topieliska, służące zimową porą za schronienie wilkom, lisom i dzikom. Śród nich droga wiła się w zygzaki. Po ujściu nią godziny, może trochę więcej, natrafiliśmy na mostek.

— Daleko jeszcze do przewozu? — zapytałem.

— Nie więcej jak kwadrans.

— Czy ten mostek obejść można?

— Nie można.

Zostawiłem wartę z rozkazem, ażeby mostek zerwała na wypadek, gdyby się pokazało na drodze wojsko rumuńskie.

ROZDZIAŁ XIX

W BUKARESZCIE I KONSTANTYNOPOLU[1]

Opowiedziałem w rozdziale poprzednim dzieje krótkiej kampanji, w której pełniłem funkcję wodza naczelnego, działającego niezależnie. Szczuplutka była pod dowództwem mojem armja, szczuplutka, ale żaden wódz nie przewodniczył żołnierzowi dzielniejszemu. Ile razy ku żołnierzom tym zwracają się wspomnienia moje, uczuwam w sobie uwielbieniem przenikniętą pokorę, jakiej się doznaje wobec obrazu poświęcenia za sprawę tak świętą i wzniosłą, jak sprawa ojczyzny. Armja Leonidasa była również szczuplutka. Najmniejszej nie mam wątpliwości, że gdybym w tych warunkach, w jakich Grecy w Termopilach walczyli, wezwał był podkomendnych moich do złożenia głów w ofierze za Polskę, nie zawahaliby się na chwilkę jedną. Zachodzi pytanie: czybym ich był wezwał? Czy był we mnie na Leonidasa materjał? Pytanie to zostawić muszę bez odpowiedzi, albo raczej po odpowiedź odeślę ciekawych do tych, którym liczby nie znaleźć, bojowników o Polskę, co, wiedząc że śmierć znajdą, na śmierć szli. Możebym się i ja na naśladowanie przykładów ich zdobył. Bywałem w bitwach na Węgrzech; tchórzam w sobie nigdy nie czuł. Pod Kostangalją ani pomyślałem, że zabitym lub ranionym być mogę. Nie słyszałem zgoła gwizdu kul. Jeżeli to odwaga, to tej mi nikt chyba nie odmówi. Ale nad odwagą górowało coś innego. Odnieśliśmy zwycięstwo nad przeciwnikiem osiem zgórą razy liczniejszym, lepiej uzbrojonym i, jeżeli nie waleczniejszym, to w liczebną przewagę swoją ufnym. Biliśmy się w polu otwartem. Zwycięstwo nie przyszło samo przez się. Ktoś je sprowadził. Fakt ten na mój, zdaje się, mam prawo reklamować rachunek.

[1] Rozdział ten w rękopisie nie ma tytułu.

Sąd o fakcie tym należy do taktyki — do tych rozporządzeń na polu bitwy, które wodzowi dyktuje rzut oka, podszyty przytomnością umysłu. I przytomność umysłu mi dopisała, i rzut oka dopisał, najbardziej zaś dopisali żołnierze. Bo czyżby zwycięstwo możliwem było, gdyby zbiegowie spod sztandarów rosyjskich i osiwiali z r. 1831 starce, odpowiadając strzałem jednym na osiem, nie dotrzymali placu bataljonom rumuńskim na całej linji? — czyżby ono możliwem było, gdyby nie szczytne zuchwalstwo, z jakiem w sześćdziesięciu rzuciła się z pochylonym bagnetem na sześciuset młódź akademicka (socjalistyczna)?... Młodzież i starcy, chłopi od pługa, rzemieślnicy, inteligencja rozmaitego rodzaju, hrabiowie, żołnierze spod znaków węgierskich, tureckich, moskiewskich, pruskich, austrjackich, ale Polacy, — wszyscy dopisali. Cześć im!

Dopisali w boju, dopisali w marszach. Za te ostatnie na mnie całkowicie i wyłącznie spada odpowiedzialność — odpowiedzialność, mówiąc terminem technicznym w sensie militarnym, strategiczna. We względzie tym jest mi do zarzucenia jedno: za wczesne zatrzymanie się nad Dunajem w oczekiwaniu na statek, na którym się oddział przeprawić miał. Uczyniłem to dlatego, żeby się nie ambarkować pod Isakczą, w oczach mieszkańców tamecznych (Turków), którzyby nam przeszkodzić, a może nawet udaremnić przeprawę mogli. Wynikła stąd strata kilku godzin. Liczyłem na statek, na to, że dowiezie nas, jeżeli nie do Reni, to pod Kartal. Gdybyśmy pod Kartalem wylądowali, bylibyśmy dzień cały marszu zyskali i Kalinesku byłby nas nie doścignął w Besarabji na wozach nawet. Bylibyśmy do przeprawy przez Prut doszli bez bitwy. Bitwa nam nie przeszkodziła i, co się podążania ku celowi temu tyczy, nie straciliśmy chwilki czasu, nie zrobili jednego kroku fałszywego.

Przeprawa przez Prut stanowiła dla nas zadanie strategiczne wstępne i jako takie bardzo ważne. Od rozwiązania zadania tego zależały następstwa, które spotkać mogło powodzenie lub niepowodzenie, które atoli bez niego obracały się w niwecz. Zadanie to rozwiązaliśmy.

Dziwny, przypominam sobie, opanował mnie był niepokój, gdyśmy drogą wśród trzęsawisk do przeprawy dochodzili. Kilka razy zwracałem się do Drzewieckiego, zaczepiając go to o prze-

prawę, to o Stefanka. Przeprawa odbywała się promem, dzierżawionym przez żyda, mieszkającego w karczmie nad brzegiem. Ze Stefankiem widział się Drzewiecki dwa dni temu; on go wyprawił; chciał jechać Tyszkiewicz, ale Tyszkiewicz zostać musiał dla wozów.

— Spotkamy się z nimi, jeżeli nie od razu, to jak skoro się przeprawimy.

— Będą na nas czekali?

— Ano...

— Gdzie?

— W Rynzesztach zapewne, może w karczmie, ale pewniej w Rynzesztach.

— Daleko to od przewozu?

— Pół milki, może więcej trochę. Zobaczą nas i nadbiegną. Przez Rynzeszty Stefanek wozi do Gałacu papuszoję [1].

Słowa ostatnie wytłumaczyły mi powód, dla którego Skalski w Rynzesztach, nie zaś u przewozu zgromadził wozy.

Zastania wozów byłem pewien. Mimo to niepokoiłem się, niepokoiłem się nie wiedzieć dlaczego.

Po obsadzeniu mostka wysłać kazałem pluton jeden przodem celem opanowania promu. Pluton ruszył krokiem zdwojonym i nadbiegł w samą porę, zastał bowiem prom do połowy już na brzeg przeciwny wyciągnięty i zdjęty powróz, na którym chodził. Gminy nad Prutem otrzymały rozkaz zniszczenia wszystkich przez rzekę przepraw. Pod groźbą strzelania włościanie, co prom wyciągali, na wodę go napowrót zepchnęli. Gdyśmy nadeszli, uwiązywano powróz.

— Nie rozumiem... nic nie rozumiem...

Temi słowy spotkał mnie Drzewiecki, który z plutonem był odszedł.

— No? — zapytałem.

— Ani Stefanka, ani nikogo.

— W Rynzesztach są może?

— Byliby jednak do karczmy zajrzeli. Pytałem arendarza. Nie było ich.

— Czyż on ich zna?

— Nie znałby... także! Żyd był uprzedzony. Przejeż-

---

[1] Kukurydzę. (Nota T. T. Jeża).

dżając tędy dwa dni temu, mówiłem z nim. Nie rozumiem... nic a nic nie rozumiem.

Mnie rzecz odrazu zrozumiałą się stała. Gdybym Skalskiego nie znał, przypuściłbym opieszałość i naturalny jej wynik: spóźnienie. Znałem go jednak z tej strony, że człowiek ten w sprawie takiej, jaką wziął na siebie, ze śmiertelnego zwlókłby się łoża i zrobił, co się zrobić podjął. Miał przytem przy sobie Tyszkiewicza. Ten również nie był od zasypiania gruszek w popiele. Domyślałem się przeto, iż zajść musiało coś ważniejszego, aniżeli choroba śmiertelna, co im przeszkodziło. Co mianowicie? Rozkaz niszczenia przepraw naprowadzał mi na myśl akcję policyjną rządową. Dokładnie określić jej sobie nie umiałem, alem to dokładnie określał, że wyprawa nasza w łeb wzięła. Bez podwód niesposób dla nas było puszczać się dalej. I tchu nam już nie stawało, i druga taka jak pod Kostangalją bitwa, zwycięska nawet, obezwładniłaby nas i w ręce Rumunom, spieszącym na spotkanie nasze stylu, zboku i sprzodu, oddała.

Przeprawialiśmy się, jam rozważał. Wynikiem rozważania mego było przedewszystkiem to, żem kazał od mostku ściągnąć wartę; następnie, po przeprawieniu oddziału całego, gdy mi Zima zrobił uwagę, iżby należało prom z wodą puścić, odpowiedziałem:

— Nie trzeba.

Czułem w sobie gniew i smutek. Opanował mnie t. zw. zły humor, do spotęgowania którego przyczyniło się niebo. Do przeprawy dotarliśmy w upał palący. Jak skoro stanęliśmy na Prutu brzegu prawym, puścił się deszcz ulewny. Zmoczeni do nitki, zabłoceni, weszliśmy do wsi Rynzeszty. Kazałem warty rozstawić, żołnierzy rozkwaterować; nad brzegiem, u przeprawy zostawiłem pikietę konną celem zawiadomienia mnie, gdyby co zaszło. Z tej strony zajść mogło nie co innego, tylko nadciągnięcie Kalineski. Zajść mogło to samo i ze stron innych, drogą z Byrłatu, z Falczi; wiedziałem, że to nam zagraża, lecz nie zastawszy nikogo z tych, co mnie o ruchach wojsk rumuńskich na prawym brzegu Prutu poinformować mieli, o bliższych, tyczących się tych ruchów szczegółach żadnego nie miałem pojęcia.

Plan w głowie układał mi się taki: jeżeli nas Rumuni

nie zaczepią, wypoczniemy w Rynzesztach i nazajutrz, przed dnia świtaniem, wyruszymy celem dopadnięcia lasów i pójścia dalej wytyczonemi przez Skalskiego etapami.

Jeżeli zaś nas Rumuni zaczepią?

Na to pytanie w umyśle moim formułowała się odpowiedź warunkowa. Czyniłem ją zależną od żołnierzy: zechcą się bić, będziemy się bili. Nie przypuszczałem atoli, ażebyśmy być mogli zaczepieni w tym dniu jeszcze. Nie widzieliśmy cienia wojsk rumuńskich przez dzień cały. Spodziewałem się zaczepki nazajutrz, w porze porannej, gdy po nas ślady już w Rynzesztach zastygną.

Stało się wbrew spodziewaniu memu.

Zaledwieśmy się roztasowali, aliści nadbiega pikieta z zawiadomieniem, że się Rumuni przeprawiają.

Wnet dałem rozkaz wystąpienia. Oddział pod bronią stanął. Uszykowaliśmy się do boju.

Na zbliżenie się szyków rumuńskich nie czekaliśmy długo. Na płaszczyźnie, pochylającej się lekko ku rzece, ukazały się kolumny piechoty i jazda. Piechoty nie było więcej jak poprzednio. Jazdy przybyło. Żandarmerję wzmocnili dorobańcy, milicja konna, uzbrojona w szable i w długie za plecami strzelby, umundurowana na wzór surudżijów[1].

Nastąpiła ceremonja parlamentarska, zapoczątkowana, jak zwykle, przez Rumunów. Odbyła się ona w słowo w słowo jak pod Etiulikiej i Kostangalją, z tą jeno różnicą, że Kalinesku nie powtórzył: *Je vous écrraserai*, ja zaś na propozycję złożenia broni odpowiedziałem, że zapytam żołnierzy.

Odpowiedź moja mocno go zdziwiła.

— *Comment?* — odrzekł.

— Inaczej nie mogę.

— Poprzednio przecie nie zapytywałeś pan żołnierzy.

— Bom zgóry opinję ich znał.

— A teraz... czyżby opinję zmienić mieli?

— Może... nie wiem... Poprzednio nie oddaliście nam byli panowie usługi, zabierając naszych rannych. Zdobyliście szansę, która za uczynieniem propozycji waszej zadość przemawia.

— *C'est ça, c'est bien... c'est très bien, mon colonel* — od-

---

[1] pocztyljonów. (Nota T. T. Jeża).

zywały się ze świty Kalineski głosy, przyjaznym nabrzmiałe akcentem.

— O warunkach pomówimy, gdy, za co nie ręczę, propozycja przyjęta zostanie — rzekłem odjeżdżając.

Nieraźno mi było z propozycją złożenia broni przed żołnierzami stawać. Przypuszczałem odrzucenie, mając na myśli kompanję trzecią, złożoną z młodzieży i uilustrowaną zuchwalstwem heroicznem. Przypuszczałem to napewno prawie w tem przeświadczeniu, że jeżeli się młodzież za odrzuceniem odezwie, to starzy żołnierze nie zechcą się dać w odwadze prześcignąć, i gdy ci krzykną: „Broni nie oddamy!“, to ci odkrzykną dwa razy głośniej. Byłem na to przygotowany i nawet myślałem o możliwości powtórzenia rozprawy poprzedniej ze względu na to, żeśmy zajmowali wcale niezłą pozycję bojową, byliśmy zaopatrzeni w lepszą niż dni temu trzy broń i w amunicję dostateczną. Odnosimy więc zwycięstwo, i co potem? O tem myśleć nie chciałem. Przyjechałem przed front, konia zatrzymałem i z konia, bez żadnego wstępu oznajmiłem, że się Rumuni ponownie od nas złożenia broni domagają:

— Zapytuję was tedy — dodałem — chcecie broń złożyć, czy bić się chcecie?

Odpowiedziało mi milczenie.

Powtórzyłem zapytanie.

Jagmin podszedł do mnie i półgłosem w słuch następujące mi wsunął wyrazy:

— Ludzie bardzo zmęczeni...

Jagmin to powiedział. To wiele znaczyło.

Wtem ze skrzydła słyszeć się dał okrzyk gromki:

— Bić tych gałganów! Co tam! Hura, naprzód!

Okrzyk wydał Drzewiecki, który się przed front wysunął.

Głucha na wyzyw ten odpowiedziała cisza.

Poznałem, że się żołnierze bić nie chcą. Wiedziałem, że niechęć tę paru słowami usunąć mogłem. Ale z usunięciem wiązała się odpowiedzialność, zawierająca się w pytaniu: „co potem?“

Powtórzyłem zapytanie po raz trzeci:

— Więc chcecie się bić?

Na to w szeregach powstał pomruk i w pomruku słyszeć mi się dały wyrazy: „Iść chcemy do Polski“, „w Polsce“, „Moskale“, „bić się z Moskalami“...

— Z Rumunami się bić nie chcecie?

— Nie chcemy... — odpowiedział mi jednogłośny, wyraźny pomruk.

— Nie chcecie?

— Nie chcemy.

Tego mi było potrzeba dla oczyszczenia sumienia mego. I przed spotkaniem pod Kostangalją z Rumunami bić się nie chciałem. Do spotkania atoli i do rozprawy przyszło, przyświecał mi bowiem widok na uzupełnienie oddziału, zajęcie stanowiska na gruncie międzynarodowym i wykrzesanie przez to dla sprawy polskiej jakiejś, bodaj najmniejszej korzyści. W Rynzesztach wobec uszykowanych do boju kolumn rumuńskich widok ten upadał. Pozostawało jeno zadowolnić idących pod mojem dowództwem żołnierzy, których nie obchodziły widoki żadne, z wyjątkiem jednego: bicia się z Moskalami w Polsce. Byłoby inaczej, gdybym był posiadał środki odpowiednie i zamiast w dwustu w osiemset ludzi wylądował na brzegu rumuńskim. Bez tych atoli daleko idące zamiary zredukować wkońcu musiałem, gdym nawet i wozów nie dostał, do rozmiarów jaknajskromniejszych: do wyjednania dla podkomendnych moich przejścia przez terytorium rumuńskie na teatr powstania.

Z tem wróciłem do czekającego na odpowiedź żołnierzy naszych Kalineski.

— Cóż? — spotkałem się z zapytaniem.

— Zwyciężyliście nas panowie pod Kostangalją — odpowiedziałem.

— Nie bijemy się?

— Pod warunkiem... Do Polski nas puścicie i broń nam na granicy oddacie.

— To nie odemnie zależy — odrzekł Kalinesku. — Mam rozkaz traktować was po złożeniu broni jak braci. Do rozkazu tego zastosuję się ściśle. Do układów z panami rząd przyśle kogoś.

Miałem nóż na gardle. Postawa żołnierza, gdym go zapytywał, czy bić się chce, nie była obiecującą. Wątpiłem, ażeby z niego w Rynzesztach wydobyć się dało to, com wydobył pod Kostangalją. Jagmin nawet... Byłoby więc z mojej strony fanfaronadą, gdybym się przy postawionym przeze mnie warunku upierał i bitwą groził.

Z drugiej strony przyszło mi na myśl: „Jeżeli nas Rumuni do Polski nie puszczą, to co z nami zrobią?“ Po złożeniu broni stawaliśmy się ich jeńcami, niemającymi nikogo, coby się o nas upomniał; gdyby przeto Kalinesku warunek mój przyjął, to dotrzymanie warunków całkowicie od dobrej woli rządu zależało. Odpowiedziałem mu więc:

— To dobrze. Będziemy się układali z rządem... Zastrzegam sobie jednak, pułkowniku, ażebyś rządowi oświadczył, że składamy broń w nadziei, że rząd nas do Polski puści i broń nam zwróci.

— Przyrzekam ci to pod słowem honoru — odrzekł z pośpiechem, dłoń mi do uścisku podając.

Oficerowie z jego świty do mnie się, do Zimy i Przewłockiego, co ze mną byli, pogarnęli, dłonie nam ściskając, oświadczając się z sympatją dla sprawy polskiej, z admiracją dla waleczności naszej, mówiąc o konieczności, równie dla nich jak dla nas smutnej.

— Zwyciężyliście nas — powtarzałem. — Pozbawiliście nas ochoty przelewania krwi waszej.

Tak było w istocie samej. Żołnierz, który nie wnikał w kombinacje, odnoszące się do stosunków międzynarodowych, który uczucia nie łączył z rozumowaniem, pragnął jeno dostać się do Polski, na gruncie polskim z wrogiem się zmierzyć, nie przypuszczał przeto, ażeby mu w tem przeszkadzać mieli Rumuni po złożeniu dowodu, że sprawie polskiej sprzyjali. I ja tak myślałem, gdy mi na prawym brzegu Prutu skrzydła opadły.

Ułożyliśmy naprędce ceremonjał smutnego obrzędu i omówili niektóre warunki znaczenia podrzędnego. Broń — karabiny i ładownice — złożyć mieli żołnierze i podoficerowie; oficerów się to nie tyczyło, ani też koni i wozów; utrzymanie jeńców przechodziło na rachunek skarbu rumuńskiego.

Udaliśmy się wraz z Kalineskiem i jego świtą przed front stojącego w szyku bojowym oddziału. Oddział sprezentował broń. Przemówiłem słów kilka, czyniąc nacisk na to, że puszczenie nas na teatr walki z Moskwą zależy nie od pułkownika Kalineski, ale od rządu, u którego pułkownik przyrzekł popierać słuszne żądanie nasze. Kalinesku ze swojej strony w tym sensie, z dodatkiem pochwały waleczności polskiej i uznania

miłości ojczyzny przemówił, zapowiadając traktowanie braterskie. Mówił po francusku. Słowa jego — nie pamiętam: Zima czy Przewłocki przetłumaczył na polskie. W czasie tych przemówień, wysłuchanych przez oddział w milczeniu, bataljon rumuński wszedł rotami i stanął frontem do frontu oddziału naszego. Zjechaliśmy nabok. Jagmin zakomenderował:

— Prezentuj broń!

Bataljon rumuński broń również sprezentował.

Poczem słyszeć się z ust Jagmina dały kolejno komendy:

— Na ramię broń! Złóż broń! Odstąp!

Odbyło się to spokojnie, bez żadnych w takim lub innym sensie objawów. Żołnierze od broni odstąpili i po kwaterach się rozeszli.

Co się w czasie tej ceremonji działo ze mną, albo raczej we mnie, tego powiedzieć nie umiem. Czułem się złamany, zdeptany, jakbym patrzał na gruzy gmachu szczęścia, wywróconego przez podmuch pierwszy lepszy. Zbudować się mogła rzecz piękna i pożyteczna: zabrakło cegieł kilku do utwierdzenia jej tak, ażeby się nietylko podmuchom, ale i cyklonom oparła. Cierpiałem mocno, głęboko. Czułem potrzebę odosobnienia się, zamknięcia się w sobie, poszukania pociechy w ponurym smutku, co mi duszę targał. Przyszły mi na myśl żona i dziecko.

W usposobieniu takiem powróciłem na kwaterę, którą zajmowałem wraz z Zimą, Przewłockim, Józefem Czajkowskim i Akordem. I oni byli zwarzeni, pocieszali się jednak tem, że stało się, co stać się musiało.

— Bądźcobądź wyszliśmy z honorem. Kostangalja za nami, Polska przed nami. Jednej rzeczy zrobić nie byliśmy w stanie: przebić mur głową.

Nie przypominam sobie, czym się do rozmowy ich wtrącał; nie pamiętam, czyśmy co jedli; to jeno w pamięci mi tkwi, że owładnęła mną była senność. Spać, spać! Izba zaopatrzona była w zbiorowe łóżko sypialne — w szeroką, pochyłą pryczę, na której osób kilka, jedna obok drugiej, wygodnie leżeć mogły. Zajęli ją towarzysze moi. Jam się położył wpoprzek, u ich nóg, dla zapewnienia sobie większej w oddychaniu swobody. Położyłem się, odrazu twardo zasnąłem.

We śnie oczy otworzyłem na blask, który mi się zrazu

wydał widzeniem sennem. Zmrużyłem powieki, lecz wnet je znów otworzyłem, o słuch mi bowiem odbiły się z przycichem wymawiane wyrazy:

— *Monsieur le colonel!.. monsieur le colonel!..*

Otworzyłem oczy zupełnie i ujrzałem przed sobą dwóch jegomości, jeden z nich płk. Kalinesku z latarką w ręku. Oparłem się na łokciu, chcąc wstać.

— Pss... — syknął Kalinesku, rękę wyciągając. — Nie wstawaj pan. Ci panowie śpią? — zapytał, oczami na pryczę wskazując.

Chrapanie i sapanie wyręczyły mnie, odpowiadać nie potrzebowałem. Kalinesku przedstawił mi przybysza.

— Książę Leon Ghika, prefekt gałacki, zamianowany komisarzem w sprawie powstańców polskich.

Panowie ci do legowiska mego na niskich przysiedli się stołeczkach. Nie pamiętam który z nich oznajmił mi, że świeżo otrzymanym telegramem książę Kuza zapytuje mnie, czybym nie życzył sobie do Bukaresztu pojechać i osobiście z nim się rozmówić.

— Propozycja księcia jest dla mnie rozkazem — odrzekłem. — Do Bukaresztu w tej chwili jechać gotów jestem. Pozwolę sobie jeno zauważyć, że osobę moją uzupełnia mianowany przez Rząd nasz Narodowy komisarz wojenny, jego przeto obecność nieodzowna jest przy rozmowie, jaką jego wysokość zaszczycić mnie raczy.

— Telegram o panu tylko mówi — rzekł któryś.

— Ale uwagę pułkownika można jego wysokości zakomunikować — odrzekł, zdaje się, Ghika. — Niemasz wątpliwości, że jego książęca mość przystanie łaskawie na przyjazd pułkownika w towarzystwie komisarza wojennego.

— Majora Przewłockiego — dopowiedział Kalinesku.

Zawiązała się pomiędzy tymi panami krótka rozmowa o treści telegramu i o wyprawieniu niezwłocznie gońca do Kahulu z rozkazem natychmiastowego przesłania depeszy.

Po załatwieniu się z tem głos zabierali to Ghika, to Kalinesku. Ghika w Gałacu widział naszych rannych, unosił się nad operacjami Dąbrowskiego i objawiał szczerą a gorącą dla sprawy polskiej życzliwość. Powiadał mi o instrukcji, nakazującej traktowanie nas po bratersku, zapewniając, że sympatje

opinji publicznej w Rumunji po naszej są stronie. Powiedział mi oraz, że oddział pozostanie w Rynzesztach do dalszych rozkazów.

W Ghice poznałem człowieka gładkiego, giętkiego, eleganckiego, jednego z tego rodzaju drzew, co to się nadają na krzyż i na łopatę, urodzonego do funkcyj dyplomatycznych.

Kalinesku i Ghika zabawili przy mnie nie dłużej, jak godzinę. Odchodząc zalecili mi, ażebym się do podróży sposobił, spodziewają się bowiem, że odpowiedź z Bukaresztu nadejdzie nazajutrz rano, będę więc mógł w ciągu dnia wyjechać.

Przez cały czas bytności tych panów szlafkamraci moi spali jak zabici. Po odejściu dygnitarzy rumuńskich chciałem ich obudzić i rozpowiedzieć im, co zaszło. Spali jednak tak słodko, tak szczerze, że odłożyłem to na później. Sam spać już nie mogłem. Perspektywa stanięcia przed księciem panującym, przed monarchą, zaintrygowała mnie. Miało to być po raz w życiu mojem pierwszy. Najwyższym, z którym mówić miałem zaszczyt, dygnitarzem był kijowski, podolski i wołyński generał gubernator, Bibikow, och! — i seraskier-sadrazam, Omer-pasza [1]. Na tem koniec. Wogóle nie garnąłem się ani do dygnitarzy wysokich, ani do wielkich ludzi. Mickiewicza nie znałem, ani widziałem nawet. O prezentowaniu się monarchom nie śniło mi się nigdy. Wprawdzie monarcha rumuński nie był z tych, co się do tronu rodzą. Na tronie jednak siedział; to mnie intrygowało i spać mi nie dawało. Przewidywać się mi kazał rodzaj indagacji, na którą będę wystawiony; domyślałem się zapytań, układałem sobie odpowiedzi. Na tem mi upłynęła reszta lipcowej nocy.

Gdy się rozwidniło, słyszeć się mi dało chrząknięcie Czajkowskiego, znanego z tego, że się rano budził:

— Nie śpisz już, Józefie? — zapytałem.

— Ano nie...

— Nikt tego lepiej od ciebie nie zrobi...

— Czego?

— Przysposobienia jednego z wozów naszych do podróży.

— Do jakiej?

---

[1] Omer-pasza był w r. 1855 nie seraskierem, ministrem wojny, tylko serdar-ekremem, wodzem naczelnym.

— Zbudź Zimę i Przewłockiego... powiem.

Usiadł, popatrzył na nich zukosa i rzekł:

— Śpią jak susły, niech pośpią sobie jeszcze.

— Ależ potrzeba, żeby się zbudzili — odrzekłem. — Podróż moja zależy od depeszy, która lada moment nadejść może.

— Śniło się tobie?

— Zbudźno ich...

Zima i Przewłocki, Przewłocki zwłaszcza, nie nader uprzejmie naleganie Czajkowskiego o wstawanie przyjmowali. Rozbudzili się jednak. Rozpowiedziałem im o nocnej dostojników rumuńskich wizycie, o wezwaniu Kuzy i o żądaniu mojem. Oprzytomniło to ich zupełnie. Powstawali i z pośpiechem się ubrali. Czajkowski, który najpierwszy z izby się był wyniósł, powrócił i oznajmił, że jedynym do podróży się nadającym wozem jest wóz sporządzony i okuty w Tulczy.

— Osie mocne, koła całe, wasąg cały. Ratyński do związania tego wozu dołożył nietylko ręki, ale i głowy. Osie się wysmaruje, siedzenie ułoży i...

— Do Bukaresztu dojdzie?

— Dojdzie i do Konstantynopola, tylko trzeba pamiętać o smarowaniu osi.

— Zajmijże się, Józefie, przyrządzeniem wozu.

Czajkowski nic na to nie odpowiedział, co znaczyło, że polecenie przyjął i uczyni mu zadość, jak należy.

Czekaliśmy na depeszę. Nadeszła dopiero wieczorem. Wczorajszego jeszcze wieczora zameldował był Jagmin chorych kilkunastu. Mówiłem o tem Ghice i ten powiedział mi: *Nous aviserons*. Jakoż rano zawiadomiono mnie, że zarekwirowano wozy do odwiezienia chorych do Byrładu, do szpitala. Nie byłem przy wyprawieniu ich obecny, nie pamiętam, co mi przeszkodziło. Po wyprawieniu ich zjawił się u mnie doktor Daville, Francuz, lekarz naczelny w Rumunji, zajmujący się założeniem wydziału medycznego przy Uniwersytecie Bukareszteńskim. Wielce to sympatyczna była postać. Młody jeszcze: wyglądał na lat więcej niż trzydzieści, mniej niż czterdzieści, blondyn, powierzchowności ujmującej, szczery a gorący sprawy polskiej przyjaciel. Przyjeżdżał z Bukaresztu na Gałac; w Gałacu odwiedził rannych naszych. O nich wszczęła się rozmowa i przeszła na znajdujące się na porządku dziennym wypadki:

wkroczenie do Rumunji oddziału naszego i powstanie polskie. Zapamiętałem zdanie doktora o jednem i drugiem. O pierwszem powiedział:

— Rzecz zrozumiała i naturalna: potrzebujecie otworzyć sobie lufcik na Europę, ażeby nie udusić się w walce odosobnionej i zamkniętej, toczonej niby w więzieniu pod kluczem.

Co do powstania przekonanym był, że Napoleon III na rzecz jego interwencję wykołacze.

— Cesarstwo — mówił — musi to zrobić dla zapewnienia istnienia własnego. Zamachu stanu, dzięki któremu tron zdobyło, inaczej usprawiedliwić nie może, jak tylko zapomocą reparacji krzywd minujących Europę. Po Włoszech — Polska, pokrzywdzona najsrożej. W tem tkwi jego racja bytu. Bez dokonania dzieła, wynagrodzenia Polsce krzywd ciężkich, cesarstwo powtórnie upadnie i cogorzej — obniży się znaczenie Francji. To sprawa europejska pierwszej wagi.

— Czyż Napoleon III to rozumie? — któryś z nas zapytał.

— *Mais... mais...* — odpowiedział. — *Est-il permis de le considérer imbécile à ce point?*

Nie ufałem mądrości politycznej cesarza Francuzów; nie wierzyłem w szlachetność uczuć człowieka, co się krzywoprzysięstwa dopuścił; republikańsko-demokratyczne przekonania nie pozwalały mi liczyć na niego; nie mogłem jednak nie uznawać tej potrzeby, która urobiła w ludzkości nieprzepartą do umoralnienia polityki międzynarodowej dążność. Dążności tej wyraz najdosadniejszy dała Francja. Wchodził tu interes, — interes ten sam, co dziesięć lat temu sprzymierzył Francję, Anglję i Włochy, i w r. 1859 poprowadził hufce francuskie na pola lombardzkie. Poszarpana, poćwiartowana w r. 1815 Europa domagała się unormowania stosunków międzynarodowych; połowicznie zakończona wojna Europy przeciwko Rosji w r. 1856 domagała się uzupełnienia. Od tego zależała przyszłość dynastji napoleońskiej, którą (przyszłość) zwichnął Napoleon I, nie uczyniwszy zadość nadziejom i domaganiom się Polaków, której nie zapewnił Napoleon III, ominąwszy Polskę w wojnie wschodniej (1853—6). Pomimo przeto, żem w mądrość i szlachetność tego ostatniego nie wierzył, widziałem w nim narzędzie, powołane do zaspokojenia w interesie własnym potrzeby Europy, — potrzeby zarówno politycznej, jak cywilizacyjnej. Do

tego zapewne odnosiła się brzmiąca mi dziś jeszcze w uszach replika dra Daville'a: *Est-il permis de le considérer imbécile à ce point?* Nie miałem go za orła, ale też nie miałem za głupca, przypuszczałem przeto, że jeżeli nie rozumienie politycznych i cywilizacyjnych potrzeb społeczeństw europejskich, jeżeli nie podniety i pobudki etyczne, to interes własny zniewoli go do zainterwenjowania czynnie w sprawie polskiej. Przypuszczenie to potęgowała interwencja dyplomatyczna, w której udział, z wyjątkiem Prus, wzięły wszystkie państwa europejskie. Jakże mi żal było wyprawy mojej, zakończonej złożeniem broni! Otwierany na Europę lufcik zatrzasnął się nagle. Ha!

W oczekiwaniu na depeszę ks. Kuzy załatwiałem porządkowe sprawy oddziału. Wypłacić kazałem żołd żołnierzom, podoficerom i oficerom. Rumuni dawali im żywność dostatnią. Rozstrzygnąłem parę służbowych reklamacyj, rewizytowałem pułkownika Kalineskę, przyjmowałem u siebie oficerów rumuńskich sztabowych, śród których szczególną na siebie uwagę moją zwrócił szef sztabu, kapitan Algiu, człowiek młody i wykształcony. Chodziłem po wsi, otoczonej łańcuchem wart, które nie przeszkodziły wymknięciu się Drzewieckiego celem powzięcia wiadomości o Stefanku i zawiadomienia o nas Mrozowickiego, pełniącego funkcję agenta politycznego Rządu Narodowego w Rumunji. Sprawa oddziału stawała się wyłącznie polityczną, na Mrozowickiego więc spadała główna o nią troska. Polecenie do tego ostatniego nie było wyraźnem, nie wiedziałem bowiem, gdzie on się obraca, przypuszczałem przytem, że, jak mu powinność nakazywała, na pierwszą o wkroczeniu naszem wieść do Bukaresztu się udał.

Depesza nadeszła nad wieczorem. Książę zezwalał na przyjazd Przewłockiego. Nie przypominam sobie, co spowodowało wyjazd nasz nazajutrz dopiero. Przed wyjazdem kazałem oddziałowi wystąpić, zrobiłem przegląd, nie pomnę kto odczytał przed frontem rozkaz dzienny nr 72, w którym, pozostawiając naczelnictwo do mego powrotu majorowi Zimie, wyraziłem się do żołnierzy jak następuje:

„Nie upadajcie na duchu, nie traćcie nadziei, bądźcie spokojni i cierpliwi, a zajdziemy jeszcze do Polski. W Kahulu (depesza nakazywała internować oddział w Kahulu) wypłacony wam zostanie żołd zaległy, który, według postanowienia Rządu Narodowego, jest następujący: na szerego-

wego dziennie gr polsk. 15; na podoficera 20; na sierżanta i furjera złp 1; na podporucznika, porucznika i kapitana złp 2; na majora, pułkownika i podpułkownika złp 4".

Rozkaz dzienny tak się kończył:

„Organizacja nasza pozostać powinna nietykalną. Dowódcy kompanij, oficerowie i podoficerowie niech zachowują miejsca swoje i utrzymują ludzi w porządku, niech regularnie robią służbę i apele; niech przestrzegają, aby żołnierze prowadzili się przyzwoicie i przykładnie".

Datę nosi rozkaz 19 lipca. Podpisaniśmy na nim: ja i „F. Zima, szef sztabu".

Pojechaliśmy w towarzystwie sierżanta, którego na moje żądanie wykomenderował Kalinesku, zaopatrzywszy go w urzędową *feuille de route*. Prosiłem o niego dla uniknięcia na stacjach pocztowych targów o konie i wynikających stąd zwłok, a często i nieprzyjemności. Od tego zasłaniał nas urzędowy sierżanta charakter, stwierdzony pakietem z wielką pieczęcią i z adresem do ministra wojny. Jechaliśmy *incognito*, za paszportem kapitana Algiu, którym się składał Przewłocki. Ja żadnego nie posiadałem paszportu.

Z podróży do Bukaresztu dwa tylko w pamięci zanotowały mi się zdarzenia. W Byrłacie odwiedziłem chorych naszych w szpitalu: otaczały ich staranność i wygoda. Przejazd dalszy zupełnie mi wypadł z pamięci. Wyruszyliśmy z Ryzeszt 20 lipca rano, przybyliśmy do Bukaresztu 21 wieczorem, jechaliśmy więc dwa dni i noc jedną; czyśmy jednak noc tę spędzili na wozie, czy też gdzie w hanie lub na stacji pocztowej, nie wiem. Słońce się już ku zachodowi chyliło, gdyśmy na ostatniej przed stolicą Rumunji stacji stanęli. Konie nam przeprzężono, ruszyliśmy dalej, nie wiedząc, że czekał na nas powóz książęcy i wysłani na powitanie nas prefekt i podprefekt Bukaresztu w towarzystwie Tokarskiego. Tokarskiego panowie ci wzięli ze sobą, wiedząc bowiem, że przyjeżdżamy *incognito*, a nie znając osobiście ani mnie, ani Przewłockiego, potrzebowali mieć przy sobie kogoś, coby im nas wskazał. Oczekując na nas, posilili się, po posiłku zdrzemnęli się. Drzemka udała się im tak dobrze, że czekali na nas i czekali, kiedyśmy już oddawna w Bukareszcie byli. Podprefekt podobno nie spał i widział nas, ale nie domyślił się, cośmy zacz.

Na rogatce, gdzieśmy się dla pokazania paszportu zatrzymać musieli, również przesunęliśmy się niepoznani wobec delegacji komitetu, który się był zawiązał celem urządzenia nam owacji. W delegacji znajdował się kanclerz konsulatu francuskiego, Gradowicz. Ten mnie znał osobiście, schodziłem się z nim u Gropplerów w Konstantynopolu, — no i prześlepił.

Zajechaliśmy do po europejsku urządzonego hotelu. Przed hotelem towarzyszący nam sierżant z woza zeskoczył i odszedł. Mieliśmy pozór zwykłych podróżnych, niekoniecznie zasługujących na względy szczególne, bo przybyłych nie karetą, ani pojazdem na resorach, ale prostym, luboć dobrze okutym wozem. Dano nam, wedle żądania naszego, porządny na pierwszem piętrze numer; lecz garson, co nas zainstalował i po paszport przyszedł, odnosił się do nas lekceważąco.

Byliśmy zgłodniali; obmywszy się z kurzu, zeszliśmy na wieczerzę do przystrojonego w krzewy egzotyczne i w wodotrysk ogrodu wewnętrznego. Obsługiwano nas odniechcenia. Nagle lekceważenie osób naszych ustąpiło miejsca nadskakiwaniu. Zauważył to Przewłocki.

— O! — odezwał się — sierżant dał już o nas opyt.

Innego nic nie świadczyło, że się kto nami w Bukareszcie interesuje. A i to nadskakiwanie było jakieś dyskretne. Usługiwano nam gorliwie — i tyle. Podróż nas zmęczyła; gdyśmy sobie podjedli, spać się nam zachciało. Odbyło się dosyć ceremonjalne odprowadzenie nas przez służbę hotelową do numeru. Przewłocki dał garsonowi pewne delikatnej natury polecenie, ten się głęboko skłonił, wyszedł i nie wrócił. Poszliśmy do łóżek. Sen nas zjął odrazu. Obudziłem się około północy, wyjrzałem na korytarz, na korytarzu wgłębi paliła się świeca, a tuż przy naszych drzwiach w fotelu spał jakiś dobrej tuszy jegomość w mundurze, w epoletach, przy pałaszu; na epoletach z buljonami gwiazdki świadczyły, że to oficer wyższego stopnia. Później dowiedziałem się, że wartę u drzwi naszych trzymał dyrektor policji w osobie własnej. Przewłocki, gdy nazajutrz powiedziałem mu, żeśmy noc spędzili pod wartą, odpowiedział:

— Dlatego to garson huncwot spolitykował ze mną.

Nie wiedzieliśmy zrazu, co ze sobą począć, jak i gdzie tego Kuzę szukać. Sądząc po wartowniku, przypuszczałem, że ktoś przecie do nas się dowie i skazówek nam udzieli. Kazaliśmy

sobie kawy do numeru podać i, jak skorośmy do niej zasiedli, u drzwi słyszeć się dało pukanie.

— *Entrez*!

Jegomość, który wszedł, przeprosiwszy, że o tak wczesnej niepokoi nas godzinie (była może siódma), oznajmił nam, że przychodzi od księcia, nazywa się Dodun de Perrier i ma polecenie służenia nam za przewodnika w stolicy Księstw Zjednoczonych. Bardzośmy mu byli radzi. Któryś z nas zapytał go, czy nie zechce z nami kawy się napić. Przyjął zaproszenie nasze, zasiadł, rozgościł się i odrazu przystąpił do oznajomiania nas z usposobieniem, jakie względem sprawy naszej panuje w sferach rządowych i w opinji publicznej.

— I rząd i opinja publiczna sprzyjają wam i sprzyjają gorąco. Rząd, związany stosunkami zewnętrznemi, zniewolonym jest powściągać się i miarkować, zachowywać *decorum*. Stronnictwa opozycyjne, jak zwykle korzystając z okazji, kłopoty, w jakich znajduje się rząd, na swoją wyzyskują korzyść. Okazja nastręczyła się, chcą więc ją wykorzystać...

Opowiedział nam o panującym w stolicy nastroju, o klubie, szykującym na cześć naszą owację.

— Jeżeli chcecie, będziecie ją mieli ...*monstre*, *formidable*...

— Cóżby na to powiedział rząd? — zapytałem.

— Rząd przeszkadzać nie będzie, ale...

— Co?

— Wolałby, ażeby się bez tego obeszło. Mając rękę swobodną, mógłby zrobić dla was więcej niż pod przymusem.

Wyrazy te wziąłem dosłownie, przez co złożyłem świadectwo przeciwne tej reputacji, jaką mi robili agenci hotelu Lambert, którzy mnie podawali za „ekspodoficera, człowieka bardzo przebiegłego“. Eksoficerem, nawet ekspodoficerem byłem, ale przebiegłym zgoła się nie okazałem. Mając na myśli wyprawienie oddziału do Polski, a wiedząc, raczej zaś przypuszczając, że to całkowicie od rządu zależy, wolałem rządowi aniżeli publiczności dogodzić. Osobiście mi o owację nie chodziło. Świadczy to, żem nie miał w sobie popędów aktorskich, popychających ludzi do wystawiania się na widok publiczny dla hołdów i oklasków. Może jest to dobra natury mojej strona. W tym razie jednak niekoniecznie mi ona dopisała, jak się

o tem, patrząc na tę rzecz z odległości lat trzydziestu pięciu, dziś przekonywam.

— Zależy to od panów — mówił Dodun —, czy chcecie owacji, czy też porozumieć się z księciem poufnie, po przyjacielsku.

— Wolę to ostatnie — odrzekłem. — Chciałbym w Bukareszcie bawić jaknajkróciej.

— To dobrze, to bardzo dobrze — podchwycił Francuz. — Książę się panom wywdzięczyć potrafi. Ale w takim razie nie możecie w hotelu pozostawać.

— Nic nas do hotelu nie wiąże — zauważyłem.

— Jest dla was przygotowane mieszkanie prywatne. Wyglądałem panów wczora, gdy ku wielkiemu zdziwieniu memu dowiedziałem się, żeście przyjechali.

Opowiedział o wysłaniu naprzeciwko nas powozu książęcego i eskorty, złożonej z prefekta, podprefekta i Tokarskiego.

— Dlaczegóż i Tokarskiego? — zapytałem.

— Mój podkomendny.

Dodun był dyrektorem naczelnym domów przytułku dla żebraków, które urządził i w których stanowiska dyrektorów szczegółowych zajmowali Tokarski, Tyszkiewicz i inni. Tokarski, jak o tem na swojem powiedziałem miejscu, zaglądał do Tulczy, kiedyśmy się organizowali, i ofiarował mi żonę swoją. Nie wiem, nie pytałem, co go do Bukaresztu sprowadziło. Doduna mocno to dziwiło, żem się z nim na ostatniej przed Bukaresztem stacji nie spotkał. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć i nie rozumiał, czemu ci panowie nie wracają.

Przenosiny z hotelu na mieszkanie prywatne, które było mieszkaniem Doduna, odbyły się wnet po kawie. Upakowanie tłumoczków nie zabrało nam czasu dużo — zabrać nie mogło, co do tego bowiem zachodziło wielkie podobieństwo pomiędzy nami a wybierającym się w podróż Kozakiem, o którym gadka rusińska powiada: „Wstaw, pidperesawsia i zo wsim zabrawsia“. Garderoba moja całkowicie składała się z brunatnego w ciemnoczerwony kolor wpadającego kompletu, nabytego, zdaje mi się, we Lwowie, i z czamarki z potrzebami, którą sobie sporządzić kazałem w Tulczy. Czamarkę i parę sztuk bielizny miałem w tłumoczku, komplet na sobie. Podobnie zaopatrzony był Przewłocki, z tą różnicą, że fason odzieży jego lepiej aniżeli

mojej stosował się do mody. Czapki czworokątne, któreśmy w czasie wyprawy nosili, dla zachowania *incognito* zmieniliśmy na kapelusze. Wojowników w nas poznać nie było można. Wyszliśmy z hotelu w towarzystwie Doduna, wsiedliśmy do fiakra i po przejechaniu ulic kilku wysiedliśmy przed zajmowanym przezeń domkiem parterowym. Dodun zajął względem nas rolę cycerona i ducha opiekuńczego.

Nie przypominam sobie, dlaczego wyszedłem był z nim na miasto. Gdyśmy wracali, spotkał nas Gradowicz, i na mnie nie patrząc, do Doduna się zwrócił. Poszedłem dalej. Ci panowie zamienili ze sobą frazesów kilka. Dodun dopędził mnie i:

— O pana się dopytywał — powiedział.

Gradowicz brał gorliwy w przysposabianiu dla mnie owacji udział. Widocznie należał do tego rodzaju śmiertelników, którym brak pamięci fizjognomji. Nie poznał mnie na rogatce, nie poznał na ulicy. Może krótki miał wzrok, a może w Konstantynopolu on, urzędnik konsularny francuski, nie zwracał uwagi na człowieka żadnym niezaszczyconego tytułem. Postać jego natomiast zauważyłem jako model, ze względu na akcent fanfaroński, który ją zaznaczał. Pokutował we mnie przecie literat: czyniłem postrzeżenia, brałem wzorki, wchodziło to do mego fachu, mimo żem się do niego przed sobą nie przyznawał, jeżelim zaś się przyznawał, to przez pół tylko, i to w czasie przeszłym. Wraz z wybuchem powstania, zdawało mi się, że literat zamarł we mnie na wieki.

Dodun zostawił nas samych w mieszkaniu swojem; nie na długo, na godzinę najwyżej. Gdy powrócił, zaprowadził, czy też zawiózł — nie pamiętam — nas do ministerstwa wojny, skąd z ministrem, gen. Floresku, udaliśmy się do pałacu książęcego. W pałacu minister nam przewodniczył. Szliśmy przez przedsienia, podsienia, korytarze, mijaliśmy strażnice i warty; w jednem z przejść drogę nam zastąpił poważny w cywilnej odzieży mąż, ministra skinieniem głowy pozdrowił, mnie dłoń podał.

— Generał Tell! — zawołałem, dłoń jego serdecznie i z radością ściskając.

— Znów się spotykamy — odrzekł.

— W niewesołych dla nas okolicznościach.

— *Pas tant* — odparł. — Wróg wasz jest naszym wrogiem.

Słów parę jeszcze zamieniliśmy ze sobą i generał został, Przewłocki i ja poszliśmy dalej z ministrem. W chwilę później wkroczyliśmy do gabinetu księcia.

Z książek znanym mi był cokolwiek ceremonjał witania monarchów, raczących przed oblicze swoje przypuszczać śmiertelników zwyczajnych. Znanym mi był jednak w teorji. Nie umiałem go zastosować do praktyki. Przyszło mi to na myśl w chwili, gdy minister ujął ręką klamkę od drzwi gabinetu książęcego. Nie było już o ceremonjale myśleć czasu. Próg przestąpiłem, jak się przestępuje progi komnat wszelakich. Nie ukłoniłem się nawet podobno. Zdaje się, że Przewłocki zrobił to za siebie i za mnie. Musiałem mieć minę niepoczuwającego się do winy delikwenta. Minister przedstawił nas księciu i odszedł. Książę wskazał nam ręką krzesła:

— Siadajcie, panowie.

Usiadł sam obok biura; wnet jednak wstał, postawę przybrał i dobrą francuszczyzną wypalił nam snadź obmyślony i zgóry ułożony *speech*. We frazesach, brzmiących akcentem oratorskim, czuć się dawała robota.

Przemowa trwała z kwadrans, miałem więc czas przypatrzyć się temu monarsze. Kuza jaknajlepsze na mnie sprawił wrażenie. Był to w r. 1863 człek w sile wieku męskiego, wzrostem duży, kształtnie zbudowany, o regularnych czarnym zarostem obramowanego rysach oblicza, o czarnych, wyrazem dobrotliwości świecących oczach. Miał na sobie surdut mundurowy, nadający mu minę militarną. I przemawiał.

Mimo iżeśmy o etykiecie dworskiej mieli pojęcie bardzo sumaryczne, w przyzwoitem milczeniu wysłuchaliśmy zarzutów, tyczących się zgwałcenia granicy, to jest dopuszczenia się zbrodni przeciwko prawom międzynarodowym. Zbrodnia owa stanowiła oś, około której przemowa się obracała. Zakończyło ją zwrócone do mnie zapytanie:

— I cóż na to odpowiesz, pułkowniku?

— Prawa obowiązują tych, do których się stosują, — odparłem. — My jesteśmy spod praw wyjęci.

Spojrzał na mnie w sposób, jakby mnie chciał wzrokiem przeszyć, i odchrząknął. Odchrząknął i z innej, zawsze jednak zgóry przygotowanej, zaczął beczki. Mówił, że mnie zna, żem mieszkał na Mołdawji z żoną i dzieckiem pod nazwiskiem Melko,

pod którem dałem się mu poznać spowodu reklamacyj, jakie do rządu rumuńskiego wystosowywały raz po raz rządy rosyjski i austrjacki.

Wiedzieć należy, żeśmy trafili na zły księcia humor. Był on świeżo po rozmowie z sierżantem, co nam w podróży towarzyszył i który zdał mu dokładną sprawę z obrotu bitwy pod Kostangalją, przedstawionego przez Kalineskę w raporcie telegraficznym w świetle, czyniącym zaszczyt wodzowi i młodej armji rumuńskiej. Nie było w raporcie owym ani słówka o o ucieczce szalonej, o rzucaniu broni przez żołnierzy, o zaproponowaniu mi zawieszenia broni. Odwrót jakoby dokonał się w porządku, a nastąpił wskutek fałszywego hasła, danego przez majora Saegiu, dowodzącego bataljonem, zajmującym lewe frontu bojowego rumuńskiego skrzydło. Bataljon ów ostatni z placu zeszedł i bił się najlepiej, — zeszedł, kiedy trzy inne uciekły. Mógłby on był wprawdzie bitwę utrzymać i nas przemóc, jako liczebnie dwa razy od całego naszego oddziału silniejszy, lecz fakt ucieczki trzech innych bataljonów i jazdy i wozów, wraz z wodzem i ze sztabem, usprawiedliwiał go dostatecznie. O tem Kuza dowiedział się od sierżanta, który nam w podróży towarzyszył. Był to człek milczący, niceśmy z nim przez całą nie mówili drogę. Przed Kuzą zapewne rozgadał się, a rozgadał się tem obszerniej i dokładniej, że, jak się zdaje, Kalinesku dopuścił się tej nieostrożności, iż go wykomenderował z bataljonu, dowodzonego przez Saegiu. Opowiadanie jego w jaknajgorszy humor wprawiło księcia, który za jedno z najważniejszych panowania swego zadań wytknął sobie podniesienie w narodzie rumuńskim ducha militarnego przez postawienie armji na stopie europejskiej. Dla armji tej nastręczył się pierwszy czyn wojenny — nasunęło się jej łatwe zwycięstwo, któreby można było otrąbić, za wielkie, za znakomite podać, i... po uszach oberwała. Było od czego humor stracić.

Z mniejszym przeto aniżeli poprzednio oratorskim naciskiem jął się Kuza wyrzucać mi niewdzięczność, spowodu że on mnie wobec rosyjskich i austrjackich reklamacyj osłaniał.

— Mogłem był ciebie dziesięć razy kazać wydać, a przynajmniej z kraju wypędzić... Nie wydałem, nie wypędziłem, i za to do kraju, co ciebie, twoją żonę i twoje dziecko osłaniał, zbrojną wkroczyłeś ręką i synów jego zabijał. Czterdzieści pięć

matek Rumunek opłakuje dzięki tobie dzieci swoje. No... co na to powiesz?

— Mości książę — odparłem — matki Polki również dzieci swoje opłakują.

— Tak... zapewne... Ale dlaczegożeś do Rumunji wkroczył?

— Wina geografji: Rumunja znalazła się na mojej drodze. Wkroczyłem bez intencji zabijania. Unikałem spotkania. Zostałem zaczepiony. Broniłem się: broniłem tej trochy lichego oręża, któryśmy nieśli do Polski... Stosowałem się ściśle do odezwy, która wkroczenie oddziału naszego poprzedziła.

— Odezwy... a — pomówmy o niej... Palicie panowie? — zapytał.

Odpowiedzieliśmy potakującem pochyleniem głów.

Książę podał nam papierośnicę i, gdyśmy z niej po papierosie wzięli, podał zapałki, usiadł i sam zakurzył.

Mowa jego i gesty straciły patetyzm dotychczasowy.

— Co do odezwy — zaczął, dymem się zaciągając — nacoś w niej, pułkowniku, napisał, że przejdziecie przez Rumunję *quand-même? ...Quand-même?* Ależ to było wyzwanie!

— W ostateczności... — wtrąciłem.

— Zawsze wyzwanie, które musieliśmy przyjąć i *quand-même* was nie przepuścić. Cóżby powiedziano, gdybyśmy was po wyzwaniu takiem byli puścili? Powiedzianoby, żeśmy otworzyli kraj dla wszelakich band zbrojnych. Światem rządzą prawa, które szanować należy.

Powtórzyłem, że nas, spod praw wyjętych, prawa obowiązywać nie mogą.

— Mimo to — dodałem — samiśmy sobie narzucili prawo i zastosowaliśmy się do niego ściśle: nie wyrządzając mieszkańcom przykrości najmniejszej, nie czyniąc żadnej szkody w kraju, wynadgradzając wszystkie usługi i ograniczając się do obrony, gdyśmy zaatakowani zostali.

— I biliście się dzielnie... dzielnie... o! dzielnie... — podchwycił książę. — A! Koniec końcem, ochrzciliście moje młode wojsko, które życzyć sobie nie może lepszych od was ojców chrzestnych.

Spojrzał nam w oczy z wyrazem uprzejmości i po chwilce zapytał:

— Czemuście się nie bili pod Rynzesztami?

— Przypuszczałem, że po Kostangalji nie będziemy więcej zaczepiani — odpowiedziałem. — Przekonałem się, żem się omylił: że po Rynzesztach nastąpiłaby, gdybyśmy nie zostali pobici, bitwa nowa, po tej znów nowa, sprowadzająca zbyteczny a bezcelowy polskiej i rumuńskiej krwi rozlew... Dlategośmy się pod Rynzesztami bić nie chcieli.

Następnie Kuza, sprowadziwszy rozmowę na ton pogadanki, rozpytywał o szczegóły bitwy pod Kostangalją, czynił uwagi, zadawał niekiedy pytania ambarasujące. Naprzykład:

— Czybyście strzelali byli do mnie, gdybym osobiście pod Kostangalją był dowodził?

Co mu na to do odpowiedzenia było?

— Pełnilibyśmy powinność naszą... — odrzekłem.

Rozwodził się następnie nad organizacją naszą na Mołdawji, której przyznawał zalety, przewyższające organizację urzędową rumuńską.

— Moi urzędnicy nie słuchają mnie tak jak was wasi... Alem odkrył organizację waszą: wszystkie składy broni, składy żywności...

Wymieniał miejscowości (niektóre mylnie), nazywał ludzi (wielu nazwiska pierwszy raz słyszałem); między innymi wymienił Świejkowskiego.

— Znam go doskonale: po francusku mnie nauczył. Kazałem go aresztować.

— Za to, że nam jeść dał — odezwałem się.

— Urzędnikiem był waszym.

— Przysposobił dla nas jedzenie.

— I jabym to zrobił. A jeżeli tak, puścić go każę. Ale Plum (Skalski), Tyszko (Tyszkiewicz)... ci urzędnikami waszymi byli...

— Byli — odrzekłem.

— Plum, Tyszko — wymienił jeszcze kilku innych — pod kluczem siedzą.

— Cóż wasza książęca mość z nimi zrobić zamierza? — zapytałem.

— Cóż! Z kraju ich wypędzić każę.

— Za to, że takiej jak polska sprawie służyli?

— Więc nie każę — podchwycił. — Każę ich z więzień

powypuszczać. Sprawa polska... hm!... piękna sprawa... Służycie jej dobrze i zuchwale, o! zuchwale...

Do mnie się zwrócił, chwilkę mi w oczy patrzał i odezwał się:

— Zuchwałym jesteś, pułkowniku, mimo że nie wyglądasz na takiego. Wyrządziłeś Rumunji krzywdę, którą naprawić musisz.

— Bylebym wiedział jak.

— Zapotrzebuje ona kiedyś ramion walecznych i upomni się o ramię twoje...

— Z największą zaofiaruję Rumunji ramię moje ochotą — odrzekłem i dodałem: — przeciwko Rosji albo Austrji.

Kuza ręką machnął i przeszedł do kwestji, która nas najbardziej interesowała: do losu, jaki spotkać ma oddział nasz, rozbrojony i internowany. Kuza zapytał, czegobyśmy sobie życzyli. Odpowiedziałem zrazu wymijająco, na powtórne jednak nalegające pytanie odrzekłem:

— Broń nam oddać i do Polski puścić.

Kuza mruknął i zaczął:

— Broń wam oddam, bo nacóż mi ona, i do Polski puszczę, ale niewszystkich. Wybierzcie spomiędzy żołnierzy ludzi inteligentnych i niech z oficerami w liczbie trzydziestu do Polski idą. Wiem, że wam na oficerach brak. Wszystkich innych, i ciebie, pułkowniku, odeślę do Turcji.

Milczałem. Głos zabrał Przewłocki.

— Trudno będzie — rzekł — oficerów oderwać od żołnierzy. Na to się oficerowie nie zgodzą.

— Czemuby się zgodzić nie mieli! Pójdą przecie walczyć o Polskę, na teatrze walki najpotrzebniejsi. Jeżeli się panom trzydziestu wydaje za mało, wybierzcie pięćdziesięciu, sześćdziesięciu najzdolniejszych, najwaleczniejszych.

— Walecznymi są wszyscy, jak tego dowody złożyli — odrzekł Przewłocki —, co się zaś zdolności tyczy, nie wiemy, czy najzdolniejszy pomiędzy prostymi nie znajduje się szeregowymi.

— Pozwalam na większą liczbę — powtórzył Kuza — pięćdziesięciu do sześćdziesięciu.

Rzekłszy to, czekał, co my powiemy; nie doczekawszy się naszej odpowiedzi, dodał:

— Zresztą, mówić niema o czem. Wasi sami prosili mnie o odesłanie do Turcji oddziału całego.

Wypatrzyliśmy się na Kuzę wzrokiem zdumienia pełnym.

— Tak, wasi — powtórzył — w imieniu Rządu Narodowego *(de la part du Gouvernement National)*. Prosili mnie o odesłanie oddziału całego; pozwalam 50 do 60 ludzi wydzielić.

Na to nic do odpowiedzenia nie było. Co to byli za nasi, co *de la part* (jakby przysłani przez Rząd Narodowy) podobną zanieśli prośbę? Mrozowicki jeden posiadał Rządu Narodowego nominację na komisarza, a raczej agenta do spraw politycznych w Księstwach Zjednoczonych. Powinien się on był w Bukareszcie znajdować. Nie było go. Więc to nie on. Któż przeto? Pytać o to Kuzę nie wypadało: raz sama nie pozwalała przyzwoitość, a potem tak Przewłocki jak ja lękaliśmy się poruszyć jedną ze spraw, przyrównywanych do brudnej bielizny, którą w familji prać należy. Pozostało to narazie tajemnicą dla nas. Tajemnica wydała się później dopiero. Równocześnie prawie z wkroczeniem naszem w Bukareszcie pojawił się w charakterze wysłańca Rządu Narodowego młody jakiś książę Czartoryski[1] (syn jakoby księżnej Marceliny) i zażądał u Kuzy audjencji. Audjencja mu została udzieloną. Stawił się na nią w stroju z czasów Ludwika XV: frak, żaboty, spodnie do kolan, pończochy, trzewiki z klamrami, u boku szpada, na głowie peruka ufryzowana, w ręku kapelusz trójgraniasty z piórami. Zaniósł dwie do podnóża tronu rumuńskiego prośby: jedną o odesłanie oddziału polskiego do Turcji, druga tyczyła się mojej osoby. Młodemu księciu Czartoryskiemu, przemawiającemu nb. w imieniu Rządu Narodowego, chodziło o oszczędzenie narodowi polskiemu wstydu w obliczu świata, gdyby jeden z naczelników powstania został w Rumunji powieszonym. Prosił, ażeby mnie nie wieszano. Przystawał na jakąkolwiek inną przeze mnie zasłużoną karę, tylko nie na szubienicę.

Nie wiem, czy księżna Marcelina miała syna; nie wiem, co to był za książę Czartoryski młody. Dziś mu już włos siwizna przyprószyła i zapewne ten dyplomatyczny wybryk nie jest jednem z najmilszych z czasów jego młodości wspomnień. Niech

---

[1] Ks. Marceli Czartoryski, ur. 30 V 1841, syn Aleksandra i Marceliny z Radziwiłłów.

się jednak pocieszy. Arlekinadę, której się on, jako przez kogoś zapewne podstawiony wysłannik Rządu Narodowego, dopuścił, powtórzył wysłannik prawdziwy. Jak ten księciu Kuzie we fraku *à la Louis XV*, tak Mrozowicki przedstawił się w żupanie, pasie litym, w kontuszu z wylotami, przy karabeli. Ten ostatni nie dopełnił powinności swojej, nie znajdował się w Bukareszcie w czasie wkroczenia naszego dla udzielania rządowi rumuńskiemu objaśnień odpowiednich, dla osłaniania nas, dla usuwania wreszcie agentów samozwańczych. Wynadgrodził to później, dużo później: pokazał Rumunom, jak się stroili praojcowie nasi. Wyglądał zapewne dobrze — przystojny był.

Było to wynikiem improwizacyjnego charakteru powstania naszego. Bez uprzedniej organizacji, posługiwać się ono musiało ludźmi dobrej woli, ale albo niemającymi o zadaniach, jakie na siebie brali, pojęcia najmniejszego, albo mającymi pojęcie spaczone. Mrozowicki w kontuszu, przy karabeli, z nominacją Rządu Narodowego, niewiele więcej był wart, aniżeli ks. Czartoryski we fraku aksamitnym, w żabotach, przy szpadzie, z nominacją, jak się domyślać należy, konstantynopolskiej hotelu Lambert agencji, czyniącej szczere celem przystawiania mi stołków zabiegi.

Wracam jednak do Kuzy.

Trzymał on nas u siebie godzin ze dwie, jeżeli nie ze trzy, tocząc z nami rozmowę *à bâtons rompus*. Przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot — od pochwał do zarzutów. Zarzucił mi, żem się z opozycją rumuńską wiązał. Odpowiedziałem, że co do tego, z kim się i kiedy w Rumunji wiązałem, poświadczyć może gen. Tell, z którym się na korytarzu spotkałem. Tak było w rzeczy samej. Wiązałem się z opozycją rumuńską, póki ona przebywała na emigracji i wyznawała zasady demokratyczne i republikańskie. Z emigracji powróciła po wojnie wschodniej do kraju rodzinnego; z zasad jej republikanizm wraz z ucesarstwieniem się Francji odpadł, demokratyzm zaś przeistoczył się na artykuł, służący do użytku domowego. Jako Polak przeto, chociażbym nawet — czego dodziśdnia nie uczyniłem — z republikanizmu był skwitował, najmniejszego do wiązania się z opozycją rumuńską nie miałem interesu. Nie szukałem jej i żadnych z nią nie utrzymywałem stosunków.

Zarzucił mi jeszcze Kuza, żem się do niego nie zgłosił

i o pozwolenie przeprowadzania przez Mołdawję ludzi i broni nie prosił. Odpowiedziałem na to, iż nie uczyniłem tego w przekonaniu, iżbym był pozwolenia nie uzyskał.

— Mylisz się, pułkowniku, — odparł.

I na dowód powołał się na pozwolenie, jakiego udzielił rządowi rosyjskiemu na przeprowadzenie przez terytorjum rumuńskie broni dla Serbji. Zrobił to, ponieważ jest wyznawcą zasady narodowościowej i wszystko mu jedno, kto ją popiera: Moskale, Niemcy, Francuzi. Gruba zachodziła różnica pomiędzy żądaniem tego rodzaju, postawionem przez gabinet petersburski, a żądaniem, którebym wniósł ja, niemający za sobą na poparcie onego nietylko takiego jak petersburski, ale nawet takiego jak np. cetyński, gabinetu. Kuza tej różnicy nie widział i jam mu jej nie wskazał; skorzystałem jeno z tego w rozmowie obrotu i wtrąciłem, że kwestje podobne omawiaćby mógł z rządem rumuńskim pełnomocny Rządu Narodowego agent, gdyby książę przyjąć go i uznać raczył.

— Ależ i owszem — podchwycił. — Z otwartemi przyjmę go rękami.

— Rząd Narodowy komisarzem do spraw polskich na Mołdawji zamianował pana Michała Mrozowickiego — rzekłem.

Kuza nic o tem nie wiedział. Oświadczył, że rad mu będzie. Nie rozumiem, czemu Mrozowicki, który już w charakterze komisarza, politycznego agenta na Mołdawji, od dwóch blisko miesięcy przebywał, sam się do niego był nie zgłosił. Nominację w pugilaresie trzymał i miał zapewne ze sobą i kontusz i karabelę i czapę kipiącą — wszystko, czego do reprezentowania godnie Polski na dworze rumuńskim było potrzeba.

Z konferencji z dworu tego gospodarzem i władcą Rumunji zanotuję jeszcze ustęp jeden charakterystyczny. Kiedy książę, powołując się na prawa międzynarodowe i na wymogi sprawiedliwości, nakazującej karanie winnych, dowodził potrzeby odesłania szeregowców z oddziału naszego i mnie do Turcji, odezwałem się:

— Szeregowcy nie są winowajcami, winowajcą w oddziale nie jest nikt, tylko ja, herszt, dla uczynienia przeto zadość sprawiedliwości i prawom międzynarodowym ukaranym jako gwałciciel granicy i zabójca obywateli rumuńskich być winienem tylko ja...

— Jak? — zapytał książę.

— *D'une manière eclatante.* Oddaj mnie wasza książęca mość pod sąd... Sąd mnie na śmierć skaże.

— Dobrzebym na tem wyszedł — podchwycił Kuza. — Dziękuję!

Opinja publiczna już nas osądziła i wyrok na nas wydała. Oddanie mnie pod sąd skompromitowałoby Kuzę srodze, słowa przeto powyższe, przezeń wyrzeczone, były krzykiem duszy, strwożonej ze względu na następstwa.

W pamięci nic mi nie pozostało z tego, w jaki się ta konferencja zamknęła sposób. Musieliśmy się oczywiście z księciem pożegnać, z pałacu wyjść, następnie gdzieś jakiś posiłek przyjąć. Napisałem do *Czasu* [1] krakowskiego korespondencję o bitwie pod Kostangalją i nie przypominam sobie tego pisania, dla którego przecie odosobnić się musiałem. Stało się to zapewne w mieszkaniu Doduna, z pobytu w którem dwa stoją mi w pamięci zdarzenia.

Znajdowaliśmy się z gospodarzem domu w saloniku, którego okna wychodziły na galeryjkę zewnętrzną. Przed oknami nagle mignęła przesuwająca się szybko postać niewieścia.

— Chowajcie się panowie! — krzyknął Dodun.

Ukryliśmy się w pokoju przyległym i w tej chwili o słuchy nasze uderzył głos pani Tokarskiej.

— Pułkownik Miłkowski! — zawołała.

— Co, pani? — odparł, Dodun.

— Gdzie jest pułkownik Miłkowski?

— Czy ja wiem?

— Ależ on jest, przyjechał.

— Słyszałem o tem.

— Gdzież on? Chcę, muszę się z nim widzieć! Panie Dodun! Głos jej brzmiał tonem prośby.

— Cóż ja na to poradzę! — była Doduna odpowiedź.

— Mąż mój pojechał na spotkanie pułkownika z prefektem.

— Dowiedzieć się pani może u prefekta.

— Byłam u prefekta.

— I cóż?

— Nie powrócił jeszcze.

---

[1] *Czas*, Kraków 1863, nr 170.

— A mąż pani?

— I mąż nie powrócił.

— Zapewne więc pułkownik nie przyjechał jeszcze.

— Przyjechał, o! to pewne. Wszyscy o tem mówią, z księciem się widział. Mój Boże! gdzież on?

— O tem pani od prefekta możesz się tylko dowiedzieć.

— Ale, gdzież prefekt? Muszę się z pułkownikiem widzieć... muszę! Mój Boże! Panie Dodun! Kochany panie Dodun! dowiedz się pan!

— Ani myślę. Ani myśleć o tem mogę. To rzecz nie moja.

Pozbył się Tokarskiej. Po odejściu jej była o niej mowa nienader dla niej pochlebna. Chodziło jej o upieczenie dla siebie pieczeni przy ogniu owacji dla nas, jako przy okazji do reklamy. Zdaje się, że nie jej jednej o to chodziło. Nie zachęcało mnie to do owacji. Troska moja w tym momencie odnosiła się całkowicie do oddziału. Byłem pewny, że oficerowie nie pozwolą się od szeregowych oddzielić. Cóż z tego wyniknąć może? Odeślą nas wszystkich do Turcji? Zapewne. Ale jeżeli my się odesłać nie damy? W razie takim Rumuni byliby zmuszeni uciec się przeciwko nam do gwałtu, co, biorąc na uwagę nastrój opinji publicznej, wydawało mi się rzeczą niemożliwą.

W mniemaniu tem utwierdziła mnie rozmowa z niejakim Balligot de Bayne, który nam nad wieczorem wizytę złożył. Ów Balligot de Bayne był mi oddawna i dobrze znajomy. Poznałem się z nim w Konstantynopolu, na początku wojny wschodniej, kiedy on, w towarzystwie niejakiego Baragnon (niepewny jestem tego ostatniego nazwiska) i ku wielkiemu zmartwieniu i zgorszeniu redakcji wychodzącego oddawna jedynego w stolicy Wschodu dziennika *Journal de Constantinople*, założył dziennik *Courrier d'Orient*. Pierwszy był ultratureckim legitymistą; spółzawodnik jego wystąpił w barwach liberalnych, mocno republikanizmem podszytych. Pomiędzy dwoma temi pismami zawiązała się odrazu polemika zażarta. *Journal* praw sułtańskich bezwzględnie i bezwarunkowo bronił, *Courrier* popierał sprawy wyzwoleń. Rzecz prosta, zbliżyłem się do *Kurjera*, od czasu do czasu do redakcji zachodziłem, niekiedy w łamach jego roboty moje zamieszczałem. Z redaktorami pozostawałem w stosunkach przyjaźni politycznej, szczególnie z Baragnonem, o którym będzie później, a który zdradzał republikanizm go-

rętszy aniżeli Balligot. Do grona spółwyznawców *Kurjera*, otaczających to pismo, należeli emigranci rumuńscy: gen. Tell, Goleskowie i inni, jakoteż Włosi ze stronnictwa Mazziniego, Bułgarowie tej miary co Zanko, nienazywający się podówczas Zankowem i pałający nieprzyjaźnią dla Rosji i prawosławia.

Ze stosunków moich z *Kurjerem Wschodnim* przypomina mi się w tej chwili zdarzenie jedno. Publicystyka zajęła się była jakiemeś honorowem pomiędzy generałami francuskimi zajściem. Gazety przyznawały rację jedne jednemu, drugie drugiemu. W polemice udział wzięły i dzienniki francuskie, wychodzące w Konstantynopolu. Sprawę tę rozstrzygnął cesarz na stronę tego generała, przeciwko któremu oświadczył się *Kurjer*, i ten w tym polemikę zamknął sensie: „Rzecz skończona, sprawa rozstrzygnięta. W sprawach honorowych (?) nikt nad Napoleona III lepszym nie może być sędzią“. Zdziwiło mnie przyznanie przez dziennik, republikańskie wyznający zasady, kompetencji w sprawach honorowych człowiekowi, na którym ciążyło zgoła niehonorowe krzywoprzysięstwo. Naiwność moja nie mogła się z przyznaniem tem pogodzić. Zainterpelowałem o nie Baragnona.

— *Mon cher*, to taktyka dziennikarska — odpowiedział mi.

Objaśnienie to nie zadowolniło mnie. Tajemnice fachu dziennikarskiego były mi obce, mimo to straciłem do *Kurjera* pęd, w redakcji bywać przestałem i następnie całkowicie z nią zerwałem. Od wyjazdu mego z Konstantynopola r. 1857 nie słyszałem nawet ani o dzienniku, ani o jego założycielach. Niespodzianką więc było dla mnie spotkanie się z Balligot de Bayne w Bukareszcie, w funkcji osobistego księcia Kuzy sekretarza.

Rad mocno byłem spotkaniu się temu. Sekretarz osobisty panującego? Toć to istota spólnie z panującym myśląca. Pewną jest rzeczą, że wszyscy, co się do panujących zbliżają: ich żony, metresy, lokaje nawet, posługacze, nie dopieroż sekretarze, udzielają im czyto wprost, czy też ukośnie, pomysły, natchnienia.

Balligot zaczął od oznajmienia nam, żeśmy jaknajlepsze na Kuzę wywarli wrażenie.

— Zachwyciliście panowie księcia. Po odejściu waszem zastanawiał się nad potrzebą zaszachowania nastrojonej na wysoki na rzecz waszą diapazon opinji publicznej i zarządzenia na cześć waszą przeglądu wojsk pod Bukaresztem. Ledwie nie-

ledwie mu to Floresku wyperswadował. Zachodzi jednak trudność jedna: jeżeli przez jutro w Bukareszcie zabawicie, to opozycja was wyszuka, sprawi wam owację i rząd w kłopotliwem postawi położeniu.

Na to odpowiedziałem, że nam zgoła o bawienie w Bukareszcie nie chodzi. Chodzi nam o rozstrzygnięcie sprawy internowanego oddziału.

Zawiązała się o tej sprawie długa i szeroka rozmowa. Przedstawialiśmy ją Balligotowi wyczerpująco, z punktów widzenia rozmaitych, podawaliśmy mu racje, na jakie nas stało, i usłyszeliśmy z ust jego mimochodem rzuconych wyrazów kilka, które mnie zastanowiły:

— Nie wiadomo jeszcze, czy Turcja oddział wasz przyjąć zechce.

Zastanowiło mnie to. Zakarbowałem sobie te wyrazy w umyśle.

W ciągu rozmowy wspomniałem o załatwieniu sprawy zapomocą oddania pod sąd mnie, herszta.

Balligot się zaśmiał.

— O sądach była mowa, jak skoro wieść o wkroczeniu waszem doszła. Po tem jednak, co się stało, po Kostangalji, po Rynzesztach, gdyby was pod sąd oddano, Kuzaby się z Rumunji wynieść musiał. Mamy przecie opinję publiczną, a ona stanowczo i w całości po waszej jest stronie. Rząd się z nią liczyć musi.

Rozwodził się nad tem, co nastrój ten spowodowało. Opinję publiczną, zdaniem jego, zafrapowało szczególnie złożenie broni — „złożenie broni po zwycięstwie". Czyż zwycięzcy broń składają?

— Piękny czyn... Nie mogliście się panowie zdobyć na piękniejszy. Zwycięzcy... po zwycięstwie takiem świetnem... broń składają. *Cela frise le sublime...* Wszyscy się spodziewali bitew i bitew, a liczyli na nie tem pewniej, że wojsko rumuńskie porażka zdemoralizowała. Gdybyście się byli pod Rynzesztami bili i pobici zostali, dogodziłoby to miłości własnej narodowej Rumunów, lecz was w cień zepchnęło. Tak zaś w pełnem postawiliście się świetle. Powinszować panom należy.

Z Balligotem i z Dodunem spędziliśmy godzin kilka. Wieczorem udaliśmy się do ministra wojny, który nas do siebie

prosił. Minister przedstawił nas swojej pani. W towarzystwie kilku eleganckich dam i kilku wytresowanych na salonach panów upłynęło nam godzin parę. Odegrywaliśmy miłą rolę osobliwości, oglądanych przez ciekawych dobrze wychowanych. Nie wiem, jakie na tem przyjaciół gen. Floreski kółku figura moja wrażenie sprawiła. Przewłocki zaimponować im musiał miną i manierami skończonego dżentelmena.

Nazajutrz rano opuściliśmy Bukareszt. Wóz, którym przyjechaliśmy, musieliśmy zostawić; dano nam wygodny na resorach pojazd i na drogę obdarzył nas książę Kuza okularami od kurzu, oraz pudełkiem cygar hawańskich, które poszły na wyłączny Przewłockiego użytek, ponieważ cygar liścianych palić nie mogę.

Poco mnie Kuza do Bukaresztu wzywał? Z wezwania tego korzyść odnieśli poaresztowani: Stefanek, Tyszkiewicz, Świejkowski, dr Madejewski i inni, — to dobrze; co się jednak nas (oddziału) tyczy, postanowienie, które nam oznajmił, powziętem być mogło, i zapewne powziętem zostało, bez nas. Dlatego błędem było może z mojej strony odrzucenie owacji zgóry. Powinienem był nią manewrować: zrobić z niej straszak na rząd i z ostatniem słowem wstrzymywać się, aż się dowiem, jaki ma być los oddziału. Na myśl to narazie ani mnie, ani Przewłockiemu nie przyszło. Prawda, żeśmy o grozie, jaką rząd owacja przejmowała, dowiedzieli się później, dopiero kiedy już było po harapie. Wina nasza, żeśmy nie przewidzieli. Winę naszą i to jeszcze powiększa, że owacja, nie pogarszając losu oddziału, byłaby, jako ekstraterytorjalna w odniesieniu do Polski, jako międzynarodowa, oddziałała na opinję publiczną w Europie, wnosząc w nią jeden więcej głos sympatji, przejmującej Francję, Włochy, Anglję, państwa Skandynawskie, Szwajcarję, Belgję, półwysep Pirenejski. Mnie osobiście pozostałoby wspomnienie triumfu, jakiegoby doznał wirtuoz, który raz jeden przed publicznością wystąpił, zachwycił ją, rękę złamał i występować więcej nie mógł.

Znów wspomnienia moje giną w mgle przeszłości. Nie przypominam sobie ani żadnego z podróży spowrotem zdarzenia, ani też tego, czyśmy się w Rynzesztach zatrzymywali, czy też wprost do Kahulu pojechali. Przypominam sobie krótki w Kahulu pobyt, w czasie którego oddziałowi wystąpić kaza-

łem i zdałem mu dokładną z konferencji z Kuzą sprawę, dodając, iż postanowienia co do losu naszego wysłuchaliśmy, aleśmy go nie przyjęli, żeśmy Kuzie oświadczyli, iż oficerowie nasi nie pozwolą się od szeregowych odłączyć. Sprawozdanie moje znalazło uznanie powszechne. Z uznania wynikło postanowienie oparcia się odesłaniu do Turcji.

— Jeżeli zechcą Rumuni wyrzucić nas przemocą, niech wyrzucą trupy nasze.

Byłem pewny, że do tego nie przyjdzie.

Z Kahulu przeprowadzono nas do Reni, na brzeg Dunaju. Na przeciwnym brzegu Turcja, nie dzisiejsza, ale z r. 1863. Odległość Reni od Gałacu wynosi mil dwie i pół. Sprowadził nas Ghika w przypuszczeniu, że w ten sposób gładko się z nami załatwi: na łodzie wsadzi i naprzeciwko wysadzi. Byłby tak może zrobił, a przynajmniej zrobić spróbował, gdyby naprzeciwko nie rozlegały się trzęsawiska nieprzystępne, ciągnące się z jednej strony do Isakczi, z drugiej do Matczynu i dalej. Nie możnaż było w trzęsawiska wrzucać dwie setki ludzi na pastwę komarom i pijawkom; wysadzenie zaś ich na brzeg pod Isakczą zależało od pozwolenia władzy tureckiej.

W czasie pobytu naszego zrazu w Reni, następnie we wsi pobliskiej, Anadołkiej, pomiędzy nami (Zimą, Przewłockim i mną) a Ghiką trwała ciągła o jednem i tem samem gadanina: o wyroku, którego Ghika miał być wykonawcą. Stawiliśmy bierny opór. Ghika namawiał, przedstawiał, przekonywał, zaklinał, groził — nic nie pomagało. Od oddziału, w Kahulu jeszcze, odłączyło się Włochów trzech, zresztą zarówno Polacy, jakoteż Francuzi, Węgrzy, Niemcy, których było po kilku, trzymali się razem odpornie. Perswazje Ghiki były grochem rzucanym na ścianę.

Zima, Przewłocki i ja rozebraliśmy pomiędzy siebie role. Stało się to samo przez się. Ponieważ uznawałem się winnym, sam jeden winnym, co do mojej przeto osoby wyrok przyjmowałem i przez to samo w stosunku do oddziału usuwałem się na stronę, zostawiając mu zupełną działania swobodę. Wynikła stąd dwulicowość w postępowaniu mojem. Wobec Ghiki nie sprzeciwiałem się odesłaniu oddziału do Turcji; oddziałowi nie doradzałem poddania się wyrokowi; obok tego zaś pisałem do Cholewińskiego w Tulczy i Sokulskiego w Konstantynopolu,

opisując im stan rzeczy i domagając się od nich dołożenia wszelkich usiłowań celem wyjednania u władz tureckich odmówienia przyjęcia nas w Turcji. „Przed Ghiką [1] utyskiwałem na dekret, bardziej atoli jeszcze na Turków, którzy tak dobrze pojęli, czego nam potrzeba, że gubernator tulczański, oświadczając, że Turcja nie chce być dla Polaków Sybirem, zagroził transport rumuński przyjąć kartaczami".

O moich z Ghiką w materji tej stosunkach przytaczam dosłownie, com w niej dalej napisał w wyżej przytoczonej książce.

„Ghika wściekał się i wymyślał na Turków; jam mu wtórował, podpowiadając, że środkiem najskuteczniejszym do uniknięcia nieporozumień groźnych, jakieby z Wysoką Portą z takiej błahej wyniknąć mogły przyczyny, byłoby puszczenie nas wszystkich do Polski.

— Nie możemy zrobić tego na sposób żaden — perswadował mi Ghika.

— Dlaczego? — dopytywałem się i dopytałem wkońcu. Powodem głównym usiłowania wyrządzenia nam przykrości tej było naleganie konsulatu generalnego moskiewskiego, który wzamian za nią przyrzekał pomoc gabinetu swego w rozwiązaniu niesłychanie dla Rumunji ważnej kwestji dóbr monasterskich, majątków ogromnych, w Rumunji położonych, a przez fanarjotów [2], hospodarów i bojarów, klasztorom na górze Atos legowanych. Była to sprawa międzynarodowa, wielce skomplikowana.

— W kwestji tej — tłumaczył się Ghika — Moskale zawsze oświadczali się przeciwko nam i stanowili w rozwiązaniu onej główną, jedyną przeszkodę. Obecnie sami nam ją podsuwają. Nadarza się sposobność dzięki wam rozwiązania jej na korzyść naszą przy pomocy samychże Moskali. Możnaż nie korzystać ze sposobności podobnej? Szanujemy was i kochamy, sprawę polską uważamy za najsprawiedliwszą, za najświętszą; lecz przed sprawą polską iść musi nasza własna. Dla nas, Rumunów, interesy rumuńskie przedewszystkiem.

— Nic słuszniejszego — odrzekłem na ten wykład jasny. —

---

[1] Wypisuję z *W Galicji i na Wschodzie*, str. 183. (Nota T. T. Jeża).

[2] Fanarjoci, Grecy w służbie rządowej tureckiej, szczególnie liczni w Mołdawji i na Wołoszczyźnie przed r. 1821.

Z tem wszystkiem Turcy skartaczować [grożą][1] i nas i was, co nie jest interesem rumuńskim.

— Głupcy! łotry! — wykrzykiwał Ghika, na Turków się odgrażał, tymczasem zaś do Bukaresztu się odniósł, domagając się, ażeby rząd rumuński postarał się przekonać Wysoką Portę za pośrednictwem ambasady francuskiej".

Przypuszczać należy, że rząd rumuński odniósł się, za pośrednictwem konsulatu generalnego francuskiego w Bukareszcie do ambasady, ta zaś odniosła się do ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu i ministerstwo z odpowiedzią zwłóczyło. W oczekiwaniu na takową Ghika negocjował z gubernatorem Tulczy. Ten atoli trzymał się zawsze jednakowo, zawsze... z kartaczami w pogotowiu.

Zima, Przewłocki i ja bywaliśmy w Gałacu często — nie było prawie dnia, ażeby jeden z nas nie przebywał w murach tej Księstw Zjednoczonych metropolji dunajskiej. Myśmy prawili swoje, Ghika swoje. Perkałab[2] Gałacu, ażeby snadź zniewolić nas „czapką, papką i solą", dawał nam przystęp do towarzyskiego w otoczeniu swojem życia. Parę wieczorów spędziłem w salonie jego w towarzystwie dam. Raz zeszedłem się z moimi podkomendnymi: z hr. de Choiseul i z markizem de Rivoire, przyjmowanymi przez gospodynię domu z dystynkcją szczególną. Nie ulega wątpliwości, że hrabiów i markizów w szeregach oddziału naszego obecność podnosiła w oczach niewieściej arystokracji rumuńskiej połowy znaczenie sprawy polskiej i patrjotyzmowi polskiemu blasku dodawała. W oczach tych pań — powtarzam. Nie wzruszało mnie to ani rozrzewniało zgoła. Zachwycał je heroizm polski, któremu poświęcały frazesy wyuczone. Wolałem mówić z niemi, albo słuchać je rozprawiające o sztuce, literaturze, teatrze, salonach, balach, modach. Żadna z nich w pamięci mi nie pozostała. Owoczesne rumuńskie kokony i kokonice[3] z wyjątkiem ogłady zewnętrznej nie odznaczały się zresztą niczem pociągającem. W obcowaniu z niemi nie znajdowałem przyjemności nawet, dlatego zapewne, że umysł mój całkowicie zaprzątała sprawa oddziału.

---

[1] Słowo opuszczone w rękopisie.
[2] Gubernator, prefekt. (Nota T. T. Jeża).
[3] Panie i panny. (Nota T. T. Jeża).

Oczekiwanie na interwencję dyplomatyczną francuską dłużyło się i zagrażało przeciągnięciem się w nieskończoność. Domyślam się, że ten był powód, dla którego Ghika razu pewnego zaproponował mi, ażebym negocjację z rządem tureckim wziął na siebie. Zgodziłem się na to odrazu, zastrzegając się, że odpowiedzialności nie biorę za rozstrzygnięcie sprawy nie po myśli rządu rumuńskiego.

— Byle się ona rozstrzygnęła stanowczo.

— Dobrze — odrzekłem.

Sprawa ta opierała się dotychczas o gubernatora tulczańskiego, odgrażającego się kartaczami. Gubernator tulczański był subalternem. Chodziło o dotarcie do wielkiego wezyra. Rząd rumuński spróbował dotrzeć do niego przez ambasadę francuską; gdy jednak nie powiodło mu się na tej drodze, zwrócił uwagę na mnie. Ghika propozycję zrobił mi od siebie. Być może, iż pomysł wyszedł od niego; wykonanie atoli nastąpić bez aprobaty księcia panującego nie mogło. Zdaje się, że rząd rumuński chciał jakkolwiek pozbyć się kłopotu, narażającego go na koszta i nieprzyjemności. Zdał rzecz na mnie, wiedząc na pewne, że nie będę żądania jego w Wysokiej Porcie popierał.

— Kiedyż mam jechać? — zapytałem Ghiki.

— Kiedy pułkownik zechcesz — odpowiedział. — Im prędzej, tem lepiej.

I ja tego byłem zdania. Pociągało to za sobą rozstanie się moje z oddziałem. Nie przyszło mi to bez żalu.

Oddział był dziełem mojem: stworzyłem go, wypiastowałem, w pole wyprowadziłem i przeżyłem z nim moment lubo krótki, ale ważny w życiu każdego człowieka. Poznaliśmy się wzajemnie w trudach i znojach, jakoteż w próbie, w której w mojej głowie, w mojem sercu i w moich rękach cześć tych, co pod rozkazy mi się oddali, całkowicie spoczywała. Żywo i głęboko odczuwałem przywiązanie ich do mnie. Pozyskałem ich zaufanie. Jeden z nich powiedział mi:

— Z tobą, pułkowniku, djabłu w paszczękę pójdziemy...

Jakżeżbym mógł bez żalu rozstawać się z nimi...

W ciągu formacji i krótkiej kampanji nie sprawili mi oni przykrości żadnej. Drobne zajścia, jakie się razy parę zdarzyły, na karność w najmniejszej nie wpłynęły mierze — przeszły bez śladu. Jedno z nich zamanifestowało się, kiedy po złożeniu

broni Rumuni wyprowadzili nas z Rynzeszt, nie pamiętam gdzie, w Kahulu czy w Reni. Młodzież inteligentna zapragnęła zaprowadzenia systemu wyborczego i powołała mnie do rozmówienia się z nią. Rozmowa nastąpiła w jakiejś szopie. Stawiliśmy się na nią we dwóch: Zima i ja, rozmówiliśmy się i rzeczy pozostały po dawnemu. Przeargumentowaliśmy młodzież, wytłumaczywszy jej, że jesteśmy cząstką społeczeństwa, znajdującą się w warunkach wyjątkowych, do których nie dadzą się przystosowywać teorje, odnoszące się do społeczeństw w stanie normalnym. Prawda że w gronie tej młodzieży nie było osobników, zgóry wszelakie najracjonalniejsze odrzucających argumenty. Najzagorzalszy śród niej Wielopolski uwzględniał przekonania nieswoje.

Ani w Kahulu, ani w Reni, ani w Anadołkiej zarówno oficerowie jak szeregowi żadnego nie dali mi do uskarżania się na nich powodu. W Anadołkiej Jagmin musztrował bataljon, czemu Rumuni nie przeszkadzali, tego jeno i to niezbyt ściśle przestrzegając, ażeby internowani ze wsi się nie wydalali. Warty otaczały wieś łańcuchem luźnym i rzadkim. W żywność władze miejscowe zaopatrywały oddział regularnie i dostatnio. Po szpitalach nasi ranni i chorzy doznawali pieczołowitości, nic do życzenia niepozostawiającej. Tak stały rzeczy, kiedy przyszedł smutny i przykry dla mnie moment rozstania się z oddziałem.

Pozostawali wszyscy; tylko ja odjeżdżałem. Pozornie wyglądać to miało na wypędzenie herszta z granic Rumunji.

Przed wyjazdem miałem do załatwienia oddanie oddziału, rekwizytów stanowiących własność publiczną i kasy komisarzowi pełnomocnemu, reprezentującemu Rząd Narodowy. Był nim Michał Mrozowicki, uznany dzięki mnie przez rząd rumuński. Zjechał był on do nas raz 1 czy 2 sierpnia, drugi raz 10 t. m. Za pierwszym razem uregulował żołd, zmniejszając go do połowy, odjechał do Bukaresztu, przedstawił się Kuzie... w kontuszu, i powrócił. W czasie nieobecności jego, wespół z Zimą, pełniącym obowiązki szefa sztabu i będącym w jednej osobie szefem, podszefem, naczelnikiem wszystkich wydziałów i członkiem wszystkich biur, jak w mojej jednej osobie koncentrował się cały otaczający wodza personel, sporządziliśmy wykaz stanu, w jakim znajdował się oddział, którego dowództwo

za porozumieniem z komisarzem zdawałem Jagminowi. Szczegóły wykazu tego znajdują się w *W Galicji i na Wschodzie*[1]. Rachunek wydatków pieniężnych przedstawia się w cyfrach następujących: na wyprawę z rozmaitych źródeł wpłynęło franków 115.861; wyprawa do dnia 9 sierpnia kosztowała franków 50.687·20; Mrozowickiemu wręczyłem fr 36.619·20; u Cholewińskiego w Tulczy pozostawiłem fr 3.068; u Sokulskiego w Konstantynopolu fr 11.000. Rachunku jeden egzemplarz dałem Mrozowickiemu, drugi ze szczegółowym do Rządu Narodowego raportem Zimie. Nie wiem, czy raport mój doszedł do Rządu Narodowego. Zima we Lwowie wręczył go komisarzowi pełnomocnemu na Galicję wschodnią, którym był natenczas Izydor Kopernicki, ten zaś za pośrednictwem komisarjatu krakowskiego przesłał dokument ten do Warszawy. I ślad o nim zaginął.

Po załatwieniu się z wykazami, pisaniem raportów i kasą dopełniłem jeszcze aktu pożegnania żołnierzy i rozstania się z oficerami. Śród tych ostatnich znajdowało się osobistości kilka, niechętnie pod mojem idących dowództwem. Zanosiły one na mnie skargi z Tulczy; za ich sprawą o mało nie spotkała mnie destytucja; moment przeto, w którym opuszczałem stanowisko, wydał się im sposobnym do wystąpienia przeciwko mnie z zarzutami wobec pełnomocnika Rządu Narodowego. Na rzecznika wybrali sobie Jagmina. Kiedy więc z oficerami się żegnałem, Jagmin głos zabrał i oskarżył mnie o... „fałsz w organizacji".

Jaki i w czem fałsz?

Fałsz ów w rozumieniu antagonistów moich tkwił w rzeczy samej w tem, że kiedym był podporucznikiem, oni posiadali stopnie poruczników, kapitanów, majorów. Dowództwo moje gwałciło hierarchję wojskową. Była w tem racja, która jednak nie nadawała się do oskarżenia mnie w oczy. Kiedym przeto o „fałsz" Jagmina zapytał, Jagmin wykazał go w relacji o bitwie pod Kostangalją, napisanej przeze mnie w Bukareszcie i ogłoszonej w *Czasie* krakowskim. Utrzymywał, że nie trzecia, ale druga kompanja bitwę rozstrzygnęła i że trzecią kompanją dowodził nie kapitan Brzozowski, ale porucznik Brzozowski. Brzozowski w istocie był w stopniu porucznika; że jednak kom-

[1] Str. 187—92. (Nota T. T. Jeża).

panją dowodził, tytułowano go kapitanem i ja mu w relacji ten tytuł dałem. Był to fałsz, ale nie w organizacji. Co się zaś drugiego fałszu tyczy, polegał on na tem, że w czasie bitwy major znajdował się przy drugiej kompanji, w dolinie, nie wiedząc, gdzie się podziała była trzecia, ani co zrobiła, gdy za górą sprzed oczu mu znikła. Nie miałem czasu zawiadomić go, że ją zabieram. Jagmin widział tylko, co się na dolinie stało. Sprzed frontu kompanji drugiej uciekły bataljony rumuńskie, porwane przez kolumnę, wpędzoną na nie z wąwozu przez kompanję trzecią. Podziałało tu wrażenie moralne zuchwałego, rdzennego a niespodzianego ataku garstki przeciwko dziesięćkrotnie większej sile. Gdyby nie to, nie bylibyśmy zwycięstwa odnieśli. Z łatwością przyszło mi to wytłumaczyć i gdym wytłumaczył, nikt w gronie oficerskiem nie znalazł się na poparcie tego zarzutu. Pytałem — nikt nie odpowiadał.

— Ponieważ major Jagmin zarzucił mi fałsz w organizacji — odezwałem się, — więc może kto zarzut ten wyjaśnić zechce?

Nie zabrał głosu nikt. Mrozowicki tylko oświadczył, że do sądzenia spraw bojowych kompetentnym się nie czuje.

W ten sposób objawiła się długo za kulisami ukrywana i zza płota strzelająca niechęć względem mnie. Wynadgrodziła ona sobie po mojem wyjeździe; pod jej wpływem Mrozowicki napisał raport o mojej wyprawie, w którym odsądził mnie od wszelakich zalet, z wyjątkiem waleczności [1]. Dobre i to.

Jagmin, którego za waleczność ceniłem wysoko, wielką mi wyrządził przykrość. Odczuli ją oficerowie, nienależący do kółka niechętnych; byli oni w większości i starali się przykrość wynadgrodzić serdecznością przy rozstaniu.

Na wyjazd grosza nie miałem. Próbowałem sprzedać konie moje, siodła i juki; próba się nie udała, pozostawiłem więc je Czajkowskiemu do spieniężenia, sam zaś wziąć musiałem od Mrozowickiego z kasy oddziału fr 400, należnych mi jako żołd.

Dnia 11 sierpnia rano opuściłem Anadolkiej i tegoż dnia, odprowadzony na odchodzący z Gałacu statek przez Ghikę, zaambarkowałem się do Konstantynopola. Przy pożegnaniu

---

[1] Zamieszczony w t. V str. 243—51 *Wydawnictwa materjałów do historji powstania 1863—1864*, Lwów 1894. (Nota T. T. Jeża).

Ghika usilnie mi zalecał wyjednanie w Wysokiej Porcie przyjęcia w Turcji oddziału polskiego.

Z podróży tej to tylko mam do zaznaczenia, że, gdy się w porcie tulczańskim statek zatrzymał na godzinę czy więcej, na pokładzie odwiedził mnie Cholewiński i zaręczył, że Turcy oddziału pod żadnym nie przyjmą pretekstem. Wypadało z tego, że Rumuni zmuszeni będą oddział do Polski puścić. Z dobrą więc otuchą jechałem dalej, zmierzając drogą daleką, na Konstantynopol i Paryż, na teatr powstania. Ze szczytów spadłem na poziom prostego ochotnika; miałem jednak prawo tytułować się „byłym naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi". W tej chwili dopiero przyszło mi to prawo na myśl. Przylgnął do mnie tytuł pułkownika, o który się nie ubiegałem, ale przyjąć go musiałem. Sprzągł się on z tytułem „powieściopisarza". W r. 1863 nie przewidywałem, że się naprawdę na powieściopisarza wykieruję.

W Konstantynopolu na wstępie z uprzedzonym o przybyciu mojem Sokulskim się zeszedłem. Stanąłem w hotelu.

— Fuad-pasza widzieć się z tobą chce — oznajmił mi Sokulski. — Potrzeba jednak, żebyś go o audjencję poprosił: etykieta tego wymaga.

Zastosowałem się do tej potrzeby, jako też do życzenia wielkiego wezyra, i wystosowałem do niego podanie o audjencję.

Zanim odpowiedź nadeszła, co nastąpiło bardzo prędko, zadziwiająco prędko, Sokulski oznajmiał mnie z mogącym mnie obchodzić stanem rzeczy w stolicy Wschodu. Na pytanie moje, jaką drogą życzenie wielkiego wezyra do wiadomości jego doszło, odpowiedział:

— Przez Baragnon. Znasz go. Są oni teraz w jaknajlepszych z rządem tureckim stosunkach.

Ostatnie te wyrazy mimo uszów puściłem. „Oni"? — Myślałem, że chodzi o dziennik, niegdyś opozycyjny, który kierunek zmienił. Nie interesowało mnie to.

Dalej Sokulski, wymieniając mi nazwiska Polaków, do Konstantynopola przybyłych, wymienił Krajewskiego, któremu udało się z żoną w Konstantynopolu się schronić przed czekającym na niego Sybirem, jeżeli nie szubienicą, należał bowiem do powstania Różyckiego.

— Mówił mi, że jest z tobą skoligacony.

— Może — odparłem.

— Przez żonę.

— Jakże żona jego z domu?

— Nie wiem, wiem tylko, że jest Sadyka (Mich. Czajkowskiego) siostrzenicą. Krajewscy to ludzie zamożni. Sadyk u nich bywa. Trzeba, żebyś ich odwiedził.

— I zeszedł się z Sadykiem?

— On tego właśnie pragnie.

Dzień pierwszy pobytu w Konstantynopolu upłynął mi, nie pamiętam jak. Odpowiedź Fuada-paszy nadeszła wieczorem. Wielki wezyr naznaczał mi o godzinie porannej, dosyć wczesnej, *rendez-vous* nie w Wysokiej Porcie, ale w letniem mieszkaniu swojem, w pałacu nad Bosforem, na brzegu azyjskim. Nazwa miejscowości wypadła mi z pamięci, znajdowała się jednak tak daleko, że dostanie się do niej wymagało godzin kilku płynięcia kaikiem. Wstać więc musiałem bardzo rano. Niedospanie mógłbym wynadgrodzić sobie w kaiku. Pływanie kaikiem ludzie miejscowi, nieciekawi cudnych widoków obubrzeżnych na Bosforze, odbywają leżąc. Ponieważ w momencie tym widoki mnie miernie obchodziły, położyłem się. Sen jednak nie imał się powiek moich. Zejście się z Fuadem-paszą żywo mnie zainteresowało z powodu, że zażądanie od niego wyszło. Co on mnie do powiedzenia ma? Co ja powiem jemu? — Dwa te pytania mózg mi udeptywały i anim się spostrzegł, jak czas upłynął i kaik do brzegu przybił u stóp schodów marmurowych, prowadzących poprzez starannie i elegancko utrzymany ogród do uroczo wyglądającego pałacu. Wszedłem; w poczekalni, w której nikogo nie było, oficer dyżurny kartę moją wziął, i w chwilkę później stanąłem przed obliczem najwyższego w państwie otomańskiem dostojnika. Sułtan pierwszy, wielki wezyr drugi. Wielcy wezyrowie w języku dyplomatycznym tytułują się: *altesse*.

Fuada-paszy figura nie była mi obcą. Znałem go nietylko z widzenia. Mówiłem z nim nawet. W r. 1849 przyjechał był z Petersburga do Szumli, przywiózł odstąpienie Rosji od żądania, ażeby nas jej Turcja wydała, i zapytywał nas każdego zosobna, czy chce w Turcji pozostać, czyli też do Anglji jechać. Skolei i ja na zapytanie jego odpowiedziałem. Więcem z nim mówił. Prawda, że natenczas nie zajmował tego stanowiska wysokiego, jakie zajmował w r. 1863.

Fuad-pasza swoje dyplomatyczną drogą przejście zaznaczył taktem wielkim i subtelnością. Człowiek wysoko wykształcony, giętki, grzeczny, powierzchowności ujmującej, prowadził nawę państwową poprawnie. W stosunkach z ludźmi nie skąpił uśmiechów, które mile opromieniały jego ładne oblicze i wdzięcznie rozjaśniały jego czarne oczy.

Przyjął mnie w oranżerji, a raczej w ogrodzie pod dachem szklanym, pełnym krzewów i kwiatów, ujętych w ramy ulic i uliczek, rozchodzących się od sporej krągłej przestrzeni, po której środku pośród mchów i roślin pełzających bił wodotrysk. Wodotrysk ów otaczały zdala fotele i stoliczki ogrodowe. Jeden z foteli zajmował Fuad-pasza. Kiedym wszedł, wstał, kroków kilka ku mnie podszedł, dłoń mi po europejsku do uścisku podał i, mówiąc, że rad jest poznaniu „jednego z walecznych wodzów polskich", obok siebie na fotelu posadził.

Dalsze jego słowa odnosiły się do wypowiedzianego mi na wstępie komplementu. Pasza wygłosił kilka o męstwie polskiem frazesów, mówiąc, że teraz, jak zawsze, Polacy usprawiedliwiają opinję, jaką o nich historja na kartach swoich zapisała.

Podano fajki i kawę czarną.

Pasza zaczął o bitwie pod Kostangalją. Słyszał o niej. Zajęła go ona żywo, jako nowy męstwa polskiego dowód; zadał mi kilka co do szczegółów zapytań, świadczących, że w rzeczy samej doszły go relacje dokładne.

Mnie zgoła nie [szło][1] o to, co on o mnie i o bitwie pod Kostangalją wie i myśli. Skorzystawszy więc z pierwszej w rozmowie tej przerwy, zapytałem, czy mi wolno sprawy polskiej z punktu ogólnego dotknąć.

— Owszem — odpowiedział.

Następujący ustęp przepisuję dosłownie z *W Galicji i na Wschodzie* [2].

„— Nie przedstawiam się — zacząłem — wysokości waszej w charakterze politycznym. Jestem żołnierzem, przejeżdżającym z teatru wojny jednego na drugi. Że jadę jednak do Polski, że w Polsce zetknę się z Rządem Narodowym, że Rząd Narodowy zapyta mnie, co tam na Wschodzie słychać, — uważam przeto za powinność moją złożyć hołd naczelnikowi państwa

[1] Słowo opuszczone w rękopisie. [2] Str. 194. (Nota T. T. Jeża).

otomańskiego i zapytać go, jakiem jest dla sprawy polskiej Wysokiej Porty usposobienie.

Wielki wezyr zaręczył mi, że Turcja ze spółczuciem jaknajżywszem patrzy na walkę, która obecnie w Polsce się toczy, i polecił, ażebym wyraz spółczucia tego zakomunikował Rządowi Narodowemu.

— Ośmielam się zrobić uwagę — odrzekłem — że przez wzgląd na interesa samejże Turcji wyglądamy od niej czegoś więcej aniżeli spółczucia. Spółczuciem cały świat ucywilizowany karmi nas od miesięcy ośmiu. Jest to interwencja wysoka, w oczach naszych mająca cenę, dowodząca bowiem, jako świat uznaje sprawiedliwość sprawy naszej. Samo jednak uznanie czyż wystarcza? Przy oklaskach świata walka nasza z Moskwą przeciągnąć się może w nieskończoność i upaść obecnie, ażeby wszcząć się znów kiedyś. Interesem świata jest położyć jej koniec; interesem zaś Turcji jest, ażeby koniec ten był Polski triumfem. Dlatego rościmy sobie prawo niejakiego żywienia tej nadziei, że Turcja wystąpi z interwencją donioślejszą aniżeli moralna, że wystąpi z interwencją czynną, zbrojną.

Gdym ostatni wymówił wyraz, Fuad-pasza zrobił grymas taki, jakby był wężem, a jam mu na ogon nastąpił.

— Poruszyłeś pan — odparł żywo — kwestję nadzwyczajnie ważną, której *de mon chef* rozstrzygnąć nie mogę. Turcja w sprawie polskiej idzie ręka w rękę z mocarstwami Zachodu. Sama jedna nie może się na wypadki wojny narażać".

Tu przychodzi mi uwaga jedna. Stale zarzucają nam, i my sami zarzucamy sobie, wyrywanie się nie w porę i niekorzystanie z okazyj przyjaznych. Zarzut ten zwrócić się da do mocarstw, rozporządzających środkami nietylko moralnemi, stanowiącemi jedyne prawie nasze bogactwo, ale i materjalnemi. Powstanie nasze r. 1863 dla Turcji przedewszystkiem, obok niej dla Anglji, dalej dla Francji, dla Austrji, jakoteż dla państw o rozwój cywilizacji dbających, okazją było bardzo przyjazną do rozrachowania się z Rosją. Myśmy nią w posadach wstrząsnęli, jej wojska na atomy rozbili, ósmy miesiąc jej militarną potęgę w szachuśmy trzymali: byłaż okazja sposobniejsza do postawienia Rosji na stanowisku nieszkodliwem? Ale Turcja oglądała się na Zachód; Zachód zaś oglądał się —

zapewne na Turcję. Nie my jedni błądziliśmy, z okazyj nie korzystając.

Po powyższej naczelnika rządu tureckiego odpowiedzi rzekłem:

„— Oświadczyć więc mam Rządowi Narodowemu, że Turcja ani myśli o interwencji na korzyść Polski?

— Przeciwnie! — podchwycił wielki wezyr. — Turcja myśli, ale nie sama. Czeka ona na wezwanie Zachodu. Niechby nam Francja przysłała bataljon jeden...“

Nie było więcej o czem w materji tej do mówienia.

Była jeszcze mowa o internowanym w Rumunji oddziale. Fuad-pasza zapewnił mnie, że Turcja go nie przyjmie. Na rozstaniu zapytałem, czyby rząd otomański nie zechciał zawiązać regularnych z Rządem Narodowym stosunków.

„ — I owszem — była odpowiedź.

— Mogę więc powiedzieć Rządowi Narodowemu, że agent jego pełnomocny będzie w Konstantynopolu przyjęty i uznany?

— Możesz mu to, pułkowniku, zaręczyć.“

Tyle z konferencji tej wyniosłem korzyści. Zarysowała się dla mnie korzyść jeszcze jedna, osobista; o tej jednak trochę niżej powiem. Przyjęcie agencji doszło do skutku. Rząd Narodowy na przedstawienie moje wysłał do Konstantynopola Tadeusza Orzechowskiego, za późno atoli. Zło, jakie agencja hotelu Lambert tymczasem zrobić mogła, zrobiła. Wyprawa moja niewątpliwie byłaby się korzystniej obróciła, gdybym z tej strony nie miał przeszkód zamiast pomocy.

Zabawiłem dni kilka w Konstantynopolu, oczekując na odchodzący co tydzień do Marsylji parowiec. Czas ten spędziłem w gronie przyjaciół: Gropplerostwa, Sokulskiego i innych, zabrałem znajomość z Krajewskimi. Pomiędzy tym ostatnim a mną zachodziła koligacja przez moją żonę, której wuj, Aleksander Potocki, miał za sobą rodzoną Krajewskiego siostrę, on zaś miał za sobą pannę Trypolską, siostrzenicę Czajkowskiego (Sadyka-paszy). Z tego tytułu ułożonem zostało moje z Sadykiem zejście się na gruncie neutralnym, u Krajewskich. Stawiłem się o godzinie naznaczonej. Sadyk uprzedził przybycie moje. Znanemi mi były ujemne jego strony, miałem go jednak za człowieka szczerego; i obecnie nieszczerości mu nie zarzucam, szczerość jego atoli uzależniało całkowicie wrażenie

momentu. Być przeto może, że w tym momencie, w którym zeszedłem się z nim u Krajewskich, ulegał wrażeniu, które go całkiem szczerze ku mnie popchnęło i wziąść osobę moją w uściski kazało. Usiedliśmy obok siebie, niby koledzy, niby przyjaciele. Autor *Owruczanina*, szepleniąc trochę z gardła, rozpytywał mnie o różne rzeczy, mianowicie zaś o to, jak się oficerowie z jego pułków w bitwie prowadzili. Prowadzili się oni świetnie,— powiedziałem mu o tem i bardzo go to cieszyło.

— Ależ bo byli to najlepsi u mnie oficerowie — rzekł.

Dalsze w tej materji mówienie przerwało wejście adjutanta jego, niejakiego Farneze, który wnet wyszedł po zamienieniu z nim paru słów.

— Byli to najlepsi u mnie oficerowie — powtórzył. — Po ich odejściu pozostali sami tacy.

Wskazał palcem na niknącego za drzwiami Farnezego.

— Ogołociłeś, pułkowniku, pułki moje z oficerów.

— Stało się to bez mojej winy.

— Wiem... wiem... Nie zatrzymywałem nikogo. Nie przeszkadzałem nikomu. Poprowadziłbym moje pułki, gdyby można.

Z tego punktu wytoczyła się nieznacznie na stół możliwość ponowienia wyprawy.

— Tego już nie zrobię — rzekłem.

— Czemu?

— Spotkało mnie niepowodzenie.

— No... niepowodzenie? Wygranie bitwy takiej świetnej.

— Kto inny mógłby lepiej z zadania się wywiązać.

— Naprzykład?

— Edmund Różycki.

Sadyk chwycił się tego z zapałem. Mówił o ojcu jego, Karolu, którego w czasie wojny wschodniej wabił, ale zwabić nie potrafił. Z naciskiem powiadał i powtarzał, że gdyby Edmund przyjechał, onby mu z całej pomagał duszy. Zanotowałem to sobie i mam dziś na sumieniu bezużyteczną Edmunda Różyckiego do Konstantynopola podróż. Poszło to stąd, żem w ciągłość szczerości jego uwierzył.

Zdarzają się ludzie ze szczerością momentalną. Do tego rodzaju należał Sadyk. Szczery niegdyś katolik, szczerym następnie został muzułmaninem, wkońcu szczerym prawosławnym; szczerze mnie w saloniku Krajewskich ściskał i w parę lat później

również szczerze paskudził w powieści p. t. *Nemolaka*. Przedstawił mnie w niej pijakiem, karciarzem i kobieciarzem. Rozliczne mogą mi być przypisane ułomności i wady, tylko nie te trzy. Do tych trzech bezwarunkowo się nie poczuwam.

Pewnego dnia oznajmił mi Sokulski, że ze mną dla rozmówienia się w rzeczy bardzo ważnej widzieć się chce Baragnon i prosi mnie o wyznaczenie mu *rendez-vous* we cztery oczy.

— Cóż on mieć może do mnie za interes?

— Może co od Fuada-paszy — odpowiedział Sokulski.

Rendez-vous naznaczyłem w hotelu. Francuz stawił się na nie punktualnie Rozmowę rozpoczął od skonstatowania, żem uzyskał w Rumunji popularność, nadającą imieniowi memu znaczenie. Zmierzało to do tego, ażeby mi zaproponować ponowną do Polski przez Rumunję wyprawę, która Polaków nic kosztować nie będzie i na organizację której rząd turecki daje mi do wyboru jedno z dwóch miast: Widyń albo Ruszczuk. To mnie zdziwiło: gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie babanowieckie karczmy — gdzie Widyń, gdzie Ruszczuk, gdzie Polska.

— Ależ to trudno — rzekłem.

— Koszta wszystkie organizacyjne zostaną opłacone i za trudy swoje otrzymasz pan honorarjum miljon franków.

— Ależ za co? — zapytałem w naiwności mego ducha, niedopuszczającego takiej mianowicie dziwnej zapłaty za służenie Polsce.

— Za rzecz ułożoną pomiędzy Sztirbejem-Bibeskiem, Sturdzą a rządem tureckim. Chodzi o wyrzucenie Kuzy i wprowadzenie na tron wołoski Sztirbeja-Bibeskę, na mołdawski Sturdzę. Miljon franków, nadto ci panowie zobowiązują się popierać powstanie polskie.

Stryj mój Maciej, będąc w powiecie bałckim podsędkiem, kuszony przez niejakiego P. w sposób podobny, porwał się na kusiciela ze stołkiem w ręku tak impetycznie, że gdyby się był pod stół nie schował, byłby mu głowę rozwalił. W chłodniejszej snadź, aniżeli mego stryja, kąpano mnie wodzie. Drzwi mu nawet nie pokazałem. Powiedziałem mu grzecznie:

— Nie, panie, to nie możliwe *(non, monsieur, cela ne se peut pas)*.

Na tem się rzecz tym razem skończyła; mówię „tym razem“, w czas jakiś bowiem później, kiedy Kuza został z tronu

strącony, a ja przebywałem w Belgradzie, ta sama propozycja w ostrym tonie postawiona mi była, bez wymienienia wszakże kwoty, przez niejakiego B., Polaka. Nie piszę jego nazwiska, skądinąd bowiem był to człowiek nie bez zasług. Napadł on na mnie zgóry za odrzucenie w Konstantynopolu miljona, dzięki któremu dużobym, zdaniem jego, mógł zrobić dobrego, i ciągnął mnie do Rumunji, ażebym przebywających tam w znacznej wówczas ilości Polaków ściągnął i na ich czele hospodarów wywłaszczonych, jednego w Bukareszcie, drugiego w Jassach, na tronach osadził. Nie wiem, ile byłbym za to dostał, nie pytałem o to. Może znów miljon.

Bogactwo mi się z rąk dwa razy wypsnęło. Widocznie nie urodziłem się na pana miljonowego.

Na wyjazd z Konstantynopola musiałem wziąść, nie pamiętam ile, z pozostawionych u Sokulskiego pieniędzy publicznych. Poczuwałem się do tego w prawie, wioząc rezultat rozmowy z wielkim wezyrem, tyczący się agenta politycznego, i propozycję Sadyka-paszy, mającą na celu wznowienie wyprawy ze Wschodu pod dowództwem Edmunda Różyckiego.

Przed wyjazdem napisałem obszerny do Ghiki list, zawiadamiając go o niezłomnem postanowieniu rządu tureckiego niepozwolenia na wyrzucenie Polaków na terytorjum państwa otomańskiego, i wskazując mu jedyny na pozbycie się kłopotu sposób w oddaniu Mrozowickiemu broni i puszczenia internowanych do Polski. Za wskazówką tą Rumuni poszli wkońcu.

Do Francji wyjechałem za paszportem francuskim, wydanym mi w Tulczy przez wicekonsula. Musiałem go zawizować w ambasadzie. Wspominam o tem dlatego, że gdym się w ambasadzie pokazał, stałem się wnet przedmiotem ciekawości urzędników zapełniających biura. Lada chociażby chwilowej głośności towarzyszy gawronizm, zawracający niekiedy ludziom głowy. Paszport mój przy wizowaniu dłużej przetrzymano dlatego, ażeby urzędnicy osobę moją z tej i z tej strony oglądać mogli. Są tacy, co wzdychają do takiej w życiu chwili, w którejby się nadali na przedmiot oglądania.

Wsiadając na odwieść mnie mający parostatek do brzegów świata ucywilizowanego, wsiadałem z tem przeświadczeniem, że stopa moja nigdy już bruku konstantynopolitańskiego deptać nie będzie. Para zaszypiała, gwizd się rozległ, woda się

zakłębiła, statek wysunął się spośrodka setek okrętów, zapełniających Złoty Róg. Stary Seraj na prawo, Skutari na lewo i morze Marmara. I płyniemy, oglądając się na Konstantynopol, cudny zawsze jako widok, grający kształtami i pstrzący się barwami, rozrzuconemi w pełnym malowniczości nieładzie. Ile razy do Konstantynopola przyjeżdżałem lub z Konstantynopola wyjeżdżałem, nigdy się na nasuwające na oczy widoki napatrzyć dosyć nie mogłem. Zdaje się, że nic podobnego na kuli ziemskiej niema.

Morze Marmara, Dardanele, dalej morze Egejskie, wyspy, Grecja. Otwarta księga historji. Podróżnik karty przerzuca i czyta. Czyta o Troi, błądząc oczami po płaszczyźnie, na której się przed wiekami wznosiła. *Nec locus, ubi fuit.* Zburzyła ją piękna Helena, która, gdyby jej była nie zburzyła, nie byłoby pięknie z heksametrów zbudowanej historji. Iljon znikł z oblicza ziemi; pozostała *Iljada.* Co z zamiany tej wynikło: strata czy zysk?

Pozostawiam pytanie to bez odpowiedzi. Wracam do podróży, z której to jeno mam do zanotowania, że mi z pamięci doszczętnie znikła. Tydzień cały kołysałem się na fali; statek zatrzymywał się w Gallipoli, w Dardanelach, w Smyrnie, w Pirei, na Malcie, w Liwurno, i zatrzymał się ostatecznie w Marsylji. Po morskiej nastąpiła podróż lądowa. Kolej żelazna wyrzuciła mnie w Paryżu. W Paryżu wysiadłem dlatego tylko, ażeby się na podróż do Polski zaopatrzyć w paszport pod nazwiskiem, nazwisko moje, Moskalom i Austrjakom wstrętne, maskującem. W tym celu zgłaszać się musiałem do osób, urzędujących w stolicy Francji w imieniu Rządu Narodowego. Zgłaszałem się zapewne do dra Seweryna Gałęzowskiego, do Józefa Ordęgi, do innych. Nic tego nie pamiętam. W pamięci pozostało mi tylko spotkanie się na bulwarze Włoskim z pułkownikiem Mikołajem Kamieńskim. Spotkaliśmy się przypadkiem i poznaliśmy się. Pułkownik odrazu mnie pytaniami zasypał o Kostangalję, o jazdę. Kawalerzysta — jazda go obchodziła.

— Jazdy nie miałem.

— Ale mieć będziesz — odrzekł. — Chcesz mnie posłuchać?

— Z ochotą.

Znajdowaliśmy się obok ławki pustej. Pułkownik jedną

nogę na ławce postawił, na kolanie łokieć oparł i jął się mi wykładać.

— Potrzeba się tak urządzić, żeby lanca była zarazem bronią kolną i palną. Nic łatwiejszego: w odległości mniej więcej paru piędzi od grota przytwierdzić do drzewca pistolet i od cyngla przeprowadzić szpagat w taki sposób, ażeby jeździec, idąc do ataku, mógł, o kilka od szeregu nieprzyjacielskiego kroków, za cyngiel pociągnąć. Atak po strzale odrazuby szeregi nieprzyjacielskie wywrócił. Nie wyobrazisz sobie, co toby był za efekt.

— Pułkownik próbował tego? — zapytałem.

— No... nie; ale to rzecz taka jasna. Tu grot — pokazywał mi na lasce — a tu pistolet. Pociągasz za szpagat... paf i hura! Spróbujcie.

— Zobaczymy, mój pułkowniku.

— Spróbujcie! — powtórzył.

Nogę z ławki spuścił, dłonieśmy sobie na pożegnanie podali i więcej się z nim w życiu już nie spotkałem. Kamieński był jedną z typowych w szeregach emigracji z r. 1831 postaci. W towianizmie siedział po uszy; jako towiańczyk wierzył w migrację dusz. Powiadano o nim, że w przekonaniu swojem, nim człowiekiem został, był pierwej krową. Nie przeszkodziło mu to we Włoszech w r. 1848 się bić i w czasie wojny wschodniej, objąwszy dowództwo jazdy formowanej przez Zamoyskiego, zamyślać o przeprowadzeniu jej na Ruś, skąd był rodem. O tem na swojem opowiedziałem miejscu. Była to postać typowa.

Z paszportem poszło mi gładko, dzięki przypadkowi. Przypadki w losach człowieczych wielką grają rolę. Jadłem w dziurce u Janka obiad. Przy tym samym stole, naprzeciwko mnie, dary boże spożywał jegomość, wyglądający na mego rówieśnika. Rysy oblicza przypominały mi kogoś. Taksamo rysy oblicza moje przypominały kogoś jemu. Z racji tej spoglądaliśmy jeden na drugiego, starając się odgadnąć, kogo mianowicie rysy nasze nam przypominają. Wreszcie jegomość odezwał się:

— Jestem Tytus Bajewski.

Nazwałem siebie, i wyjaśniła się zagadka rysów. Znaliśmy się dziećmi, rodziny nasze sąsiadowały na Pobereżu. Następnie rok cały kolegowaliśmy w Odesie, ja skończyłem liceum w r. 1846, on w 1848. Nie widzieliśmy się przez lat siedemnaście

i przez ten czas zaszły na obliczach naszych zmiany, dla których nie poznaliśmy się odrazu.

— No, patrz — zaczął Tytus —, i spotkaliśmy się. I ty pułkownik.

— A ty co? — zapytałem.

— Ja sowietnik.

— Cóż tu porabiasz?

— A wyjechałem. Niech ich tam djabli porwą.

— Kogo?

— Moskali. Nie chcę już im służyć.

— Wziąłeś udział w powstaniu?

— Ij... Nie... Ja nie do tego. Ale już do Rosji nie powrócę. Niech djabli ich porwą.

Z rozmowy dalszej dowiedziałem się, że mój ekssąsiad i kolega szkolny uprawia muzykę fortepianową.

— Mieszkam stąd niedaleko. Jeżeli zechcesz, po obiedzie zaprowadzę cię do mego mieszkania i zagram ci parę mojej kompozycji mazurków.

— Komponujesz... ooo?

— To jest... tak... ot.

Poszedłem do niego; grał mi mazurki; opowiadał o rodziny swojej i o swoich losach i z opowiadania jego dowiedziałem się, że wyjechał za paszportem.

— I nie wracasz?

— Nie.

— Więc ci paszport niepotrzebny?

— No nie.

— Nie chcesz mi go dać?

— Czemu nie. Czy dla ciebie?

— Dla mnie.

— I owszem.

Wyjął paszport z komody i wręczył mi go.

Mając paszport w kieszeni, nie miałem czego więcej w Paryżu do czynienia. Posłałem go nazajutrz do wizy i wieczorem wyjechałem do Wiednia.

W Wiedniu zabawiłem dzień jeden celem powzięcia opytu o stanie rzeczy w Galicji. Pouczono mnie, że rząd toleruje pomoc, jakiej Galicja powstaniu udziela, lecz rozciąga nad nią opiekę policyjną, tropiąc, aresztując i internując powstańców,

hersztów mianowicie. Stosownie do tego otrzymałem skazówki, jak mam się zachowywać, i adres komisarjatu narodowego w Krakowie, o który mi szczególnie chodziło, za jego bowiem pośrednictwem przesłać mogłem Rządowi Narodowemu wiadomości o rozmowach z Fuadem-paszą i z Sadykiem-paszą. Dlatego w Krakowie zatrzymać się musiałem. Radzono mi, ażebym dla zamydlenia policji oczów stanął w hotelu, udawał pana i jechał do Krakowa pierwszą klasą, zamówiwszy sobie za guldena u konduktora samotność w przedziale, do którego mnie wprowadzi. Zastosowałem się do tej rady. Wziąłem bilet do pierwszej klasy, dałem konduktorowi guldena, zamówiłem sobie u niego samotność dla spania spokojnie w nocy (wyjeżdżałem zwieczora); mimo to jednak wraz ze mną wsiadł jakiś jegomość, który atoli na wstępie oświadczył mi po niemiecku, że nikt więcej nie wsiądzie. Musiałem się z tem zgodzić, tem bardziej że towarzysz mój przemówił w tonie bardzo grzecznym. Więcej w Wiedniu nie mówiliśmy ze sobą. On zajął kąt z jednej strony, ja z drugiej, pociąg ruszył, umieściliśmy się nogami do siebie na przeciwległych ławkach i oddaliśmy się pod panowanie Morfeusza.

Przebudzenie ze snu moje i towarzysza mego nastąpiło o dnia świtaniu w pobliżu, jeżeli się nie mylę, Oświęcimia. Czyniliśmy, co się w razach podobnych czyni: chrząkaliśmy, oczy przecierali, włosy rozczesywali. Nie jest w zwyczaju moim zaczepianie w podróży towarzyszy. Jegomość innego trzymał się zwyczaju. Rozbudziwszy się i usadowiwszy, odezwał się do mnie po niemiecku. Zamieniliśmy ze sobą kilka w języku Schillera frazesów. Po chwili milczenia przemówił po francusku. Odpowiedziałem mu w języku Wiktora Hugo. Ta zmiana języków zastanowiła mnie. „Na złodzieju czapka gore“. Zrodziło się we mnie podejrzenie: czy też towarzysz mój nie jest z policji tajnej specjalistą, mającym wydział hoteli pierwszorzędnych i przedziałów pierwszej klasy w wagonach? Przeczył temu pozór osobistości, wieku średniego, wzrostu średniego, tuszy o dobrobycie świadczącej, i oblicza z oczu i z uśmiechów przeświecającego wyrazem dobrodusznym. Trudno mi jakoś było posądzać go o należenie do szlachetnego austrjackich lub moskiewskich szpiegów korpusu.

Zmienił język niemiecki na francuski. Po jakiejś chwili odezwał się po polsku.

„Toż co?“ — pomyślałem.

Gdym mu nie odpowiedział, tak mówił dalej:

— Z akcentu poznałem, żeś pan nie Niemiec, ani Francuz. Akcentu Polak w mowie obcej, jeżeli się w obcym kraju nie urodził i nie wychował, nie przejmie, żeby jak. Mówić może biegle, świetnie, zawsze jednak z akcentem, zdradzającym język jego rodowity. Śród obcych język własny popsuje, ale językiem obcym nie będzie mówił dobrze, jeżeli się nie pilnuje.

Zawiązała się na tem tle rozmowa. Poznałem, że mam za towarzysza człowieka wykształconego. W rozmowie na temże tle dowiedziałem się, że interlokutor mój mieszka w Rosji (w saratowskiej, czy w samarskiej gubernji), że posiada tam majątek, że się z Rosjanką ożenił.

— I jak się panu zdaje — zapytał — po polsku czysto mówię?

— Czysto — odpowiedziałem.

— A bom się pilnował, o, pilnował! Służbę dla siebie zawsze trzymałem polską od pierwszej chwili wstąpienia do wojska i nie mówiłem z nią inaczej, tylko po polsku. Przytem polskie dzienniki, polskie książki czytam, czytam. Mam całą polską bibljotekę, a w niej i Mickiewicz i Krasiński i Kraszewski i Kaczkowski i Jeż. Czytam, panie, czytam.

— Służył pan w wojsku rosyjskiem? — zagadnąłem.

— Oh, tak. Służyłem i służyłbym, gdyby nie powstanie. Poszedłem do powstania w służbę.

Myślałem, że to oficer podrzędny, kapitan albo rotmistrz najwyżej. Uderzały mnie mina i maniery zgoła nieżołnierskie. Tej cechy mianowicie, którą nadaje służba w szeregach moskiewskich, najmniejszego w nim nie dostrzegłem śladu. Ruchy swobodne, policzki lekko pucułowate i zrzadka ospą naznaczone, wąsy rzadkie i samym sobie pozostawione.

Wyjrzał oknem, popatrzył, miejscowość mi palcem wskazał, nazwał, nazwisko właściciela jej wymówił i dodał, że to jego bliski krewny, cioteczny czy wujeczny, czy też mąż siostry, nie pamiętam.

Gdyśmy blisko granicy Królestwa przejeżdżali, mówił o przekradaniu się oddziałów powstańczych, o trudnościach,

jakie przy tem zachodzą, czynił uwagi stosowne i, co mnie uderzyło, o przysposobiającej się wyprawie szczegółowo opowiadał.

W dalszej rozmowie przebijać się zaczęło, że on jest nie podrzędnym, ale wyższym oficerem, oficerem od jazdy, który dowodził nie pułkiem, lecz pułkami, jakby był conajmniej generałem brygady.

Dziwiło mnie to.

Zdziwienie moje w zdumienie się zmieniło, gdy we frazes jakiś wplótł wyrazy:

— Tak, pułkowniku, tak.

Zdumienie na twarzy mojej spostrzegł i dodał:

— Agencja nasza wiedeńska poleciła mi, ażebym nad tobą, pułkowniku, czuwał w drodze do Krakowa. Nazywam się Chalecki, eksgenerał moskiewski, obecnie powstaniec polski.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Stało się to w pobliżu Krakowa. Nim dojechaliśmy, Chalecki zaopatrzył mnie w skazówki i informacje, tyczące się pobytu w Krakowie. Paszport rosyjski, o posiadaniu którego powiedziałem mu, uznał za dostateczny, radził mi jednak mieć się na baczności, spowodu że nazwisko paszportowe nie osłania wobec szpiclów policyjnych osób nietylko z nazwiska znanych. Przytoczył mi kilka najświeższych aresztowań przykładów.

W Krakowie na dworcu rozstaliśmy się. Spotkałem go raz jeszcze, ale później, później, w Paryżu.

Chalecki? Śród generałów rosyjskich Chaleccy się zdarzali, ale jak rzadko!

Z hotelu (nie pomnę którego) zgłosiłem się do komisarjatu narodowego. Funkcje komisarza pełnił naówczas, jeżeli się nie mylę, Majewski. W czasie pobytu mego u niego nadszedł człowiek młody, niewielkiego wzrostu, szczupły, żywy i odrazu wszczął rozmowę o oddziale, przysposabiającym się do wkroczenia do Królestwa, zaznaczał braki, stawiał żądania i opowiadał, jakie oddziałowi temu zadanie w udziale przypada. Mówił o innych, znajdujących się na teatrze powstania oddziałach, wymieniał ich stanowiska. Ze słów jego zmiarkowałem, że to jeden z naczelników, kierujący ruchami na znacznym obszarze. Domyślić się nie mogłem który. Dziwiło mnie, że obecność moja nie obchodziła go wcale. Komisarz ani mnie

jego, ani jego mnie nie przedstawił i on rozpowiadał rzeczy takie, o których wiadomość dla komisarza nawet była zbyteczną, nie dopieroż dla mnie, człowieka obcego, mogącego zdradzić tajemnice ruchów zamierzonych. Nagadał, nagadał, z komisarzem się pożegnał, mnie nawet głową nie kiwnął i odszedł.

— Kto to? — zapytałem.

— Kruk [1].

Tylem go widział. Zwycięzca spod Żyżyna niedodatnie na mnie sprawił wrażenie.

Z komisarzem załatwiłem rzecz o komunikatach Rządowi Narodowemu. Miały być one wysłane niezwłocznie, z tem atoli, żem powinien poczekać na odpowiedź z Warszawy ze względu na mogące mi być danem przez Rząd Narodowy polecenie. Przywiązywało to mnie na dni kilka do bruku krakowskiego.

Z dni tych parę do zanotowania nasuwa się mi na pamięć rzeczy, a najprzód: córki Sadyka.

Sadyk, będąc jeszcze Michałem Czajkowskim, ożenił się był we Francji z Francuzką. Ta mu powiła czworo dzieci: dwóch synów i dwie córki. Zostawszy paszą, zabrał je do siebie: synów w służbie tureckiej ulokował; córki, wychowane w szkole panieńskiej w hotelu Lambert, zamąż, jedną za Piotra Suchodolskiego, drugą za dra Gutowskiego powydawał. Mąż pierwszej służył w kozakach sułtańskich w stopniu kapitana, mąż drugiej był lekarzem pułkowym. Powstanie jednego i drugiego z Turcji wyciągnęło. Suchodolski się bił; dr Gutowski z żoną i z jej siostrą zamieszkał w Krakowie. Gdy o przybyciu mojem wieść się rozeszła, panie te usilnie prosiły, ażebym je odwiedził.

Nie znałem ani dra Gutowskiego, ani córek Sadyka. Te ostatnie dobre odrazu sprawiły na mnie wrażenie, — wrażenie, jakie zwykle sprawia widok kobiet ładnych i starannie wychowanych, posiadających ów polor, co wdzięki ich potęguje. Wrażenie to atoli przeminęło, ustępując miejsca przykrości. Panie te zaprosiły mnie nietyle dlatego, ażeby poznać człowieka w momencie tym głośnego, ile dla wygadania się przede mną i wyskarżenia na ojca i na towarzyszkę jego życia, *quasi* małżonkę, pannę Śniadecką. Czegoż one nie nagadały! Według

---

[1] Kruk Heydenreich Michał, pułkownik, następnie generał, w r. 1863 dowodził w Lubelskiem i Podlaskiem.

nich Sadyk pasza duszą i ciałem pod panny Śniadeckiej znajdował się pantoflem. Za jej sprawą pierwszą opuścił żonę; za jej sprawą islamizm przyjął; za jej sprawą, a przy pomocy Aleona bankiera, na kozackiego wykierował się atamana; za jej sprawą wpoprzek zamiarom Polaków w czasie wojny wschodniej (1853—6) stawał; za jej sprawą z Władysławem Zamoyskim się poróżnił; słowem wszystko złe, jakiego się dopuścił, z jej wyszło natchnienia, za jej dokonanem zostało rozkazem. To się tyczyło duszy pod pantoflem; co zaś do pantofla cielesnego, taką nad nim miała moc, że się nim w pożyciu domowem posługiwała jak fagasem: na kominku rozpalał, wodę nosił, psy obsługiwał, połajanek jej słuchał. O ile to rzeczy były ciekawe, tyczyły się bowiem jednego z wydatniejszych pisarzy naszych i „Ludki“, owej „Ludki“, o której Słowacki pisał: „Czar twój nade mną trwa“, o tyle przykrość sprawiało wygadywanie córek na ojca. Musiało być w tem zapewne trochę przesady ze względu na pretensję, jaką żywić do Sadyka musiały za odtrącenie ich matki. Bądźcobądź jednak, „czar“, jaki owa „jedna-kochana“ wywierała, gdyby był we władanie swoje wziął Słowackiego, niekoniecznie dobrze wyszedłby na tem autor *Beniowskiego*, a z nim my. M. Czajkowski pod pantoflem panny Śniadeckiej kilka lichych spłodził powieści. Co pod tym pantoflem byłby spłodził Słowacki?

Broniłem wobec córek Sadyka nie we względzie pożycia jego małżeńskiego, ale co do uczuć patrjotycznych, świadcząc się w tem zejściem się z nim mojem u Krajewskich i zapomnieniem przezeń urazy za *Udział Polaków w wojnie wschodniej*.

— Niech pułkownik temu nie wierzy — odezwał się doktór.

— Biła z tego szczerość — odparłem.

— Szczerość? Szczerość u Sadyka? Trzeba było słyszeć, co on w pułkach kozackim i dragońskim mówił o powstaniu, wystawiając je jako awanturę, przez szarlatanów wywołaną, i przedstawiając was, pułkowniku, za szarlatana.,

— Ależ dezerterów, co do mnie zbiegali, nie poszukiwał.

— Bo mu tego rząd turecki zabronił. Ba, gdyby nie to, byłby oddział nie stanął.

Powtórzyłem rozmowę z panną Śniadecką.

— Przebiegła, sprytna: z potrzeby cnotę zrobiła. Wprawna ona do tego. Sadyk, gdyby nie ona, połowyby nie spłodził świństw.

Wyszedłszy z tych odwiedzin, przechodząc przez planty, powtarzałem sobie w myśli strofy z *Beniowskiego*, zaczynając od tej, którą poeta rozpoczyna wyrazami:

Kłębami dymu niechaj się otoczę.

Bywają Ludki i Ludki. A tak mnie staruszka białowłosa zachwyciła była!

No!...

Jakież jeszcze z czasu tego w Krakowie pobytu wspomnienie mi pozostało? Jedno tylko, i to bezimienne. Stoi mi w oczach inżynier, człowiek liczący czterdzieści z okładem, mąż trzeciej żony i ojciec ośmiorga dzieci. Dzieci pozostawiły mu dwie pierwsze, trzecią pojął przed rokiem, przed powstaniem. Powstanie wybuchło i on nie był w stanie oprzeć się powinności bronienia ojczyzny. Obowiązek obywatelski wziął nad rodzicielskim górę. Do szeregów powstańczych wstąpił. Losy walki, łącznie z potrzebą zapewnienia żonie schronienia bezpiecznego, sprowadziły go do Krakowa. Byłem w jego mieszkaniu; poznałem jego żonę, prześliczną kobietę... w poważnym stanie. Po raz dziewiąty miał ojcem zostać.

— A tamte dzieci? — zapytałem.

— Ludzie rozebrali. Jeżeli cało i zdrowo z walki wyjdę, zbiorę je i na nie pracować będę; jeżeli zginę, niech Bóg nad niemi czuwa.

Zdarzali się tacy.

Inżyniera tego nazwisko z pamięci mi niestety wypadło. Niepokaźna, skromna jego postać w oczach mi staje, ile razy wspomnieniami w tamte przenoszę się czasy. Osobistości takie z grobów, jeżeli ich groby zabrały, przeciwko trójlojalizmowi ugodowemu protestują. Takie kości w grobach darmo nie leżą. Stanowią one podwalinę niepodległości polskiej.

Innych wspomnień z momentu onego w umyśle moim nie zachowałem.

Odpowiedź z Warszawy nadeszła prędko. Rząd Narodowy, wiedząc że podążam do Lwowa celem oddania się na rozporządzenie naczelnika sił zbrojnych Rusi, którym był naonczas Edmund Różycki, polecał mi zdać Różyckiemu sprawę z konferencyj z Fuadem-paszą i Sadykiem-paszą i zażądać, ażeby w materji tej opinję swoją Rządowi Narodowemu przesłał.

Przeniosłem się tedy do Lwowa, stanąłem w hotelu Krakowskim i niezwłoczniem się Różyckiemu przedstawił. Różycki mieszkał u Karola Szajnochy, ociemniałego podówczas. Spotkałem go raz jeden w przechodzie, na podsieniu. Nie witałem go, nie złożyłem mu hołdu, ręki jego nie ucałowałem dlatego zapewne, że natura moja nie należała i nie należy do rodzaju natur ekspansywnych, prędkich do rozrzewnień się i unoszeń. Cześć dla historyka-poety w duszy zamykałem i nosiłem, jak dla Mickiewicza, do którego się nie garnąłem i któregom w żadnej nigdy nie spotkał podsieni. Minąłem Szajnochę; pospieszyłem do Różyckiego. U Różyckiego zastałem jego szefa sztabu, byłego w wojsku rosyjskiem pułkownika, czy podpułkownika, młodego człowieka, znanego podówczas pod nazwiskiem Stelli, obecnie lekarza, zwanego Stella-Sawickim (nie wiem, jak mu na imię) [1]. Młody, jasny blondyn, wymową i akcentem Litwina zdradzający, bardzo na mnie dobre sprawił wrażenie. W jego obecności Różyckiemu, stosownie do polecenia Rządu Narodowego, zdałem z konferencyj z paszami relację, następnie zdawałem szczegółową z wyprawy mojej sprawę. Różyckiego żywo rzeczy te zainteresowały. Kiedym skończył, zapytałem, co mi rozkaże.

— Poczekaj — odpowiedział. — Obmyślimy coś dla ciebie.

Zeszedłem się z Kornelem Ujejskim, z Dobrzańskim, z Izydorem Kopernickim (komisarzem Rządu Narodowego), z Jankiem zwanym Białym [2] (naczelnikiem miasta Lwowa), z innymi jeszcze. Dowiedziałem się o szykującej się na Wołyń wyprawie. Zgłosiłem się do Różyckiego, czy nie mógłbym udziału w niej wziąść.

— Szkoda cię tam — odrzekł. — Poczekaj, obmyślimy coś dla ciebie.

Chciałem do wyprawy tej należeć, doszła mnie bowiem wiadomość, że z mego oddziału żołnierze w jej się będą znajdowali szeregach. Skądże się oni wzięli?

Po wyjeździe moim z Gałacu, skutkiem może listu mego, napisanego do Ghiki po konferencji z wielkim wezyrem, rząd

---

[1] Jan.

[2] Pseudonim Jana Karłowicza: był on dyrektorem policji narodowej w Warszawie lecz według J. K. Janowskiego (*Pam.* II 222) i innych świadectw wyjechał stamtąd dopiero w listopadzie 1863.

rumuński rozmyślił się i internowanym w Anadołkej do Polski iść pozwolił, oddawszy Mrozowickiemu złożoną przez nich w Rynzesztach broń do przewiezienia jej do Polski. Ruszyli więc z Anadołkej partjami. Przechód ich przez Rumunję był przechodem triumfalnym. Mieszkańcy z otwartemi przyjmowali ich ramionami. W miastach niektórych, w Bakeo między innemi, triumfalną bramę na ich wejście zbudowano. Stanęło przeto na naszem, biorąc rzeczy ze strony formalnej, oddział bowiem, który sformowałem, do Polski doszedł i broń doniósł. Byłoby stanęło inaczej, gruntownie, z korzyścią dla sprawy powstania, byłoby sprawę polską z zaduchy moskiewskiej na świeże, międzynarodowe wyprowadziło powietrze, gdybym do rozporządzenia miał był nie 115, ale 1115 tysięcy franków. Zdrowa taktyka na punkt ważny całe każe zwracać siły. Nie uczyniliśmy tego i na tem się skończyło, że w czasie, kiedym ja na Konstantynopol, Marsylję, Paryż, Wiedeń do Polski podążał, oddział mój, prostą idąc drogą wyprzedził mnie.

Kiedy przyjście żołnierzy spod komendy mojej oznajmiono w Galicji, ktoś przezwał ich turkosami, zarazem puszczono pogłoskę, że są to żołnierze ogromnie waleczni, ale półdzicy, drapieżni, zuchwali. Śród dającego powstańcom kwatery obywatelstwa Galicji wschodniej wieść ta popłoch rzuciła. Ze strachem turkosów wyglądano i ku ogólnemu a miłemu zdziwieniu doczekano się ludzi spokojnych, łagodnych, pracowitych. Za udzielanie im przytułku i pożywienia wywzajemniali się przysługami gospodarskiemi. Tu płoty grodzili, ówdzie rowy kopali, w jednym domu trafił się stolarz i podezelowane meble ponaprawiał, gdy zaś ich do szeregów wzywano, spieszyli i pytali:

— Czy to już do naszego pułkownika?

O! „ich“ pułkownik nie zeszedł się już z nimi.

We wschodniej połowie Galicji organizatorowie wkraczających do Polski oddziałów ubiegali się o podkomendnych moich. Z nich żaden, o ile wiem, nie wszedł do korpusu generała Artura Gołuchowskiego, który na leżach, nad granicą Podola, przetrwał do końca powstania, a raczej do chwili ogłoszenia w Galicji stanu oblężenia. Jeżeli nie wszyscy oni, to z małym bardzo wyjątkiem wszyscy kościami swojemi ziemię polską zalegli, z jej wrogiem walcząc.

Nie byłem, niestety, z nimi.

Oddział, do któregom się wpraszał, a w którym ich było sporo, pod Poryckiem, pod dowództwem Komorowskiego, rozbity został [1].

Kiedym się po raz trzeci do Różyckiego zgłosił, Różycki mi powiedział:

— O ciebie idzie z Rządem Narodowym perepiska. Wiesz co? Nim się rzecz rozstrzygnie, daję ci urlop: jedź do żony, wypocznij sobie.

— Jak długo? — zapytałem.

— Wezwę ciebie, jak skoro postanowienie co do twojej osoby zapadnie. Ci panowie w Warszawie się guzdrają i gdy się wyguzdrają, dam ci znać.

Pożądańszą dla mnie rzeczą było do żony się dowiedzieć, aniżeli we Lwowie przesiadywać. Zrozumiałem, że „ci panowie", t. j. Rząd Narodowy, chcą mnie zużytkować w sposób odpowiadający interesom sprawy polskiej, niezamykającej się wyłącznie w orężnej, bez przyszłości, walce. Powstanie przed wybuchem przedstawiało się mi inaczej, aniżeli się dokonało. Wychodząc zgóry z tego punktu widzenia, że sprawa polska jest nietylko polską, ale oraz i europejską, wskazywałem drogę wyprowadzenia jej na europejski obszar furtką rumuńską. Ta furtka nie zamknęła się przez to, że mi nie dano do niej otwierającego ją klucza. Można jeszcze było klucz dobrać i dać go w ręce komu innemu. A obok tego otwierał się widok jeszcze jeden. Powstanie polskie, wraz ze sympatją, jaką rozbudziło w ogóle, obudziło także w czujących się pokrzywdzonemi narodach ochotę naśladowania. Narody, taką zdradzające ochotę, znajdowały się nie za światami, nie na krańcach Europy, ale tuż obok, o miedzę od Polski: Węgrzy i Słowianie południowi. Na pierwszych Austrja sprowadziła Moskwę; drugich oszukała, złote im obiecywała góry — i wszelkie względem nich zobowiązan a nogami zdeptała. Zbliżało to Węgrów do Słowian, do Kroatów mianowicie, i zachęcało ich do naśladowania przykładu polskiego, tem bardziej że w odwodzie za nimi stały Włochy, że powstanie ich, które wewnątrz granic austrjackich na pokrzywdzone narówni z nimi Czechy z pewnością liczyć

---

[1] Bitwę pod Poryckiem na Wołyniu (powiat włodzimirski) stoczono 2 XI 1863.

mogło, miało do Europy przystęp otwarty szeroko. Nie walczyłoby ono z takiemi jak my trudnościami, nie potrzebowałoby każdą sztukę broni na wagę złota opłacać. Pytanie: jaką czesko-południowosłowiańsko-węgierskie powstanie powstaniu polskiemu przynieśćby mogło pomoc? Przedewszystkiem w akcję powstańczą w Polsce wcieliłoby Galicję i umożliwiło sformowanie w niej armji polskiej; następnie platoniczną sympatję, jaką nam okazywała Europa, zmienićby musiało w czynną, dla samej potrzeby zażegnania burzy rewolucyjnej. Przedstawiała się więc możliwość wyprowadzenia sprawy polskiej z ciasnoty na obszary, przedstawiała się potrzeba *et hoc faciendi, et hanc non omittendi* — bicia się w Polsce i negocjonowania, knowania nazewnątrz. Były jeszcze do zużytkowania tak lub inaczej Szwecja, Danja. Wszystko to wymagało ludzi nietylko na teatrze walki w zbierających się i rozsypujących oddziałach, ale i gdzieindziej. Do wymogi tej odnosiły się zapewne wyrazy Różyckiego, rzucone mi w odpowiedzi, kiedym go prosił o wysłanie mnie do oddziału: „Szkoda ciebie". W mniemaniu przełożonych moich przydać się mogłem nie naczele oddziału tylko. Jeżeli takiem mniemanie ich było, to było niedziw, że mi czekać kazano. Domyślałem się tego i na tej podstawie wnioskowałem, że nie mam prawa dowolnie osobą moją rozporządzać. Z uradowaniem przeto przyjąłem urlop, zawiadomiłem Franciszka Abgarowicza, przyjechał po mnie, na urlop wyjechałem.

ROZDZIAŁ XX

GALICJA ZNÓW. ARESZTOWANIE. PARYŻ[1]

Żona, dziecko — są to istoty, do których gdzieniektórzy płci męskiej śmiertelnicy, nieobdarzeni wznoszącemi ich wysoko skrzydłami, śmiertelnicy ziemi się trzymający, przywiązują się sercem całem. Należałem do śmiertelników tego rodzaju. Pojąłem żonę, bom ją, nim żoną moją została, pokochał; po połączeniu się z nią kochaniu memu przybywało mocy z dniem każdym, z godziną, z minutą każdą. Wejście w nie dziecka uniemożliwiło wszelki w niem ubytek w takim nawet razie, gdyby pożycie małżeńskie narażało mnie na często ludziom trafiające się, z opisów i ze scen teatralnych znane, przykrości. Żona stała się dla mnie integralną osobowości mojej częścią, częścią taką, jakiemi są serce, mózg, płuca, bez których się nie żyje, które, gdy wadliwie funkcjonują, pielęgnuje się i ochrania. Rozstałem się z nią dla o j c z y z n y — dla niczego innego rozstać się nie byłbym w stanie, chyba iżby śmierć mnie jej, albo ją mnie wydarła. Łatwo więc wyobrazić sobie, jakiem było po kilkumiesięcznem rozstaniu zejście się nasze.

Nie nastąpiło ono tak sobie — zwyczajnie. Ze Lwowa jechać do Czortkowa wprost nie mogłem. Zaskoczyć przedtem, niby zając w kotlinie, musiałem w Hupałach i z Hupał dopiero wyszukać na zejście się miejsca bezpiecznego. Nie było to rzeczą trudną. Miejsce znalazło się w Słobódce, w domu pp. Hulanieckich. Franciszek pojechał do Słobódki i do Czortkowa, umówił się, wrócił i rzecz została załatwiona.

Jadąc do Słobódki, wstąpiliśmy po drodze do p. Henryka Heydla, którego dom był przechodnią powstańców kwaterą, jakoteż jedną z kwater, wyznaczonych na konsystencję dla

---

[1] Ten rozdział w rękopisie nie posiada tytułu.

korpusu Gołuchowskiego. Spodziewaliśmy się zastać tam kogoś z rycerstwa. Jakoż zastaliśmy luźnie do korpusu należących: dwóch Wyleżyńskich (Adama i Marcina), Leona Czekońskiego i jeszcze kogoś. Znaleźliśmy ich w oficynie, pokotem w pościeli, było to bowiem rano, godzina może dziesiąta. Rycerstwo przyzwoite wcześniej nie wstaje. Spali jeszcze, luboć pokotem, ale wygodnie: na wysoko nałożonem sianie, okrytem dywanami, zasłanem prześcieradłami, poduszkami, kołdrami. Pobudziliśmy ich. Czekońskiego, żony mojej ciotecznego, nie znałem; nie znałem również Marcina Wyleżyńskiego. Rzut oka na budzących się, oczy przecierających i ziewających przedstawił mi widok malowniczy. Koszule na nich mereżone, na piersiach otwarte (rozchrystane), oni zaś sami wąsaci, miniaści — modele do obrazu dla malarza, oczajduszów kozaczych idealizującego. Pyszne typy. Czekoński i Adam Wyleżyński wnet fajki na wygiętych, krótkich, płaskich, szerokich, rzeźbionych cybuszkach nakładać się jęli. Marcin na służącego huknął:

— Wódki!

Było to, grzecznie mówiąc, błazeństwem, świadczącem, że z grona szlachty, zwłaszcza ruskiej, niejeden do powstania poszedł z amatorstwa, dla dogodzenia fantazji, na ton dum i dumek nastrojonej. Wyglądało jednak malowniczo. Oczu oderwać nie mogłem od postaci Marcina. Człowieka piękniejszego w życiu nie widziałem. Wzrost, budowa, postawa, mina, rysy oblicza, wszystko to się harmonijnie składało na wytworzenie wedle wzorów poetycznych typu kozaka doletniego — liczyć musiał natenczas lat pod sześćdziesiąt.

Rozmowa stosowała się do tego obrazu, akcentowanego odpowiedniemi gestami i wykrzyknikami: „hej—hej“!

Kozak pana ne znaw z wika...

Nie miałem co pomiędzy nimi robić. Spieszyło mi się do żony. Heydlostwo bez śniadania nie puścili, puścić nie mogli, jakże! Po śniadaniu przeto Franciszek, umówiwszy się ze mną, kiedy ma po mnie przyjechać, został, i ja sam pojechałem na trzy dni do Słobódki.

W gościnnym Hulanickich domu jakże mi było dobrze! Przywitanie się z żoną w pamięci mi stoi, lecz o niem pisać nie będę, nie potrafiłbym bowiem dobrać wyrazów na oddanie

tego, co jego stanowiło istotę, zawierającą się nie w uściskach, nie w pocałunkach, lecz w duszy i sercu zarazem. Tam ono tkwiło i stamtąd szło. Tam je wspomnienie dotychczas trzyma. Do żony od miesiąca maja pisałem parę razy zaledwie. Wiadomości o mnie dochodziły ją drogą publicystyczną; ja zaś rzadko wieść o niej dostawałem. Nie ja przeto jej, ale ona mnie do opowiadania dużo miała wobec świadka, liczącego rok i pół wieku. Dziewczynka, która, gdym na Wschód odjeżdżał, noszoną jeszcze była, o własnej już chodziła sile i szczebiotać już zaczynała. Matka nauczyła ją wyrazu „tata“ i ona wyraz ten powtarzała, ale ojca nie poznała. Boczyła się ode mnie, w fałdy spódnicy matczynej się chowała, a kiedy z fałdów się wysunęła i biegiem puściła, biegła, tocząc z języczka z krystalicznym dźwiękiem: ta-ta-ta-ta...

Zachwycała mnie ta dziewczynka moja.

Dobrze, rozkosznie upływały nam dnie pod dachem słobódeckiego dworu. Przez czas pobytu naszego z sąsiadów nie zajrzał nikt, z wyjątkiem Wiwulskiej, która, przyjechawszy bodaj czy nie równocześnie z nami, dokoła dworu krążyła, wyglądając, azali się z tej lub z drugiej strony żandarmi nie pokażą. Żandarmi się nie pokazywali. Z obcych przypominam sobie jakiegoś urzędnika, który przyjechał był w jakimeś interesie, i trzech powstańców, podążających na teatr wojny z Rumunji. Chłopy setne, mówili pomiędzy sobą po rumuńsku, nie przypuszczając, że ich ktoś rozumie. Z rozmowy ich poznałem, że prowadziły ich inne niż powstanie widoki. Wyglądali na *chevaliers d'industrie* podlejszego gatunku, na potomków w prostej linji ciurów dawniejszych. Przenocowali i dalej pociągnęli.

Trzy dni upłynęły nam niby chwilka jedna. Żona moja, którą dawniej trwożyła myśl o kulach i o sprowadzanych przez nie następstwach, przekonała się, że niekoniecznie żonom mężów one odbierają. Uspokajało ją to, niezupełnie jednak, i gdyby rzecz nie o Polskę szła, byłbym się od niej oderwać nie mógł inaczej, chyba tak, jak Kiliński od połowicy swojej. Ze łzami, z modlitwą, osłoniwszy mnie krzyżem, puściła mnie z powrotem do Hupał.

Do Hupał jadąc, znów do Romaszkan zajechałem, tym razem na noc. Jakaś to była okazja, nie pomnę jaka, imieniny może czyjeś. Zastałem gości huk. Walerjan Padlewski przed-

stawił mi syna swego, wyrostka, który następnie, gdy pełnoletności doszedł i spadek po matce otrzymał, tem się wsławił, że dosyć znaczny majątek w ciągu lat paru puścił na koleje żelazne. Jeździł nie inaczej, tylko ekstracugami. Za podróż ze Lwowa i napowrót o mil kilka do siostry płacił 1000 złr. Młodzieniec ów w r. 1863 liczył nie więcej jak 16, 17 lat. Ponieważ mi go ojciec przedstawił jako jednemu z tych, którzy powołani są do zużytkowywania młodzieży polskiej na rzecz ojczyzny, zwracałem na niego uwagę i tknęło mnie to trochę, gdy on, po złożeniu mi głębokiego ukłonu, wprost do zielonego stolika poszedł i do gry w karty zasiadł. Taki młody! Zużytkował się później na rzecz ojczyzny, płacąc tysiące złotych reńskich za ekstracugi.

Młody Padlewski przypomina mi innego młodzieńca, również mi przez ojca przedstawianego: Władysława Wolańskiego. Miał on ochotę powojować, ale niedługo i pod warunkiem otrzymania lekkiej rany. „Gdybym był pewny — słowa jego do zranionego lekko brata mojej żony — że oberwę jak ty, niezwłoczniebym do powstania poszedł“. Ten się tem później przynajmniej zasłużył, że drogą przekupstwa wśrubował się do sejmu krajowego i kupił sobie tytuł hrabiego.

Obok takiego inżyniera, jak ten bezimienny, com go w poprzednim zanotował rozdziale, obok podkomendnych moich, chłopów od pługa, oddających zarobki swoje na rzecz ojczyzny i ginących za nią, obok tylu, tylu bezimiennych, przed którymi głowa sama się chyli, — postacie takie, jak ów podróżnik ekstracugami, jak ów hrabia, jako owi wreszcie kozacy...

Hej! — hej!

Żona moja lękała się o mnie przez elewację — że tak się wyrażę. Wprost narazie zagrażało mi nie co innego, tylko żandarmi. Przeciwko nim zagwarantowałem się, przesiadując raz w Hupałach, znów w Rukomyszy, u krewnych moich, Ludwikostwa Szawłowskich. Do czynienia nie miałem nic absolutnie. W Rukomyszy była ongi moja główna kwatera. Obecnie gościli mnie kuzyn i kuzynka, i dogadzali, jak czemu dobremu: rozrywki dla mnie wynajdywali, w goście mnie wozili. Jedna z wizyt w pamięci mi pozostała, spowodu żem się na niej o mało nie udusił, powstrzymując w sobie śmiech, który mi pierś rozpierał. Wypadek ten zdarzył mi się u pp. Alfredostwa Cieleckich.

Wioząc mnie do nich, Ludwik opowiadał mi we właściwy mu humorystyczny sposób o pani, z domu hrabiance Bnińskiej, kobiecie światowej, sprowadzającej sobie stroje z Paryża, gościnnej, uprzejmej, ładnej i powtarzającej gościom jedno zawsze i to samo: o kadrylu w Tuilerjach, tańczonym przez nią w jednym z cesarzową turze, i o srebrnym rondelku, w którym ona, pani Cielecka, jaja gotowała.

— Zawsze... zawsze to powtarza.

— Chyba nam nie powtórzy — odparłem.

— Przekonasz się.

I napamięć całe wyrecytował opowiadanie.

Śmieszyło mnie to na drodze, tem bardziej że Ludwik ton przybierał i gesty kobiece naśladował.

Przyjeżdżamy, zastajemy państwa oboje i, co mi niemałą sprawiło przyjemność, kapitana Cieszkowskiego, dowódcę pierwszej w oddziale moim kompanji. Cieszkowski z Rumunji przybył i dostawszy się do Cieleckich, pozostał u nich dla francuskiej z synem ich, chłopakiem 13—14-letnim, konwersacji. Mimochodem zaznaczę, że chłopak ów, mimo że sposobowi, w jaki wychowywanym był, dużoby zarzucić można, wykierował się na jednego z lepszych w Galicji obywateli. Wówczas nie liczył się jeszcze. Liczyli się jego ojciec i matka, jaśni państwo. Jaśni państwo uprzejmie nas powitali. W salonie konwersacja zasnuła się około spotkania mego z Cieszkowskim. Poproszono nas do herbaty i, po kilku luźnie zamienionych frazesach, pani na stół kadryl w Tuilerjach wytoczyła. Wszystko temi samemi słowami, z takiemi samemi gestami i w takim samym porządku, w jakim Ludwik mi na bryczce wyrecytował, powtórzyła. Słuchając jej, śmiech mnie rozsadzał, zwłaszcza że Ludwik, naprzeciwko siedząc, okiem lewem mrugał. Przestałem na niego spoglądać, uspokajałem się stopniowo i uspokoiłbym się był zupełnie, gdyby pani, po pasażu, służącym do związania materji jednej z drugą, nie zaczęła o rondelku srebrnym. Żem głośnym nie parsknął śmiechem, świadczy to o mojej sile woli.

— A co! — odezwał się Szawłowski, gdyśmy wracali.

Ciekawym jest taki damy wielkiego świata okaz. Model dla Gypa. Okazy tego rodzaju, w towarzystwie francuskiem pospolite, powtarzają się i u nas, w większej może aniżeli we Francji obfitości. Wychowanie kształtuje im często prześliczne głowy

na *têtes de linotte*[1]. Pani Cielecka w pamięci mi w postaci cale ładnej stoi kobiety. Śmieszności jej się wybaczają: dała życie panu Arturowi, po obywatelsku obywatelskie traktującemu obowiązki. Niech to jej na karb zasługi poczytanem będzie. Niekażda w Galicji z tej sfery towarzyskiej matka synem obywatelem chwalić się może. Smutno świadczą o tem kasyna końskie.

Niesmutno mi czas urlopu upływał.

Praźnik np. w Wiszniowczyku, u księdza unickiego, u jednego z tych księży, co nie brał udziału w „borbie" przeciwko Polakom. Miał on reputację człowieka dobrego i rozumnego. Jeden praźnik jużem opisywał, na tem więc poprzestanę. Ów w Wiszniowczyku pamiętnym mi jest przez to, że niewielu na nim było księży, ale zato alumnów z dziesiątek, popadjanek sporo, kilku szlachciców i kilku powstańców. Pomiędzy tymi ostatnimi uwijał się Francuz, rozmawiający na migi, a odziany w zapinaną naukos świtkę powstańczą z grubego, burego sukna, w spodnie w cholewy i w buty z cholewami wysokiemi. Po uczcie odezwały się śpiewy, — śpiewy rusińskie i polskie patrjotyczne. Od czasu do czasu udział w śpiewach brały popadjanki. W liczbie ich, jeżeli mnie pamięć nazwisk nie zawodzi, znajdowała się Kochańska, jeżeli zaś późniejsze nie mylą mnie informacje, Kochańska ta figuruje dziś w świecie artystycznym i poczestne zajmuje miejsce pod nazwiskiem Sembrich-Kochańskiej. Podania tego nie jestem jednak pewien.

Jedną z większych przyjemności, jakich doznałem, były polowania z chartami. Szawłowski sprowadził skądeś trzy charty dla któregoś z Tarnowskich. Wyjechaliśmy z niemi i poszczuli zająca: bez obrotu uciekł. Próba z tym samym skutkiem powtórzyła się raz i drugi. Charty okazywały tylko dobre chęci.

— Gałgany — powiedziałem.

— Ij, dobre — odpowiedział Szawłowski — jak na Mazury.

— Czemu?

— Bo tam zające uciekać nie umieją.

Polowanie rzetelne, przypominające nasze ukraińskie, odbyło się na stepach, idących mimo Wieniawki ku Tarnopolowi.

---

[1] Ptasie móżdżki.

Zjechało się na nie sporo szlachciców, między innymi Dzieduszycki z Jezupola, ojciec pana Wojciecha, *vulgo* Wojtka, pełniącego dziś funkcję filara, podtrzymującego na filozoficzno-estetycznych barkach swoich konstrukcję lojalizmu austrjackiego. Może i on tam był, sądząc wedle deklaracji, że mnie zna, jaką mnie zaszczycił w r. 1894 we Lwowie na wystawie. Nie zauważyłem go Polowaniu prezydował Ignacy Cywiński, jego bowiem majątek za teatr cynegetycznych popisów służył. Uszczuliśmy zajęcy nie pomnę ile. Zadowalniało mnie to, że te popisy łowcze były nie parodją, lecz rzeczywistem polowaniem z chartami. Przypomniały mi się dawne czasy. Niegdyś rozrywce tej całą oddawałem się duszą. Polowanie jednak zakończyło się nie tak, jak na Ukrainie. Myśliwi wieczerzę zjedli, nagadali się, wysłuchali paru podlanych sosem Panie Kochanku relacyj i spać poszli. O kartach mowy nawet nie było. Ukrainiec zgorszyłby się takiem polowania zakończeniem. Powtórzyło się to w dniu jednym i drugim. Mnie to zgoła nie gorszyło. Nie ręczę jednak, ażeby taką miała być polowań w Galicji reguła ogólna.

Poza polowaniami, poza wizytami, znajdowałem miłe czasu przepędzenie w Hupałach i w Rukomyszu. W Rukomyszu dnia prawie nie było, ażeby ktoś z gości się nie trafił. Raz przyjechał (nazwiska nie pamiętam) dawny Szawłowskich, kiedy jeszcze dzieciakami byli, nauczyciel. Zajął mnie on kombinacjami politycznemi, opartemi na kombinacji cyfr, które rozmaitym operacjom arytmetycznym poddawał, podstawiając liczby pod litery alfabetu. Najrozmaitsze stąd wypadały rezultaty. Dodawał, odciągał, mnożył, dzielił, cyfry i litery szeregował i taką np. rzecz wyczytywał: „Napoleon III zbawca rodzaju człowieczego“, albo: „Polska w roku (?) niepodległość odzyska“. Pochłaniało mu to czas i umysł. Człowiek wysechł nad temi kombinacjami.

— Co myślisz o nim? — zapytał mnie Ludwik.

— Myślę, że mu w głowie brak klepek paru.

— A za głęboko uchodzi rozumnego.

Nadjechał raz Bobowski, człowiek młody, zdaje się oficer austrjacki, z tej sfery towarzyskiej, co Padlewscy, Wolańscy, ale uczestnik powstania. Przyjechał celem poznania się ze mną tytułem pokrewieństwa, jako wnuk Bobowskiej, tej z domu Mił-

kowskiej, co niekoniecznie zaszczytną rolę przy Ferdynandzie d'Este odegrała. Była ona i moją babką, ale cioteczną, jako rodzona dziada mego siostra. Zachodziło pomiędzy nami pokrewieństwo w trzecim stopniu. Poznaliśmy się, i na tem koniec. Krewniak nie zafrapował mnie niczem w dodatnim ani w ujemnym sensie.

Zafrapowało mnie w sensie bardzo dodatnim poznanie się z krewniaczką, panną Wincentą Wiśniewską, kobietą niemłodą, będącą wcieleniem dobroci i poświęcenia. Była ona rodzoną ojca Sygurda siostrą. Sygurd, synowiec jej, znikł był w czasie owym. Wiedziano o nim tylko, że był u mnie w Michalenach; od tego czasu słuch o nim zaginął. Niepokoił się ojciec o jedynaka; niepokoiła się panna Wincenta o synowca, jedyne w najbliższej jej rodzinie dziecko. Mówiła mi o nim z tem uczuciem, jakby on był jej własnym synem. Mówiła mi o wsławionym głośną w swoim czasie acz nieudałą ucieczką z Sybiru Migurskim, za którym była jej siostra. Migurscy bezdzietnie na Sybirze pomarli. Było Wiśniewskich troje: dwie siostry i brat. Po nich trojgu nastał Sygurd i zaprzepaścił się. Bolało ją to. O bólu swoim opowiadała w sposób taki, że w słowach jej prawdziwa macierzyńska czuć się dawała miłość, — miłość nieudana, bez afektacji, udzielająca się. Udzieliła się ona mnie. Spółczułem jej i żywo zainteresowałem się chłopakiem, któremu przypisywała temperament burzliwy, prowadzić się niedający, w połączeniu z zaletami i zdolnościami, pozwalającemi spodziewać się, że z niego będzie człowiek.

— Nie umieliśmy się z nim obchodzić — obwiniała siebie, i brata, ojca Sygurda.

Tknęło mnie to w sumieniu. Miałem chłopca tego w ręku i nie zatrzymałem go.

— Gdybym był wiedział... — rzekłem.

— Kuzynby nic nie poradził — odrzekła. — Mogło go tylko zatrzymać powstanie, gdyby w tym czasie było wybuchło. Może on do powstania poszedł... Może zginął... O Boże! Czemu o sobie znać nie dawał? — żaliła się.

Ta stara panna, ta kobieta kochająca, do serca mi przypadła. Pokrewieństwo między nami zachodziło dosyć bliskie, była ona bowiem córką Komarnickiej, rodzonej babki mojej siostry. Po rozstaniu się z nią miałem raz jeden z jej strony

dowód, że o mnie pamięta. W rok może później, kiedym w Belgradzie znalazł się w położeniu, zagrażającem mnie i moim śmiercią głodową, zasiłek najpierwszy przyszedł od niej. Przysłała mi trzydzieści złr. Nie wiedziałem i dotychczas nie wiem, jak się o położeniu mojem dowiedziała. Domyśliła się zapewne, przeczuła może. Pamięć o niej jest mi drogą nie dlatego tylko, że mnie zapomogła, ale i dlatego jeszcze, że w osobie jej poznałem starą pannę bez fochów, bez śmiesznostek, bez żalu do losów, naturalną i dobrą, i kochającą po macierzyńsku.

W Rukomyszy przesuwało się ludzi dużo. Z nich zapamiętałem niewielu. Wspomnę jeszcze o Lachowiczu, księdzu unickim, proboszczu z Przewłoki, majątku Ludwika, wypuszczonego w dzierżawę, z której tenuta szła całkowicie na spłacanie długów, obciążających dochody fideikomisu. Ksiądz przyjeżdżał niekiedy na preferansika: człowiek miły, dowcipny, wykształcony i gorący polski patrjota w tym sensie, że w Polsce, tylko w Polsce upatrywał dla Rusi rękojmię przyszłości, opartą na zobopólnym dwóch bratnich narodów interesie. Szawłowski się z księdzem przekomarzał. Raz przy preferansie, gdy kwestja bratniości narodów polskiego i ruskiego przeplatała kwestję kupień i pasów, zrobił mu uwagę, że i Moskale są narodem bratnim.

— Przypuszczam — odrzekł ksiądz — że są narodem więcej trochę, a nawet dużo więcej bratnim, aniżeli Tatarzy i Chińczycy. Ale chcą nas, Rusinów, zjeść i, będąc silniejszymi, zjedzą...

— A Polacy nie chcą?

— Że chcą, to nie racja. Czy mogą?

Jeden z grających wysoko kupił i wysoką grę zapowiedział. Wistujący Szawłowski i ksiądz posadzili go bez dwóch.

— Otóż to tak, panie Ludwiku — rzekł ksiądz. — Ja Rusin, dobrodziej Polak, wzięliśmy się we dwóch i tego dobrodzieja wywróciliśmy, nie uszkodziwszy jeden drugiego. Trzymajmy się razem, nie damy się i może potrafimy Moskala wywrócić nawet. Inaczej... i was i nas pożre ten naród bratni.

— Ksiądz wedle kart politykujesz.

— Czy to z kart nie wróżą? Ij, dobrodzieju: polityka wszystkiem się posługuje, nie wyłączając kart, pośredniczących w przekupowaniu mężów stanu.

Ksiądz tego był przekonania, że porozumienie się pomię-

dzy Polakami a Rusinami siła rzeczy prędzej-później sprowadzi.

Szawłowscy wyznawali przekonania niewyraźnie konserwatywne, lecz do konserwatywnych zbliska przymykające. Łatwo się było z nimi porozumieć, tem łatwiej, że długi powstrzymały Ludwika od brania w życiu publicznem udziału. Zresztą i pociągu do występowania na arenie politycznej nie miał, a przynajmniej nie objawiał. Nawskróś był moszterdziejem wesołym, jowjalnym, uznającym wszystko, co na uznanie zasługiwało, umiejącym złe odróżniać od dobrego i nielubiącym mieszać się do niczego. W obcowaniu ludzie tacy niesłychanie są mili.

Pani Ludwikowa, bardzo przystojna, wykształcona, odbijała od męża powagą młodej kobiety, posiadającej zasoby, nadające się do czerpania. Mówiło się z nią o literaturze, o sztukach pięknych, o polityce nawet, która się ciągle znajdowała na stole, tak dlatego, że powstanie trwało i sprawa polska w opinji publicznej Europy całej dominujące zajmowała stanowisko, jakoteż z tej racji, że do Rukomyszy zaglądali często oficerowie z korpusu Gołuchowskiego i poruszali materję wojskową, wchodząc w szczegóły organizacji, służby, leż i przeznaczenia tej formacji pod generałem, o którego zaletach szeroko się rozwodzili. Gołuchowskiego dowództwo zadowalniało w zupełności i tych, co pod nim służyli, i szlachtę całą. Miano go za męża wyrocznego, opowiadano o nim dykteryjki; opowiadano także dykteryjki o różnych skandalikami trącących zdarzeniach, jakie zachodziły po dworach, dających kwatery Gołuchowskiego podkomendnym. Przesuwali się mi przed oczami rotmistrze, porucznicy, podporucznicy, rozprawiali o awansach, mundurach, odznakach, o koniach, lancach, szablach. Toczyły się dyskusje, w których i pani Ewelina udział brała: o epoletach np., o kitach itp. Przypominał się mi Wachmistrz Dorosz, który, gdyby był jak ja obecnym, zyskałby dla ułożonego przez Wincentego Pola opowiadania swego o „pułku panięcym“ pysznych kilka strof. Korpus Gołuchowskiego był „pułkiem panięcym“ w najściślejszem wyrazów tych znaczeniu, w znaczeniu jednak nieposuniętem aż do bitwy. Wachmistrz nie żaliłby się: „Bo tu bitwa, a tu rada“. Wódz z Łosiacza rozkazy rozsyłał, rycerstwo po dworach szlacheckich radziło, — bitwy ukazywały się

w perspektywie, ale tak dalekiej, że radzić o nich nie było co. Zrozumiałem, dlaczego w Galicji wschodniej tyle miał trudności Wysocki z wysztyftowaniem oddziału, który się zaprzepaścił pod Radziwiłowem, dlaczego w miesiącu lutym z taką niechęcią spotkało się naczelnikostwo moje. Zrozumiałem to. Póki rada o Polsce o panięta będzie się opierała, póty wyrazem jej będą takie jak Artura Gołuchowskiego korpusy. Na szczęście radzić o niej zaczynają już chłopi — to zmienia rzecz.

Wypoczywaniu, dla którego Różycki urlopu mi udzielił, w Rukomyszy nie brakowało na niczem. Używałem póty. Mimo to wymykałem się często do Hupał, do Franciszkostwa Abgarowiczów, przy których mi było bardziej swojsko, luboć mniej ludno. W Hupałach znajdowałem więcej — że tak się wyrażę — pokarmu dla duszy, już dlatego, żem obcował z człowiekiem, w którym polor cywilizacyjny łączył się z rzeczywistem, gruntownem umysłowem wykształceniem, już dlatego, że mi gwar gościnny do skupiania myśli nie przeszkadzał. Gdym miał co pisać, jechałem do Hupał. Pisywałem wyłącznie listy do żony, z którą dla nieskompromitowania jej i siebie (była internowaną w Czortkowie) widywać się nie mogłem. A i napisanie w gwarze listu prostego przychodziło mi z trudnością. Literat zamarł we mnie — na zawsze, jak mi się zdawało. Pisywałem przeto w Hupałach tylko, i w Hupałach, gdy co do czytania było, czytało mi się swobodniej i uważniej. Głównie do czytania materjału dostarczały gazety. Raz Franciszek nad rachunkami siedział, ja zaś, zdarłszy ze świeżo przyniesionego dziennika opaskę, okiem telegramy przebiegłem i odezwałem się:

— O!

— Co tam? — zapytał Abgarowicz.

— Król duński umarł.

— Wieczny mu odpoczynek.

— A niech odpoczywa, ale śmierć jego wielkiego nam narobi kłopotu.

— Cóż nas Danja i jej sprawy obchodzić mogą!

— Odwrócą od sprawy polskiej uwagę Europy.

Z punktu tego wywiązała się pomiędzy nami krótka dyskusja. Franciszek przekonać się dał, ale przez pół tylko, odsyłając przekonanie ostateczne do:

— Zobaczymy...

I zobaczyliśmy. Niebawem później nastąpiła wojna, do której Prusy, za sprawą poczynającego się wówczas na polityczno-dyplomatycznej arenie produkować Bismarcka, wciągnęły Austrję. Był to jego najpierwszy majstersztyk, polegający na tem, że skorzystał z okazji celem zepchnięcia w cień sprawy, trzymającej się uparcie na widowni i corazto bardziej dobierającej się do wychodniego jej punktu: do rozbiorów Polski. Prusko-austrjacko-duńska wojna — wojna dwóch mocarstw pierwszorzędnych przeciwko mikroskopicznemu państewku — więcej nam na polu polityki międzynarodowej szkody przyniosła, aniżeli wojowanie francuskie w Meksyku. Żem to przewidział, co zresztą obeznanemu cokolwiek ze stosunkami politycznemi trudnem nie było, wysoko w opinji Franciszka urosłem. Pamiętał mi to, ludziom opowiadał, pisał do mnie o tem, co żadnym dziwem nie było. Dziwniejszem jest, że różni Koźmianie, Tarnowscy, Przyborowscy i inni, rozpisujący się o epoce powstania styczniowego, milczeniem pomijają to na szachownicy Bismarcka posunięcie, które zaszachowało sprawę polską. Świadczy ono o zręczności Bismarcka i o międzynarodowem sprawy polskiej znaczeniu. Znaczenia tego pozbawić ją usiłują wszyscy trzej nasi najserdeczniejsi.

Raz w Hupałach spracowałem się pewnej nocy fizycznie. Przysłano do przechowania na czas jakiś paręset sztućców. Trzeba je było tak ukryć, ażeby schowanki nie zwąchała możliwa w każdym momencie rewizja. Nauboczu stała sterta siana. Wozy z karabinami podciągnęliśmy do niej bez pomocy koni ani wołów, zrzuciliśmy z niej część jakąś przykrycia, broń ulokowaliśmy we środku i stertę pokryli. Dokonaliśmy tego w ciągu nocy we trzech: Franciszek, jego ekonom i ja. Po dniu śladu nie było najmniejszego, mogącego naprowadzić na domysł, że sterta co innego aniżeli siano we wnętrzu swojem przechowuje.

Ściśle oznaczyć nie umiem, jak długo na urlopie bawiłem. Zabrał on mi kawał jesieni. Nie pamiętam dnia i miesiąca, w którym otrzymałem wezwanie stawienia się we Lwowie. Wezwaniu zadość niezwłocznie uczyniłem. Różycki oznajmił mi, że Rząd Narodowy przeznaczył mnie do Sztokholmu na agenta politycznego i zarazem na organizatora i naczelnika wyprawy do Litwy. Wyprawa pod dowództwem Łapińskiego nie powiodła się. Zadaniem mojem być miało: urządzić się lepiej

aniżeli tamta, i dostawić na Litwę oddział zbrojny wraz z bronią do uzbrojenia powstańców na gruncie. Zgromadzenie broni ułatwić miała sympatja, jaką powstanie polskie posiadało w Szwecji.

Była to rzecz ryzykowna, ale — *qui ne risque rien...*

— Cóż ty na to? — zapytał mnie Różycki.

— Cóż? dobrze — odrzekłem.

— To dobrze. Ubiega się o to Skorupka[1], ale Skorupka na dwie ręce sprawy prowadzić nie potrafi. Tam potrzeba takiego, o którym powiedzieć można: „Kudy kiń, to kozak". Dlatego ciebie wybrali.

— Kiedyż mam jechać?

— Jak tylko z Warszawy nadejdą szczegółowe instrukcje, kredytywa i pieniądze.

— Pieniędzy trzeba będzie dużo.

— Dlatego odrazu nie nadeszły.

Zrobiłem kilka uwag, tyczących się trudności przedsięwzięcia wogóle, jakoteż w odniesieniu do operacyj wojennych na teatrze litewskim, na którym nie znałem kraju ani ludności.

— Ludność ochoczo z Moskalami się bije, co zaś do kraju — odpowiedział Różycki — masz mapy.

— Tak więc — rzekłem — darłem się do Polski z południa, teraz drzeć się mam od północy.

Wspomniałem o relacji z konferencyj z wielkim wezyrem i Sadykiem paszą.

— O tem się pamięta... i myśli się... myśli się — odrzekł Różycki. — O tak... myśli się.

Znów przeto wskazany zostałem na czekanie.

Ufny w mój paszport, nie przypuszczając przytem, ażeby czekanie za długo przeciągnąć się miało, stanąłem w hotelu Krakowskim i zapisałem się pod nazwiskiem paszportowym w księdze hotelowej. W dni kilka później zjawił się u mnie komisarz i, paszport mój obejrzawszy, oświadczył mi, iż się w policji, w biurze paszportowem, osobiście zameldować winienem. Prezentowanie się osobiste w policji nie było mi na rękę, spo-

---

[1] Leon Skorupka był agentem dyplomatycznym Rządu Narodowego w Wiedniu. Wiadomość o tem, że starał się o agencję w Szwecji, nie ma skądinąd poparcia.

wodu że — o czem wiedziałem — ujęcie mnie stanowiło jedno ze specjalnych policji austrjackiej zadań. Nie uważałem za rzecz bezpieczną nasuwanie się jej na oczy, w miejscu zwłaszcza, w którem natknąćbym się mógł na znającego mnie z widzenia agenta. Odradzał mi to świadomy tajemnic policyjnych Dobrzański, odradzał Ujejski, odradzali wszyscy, doradzając, ażebym się do policji narodowej zgłosił i kwaterę wziął. Naczelnikiem miasta był natenczas Janek zwany Białym. Zgłosiłem się do niego, zakwaterował mnie na jednem z przedmieść, w domu dużym i porządnym, prawie pustym, bo zamieszkałym przez rodzinę właścicieli, składającą się z młodej pary małżeńskiej i z małego w kołysce dziecka. Do usługi mieli osób parę. Pokoje umeblowane dostatnio, z komfortem i z elegancją, nieopalane, były zamknięte. Dano mi jeden z nich, obok pokoju dziecinnego, do którego matka nie wchodziła nigdy na mocy czyjegoś zakazu i na mocy tegoż zakazu nigdy dziecka nie oglądała. Pozostawało ono wyłącznie na opiece niańki, kobiety niemłodej, która kawę mi rano przynosiła i opowiadała o jakicheś niezrozumiałych dla mnie tajemnicach rodzinnych. Tajemniczo mówiła o młodej parze, trzymającej się ode mnie zdaleka. Nazwiska jej nie przypominam sobie. Schodziłem się z nią, gdy nie byłem w mieście, przy obiedzie, przy herbacie. Zawsze bywaliśmy sami. Raz tylko przy stole herbacianym zastałem młodego jakiegoś człowieka i rozmowa z nim toczyła się o literaturze. Zajął mnie on; gdy wyszedł, zapytałem o jego nazwisko. Był to Jan Lam. Nazwisko to, później takie głośne, nic mi wówczas nie mówiło jeszcze. Literacka atoli z Lamem rozmowa dała mi pochop do dotykania następnie materyj literackich, ile razy z gospodarstwem do stołu zasiadałem.

Dziwna to była para. Z literackich z nią rozmów dowiedziałem się, że on, czy ona majątek na Podolu galicyjskiem dziedziczyła po Tymonie Zaborowskim. W domu jej czułem się zupełnie bezpiecznym, raz dlatego, że nie leżał on w mieście, powtóre dlatego, że Janek Biały zapewnił mnie, że jest zawsze uprzedzonym o każdej odbyć się mającej rewizji policyjnej. Tak było w istocie samej. Podejrzanych pełno po kwaterach mieszkało, rewizje ustawicznie czyniono, ale aresztowania zdarzały się rzadko. Policja narodowa miała swoich w policji austrjackiej, czuwała i ochraniała takie nawet osobistości wy-

datne, jak Różycki, Stella-Sawicki i inni. Na kwaterze mojej, z wyjątkiem Kornela i Janka Białego, nie odwiedzał mnie nikt więcej.

Zato ja na odwiedzanie przyjaciół i znajomych pozwalałem sobie.

Na kwaterze u mieszczanina stał Leon Czekoński, Piotr Suchodolski i paru innych. Mieszczanin pokorny, uniżony, nie odzywał się, kłaniał się jeno z rękami złożonemi i żony rozkazy wykonywał. Stosunek taki w małżeństwie wydawał się mi wymysłem powieściopisarzy; przypuszczałem zresztą istnienie czegoś podobnego, ale osłonięte pozorami. W małżeństwie tem wyrażało się ono jawnie — w oczy się rzucało. Panu widocznie zawadzała obecność ludzi młodych, nieuwzględniających praw, wiążących ludzi dwoje węzłem dozgonnym; pani się ich obecność wielce podobała, i im się podobała ona, kobieta młoda, przystojna, nosząca się jak dama i dogadzająca im z przekraczaniem reguł gościnności zwyczajnej. Kiedym po raz pierwszy przyszedł do nich o godzinie około dziesiątej rano, zastałem ich, rzecz prosta, w pościeli. W chwilę później jawiła się pani i zwróciła się do mnie z pretensją, żem jej gości tak wcześnie pobudził. Tłumaczyłem się, usprawiedliwiałem, pokrzywdzeni za mną się w tonie żartobliwym wstawili i uzyskałem przebaczenie. Służąca z mężem wniosła kawę. Pani dopilnowała rozdania każdemu jego szklanki do łóżka, dostrzegała braków różnych i posyłała co moment męża to po rogaliki, to po sucharki.

— Pływacie jak pączki w maśle — rzekłem, gdy sam z powstańcami zostałem.

— Tak nam wypadła dola — odparł Suchodolski — kozacka dola: dziś „kurku z masłom jisty“, jutro „dowbeńkami woszi byty“...

Nietylko szlachta w goszczeniu powstańców przesadzała. Mieszczanie szlachcicom nie ustępowali. Ten, u którego Czekoński, Suchodolski i paru innych na kwaterze stali, podejmował tych kilku taksamo, jak Baworowski w Strusowie cały szwadron. Nie działo się to powszechnie, ale szeroko. Skutkiem powstania wielu się w Galicji porujnowało z własną i sprawy szkodą. Gdyby z tego, co na przyjęcia wydawali, dawali jedną ćwierć na przyjęcia, drugą ćwierć na rzecz publiczną, — i samiby

zyskali, zyskałaby i sprawa polska, i powstańcyby krzywdy nie doznali.

Z Leonem spędziłem ten dzień. Razem w którymeś hotelu obiad zjedliśmy i po obiedzie poszliśmy do Ukraińców.

— Zbierają się u Aleksandra Darowskiego.

Aleksandra Darowskiego osobiście nie znałem. Słyszałem o nim, niewiele jednak. Mieszkał u Żorża, zdaje się. W zajmowanym przezeń numerze uderzyły mnie na wstępie na zwierciadłach i drzwiach wielkiemi literami kredowe napisy:

„Tu o polityce mówić niewolno“...

Na środku stał stół; na stole leżały talje kart. Tu i ówdzie siedziało kilku szlachciców. Jeden z nich powolnie, z fajką na długim cybuchu w ręku, po pokoju chodził. Temu ostatniemu — był to Darowski — Leon mnie przedstawił. Zatrzymał się, głową do mnie kiwnął, dłoń mi do uścisku podał i nic nie rzekłszy, dalej chodzić począł. Inni, nazwisko moje usłyszawszy, powstawali i witali mnie, podając nazwiska swoje. Żadnego z nich nie przypominam sobie. To mnie uderzyło, że za wejściem mojem, jakby na dane hasło, wszyscy stół otoczyli i djabełka czy faraona założyli. Przybywali nowi i wprost do stołu szli. Stanęły mi w oczach kontrakty kijowskie.

Darowski wciąż z cybuchem w ręku, z miną posępną powoli chodził. Od czasu do czasu dym mu z ust wylatał.

Niebudujący to był dla mnie widok, zwłaszcza że pomiędzy grającymi widziałem paru młodzików gołowąsych. W piersi doznałem ściśnienia. Wyniosłem się z tej nory, w której się takie ojczyźnie służenie odbywało.

Służył jej inaczej, równie dobrze, Napoleon Sarnecki, mój w r. 1859 wysłaniec z Paryża na Podole rosyjskie z poleceniem, tyczącem się organizacji. Spotkałem się z nim, nie pamiętam gdzie, niespodzianie.

— Co tu robisz?

Odpowiedział mi tak, żem odpowiedzi jego nie zrozumiał, i dodał:

— Przyjdź do mnie, pomówimy.

— Do którego hotelu? — zapytałem.

— Nie w hotelu,.. z żoną mieszkam.

— Ożeniłeś się?

— Z Tarnowską.

— Winszuję ci.

— Przyjdźże do mnie.

Dał mi adres. Pokazało się, że mieszkanie jego znajdowało się na tej samej, na której ja kwaterowałem, ulicy. Umówiliśmy się o dzień i godzinę. Stawiłem się w czasie umówionym.

Pomówienie miało na celu wytłumaczenie się, co go zniewoliło do usunięcia się nietylko od udziału w powstaniu, ale od wszelkiej pomocniczej roboty. Powodem był majątek.

— Gdybym wziął w powstaniu udział, Moskaleby mi majątek skonfiskowali — objaśniał mi. — Nie lepiejże majątki nasze w polskich zachować rękach?

Nic na to nie odpowiedziałem, wiedząc, że daremnemby było gadanie moje. On jednak, chcąc dowodnie mnie przekonać, sprowadził żonę i syna — dziecko w pieluszkach. Żonie mnie przedstawił, syna mi pokazał i z deklamacyjnym trochę akcentem następujące wygłosił wyrazy:

— Cóżby oni poczęli, gdybym zginął!

Żona ze zdziwieniem oczy na niego podniosła i odrzekła:

— Zapominasz chyba, żem Tarnowska.

Na te słowa Sarnecki zrobił politowanie wzbudzającą minę. Pomówienie na tem się skończyło. Co zaś do zachowania w polskich rękach majątku, prześliczny nad Dniestrem, w uszyckim powiecie, w żyznej położony glebie Kałusz z rąk jego drogą sprzedaży w moskiewskie przeszedł ręce.

Sarnecki za sprzedany Moskalowi w zaborze moskiewskim majątek kupił majątek w zaborze austrjackim. Złożył przez to dowód, że nie zmarnotrawił grosza, ale ziemi od zaborczości żywiołu moskiewskiego nie obronił. A o to właśnie chodziło. Zasada zachowywania w rękach polskich majątków słuszną jest i racjonalną, pod warunkiem atoli, ażeby majątki te szły na pożytek sprawy polskiej, na takie lub inne cele dobra publicznego. Ossolińscy, Skarbkowie, Działyńscy, Świdzińscy, i inni naukowych, filantropijnych itp. zakładów fundatorowie, dobry z majątków swoich zrobili użytek, zabezpieczyli je bowiem nietylko przeciwko zaborcom, ale i przeciwko własnym spadkobiercom. Niektórzy, a znałem takich, w powstaniach osobiście udziału nie brali, lecz zasilali je. Jeden np. — skąpiec i dziwak — oddał wszystką, jaką posiadał, gotówkę i ko-

nie [1]. Zachowywanie jednak majątków w rękach polskich dla zachowywania tylko — racji słusznej nie ma, jeżeli o tem sądzić będziemy wedle wyników. Co się z majątkami polskiemi robi, w czyje one i dlaczego ręce przechodzą w moskiewskim, pruskim, a nawet i w austrjackim zaborach? Odłużone kupują je z licytacji na Rusi i Litwie Moskale, w Wielkopolsce i Prusach Wschodnich Niemcy i komisja kolonizacyjna, tu zabezcen, tam za dobre pieniądze. W Galicji również szlachta się po uszy zadłuża i majątków pozbywa.

Zachowywanie majątków dla zachowywania, możliwego jeno przy majoratach, fideikomisach i ordynacjach w państwach prawami się rządzących (nie w Rosji), wiąże się ściśle z nabywaniem dla nabywania i z konieczności rzeczy godzić się musi z warunkami prawno-politycznemi, w danym istniejącemi momencie. Stąd w tem środowisku rodzi się zgoda z losem, wytwarzająca logicznie w następstwach swoich trójlojalizm i patrjotyczny renegatyzm. Na tej drodze dorobiła się Polska wielopolszczyzny i hurkowszczyzny, wyrosłych z pnia tego samego, z którego kościuszkowszczyzna wykwitła. Majątek słabą jest w ustach Polaków racją do usuwania się od udziału w robotach, gdy sprawa polska na stół się wytacza.

— Odwiedzaj mnie, odwiedzaj.

Słowy temi pożegnał mnie Napoleon Sarnecki.

Nie zaszedłem już więcej do niego, mimo że naprzeciwko mieszkał.

Zachodziłem często do Tadeusza Tarnowskiego, właściciela Horochowa na Wołyniu, człowieka cichego, skromnego i szczerze a gorąco sprawie polskiej służącego. Mieszkał z żoną, dla której dopuścił się mezaljansu, i z tego powodu znajdował się na indeksie rodzinnym. Słusznie — czemu się nie ożenił z Branicką? Pani Tadeuszowa cale pod koroną hrabiowską wyglądała przyzwoicie, a to dla tej zapewne przyczyny, że korony tej na jej głowie widać nie było; nie ubliżała zaś związkowi z prawnukiem hetmańskim z tej racji, że podzielała uczucia i przekonania jego. U Tarnowskich kąpałem się w atmosferze patrjotycznej. Schodziłem się u nich z urzędnikami Rządu Narodo-

---

[1] Mowa tu o Janie Darowskim, właścicielu Tetyjowa. (Według informacji córki T. T. Jeża p. A. Gawrońskiej).

wego, z Wołyniakami, co w oddziałach nie poginęli i na pole walki się wybierali, z tejże kategorji Kongresowiakami i Galicjanami. Zgromadzało się nas niekiedy sporo. Z grona tego wyniosłem jeden na rodzinę Tarnowskich pogląd, który mi ją szanować nakazywał, ten mianowicie, że śród arystokratycznych rodzin polskich ona jedna z łona swego nie wydała ani jednego, coby się sprawie polskiej sprzeniewierzył. Świadczyli o tem w swoim czasie wszyscy z Wołynia i z Galicji Tarnowscy. Ponieważ jednak *tempora mutantur et nos in illis*, więc i dla rodziny tej, długo niepokalanej, czasy się zmieniły. Szkoda! W r. 1863 jeszcze się ona trzymała.

U Tadeuszostwa Tarnowskich bywałem często.

Odwiedziłem raz czy dwa Henryka Schmitta, historyka, znanego mi od r. 1859. Schmitt powstanie uznawał i jakąś funkcję w organizacji pełnił; czynną jednak, czynną dodatnio, gorliwie i niezmordowanie była jego żona.

Ona i pani Kornelowa Ujejska.

Policja dokuczała powstańcom — one dokuczały policji.

Specjalność ich stanowiło czuwanie nad aresztowaniami i aresztowanymi.

Gdy która z osobistości ważniejszych przyaresztowaną została, wnet jedna z nich wiedziała i stosowne przedsiębrała kroki, rozsyłając wiadomość, gdzie należy, celem zapobieżenia plątaninie w zeznaniach i dochodzeniach policyjnych.

Z aresztowanymi nikt nad nie lepiej porozumiewać się nie umiał. Przesyłanie im i od nich kartek, dosyłanie wiadomości ustnych, dostarczanie pieniędzy i narzędzi (pilników, piłek, sznurów), wszystko to szło im niby z płatka. Zajęciu temu sporo we Lwowie oddawało się kobiet: drowa Żardzińska, pani Wild, piekarzowa Jilich i inne; żadna tej funkcji nie doprowadziła do takiej co te dwie panie doskonałości. Komisarze policyjni lękali się ich: napadały na nich nietylko na ulicach, ale w biurach, w których codziennie po razy kilka widzieć je można było [1]. Pani Schmitt do desperacji tych panów przyprowadzała, nazywając ich szpiclami.

— Co pani mówi?

[1] Po zaprowadzeniu w roku następnym oblężenia stanu w Galicji wszystkie te panie, a najpierwsze pani Ujejska i pani Schmittowa, zostały aresztowane. Mężowie ich oblęgali drzwi i z minami zafrasowanemi cho-

— Albo co?

— Przemawia pani do mnie.

— Jakże mam przemawiać, jeżeli nie: panie szpicel? Cóż pan takiego: nie szpicel? No, więc....

Interes mu swój przedstawiała. Po jakimeś czasie znów się w biurze w jakimeś interesie zjawiała, później znów itd., a zawsze z wyrazem „szpicel“ na ustach. Ponieważ wyraz ten nie figurował w kategorji obelg, nie było więc na to rady.

Widziałem ją raz tylko, wieczorem, przy lampie. Kobieta smukła, szykowna, przystojna, o dobrotliwym oblicza wyrazie, wyglądała na lat trzydzieści parę. W pamięci mi pozostała jako brunetka.

O pani Kornelowej mówiłem w jednym z poprzednich rozdziałów.

Kornelostwo mieszkali przy ulicy Franciszkańskiej, we własnym, w głębi ogrodu położonym domu, zawsze kwaterujących pełnym. Odwiedzałem ich, również jak Tadeuszostwa Tarnowskich, często. Raz, gdy od ostatniej bytności mojej parę upłynęło dni, Kornel do mnie zaszedł i zamówił mnie do siebie nazajutrz na godzinę poranną.

— Zakwaterował u nas — mówił — pułkownik Smoliński [1], przybywający wprost z Ameryki, ze Stanów Zjednoczonych, gdzie brał udział w wojnie secesyjnej po stronie stanów północnych. Jest to oficer z r. 1831, stopień pułkownika uzyskał w Ameryce, człowiek stary i mnie po myśli. Do serca mi przypadł. Tak, jakim jest, wyobrażam sobie w mojej poetycznej wyobraźni żołnierzy polskich: z szablą w dłoni, z modlitwą na ustach. Co rano, odziawszy się, przy łóżku klęka, dłonie składa i paciorek mówi. Dla mnie jest on postacią, o jakiej marzę. Ale jest w nim coś i dla was. Przywiózł on ze sobą plan prowadzenia wojny powstańczej. Pokazywał mi go i mnie wydaje się doskonałym. Ale ja się na tem nie znam. Przyjdź więc, zobaczysz i osądzisz.

---

dzili pod oknami więzień, w których one pokutowały za przykrości policji przez nie wyrządzane. (Nota T. T. Jeża).

[1] Pułk. Smoliński Józef, oficer w. p. w r. 1831, służył od r. 1833 w francuskiej legji cudzoziemskiej, w r. 1855 był pułkownikiem armji angielskiej, umarł w r. 1866 jako urzędnik w Departamencie skarbu w Waszyngtonie.

— Dobrze — rzekłem. — Czy mi go jednak pokaże?

— Pokaże. Prosił mnie, żebym kilku wojskowych sprowadził, ażeby jego plan ocenili. Byłem u Łosia; przyrzekł mi, że przyjdzie.

Major Łoś, oficer wojsk polskich od saperów, zdaje się, w r. 1848 wydał regulamin dla gwardji narodowej i uchodził za powagę w kwestjach wojskowych. Rad temu byłem, że go poznam. Stawiłem się przeto na *rendez-vous* i poznałem się naprzód z pułkownikiem Smolińskim.

Człowiek lat poza sześćdziesiąt, średniego wzrostu, suchy, siwiejący, policzki ogolone, wąsy podstrzyżone, wejrzenie ostre: typ oficera starej daty.

Wkrótce po mnie nadszedł major Łoś, słuszny, trochę pochyło się trzymający, białowłosy starzec.

Smoliński pokazał nam plan. Oczom naszym przedstawiła się mapa Polski, poznaczona cyrklem kreślonemi kółkami, w których z centrów ku obwodowi wychodziły promienie. Centra i koła, kolorowane, w oczy się rzucały.

Nie wiem, czy się Łoś domyślił. Ja się domyśliłem. Milczeliśmy. Po chwili Smoliński zaczął tłumaczyć znaczenie kółek, biorąc do wykładu jedno, którego centrem było, nie pamiętam które, miasto. Wykład brzmiał mniejwięcej tak:

— We środku zajmuje stanowisko oszańcowane oddział polski o sile paru tysięcy ludzi z odpowiednią ilością jazdy i artylerji. Nieprzyjaciel go otacza i dla otoczenia siły swoje rozdrabia. Oddział wyczekuje, aż nieprzyjaciel, koło zająwszy, ku niemu zbliżać się pocznie, i wówczas wypada po promieniu, o, — pokazał — rozbija część jedną, zwraca się, rozbija część drugą, cofa się następnie i znów spokojnie na otoczenie czeka.

Łoś milczał — i ja milczałem.

Kornel w oczy nam spoglądał, a pułkownik z miną, pewność siebie oznaczającą, głową zlekka potrząsał i na plan swój patrzał.

Milczenie przerwał Łoś.

— Plan... hm... — mruknął — plan...

Do Kornela się zwrócił i zapytał:

— Jakże pani twojej zdrowie?

— Dziękuję. Żona moja czasu do chorowania nie ma.

— A wiem... Chłopcy?

— Zdrowi.

— Pozdrówże panią dobrodziejkę ode mnie.

Dłoń mi podał; pożegnał się następnie ze Smolińskim i za pokazanie planu mu podziękował; wkońcu pożegnał się ze mną.

— Cóż o planie Smolińskiego mówisz? — zapytał mnie Kornel, gdyśmy we dwóch pozostali.

— Mówię, co myśli Łoś, a Łoś czego innego myśleć nie może, tylko że to koncept dziecka starego.

Więcej mowy o planie nie było.

Ileż planów podobnych wytworzyły głowy polskie w ciągu powstania!

Kornel wiedział (to nie było tajemnicą), że Rząd Narodowy naznaczył mnie do Szwecji. Mówiłem z nim niekiedy o tem. Razu pewnego zwrócił się do mnie z propozycją towarzyszenia mi w charakterze sekretarza.

— Zastanawiałem się nad tem — mówił — i do tego doszedłem przekonania, iżbym się tam przydał.

— Zapewne — odrzekłem. — To jednak ode mnie w tej chwili nie zależy. Instrukcje z Warszawy nie nadeszły jeszcze.

— Pomyśl o tem i gdy instrukcje nadejdą...

— W każdym razie — podchwyciłem — bez odniesienia się do Rządu Narodowego stanowić nie będę mógł. Gdyby chodziło o kogo innego, to jeszcze, ale o ciebie, Kornelu... Gdyby Rząd dobranie personelu do woli mi pozostawił, ciebiebym nie wziął.

— Czemu?

— Bo to ty — odrzekłem z naciskiem.

— Więc ja sam się podam. Ty mnie poprzyj.

— Dobrze — odpowiedziałem.

Niebardzo mi się towarzystwo Kornela uśmiechało. Temperament jego poetyczny nie usposabiał go do ciągłej i konsekwentnej działalności, jaka nas tam czekała, a przytem wierzyłem w jego genjusz; po autorze *Chorału* spodziewałem się utworów natchnionych tym duchem, co ziemię polską w chwili tej podnosił i dzieci jej z kijami w ręku na uzbrojone moskiewskie zastępy prowadził, — zgoła przeto nie życzyłem sobie takiego człowieka, czyto w jarzmo sekretarskie wprzęgać, czyli też, gdyby do wyprawy zbrojnej doszło, narazić na utonięcie w mo-

rzu Bałtyckiem. Spodziewałem się po nim arcydzieła i wolałem go dla arcydzieła tego zachować, a nie umiałem mu narazie wyperswadować. Przeszkadzał mi w tem on sam. Wobec zapału, z jakim mówił o Szwecji i jej do Polski stosunku, nie przychodziły mi na język wyrazy, zapał ten ostudzające; gdy zaś przychodziły, to takie prozaiczne, takie poziome, że jedne na języku zamierały, drugie Kornel znicestwiał. Wyobraziła się mu np. audjencja u króla, o której nie myślałem, wiedząc, że audjencje udzielają się nam pod sekretem. Zaczął o niej mówić.

— Wątpię, ażebyśmy ją uzyskać mogli — zauważyłem.

— Opinja publiczna — odrzekł — gdy się do niej odwołamy, zmusi króla do tego. Powinniśmy się o to postarać dla postawienia sprawy polskiej na widowni jasno i wyraźnie. Mam przeczucie, że nam Szwecja to ułatwi. Trzeba się tylko do rzeczy wziąć należycie.

Opowiadał, jak się wziąć mamy.

— A gdy audjencję uzyskamy, wystąpimy...

— Jak? — zapytałem.

— Po polsku... w kontuszach, przy karabelach...

— Kontusza nie mam — wtrąciłem.

— Sprawisz sobie.

— Za co?

— Czekasz przecie na pieniądze.

— W których ani jednego grosza na kontusz nie będzie.

— A to już ja o tem pomyślę.

Zrozumiał, że grosz publiczny inne ma przeznaczenie.

Roił, poetyzował, przekonywał mnie corazto dowodniej, iżby z niego w Sztokholmie pociechy nie było, i — rojenia jego rozbiła policja.

Nocy pewnej, było to w początkach listopada, obudziła mnie obecność przy mojem łóżku kilku ludzi ze światłem. Zboku stał gospodarz domu w szlafroku; w tych, co z nim przyszli, poznałem policjantów z komisarzem Blejmem naczele. Blejma z widzenia znałem, pokazywano mi go, jako jednego z najgorliwszych i najzręczniejszych poszukiwaczy ludzi podejrzanych. Przemówił on do mnie grzecznie, o nazwisko zapytał i o pokazanie paszportu poprosił. Po przeczytaniu paszportu zapytał:

— Czemuś się pan nie meldował?

— Dlatego — odpowiedziałem — że mieszkam nie w hotelu, ale u przyjaciół.

Odpowiedź taka była zgóry z gospodarzem domu omówiona.

— Muszę pana aresztować — rzekł komisarz po chwili namysłu.

Zaprotestowałem, zaprotestował gospodarz: protestacje nasze nanic się nie zdały, pomimo że dokonana w walizce mojej rewizja żadnego kompromitującego mnie nie sprowadziła rezultatu. Gdym się ubrał:

— Służę panu — przemówił Blejm.

Wyszedłem w towarzystwie komisarza i policjantów. Było ich sporo, otaczali dom. Na odgłos gwizdawki zeszli się na drodze przy czekającym fiakrze, do którego wsiąść Blejm mnie poprosił.

Dzień świtać poczynał. Powóz ruszył i toczył się powoli raz dla śniegu, który przez dni kilka obficie padał, powtóre dlatego, że przy fiakrze z jednej i z drugiej strony szli, jak ich po galicyjsku nazywają, policaje. Ta warta niedobrze mi zawróżyła.

„Złapali cię, ptaszku“ — pomyślałem sobie.

W policji niedługo w osobnej pod wartą izbie czekałem. Jak skoro się rozwidniło, poprowadzono mnie do protokółu. Paszport mój otwarty przed urzędnikiem leżał i ten zadawał mi pytania, na które, znając doskonale stosunki Bajewskiego, bez namysłu odpowiadałem. Kłopotliwość rozpoczęła się dla mnie, gdy mi przyszło zdawać sprawę ze spędzania czasu od chwili wyjazdu mego z Paryża, o którym świadczyła wiza paszportowa. Gdybym był we Lwowie do hotelu nie zajeżdżał, byłoby mi poszło gładko. W hotelowej księdze, z której policja wyciągi porobiła, zapisany byłem dwa razy: raz, kiedym z Krakowa przyjechał, drugi raz, kiedym powrócił z urlopu.

— Podróżowałeś pan po Galicji?

— Podróżowałem.

— W jakim celu?

— Wcelu poznania kraju i ludzi.

Podałem się na początku indagacji za Polaka, zrażonego do Rosji i szukającego za jej granicami spokojnego kąta do pędzenia dalej życia.

— Gdzieś się pan zatrzymywał?

— Zatrzymywałem się — zacząłem z namysłem.

Nim odpowiedziałem, drzwi się nagle rozwarły i przez nie wpadła z impetem znamionującym, jakby się z kimeś za drzwiami szarpała, pani Kornelowa.

— ...w Brzeżanach, w Stanisławowie, w Buczaczu — kończyłem odpowiedź.

Pani Kornelowa, której wejście indagację przerwało, zaczerwieniona, zaperzona, na mnie nie zważając, zwróciła się do urzędnika ze skargą, że jej do biura „jakiś drab“ wpuścić nie chciał i następnie wytoczyła przed nim jakąś pretensję o coś, nie pamiętam. Mówiła głośno, prędko, gniewnie i na mnie uwagi nie zwracała, nie istniałem dla niej. Urzędnik, załatwiwszy się z nią, rozpoczął indagację od punktu, na którym się zatrzymał. Nie szło mi z odpowiedziami gładko. Gdy się przeto zapytania wyczerpały:

— Sprawdzimy — rzekł. — Na sprawdzenie wypada poczekać.

Składał paszport, ja zaś odezwałem się:

— Mogę odejść?

— Wybaczy pan... Czasy takie! Poczeka pan w areszcie.

Protestowanie przeciwko temu na nicby się nie przydało, na zapytanie więc, czy do aresztu piechotą odejść, czy też fiakrem odjechać wolę, odrzekłem:

— Wolę fiakrem...

W kwadrans, może w dwadzieścia minut później, odwieziony do t. zw. „kurdygarni“, stałem wobec innego urzędnika, który również mnie indagował i po indagacji, zabrawszy mi pugilares z pieniędzmi, sakiewkę, zegarek i wszystko, co wartość jakowąś przedstawiało, zapytał mnie, jakbym życzył w areszcie siedzieć: w osobnej, czy we wspólnej izbie. Wybrałem wspólną.

Wspólny w kurdygarni areszt składał się z dwóch izb: z obszerniejszej, w której w kącie stał kubeł do wiadomego użytku, i z mniejszej, z podłużnym stołem po środku.

Na wstępie natknąłem się na Izydora Kopernickiego. On się odwrócił, jam mimo przeszedł; do drugiej izby przeze drzwi zaglądałem i przy stole zoczyłem Maurycego Ostoję Chodylskiego, grającego w karty. Ostoja brwi zmarszczył i we mnie się wpatrzył. Usunąłem się w obawie, ażeby, witając się ze mną,

mego nie zdradził pseudonimu. Pseudonimy w ogólnem znajdowały się użyciu i wytworzyły taktykę niepoznawania najlepszych znajomych, w takich zwłaszcza jak więzienie miejscach. Udawałem przeto, że nie znam Kopernickiego i Ostoję, oni udawali, że nie znają mnie. Co do innych, z którymi mnie los złączył, udawać nie potrzebowałem, nikogo z nich nie znając. Było nas ze dwudziestu.

W areszcie przesiedziałem tygodni ze dwa, może nawet dłużej. Policja o Bajewskim wiadomości ściągała. Meldowałem się parę razy do urzędnika, w kurdygarni zasiadającego, któremu przewodniczył jakiś dobrodusznie wyglądający konsyljarz. Żaliłem się przed nim na aresztowanie niesprawiedliwe i nieprawne. On skargi moje do dyrekcji posyłał i mnie odpowiedzi udzielał, — odpowiedzi niepomyślnych, nieświadczących jednak o odkryciu prawdziwego mego nazwiska. Do urzędnika tego towarzysze moi, nie ten to ów, meldowali się ustawicznie. Jeden zwłaszcza, młody chłopak, blondyn, słuszny, po mnie w dni kilkanaście do więzienia wtrącony, zameldował się nazajutrz po przyjściu, celem, jak oznajmił, poprawienia pierwotnych zeznań protokolarnych. Zeznał, że się nazywa inaczej, że jest nie stąd, skąd się podał, słowem że wszystko jest nieprawdą, co powiedział. W dniu następnym znów się zameldował i znów zeznania poprzednie co do nazwiska, miejsca urodzenia i *curriculum vitae* całkowicie zmienił. Trzeciego dnia to samo zrobił. Następnie meldował się codziennie i codziennie zeznania zmieniał, rozpoczynając zawsze od tego, że go sumienie gryzie, że brzydzi się kłamstw, jakich się wobec ojcowskiego, cesarsko-królewskiego rządu dopuścił, i przychodzi prawdę powiedzieć. Tę prawdę układał sobie zgóry wespół z towarzyszami więziennymi. Wymyślali oni niemożliwe nazwy miejsc urodzenia i nazwiska rodowe. Młody człowiek miał w czem wybierać — codziennie się meldował i do protokółu codziennie stawał z miną żałującego za grzech i recytował:

— Panie konsyljarzu, sumienie mnie gryzie, brzydzę się kłamstwa, którem popełnił... Ojcowski, cesarsko-królewski rząd... etc.

Nie wiem, jak się to skończyło, na list bowiem, który wystosowałem do dyrektora policji, domagając się uwolnienia celem opuszczenia Austrji, otrzymałem odpowiedź, wskazującą

mnie na wygnanie. Wieczorem wywieziono mnie na dworzec, gdzie w sali obszernej, kolumnami przez środek przepołowionej, zastałem kilkudziesięciu aresztantów, pod wartą piechoty węgierskiej. Piechota pod bronią otaczała ich. Oni się przechadzali. Zrobiłem śród nich kroków kilkanaście i zatrzymałem się zdziwiony przed jednym, który postawę przybrał i po żołniersku mnie salutował. Spojrzałem mu w oczy — poznałem w nim podoficera z mego oddziału. Odwróciłem się. Później trochę stylu mu zaszedłszy, szepnąłem:

— Nie poznawaj mnie.

Nie poznawał i nie salutował już więcej.

Więźniowie ci wskazani byli na internat w Ołomuńcu. Zwieziono ich z rozmaitych lwowskich więzień, po największej części z zamku. Transportowi przewodniczył komisarz policyjny, który, gdy się pora wsiadania do pociągu zbliżała, dał żołnierzom rozkaz nabicia broni. Żołnierze broń ostentacyjnie nabili, na komendę na ramię ją wzięli, otoczyli nas, do wagonów odprowadzili i wsiadali wraz z nami po dwóch do każdego przedziału, lokując się przy oknach. Wywożonych za granice państwa trzech czy czterech do osobnego wsadzono przedziału. Internowani w Krakowie w wagonach pozostali; na wygnanie wskazanych do więzienia pod t. zw. Telegraf odstawiono.

Pod Telegrafem znalazłem się w ogromnej, łóżkami zapełnionej sali. Na łóżkach, ponieważ to było rano, aresztanci jedni spali, drudzy się wylegiwali pod kocami, płaszczami lub paltotami. Kilku tylko znajdowało się na nogach. Gdym wszedł, jeden z tych ostatnich szybko do mnie się zbliżył, poznałem w nim Rymtowta; walizkę mi z ręki wziął, do łóżka poprowadził i rzekł:

— Jedyne łóżko próżne, proszę je prędzej zająć.

Łóżko zająłem, on odszedł. Położyłem się, po niespanej nocy smacznie zasnąłem.

Zbudziłem się w ciągu dnia, koło południa zapewne. W całej pod Telegrafem gromadzie nie znałem nikogo z wyjątkiem Rymtowta, który dwa zgórą lata temu do Michalen był przyjechał w zamiarze jechania dalej, do Czarnogórza, celem wzięcia udziału w walce Czarnogórców przeciwko Turcji. Od tego czasu z oczu go straciłem. Pod Telegrafem spotkaliśmy

się i niby nową zabrali znajomość. Powiedziałem mu, że mnie z Austrji wywożą do granicy bawarskiej.

— A to i mnie także — odpowiedział mi.

Rozpatrując się śród aresztowanych, zauważyłem kilku cudzoziemców i jednego, co się mi cudzoziemcem wydał dlatego, że język polski fatalnie kaleczył. Był to Polak przybyły z Francji, syn emigranta, młody, tęgi chłopak, żywy, gadatliwy. W łóżku swoim przechowywał on sznur, na którym węzły wiązał celem urządzenia ucieczki gromadnej. Zajmowało go to mocno: kręcił się, rzucał, naradzał, wykładał sposób spuszczania się po sznurze i przy wykładzie tym przedstawiał ów sposób obrazowo zapomocą gestykulacji odpowiedniej.

Pod Telegrafem dobę całą spędziłem. W ciągu dnia razy kilka wchodził naczele policjantów komisarz dla zrobienia inspekcji. Powoli się przez środek przesuwał; od czasu do czasu przystawał, słuchając wnoszonych do niego przez więźniów zażaleń i żądań, niektóre z nich notował i wychodził. Był to Englisch, równie jak Blejm we Lwowie, węchem policyjnym w Krakowie rozsławiony.

Ponieważ miałem łóżko, więc się zwieczora położyłem. Sen mnie zdjął wprędce, lecz nie na długo. Po północy powstał w sali hałas, który mnie i spółwięźniów wszystkich rozbudził, a pochodził od wejścia do sali tłumu nowo w nocy aresztowanych. Od oka sądząc, było ich z pięćdziesięciu. Gdy się drzwi za nimi zamknęły, komisarz, usiadłszy przy stojącym nieopodal drzwi stoliku, na którym noc całą paliła się świeca, niektórych z nich wywoływał: „panie, hej, panie!“, palcem kiwając, i o nazwisko pytał. Jeden z nich, mocno zbudowany, o ostrym oblicza wyrazie i o dużej czarnej brodzie, wywołany i o nazwisko zapytany, naprzeciwko komisarza na stołku usiadł i dobitnie odpowiedział:

— Józef Szpicel.

— Jak? jak, panie? — komisarz na to.

— Józef Szpicel — powtórzył.

W sali słyszeć się dały śmiechy.

— Pan się tak nie nazywasz — odezwał się komisarz głosem, w którym irytacja brzmiała.

— Jakże?

— Inaczej.

— Nie inaczej. Cóż to, czy się szpiclem nazywać nie wolno? Szpicel.... Szpicel. Może i pan szpicel?

Komisarz nic na to nie odpowiedział, zapisał i zapytał:

— Stan pański?

— Krawiec... od krojenia kurt Moskalom i Niemcom.

— Skąd pan rodem?

— Z Pacanowa... na koziem wyhodowany mleku.

— Ja pana o to nie pytam.

— Ale ja panu to mówię. Romulusa i Rema wilczyca mlekiem swojem karmiła; mnie, Szpicla, koza pacanowska. To rzecz ważna. Może i pan koziem mlekiem karmiony?

Komisarz milczał. Więzień dodał:

— Chybażeś pan nie szpicel?

Dusiliśmy się ze śmiechu po łóżkach.

Komisarz niebawem później papiery zabrał i wyszedł, nie ciągnąc indagacyj dalej.

Nowoaresztowani jedni na łóżkach obok leżących w nich dawniej aresztowanych siadali, inni się po sali środkową pomiędzy łóżkami ulicą przechadzali. Śród tych ostatnich zoczyłem Jana Kubalę[1]. Wezwałem go, żeby na mojem przysiadł łóżku. Wezwaniu memu uczynił zadość, — siedział; mówiliśmy jednak ze sobą mało, raz dlatego, ażeby się z tem, żeśmy się znali, nie zdradzić, powtóre dlatego, że Kubala na przybitego, jakby mocno zgryzionego wyglądał. Szczególny zapewne jakiś powód w stan taki go wprawił, luboć sam w więzieniu pobyt wpłynąć mógł na zepsucie mu humoru. Telegraf, brudów pełen, obrzydliwem był więzieniem, a obrzydliwość potęgowała zaducha, przeniknięta wyziewami z kubła. We względzie tym Telegrafowi niewiele ustępowała kurdygarnia lwowska, nie tak zapchana i obsługiwana przez dozorców grzeczniejszych. O jadle tu i tam nic powiedzieć nie umiem, zapomniałem bowiem całkowicie, jak nas żywiono. Przypominam sobie tylko, żem na więziennej poprzestawał strawie, nie chcąc w przewidywaniu potrzeby wydatkowania po wyjściu z więzienia ze skonfiskowanych mi czerpać zasobów. Jadło stanowiło zawsze śród trosk moich ostatnią, dlatego w pamięci mojej nie utrzy-

[1] Prawdopodobnie pomyłka w imieniu historyka Ludwika Kubali.

mały się preparaty lwowskiej i krakowskiej więziennej kuchni. Pamiętam jeno brudy i smrody.

Nazajutrz pociągiem porannym, pod eskortą wojskową, wyprawiono nas do Wiednia w liczbie osób trzydziestu. Z Wiednia mieliśmy być rozesłani jedni na wschód, drudzy na zachód. Byliśmy nie sami Polacy; znajdowali się pomiędzy nami cudzoziemcy: Węgrzy, z tych jeden z mego oddziału, południowi Słowianie, Francuzi, Włoch jeden, młody, wesoły człowiek, śpiewający, gadający, przeskakujący z przedziału jednego do drugiego, przez rozgraniczające je, do połowy wagonu wznoszące się przepierzenia. Odprowadzał nas Englisch. Tak się zdarzyło, że mi obok niego wypadło siedzenie w przedziałce, w której siedział Węgier, mój niegdyś podkomendny, niezdradzający znajomości ze mną, Rymtowt, młody jakiś poważny doktor filozofji i paru innych. Pomiędzy Englischem, doktorem filozofji a mną zawiązała się rozmowa, która mnie żywo interesowała. Wyszła ona z punktu powstania i, potrącając o rolę, jaką wobec niego odgrywała Austrja, przeszła do polityczno-społecznego znaczenia policji. Englisch okazał się człowiekiem różnostronnie wykształconym i o poglądach śmiałych i szerokich. Mocno mnie rozmowa z nim zajmowała, rwała się jednak dzięki Włochowi, który od czasu do czasu z sąsiedniego przedziału wskakiwał, śpiewał i gadał. Mówił z włoska po francusku. Nie we wszystkich przedziałach znajdował słuchaczy, co go rozumieli. Dlatego zjawiał się w przedziale naszym, w którym się rozmówić mógł z doktorem filozofji, z Englischem, no i ze mną. Raz wpadł i o zasługach swoich w powstaniu opowiadać zaczął. Ktoś z nas, bodaj czy nie ja, zapytał go, gdzie, pod kim walczył.

— Pod pułkownikiem Miłkowskim — odpowiedział, w oczy mi patrząc.

Pamiętam, że mi oczy ani drgnęły. Zwróciłem wejrzenie na Węgra, następnie na Rymtowta: Węgier brwi zmarszczył; Rymtowtowi wzrok zdziwieniem zamigotał.

Włoch puścił się w opowiadanie o mnie. Dziwne, ciekawe prawił rzeczy, akcentując opowiadanie gestykulacją i przeplatając je śpiewkami. Nagadał się, wyskoczył i słyszeć się dał z jednego z dalszych przedziałów.

Pociąg zatrzymywał się na stacjach; zatrzymał się wreszcie

w Przerowie. Gdy do Przerowa dojeżdżał, komisarz oznajmił nam, że na stacji tej będzie dla nas obiad przygotowany, zjeść go będzie mógł, kto zechce, t. j. kto zapłaci. Do obiadu zgłosiło się ze dwunastu. Pociąg stanął; przy wagonie naszym wojsko się sformowało i pod eskortą wkroczyliśmy do sali osobnej, w której zastaliśmy stół okrągły pośrodku, zastawiony jak do obiadu i okryty sięgającym do podłogi dywanem. Gdyśmy miejsca zajmowali, a żołnierze dla otoczenia nas koło formowali, przebiegał mimo nas, nakrycia poprawiając, garson i poszeptem powtarzał:

— Pod stołem schować się można. Pod stołem schować się można.

Kiedyśmy miejsca zajęli, miejsce pod stołem nie było pustem. Nie widziałem, jak dwóch nurka dało.

Pokazało się dopiero w Wiedniu, gdy komisarz krakowski komisarzowi wiedeńskiemu pod liczbą nas oddawał, że braknie dwóch. Liczono nas kilka razy, — zawsze dwóch się nie doliczono. Englisch, który wysoko następnie w hierarchji policyjnej się wzniósł, do śmierci zapewne nie dowiedział się, jakim sposobem w drodze z Krakowa do Wiednia dwóch zgubił aresztantów.

W Wiedniu na dworcu opuścił nas dozór wojskowy. Dostaliśmy się pod dozór wyglądający na usługę: kilku po cywilnemu odzianych jegomości, grzecznych i uprzejmych. Jegomościowie ci, przeprowadziwszy nas szerokiemi, ale pustemi prawie ulicami przez miasto, do ogromnego jakiegoś wprowadzili gmachu. Warta u bramy, ceremonjał, z jakim nas przyjęto, ponowne wreszcie obliczenie poznać nam dały, żeśmy w więzieniu. Z podwórza szerokiemi, czystemi i oświeconemi schodami, szerokiemi, czystemi i oświeconemi korytarzami mimo drzwi pozamykanych prowadzono nas z piętra na piętro. Na jednem z pięter, w drzwiach jednych otwartych, stała na progu młoda, przepiękna kobieta, — może jaka na pokutę wskazana grzesznica — i ciekawie się nam przypatrywała. Na piętrze, nie pamiętam którem, prowadzący nas jegomość otwierał drzwi jedne po drugich i z wyrazem *bitte* wskazywał nam wnijście. Lokowano nas po jednemu w celach więziennych, w celach niepozostawiających nic do życzenia pod względem czystości, wygody i elegancji nawet. Do mojej wszedłem, drzwi

się za mną zamknęły. Znając — z widzenia nb. — tiurmy moskiewskie, apsy tureckie, kurdygarnię lwowską i Telegraf krakowski, patrząc na łóżko z czystą pościelą, na sprzęty (umywalnia, stolik nocny, stół, krzesła, etc.), na czystość podłogi i ścian, ledwiem wierzył, że to więzienie. Cela wyglądała na numer w bardzo starannie utrzymanym hotelu drugiego rzędu.

W celi tej, karmiony dobrze, wyprowadzany na przechadzkę na jeden z dziedzińców wewnętrznych, na którym schodziłem się z towarzyszami podróży przymusowej z Krakowa do Wiednia, dwie noce i dzień jeden spędziłem. Na trzeci dzień w asystencji jednego już tylko urzędnika wyekspedjowany zostałem do Salzburga. Jechało nas pięciu: dwóch Francuzów, Włoch wesoły, Rymtowt i ja. Francuzi byli zamyśleni, Włochowi humor niedopisywał, my dwaj, Polacy nie zdradzaliśmy ani smutku, ani wesela. W Salzburgu asystujący nam, policyjny zapewne, urzędnik wręczył każdemu z nas pakiet, zawierający w sobie zabrane u nas przy aresztowaniu papiery i kosztowności. W pakiecie nazwiskiem mojem paszportowem zaznaczonym znalazłem paszport, zegarek i pugilares z pieniędzmi i z rachunkiem za obiad w Przerowie. Było przytem pokwitowanie gotowe, które podpisałem, i gdym je urzędnikowi wręczył, urzędnik w imieniu *Seine Majestät* wręczył mi guldena. Guldena tego nie wziąłem. Wydało mi się to napiwkiem, w którego przyjęciu przeszkodziła mi ambicja, czy duma, czy pycha — czy ja wiem co.

Podróży z Salzburga do Monachjum nie opłacaliśmy, nie wiem, czyim dalej jechaliśmy kosztem: austrjackim czy bawarskim.

W podróży tej Francuzi, których dotychczas z widzenia tylko znałem, zbliżyli się i o swoich poczęli mówić kłopotach. Byli to z armji francuskiej oficerowie, wzięli w powstaniu udział, dostali się do rąk austrjackich i znajdują się obecnie w kłopocie wielkim, bez grosza przy duszy. Włoch to samo mówił o sobie. Oficerowie rozmowę tę nawiązali celem dowiedzenia się od nas Polaków czegoś dokładnego o polsko-francuskim komitecie, istniejącym jakoby w Monachjum i trudniącym się ułatwianiem podróży powstańcom do Polski i z Polski. Oni o tem słyszeli, myśmy nie słyszeli.

— Jeżeli istnieje komitet podobny — zauważyłem — to jemu zapewne trzeba będzie złożyć dowody.

— Dowody posiadamy — odezwał się jeden z oficerów, i wyjąwszy zzanadrza wręczony mu na granicy przez urzędnika austrjackiego pakiet, pokazał mi urlop z pułku, oraz nominację udzieloną mu przez któregoś z naczelników wojewódzkich w imieniu Rządu Narodowego.

To samo pokazał mi towarzysz jego.

Mówili mi o paru potyczkach, w których udział wzięli, a mówili z akcentem, o prawdziwości wątpić niepozwalającym.

— Nie wiemy, co ze sobą poczniemy, jeżeli w Monachjum żadnej polskiej nie znajdziemy agencji.

Była mowa o agencji przy legacji papieskiej. O tej słyszał Włoch. Ja nic o tem nie słyszałem.

Szczerze mi Francuzów żal było. Miałem przy sobie około 300 złr. Trudno mi było udzielić im coś z tego wobec podróży, jakie mi się w perspektywie przedstawiały; pomyślałem jednak, iżbym im udzielić mógł na podróż do Francji na rachunek Rządu Narodowego. Myśl tę w głowie sobie przerobiłem i tak się do nich odezwałem:

— W Monachjum stanę w najbliższym od dworca kolei hotelu; pójdziecie ze mną panowie i z hotelu udacie się wprost do ambasady francuskiej po informację. Jeżeli agencja polska istnieje, ona wam niezawodnie powrót do Francji ułatwi; w razie przeciwnym poradzimy się; może się znajdzie jaka rada.

W Monachjum wszyscy pięciu poszliśmy do *Reinisches Hof*, tuż naprzeciw dworca; Rymtowt i ja zostaliśmy Francuzi i Włoch z nami się rozstali na godzin parę. Czekaliśmy na nich w sali nadole przy kuflach piwa bawarskiego, któregom jeszcze nie kosztował nigdy w życiu.

Rychlej aniżeli we dwie godziny panowie ci wrócili.

— Cóż agencja polska? — zapytałem.

— Ani w ambasadzie, ani w legacji o agencji polskiej nie wiedziano.

— W razie takim — rzekłem — dam panom na podróż, wy zaś wystawicie mi kwity, które Rządowi Narodowemu przedstawię.

Zażądałem od kelnera papieru, pióra i atramentu, i gdy artykuły te podane zostały, jeden z oficerów, do pisania zasiadając, o nazwisko mnie zapytał.

— Pułkownik Miłkowski — dobitnie odpowiedziałem.

Na te słowa Włoch na miejscu się zwrócił — we drzwi, i znikł. Nie spotkałem go już więcej.

Chłopczysko się zakłamało nie w złej intencji, ale dla dogodzenia wrodzonej potrzebie kłamania, takiej potrzebie, dla której kłamał Karol Radziwiłł, marszałek Szumlański, dla której z prawdą się rozmijali Mierosławski, Michał Czajkowski i wielu, wielu innych. Wypadek ten młodemu Włochowi za naukę może posłużył.

Oficerowie, wydawszy mi kwity, odeszli, ja z Rymtowtem rozjechaliśmy się nazajutrz: on do Szwajcarji, ja do Heidelbergu.

W Heidelbergu przemieszkiwali Aleksandrostwo Potoccy, wujostwo mojej żony. Do nich się udałem, ażeby się o stanie rzeczy dowiedzieć i opłókać się z tego, co do mnie po więzieniach przylgnąć musiało. Nie byłem pewny, czy ich zastanę. W razie gdybym nie zastał, zamierzałem jechać dalej do Paryża. Zastałem ich.

Przyjazd mój do Heidelbergu miał miejsce na dni parę przed Bożem Narodzeniem, 22 lub 23 grudnia. Wspomnienie to ułatwia mi złapanie zgubionego porządku chronologicznego. Aleksandrostwa odszukałem wnet po przybyciu i w pierwszej z nimi rozmowie dowiedziałem się o tem, co mnie obchodziło najbardziej, mianowicie: o obecności w Paryżu wysłańca Rządu Narodowego w zakresie spraw zagranicznych[1] i o obecności tamże Edmunda Różyckiego, będącego w drodze do Konstantynopola. Niezwłocznie do Paryża znać dałem o sobie. W oczekiwaniu na odpowiedź, ulokowałem się na stancji studenckiej, w pobliżu Potockich, z którymi się na ich stołowałem pensji. Na stancji gospodyni nadała mi tytuł barona. Nadaremnie jej perswadowałem, że mi się tytuł ów nie należy. Byłaby mnie tytułowała grafem, gdybym miał prezencję po temu. Podróżnicy nasi przyzwyczaili byli Niemców do uważania każdego Polaka za członka rodu znakomitego. Zachodził przytem ten szczególny ubaronienia mnie powód, żem przez grafa przedstawiony był jako jego *Verwandte*. Bawiło mnie to barońskie. Byłem ci raz wprawdzie hrabią, ale pod nazwiskiem obcem.

W mieszkaniu mojem rzadko przesiadywałem. Służyło mi

---

[1] Był nim W. Przybylski.

ono tylko do spania i pisania. Napisałem do żony, na niej ograniczyła się korespondencja moja. Resztę czasu spędzałem u Potockich, którzy mi mocno do serca przypadli, pani zwłaszcza. Jużem siebie nie miał za literata; wydawało mi się nawet, że literatura obchodzić mnie przestała; obchodziła jednak, jak skoro bowiem pani Klementyna o strunę tę potrąciła, struna literacka odezwała się we mnie. Rozmowy w materji tej z nią były ciągłą analizą literatur: francuskiej, angielskiej, niemieckiej i — rozumie się — polskiej. We francuskiej uwaga skupiała się natenczas na Renanie, którego *Życie Chrystusa*, zdaje się, w Heidelbergu przeczytałem. Renan nietylko czysto literackiego, lecz oraz dużo naukowego materjału opinji publicznej dostarczał. Wogóle strona naukowa, mianowicie socjologiczna, mimo że socjologia jako nauka uprawianą jeszcze nie była, zajmowała czytelników w literaturze nadobnej nawet. *Życie Chrystusa* rozchwytywano. Czytanym był oraz Abbé X., pisujący romanse na tle stosunku duchowieństwa katolickiego do społeczeństwa. W autorze domyślano się księdza. Było o czem z panią Klementyną do mówienia. Co się zaś naszej literatury tyczyło, nie mieliśmy materjału świeżego i przyszłość jej przedstawiała się niepokojąco. Śmierć takich, jak Romanowski, Wasilewski, domyślać się kazały, że podobnej im młodzieży, uzdolnionej do utrzymania ciągłości pracy piśmienniczej, ginie dużo, że zatem rozwój jej dozna przerwy kto wie jak długiej.

— Talenty nowe się nie przejawiły — utrzymywałem.

Pani Klementyna, luboć temu nie przeczyła, liczyła jednak na to, że wielkie wypadki, silne wstrząśnienia, takie, jakiem dla Polski było powstanie, budzą talenty. Dowodziła tego Mickiewiczem, więzień moskiewskich i wojny wychowańcem. Miała przytem pod ręką dowód jeden żywy: młodego człowieka, przebywającego w momencie owym w Heidelbergu, okazującego zdolności poetyczne ogromne.

— Któż to? — zapytałem.

— Niejaki Adam Asnyk.

Asnyka wychwalała bardzo, przypisując mu talent poetycki niepospolity i mówiąc, że się serjo uczy. To ostatnie z uznaniem przyjąłem; co do talentu jednak wyrażałem wątpliwość, po odczytaniu udzielonych mi przez panią Klementynę paru pomniejszych jego utworów. Wydały mi się one

zwykłemi studenckiemi próbami, niedającemi rękojmi na przyszłość. Młody ów człowiek zainteresował mnie jednak dla tego, co o nim Potoccy mówili, nie wspominając o tem, że był moment, w którym należał do składu Rządu Narodowego w Warszawie. Gdybym był o tem wiedział, byłby on mnie zainteresował bardziej jeszcze. Tak zaś — miałem go za wydatniejszego niż inni słuchacza Uniwersytetu Heidelberskiego.

— Czy są jeszcze na uniwersytecie tutejszym i inni Polacy? — zapytałem.

— Jest kilku — odpowiedział p. Aleksander. — Poznasz ich u p. Mieleniewskiej.

Mieleniewska, obywatelka z Ukrainy, zamieszkiwała w Heidelbergu z synem podrostkiem pod pretekstem edukacji dla syna, w istocie dla przeczekania zagranicą huczącej w kraju burzy. Na wieczór wigilijny zaprosiła do siebie całą kolonję polską.

— Ja do niej nie należę — zauważyłem.

— To nic. Mieleniewska wie już o tobie i poleciła mi prosić ciebie.

O Mieleniewskich słyszałem jako o ludziach bogatych i jednego nawet poznałem w Paryżu, zawziętego turystę, który objechał Niemcy, Szwajcarję, Włochy, zwiedzał zamki, muzea, bywał w parlamentach na obradach i miał do opowiadania rzeczy ciekawe. Sztukę stenografowania np. w ten tłumaczył sposób, że stenografów jest tylu, ile liter w alfabecie, każdy od innej litery, — każdy, słuchając mówcy, swoją notuje, jeden z nich z liter pojedynczych składa wyrazy i wnet je do drukarni posyła. W Paryżu śniadania i obiady spożywał w rozmaitych restauracjach, jadając w każdej jedną potrawę, stanowiącą specjalność jadłodajni; kolekcjonował przytem afisze i czytał utwory Dumasa. Była to osobistość w rodzaju swoim ciekawa. Nazwisko jej zaciekawiło mnie do pani Mieleniewskiej.

Nie urządziła ona wigilji z opłatkiem, z rybami, z kutją. Zastąpiła ją zwyczajna z ciastami cukiernianemi herbata. W salonie, oprócz gospodyni i jej syna, Potockich i mnie, znalazło się kilku ludzi młodych: Hauke (bratanek czy brat stryjeczny Bosaka), Iwanowski czy Iwański, podległy chorobie nerwowej, paru innych, których nazwiska zapomniałem, i Asnyk, słuszny, chudy o wydatnym nosie młodzieniec.

Asnyk w r. 1863 liczył lat 25. Wydał mi się dużo młodszym; nie przypuszczałem, ażeby miał natenczas lat więcej nad 20, w pamięci pod postacią ośmnasto-dziewiętnastoletniego młodzika stał mi póty, póki do wiadomości mojej dokładna urodzenia jego nie doszła data; póty też jego w Rządzie Narodowym uczestnictwo wyglądało mi na przypadkowy zbiegu okoliczności zwrot. Bądźcobądź śród ludzi, co się przez Rząd Narodowy przesunęli, był on jednym z najmłodszych. Na stanowisku tem, na którem krótko zresztą stał, nie zaznaczył się niczem, coby nazwisko jego na dziejowej zapisało karcie. Nieświadomość moją w czasie pobytu mego w Heidelbergu o roli politycznej, jaką odegrał, przypisuję jemu samemu. Jest to domysł *a posteriori*. Zobowiązał zapewne Potockich, ażeby mi o tem nie wspominali, i ja, spotkawszy się z nim w salonie pani Mieleniewskiej, patrzałem na niego, jak się patrzy na obiecującego chłopaka. W mniemaniu tem utwierdzał mnie wygląd jego. Na obliczu zarostu ani śladu, golił może brodę i wąsy, które mu później tak obficie zarosły. Zauważyłem jeno właściwe mu i do starości dochowane, charakterystyczne głową zgóry nadół ruchy, oryginalne gesty i piersiowy sposób mówienia, wychodzącego z ust, jakby gdzieś wgłębi pedał je przyciskał.

Zauważyłem to, gdy rozmowa, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, zeszła wprędce, dzięki kierującemu nią p. Aleksandrowi, na Słowackiego. Byłem już autora *Beniowskiego* wielbicielem, z zajęciem przeto słuchałem wyrazów uwielbienia z ust młodego człowieka, motywującego wypowiadane zdania. Dyskusja głównie pomiędzy nim a p. Aleksandrem się toczyła. Inni zrzadka po słów parę wtrącali. Pani Klementyna wcale się nie odzywała. Siedząca obok niej na kanapie przed zastawionym stołem gospodyni domu, wyprostowana, sztywna, martwemi przed się spoglądała oczami. Rozmowa się leniwie toczyła i ustała, gdy Potocki wyzwał Asnyka, ażeby, dla poparcia opinji przykładem, wygłosił jaki Słowackiego utwór. Asnyk powoli wgłębi salonu z siedzenia się podniósł, powoli do stołu podszedł, stanął i zaczął:

Grób Agamemnona.

Cudny ten poemat na pamięć umiałem. W uszach mi dzwoniły mistrzowska Zygmunta Sarneckiego i głęboka Kornela Ujejskiego deklamacja.

Asnyk oddeklamował gorzej aniżeli źle, bo śmiesznie. Wymowa, podnoszenie głosu w miejscach nieodpowiednich, obniżanie go, gdzie pełnią całą brzmieć powinien, intonacja niewłaściwa, gestykulacja niemożliwa, karykaturowały to arcydzieło.

— Co to znaczy? — zapytałem sam siebie.

Powiodłem okiem po słuchaczach. Pani Mieleniewska siedziała wyprostowana, sztywna, w mumję niby zmieniona; pani Potocka głowę pod stół schowała; pan Aleksander serwetę gryzł; za nim pod ścianą siedzący Iwanowski czy Iwański, tykiem nerwowym dotknięty, na krześle się rzucał, czoło marszczył, oczy w słup stawiał i szczękę dolną z wysiłkiem w jedną i w drugą wykrzywiał stronę. Wobec widowiska podobnego po raz pierwszy w życiu się znalazłem. Zdziwiło mnie ono i, o ile zdziwiło, o tyle zgorszyło.

— Co to znaczy? — zapytałem Potockich, gdym się sam z nimi znalazł. — Wasz Asnyk Słowackiego zgoła nie rozumie.

— Rozumie on go lepiej niż ktokolwiek — odpowiedziało mi jedno z nich. Utwory kompozytorów muzycznych zachwycają, gdy je nie oni sami, lecz biegli egzekutorowie wykonywują. Szekspir i Molière miernymi byli aktorami. Koncertowanie, deklamowanie są to sztuki odtwórcze, rzadko chodzące w parze z twórczością autorską. Często autor dzieła własnego odczytać, jak należy, nie umie. Zobaczysz, co z Asnyka będzie.

Zobaczyłem, ale daleko później. Nie przekonała mnie pani Klementyna, przysławszy mi po upływie lat kilku kilkanaście młodego poety utworów. Spoczywają one u mnie w stosie listów z lat kilkudziesięciu; odszukam je może, gdy kiedy do porządku korespondencję doprowadzić zdołam. W Heidelbergu czas mi przekonać się do Asnyka nie pozwolił. Spotkałem się z nim raz jeszcze, nazajutrz po wieczorku u p. Mieleniewskiej, i na drugi dzień świąt już mnie w Heidelbergu nie było. Otrzymałem wezwanie do Paryża.

W Paryżu stanąłem w hotelu (nazwy nie pomnę) tym samym, co Różycki. Z Różyckim przyjechał Leon Czekoński bez innego, tylko dla widzenia Paryża, interesu. Komisarza pełnomocnego do spraw zagranicznych poznałem w osobie Wacława Przybylskiego. Obok nich zastałem sporo innych, przybyłych za interesem jakimś specjalnym i bez żadnego interesu, których pobyt w stolicy Francji zwiastował początek końca, — końca

smutnego, ale przez nas, wplecionych w akcję, niewidzianego jeszcze. Czuliśmy tylko, że sami nie podołamy. Czucie to jednak neutralizowała w nas Europa, w sympatjach dla sprawy polskiej niestygnąca i nasuwająca nam czynności, nadające się do wyzyskania sympatyj owych na rzecz Polski.

Sympatje się w oczy rzucały. W stolicy Francji spotykało się z niemi na każdym niemal kroku, wszędzie, we wszystkich społeczeństwa sferach i warstwach, oficjalnych i nieoficjalnych. Cesarz stał po stronie naszej, a rzecznikiem jego był książę Napoleon Hieronim, Plon-Plonem przezwany. Prasa tak rządowa, jakoteż opozycyjna jednogłośnie za nami się oświadczała. Imperjaliści, rojaliści dwóch rodzajów, republikanie nie różnili się w poglądzie na prawa i krzywdy Polski; z nimi szło duchowieństwo, ulegające nietylko nastrojowi ogólnemu w kraju, ale i impulsowi z Rzymu, ze Stolicy Apostolskiej, której przewodniczył Pius IX, gorąco sprawę polską popierający. Słowem, we Francji nie było w odniesieniu do Polski dwóch opinij, i tylko w zawieszeniu niejako pozostawał moment, uznany przez rząd za dogodny do upomnienia się o nas na drodze nie dyplomatycznej już, lecz faktycznej, tonem bądźto zapożyczonym u kongresu wiedeńskiego r. 1815, czegośmy nie życzyli sobie, bądź też tym, którym Francja przemawiała w interesie ojczyzny naszej w czasach Ludwika XV, wielkiej rewolucji i Napoleona I.

Nie przystępowałem do wielkiego ołtarza. Przybylski proponował mi, ażebym poszedł z nim do księcia Napoleona, który — jak powiadał — wie o zwycięstwie nad Rumunami i rad temu będzie, gdy się jemu przedstawię.

— Ij... nie — odpowiedziałem.

Nie przystępowałem więc do wielkiego ołtarza, do którego, gdybym zechciał, byłby mnie podprowadził Gałęzowski, Ordęga, książę Czartoryski nawet. Alem ich o to nie prosił. Ks. Czartoryskiego nie widziałem wcale, oddałem się na rozkazy Rządu Narodowego i o rzeczach najbliżej mnie obchodzących sądziłem z widzenia i słyszenia tego, co mi się na oczy nasuwało i w uszy wlewało.

Com widział, o tem da wyobrażenie odczyt, jeden z serji odczytów, urządzonych na rzecz rannych powstańców polskich. Wygłosił go Saint-Marc-Girardin, profesor Sorbony. Na odczyty te docisnąć się bardzo było trudno. Udało mi się w bilet zao-

patrzyć zawczasu, poszedłem i dochodząc, na jaki od drzwi wchodowych kilometr, przechodziłem mimo stojących na trotuarze parami ludzi. Było ich, lekko licząc, dziesięć tysięcy przynajmniej. Zajmowali ulice jedną, drugą, trzecią, tworząc t. zw. ogon (*queue*), oczekujący na kolej wejścia do sali odczytowej. W sali dziesiąta ich część zmieścićby się nie mogła, tem bardziej że z przeciwnej strony takiż sam i w trzecim jeszcze kierunku również taki olbrzymi ciągnął się ogon. Stojący na trotuarach wiedzieli, że się nie dostaną i prelegenta słyszeć nie będą. Stali jednak godzinami całemi, nie dla odczytu, lecz dla zamanifestowania spółczucia dla Polski. W sali panował ścisk straszliwy. Na każdą do sprawy polskiej aluzję prelegenta odpowiadały gmachem wstrząsające okrzyki: *vive la Pologne*!

Widząc to i słysząc, za rzecz zbyteczną uważałem osobiste wysokie stanowiska zajmującym mężom osoby mojej prezentowanie. Do układania się z nimi byli inni, upoważnieni. Gdybym ja był upoważniony, gdybym był we względzie tym otrzymał rozkaz, lub gdyby zbieg okoliczności tego wymagał, jak się przedstawiłem Kuzie i Fuadowi-paszy, taksamo bez wahania zakołatałbym do drzwi książąt, ministrów, samego cesarza, idąc w tem za przykładem Mazziniego, który się pod osłoną tajemnicy widział z Napoleonem III i tylnemi drzwiami wchodził do podpisanego na wyroku śmierci na niego Wiktora Emanuela. Lecz mnie nic nie zmuszało, instancją bowiem, z którą wyłącznie do czynienia miałem, był Wacław Przybylski.

— Otom jest — przedstawiłem się mu.

— Szwecja — odpowiedział mi.

Wysłania mnie do Szwecji Rząd Narodowy trzymał się stale. Dowiedziawszy się o przyaresztowaniu mnie we Lwowie, w przypuszczeniu, iż internowanym będę w jednej z czeskich lub morawskich twierdz, polecił organizacji galicyjskiej ułatwienie mi ucieczki. Wydobycie się moje z rąk austrjackich nastąpiło prędzej, niż się spodziewać było można, dlatego Przybylski nie przywiózł ze sobą z Warszawy ani instrukcyj, ani kredytywy, ani pieniędzy dla mnie. Wszystko to jednak nie da na siebie czekać długo, parę jakich tygodni, trzeba bowiem z Rządem Narodowym skomunikować się za pośrednictwem gońca, który pojechać i wrócić musi.

— Ale to i dobrze — tłumaczył Przybylski — czasu nie

stracisz, potrzebujesz bowiem poznać grunt, na którym masz działać, pobrać informacje o stanie rzeczy, o stosunkach, o ludziach, z którymi będziesz miał do czynienia. Co do tego, trzy wskażę ci źródła: książki, Demontowicza i hotel Lambert. O książki postaraj się sam; z Demontowiczem ciebie zaznajomię; hotel Lambert posiada sprawozdania Konstantego Czartoryskiego, albo raczej Kalinki, z czasu kiedy panowie ci pod pozorem naukowym polityczną do Szwecji odbyli podróż [1].

Zauważyłem, że to trzecie źródło jest mi nieprzystępne.

— Wiem o tem, wiem — odparł Przybylski. — Czartoryszczyzna nie może ci *Udziału Polaków w wojnie wschodniej* zapomnieć. Toteż wydobycie dokumentów tych biorę na siebie, przyniosę ci je do hotelu. Nie wątpię jednak, że, gdybyś się do hotelu Lambert zgłosił, przyjętoby cię uprzejmie i z całym należnym ci szacunkiem.

— Zgłosiłbym się, gdyby zachodziła konieczność; ponieważ jednak nie zachodzi i poza nią nic mnie nie ciągnie...

— Więc tak: dokumenty ci przyniosę — podchwycił Przybylski.

Jakoż nazajutrz, czy w dni parę później, przyniósł duży, starannie obwinięty plik, w którym nie znalazłem nic, coby mi się przydać mogło, coby się stosunków politycznych tyczyło. Jedyne sprawozdanie, jakie znalazłem, odnosiło się do wojennej floty duńskiej: było ono szczegółowem, zawierało wykaz poimienny statków, rodzaje ich, siłę, pojemność, wszystkie szczegóły, mogące przydać się w takim tylko razie, gdyby Polska negocjowała z Danją zaczepno-odporne przymierze, — z Danją, mającą w momencie owym zawieszony nad głową swoją miecz Damoklesa: zbierała się nad nią burza wojenna. Zresztą w pliku zawierały się ogłoszenia rozmaite, programy koncertów, przedstawień teatralnych, odczytów, zaproszenia, wezwania, afisze — tych ostatnich najwięcej. Przeszukując to źródło pilnie, natrafiłem na niespodziankę, niemającą najmniejszej z zadaniem mojem w Szwecji styczności. Urzędnik — jak się domyślać należy — hotelu Lambert, któremu poruczonem było ułożenie pliku dla mnie, wsunął, czyto przez życzliwość względem osoby

---

[1] Ks. Konstanty Czartoryski i W. Kalinka byli w r. 1863 urzędowymi przedstawicielami Rządu Narodowego w Szwecji.

mojej, czy też przez złośliwość, kilka Władysława Jordana z Konstantynopola listów, datowanych z czasów wyprawy tulczańskiej. Wszystkie były o mnie. W jednym przedstawiony byłem jako były z wojny węgierskiej podoficer niskiej kultury umysłowej. Inny wzywał ks. Władysława Czartoryskiego, ażeby w charakterze głównego agenta politycznego polskiego wymógł na Rządzie Narodowym głośne dla przykładu destytuowanie mnie [1]. Inny znów, pisany w czasie, kiedym po bytności u Fuad-paszy do Paryża się wybierał, zawiadamiał o udzielonej mi na moje żądanie (co było nieprawdą) audjencji u wielkiego wezyra i ostrzegał, ażeby się na ostrożności wobec mnie miano, jestem bowiem bardzo przebiegłym i zręcznym w wyprowadzaniu ludzi w pole. Listy te — rozumie się — przeczytałem, dałem je do czytania Przybylskiemu, do pliku napowrót włożyłem i plik oddałem, wynotowawszy sobie jeno dla wiadomości własnej szczegóły o flocie duńskiej.

Zwróciłem się do drugiego źródła: do Demontowicza, byłego agenta Rządu Narodowego w Sztokholmie, usuniętego z tego stanowiska spowodu chybionej wyprawy Łapińskiego. Przybylski wyrażał się o nim niekoniecznie pochlebnie, czyniąc mu zarzuty, których nie poszczególniał. Zabrałem z nim znajomość w kawiarni przy bulwarach za pośrednictwem Włodzimierza Milowicza. Przy tej sposobności poznałem siedzącego razem z Demontowiczem przy stoliku Włodzimierza Wolskiego, poetę, autora *Ojca Hilarego*, libretta do *Halki* Moniuszki i wielu innych wierszem i prozą utworów. Ten ostatni wygląd miał marny: chudy, policzki zapadłe, oczy niby przyćmione, na nosie przebijający się kolor fioletowy, niezbyt dobrze o wstręcie do trunków świadczący. Przeciwnie towarzysz jego, przysadkowaty, zawiesistym czarnym przyozdobiony wąsem, spod dużych czarnych brwi ostro i wyzywająco na świat patrzący, przedstawiał obraz sił i zdrowia. Demontowicz, uprzedzony o powodach, dla których znajomości z nim szukać będę, postawił się względem mnie jak człowiek, co się droży, tak mniejwięcej jak lichwiarz, trochę zgóry petenta traktujący. Zaczepiłem go o skazówki w Skandynawji:

---

[1] Czy pomiędzy tem wezwaniem a wysłaniem Lewakowskiego do Tulczy nie zachodził związek jaki? (Nota T. T. Jeża).

— A dobrze, dobrze, tak... Tylko są skazówki i skazówki...

— Polityczne — rzekłem.

— Polityczne... hm? Wiem ja, o co pułkownikowi chodzi. Wspomniałem coś o Rządzie Narodowym.

— Rząd Narodowy... o! Rząd Narodowy...

W intonacji głosu, nacechowanej zlekka lekceważeniem, gdy te wymawiał wyrazy, czuć się dawała do Rządu Narodowego pretensja.

Poznałem to i do tegom się stosownie nastroił.

Umówiliśmy się o schadzkę nazajutrz w mieszkaniu jego, o schadzkę we cztery oczy.

Nazajutrz rano stawiłem się na miejscu schadzki. Zastałem Demontowicza czekającego na mnie. W pokoju, w którymeśmy się we cztery oczy rozmówić mieli, ujrzałem na kanapie kogoś leżącego, parą paletotów przykrytego. Zastanowiło mnie to.

— Niech pułkownik nie zważa na to. To Wolski... Śpi jak zabity: możemy mówić swobodnie.

Zasiedliśmy do rozmowy. Uprzedzonym będąc, starałem się w Demontowiczu ufność do siebie wzbudzić i, zdaje się, dokazałem tego, pomimo że wstępne do skazówek Demontowicza słowo brzmiało, jak następuje:

— Co się skazówek tyczy, Rząd Narodowy jest sobie Rządem Narodowym, ja jestem ja — stuknął sobie palcem w piersi. — Człowiek powinien i musi myśleć przedewszystkiem o sobie. *Prima charitas ab ego.* W Danji, w Szwecji pozawiązywałem stosunki osobiste... te zgóry na stronę usuwam.

— I ja usuwam — rzekłem, pomyślawszy sobie: „takiś kolego!“ — O osobiste stosunki pańskie mnie zgoła nie chodzi.

— Nie pozwolę w nie wglądać nikomu — podniesionym odezwał się głosem, z akcentem rozdrażnienia. — Wara!

— Słusznie — odparłem.

— Otóż to. A więc... — zaczął po chwili, uspokoiwszy się.

Zawiązała się rozmowa, wyprowadzona z punktu usposobienia opinji publicznej w świecie skandynawskim w odniesieniu do sprawy polskiej, i gdy z punktu ogólnikowego przeszła do szczegółów, Demontowicz podawał mi nazwiska ludzi, nazwy stowarzyszeń, tytuły dzienników sprawie polskiej przychylnych i nieprzychylnych, jakoteż nazwy miejscowości, w których się

ruch w taki lub inny manifestował sposób. Skazówki te notowałem w kalpenie[1]. Wyczerpawszy materjał skazówkowy, Demontowicz, pod wpływem zapewne zapytań i wtrącanych od czasu do czasu uwag moich, rozochocił się i rozgadał. Opowiadał o zwyczajach, o gościnności szwedzkiej, o królu, chodzącym po ulicy jak zwyczajny śmiertelnik, zatrzymującym znajomego mu przechodnia, biorącym go za guzik, rozmawiającym z nim godzinę niekiedy i wkońcu prowadzącym go do cukierni na poncz. Przeciągnęła się rozmowa nasza godzin dwie blisko. Wyszedłem zaopatrzony w skazówki wstępne, pouczające mnie, gdzie kogo szukać i jak z kim mówić. Z dwugodzinnej tej rozmowy, mimo jakieś nieokreślone Demontowicza do Rządu Narodowego pretensje, wyniosłem korzyści więcej, aniżeli z kilkodniowego studjowania udzielonych przez hotel Lambert dokumentów (?).

W ciągu rozmowy rzucałem niekiedy okiem na Wolskiego. Spał wciąż. Później, nie przypominam sobie od kogo, dowiedziałem się, że sen jego był udanym. Słyszał wszystko; powiadał, żem Demontowicza skutecznie za język ciągnął i nazywał mnie: „jezuitą przy ostrogach“. Czyż doprawdy posiadałem — bo dziś już chyba nie posiadam — przypisywane mi przez W. Jordana przebiegłość i zręczność? Nie poczuwałem się jednak do talentów dyplomatycznych, na co dowód w tem, żem się nie garnął do wielkich ołtarzów. Gdybym się do talentów tych poczuwał, byłbym, przez ciekawość bodaj, jakie też dyplomaci miny stroją, do Hotelu Lambert poszedł, byłbym księciu Napoleonowi w osobie mojej „zwycięzcę spod Kostangalji“ pokazał, byłbym tylnemi drzwiami do samego cesarza, tytułem człowieka, co z naczelnikami państw konfidencjonalnie gadał, dotarł. Nie, chyba — nie! na dyplomatęm ja się nie nadawał, luboć parę jeszcze razy o dyplomację się otarłem. Ale o tem potem.

Trzecie do studjowania Skandynawji źródło zawierały w sobie przystępne dla mnie francuskie, angielskie i niemieckie książki i broszury o Szwecji i Danji traktujące. Otoczyłem się niemi i rozczytywałem w nich, posiłkując się w razach wątpliwych materjałami, znajdującemi się w Bibliothèque Nationale. Opanowywałem powoli przedmiot, w oczekiwaniu na przeciąga-

---

[1] Notatnik, z francuskiego.

jący się z tygodnia na tydzień powrót gońca z Warszawy. Czas mi się nie dłużył, dzięki zajęciu i rozrywkom, jakoteż zabieraniu niemal że nie codzień znajomości nowych.

Co się znajomości nowych tyczy, jedna mi na sumieniu niejako ciąży, spowodu że, pamiętając szczegóły, uprzytomnić sobie w pamięci nie mogę momentu, w którym zeszedłem się z Romualdem Trauguttem. Było li to w czasie krótkiego mego pobytu w Paryżu, kiedym po wyprawie tulczańskiej w r. 1863 wracał, czy też w r. 1864, po przyjeździe z Heidelbergu? Spędziliśmy ze sobą godzin kilka; razem jedliśmy śniadanie; mówiliśmy o powstaniu, o szansach tej walki bezbronnej i bezpieniężnej z naszej strony, najwięcej atoli o politycznych na wschodzie stosunkach, o stosunkach w południowej Słowiańszczyźnie, w Rumunji i na Węgrzech, o ich ze sprawą polską związku. Mówiliśmy ze sobą w materji tej dużo, a zapytania i uwagi jego uderzały mnie trafnością, świadczącą o rozległem wykształceniu umysłowem. Dziś poznaję, że się on u mnie informował; wówczas nie domyślałem się roli, jaką następnie odegrał. Chyba to jednak działo się w r. 1863, przy końcu sierpnia lub na początku września. Pamięć wysilam nadaremnie: uprzytomnić sobie tego momentu nie jestem w stanie. Bo też brałem Traugutta za rodzaj oficera na urlopie, bawiącego się zagranicą w turystę, zbierającego wiadomości dla zbogacenia umysłu. Zrobił na mnie wrażenie dobre, jakie robi osobnik wyższe zdradzający wykształcenie. Z tego go tylko zapamiętałem.

Przeniosłem się z hotelu do t. zw. *pension bourgeoise*, do apartamentu zajmowanego przez Przybylskiego, który wyjechał do Włoch. Wyjechał oraz Różycki do Konstantynopola i Czekoński do Galicji. Ten ostatni sprawiał w Paryżu wrażenie. Ulicznicy biegali za nim, wykrzykując: *ambassadeur persan!* Postawa jego, huńka powstańcza, spodnie w cholewach, śpiczasta czapka barania i fajeczka kozacza na wygiętym cybuszku zwracały na niego uwagę.

Nim Różycki wyjechał, byłem z przyległego pokoju świadkiem gwarnej rozmowy, w której prym trzymał Mierosławski, sprowadzony przez przybyłego w kilka dni po mnie do Paryża Aleksandra Potockiego celem wypośredniczenia porozumienia pomiędzy nim a Różyckim. Mierosławski, z zawziętością lepszej godną sprawy, domagał się wówczas dyktatury za pośred-

nictwem gazet i pamfletów, w których Rząd Narodowy i organizacje we właściwy sobie po polsku i po francusku szkalował sposób. Chodziło o zapobieżenie wynikającemu stąd zgorszeniu. Podjął się tego Potocki, korzystając z pobytu w stolicy Francji Różyckiego, sprowadził dwóch wodzów naczelnych i... nic nie wskórał. Mierosławski gadał, gadał; odpowiadał mu Potocki; odzywał się od czasu do czasu Czekoński; Różycki zaledwie niekiedy słów kilka wtrącał. Dla mnie w numerze przyległym był to rodzaj *potpourri* gadanego, nieodczuwanego i nierozumianego. Z doświadczenia osobistego wiedziałem, że porozumienie się z Mierosławskim jest rzeczą absolutnie niemożliwą, i dlatego w tej konferencji udziału nie wziąłem. Gdy się zakończyła, wszedłem i rzekłem:

— Nagadaliście się.

Różycki ramionami wzruszył, a Potocki czy Czekoński odezwał się:

— Słyszałeś...

— Nie słyszałem — odparłem — bom nie słuchał...

W rzeczy samej nie słuchałem.

Różycki wkrótce potem wyjechał; ja na inne przeniosłem się mieszkanie, w którem miałem stancję i stół. Do stołu zasiadało osób ze dwadzieścia, śród nich z Polaków ja jeden. W tej *pension bourgeoise* pędziłem żywot dosyć pracowity, studjując grunt skandynawski w oczekiwaniu na specjalnie dla mnie przybyć mającego wysłańca z Warszawy. Urozmaicenie żywota stanowiły stosunki z osobistościami, częścią dawniej mnie znanemi, w części nowo poznawanemi.

Spotykałem się tu i ówdzie z towiańczykami: z Bońkowskim, z Rettlem. Rettel Leonard, belwederczyk, pisujący do *Gazety Warszawskiej* opracowania na tle literackiem pod pseudonymem Zamostowskiego, czuł do mnie pociąg sympatyczny, w czem się mu wywzajemniałem, i pociąg ów w ten wyrażał sposób, iż uważał mnie za godnego figurować w szeregach towianizmu. Zaczepiał mnie o to nieraz, zawszem mu odpowiadał: „Nie rozumiem“.

— Et... wykręcasz się — rzekł raz do mnie. — Będziesz jutro rano w domu?

— Będę — odrzekłem. — Albo co?

— Przyjdę do ciebie i wyłożę ci naukę.

— Dobrze.

Tegoż dnia, zeszedłszy się z Potockim, powiedziałem mu, że Rettel naukę wykładać mi będzie.

— Nie mógłbym wykładu tego posłuchać? — podchwycił Potocki.

— Przyjdź, może cię Rettel za godnego uzna.

Rettel, człowiek rozumny, autor studjum historycznego: *Cyryl i Metody* [1], niepospolity literatury powszechnej wogóle, w szczególności hiszpańskiej znawca, miłym był gawędziarzem. Odpowiadała temu powierzchowność jego. Niewieliczki, pękaty, o czerwonej, oświetlonej małemi, świdrującemi oczkami i obramowanej kasztanowym, trochę rudawym zarostem twarzy, umiał myśli głębsze pokostować dowcipem, trafnie stosowanym. Miło się z nim spędzało chwile. Rad więc byłem jego wizycie, tem bardziej że łączyła się z nią zapowiedź wykładu o doktrynie przez jednego z najświatlejszych jej wyznawców.

Potocki nadszedł pierwszy; wkrótce po nim zjawił się Rettel.

— Zamiast jednego, masz dwóch katechumenów — rzekłem, przedstawiając mu Potockiego. — Nawracaj...

Uśmiechnął się; zukosa okiem przedstawionego zmierzył; snadź pańska tego katechumena postawa dobre na nim sprawiła wrażenie, bo znów się uśmiechnął i odrzekł:

— Dobrze... dobrze, i owszem. „Gdzie się zbierze was trzech, tam i ja jestem pomiędzy wami“.

— *Omne trinum perfectum* — wtrącił Aleksander.

— Prawda, wielka prawda, szczególnie kiedy idzie o rzeczy proste, takie proste, jaką jest nauka Towiańskiego. Gdyby ją był Towiański zachował w sobie, byłaby zaginęła; oddał ją gromadzie i szerzy się. *Omne trinum perfectum* — doskonale, trafnie, świetnie, rozumnieś się pan wyraził. Na gromadę schodzi duch, schodzi zgóry, nie zdołu, i dlatego rzecz cała, mądrość cała polega na podnoszeniu ducha. To takie proste. Wyobraźmy sobie konia zgłodniałego, postawionego przed żłobem pustym i drabiną pełną. W żłobie niema obroku, za drabiną jest siano, ale po siano łeb podnieść trzeba. Gdyby koń łba nie podniósł,

---

[1] Rettel L., *Cyryl i Metody*. Streszczenie najnowszych poszukiwań, Paryż 1871, str. 216.

z głoduby zdechł. Na podniesieniu ducha rzecz cała polega. Czy jest co do zrozumienia łatwiejszego? Co zgóry idzie, do tego podnieść się należy.

Takim, wiernym co do treści, luboć nie dosłownie powtórzonym, był punkt wyjścia wykładu Rettla. Ciągnął się on zgórą godzinę i obracał około podniesienia ducha. Podniesienie ducha i podniesienie ducha. Więcej nic. Rettel się niekiedy unosił zapałem, niekiedy się rozrzewniał, tak że mu łzy w oczach stawały; posługiwał się porównaniami, jak to o koniu, które zapamiętałem, jakoteż przypowieściami, wzorowanemi wedle przypowieści ewangelicznych, i mówił, mówił. Potocki mu niekiedy zapytaniami i uwagami przerywał, ja słówka nie pisnąłem. Rettel, Potockiemu odpowiadając, nie omieszkiwał słowom jego wysokie nadawać znaczenie, własnemi zaś słowami przejmował się corazto mocniej, tak że wkońcu głęboko wzruszony, doprowadzony do wybuchu jakiegoś, płaczu może, zamilkł, z głębi piersi odetchnął, coś dalej chciał mówić, lecz, jakby się zmiarkował, że wybuchu nie przemoże, ręką machnął i:

— A! Bądźcie zdrowi — rzekł i pospiesznie wyszedł.

— Zrozumiałeś co? — zapytał mnie po wyjściu Rettla Potocki.

— Nie — odrzekłem.

— Bo i ja nie.

Doktryna towiańszczyzny, jak wszelakie metafizyczne doktryny, nie była do zrozumienia i tem od innych niżej stała, że nie wydała żadnego Boehme ani St. Martina, coby ją sformułować umiał, żadnego Wrońskiego ani Comte'a, którzyby dla niej naukowy wynaleźli punkt wyjścia. Punktu tego nie posiadała i błąkała się, wciągając w siebie różne z rozmaitych teozoficznych systemów poglądy i wierzenia, działające przeważnie na wyobraźnię. Znajdowały się w niej w zgodnym sprzężeniu metampsychoza i mesjanizm, ten ostatni skojarzony z katolicyzmem, podszytym herezją, bo domagającym się umoralnienia, t. j. reformy, Kościoła. Mickiewicz w r. 1848 pojechał do Rzymu celem nawrócenia papieża. Że w tym ruchu, któremu towianizm narodziny swoje zawdzięcza, a który sam wykwitł z posiewu mistycznego, tkwił pierwiastek moralny, to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Niesformułowana jednak doktryna nie zdefinjowała moralności i nie wytknęła jej celu. Podniesienie

ducha miało temu zaradzić. U wyznawców towiańszczyzny duch się podnosił, ale niejednakowo: u jednych patrjotycznie, u drugich kosmopolitycznie, u niektórych ku wyżynom tronu carskiego. To ostatnie w oczach emigracji polskiej skompromitowało doszczętnie niemającą i bez tego miru towiańszczyznę. W epoce powstania styczniowego już ona jednem tylko biła skrzydłem. Taki jej gorący wyznawca i człowiek światły, jakim był Rettel, nie był już w stanie na ponętę ducha łowić adherentów.

Zaznaczyć muszę sposób łowienia. Przy wykładzie Rettla ja się nie odzywałem; odzywał się Potocki i cokolwiek powiedział, wszystko Rettel uznawał prawdziwem, świetnem, znakomitem, rozumnem. Taką była „braci“ metoda. Stosował ją do mnie Bońkowski; poznałem się na niej. Służyła ona skutecznie za samotrzask, na kobiety zwłaszcza. Łechtanie miłości własnej jest lepem, na który się ludzie biorą.

Spotkałem się z Rettlem jeszcze razy parę; o towianizmie już jednak mowy nie było.

Odwiedzałem Zaleskich, Bohdana i Józefa, którzy się z Fontainebleau do Paryża sprowadzili i na Batignollach zamieszkali. Józefa, ojca mego kolegę wojskowego, ciężko znalazłem chorego. Za trzecią czy czwartą bytnością moją nadszedłem po przyjęciu przezeń święcenia na drogę wieczności. Mówił jeszcze — mówił o powstaniu, błogosławił mnie, zaklinał tylko:

— Nie mordujcie! nie mordujcie!

Tyczyło się to mordowania szpiegów i odnosiło do zorganizowania „żandarmerji narodowej“, znanej pod nazwą „żandarmów wieszających“. Niewszystkim się ona podobała; do liczby tych niewszystkich należałem ja. W mniemaniu mojem był to środek bezcelowy i nadużycia wywołujący.

Józefa Zaleskiego więcej już nie widziałem. Umarł w chwilę po odejściu mojem. Poszedłem na jego pogrzeb. Śmierć Zaleskiego mocno mnie dotknęła, nietylko dla łączących mnie z nim stosunków, ale i dlatego, że był to jeden z tych ludzi, przed którymi się czoła z czcią same chylą. Jeżeli dla dusz ludzkich istnieje życie zaziemskie i w niem spotykają je kary i nadgrody, to duszę jego z pewnością najwyższa spotkała nadgroda.

Do liczby znajomości nowych, jakie w czasie owym za-

brałem, przypominam sobie dwie zwłaszcza: Józefa Narzymskiego i panią Sewerynę Pruszak.

O Narzymskim, który wkrótce później jako pisarz dramatyczny świetnie zasłynął i wprędce zgasł, niewiele mam do powiedzenia. Znajomość z nim była przelotna. Sprowadził nas Włodzimierz Milowicz. Zeszedłem się z nim razy parę. Zafrapował mnie skrajnością przekonań, które następnie w utworach jego mocno stępione wykazały kanty.

Pani Pruszak wezwała mnie do siebie w interesie. Interes na tem polegał, ażebym u Rządu Narodowego wyjednał dla Duchińskiego zasiłek pieniężny na spłacenie długów i wydanie drukiem prac jego.

— Pani! — odrzekłem — Rząd Narodowy tego zrobić nie może dla tej prostej przyczyny, że pieniędzy na prowadzenie wojny nie ma.

— Duchiński walczy o Polskę, należy się mu pomoc.

— Rodzaj walki, którą on toczy, zeszedł się z rodzajem, wymagającym w tym momencie całego środków pieniężnych wytężenia. W chwili obecnej karabin więcej znaczy niż książka.

Pani Pruszak zrozumiała to, uznała i sama zaradziła: nietylko popłaciła Duchińskiego długi, lecz obezpieczyła mu przyszłość, wydając się za niego. „Pani Seweryna, to dla mnie nagroda narodowa“ — powiadał Duchiński, mężem poetki zostawszy. Słusznie. Nagrody podobnej Mickiewicza panna Ankwicz, Słowackiego panna Wodzińska godnemi nie uznały. Powszechną jest opinja, że poezja u płci pięknej popłaca. Popłaca — zapewne — nie do tego jednak stopnia, ażeby poetom oddawać i serce i posag. Pani Pruszak sama była poetką, dlatego też — przypuszczać należy — osobą swoją i majątkiem wynadgrodziła uczonego... fantazjującego na polu etnografji.

Raz jeden w czasie owym byłem u niej i nie spotykałem się z nią w mających *jours fixes* domach polskich, dla tej prostej przyczyny, że na wieczorach nie bywałem.

Wieczór jeden spędziłem w teatrze, na operze, dla usłyszenia w *Traviacie* młodziutkiej natenczas, a już sławnej Patti. Zachwyciła mnie, nie tak atoli dalece, ażeby po raz drugi na operę pociągnęła. Czasu mi na to brakło; więcej aniżeli teatr zajmowała mnie Skandynawja.

W dniu 22 stycznia przypadła pierwsza rocznica powstania

styczniowego. Nie pamiętaliśmy o niej. Przypomniał Kościół, zapowiadając uroczyste w Assomption (kościele na użytek misji polskiej oddanym) nabożeństwo i ks. Aleksandra Jełowickiego kazanie. Dla kazania tego na nabożeństwo poszedłem. Mszę przy przybranym w herby i barwy polskie ołtarzu głównym odprawił ks. Szulc, Czech, wobec natłoku pobożnych płci obojej. Czekałem na kazanie. O ks. Jełowickim, synie pani Żyłok, rodziców moich na Pobereżu sąsiadki, powstańcu z r. 1831, w młodych latach swoich pijącym z kielicha wszechrozkoszy, dużo słyszałem. Nie znałem go z widzenia nawet. Po raz pierwszy przedstawił się mi na kazalnicy, w sutannie, w postaci silnie zbudowanego, lat około sześćdziesięciu blondyna, o wyzywającej kapłana, należącego do Kościoła wojującego, minie. Był on z tych, co ustnem i pisanem wojują słowem. Tem też ciekawszym kazania jego byłem. Treść kazania, wygłaszanego językiem poprawnym, dobitnie, przy akompanjamencie wyrazistych gestów oratorskich, całkowicie i wyłącznie do Polski, do ostatniego odnosiła się powstania. Kaznodzieja powstanie egzaltował, przypisywał je natchnieniu bożemu, które zeszło na Polskę w nadgrodę jej Kościołowi katolickiemu wierności; mówił o błogosławiącym mu i modlącym się za nie Ojcu świętym i wróżył powodzenie nieochybne pod warunkiem, jeżeli powstańcy w niezachwianej przy Kościele stać będą wierności, — wierności, której dowody wykazywał w tem, że Rząd Narodowy stosunki ze Stolicą Apostolską utrzymuje, w tem oraz, że się powstańcy modlą i w Bogu ufność pokładają. Cytował fakty, które do wiadomości jego doszły, a które to sprawiają, że Duch Św. nad hufcami polskiemi się unosi i wodzów inspiruje. Ale — zły duch ze swojej czuwa strony i usiłuje zwichnąć dzieło boże. Są gorszyciele — ks. Jełowicki zna jednego i wskaże go, — co w ciemności truciznę przygotowują na zabicie Polski. O truciznie tej, o straszliwych jej skutkach rozwodził się ks. Jełowicki szeroko, zapowiadając po kilka razy, że owego znanego mu gorszyciela nazwie i znów do przedstawianych corazto okropniej skutków trucizny wracając. Słuchacze zapytywali siebie: co to za jeden? Mnie się zdawało, że z kazalnicy padnie chyba nazwisko Mierosławskiego. Ciekawość ogólna w wysokim natężyła się stopniu; została wreszcie zaspokojoną. Z kazalnicy padło nazwisko: Renan.

Księdza Jełowickiego ksiądz jakiś z kraju zawiadomił, że

Życie Chrystusa tłumaczy się na język polski. Nazwiska tłumacza nie wymienił. Było mi ono znanem. Wyklęte przez Kościół znakomite dzieło Renana tłumaczył w więzieniu Juljusz Starkel[1].

Nie wiem jak kogo, mnie kazanie to nie zbudowało. Huczał w nim fanatyzm, domagający się ślepej wiary, która mi zgoła do przekonania nie przemawiała. Ale zaspokoiłem ciekawość: widziałem i słyszałem ks. Jełowickiego, filar zmartwychwstańców, jak widziałem i słyszałem Patti.

Do zaspokojenia ciekawości Paryż jest jedynem na kuli ziemskiej miastem. Pełno w nim ku temu okazyj, pełno przedmiotów, wabiących przybysza i niewymagających sięgania do kieszeni. Izydor Kopernicki z Ołomuńca, gdzie był internowanym, wykradł się, do Paryża przybył i dnia każdego od rana do wieczora po galerjach, po muzeach, bibljotekach, placach, ulicach chodził. I jabym może to samo robił, ale czasu nie miałem. Zajmowała mnie Skandynawja. Studjowaniu jej poświęcałem dnie, wieczorami zaś zawsze w którejś z kawiarni, będących w Paryżu miejscem schadzek wieczornych, było z kimeś do pomówienia.

Śród przebywających wówczas w Paryżu Polaków najczęściej schodziłem się z Milowiczem, człowiekiem ogromnie ruchliwym i posiadającym zdolność dowiadywania się jeżeli nie o wszystkiem, to prawie o wszystkiem. Był on z tych, co lubią ludziom przysługi oddawać; cieszyłem się szczególnemi jego względami, z których się następnie przyjacielski pomiędzy nami wytworzył stosunek. Żywy temperament i bujna przy wysokiem wykształceniu wyobraźnia czyniły obcowanie z nim niesłychanie miłem. Opowiadanie jego przyjmować należało *sous bénéfice d'inventaire*, nie co do istoty rzeczy, lecz we względzie upiększających rzecz dodatków. Przymiot ten, znany powszechnie a nieszkodliwy, bo skłonnością do obmowy nieokraszony, wartości jego moralnej nie obniżał — przeciwnie. Wspomnienia moje o Milowiczu należą do kategorji prawdziwe sprawiającej zadowolnienie.

Spotyka on mnie raz i pyta:

— Wiesz, kto ciebie szuka?

— Kto?

---

[1] Przekład jego w druku się nie ukazał.

— Jan Mikułowski.

— Skądże się on wziął?

— Ano... z Wołynia.

— W charakterze turysty?

— Kwalifikującego się, jak my, na Syberję — dodał Milowicz.

— Skusiło licho — zauważyłem.

Z Mikułowskim rozstałem się w jesieni w r. 1854 w Serbji, w Majdanpeku. Wiedziałem, że rząd serbski dał mu posadę inżyniera przy drogach i że on za amnestją do kraju wrócił. Straciłem o nim następnie opyt. Pojawienie się przeto jego w Paryżu, w charakterze uczestnika w powstaniu, wielką dla mnie było niespodzianką.

— Dziś wieczorem o ósmej będzie w kawiarni...

Wymienił jedną z kawiarni przy bulwarach.

Stawiłem się w niej o godzinie wyznaczonej; czekać musiałem w towarzystwie Milowicza i paru innych z pół godziny, aż jeden z towarzyszy odezwał się:

— Oto on!

W życiu nie doznałem podobnego zdziwienia, jakie mnie przejęło na widok postaci, pod jaką się mi Mikułowski przedstawił. Przed laty dziesięciu chudym był niby szczapa. Ujrzałem przed sobą istną baryłę: brzuch ogromny, piersi wydęte, ramiona grube, nogi grube, policzki napęczniałe i zasłaniające oczy zdołu, podczas gdy je zgóry zasłaniały brwi zgrubiałe. Nie przypuszczałem, ażeby człowiek chudy do tego stopnia potłuścieć i zmienić się mógł. Z dawnego Mikułowskiego pozostało jeno poszycie głowy i kształt czoła. Ujrzawszy go i poznawszy nareszcie, mimowolnie wydałem okrzyk:

— Cóż się z tobą stało!

— Utuczyłem się na fasoli serbskiej — odpowiedział.

Odnowiliśmy ze sobą znajomość, skutkiem czego na czas pobytu mego w Paryżu powróciły dawne pomiędzy nami stosunki. Dobry Mikułowskiego humor, zasilany hojnie inwencyjnym dowcipem, niejedną mi ozłocił chwilę. Dla towarzystwa jego zaprzestałem na pensji do obiadów wieczorami zasiadać. Jadaliśmy je razem, raz tu, znów gdzieindziej, następnie razem przy kawie wieczory spędzali.

Co się jadania tyczy — ponieważ pamiętniki niniejsze, gdy

w druku się ukażą, posłużą za źródło do rozmaitych rzeczy, między innemi i do charakterystyki T. T. Jeża, — muszę o niem słówko rzec. Do jadła nigdy szczególnej nie przywiązywałem wagi. Zaspokojenie głodu stanowiło dla mnie rzecz główną. Przekonałem się, że nad poziom ten wznieść się nie byłem w stanie. Przekonałem się o tem u Véfoure'a, w restauracji największą wówczas w Paryżu cieszącej się sławą. Zaprosił mnie Aleksander Potocki dlatego właśnie, ażebym poznał, co za znaczenie śród uciech, umilających śmiertelnikowi życie na tym płaczu padole, posiada jadło wykwintne. Wykwintnie zdarzało mi się jadać niekiedy; nie zwracałem jednak na to uwagi. Aleksandrowi chodziło o przekonanie się, czy niezwracanie uwagi było intencjonalnem, czy też naturalnem. Zobowiązał mnie słowem honoru do wypowiadania zdania mego szczerze o daniach, z jakich on „obiadek" ułoży. Ułożył obiadek wedle reguł sztuki gastronomicznej. Nie pamiętam nazw potraw, któreśmy spożyli. Musiały być one wyborne — pan Aleksander znał się na tem. Przy każdej zapytywał mnie:

— A co?

— Smaczna — odpowiadałem.

— Cóż... czy nie doznajesz zadowolnienia szczególnego rodzaju? — zapytał, gdyśmy skończyli.

— Rosół z makaronem, sztuka mięsa z chrzanem smakowałyby mi niegorzej — odrzekłem.

— Mówisz szczerze?

— Jaknajszczerzej.

— Zacofaniec z ciebie.

— No? dlaczego?

— Przecież doskonalenie się kuchni idzie w parze z rozwojem cywilizacji i pozostaje w prostym a bezpośrednim do sztuk pięknych stosunku. Pomiędzy arcydziełami malarzy, rzeźbiarzy, literatów, grą artystów dramatycznych, śpiewem Patti a wyrobami Véfoure'a ścisła zachodzi łączność.

Napróżno mu wykazać się starałem, że łączność ta, odnosząc się przeważnie do towarzyskiej, nie zaś społecznej, człowieczeństwa strony, jest przez to jednostronną, nieobowiązującą cywilizacji bezwarunkowo. Dawałem mu za przykład Lelewela, który się na kuchni ani na sztukach pięknych nie znał, był przecie człowiekiem ucywilizowanym i postępowym. Fak-

tem jest, że natura nie zaopatrzyła mnie w podniebienie delikatne. Jej przeto wina, nie moja, żem się na arcydziełach kuchennych Véfoure'a poznać nie umiał. Jedna z uciech, jakich Paryż dostarcza, była dla mnie obojętną: nie garnąłbym się do niej, gdybym nawet miljonami dochodów rozporządzał.

Mniejsza jednak o to.

Razu pewnego dla interesu, którego nie przypominam sobie, wyszedłem z domu rano i nie powróciłem aż późno wieczorem. Znalazłem, jak zwykle, kilka biletów wizytowych, między niemi jeden z nazwiskiem: J. I. Kraszewski. Na odwrotnej stronie ołówkiem skreślone wyrazy następujące: „Mieszkam (nazwa hotelu); jestem w domu do 10 rano".

Z Kraszewskim się dotychczas nie spotykałem nigdzie. Mogłem był przedstawić się mu w Warszawie r. 1862, — nie zrobiłem tego dla tegoż powodu, dla którego Mickiewiczowi hołdu nie składałem. Wobec wielkich ludzi stawać nie umiałem, wiedząc, że ich zgoła facjata moja nie obchodzi. Uważałem za dostateczne podziwianie ich zdaleka. Ponieważ jednak Kraszewski pierwszy się do mnie zgłosił i napisem na odwrotnej stronie biletu objawił, jeżeli nie prostą poznania się ze mną ochotę, to może potrzebę rozmówienia się w jakimeś interesie, stawiłem się w zaznaczonym przezeń hotelu nazajutrz o dziewiątej. Numer pokoju wziąłem w biurze, zapukałem do drzwi raz, zapukałem po raz drugi mocniej — nagle we drzwiach zgrzytnął klucz, drzwi się nieco odchyliły i przez szczelinę wypłynęło ciche po francusku zapytanie: „Kto to?"

— Miłkowski-Jeż — zniżonym odpowiedziałem głosem.

Zaledwie odpowiedź wygłosiłem, przez szczelinę wysunęła się ręka, za klapę paletota mego pochwyciła, wciągnęła mnie, drzwi pchnęła i, klapy nie puszczając, do kanapy prowadziła. Do kanapy doprowadziwszy klapy nie puściła, aż usiedliśmy jeden obok drugiego. Obok mnie siedział człowiek półnagi, całe bowiem ciała jego okrycie składało się z koszuli nocnej, ale nie długiej, nie takiej, jaka do spania służy płci męskiej na Zachodzie, lecz krótkiej, sięgającej do kolan zaledwie. O człowieku tym nie wątpiłem, że to Kraszewski. Gdy mnie posadził, niezwłocznie mówić zaczął. Słów kilka wygłosił, po sobie spojrzał, nagle zerwał się i pochwyciwszy na opaszki leżący na krześle obok łóżka sypialnego szlafrok, powrócił, usiadł i ciągnął dalej:

— Ba to... niema co. Powinniśmy poruszyć niebo i ziemię, ze czterech rogów Europę zapalić... Precz trony i ołtarze!

Wyrazy ostatnie z mocnym wymówił naciskiem.

Osłupiałem — zgłupiałem: niczego podobnego z ust Kraszewskiego, z ust autora *Wieczorów wołyńskich*, nie spodziewałem się. Narazie połapać się nie byłem w stanie. W milczeniu słuchałem długiego, z zapałem wypowiadanego wywodu, zmierzającego do wykazania potrzeby wywołania rewolucji powszechnej. Gdym zrozumiał nareszcie, o co mu chodzi, począłem lekkie najprzód, następnie corazto mocniejsze objekcje czynić. Zawiązała się pomiędzy nami dyskusja, w której on jako gorący, z czerwonych najczerwieńszy występował rewolucjonista; ja jako zimny przemawiałem statysta. Kraszewski z tego wychodził punktu, że Polska, która krwią Europie służyła i której cywilizacja tyle do zawdzięczenia ma, zasługuje na to, ażeby jej Europa krwią odpłaciła. Nie przeczyłem temu, lecz uważałem to za rzecz niemożliwą w momencie obecnym. Zrewolucjonizować Europę? Rewolucje wytwarzają się wewnątrz; składają się na nie przyczyny i podniety wewnętrzne.

— Sympatja, tak mocno i głęboko przenikająca Francuzów, Włochów i Anglików, Niemców nawet, czyż nie jest przyczyną i podnietą wewnętrzną?

— Niekoniecznie — odrzekłem — przyszły one zzewnątrz i kto wie, czy mają tyle siły, ażeby wyraziły się na drodze czynnie rewolucyjnej. Francuzi rewolucje robią przedewszystkiem dla siebie. Możeby ją, jak w smutnej pamięci dniach czerwonych, zrobili pod hasłem Polski, ale ich powstrzymuje rząd, okazujący nam życzliwość. Daj Boże, ażeby się nie pokazało, że życzliwość Napoleona III zneutralizowała pomoc, jakiejby powstaniu naszemu Europa udzielić mogła.

Kraszewski nie przypuszczał tego. Zdaniem jego odbudowanie Polski było w interesie Napoleona III, w interesie żywotnym, bo dynastycznym.

— Rewolucja przetoby mu przeszkodziła — wtrąciłem.

— Popchnęłaby go do czynu, jak bomba Orsiniego, bez której nicby dla Włoch był nie zrobił.

Na tem tle zawiązała się rozmowa, która się pociągnęła długo i dała mi Kraszewskiego poznać ze strony psychicznej. Zrazu wydało mi się, że mam do czynienia jeżeli nie z narwań-

cem, to z jednym z tych, co to, mając się za ludzi przebiegłych, dmą przesadnie w dudy człowieka odmiennych przekonań. Sposób ten zastosował był do mnie Włodzimierz Cielecki. Nieraz z podobnymi „mężami stanu“ spotykać się mi zdarzało. W ciągu rozmowy jednak wprędce się przekonałem, że Kraszewski nie należał do tego rodzaju ludzi przebiegłych. Co mówił, mówił szczerze, z głębi przekonania, ale pod wrażeniem chwili, pod wpływem wypadków, działających silnie na umysł jego, pozostający pod kierownictwem serca. Z kombinacji uczucia i rozumu wytwarza się wyobraźnia mniejwięcej żywa lub mniejwięcej leniwa, mniejwięcej gorąca lub mniejwięcej chłodna, stosownie do natury i przewagi pierwiastku jednego nad drugim. Moralną Kraszewskiego istotę stanowiła miłość ojczyzny. Na tem tle urobiło się w nim pojęcie Polski, — pojęcie nacechowane samolubstwem. Samolub, gdy o osobistość jego chodzi, z zimną krwią przyprawia dokoła siebie bliźnich o ruinę, byle jemu działo się dobrze. Samolub patrjota gotów świat ze czterech rogów na rzecz ojczyzny własnej zapalić. Patrjotą takim był właśnie Kraszewski. Poeta, artysta, olbrzymio uzdolniony, bujną a zapalną obdarzony wyobraźnią, ulegał wrażeniom chwili, dawał się im urzekać, i stąd bywał tem, czem go chwile robiły. Z racji tej przejawiały się w nim rażące kontrasty: to posunięta do najwyższego stopnia zapalność, to kalkulatorski chłód. Gdy stał naczele *Gazety Polskiej*, doradzał umiarkowanie, cichą pracę, spokój; rewolucyjny nastrój nadało mu powstanie, trwające rok już cały i wykazujące obdartą z obsłon zbrodnię polityczną, której Polska ofiarą padła. Oburzenie zabiło w nim kalkulatora. Wylał je przede mną, spodziewając się w duszy mojej oddźwięk znaleźć i łudząc się co do mnie. Wydawało się mu, że posiadam wpływy, zdolne opinję publiczną poruszyć. Nie potrzebowałem, co się osoby mojej tyczyło, z błędu go wyprowadzać. Wynikło to samo przez się z wyjaśnienia sytuacji, w której osobistość moja nikła całkowicie. Kraszewskiego zdziwiło to, gdy jednak dowiedział się, że do Sztokholmu mam jechać, przyjął tę wiadomość z uznaniem.

— Sztokholm jest ważnym dla sprawy naszej punktem — wyraził się.

— Względnie — odrzekłem.

Tłumaczyłem, że ważność punktu tego zależy od opano-

wania innych, których wykazałem dwa: kwestja wschodnia i sprawa węgierska.

W kwestji wschodniej Rumunja pełniła funkcję furtki, przez którą interwencja europejska do Polski wkroczyć mogła. Wyłożyłem Kraszewskiemu punktu tego naturę i opowiedziałem mu konferencję, jaką odbyłem z wielkim wezyrem.

Sprawa węgierska odnosiła się do wojny r. 1848—9 i łączyła ze sprawami południowosłowiańską i włoską. Węgrzy pokonani przez Austrję do spółki z Rosją skutkiem błędu, jakiego się dopuścili względem Słowian, odmawiając im równouprawnienia autonomicznego; Słowianie przez tęż Austrję oszukani i zrażeni głęboko do Rosji, która, nie osłoniwszy ich przed germanizacją austrjacką, oczekiwania ich zawiodła: — zbliżyli się do siebie i zespolili pretensje swoje w odniesieniu do gniotącej zarówno jednych i drugich korony. We Włoszech dom sabaudzki, od r. 1859 rosnący w pierze przez jednoczenie pod berłem swojem królestw i księstw, na które rozpadał się półwysep Apeniński, nie pokończył był jeszcze rachunków z Austrją co do Wenecji, przymorza adrjatyckiego (Triest) i Tyrolu włoskiego. Skutkiem rachunków tych utrzymywał stosunki z malkontentami węgierskimi i południowosłowiańskimi, fermentując za ich pośrednictwem węgiersko-słowiańskie powstanie i ze swojej strony sposobiąc się do wojny przeciwko Austrji.

Wyłożyłem Kraszewskiemu dwa te punkty, mające na arenie zagranicznej styczność ze sprawą polską wogóle, z powstaniem naszem w szczególności. Wykład mój zafrapował go. Kwestja wschodnia przedstawiła mu się jasno. Co do sprawy węgiersko-słowiańskiej zażądał ode mnie objaśnień bliższych i dokładniejszych, co się tyczy styczności jej ze sprawą naszą.

— Gdyby powstanie węgiersko-słowiańskie wybuchło i z wojną włosko-austrjacką się zespoliło — odpowiedziałem —, przedewszystkiem wyzwoliłaby się spod austrjackiej opieki Galicja i ten dział Polski pozyskanymby został dla powstania; następnie dla naszego powstania otworzyłyby się europejskie resursy: przestalibyśmy karabiny na wagę złota opłacać. Zyskalibyśmy wiele, nie licząc tego, iż taki obrót rzeczy sprowadzićby na korzyść naszą musiał interwencję tych właśnie mocarstw, co Polsce sprzyjają.

— Czyż się co w kierunku tym robi? — zawołał Kraszewski, patrząc mi w oczy z wyrazem.

— Robi się — odrzekłem.

— Czemuż ty do Szwecji jedziesz?

— Bo mnie tam Rząd Narodowy jechać każe.

— Nie przydałżebyś się lepiej na Wschodzie, na Węgrzech?

— Nie wiem. Podtrzymywanie powstania dla utrzymania go, aż dojrzeją roboty, które je zasilą i interwencję na korzyść sprawy polskiej sprowadzą, jest rzeczą ważną.

— Prawda — rzekł, zamyślając się. — Prawda — powtórzył i dodał, palce od rąk splatając i oczy wznosząc: — Niechże wam Bóg pomaga.

Rewolucyjny zapał w nim ochłódł, ustępując miejsca nastrojowi modlitewnemu.

Pierwszy był chwilowym i drugi chwilowym, ale jeden i drugi szczerym. O chwilowości dowiedziałem się później; w momencie owym widziałem w Kraszewskim człowieka przystępnego rozumowaniu. Zeszedł się ze mną, żołnierzem, obrachowującym szanse i oglądającym się na środki i sposoby, posłużyć mogące do zastąpienia braków. Do prowadzenia wojny, do wykrzesania z tej wojny rezultatów, mniejwięcej zadaniu jej odpowiadających, brakło nam na wszystkiem i we wszystkiem zależeliśmy od zagranicy, odsuniętej od Polski całą szerokością Prus i Austrji. Na całej tej przestrzeni, na każdej drodze i ścieżce, odbywało się ustawiczne na każdą sztukę broni, na każdego o patrjotyzm polski podejrzanego człowieka, na każdy wieści niosący świstek policyjne czyhanie. Najdrobniejszy zasiłek musieliśmy przekradać i opłacać, opłacać, bez końca i miary opłacać. Z wyroczną przeto koniecznością narzucała się nam potrzeba usunięcia przeszkody, odgradzającej Polskę od Europy. Nadawały się ku temu: Rumunja i Austrja; Rumunja, którąm upatrzył zgóry; Austrja, która się nastręczyła w ciągu powstania i wykazywała w perspektywie Galicję wcieloną do akcji powstańczej, do której wnosiła teatr do formowania armji narodowej. Z perspektywą tą łączył się interes Węgier, Słowiańszczyzny Południowej i Włoch.

Kombinację tę Kraszewski zrozumiał, jakoteż to, że się o niej mówi „między nami“, tj. w gronie osobistości, znajdujących się w możności pośrednio lub bezpośrednio do powodzenia

jej dyskrecjonalnie się przyczynić. Uznał to; dał mi skazówek parę, co do osoby Wiktora Emanuela. Zdaje się, że od niego dowiedziałem się o stosunkach poufnych, zachodzących pomiędzy królem włoskim a Marcelim ks. Lubomirskim, dłużnikiem teścia mego.

Z rozmowy z Kraszewskim przypominam sobie jeszcze rzecz o okazywanej sprawie naszej sympatji zachodnioeuropejskiej, na której on oparł był pomysł zrewolucjonizowania Europy. Sympatja owa dzieliła się na bezinteresowną i interesowną. Z tą ostatnią nosiła się Turcja, przechowując ją do sposobnego na objawienie jej w czynie momentu i narazie nie mając innego na wyzyskanie powstania polskiego sposobu, jak tylko udzielenie poparcia przedsięwzięcia tego rodzaju, do dokonania którego ekshospodarowie mołdawski i wołoski kupić mnie byli zamierzyli; interes przeto turecki niepewnym był i wątpliwym narazie. Inaczej przedstawiał się interes włosko-południowosłowiańsko-węgierski. Ten się bezwarunkowo do kombinacji nadawał. Poza nim jeszcze ukazywał się szwedzki, sięgający czasów dawniejszych i pretensyj tlejących pod popiołem, lecz skutkiem obniżonego państw skandynawskich znaczenia politycznego zniewolony do ograniczania się na sympatji bezinteresownej, okazywanej przez Francję i Anglję, jakoteż przez ciążące ku nim kulturalnie państwa pomniejsze. Sympatji ich wyrazem ogólnym były pozawiązywane po miastach komitety, zbierające składki na rannych powstańców polskich. Wyraz szczególny dawały osobistości pojedyncze. Z cudzoziemców zasłynęli w powstaniu naszem: Rochebrun, Young, Nullo i inni. W szczupłym oddziale moim byli Francuzi, Włosi, Węgrzy i Niemcy. Na pensji, na której w Paryżu mieszkałem, posługiwał garson Szwajcar. Pewnego razu wszedł on do mnie z pożegnaniem.

— Odchodzisz? — zapytałem, sięgając po sakiewkę, celem dania mu napiwka.

— Niech mi pan nie daje — rzekł.

— Czemu?

— Mam dosyć na podróż. Jadę do Polski.

— Znalazłeś tam służbę?

— Jestem Szwajcarem... idę się o wolność bić.

Rozstaliśmy się, uścisnąwszy sobie dłonie.

Sympatja bezinteresowna, zostawiając rządowi troskę o polityczne w sprawie polskiej kierownictwo, nie manifestowała się inaczej. Dystrakcja w sprawie duńskiej, spowodowana przez gabinet berliński, naczele którego stał już serdeczny nasz Bismarck, odwracając od sprawy naszej uwagę gabinetów wielkich mocarstw, „bezinteresowność“ ich potęgowała. Pozostawała więc tylko sympatja interesowna, na którą rachuba przedstawiała szanse niejakie ze względu na to, że powstanie węgiersko-słowiańskie liczyć mogło na wojska węgierskie i kroackie, pozostające pod sztandarami austrjackiemi; w r. 1848 dowiodły one, że sprawa narodowa góruje w ich szeregach nad obcemi im względami państwowemi.

Z Kraszewskim widziałem się w Paryżu razy kilka jeszcze. Przyjechał był z Drezna i do Drezna wrócił. Na odjezdnem, żegnając się ze mną, uroczyście mi oświadczył:

— Jestem na usługi wasze.

Nie przypominam sobie, ażebyśmy o literaturze mówili. Zdaje się, żeśmy o niej ani wspominali. Jam już siebie za pisarza nie miał, pomimo że się już pióra mego dosyć poważny *stock* towaru literackiego zgromadził. Zajmowała mnie i uwagę pochłaniała Szwecja. Pilnie ją studjowałem w odniesieniu do zadania, jakie na mnie na gruncie skandynawskim czekało. Wyprawa wojenna, gdym się w niej rozpatrzył, gdym szczególnie obrachował koszta, wydała mi się bardzo do uskutecznienia trudną, jeżeli nie niemożliwą. Za rzecz możliwą uważałem dostarczenie broni do Litwy drogą kontrabandy morskiej. Utorowanie drogi tej mogło sczasem posłużyć do urządzenia wyprawy, gdyby się dało ściągnąć ochotników i przechować ich w miejscowości, któraby na siebie moskiewskiej ani pruskiej nie ściągnęła ciekawości. Wyprawa jednak przedstawiała się w perspektywie dalszej; głównie zaś chodziło o zasilanie powstania i utrzymywanie go do czasu, kiedy w pomoc mu dojrzeją zabiegi, czynione na Wschodzie przez Różyckiego, i we Włoszech, jako też na Węgrzech — nie wiedziałem przez kogo. Co do tych ostatnich wiedziałem jeno ogólnikowo, że Rząd Narodowy szczególnie troszczy się o nie, że specjalnym przy gabinecie turyńskim agentem jego jest Józef Ordęga, że ze strony węgierskiej interes prowadzi jen. Klapka, że Wacław Przybylski pełni funkcję lustratora, zarazem pełnomocnika, upoważnio-

nego do działania w imieniu Rządu Narodowego i zaopatrzonego w tym celu w pieczęć i blankiety.

W przewidywaniu, że wyprawa orężna ze Szwecji na Litwę może do skutku nie dojść i że skutkiem tego pobyt mój w Sztokholmie, czyby się powstanie na korzyść lub też na szkodę sprawy polskiej obróciło, przedłuży się może na lata i lata, pomyślałem o żonie. Do niej i do dziecka mego opanowywała mnie niekiedy wypowiedzieć się niedająca tęschnica, wzmagająca się za każdem otrzymaniem jej listu, w którym znajdowałem nieodmiennie powtarzającą się zwrotkę: „Weź mnie do siebie!“. Poprzednio w pamiętnikach moich w któremeś miejscu zaznaczyłem, że awanturniczość nie tkwiła w naturze mojej. Pędzało mnie po świecie co innego, czemu przyświecała idea ojczyzny uciśnionej, wkładającej na dzieci swoje obowiązek służenia jej, a niewykluczającej przywiązania do ogniska domowego, do żony i dzieci. Nie byłem w stanie obronić się przywiązaniu temu i, po namyśle, po zestawieniu wszystkich „za“ ze wszystkiemi „przeciw“, napisałem do żony: „Zabiorę ciebie; przysposabiaj się do podróży na pierwsze wezwanie moje“.

ROZDZIAŁ XXI

W SERBJI

— Jedziesz nie do Sztokholmu, ale do Belgradu.

Taką w miesiącu lutym, w dniu, którego nie pamiętam, zwiastował mi Wacław Przybylski wiadomość.

Przybylski, były profesor nauk przyrodniczych w Wilnie, pełnił w imieniu Rządu Narodowego funkcję, której odpowiedniej wskazać nie można w oficjalnie uregulowanych stosunkach międzynarodowych. Określają funkcję tę wyrazy: „Komisarz pełnomocny do spraw zagranicznych". Był to człowiek, liczący lat trzydzieści zgórą, gładki, wymowny i wysoko wykształcony, biegle mówił kilku językami i posiadał maniery salonowe, zalecały go więc przymioty, nadające się do prowadzenia spraw natury delikatnej; zwinny, czynny, umiejący otwierać sobie przystępy do biur i gabinetów zaznaczonych stemplem oficjalnym, biegły w bronieniu sprawy mu powierzonej, deptał bruki dwóch stolic: Paryża i Turynu. W tej ostatniej obrabiał sprawę powstania węgiersko-słowiańskiego w łączności z wojną Włoch przeciwko Austrji.

Kwestja ta przedmiotem częstych pomiędzy Przybylskim a mną była rozmów. Znałem ją lepiej trochę niż inni, oznajomiwszy się z nią blisko w r. 1848—9 u Simicza w czasie, kiedyśmy Arad oblęgali, a ja u niego na kwaterze stałem. Od tego czasu z oka jej nie spuszczałem i gdym o perspektywie węgiersko-słowiańskiego powstania się dowiedział, wnet mi się przedstawiły trudności, z jakiemi przedsięwzięcie to do czynienia mieć będzie. Stanęła mi w pamięci zawziętość, z jaką w r. 1848—9 Słowianie południowi z Węgrami walczyli; stanęła mi w oczach dzika, eksterminacyjna wojna, w której legjon polski nie brał wprawdzie udziału bezpośredniego, której jednak ślady

i świadectwa widywałem pod postacią świeżych ruin i zgliszcz, w jakie nienawiść wojenna obracała osady, zamieszkiwane przez tę lub przez ową narodowość. Wątpiłem, ażeby nienawiść ta zniknąć w przeciągu lat piętnastu mogła. Byłbym w możliwość zniknięcia jej nie wierzył, gdyby nie oryginalny sposób, w jaki rząd austrjacki wywzajemnił się Słowianom za udzieloną mu przez nich w r. 1848—9 pomoc. Do pokonania Węgrów szczerze ręki przyłożyli i... pod ten sam co Węgrzy strychulec niemiecki oddani zostali. Krew ich, w obronie tronu Habsburgów przelana, o pomstę wołała, a krew to była gorąca, południowa: kroacka, slawońska, serbska. Czyniło to prawdopodobnym zanik nienawiści, na dłuższą jednak aniżeli piętnastoletnia metę. Była to zwrotka, którą powtarzałem, ile razy z Przybylskim w tej kwestji mówiłem. Gdy mi przeto oznajmił, że Rząd Narodowy do Belgradu mnie przeznaczył, niezwłocznie do objaśnienia stanu rzeczy przystąpił.

Inicjatywa wyszła z Kroacji skutkiem niezadowolnienia, które przeniknęło ludność słowiańską i wyraziło się w postaci szeroko rozgałęzionego sprzysiężenia, naczele którego stoi Antoni Starcewicz [1]. Sprzysiężenie to weszło w porozumienie z Węgrami na podstawie federacyjnego równouprawnienia. Układy dokonały się zagranicą pomiędzy wysłańcem Kroatów drem Eugenjuszem Kwaternikiem z jednej, a wychodźcami węgierskimi Koszutem i Klapką z drugiej strony. Koszut zdał działalność na generała Klapkę. Knowanie to ześrodkowywało się w Turynie, w ministerstwie spraw zewnętrznych, któremu przewodniczył natenczas Visconti-Venosta, i zaczepiało się o Belgrad w Serbji, gdzie panował Michał Obrenowicz, a ster rządów znajdował się w rękach Eljasza Garaszanina.

W takim stanie było knowanie, mające na celu oderwanie od Austrji formacji państwowej, znanej pod nazwą „Krajów Korony Węgierskiej", składającej się z Węgier właściwych i z Królestwa Trójjedynego (Kroacja, Slawonia, Dalmacja), oraz uzupełnienie rewindykacyj włoskich w odniesieniu do Austrji, dzierżącej Wenecję, Tyrol i przymorze adrjatyckie. W knowaniu tem nam — Polakom — przypadała rola poręczycielska we

[1] Starcewicz A., polityk chorwacki, adwokat w Zagrzebiu, poseł na sejm chorwacki i redaktor pisma *Hrvatska*.

względzie szczerości umowy, wiążącej do wspólnej akcji wrogów wczorajszych, Węgrów i Słowian południowych. Co się umowy tyczyło, ta się dokonała zagranicą: w Paryżu, o ile chodziło o to, ażeby Francja nie przeszkadzała, w Turynie, o ile chodziło o spółczesność wybuchu powstania i wydania przez Włochy wojny Austrji. Obrabiali rzecz z tej strony Klapka i Kwaternik. Ten ostatni napisał i wydał w Paryżu, zaopatrzoną w dosadną L. Léouzon le Duc przedmowę, książkę p. t. *La Croatie*, wyświetlającą prawa Kroacji, jej pretensje do Habsburgów i krzywdy, jakich kraina ta ze strony domu panującego doznawała i doznaje.

Klapkę znałem oddawna. Z Kwaternikiem Przybylski mnie sprowadził i zaznajomił. Mieliśmy z sobą dużo do mówienia i omawiania, schodziliśmy się więc często, raz u mnie, znów u niego. Do Paryża przyjechał z żoną, miłą, wykształconą i gorąco sprawą ojczystą przejętą kobietą. Doktor (dr praw) jaknajlepsze zrobił na mnie wrażenie zarówno powierzchownością swoją — o rok ode mnie młodszy, wzrostu średniego, krzepko zbudowany brunet, o czole wysokiem, o obliczu o zdrowiu świadczącem — jakoteż zasobnością umysłową. W rozumieniu narodowej kroackiej sprawy w odniesieniu do sprawy węgierskiej najmniejsze pomiędzy nami nie zachodziło nieporozumienie, za punkt bowiem wychodni i za podstawę służyła mu sprawiedliwość, mająca na widoku ideę federacyjną: równe prawa i równe obowiązki, zapewniające swobodę rozwoju i swobody tej obronę wzajemną. Były to ogólniki akademickie, które na gruncie praktycznym znajdowały swój wyraz w głębokiem a ostrem oburzeniu, przejmującem ludność Królestwa Trójjedynego, a podzielonem przez znajdującą się w pogotowiu siłę zbrojną. Siła ta, zwana „graniczarami“ — rodzaj kolonij wojskowych — wystarczała na zapoczątkowanie powstania, ściągnięcie do szeregów jego żywiołów słowiańskich spod sztandarów austrjackich i na wydzielenie spod nich żywiołów madjarskich. Żywioły słowiańskie przedstawiały się poważnie: Słowianie południowi, Czesi, Morawianie, Słowacy. Nie wchodzili do rachuby tej Polacy, którzy odpadali dla powstania polskiego: dla sformowania na rzecz jego siły zbrojnej w Galicji.

Żem się roboty, taką wykazującej perspektywę, z ochotą chwycił, to rzecz zrozumiała. Działalność moja osobista zwracała się na Słowian w znaczeniu rękojmi dla nich wobec pań-

stwowych pretensyj węgierskich. W imieniu Polski przestrzegać winienem był sprawiedliwości i w jej imieniu walczyć, wywalczając dla niej dogodniejsze niż dotychczas warunki bojowania z Rosją. Okoliczności przytem tak się złożyły, że działalność z tej strony przedstawiała się korzystniej niż z innej. Wojna sprzymierzonych Prus z Austrją przeciwko Danji, przecinając drogi, któremiby pomoc z krajów skandynawskich iść mogła na Litwę, czyniła wyjazd mój do Sztokholmu bezcelowym prawie. Na miejscu mojem jechać miał Skorupka. Dla mnie otwierało się pole działania wdzięczniejsze i obszerniejsze, ogarniające Czechy, Słowiańszczyznę południową, Węgry i Włochy.

Do Czechów przedewszystkiem musiałem się zbliżyć i porozumieć z nimi dlatego, ażeby działalność moją poparli, żebym miał prawo powiedzieć Słowianom południowym, że oni sojusz ich z Węgrami uznają i w swoim czasie ręki do dzieła na podstawie równouprawnienia federacyjnego przyłożą. Pachniało to wielkiej doniosłości przewrotem politycznym w Europie, — przewrotem, pociągającym za sobą upadek jednego tronu. To ostatnie nie martwiło mnie zgoła.

Porozumiewałem się w Paryżu z Kwaternikiem i z Klapką.

U Klapki razu pewnego natknąłem się niespodzianie na człowieka, o którym dużo w Czortkowie słyszałem. Generał, gdym wszedł, przedstawił nas jednego drugiemu.

— Kompatrjoci — rzekł —: pułkownik Miłkowski, książę Marceli Lubomirski.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na przywitanie i ja, poprosiwszy Klapkę o pozwolenie powiedzenia słów kilku po polsku, przemówiłem do nowego znajomego:

— Mam do księcia interes osobisty. Czy mi pozwolisz, książę, pomówić ze sobą we cztery oczy?

— Najchętniej — odrzekł.

— Gdzie i kiedy?

— Jutro o dziesiątej rano.

Adres mi swój dał i rozpoczęliśmy rozmowę po francusku.

Pomiędzy domem sabaudzkim a Lubomirskimi jakieś zachodzi powinowactwo. Z tego tytułu ks. Marceli miał wstęp do dworu w Turynie i pozostawał z Wiktorem Emanuelem na stopie poufałości — spędzał z nim wieczory, grywał w domino.

Z tego tytułu w ciągu rozmowy, toczącej się o sprawach publicznych, Klapka odezwał się do mnie:

— Gdyby ci wypadła, pułkowniku, potrzeba dotarcia do króla, książę cię do niego doprowadzi.

Książę Marceli słowa te wnet podchwycił, oświadczając, że się na moje oddaje usługi.

Podziękowałem. Trudno mi było umówić się o spotkanie się w Turynie, nie wiedziałem bowiem jeszcze, kiedy tam będę. Czekała mnie przedtem podróż do Drezna celem omówienia z Czechami rozmaitych, zadania mego dotyczących, szczegółów.

Nazajutrz stawiłem się o godzinie oznaczonej na *rendez-vous* u księcia.

Interes osobisty, jaki do niego miałem, moim osobistym był o tyle, o ile dotyczył p. Leona Wróblewskiego, mego teścia. Teść mój sprzedał przed laty Rakowiec, wieś pod Krzemieńcem, i część należności za nią wziął gotówką, część rewersem Lubomirskiego, pana na Dubnie i właściciela kilku na Wołyniu kluczów. Żył jeszcze ojciec jego, ks. Józef, samolub i sknera; ale on był już żonatym i posiadał duży majątek własny, który zadłużał na potęgę, licząc na czekający na niego po najdłuższem ojca życiu spadek. Działo się to w drugiej połowie piątego dziesiątka lat naszego wieku. Teść mój, gdy nadszedł termin spłaty rewersu w którymeś roku w Kijowie na kontraktach, wysłał siostrzeńca swego, Jana Tyszkiewicza, z rewersami i z upoważnieniem pokwitowania z otrzymanych pieniędzy. Tyszkiewicz widział się z ks. Marcelim na wsi, w jego zwykłej rezydencji, i ten naznaczył mu *rendez-vous* w Kijowie. W Kijowie miał spłat nastąpić. Tak się jednak stało, że w tej „grodów ruskich macierzy", zamiast otrzymać pieniądze, Tyszkiewicz dostał wiadomość, że ks. Marceli pojechał do Petersburga. Pełnomocnik teścia mego nie mógł go tam gonić; powrócił do Czortkowa z niczem i w czas jakiś później głośną się stała wieść, że ks. Marceli Lubomirski wyemigrował do Ameryki.

W r. 1849 namiestnik owoczesny Galicji, hr. Agenor Gołuchowski, wypędził z kraju Kazimierza Wróblewskiego, teścia mego syna najstarszego. Kazimierz, wyjeżdżając w zamiarze udania się do Ameryki, zabrał ze sobą rewers celem odszukania ks. Marcelego i upomnienia się u niego o dług. Odszukał go w Nowym Yorku. Książę przyjął Kazimierza jaknajuprzejmiej;

cząstkę długu spłacił towarami, z któremi Kazimierz popłynął do Australji w nadziei spieniężenia ich korzystnie; na resztę, wynoszącą około 100 tysięcy złr nowy wystawił rewers. Po upływie lat kilkunastu rodzina Wróblewskich dowiedziała się o nagłej Kazimierza śmierci z żółtej febry w Bahii, gdzie towary wraz z wszystkiemi jego rzeczami i z rewersem przepadły. O tymto interesie chciałem się z ks. Marcelim rozmówić.

Książę przyjął mnie bardzo uprzejmie, na kanapie posadził, usiadł obok; ja odrazu do interesu przystąpiłem.

— Powiem tylko księciu — zacząłem — że jestem zięciem pana Leona Wróblewskiego.

— Ah! — przerwał — święty dług! święty dług!... — zawołał, w oczy mi z podniesionemi do góry dłoniami patrząc. — Święty dług!

Opowiedziałem mu o losie, jaki spotkał Kazimierza i o zaprzepaszczeniu się rewersu.

— Wystawię inny — odrzekł — inny, który będzie zupełnie pewny, zaewikcjonuję go bowiem na placach, które posiadam w Paryżu.

Wymienił mi placów tych nazwy. Jam mu na to odpowiedział:

— Spotkawszy się przypadkiem z wami, mości książę, poczułem się do prawa, a nawet do obowiązku przypomnieć wam dług; lecz do traktowania nie jestem upoważniony. Napiszę do mego teścia, zawiadomię go, że dług uznajecie i sprawę tę uregulować chcecie.

— Ureguluję ją z tobą, pułkowniku.

— Nie ze mną, bo się odpowiedzi z Czortkowa nie doczekam w Paryżu.

— Szkoda — odrzekł i jął się o sobie opowiadać.

— Nie jestem taki zły, za jakiego uchodzę. Marnotrawiłem majątek, to prawda, ale odpowiedzialność za to spada nietyle może na mnie, co na wychowanie, jakie w sferze naszej otrzymujemy, i na stosunki rodzinne, w jakich się znajdowałem. Słyszeć musiałeś, pułkowniku, o ojcu moim, no! — ręką machnął. Słyszeć musiałeś o mojej żonie, która mnie hańbiła[1]... Rozpacz

[1] Żona jego, z domu księżniczka Jabłonowska, pełniła w kraju i zagranicą na rzecz rządu rosyjskiego funkcję agenta politycznego, raczej polityczno-policyjnego, zależącą od policji sekretnej. (Nota T. T. Jeża).

mnie przejmowała, gdym się w tych brudach rozpatrzył i rozeznał. Rozpacz mnie z kraju wygnała. Zapominając o wszystkiem, o długach, o obowiązkach, uciekłem na drugą półkulę, z rodziną stosunki zerwałem, z żoną się rozwiodłem, ożeniłem się z kobietą, którą pokochałem i za to odtrącony zostałem nietylko przez rodzinę najbliższą, ale przez wszystkich Lubomirskich. Takie są smutne żywota mego dzieje... Obecnie chcę się rehabilitować, nie w oczach rodziny mojej, z którą rachunki skończone, ale w oczach mego narodu [1].

Ta spowiedź członka jednej z najznakomitszych rodzin arystokratycznych w Polsce, spowiedź wypowiadana płynnie, ilustrowana pojawiającemi się w oczach łzami, wychodząca z ust człowieka, wyglądającego spod okrywającej mu głowę i brodę siwizny nadzwyczaj sympatycznie, mocne na mnie sprawiła wrażenie. Wydała mi się ona szczerą, przejęła mnie dla niego spółczuciem tak silnem, iżbym się nie mógł oprzeć udzieleniu ks. Marcelemu pożyczki, gdyby jej był u mnie zażądał i gdybym był pieniądze miał. Lecz ja pieniędzy nie miałem, on pożyczki nie żądał, rozstaliśmy się po przyjacielsku. Tegoż samego dnia napisałem do teścia, zdając mu dokładną z rozmowy z Lubomirskim sprawę [2].

Byłbym się zapewne sprawą tą sam zajął, gdyby mnie obowiązki nie wywoływały z Paryża. Dr Kwaternik, któremu udzieliłem 1000 fr na podróż do Kroacji, wyjechał; miał na mnie czekać w Turynie. Wyprawiłem do Zagrzebia z poleceniami i komunikatami na piśmie przedstawionego mi przez Przybylskiego, a w regularny rosyjski paszport zaopatrzonego,

[1] Rachunki w ten zakończone zostały sposób, że ojciec jego majątek cały zapisał na wnuka, syna ks. Marcelego, noszącego imię dziada: Józef. Młody książę służył w wojsku rosyjskiem, z którego szeregów wydalonym został za sprawę niehonorową, majątek doszczętnie stracił, ekspatrjował się, w Paryżu literaturą się bawił, drukując po francusku powieści, opowiadania i prace polityczne; wkońcu interesy swoje poprawił, żeniąc się ze starszą od siebie właścicielką fabryki jakiegoś eliksiru, która wzamian za tytuł książęcy byt mu dostatni zapewniła. (Nota T. T. Jeża).

[2] Książę Marceli rewers wystawił, zaekwicjonowany na placach w Paryżu ...zmyślonych. Rewers ów znajduje się u mnie. Przechowuję go na świadectwo honorowości członka jednego z najznakomitszych w Polsce rodów. Zawiadomiłem o dokumencie tym syna, po śmierci ks. Marcelego, ten jednak odpowiedzieć mi nie raczył. (Nota T. T. Jeża).

młodego chłopaka, nazwiskiem Karol Benni. Ten miał w Zagrzebiu znieść się ze Starcewiczem, zabawić póty, póki roboty nie dojrzeją dostatecznie, i ze sprawozdaniami do Belgradu przyjechać. Benniemu również na podróż, nie przypominam sobie w jakiej ilości franków, zasiłku udzieliłem. Resztę przysłanych dla mnie przez Rząd Narodowy pieniędzy, które wynosiły, nie pamiętam ile — niewięcej chyba nad 3.000 franków —, zachowałem na podróż dla siebie wedle marszruty, idącej na Drezno, Turyn, Genuę, Konstantynopol do Belgradu.

W Konstantynopolu agentura polityczna, ustanowiona przez Rząd Narodowy, spoczywała w rękach Tadeusza Okszy Orzechowskiego. Miałem się z nim znieść i na ręce jego raporty i zawiadomienia posyłać, jakoteż [od niego] dostawać zasilki pieniężne, w które bardzo byłem zaopatrzony skąpo.

Ruszyłem tedy. Daty wyjazdu mego z Paryża nie pamiętam. Nastąpić on musiał przy końcu miesiąca marca, miarkując stąd, że żona moja, która się ze mną w Dreznie zjechać miała, ze Lwowa wyjechała w Wielką Sobotę.

W Dreznie zjechać się i podróż dalszą razem odbywać mieliśmy — do Belgradu, zamiast do Sztokholmu.

Przyspieszyłem też przyjazd mój do stolicy Saksonji tak dlatego, ażeby żona moja na mnie nie czekała, jakoteż dla załatwienia się przed przybyciem jej z Czechami. Agentury Rządu Narodowego znajdowały się w Dreznie i w Pradze. Przez nie wezwani przybyli Czesi w liczbie trzech osób, spomiędzy których jedno tylko nazwisko Emanuela Tonnera w pamięci mi pozostało. Odbyłem z nimi parę konferencyj, ku ich i ku mojemu zadowoleniu. Udzielili mi oni wskazówek i adresów, zaopatrzyli w listy polecające, zrobili wszystko, co mi zadanie ułatwić mogło. Zejście się z nimi zakończyło się spólną biesiadą, do której zasiadło trzech Czechów i kilkunastu Polaków, a którą uilustrowały przemówienia toastowe, gorącym nabrzmiałe patrjotyzmem, Kraszewskiego, Tonnera, jednego Czecha i jednego Polaka. Na biesiadę tę imiennie zapraszał Kraszewski i on podobno koszta jej z własnej opłacił kieszeni.

Korzystając z kilkudniowego w Dreznie pobytu, zwiedziłem, co w tem mieście, upiększonem groszem Polski, do zwiedzenia jest: galerję obrazów z Madonną Rafaela, muzea, skarbiec *(Grünes Gewölbe)*, kościoły, place, byłem na Terasie Brühlow-

skiej i na polu bitwy r. 1813. O bitwie tej słyszałem z ust ojca mego opowiadanie, które mi ją odtworzyło na gruncie. Żywo w oczach stanęła mi wspominana przez ojca z naciskiem szczególnym szarża jazdy przeciwko piechocie, a stanęła tem żywiej, żem myślał o udziale w niej rodzica mego, wkluczonego w szeregi zawieruchy ułańskiej, depcącego kopytami zebrane razem na drezdeńskich polach hufce wszystkich trzech najezdników Polski, pokazującego, torującego przeciwnikom ich drogę. Wzruszył mnie głęboko widok obszarów szeroko się rozlegających, spokojnych i cichych, na których przed laty rozgrywały się hucznie losy Europy.

Wyznać muszę, iżem wzruszenia podobnego nie doznał wobec arcydzieła Rafaela. Gdyby nie powszechne, jakie ono uzyskało, uznanie, gdyby nie umieszczenie go osobno w otoczeniu dekoracyj specjalnych, byłbym się nie domyślił, że to arcydzieło. Wyrazu boskości na obliczu Matki Boskiej szukałem nadaremnie; tło z aniołów najmniejszego nie sprawiło na mnie wrażenia. Prawda, żem się patrzył okiem profana, ale i na profanów sztuki piękne, rzeczywiście piękne, wrażenie sprawiają.

Może obojętność na piękno, wydzielające się z utworu Rafaela, spowodowało zaprzątnienie umysłu czem innem, przeszkadzające skupianiu na dzieło sztuki uwagi. Dowiedziećbym się mógł o tem, gdybym w innych warunkach w Dreznie kiedy zagościł. Nie zdarzyło mi się po raz drugi w stolicy Saksonji przebywać. Z kilkudniowego w niej pobytu wyniosłem wspomnień kilka, tyczących się osobistości bądź nowopoznanych, bądź dawniej znanych. Spośród nowopoznanych zafrapował mnie szczególnie młody człowiek, agent Rządu Narodowego w Pradze, który delegatów czeskich wyprzedził i po nich odjechał. Nie zatrzymałem nazwiska jego w pamięci — szkoda! — jego wykształcenie, sposób życia i zapatrywanie się na rzeczy bardzo dobre wywarły na mnie wrażenie. Poznałem dwóch ludzi, z których jeden w poezji polskiej, drugi w politycznem Polski życiu zajmują stanowisko wydatne: Romana Zmorskiego i Agatona Gillera. Zmorski chory, ponury, skwaszony, przedstawił mi się w świetle niekorzystnem. Chciałem od niego, tłumacza pieśni serbskich, wiedząc o tem, że w Belgradzie przebywał, jakicheś w odniesieniu do Serbji zasięgnąć informacyj.

Nie chciał, może nie umiał, żadnych mi udzielić. O narodzie serbskim wyrażał się z niechęcią. Z oblicza szarego, z oczów gorączkowemi przeświecających przebłyskami, z postaci wychudzonej przebijała choroba, która go w lat parę później do grobu wtrąciła.

O Gillerze dużo słyszałem i pragnąłem go poznać. Renana widziałem zdaleka, Gillera poznałem zbliska: trudno znaleźć dwóch ludzi bardziej do siebie podobnych z postawy, z miny i z ruchów. Typ księży-pedagogów. Patrząc na nich, wydawało się, że cywilną odzież wzięli na siebie chwilowo i niewygodnie im w niej. Giller zamierzał wydawać zagranicą dziennik polski; mówiliśmy o zamiarze tym, który mi się wydał dobrym ze względu na potrzebę oddziaływania na opinję publiczną Polaków, przebywających zagranicą, śród których znajdowała się znaczna uciekinierów zamożnych liczba, postponujących powstanie dla usprawiedliwienia zbiegostwa swego z teatru walki. Giller zebrał już pokaźne i ufność wzbudzające spółpracowników i korespondentów grono, w gronie tem na miejscu zaszczytnem figurował Kraszewski. Zamawiał sobie i mnie; wymówiłem się: w czasie owym do niczego mniej, niż do pisania, uzdolnienia w sobie nie czułem. Nietylko powieści, ale i korespondencji dziennikarskiej skleić nie byłem w stanie. Giller zamiar swój do skutku przyprowadził później trochę [1].

Wzruszającem dla mnie spotkaniem było zetknięcie się niespodziane na ulicy z Jeskem, mężem siostry Bronisława Szwarcego, znanym mi z Warszawy stąd, że w mieszkaniu jego przy ulicy Widok schodziłem się z Komitetem Centralnym. Słyszałem, że go żona dla Ignacego Chmielińskiego porzuciła. Opowiadano o tym wypadku skandalicznym, który mi się z wielu nie podobał względów, między innemi z tego, że pani straciła na zamianie człowieka rozumnego, przyzwoitego i zacnego, na narwańca, wprowadzającego zamęt w robocie powstańczej. Jeskego nie spodziewałem się spotkać, byłem bowiem pewny, że go Moskale na Syberję wysłali. Zdziwiłem się przeto, gdy mi się nagle na ulicy pokazał. I jego widok mój zdziwił;

[1] Założył *Ojczyznę*, wydawał ją spoczątku w Lipsku, następnie, gdy Saksonja wydalać poczęła podejrzanych o uczestnictwo w powstaniu Polaków, Giller przeniósł się z nią do Bendlikonu, nad jeziorem Zurychskiem w Szwajcarji. (Nota T. T. Jeża).

dłoń do mnie wyciągnął, za rękę mnie ujął i nic nie rzekłszy, pochylił się, o pierś mi czoło oparł i płaczem wybuchnął. Domyśliłem się, że do płaczu pobudziło go wspomnienie obecności mojej w jego domu, kiedy on i żona stanowili jedno, zgodnie sprawie ojczystej służące, i byli młodą, kochającą się parą małżeńską. Coś do niego mówić musiałem, alem go pocieszać nie umiał. On do mnie słówka nie przemówił: płacz w sobie stłumił, dłoń mi mocno uścisnął i odszedł. Tylem go widział. Więcej nie spotkaliśmy się już nigdzie.

Najczęściej w Dreznie przestawałem z Kraszewskim, doznając z jego strony usłużności, dochodzącej granic ostatecznych. W czem tylko mógł wyręczyć mnie — wyręczał, myśli moje odgadywał. Żona moja miała się ze mną w Dreznie złączyć i, ponieważ czas naglił, musiałem się z nią porozumiewać na drodze telegraficznej. Gdy się o tem Kraszewski dowiedział, wziął tę rzecz na siebie dlatego, ażebym sobie nie zaprzątał umysłu sprawą, niemającą związku z zajmującemi mnie sprawami publicznemi. Sam miał umysł zaprzątnięty podwójnie, bo i sprawami politycznemi i sprawami literackiemi. Odwiedziłem go w jego na Nordstrasse mieszkaniu. Przyjął mnie w pracowni swojej, zawalonej książkami. Książki na stole stojącym pośrodku, książki w pakach, książki na podłodze, książki po kątach rzucone na kupę. Widzieć się w tem dawała świeża, na uporządkowanie oczekująca instalacja. Śród książek zaledwie przejść można było do stojącego pod oknem biurka, na którem spostrzegłem na dużego formatu listowym papierze rękopis zapisany wierszami.

— Pracujecie? — odezwałem się.

— A tak, potrosze — odpowiedział.

— Cóż to?

— Tłumaczę Danta.

— Czy mogę popatrzyć?

— Czemu nie.

Powiodłem po biurku okiem. Przed rękopisem leżała otwarta *La Divina Commedia* po włosku, za nią i obok również otwarte tłumaczenia w językach francuskim, niemieckim i angielskim; na podorędziu spoczywały słowniki tych języków. Patrząc na to, pomyślałem sobie: „Oddaje się człowiek pracy

mechanicznej w swobodnych od zajęć sprawą publiczną chwilach", i zapytałem:

— A powieść?

— Ano i powieść piszę.

— Co?! — wybuchnąłem zdumiony.

— Bez tegobym żyć nie mógł — odpowiedział spokojnie.

Tłumaczył Danta, pisał powieść, pomoc urzędnikom Rządu Narodowego niósł i mnie usługi oddawał.

Za jego pośrednictwem dostałem od żony ze Lwowa telegram, zawiadamiający mnie, że wyjeżdża, nie do Drezna atoli, ale do Monachjum, dokąd ją rząd austriacki t. zw. *Zwangpassem* [1] wysyła. Otrzymawszy ów telegraf, wyruszyłem najpierwszym do Monachjum idącym, a posiadłości austrjackie wymijającym pociągiem. Kraszewski mnie jeszcze na dworzec odprowadził.

Droga do Monachjum, na którą mnie sprowadziła rządu austrjackiego szykana, nie była wielkiem w marszrucie mojej zboczeniem. Musiałem być w Genewie dla Klapki, który tam na mnie czekał, i dla Przybylskiego, który na zawiadomienie moje, że z Drezna wyjeżdżam, miał do Genewy przyjechać celem uzupełnienia informacyj i skazówek, wyczekiwanych w Paryżu. Wyczekiwanie ogromnie nam w robotach zawadzało wogóle. W tym jednak szczególnym wypadku pozwoliło mi bez szkody dla włożonego na mnie zadania do Monachjum na spokanie żony pojechać.

Przyjechała w pogodę iście marcową — w śnieg naprzemian z deszczem padający. Przyjechała w licznem towarzystwie wygnańców, t. zw. w Austrji „obcokrajowców", wydalonych z granic posiadłości rakuskich wskutek ogłoszenia Galicji w stanie oblężenia. Zabrałem ją z dworca kolei do hotelu, od pierwszego na nią wejrzenia poznawszy, że jest chorą. Srodze mnie to zaniepokoiło. Wezwałem niezwłocznie lekarza, który po opatrzeniu i wyegzaminowaniu jej zadecydował, że choroba dłuższej i starannej wymaga kuracji. Przykra to była dla mnie niespodzianka — prawdziwa niespodzianka, na zdrowie bowiem żony mojej liczyłem napewne i na podstawie tej pewności zgodziłem się na uczynienie domaganiu się jej towarzyszenia mi dawniej do Sztokholmu, obecnie do Belgradu, zadość. Po

---

[1] Za paszportem przymusowym. (Nota T. T. Jeża).

rozeznaniu jednak choroby uznałem, że zrobiła dobrze. Gdyby była w Czortkowie pozostała, byłbym ją postradał i kto wie, coby się z dzieckiem mojem stało. Poczułem krzyż na sobie. Nie pytałem siebie, czy go udźwignę, ale...

W Monachjum przenocowaliśmy; w dniu następnym nocowaliśmy w St. Gallen, na ziemi szwajcarskiej. Jednym ciągiem nie mogłem wieźć chorej kobiety, więc raz jeszcze zatrzymaliśmy się na nocleg w Aarau i z Aarau na Neuchâtel (kolej na Bern nie istniała jeszcze) dojechaliśmy do Genewy, zaznawszy ze strony Szwajcarów płci obojga tak po hotelach, jakoteż na pociągach, życzliwości uprzejmej, która nas mocno dla nich ujęła. Ze wspomnień podróży tej zachował się nam w pamięci pies, kupujący warzywa na rynku w St. Gallen. Chodził pomiędzy przekupkami z koszykiem w zębach, z koszyka przekupki wyjmowały kartkę i pieniądze, i wkładały natomiast wraz z resztą i z kartką jarzyny. Widowisko to przedstawiło się nam z okien hotelu.

Najpierwszy na grunt szwajcarski wstęp jaknajlepsze na mnie sprawił wrażenie. Wrażenie to pozostało na zawsze.

W Genewie zgłosiłem się przedewszystkiem do kapitana Stryjeńskiego, b. kapitana artylerji polskiej w r. 1830/31, agenta Rządu Narodowego, pełniącego funkcję inżyniera kantonalnego. Jest to jedna z postaci, czyniących zaszczyt starej emigracji polskiej. Nim się w Genewie osiedlił, mieszkał we Fryburgu, gdzie się ożenił, urzędując jako inżynier, pomocnik Dufoura w pomiarach i przy kreśleniu topograficznej mapy Szwajcarji. Powszechnie go w ojczyźnie Tella szanowano, czczono niemal. Zgłosiłem się tedy do niego celem dowiedzenia się o mieszkaniu Klapki, prosząc go przytem, ażeby mi wskazał lekarza, któremubym mógł z ufnością całą żonę moją powierzyć. Wskazał mi lekarza (Maunoire'a) i pensję do ulokowania chorej i zapewnienia jej opieki odpowiedniej. Załatwiłem się z tem tak prędko, żeśmy w hotelu nie dłużej nad jeden pozostawali dzień. Żona moja z dzieckiem przeniosła się na pensję; ja dwa dni jeszcze zabawiłem. Byłem u Klapki, posiadającego dom własny na Pâquis; z Przybylskim na obiedzie załatwiliśmy, co do załatwienia było, złożyłem wizytę pani Hauke, której mąż, generał Bosak, znajdował się jeszcze na teatrze powstania i, powierzywszy żonę opiece kapitana Stryjeńskiego,

dra Maunoire i panny Blanvallet (właścicielki pensji), ruszyłem dalej.

Genewa na wstępie nie obeszła się z nami gościnnie. Natknęliśmy się na bizę [1], strącającą kominy i zrywającą z domów dachy. Wyszedłszy z żoną na miasto celem kupienia dla dziewczynki naszej trzewiczków, z wielkim jeno trudem zdołaliśmy spod świeżo naonczas założonego Ogrodu Angielskiego przez ulicę się przepchać.

Żona moja przywiozła ze sobą paręset dukatów, zostawionych jej przeze mnie w lutym 1863, gdym się z nią w Michalenach rozstał. Pieniądze te pozostawiłem u niej nadal, na kurację i, gdy do zdrowia powróci, a żadna na drodze nie stanie przeszkoda, na podróż do Belgradu. Pod przeszkodą rozumiałem wypadki w Węgrzech i na Słowiańszczyźnie, z wywołaniem których ściśle się podróż moja łączyła. Nie powiadałem o nich żonie i w duszy rad byłem temu, że w bezpiecznem burzę przeczeka miejscu, w bezpieczniejszem aniżeli — w przewidywaniu, iż się urzeczywistnią zasnute zamiary nasze — Czortków, Lwów i Galicja cała.

Z dobrą w dalszą podróż puściłem się otuchą.

Do Turynu prowadziła kolej na Mont-Cenis, pod którą przebijano tunel, oddany na użytek komunikacji w 1870 r. dopiero. Wówczas przez górę przejeżdżało się dyliżansem, szosą zbudowaną za czasów Napoleona I. Dyliżans zabrał podróżnych na stronie francuskiej, do połowy góry wiózł na kołach, od połowy saniami; wlekliśmy się noga za nogą, mimo że wciągały pojazd cztery w lejc założone perszerony; po drugiej zato stronie zjeżdżaliśmy całym jednego, zaprzężonego dla utrzymywania tylko we właściwym kierunku dyszla, konia pędem. Najprzód sanie, następnie koła toczyły się własnym ciężarem. Po stronie włoskiej przesiadłem się do wagonu, z którego wysiadłem w Turynie.

O tej pierwotnej niezjednoczonych jeszcze podówczas Włoch stolicy nic nie umiem powiedzieć. W braku nietyle ochoty, co czasu, nie zwiedzałem jej. Za pośrednictwem przebywającego w niej stale, a od Józefa Ordęgi zależnego agenta, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, zgłosiłem się do Sco-

---

[1] Biza, *la bise* = wiatr północny.

vazziego[1], archiwisty izby prawodawczej czy senatu, osobistego Mickiewicza przyjaciela, gorącego przyjaciela Polski i gorącego towiańczyka. Scovazzi pełnił funkcję parawana, służącego do osłaniania stosunków rządu włoskiego z rewolucjonistami. W istotę stosunków on nie wchodził. Służył za parawan. O mnie był już uprzedzony. Gdym się przeto u niego nad wieczorem zjawił, prosił mnie do siebie nazajutrz około dziesiątej rano i zamówił na śniadanie.

— Minister na pana czeka. Po załatwieniu się z nim, zjemy śniadanie razem i pomówimy o Polsce. Mówiłem o niej często z przyjacielem moim Mickiewiczem, wielkim waszym poetą, — wielkim poetą i wielkim człowiekiem.

Stanął ze mną odrazu na stopie przyjacielskiej i do serca mi ten na ascetę z pozoru wyglądający starzec przypadł. Wyszedłszy od niego, pogapiłem się trochę w mieście; zeszedłem się następnie z drem Kwaternikiem, wybierającym się do Kroacji, i z pułk. Surmackim, czekającym na wojnę Włoch z Austrją, zdaniem jego nieochybną.

Nazajutrz Scovazzi przechodami, któremi ambasadorowie nie wchodzą, wprowadził mnie do ministerstwa spraw zewnętrznych. Drzwi mi otworzył i cofnął się. Znalazłem się w komnacie obszernej, mało umeblowanej, wobec jegomości jakiegoś średniego wzrostu, szczupłego, z czarnym zarostem. Jegomość ów, nie pytając mnie, com zacz, dłoń mi do uścisku podał i siedzenie wskazał.

— A więc, panie pułkowniku, jedziesz do Belgradu — zaczął.

— Tak jest — odrzekłem.

— Konsulem naszym w Belgradzie jest pan Scovasso. Uprzedzony on o przybyciu pańskiem. Robota ta wielkich wymaga ostrożności.

— Nie posuwanych jednak — wtrąciłem — tak dalece, ażeby nic nie robić.

Uśmiechnął się.

— To się rozumie — odrzekł. — Warunki jednak, w jakich się Włochy znajdują, nakazują nam zachowywać pozory,

---

[1] Scovazzi Giovanni, autor m. i. bezimiennie wydanej broszury, *Polonia — ultimi casi di Varsavia*, Torino 1861 (przyp. A. G.).

póki rzecz nie dojrzeje o tyle, że na niej się opierając, na wojnę się ryzykować będzie można. Wojna jest zawsze ryzykiem, dla Włoch tem większem, że nie stoją one jeszcze o sile własnej.

Wyłożywszy położenie Włoch, będących w dobie formacji państwowej, otoczonej trudnościami wielkiemi, jegomość ów oświadczył mi, że Włochy wówczas dopiero wojnę Austrji wydać będą mogły, gdy się powstanie węgiersko-słowiańskie dokona, rozwinie i utrwali. Uznałem to za rzecz zupełnie słuszną z punktu widzenia włoskiego, ale zauważyłem, że zapoczątkowanie ze strony Włoch dodałoby Węgrom i Słowianom otuchy i ochoty i wybuchby przyspieszyło. Na to Włoch w dosyć szerokim wywodzie wyznał mi, że Słowianom niekoniecznie dowierzać można ze względu na ich do Węgrów pretensje, które tak dosadnio wyraziły się w r. 1848—9.

— Jedyną dla nas rękojmią — mówił — jest pośrednictwo polskie. Pośrednictwa polskiego domagaliśmy się i radzi temu jesteśmy, że się ono wiąże z interesem powstania polskiego, cudownego, zdumiewającego powstania.

Powstanie dostarczyło wątku do rozmowy dalszej, zasnutej około pytania, czy się ono utrzyma po zaprowadzeniu stanu oblężenia w Galicji. Odpowiedziałem, że zależy to od dywersji, jaką w odniesieniu do stanu oblężenia będzie powstanie węgierskie, które Polsce odda Galicję i otworzy dla niej resursy europejskie.

— Chodzi o to — rzekłem — ażeby to nastąpić mogło jaknajprędzej, bo nam tchu braknąć już zaczyna.

Uznał to.

Dotknąłem kwestji subsydjów pieniężnych, potrzebnych do powodzenia rzeczy. Minister (nie wiem, czy to był Visconti Venosta w osobie własnej, czy też który z wysokich ministerstwa spraw zagranicznych urzędników) wymówił się, powiadając, że rząd, mimo iż szczupłemi rozporządza funduszami, gotów jest ponosić w części jakiejś koszta, nie zgóry jednak, ale zdołu. Dało to mi poznać, że spółdziałanie Włoch w zamierzonym węgiersko-słowiańskim ruchu powstańczym polega na intencji przyjścia do gotowego. Gdy się rzecz dokona i należycie rozwinie, wówczas Włochy z pomocą przyjdą. Nie zrażało mnie to. Ostrożność włoska wydała mi się o ile naturalną, o tyle racjonalną. Nie nalegałem przeto na subsydja, mimo

żem mocno życzył sobie zaopatrzyć w pieniądze dra Kwaternika dla zapewnienia mu swobody ruchów, której zapewnić w szerszym zakresie nie mogły dane przeze mnie 1000 fr. Nie wspomniałem więc nawet o tem, luboć o Kwaterniku była mowa i o Klapce.

— Znacie się panowie z czasów wojny węgierskiej — rzekł Włoch.

Odpowiedziałem, że w czasie wojny węgierskiej znałem Klapkę ze słyszenia tylko, znajomość zaś osobistą zawarłem z nim w Konstantynopolu w r. 1854.

Zaczepił mnie następnie o paszport. Miałem przy sobie, zawizowany w Paryżu, a wydany mi jeszcze w Tulczy przez wicekonsula paszport francuski.

— To dobrze — odrzekł.

— Możeby dogodniejszym był dla mnie paszport włoski — zauważyłem.

— Czemu?

— Gdyby mi wypadło zgłosić się do ambasady włoskiej w Konstantynopolu.

— Ambasada o panu zawiadomiona, gdyby zaś i zawiadomiona nie była, mógłbyś się do niej zgłosić za pośrednictwem barona d'Oksza.

Nazwisko to usłyszałem po raz pierwszy; usłyszałem je jednak takim wymówione tonem, jakim się wymawiają nazwiska osób, z któremi znajomość najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nie zapytałem przeto, co to za jeden, pomyślawszy sobie, że o baronie owym w Konstantynopolu od Orzechowskiego się dowiem.

Mąż stanu włoski, powtórzywszy o zawiadomieniu o mnie konsula w Belgradzie, z naciskiem pewnym mówił, że paszport francuski lepiej i pewniej na Wschodzie osłania aniżeli włoski.

Konferencję zakończyło przyrzeczenie poparcia powstania węgiersko-słowiańskiego siłami całemi, poczem, wraz z życzeniem mi dobrej drogi i pomyślności w zamiarach, nastąpiło mocne, długie dłoni mojej uściśnięcie.

Scovazzi na mnie czekał ze śniadaniem do którego zasiedliśmy we dwóch. Gdyśmy zasiedli, zapytał:

— I cóż, zadowolnionyś pan z konferencji?

— Taak — odpowiedziałem.

— Polska... o! Polska! — podchwycił z akcentem znamionującym zapał. — Zepchnięta z przodowego stanowiska przez zbrodniarzy, przez złoczyńców, wysuwa się znowu naprzód i wysunie się... i będzie ludzkości przodowała. O! to nie chybi. Nie może w niewoli pozostawać naród, co z łona swego wydał mężów takich, jak Kopernik, Sobieski, Kościuszko, Towiański.

Sprzężenie nazwiska ostatniego z trzema poprzedniemi wywołać musiało zdziwienie w wejrzeniu mojem, Scovazzi bowiem powtórzył je:

— Towiański... tak, tak, Towiański. Wielki człowiek! Jak Kopernik ziemię, tak on duch ruszył. Prawdę odkrył, światło wskazał. Za światłem tem poszedł Mickiewicz, wielki poeta.

Ponieważ nie przeczyłem ani potakiwałem, Scovazzi się odezwał z akcentem zapytania:

— Nie uznajesz Towiańskiego, pułkowniku?

— Nie rozumiem go — odrzekłem.

— To mnie nie dziwi — zawołał. — To rzecz naturalna. Jest on spółrodakiem waszym, śród was się zjawił i bijący od niego blask olśnił was. To samo stało się z Chrystusem. Żydzi go nie zrozumieli i odepchnęli, z wyjątkiem apostołów. I Towiańskiego apostołowie otoczyli, apostołowie Polacy... Mickiewicz.

Rozgadał się staruszek. Przez cały czas śniadania o Towiańskim mówił, wykładał naukę jego, alem go tyle zrozumiał, co kilka tygodni temu Rettla.

Tego dnia jeszcze wieczorem, załatwiwszy się ze zdaniem pisemnie sprawy z konferencji w ministerstwie włoskiem Przybylskiemu i udzieliwszy Kwaternikowi wedle tejże konferencji skazówek, wyjechałem do Genui.

Konferencja w ministerstwie włoskiem świadczy, że sprawa polska w epoce powstania styczniowego wchodziła, wbrew twierdzeniom pisujących o niej ugodowców w rodzaju hr. St. Tarnowskich, pp. Koźmianów, Z. S. L.[1] i in., do politycznych w Europie kombinacyj. Nietylko wzbudzała ona sympatje narodów, lecz wiązała się z interesami państw. To jej znaczenie stwierdza każdy ruch poważniejszy Polski, wykazując

---

[1] W. Przyborowski.

dowodnie, że Polska nie jest *une quantité négligeable*, że jest Europie potrzebną, że na nią pora przyjdzie, jeżeli sama nie zapomni o sobie. Niewyzyskanie dotychczasowe jej znaczenia nie dowodzi bynajmniej, że się bez niej Europa obejdzie; dowodzi, że bądź znaczenia wyzyskać odpowiednio nie umiano, bądź też na przeszkodzie przygodnie stawał szczególny nastawienia się stosunków politycznych zbieg. Napoleon III nie umiał znaczenia Polski wyzyskać ani w dobie wojny wschodniej, ani przy okazji powstania styczniowego. Za błąd ten Francja pokutuje dotychczas.

W momencie wyjazdu mego z Turynu do Genui Francja cesarska na szczycie potęgi stała, a odnoszenie się gabinetu paryskiego do powstania polskiego, jakoteż do dworu sabaudzkiego, upoważniało do upatrywania Francji za plecami tego ostatniego. Nie wątpiłem, że jak skoro się sprawa polska ze sprawą włoską skojarzy, będzie to hasłem do zaniechania not dyplomatycznych i zamienienia ich odezwami, wygłaszanemi przez działa i karabiny. Liczyłem na to, że posunięciu na szachownicy przez Bismarcka pionka duńskiego odpowie posunięcie pionka węgiersko-słowiańskiego. Chodziło o to, ażeby to ostatnie nastąpiło jaknajprędzej, ażeby uprzedziło ostateczne bijącego już jednem skrzydłem powstania polskiego wysilenie się i rzucenie przezeń pod stopy moskiewskie oręża.

Tak rozmyślałem, wsiadając w Genui na okręt. W Genui przenocowałem tylko i niby senne widowisko przypominają się mi: miasto i port, szerokie śród pałaców i parków ulice, i ulice woniejące dziegciem, oliwą i tranem rybim.

Przejazd z Genui do Liworno znikł mi z pamięci. W Liworno wsiadło podróżnych sporo, śród nich dwóch księży, jeden w habicie kapucyńskim, drugi w czamarze o długich połach, z potrzebami i w czapce czworograniastej z barankiem. W tym ostatnim, po długich połach poznawszy, że to ksiądz, podejrzałem Polaka. Że jednak z zakonnikiem się trzymał, i zakonnika przeto o toż samo podejrzewałem. Dla sprawdzenia wypatrzyłem ich na ławce na pokładzie, zająłem obok nich miejsce i po chwili o słuch obiły się mi czysto po polsku przez zakonnika wymówione wyrazy:

— Ciekawa rzecz, kiedy tu oni na statku jeść dają.

Ksiądz w czamarze ramionami ścisnął na znak niewiadomości.

— O dwunastej śniadanie, o szóstej obiad — odpowiedziałem.

— Polak, a! Polak! — wykrzyknęli obaj głosem jednym, a jeden z nich dodał: — We Włoszech się ciągle z Polakami spotykamy. W Liworno na statek wsiedliśmy z Polakiem. To jest, on to niby nie Polak, ale Polak: bił się w powstaniu, a teraz jedzie do Konstantynopola, wysłany przez Rząd Narodowy.

„Masz go! — pomyślałem sobie. — Coż to znaczy?“

Ksiądz się dokoła obejrzał.

— Po pokładzie chodził. Gdzieś się zapodział, ale pokaże się niebawem. A! o! Oto on!

Wskazał mi zbliżającego się ku nam powoli człowieka wieku średniego, wzrostu średniego, mocno zbudowanego i trzymającego się poważnie.

— Panie! — przemówił ksiądz do niego, mnie mu wskazując. — Ten pan także Polak.

— Polak — rzekł ów. — No... od kad?

— Z Polski — odrzekłem.

— Z powstania?

— Z powstania.

— I ja sem z powstania.

Akcent na słowacki zarywał.

— Pod kim się to pan bił? — zapytał ksiądz.

— Pod kim? A już. Biłem se pod pułkownikiem Milkowskim.

— Otóż to; zapomniałem — odezwał się ksiądz.

Nijako mi się zrobiło. Jegomość ów miał wygląd cale przyzwoity. To w żywe oczy rzucone mi przezeń kłamstwo zmieszało mnie, zmieszało tem bardziej, że bezpośrednio po niem nastąpiło pytanie:

— Czyś pan o pułkowniku Miłkowskim słyszał?

— A tak — odrzekłem. — Słyszałem.

— Jakże to tam było? — odezwał się ksiądz.

Nieraźno mi się zrobiło. Wstałem i odszedłem. Z księżmi spotkałem się przy stole drugiej klasy — jechaliśmy razem tylko do Civita Vecchia. Jegomość ów, drugi z takich, co w obecności mojej przyznawali się kłamliwie do służenia pod rozkazami mojemi, towarzyszył mi do Konstantynopola. Nie zarzuciłem mu kłamstwa; nie wiedział, kto ja, mimo to usługi mi

oddawał. W Neapolu, w Messynie, gdzie statek stał w porcie po godzin kilka, służył mi za przewodnika i cicerone przy zwiedzaniu tych miast i doskonale się z zadania wywiązywał. W Messynie opowiadał o szturmowaniu do miasta pod Garibaldim, pod którym jakoby służył; wskazywał mi zdaleka stanowiska bateryj. Ze wszystkiego się pokazywało, że był to bywalec, który dla jakiegoś celu osobistego wziął na siebie rolę wysłańca Rządu Narodowego. Ta rola podejrzanym mi go czyniła, podejrzanym tem mocniej, że wiózł ze sobą dokumenty, z pozoru na autentyczne wyglądające. Pokazywał mi je, alem ich do rąk nie brał i o nazwisko go nie pytałem, ażeby nie powiadać mu mego. W jaknajlepszej harmonji dojechaliśmy do Konstantynopola. Ze statku wysiadłszy, z oczu go straciłem. O przybyciu jego zawiadomiłem agenturę naszą, której przewodniczył młody w czasie owym człowiek, doktor medycyny z Uniwersytetu Kijowskiego, właściciel sporego na Podolu rosyjskiem majątku, Tadeusz herbu Oksza Orzechowski. Przybrał nazwisko herbowe, przyozdobił je w tytuł barona; dowiedziawszy się o tem, zrozumiałem, o kim pod nazwiskiem baron d'Oksza mówił mi minister w Turynie. Polacy zwali go Tadeuszem Okszą.

Jeżeli o kim, to o nim powiedzieć należy, że się na dyplomatę urodził. Dyplomatycznem było w nim wszystko, co fizyczną i moralną istotę człowieka stanowi. Małego wzrostu, o dużej głowie i jasnych wyrazistych oczach, blondyn, nie pokaźny ani piękny, umiał jednak być ujmującym, serce jaknajlepsze, sumienie luźne, zasady żadne, w tem znaczeniu, jakie się do wyrazu „zasady" przywiązuje: na miejscu ich Polska, Polska jakakolwiek, monarchiczna czy republikańska, arystokratyczna czy demokratyczna, katolicka, protestancka, prawosławna, muzułmańska czy bezwyznaniowa, wywalczona, wyprocesowana czy wyproszona, byle Polska. Dojście do niej prostą lub krzywą drogą było to dla niego wszystko jedno. Szedł ku niej nie spiesząc się, drogami albo manowcami, jakie się w danym nastręczały momencie. Gdy zaś taki nadszedł moment, w którym drogi i ścieżki przedstawiały się mu mętnie, wówczas pokutujący w nim duch działalności zwracał go ku własnej jego osobie i wprowadzał na takie same drogi i manowce. Pojął za żonę pannę Kaczkowską, córkę Karola Kaczkowskiego, naczel-

nego armji polskiej r. 1831 lekarza; od krewnych swoich, Sobańskich, nabył w Szwajcarji stary zamek, osiadł w nim i naukom się oddał (wydał teścia swego ciekawe bardzo pamiętniki [1] i dwa tomy napisanej po francusku, a doprowadzonej do bitwy na Kosowem Polu historji Turcji); zamek ów sprzedał i rzucił się na pole spekulacji, na którem raz głośno trzaskające, znów rwące się bicze z piasku kręcił.

Nastąpiło to jednak później, dużo później. Poznałem go w momencie, kiedy na drodze karjery swojej pierwsze stawiał kroki. W r. 1863 był on członkiem wydziału Rządu Narodowego w Odesie, z którym miałem stosunki w czasie przysposabiania wyprawy tulczańskiej. Znałem w Paryżu w r. 1858 brata jego starszego Juljusza. Zbliżało nas to jeszcze, żeśmy prawie jednopowiatowcy byli: ja z powiatu bałckiego, on z jampolskiego, w którym leży z dziejów wojen kozackich pamiętna własność dziedziczna Orzechowskich, duża nad Dniestrem wieś Busza. A i bez tego jednak Oksza jaknajlepszeby na mnie sprawił był wrażenie, znalazłem w nim bowiem młodego człowieka wysoce wykształconego, w obcowaniu miłego, w Polskę wierzącego (jedyna jego wiara szczera), o szerokich a trafnych we względzie politycznym poglądach. Agenturę urządził na stopie urzędowej: kancelarja, sekretarze, jeden Polak, drugi Francuz, *attachés*. Urządzenie to taki sprawiało efekt, jakby agencja polska sprawowała interesy regularnie funkcjonującego i za legalny uznawanego rządu.

Zależność moja od Okszy była połowiczna, polegała bowiem na tem wyłącznie, że agencja polska w Konstantynopolu pośredniczyć miała w stosunkach pomiędzy mną a Rządem Narodowym. Na tem ona polegała ze względu na jawność agencji i na wynikające stąd ułatwienia w wysyłaniu i otrzymywaniu pisemnych i telegraficznych komunikatów, tudzież przesyłek pieniężnych. Łatwości podobnej nie przewidywałem w Belgradzie, stolicy państewka uzależnionego od Austrji, od Rosji, pozostającego w lennym do Turcji stosunku, w którem położenie moje innem być nie mogło, jeno takiem, jakiem było w Rumunji — wystawionem na ciekawość agentów policyj tajnych, a osłoniętem naukowo-literackim pozorem. Dla oka

---

[1] Kaczkowski K., *Wspomnienia*, Lwów 1876.

podróż moja do Belgradu była podążaniem do zacisza, zapewniającego mi wypoczynek po trudach i spokój w pracy. Żona i dziecko pozór ów potęgowały. Okszy w odniesieniu do mnie zadaniem było pomaganie mi, o ile na to stanowisko jego pozwalało. Dałem mu przeto ogólne, co się działalności mojej tyczyło, pojęcie i umówiłem się z nim o takie szczegóły, jak: znaki na kopertach, klucz korespondencyjny, atrament sympatyczny, klucz telegraficzny itp. Zapowiedziałem mu, że na ręce jego nadejdą dla mnie od Rządu Narodowego obiecane mi przez Przybylskiego pieniądze, których posiadałem tak szczupło, żem musiał z nich żonę częściowo obrać, ażebym się mógł odpowiednio do pozoru w Belgradzie zainstalować.

Ostrzegłem Okszę o jegomości, niby-Polaku, co się za podkomendnego mego podał i w charakterze wysłańca Rządu Narodowego ze mną do Konstantynopola przyjechał, i zabawiwszy w stolicy Wschodu nie dłużej nad dni parę, w dalszą puściłem się podróż. Wsiadłem na statek Lloyda austrjackiego; wziąłem jednak bilet nie do Belgradu, ale do Radujewaca. Radujewac znany mi był. Spędziłem w nim w r. 1854 dni cztery, w kwarantannie z Mikułowskim. Wybrałem tę przystań, nie wiedząc, czy statek zatrzymuje się w Kladowie i czy podróżnych wysadza na brzeg pierwej w Tekieh, aniżeli w leżącej naprzeciwko Orsowie. Od Orsowy zaczyna się i wgórę Dunaju lewym brzegiem ciągnie się granica węgierska, dozorowana w czasie owym przez władze austrjackie. Mieć cokolwiek z temi ostatniemi do czynienia nie życzyłem sobie. Dlatego, celem zabezpieczenia się przeciwko możliwemu wypadkowi, takiemu np. jak rewizja na statku i oglądanie paszportów (a miałem paszport na własne nazwisko), wylądowałem na brzegu serbskim w zamiarze odbycia podróży dalszej wozem.

Wylądowałem sam jeden i wprowadzony zostałem do komory celnej, w której kilku urzędników zabrało się gorliwie do szukania w walizce i w torbie podróżnej mojej artykułów opłacie podlegających. Szukali, przeglądali, nad tem i owem naradzali się, natrafili wreszcie na butelkę *vinaigre de toilette*, odetkali ją i wąchali, niepewni do jakiego służy ona użytku. Domyślali się, że to trunek i należy się od niego opłata. Tłumaczyłem, że płyn ów do mycia się służy. Wierzyć nie chcieli, utrzymując, że ludzie myją się wodą. Powstał stąd pomiędzy

celnikami a mną dosyć ostry spór, który na korzyść moją rozstrzygnął wezwany przez celników dyrektor komory, stary, poważny Serb. Wytłumaczył on im, że ludzie, co śmierdzą, używają pachnideł do zagłuszania smrodu.

Z komory celnej przeniosłem się do wznoszącej się nieopodal mehany [1]. Zastałem w izbie szynkowej Serbów sporo, grających w karty — karty stanowiły, i dziś zapewne stanowią, plagę ludności serbskiej — i rozpytywać począłem o kołową do Belgradu drogę. Opowiadano mi ją bałamutnie. Droga na Zajczar wydała mi się za daleką. Pytałem, czyby się nie można dostać brzegiem Dunaju.

— Można o to rozpytać w Tekieh.

Tekieh zapamiętałem z r. 1849. W miasteczku tem postawiłem pierwszy na drodze tułaczki krok.

— A jak się do Tekieh dostać? — zapytałem.

— Ze mną — odpowiedział tenże. — Tam niedaleko jadę, to ciebie podwiozę.

O zapłatę się umówiłem, pojechaliśmy.

W Tekieh nocować musiałem nie dla pojechania dalej kołami, lecz dla popłynięcia łodzią. Zawiodło mnie przysłowie: „Kto pyta, ten jedzie“. Pytałem, i pokazało się, że chcąc się do Belgradu stamtąd dostać drogą lądową, trzeba wracać, skąd przyjechałem. Pozostawała droga wodna dwojaka: albo austrjackim statkiem parowym, na który tydzień czekać trzeba było, albo też łodzią, która za dni trzy do Belgradu zawiezie. Że mi chodziło o to, aby nie wchodzić na pokład statku, przybijającego do portów austrjackich i znajdującego się pod dozorem policji austrjackiej, zdecydowałem się na łódź. Najęcie łodzi wynosiło niewiele więcej niż przejazd na statku. Przenocowałem tedy w Tekieh i nazajutrz o dnia świtaniu puściłem się w towarzystwie jakiegoś Greka łodzią, obsługiwaną przez dwóch wioślarzy Serbów: chłopa lat około czterdziestu i dziewiętnasto, może osiemnastoletniego chłopaka — obaj mocno zbudowani i na zuchów wyglądający.

Podróż przy pogodzie odbywała się rozkosznie wzdłuż brzegów urwistych, układających się w krajobrazy malownicze, nad któremi na podniebiu ważyły się orły, mieszkańcy gór,

---

[1] Dom zajezdny. (Nota T. T. Jeża).

wpoprzek których Dunaj sobie łożysko wyżłobił. W podłużnej, obszernej łodz nam czterem było wygodnie. Mogłem dowolnie siedzieć, leżeć, stawać i kości wyciągać; Grek na wędkę łapał szterlety, wioślarze mieniali się u wioseł i u rudla. Na noc przybijaliśmy do brzegu, gdzie do stóp gór przylegały lasem zarosłe dolinki, rozkładaliśmy ognisko, przy którem na patyku, niby na rożnie, Grek szterlety piekł, posilaliśmy się i noc przy szmerze bijącej o brzeg wody spędzali. Wioślarze trzymali się strony serbskiej; ponieważ jednak płynęliśmy pod wodę, w miejscach przeto, gdzie nurt silniejszy wiosłowanie utrudniał, podpływali pod brzeg węgierski, rzucali sznur holownikom, żołnierzom od straży pogranicznej, i ci łódź na przestrzeni raz większej, znów mniejszej ciągnęli. Tak dopłynęliśmy do porohów dunajskich. Gdyśmy się do nich zbliżali, wioślarz starszy na przodzie łodzi przymocował sztorcem żerdkę wysokości półtora chłopa, przez wierzch jej przełożył sznur, którego grubość nie dochodziła grubości małego palca, i cisnął go holownikom. Grek na brzeg wysiadł. W łodzi pozostaliśmy we trzech: starszy wioślarz przy rudlu, ja wgłębi na siedzeniu, plecami doń zwrócony, przede mną przy żerdce chłopak. Spoglądałem to na przerzucający się przez rzekę poroh skalisty (nieistniejący obecnie — dwa lata temu wysadzony został dynamitem) i na tryskające spośród skał tu i ówdzie węższe i szersze wodospady, to na wodospad najszerszy, przez który przy wysokiej wodzie przechodziły statki parowe, to na szereg zgiętych pod sznurem holowników, ciągnących łódź naszą w corazto mocniejszym prądzie. Dociągnęli ją wreszcie do kłębiącej się, spienionej poprzecznicy, wytwarzającej się u spodu spływającego z szumem z wyżyny szerokiego potoku. Łódź przodem dogóry się wzniosła, jakby sztorcem stanąć miała. Z brzegu słyszeć się dały nawoływania, służące do potęgowania wysiłku. Łódź naprzeciw pędzącej z hukiem wody, opływającej ją i wtył pchającej, szła, wznosiła się, wznosiła, już prawie wierzchołka dochodziła, nagle sznur pękł — łódź zachwiała się, zwinęła, zadrgała i... swobodnie spłynęła. Stało się to tak prędko, tak nagle, tak w jednem źrenicy mgnieniu, że pierwej, niżelim się niebezpieczeństwa domyślił, zobaczyłem śmiertelną na obliczu siedzącego przede mną chłopaka bladość. Nim bladość ta zeszła, ręke wyciągnął i, na sternika palcem wskazując, kilkakrotnie zawołał:

— To jemu dziękować! to jemu dziękować!

W rzeczy samej, gdyby nie on, nie jego przytomność umysłu, zręczność i umiejętność w pokierowaniu rudlem, bylibyśmy, dwaj Serbowie i ja, poszli rybom na łup.

„Co ma wisieć, nie utonie“ — pomyślałem sobie. Kilkakrotnie w życiu mojem głębie wodne otwierały się pode mną, chłonęły nawet, i nie pochłonęły. I kule mnie się nie imały. Że zaś byłem zbrodniarzem kwalifikowanym w oczach mocarstw tak cnotliwych, jak Rosja, Prusy i Austrja, niemałem więc było do prawdy podobieństwem, że skończę na stryczku, jeżeli im w łapy wpadnę. Dlatego, żeby się to prawdopodobieństwo, jeżeli nie literalnie, to w przybliżeniu (na słomie więziennej np.) nie sprawdziło, nie ryzykowałem się pod nazwiskiem własnem na grunt berłu Habsburgów podległy. Pęknięcie sznura holowniczego zmusiło mnie grunt ów deptać. Łódź do brzegu przybiła, wysiadłem i wszedłem pomiędzy holowników, którymi byli graniczary, żołnierze slawońscy z tego właśnie wojska, na które Kwaternik liczył. Było ich ze dwudziestu. Przypatrywałem się im ciekawie. Smutne na mnie zrobili wrażenie. Sama młodzież, śród której ani jeden nie wydał mi się zdrowym i silnym. Płaszcze żołnierskie wisiały na nich jak na szkieletach, spod furażerek wyglądały zżółkłe, zmizerowane oblicza, jakie się zwykle widzieć dają po szpitalach. Słyszałem od Kwaternika, że w wojsku tem panuje niezadowolenie spowodu złego z niem obchodzenia się Austrji. O prawdzie słów tych dosadnie świadczyła ta próbka, którą przed oczyma miałem. Ażeby jednak wojsko takie użyć, potrzeba je było pierwej odkarmić. Biedne austrjackiej wdzięczności ofiary!

Nie przypominam sobie, jak się dalsza odbyła podróż. Nie pamiętam nawet, gdziem na brzeg wysiadł. Wspomnienia moje błąkają się pomiędzy miasteczkami: Dobre i Gradiszte. To jeno jest rzeczą pewną, żem do Belgradu zajechał pomyślnie i stanął w hotelu Pod jeleniem, czy też Pod złotym jeleniem, w stolicy Serbji w czasie owym najporządniejszym. Jak skorom numer zajął i z kurzu podróżnego się obmył, wnet dowiadywać się zacząłem o Pawła Słotwińskiego, o którym wiedziałem, że się z Serbką ożenił i w Belgradzie osiedlił. Poznałem się z nim w Konstantynopolu w czasie wojny wschodniej.

Hotel frontem wychodził na obszerny, niebrukowany plac, przy wnijściu na ulicę, prowadzącą do fortecy obsadzonej przez załogę turecką. Naprzeciw, po drugiej stronie placu, mieszkał Słotwiński. Udałem się do niego, bodaj czy nie w dniu przybycia mego; poznałem jego żonę, wdowę po jakimeś Pułaskim, roszczącą w imieniu córki z pierwszego małżeństwa pretensje do pokrewieństwa z wodzem, wsławionym w konfederacji barskiej, i do pozostawionego jakoby przezeń w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej olbrzymiego majątku. Zamierzała ona o spadek ów na rzecz córki się upominać; tymczasem, ponieważ posiadała języki francuski, niemiecki i in. (była poliglotką), utrzymywała szkółkę panieńską. U Słotwińskiego zastałem brata jego młodszego, młodego księdza pijara, uczestnika powstania.

Pp. Słotwińscy życzliwie, serdecznie nawet, mnie przyjęli i bardzo mi się nadali w rozpatrzeniu się na gruncie serbskim. Za ich idąc wskazówkami, nająłem na przedmieściu, zwanem Wraczar, domek, zaopatrzyłem go w meble, sprzęty i naczynia,— w ten sposób osłoniłem charakter polityczny, w którym przybyłem. Do tem lepszego osłonięcia posłużyły mi polecenia, w jakie mnie w Dreznie zaopatrzyli Czesi. Jeden z ich spółziomków był w Belgradzie metrem muzyki. Za jego pośrednictwem zabrałem w naukowym i literackim świecie kilka znajomości, między innemi z Pawłem Szafarzykiem, bibljotekarzem przy bibljotece publicznej, synowcem Józefa, z Nowakowiczem, natenczas nauczycielem gimnazji i redaktorem *Wili*, czasopisma literackiego, późniejszym ministrem, z Ludomirem Nenadowiczem, poetą, ze Sretkowiczem, Kujundiczem, Jokiczem i in. Słotwiński wprowadził mnie w towarzystwo kolonji francuskiej, składającej się z urzędników konsulatu i kompanji, która u rządu serbskiego dzierżawiła kopalnię miedzi w Majdanpeku. W kompanji tej pełnił on funkcję buchaltera, zdaje się, pełniąc przytem jakąś i w konsulacie funkcję, obok Badowskiego, kanclerza, kolegi mego z wojny węgierskiej. Kolonja francuska wieczorami schodziła się na bakarata.

Obcowanie z Serbami i niemogącymi być o żadne zamiary występne posądzonymi Francuzami, obok tego regularne uczęszczanie do bibljoteki celem studjowania historji, literatury i naukowości serbskiej, nadawały pobytowi memu pozory,

usuwające do pewnego bodaj stopnia podejrzenia we względzie zadania na mnie włożonego. Nie mogłem zataić i nie taiłem tego, żem brał czynny w powstaniu udział. Czyż się jednak z działalności politycznej nie miałem prawa wycofać? Stanowisko, jakie w literaturze zajmowałem, wycofanie się moje tłumaczyło i usprawiedliwiało, o ile, nie usuwając się ze służby publicznej piórem, nie zrzekałem się zasad i przekonań, nie przechodziłem do obozu odstępców. W razie nawet, gdybym się był odstępstwa — byle nie takiego jak Michał Czajkowski — dopuścił, czyżby mnie nie usprawiedliwiano, jak usprawiedliwianymi są we Francji Sainte-Beuve, np. z republikanina imperjalista, u nas Sienkiewicz, Głowacki (Prus), o których powiadają: „Prawda, niepięknie się spisali, ale piśmiennictwo narodowe zbogacili"; jeden *Bez dogmatem*, *Quo vadis*, drugi *Placówką*, *Lalką*. W razie przeto odstępstwa nawet, osłoniętego etyką, wykombinowaną przez krakowskich stańczyków i petersburskich telimeńczyków, — w takim nawet razie przysługiwałyby mi okoliczności łagodzące. A i bez tego literatura, nauka, dostatecznie osłaniały mnie, Polaka-rozbitka na ziemi serbskiej, na łonie narodu pobratymczego. Dla tem lepszego osłonięcia się zamieszkałem, urządziłem się, nadając instalacji mojej cechy stałości: dwie izdebki w domku, który zająłem, zaopatrzyłem w meble pokojom bawialnemu i sypialnemu odpowiednie; przysposobiłem osobną izdebkę dla służącej; kuchenkę (oczag), pełniącą oraz funkcję sieni i sali jadalnej, zapełniłem rondlami, patelniami, rynkami, garnkami; w drewutni przysposobiłem opał (miałem we względzie tym doświadczenie, drugi już raz bowiem zaprowadzałem gospodarstwo domowe); urządziłem się i na gospodynię czekałem. Czekałem miesiąc blisko. Żona moja, napół wyleczona, przyjechała w czerwcu, może przy końcu maja, nie mogę dokładnie oznaczyć daty, za cudzym, wydanym jej w Genewie, paszportem: wygnance z granic austrjackich, nie możnaby jej było pod własnem przez Austrję przejechać nazwiskiem.

Obok wicia nowego gniazda i zabierania z uczonymi i literatami serbskimi znajomości nie zapominałem o sprawie, dla której wysłany zostałem. Na początek miałem, pod udzielonemi mi przez dra Kwaternika adresami, dać do Zagrzebia znać o mojem do Belgradu przybyciu celem przywołania ze

stolicy Kroacji wysłańca mego, Benniego, dla pobrania od niego wiadomości o stanie przygotowań powstańczych, następnie winienem był widzieć się i porozumieć z dwiema osobistościami, pozostającemi ze sprawą zamierzonego węgiersko-słowiańskiego powstania w styczności: z prezydentem gabinetu serbskiego Eljaszem (Ilija) Garaszaninem i z p. Scovasso, konsulem włoskim. Do Zagrzebia wyprawiłem list drogą pocztową, list konspiracyjny, nietylko o sprawie, ale i o przybyciu mojem niemówiący, tylko Benniemu zrozumiały. U Garaszanina posłuchanie, u Scovassy schadzkę wypośredniczył mi Słotwiński.

Garaszanin, stronnik rodziny Obrenowiczów, przewodnik rewolucji, która z tronu dynastję Karageorgiewiczów strąciła, za życia Milana stanął naczele rządu, na stanowisku tem utrzymał go Michał, gdy po Milanie władzę objął. W Serbji nie dzierżył chyba steru rządów mąż, któryby Garaszaninowi wyrównywał prawością i rozumieniem interesów kraju rodzinnego. Wysoko wykształcony, baczył przedewszystkiem na to, ażeby państewku, którego losami kierował, zapewnić niezależność tak od zwierzchniczej Turcji, jakoteż od spółubiegających się o wyzyskiwanie go mocarstw, mianowicie Rosji i Austrji. Liczył w r. 1864 lat 57. Posłuchania udzielił mi w gabinecie swoim otwarcie, ale we cztery oczy. Wszedłem nie jak do ministerstwa w Turynie schodami krytemi, lecz głównemi drzwiami, którędy wszyscy wchodzili interesanci, i znalazłem się wobec człowieka słusznego wzrostu, suchego, mocno zbudowanego, noszącego na silnych barkach dużą głowę, ożywioną obliczem zalecającem się nie regularnością rysów, ale wyrazem rozumu i powagi. Przyjął mnie uprzejmie, wstając od biurka i wskazując siedzenie obok siebie.

— Przybywasz do nas... — zaczął.

— Przybywam — odrzekłem — w charakterze pełnomocnika Rządu Narodowego polskiego.

Podałem mu nominację moją.

Rozwinął ją, przeczytał i oddając mi dokument, rzekł:

— Szczerze, z duszy całej Polsce sprzyjamy. Dziękuję rządowi polskiemu, że o nas nie zapomniał.

— Czy wiesz, panie, co mnie mianowicie sprowadza? — zapytałem.

Chwilkę pomyślał i odpowiedział:

— Wiem... tak, wiem. Cieszy mnie zbliżenie się Kroatów do Madjarów. Wy, Polacy, możecie je utrwalić i na dobre obrócić. Poczynać sobie winniście ostrożnie, zwłaszcza w odniesieniu do Serbji, która wam sprzyja i zamiarom waszym przeszkadzać nie chce.

Zrozumiałem wyrazów ostatnich znaczenie. Zapytałem:

— Niepożądaną jest może moja w Belgradzie obecność?

— Przeciwnie — odpowiedział z pośpiechem, i zapytał: — Widziałeś się z konsulem włoskim?

— Nie jeszcze — odrzekłem. — Chciałem się wam pierwej przedstawić.

Skinął na to z akcentem uznania głową. Następnie zapewniał mnie, że ze strony władz serbskich najmniejszej nie doznam przykrości, i ostrzegał, ażebym ostrożnie odnosił się do osobistości dobrze mi nie znanych i nie ufał poczcie austrjackiej. Z Serbji z zagranicą korespondować można było tylko za pośrednictwem austrjackiego biura pocztowego.

Konferencja z Garaszaninem zadowoliła mnie zupełnie. Serbja innego, tylko moralne, zamierzonemu powstaniu udzielić nie mogła poparcia. Poparcie to udzielała zgórą nawet, zapewniała bowiem bezpieczeństwo i swobodę działania osobistościom do niego rękę przykładającym. Było to już pomocą czynną niemal, bo odnoszącą się do teatru położonego względem niej o miedzę. Na wschód od Belgradu Dunaj, na zachód Sawa oddzielają Serbję od Węgier i Kroacji.

Od konsula włoskiego dowiedziałem się o przebywaniu w Belgradzie Węgra nazwiskiem hr. Husar, i Kroaty, kapitana od inżynierji austrjackiej, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, a który, wobec władz austrjackich skompromitowany, do Serbji uszedł i znosi się z przysposabiającymi w Kroacji wybuch malkontentami. Do udzielenia mi wiadomości tych przystąpił on w sposób nawylot konspiracyjny. Nie przyszedł do mnie, nie wezwał mnie do konsulatu: naznaczył mi schadzkę za miastem, otoczoną ostrożnościami, jakie się widzieć dają na scenie, o jakich czytać można w romansach. Wyuczył ich Słotwińskiego, a Słotwiński mnie. Za miastem, na ścieżce, idącej wzdłuż ogrodów wraczarskich, mieliśmy się spotkać, dając sobie znaki umówione, minąć się, jakbyśmy się nie znali i następnie ja, uszedłszy do punktu oznaczonego, winienem był się zwrócić,

iść zdaleka za konsulem i wejść do pustej chałupy, do której on wejdzie. Wykonałem wszystko to według przepisu. Przypomniały mi się lata moje dziecinne, gdym konspirował w Niemirowie i nie poszedł w sołdaty dlatego tylko, żem nie więcej nad lat czternaście liczył. W chałupie napół rozwalonej, jak skoro wszedłem, konsul poskoczył do mnie, obie dłonie mi podał, uścisnął i z zapałem prawić mi począł o Polsce, o jej smutnej a niezasłużonej doli, o podziwie, jaki w świecie heroizm Polaków wzbudza. Wywnętrzywszy się w tym względzie, zaczął o interesie, powiedział, że na mnie czekał, miał bowiem o przybyciu mojem zawiadomienia, i oświadczywszy mi, że gotów jest do oddawania mi wszelkich możliwych usług pod warunkiem, ażebym go przez Słotwińskiego uprzedził, jeżeli się z nim widzieć zechcę, zawiadomił mnie o wyżej wymienionych Węgrze i Kroacie. Przy rozstaniu zalecił mi, ażebyśmy się przy spotkaniu, czyto na ulicy, czy też w towarzystwie, nie poznawali.

Ostrożności te, usunąwszy z nich nadany im przez konsula nastrój komedjanctwem trącący, nie były bez racji ze względu na to, że szmat Europy, w skład państwa otomańskiego wchodzący, jest klasycznym szpiegów i donosicieli gruntem.

Konsul Scovasso zafrapował mnie osobliwością jedną. Na obliczu świadectwo pochodzenia swego nosił: był, jakby królowi włoskiemu z oka wypadł, wiernym Wiktora Emanuela portretem. Portrety takie tu i ówdzie często spotykać się dają. Wiktor Emanuel liczne po sobie, do tronu nieuprawnione, zostawił potomstwo.

Ze wskazanymi mi przez konsula Węgrem i Kroatem widziałem się z każdym zosobna. Pierwszy do mnie przyszedł i opowiadał mi o panującem w kraju niezadowolnieniu, o rozszerzonej za przykładem Polski idei powstania, o pozawiązywanych w tym celu po komitatach komitetach, o porozumieniu z wojskiem, — słowem przedstawił mi rzecz nie na dojrzeniu, ale już dojrzałą do wybuchu, wyczekującego jeno na hasło. Do Kroaty poszedłem. Z tym o powstaniu nie mówiłem prawie, zdawał się o niem nie wiedzieć, gdym zaś go zaczepił o niezadowolnienie w Kroacji i wspomniał o możliwości wyrażenia się tego niezadowolnienia czynem, na wzmiankę tę uśmiechnął się ironicznie. O narodzie kroackim, o występujących na arenie politycznej osobistościach wyrażał się z przekąsem żółciowym,

akcentowanym wyrazem, bijącym z oczu i z bladego oblicza, świadczącego o chorobliwym kapitana stanie. Z oczu mu przeglądały suchoty, może choroba śledziony.

Na konferencjach z Garaszaninem i konsulem włoskim, z Węgrem i kapitanem Kroatą, zaczęła się i skończyła czynność moja w sprawie powstania węgiersko-słowiańskiego. Z czynności tej sporządziłem zdanie sprawy i przesłałem je na ręce Okszy. Materjał do działalności w ciągu dalszym nadejść powinien był do mnie z Zagrzebia, z Pesztu, z Turynu. Czekałem, nic nie nadchodziło. Rozstając się z Klapką, umówiłem się był z nim o klucz i o atrament chemiczny, jakoteż o adres pewny. Pod adresem umówionym, umówionym atramentem i kluczem, wyprawiłem do niego list, na który do dnia dzisiejszego (r. 1898) odpowiedzi nie otrzymałem i otrzymam ją chyba na tamtym świecie, gdy się z Klapką, który trzy lata temu umarł, na polach elizejskich zejdę. Najmocniej niepokoił mnie brak absolutny wiadomości z Zagrzebia, od Benniego, który powinien był do Belgradu przybyć i ku pomocy mi być. Powtórzyłem do niego wezwanie; gdy zaś milczenie znów się powtórzyło, powziąłem postanowienie zaryzykowania listu do Starcewicza, zapytując go o Benniego. Napisałem list ostrożnie, w sensie handlowym, dowiadując się o młodego człowieka, komisanta, który, jak się domyślam, w Zagrzebiu się zatrzymał i, ponieważ przypadkiem dostałem jego, Starcewicza, adres, więc się do niego zwracam z prośbą, etc. List ten zaniosłem na pocztę. Pocztmistrz do ręki go wziął, na adres spojrzał i mnie oddał, mówiąc:

— Nie posyłaj pan tego listu.

— Czemu? — zapytałem.

— Nie posyłaj pan tego listu — powtórzył pocichu tonem znaczącym, na mnie nie patrząc.

Urwały się z Kroacją stosunki. Nic nie nadchodziło z Węgier, nic z Turynu. Poczułem się niby na lodzie dogrzewanym przez promienie słoneczne. Nie dla nawiązania już stosunków, ale poprostu dla wyjaśnienia sobie stanu rzeczy potrzebowałem pieniędzy. Wszystko, com przy sobie miał, poszło na zainstalowanie się; żona przywiozła ze sobą szczuplutki zapasik: dno sakiewki corazto się pokazywało wyraźniej; powinny były nadejść dla mnie zasiłki z Warszawy, od Rządu Narodowego,

który, pomimo że powstanie coraz to słabsze w prasie europejskiej budziło echa, istniał i funkcjonował jeszcze. Zgłosiłem się o nie za pośrednictwem Okszy. Oksza mi odpisał, że żądanie moje przesłał, dokąd należy, otuchy mi dodawał i skazówek, jakoteż rad parę udzielił.

Mimo pocieszające Okszy słowa czułem topnienie lodu pod sobą: brak środków na prowadzenie interesów publicznych, brak środków na wyżywienie żony i dziecka. Czarna w oczy zaglądać mi poczęła bieda.

Nagle, gdy perspektywa jutra w czarnej przede mną stanęła postaci, zjawił się, powiedziałbym: szatan, gdyby to nie był człowiek bardzo przyzwoity, w opinji publicznej jaknajlepiej notowany jako obywatel i jako powstaniec, niejaki B. Nazwisko jego pamiętam, ale zachodzą pewne względy, niedozwalające mi zanotować je w pamiętniku moim. Wpadł on zgóry na mnie i ostremi mnie zasypał wyrzutami za odrzucenie propozycji książąt Sturdzy i Sztirbeja-Bibeski. Ledwie że mnie głupcem nie nazywał.

— Czy to się godziło taką z rąk wypuszczać okazję!

Przybywał wprost do mnie z Rumunji i przywoził mi wznowienie propozycji, zaręczając, że jeżeli się na wypędzenie Kuzy zgodzę, niezwłocznie na formowanie wojska pieniędzy dostanę.

— Ja się na to zgodzić nie mogę — odpowiedziałem.

B. unosił się i niecierpliwił. Gdym mu tłumaczył, że sumienie nie pozwala mi działania na szkodę Rumunji, zwłaszcza iż upadającemu powstaniu żadnejby to nie przyniosło korzyści...

— Nie przyniosłoby?! — zawołał w oburzeniu. — Nie przyniosłoby?! A toć, gdy się wieść rozejdzie, że legjon w Widyniu, w Ruszczuku, na księżycu formujesz, powstanie wnet ożyje, energję odzyska, na nowo się rozszerzy! Co zaś do Rumunji, co nas jej szkoda obchodzi! Przytem, co za szkoda! Kuza, Sztirbej, Bibesko, każdy z nich djabła wart! Wartością ich całą pieniądze, które i powstaniu przysługę oddadzą i tobie, twojej żonie, twemu dziecku byt zabezpieczą! Inaczej cóż poczniesz? Co ci pozostanie innego, jeżeli nie kij żebraczy, który ani ciebie, ani twojej żony i dziecka nie uchroni od śmierci z głodu?

Milczałem i myślałem. Porównywałem warunki wyprawy

mojej dawniejszej z tą, do której B. mnie ciągnął. Tamta odpowiadała momentowi silnego powstania rozwoju i poruszała kwestję wschodnią, mogła przeto istotną sprawie polskiej przynieść korzyść. Ta zaś kwestję wschodnią poruszyłaby wprawdzie, ale bez związku ze sprawą polską, której w oczach Europy nie podtrzymywało już konające powstanie. Cóżby wyniknąć z tej wyprawy mogło? Rozerwanie zjednoczenia Rumunji, intronizacja hospodarów, osłabienie państewka, któremu Rosja prawem kaduka zabrała Besarabję, które przeto w bliższej lub dalszej przyszłości może być pożytecznym Polski sprzymierzeńcem w dziele rewindykacji, sprzymierzeńcem o tyle pożyteczniejszym, o ile będzie silniejszym. Z tego wynikało, że gdybym się proponowanej mi powtórnie wyprawy podjął i pomyślnie ją przeprowadził, zaszkodziłbym Polsce w przyszłości, zaszkodził Rumunji w jej rozwoju, dogodził pretendentom do tronów, sobie zaś i rodzinie mojej byt zabezpieczył. Rzecz przeto cała, co do mego w niej udziału, sprowadzała się do mojej korzyści osobistej, do korzyści atoli trącącej nawskroś i nawylot szczerym kondotjeryzmem.

Tak rozmyślałem, podczas kiedy B. wykładał mi szczegół formacji legjonu, tyczący się materjału w ludziach. Wskazywał go przedewszystkiem w zapełniających Rumunję secinach rozbitków z rozmaitych oddziałów powstańczych, następnie w rojach Serbów, Czarnogórców, Arnautów, ciągnących na wojnę jak kruki na padło, z których, ujętych w podoficerskie polskie kadry i oddanych pod dowództwo oficerów Polaków, wytworzy się w krótkim czasie armja niezwyciężona.

— Niechże ta armja wodza sobie szuka, bo ja na jej czele nie stanę — podchwyciłem.

B. z wyrazem politowania na mnie spojrzał, powiedział mi, że widać z głodu chcę umrzeć, powinszował mi tej ochoty i rozstał się ze mną, twierdząc, że się rzecz i bez mojej zrobi pomocy.

O ofiarowanym mi w roku przeszłym w Konstantynopolu miljonie mowy tym razem nie było. B. nie wspominał, ja nie pytałem. Że jednak ta robota na warsztacie się znajdowała, dowód na to miałem w częstych odwiedzinach sekretarza legacji rumuńskiej w Belgradzie, Prohaski, który mi pierwszy wizytę złożył i za język mnie ciągnął celem dowiedzenia się, czy nie biorę udziału w jakich w Rumunji knowaniach.

Niesłusznie o chęć zamorzenia się głodem B. mnie obwinił. Nie chciałem tego. Odosobnienie jednak, w jakiem się znalazłem, wyczerpanie środków, jakie się w moich i żony mojej rękach znajdowały, zerwanie dających mi zarobek stosunków z wydawnictwami polskiemi, niemożność zarobkowania w Belgradzie, odsłoniły przede mną perspektywę bardzo niewesołą. Jednemu tylko Garaszaninowi, drugiemu Scovassie, znanym był charakter mój polityczny; ale o roli wydatnej, jaką w powstaniu odegrałem, wiedzieli wszyscy, i jedyna droga — droga służby rządowej (biurowej, inżynierskiej, nauczycielskiej) —, na którejbym mógł sposób do życia i wyżywienia rodziny znaleźć, była dla mnie zamknięta. Dla zapewnienia mi bytu nie mógł się rząd wobec dozorujących go gabinetów petersburskiego i wiedeńskiego kompromitować. Dosyć czynił, że mnie cierpiał; wykażę poniżej, że nam, politycznym polskim przestępcom, wogóle sprzyjał, ale kompromitujących go od niekompromitujących odróżniać musiał. Co się zaś służby prywatnej tyczy, była ona dla cudzoziemca absolutnie nieprzystępna: handel i rolnictwo w prymitywnym znajdowały się stanie i obchodziły się bez urzędników, przemysł fabryczny nie istniał; w kierunkach tych dróg dla mnie zgoła nie było. Przy rzemiośle tylko mógłbym był pracować i zarabiać, alem niestety nie posiadał żadnego. O! jakżeby mi się było przydało szewstwo, ślusarstwo, rymarstwo lub inne jakie. Rzemiosła w Serbji w czasie owym popłacały umiarkowanie, ale poważanie posiadały. Poważaniem największem cieszył się handel: kupcy (trgowcy) stanowili arystokrację społeczną. Po handlu szło rękodzielnictwo. O rzemieślniku Serbowie powiadali: „Ma rozum nietylko w głowie, ale i w palcach“. Ponieważ tego ostatniego zgoła nie posiadałem, mój przeto rozum w głowie, nabyty na ławach uniwersyteckich za pośrednictwem książek i przez rozmyślanie, nie przydawał mi się na nic.

Otworzyło się przede mną coś nakształt przepaści. Gdybym był sam, byłbym przepaść ową nie tak, to inaczej jakoś wyminął. Ale żona i dziecko? — żona półwyleczona, dziecko małe. Kochałem je, nadobitek złego. Trzeba się było ratować. Ale jak?

Złożyłem pychę z serca, — przypomniałem sobie, żem literat i że literatura zarobkowanie mi dostarczała. Dostarczała mi

takowe głównie Warszawa, do której przystęp zamknąłem sobie. Wyroby jednak literackie znajdowały jeszcze odbyt we Lwowie, w Krakowie, w Poznaniu. Nie miałem atoli pojęcia o sposobie, w jaki się one zdobywają. Po skazówki przeto we względzie tym zgłosiłem się do Kraszewskiego, prosząc go, ażeby mi dał wyobrażenie o honorarjach autorskich, które pobierałem dotychczas *en bloc* — wydawcy pracę moją sami oceniali —, w szczegóły nie wchodziłem, nie wiedziałem, jakiemi się oni przy wypłatach kierowali zasadami. Prosiłem Kraszewskiego, żeby mi te rzeczy wyjaśnił. Obok tego napisałem do Dobrzańskiego i do Wilda we Lwowie. Odpowiedzi, jakie od nich nadeszły, otuchy mi dodały. Wraz z listem od Wilda otrzymałem pisanie od Władysława Gubrynowicza, prowizora w jego księgarni, więziennego brata żony mojej, Władysława, kolegi, przedtem zaś urzędnika w księgarni Gebethnera w Warszawie. Ten ostatni serdeczny do mnie wystosował list, w którym, wysoko prawość i uczciwość Gebethnera podnosząc, podejmował się pośredniczenia pomiędzy mną a wydawcami warszawskimi, w Warszawie bowiem tylko wydawcy płacili; na Lwów, Kraków, na Poznań nic liczyć nie można było. Od Dobrzańskiego odpowiedzi nie otrzymałem, natomiast przysyłać mi począł *Gazetę Narodową,* wedle której w poglądach politycznych dostatecznie, na polu literackiem cokolwiek orjentować się mogłem.

Otucha we mnie wstąpiła, mimo że zarobki literackie ukazywały się w oddaleniu i w perspektywie niezbyt jasnej i zgoła niepewnej. Czy Moskale utwory moje drukować pozwolą? Czy honorarja wystarczą na opędzenie potrzeb? To drugie pytanie zależało od pierwszego, pierwsze zaś od tego: czy i o ile zdołam utrzymać się na wysokości talentu, jaki się w pierwszych moich przejawił pracach? W oczekiwaniu na odpowiedź na zapytanie to trzeba było wydawać na opłatę mieszkania, na jadło, na odzież. Odpowiedź nie mogła nadejść niezwłocznie, ani też tak prędko, ażeby się nam braki czuć nie dały; gdyby bowiem Moskale na ogłaszanie prac moich pozwolili, musiałem coś napisać, coś stworzyć, — coś stworzyć z niczego: w autorskiej wyobraźni mojej powstanie wytworzyło pustkę, albo raczej zamęt, w którym końca nitki twórczej pochwycić nie byłem w stanie. Tę pustkę zapełnić, ten zamęt rozjaśnić pierwej mu-

siałem. Wymagało to swobody umysłu i czasu, — czasu, który bez litości jest dla żołądków ludzkich.

Wiadomość co do możliwości drukowania prac moich w Warszawie czekać na siebie długo nie kazała. Za pośrednictwem Gubrynowicza dostawać zacząłem zamówienia na powiastki i powieści, na sprawozdania, opisy i korespondencje. Nadeszły one nie rychlej od hiobowej iście wieści o wytropieniu i uwięzieniu przez Moskali członków Rządu Narodowego, co nastąpić musiało przy końcu lipca lub w pierwszych dniach sierpnia, kiedym już ratował się pożyczkami na zastaw, zaciąganemi na procenty lichwiarskie. Szły na ten cel kolejno zegarki, łyżki i inne przedmioty srebrne, które żona moja ze sobą przywiozła, pierścionki i różne klejnociki złote, których ona szczupło posiadała. W przewidywaniu zamówień literackich wziąłem się do pióra — do wypróbowania siebie, czy pisać potrafię. Najpierwszą pracą, którą w Belgradzie na warsztat nałożyłem, była *W Galicji i na Wschodzie* [1].

Kiedym *W Galicji i na Wschodzie* pisać zaczął, nagle i niespodzianie zjawił się u nas Jan Tyszkiewicz. Przybywał z Paryża, podążając do żony i dzieci, które w Mołdawji zostawił. Udział w powstaniu pozbawił go posady; po wypuszczeniu z więzienia udał się do Galicji i zajął stanowisko komisarza we Lwowie; internowany w Ołomuńcu, wygnany z granic Austrji po ogłoszeniu stanu oblężenia, dostał się do Belgradu bez grosza przy duszy. Spodziewał się biedak, że u mnie zasiłek na dalszą znajdzie podróż. Znalazł nas w posiadaniu kilkudziesięciu piastrów w monecie drobnej i jednego, ostatniego, dukata w złocie. Mocno go zmartwił zawód w rachubie. Niby struty przez dni parę chodził. Zdarzyło się, że żona moja poszła pewnego rana na targ po prowizje z dukatem i wnet wróciła bez prowizji i bez dukata, z oznajmieniem, że go zgubiła. O wypadku tym powiedziała spokojnie. Tyszkiewicza, który był jej cioteczno-rodzonym bratem, do żywego to poruszyło.

— I tak o tem mówisz! — wybuchnął.

— Jakże mówić mam? — zapytała zdziwiona.

— Ależ to nieszczęście, to klęska dla was!

Ani ona, ani ja nie wzięliśmy wypadku tego tak tragicznie.

---

[1] Druk. w Poznaniu 1880, str. 204.

Znalazło się coś do zastawienia i narazie głoduśmy jeszcze nie zaznali.

Wieść o pobycie moim w Belgradzie jak ściągnęła Tyszkiewicza, który u nas dni kilka zabawił, tak ściągać następnie poczęła innych z powstania rozbitków, szczególnie lekarzy. Wkrótce po nim przybyli Wermiński i Łątkiewicz: pierwszy z Uniwersytetu Wileńskiego, za sprawę Konarskiego oddany, z pozbawieniem korzystania z dyplomu, „w sałdaty“ na Kaukaz, drugi z Uniwersytetu Kijowskiego. Podali się do służby. Łątkiewicz dostał w Kruszewacu posadę lekarza okręgowego; Wermiński, zamianowany lekarzem wojskowym, przydzielonym został do pułku konsystującego w Belgradzie.

Po nich przybyło paru innych; posady rządowej nie odmówiono żadnemu, jak skoro dyplom przedstawił i kolokwjum odbył. Każdy z nich przez moje przechodził ręce o tyle, że ode mnie informacje brał i żem o niego zapytywany (niezawsze) bywał.

Przyjeżdża Izydor Kopernicki. Jakeśmy się, koledzy uniwersyteccy i koligaci, powitali, nad tem się rozszerzać uważam za zbyteczne. Znaliśmy się i przyjaźnili oddawna. Rozstaliśmy się w Paryżu, kiedym do Drezna wyjeżdżał, do Belgradu zmierzając. Kopernicki byłby mógł w Paryżu pozostać i tam, będąc jako antropolog w świecie naukowym znanym, zajęcie znaleźć i byt sobie dostatni zapewnić. Ale pociągnęła go do Serbji idea słowiańska. Idea wogóle górowała w duszy jego nad realizmem nauki medycznej i urabiała w nim poglądy poetycznością nacechowane. Nie zdarzyło mi się spotkać lekarza, w którymby biegłość chirurgiczna ściślej się z poezją łączyła. Entuzjasta do wszystkiego, co dobre i piękne. Idea wzajemności słowiańskiej taka, jak ją Jan Kollar postawił, Kollarowska *Slavy Dcera* [1], zachwyciła go dobrem i pięknem. Przeto nie oglądając się nawet we Francji za zajęciem, rzucił się w pierwszą lepszą, jaka się przed nim otworzyła, lukę słowiańską, z postanowieniem pracowania dla idei na drodze, uprzystępniającej mu dostęp do narodu, do ludu serbskiego, bojownika heroicznego o wolność, twórcy rapsodów, stawiających Serbję obok homerowskiej

---

[1] Jana Kollara *Slavy Dcera*, zbiór pieśni erotycznych i patrjotycznych, drukowany po raz pierwszy w r. 1824 w Peszcie; spotkał się z entuzjastycznem uznaniem w Słowiańszczyźnie.

Grecji. Takiemi były widoki, które Kopernickiego do Belgradu sprowadziły.

Przyjechał, zaopatrzony w pieniądze zupełnie jak Tyszkiewicz — bez grosza, z torbą podróżną w ręku, zawierającą w sobie koszul kilka.

Widoki mi swoje wyłuszczył i sakiewkę pokazał.

— Aaa?... — odpowiedziałem mu.

— Byle mnie przyjęli.

— O to nie ma obawy,

Wymieniłem mu lekarzy na posadach, opowiedziałem o łatwości, z jaką ich rząd przyjmuje, i udzieliłem informacyj, tyczących się podania o posadę. Byłem pewny, że ponieważ innych, nieznanych, najmniejsze nie spotkały trudności, to Kopernicki znanym jest o tyle, że przyjętym zostanie z podziękowaniem za wybranie Serbji na schronienie, za przybicie do jej brzegów po rozbiciu.

Pokazało się, że znanym był — zanadto.

Zamieszkał u nas i wedle wskazówek moich podanie zrobił. Na odpowiedź czekał dużo dłużej aniżeli inni, wreszcie otrzymał — odmowną.

W gronie lekarzy, praktykujących w Belgradzie, samych prawie cudzoziemców, znajdował się oddawna osiedlony człowiek wielkiej zacności, Polak, nazwiskiem Medowicz. Było to nazwisko serbskie i podobno przybrane. Dzięki długiemu w Serbji pobytowi i ożenieniu się z Serbką, po polsku z trudnością przychodziło się mu wysławiać. Znałem się z nim, skorzystałem więc z tej znajomości i, ponieważ wchodził on do składu rady lekarskiej, omawiającej kwalifikacje przedstawiających się lekarzy, udałem się do niego po otrzymaniu przez Kopernickiego w zdumienie mnie wprawiającej odmowy.

— Co się stało, doktorze? — zapytałem.

— Komisarz Rządu Narodowego — odpowiedział, ramionami wzruszywszy. — Rząd serbski, zawiadamiany przez konsulat rosyjski o każdym przybywającym do Serbji Polaku, nie może bez narażenia się Rosji dawać posad urzędowych tak mocno, jak doktor Kopernicki, skompromitowanym osobistościom.

Radził następnie, żeby się podał o wolną praktykę, czego mu rząd odmówić nie może.

Podał się Kopernicki i pozwolenie otrzymał; wziął w mieście mieszkanie, ogłosił się w dzienniku i praktykę rozpoczął.

Praktyka poszła mu dobrze, dzięki rozgłosowi, jaki uzyskało przybycie lekarza znakomitego, który przy uniwersytecie pełnił funkcję profesorską. Przyczyniło się do tego zdziwienie, spowodowane odmową posady urzędowej, a spotęgowane przez konsula rosyjskiego, który zachorował, nie chciał jednak, mimo że mu to doradzano, wezwać Kopernickiego, w obawie, ażeby go nie otruł. Gadaniny te robiły mu reklamę. Chorzy się do niego cisnęli. Na chlebie tym wytrzymał tydzień cały.

— Dajcie mi z praktyką lekarską w Serbji czysty pokój! — rzekł do żony mojej i do mnie, przyszedłszy do nas po tygodniu.

Opowiadał nam ciekawe o niej szczegóły: jak się z nim pacjenci o honorarja targują, jak chorzy zasięgają rady dwóch naraz lekarzy tak, ażeby jeden o drugim nie wiedział i, dla tem pewniejszego wyleczenia się, zażywają lekarstwa przez obydwóch zapisane, jak domagają się — kobiety zwłaszcza — środków na choroby i przypadłości niemożliwe.

— Wolę u was drwa rąbać i wodę nosić, aniżeli Serbów leczyć.

Z nami tak się działo, żeśmy sobie drwa rąbali i wodę nosili sami. Potrzeby te, stanowiące dział ważny gospodarstwa domowego, zaspokajaliśmy we dwóch. Na obiady chodziliśmy niekiedy do pobliskiej przedmiejskiej kawiarenki Pod serbskim strzelcem. Wieczerze i śniadania przyrządzała żona pod moją dyrekcją, tak bowiem była wychowaną, że umiała zadysponować ucztę najwspanialszą, ale o ugotowaniu rosołu lub o usmażeniu bifsztyka wyobrażenia nie miała. Stanowiło to ogólny w wychowaniu panienek szlacheckich niedobór: przysposabiano je do brylowania i dysponowania, i zabraniano ze służbą się wdawać, do piekarni i kuchni zaglądać; rozwijano w nich odczuwanie i rozumienie piękna i dobra, ale poza sferą pożyteczności, wymagającej babrania się w rzeczach niekoniecznie ponętnych. A i ja nie byłem do kuchennych i podwórzowych posług wprawiany. Ale mnie przyuczyło życie, byłem więc w stanie dawać żonie mojej wskazówki, ograniczające się do potraw jaknajprostszych, takich jak rosół, gulasz, ryż, makaron itp.; dawanie przepisów na dania wykwintniejsze wziął na siebie Kopernicki, który się na kuchni znał i zjeść lubił. Żona moja

była uczenicą pojętną i chętną, wszystko więc szło dobrze, a tem lepiej, że w czasie owym otrzymałem z kraju pierwszy zasiłek pieniężny: 30 złr od panny Wincenty Wiśniewskiej. Dzięki zasiłkowi temu kupiłem trzy szterlety, ikrą napełnione. Widok ryby tej, przepłacanej dla smaczności swojej w stolicach, a w Belgradzie bajecznie taniej, w zachwyt Kopernickiego wprawił. Sprawił ją, przyrządził do upieczenia na rożnie, zastąpionym przez patyk, z ikry zaś zrobił kawior barwy ciemnożółtej.

Kopernicki przemieszkał u nas miesiąc, jeżeli nie dłużej. Spędzony z nim czas wzmocnił łączące nas dawniej, w Kijowie jeszcze, węzły przyjaźni, pomimo że we względzie pojęć i przekonań religijnych na dwóch przeciwnych staliśmy biegunach: On, ściśle katechizmowy, szczerze i głęboko wierzył we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje, uznawał, że wiara jest początkiem mądrości; przyjmując możliwość objawienia, przyjmował więc bezwarunkowo dogmaty i był we względzie obrządkowym praktykującym. Ze mnie wiarę wygnało szukanie prawdy w jej punktach wychodnich, które mi wykazało, że jest ona dziełem wyobraźni, wytwarzającej w żywych, polotnych, poetycznych umysłach koncepcje, którym natężenie wyobraźni nadaje głos słyszalny i kształty widzialne. Dojście tej prawdy oderwało mnie od Kościoła całkowicie — z nieba ściągnęło na ziemię i wskazało mi na ziemi sprawiedliwość jako wiązadło społeczne, naukę jako zadanie ludzkości. Religje wszystkie, jednego będąc pochodzenia, jednakiej przedstawiały się mi wartości, jednakowo też je szanowałem, znajdując w nich zaczyn moralny, powołany na drodze urabiania się do pomagania sprawiedliwości. Co wyobraźnia zaczęła, to rozum dokończyć powinien. Chrześcijanizm stał w oczach moich wysoko dla dwóch przez Chrystusa danych wskazówek: „Kochaj bliźniego jak siebie samego“ i „Bądź doskonałym, jak Ojciec twój w niebiesiech doskonałym jest“ — pierwsza w mniemaniu mojem miała doniosłe znaczenie społeczne, druga tyczyła się postępu na drodze umysłowej. Ale — i tem bardziej — raziły mnie nadużycia Kościołów, zwłaszcza zaś katolickiego, praktykującego w przeszłości, uznawaną w czasie obecnym za godziwą, miłość bliźniego zapomocą inkwizycyj i stosów całopalnych, i tłumiącego postęp. Temu i Kopernicki nie przeczył, składał to jednak na ułomność ludzką, ma-

nifestującą się ze szczególną siłą zwłaszcza w ludziach władzę dzierżących. W materji tej i wogóle w kwestji religijnej częste we troje miewaliśmy rozmowy, nie dla nawracania się wzajemnie, ale dlatego, że się przedmiot ten nasuwał. On nie miał za złe poglądów moich mnie, ja jemu poglądów jego. Nie wiem, czy on się ode mnie nauczył czego; ja od niego nauczyłem się wiele, tak we względzie równouprawnienia religijnego, jakoteż w kwestjach odnoszących się do filozofji, do nauk ścisłych i do literatury polskiej.

Literatura częściej niż co innego na stół się u nas wytaczała. Gdy to następowało, stawałem się słuchaczem, zrzadka wtrącającym po słów parę, lub jakieś zdanie niedługie, usuwając się nabok w zaostrzającej się niekiedy pomiędzy Kopernickim a żoną moją dyskusji. Powód do dyskusji dawał zwykle Słowacki. Kopernicki, bezwzględny a zapalony Mickiewicza wielbiciel, nie miał do Słowackiego przekonania przedewszystkiem dlatego, że w utworach jego widział „kościół bez Boga“. Żona moja tego nie widziała. Z racji tej do ostrych nieraz przychodziło sporów, w których udziału nie brałem; przeciwnicy na poparcie zdań swoich przytaczali z pamięci (książek nie posiadaliśmy) ustępy, które poezję polską uprzytomniały niejako, wprowadząc ją śród nas i sadzając na miejscu poczestnem.

Że się te rozmowy i dyskusje do wskrzeszenia we mnie literata przyczyniać musiały, to wątpliwości nie ulega. Przyczyniły się one we względzie tym do czegoś więcej jeszcze. Do literatury pierwotnie wszedłem, raczej wtargnąłem, bez najmniejszego, w sensie fachowym, literackiego przysposobienia. Przysposabiałem się na wzorach, a każdy niemal autor za wzór mi służył, zarówno z epoki złotej, jak z czasów ostatnich: Skarga i Górnicki, Krasicki i Naruszewicz, Rzewuski (Henryk), Korzeniowski, Kraszewski, Kaczkowski, Dzierzkowski. Na każdym z nich urabiałem się na autora w sposób, w jaki w chemji z połączenia pierwiastków powinowatych wytwarza się ciało nowe, o własnościach odmiennych od ciał, w skład jego wchodzących. Działo się to ze strony mojej bezwiednie. To samouctwo przychodziło samo przez się. Dopiero dzięki wsłuchiwaniu się w rozmowy żony mojej z Kopernickim do głowy mojej zawitało uświadomienie rzemiosła literackiego. Dowiedziałem się, na czem ono polega i od czego zależy.

Kopernicki wielką do powieściowego w literaturze działu przywiązywał wagę, widząc w nim nie bez słuszności dźwignię umysłowego narodów kształcenia, pod warunkiem jednak, ażeby dźwignia ta ku dobru i pięknu czytelników podnosiła. Oczywiście przedewszystkiem obchodziło go czytelnictwo polskie. Zaczepiał mnie niekiedy o pisarskie zamiary moje. Nie umiałem mu na to odpowiadać. Pisarskie zamiary przed powstaniem nasuwały mi się same, odnosząc się do zadań społecznych i politycznych, które się na porządku dziennym znajdowały. Za wskazówki, za wiązanie, za nici przewodnie służyły mi: demokracja i walka o niepodległość Polski. Stanowiły one oś, około której akcję dramatyczną w powieści wprawiałem w ruch. Bez tego nicbym stworzyć nie był w stanie. Około osi tej obracały się najpierwsze moje utwory: *Wasyl Hołub, Handzia Zahornicka, Szandor Kowacz,* około niej obracały się wszystkie dalsze. Najwyraźniej zaznaczyłem ją w *Asanie* [1], który, luboć naprędce (napisałem go w dni dziesięć) i nie po literacku napisany, stał się w powieściową sukienkę przybranym manifestem, stawiającym miłość ojczyzny na ołtarzu poświęcenia bezgranicznego, — poświęcenia, pokrewnego temu, które Mickiewiczowi podyktowało *Konrada Wallenroda* (o *Konradzie Wallenrodzie* nie myślałem, kiedym *Asana* pisał, gdybym bowiem wzór ten miał przed oczami, byłbym go napisał staranniej), lecz oczyszczonego z tego niebezpieczeństwa, jakie w wallenrodyzmie tkwi, a które z niego ...„robi zdrajców sto tysięcy". Gdym pisał *Asana,* czułem, iżbym sam to zrobić był zdolen, co zrobić powieści tej bohaterowi kazałem. Uczucie to we wszystkie moje z epoki przedpowstaniowej wlewałem utwory. W sposób ten przejawiał się egotyzm osobnikowy, który się w takiej lub innej postaci w utwory autorów wlewa, ale egotyzm mój odnosił się do mnie nie jako do autora, lecz jako do społeczno-politycznego działacza, do demokraty, Polaka. Jako Polak-demokrata wywiązywałem się z zadania kompozytorskiego nienajgorzej; jako autor nie ogładzałem stylu, nie rzeźbiłem okresów, nie goniłem za ozdobami retorycznemi, nie przestrzegałem nawet czystości i poprawności języka, nie przez niedbalstwo, ani przez skłonność do niechlujstwa, ale poprostu dlatego, że nie poczuwając się do literactwa fachowo,

---

[1] Druk. w *Dzienniku Literackim,* Lwów 1860, nr 53—89.

styl, retorykę i język puszczałem samopas; nie nabywszy zaś odpowiedniego przysposobienia w szkole, nie wykształciwszy się praktycznie w żadnem ognisku, w żadnem kółku literackiem, najmniejszego o rzemiosłowej literatury stronie pojęcia nie miałem.

Kopernicki zaczepiał mnie o zamiary literackie. Przed powstaniem nasuwały się one same bezwzględnie i bezwarunkowo, a nadto, w początkach, bezinteresownie w odniesieniu do mnie osobiście. Gdy mi następnie Antoni Lesznowski[1] sute wyznaczył honorarjum, przyjąłem je z taką wdzięcznością, a raczej radością, z jaką się przyjmuje znalezienie skarbu; zapewniało mi ono bowiem chleba kawałek, wyzwalając od biur, sklepów, pracowni, rękodzielni, po których zarobków szukać musiałem. I nasuwały mi się zamiary dalej, krępowane jeno względami cenzuralnemi, — temi względami, w obchodzeniu się z któremi wyćwiczyli mnie Moskale w szkołach i w spędzonej pod ich dozorem na „łudzeniu despoty“ młodości mojej Nic innego nie krępowało mnie na drodze literackiej, przed powstaniem — nic, ani ożenienie nawet.

Powstanie upadło — znalazłem się na lodzie nie sam, ale z żoną i dzieckiem, wobec perspektywy powiększania się rodziny. Ażeby z lodu na niezagrażający stopnieniem pod nogami przenieść się grunt, nie przedstawiało się mi co innego, tylko literatura ze strony przedewszystkiem zarobkowej. Pisać dla honorarjów, dla zarobków, pisać dla zapobieżenia zagrażającej nam jeżeli nie śmierci głodowej, to nędzy żebraczej, oto jakim był jedyny mój zamiar, gdy mnie Kopernicki o zamiary literackie zapytał.

Pisać za pieniądze.

Nikt mi nie proponował pisania przeciwko przekonaniom moim i nie myślałem, nie przypuszczałem, ażeby propozycja podobna spotkać mnie mogła, dlatego dziś powiedzieć nie umiem, jakbym się trzydzieści cztery lata temu znalazł, gdyby spotkała była. Przypuszczalnie byłbym się znalazł tak, jak wobec propozycji, raz miljon, drugi raz nie wiem ile, w ręce mi pchającej. Ale — nie wiem. Zdarzają się ludzie, co po odtrąceniu miljonów sprzedają się za setki, za dziesiątki. Żadne mi się

[1] Ówczesny redaktor *Gazety Warszawskiej*.

sprzedawanie na myśl nie nasuwało; pragnąłem jeno zarobkować piórem; ponieważ zaś zarobkowanie otwierało się mi wyłącznie w Warszawie, pod dozorem moskiewskim, zamierzałem pisać cenzuralnie, t. j. tak, ażeby się cenzura o co czepiać nie miała. Wzgląd ten warunkował mój zamiar ogólnikowo, zgruba, nie dając mi żadnej w ręce nici przewodniej, nie zapładniając myśli, ani wyobraźni. Na zaczepki przeto Kopernickiego odpowiedziałem:

— Nie wiem jeszcze. Zobaczę. Pomyślę.

— Na twojem miejscu — odezwał się razu pewnego do mnie — postawiłbym przed sobą genjusz Polski.

— I co?... — zapytałem, odrazu temi słowami uderzony.

— Genjuszowi oczywiście — ciągnął dalej — innej nadać nie można postaci, tylko kobiecą Kobieta w życiu jest spółpracownicą mężczyzny, czuwa nad ogniskiem domowem, jest jego duchem opiekuńczym. Na takiem stanowisku wobec ojczyzny postawiona, jakąż bogatą do setek, do tysięcy powieści osnowę dać może takiemu jak ty pisarzowi!

O ile przypominam sobie, nic mu na to nie odpowiedziałem, ale rzucona przez niego myśl głęboko mi w duszę zapadła. Nic mu nie odpowiedziałem dlatego może, że prawił dalej o ogniskowem kobiety znaczeniu, mogącem być w powieści polskiej tak wyzyskiwanem, iż Moskale ani się domyślą, o co chodzi, podczas gdy Polacy będą pomiędzy wierszami czytali tem łatwiej i tem wyraźniej, im ideę przewodnią, oświecającą genjusz, piękniejsza będzie ubierała forma. Styl udatny, język czysty i poprawny pociągają czytelników i uwydatniają myśl główną, chociażby jaknajgłębiej ukrytą.

— Postaw przed sobą genjusz Polski.

Na swojem miejscu powiem, jakie z tego wskazania wynikły następstwa. Na tem miejscu zaznaczę tylko, że literactwa mego dwaj ludzie są sprawcami: jeden (Włodzimierz Kozłowski) na tę drogę mnie pchnął, drugi (dr Izydor Kopernicki) kierunek mi na niej wskazał.

Kopernickiego Serbja mocno i żywo zajmowała. Poznawaniu jej, o ile to w Belgradzie było możliwem, oddawał się z zapałem i gorliwie. Stolicę we wszystkich zwiedzał zakątkach, przesiadywał po mehanach, wdawał się w rozmowy i z uczonymi, z którymi go zaznajomiłem, i z mieszczaństwem, i z lu-

dem od roli. Wrodzona jego ciekawość szerokie miała pole. Uczył się po serbsku, czytał, do bibljoteki chodził; na Palitui (przedmieściu) na jarmarku dzień cały strawił, przypatrując się strojom wieśniaków i wieśniaczek i przysłuchując rapsodjom „ślepców“, recytujących tworzone przez nich pieśni przy akompanjamencie gęśli. Wszystko, o czem zasłyszał, chciał sprawdzić *de visu* i *de auditu*.

Trafiło się, żem dostał zaproszenie na bal, dawany przez miasto ku uczczeniu księżny, z domu Hunjadi, która z mężem nie mieszkała i rzadko kiedy Belgrad bytnością swoją zaszczycała. Zaproszenie mnie z żoną dostało się mi dla okazania przez miasto spółczucia sprawie polskiej. Żona moja iść nie mogła, ja nie miałem ochoty, ze względu atoli na pobudkę zaproszenia pójść musiałem. W Kopernickim ta do spojrzenia z punktu balowego na mieszkańców stolicy serbskiej sposobność wytężyła ciekawość do stopnia wysokiego. Widząc to, proponowałem mu, żeby mnie wyręczył i za moim poszedł biletem. Wydało się to jednak niebezpiecznem ze względu na tych, co przy wnijściu bilety będą odbierali. Gdyby pomiędzy nimi kto ze znających mnie się znalazł, wynikłaby stąd kompromitacja. Można było wprawdzie dla Kopernickiego o bilet się wystarać, w tym atoli względzie ta zachodziła trudność, żeśmy na dwóch jeden tylko posiadali surdut, nadający się do figurowana na sali balowej. Ułożyliśmy więc tak, żebym ja poszedł na zwiady i gdybym się przekonał, iżby bilet mój mógł Kopernickiemu służyć, miałem wyjść, surdut mój z nim na jego paltot zamienic i miejsce mu moje ustąpić. Tak się też stało. Kopernicki czekał na mnie, przechadzając się przed hotelem Pod jeleniem, gdzie się bal odbywał; ja najdłużej minut dwadzieścia na sali zabawiłem, wyszedłem i zamieniwszy z nim w cieniu na uliczce bocznej odzież, do domu powróciłem. Dodać winienem, że przeodziewaniu się naszemu towarzyszył zwany u nas kapuśniaczkiem, drobny a chłodny deszczyk. Dokonało się ono jednak dobrze i nazajutrz miał nam do opowiadania Kopernicki bez końca o muzyce, o tańcach, o toaletach damskich i męskich. Na damach widzieć się dawały stroje najrozmaitsze, zaczynając od wydekoltowanych sukien od najpierwszego w Wiedniu krawca, kończąc na codziennej, perkalikowej lub wełnianej spódnicy; mężczyźni mieli na sobie jedni fraki, białe rękawiczki i lakierki,

drudzy surduty, inni spencery i szalwary [1] narodowe, inni znów szlafroki, uważane naonczas w Serbji za ubiór wysoce dystyngowany. Obyczajowo naród w sferze mieszczańskiej oskrobywać się dopiero zaczynał ze skóry, wciągniętej nań przez Turków.

Po otrzymaniu odmowy na podanie o posadę rządową, po zapróbowaniu praktyki prywatnej, przy absolutnym braku monety, mimo gorące pracowania śród narodu pobratymczego pragnienie, Kopernicki nie mógł w Serbji pozostawać dłużej. Nie mógł pozostawać i nie miał za co wydalić się, ażeby się gdzie osiedlić bodaj czasowo i głodu nie zaznawać zbyt dotkliwie. Rozmyślaliśmy i mówili o tem. Powrót do Francji, przeniesienie się do Bawarji lub do innego jakiego w Niemczech dla Polaków niezamkniętego królestwa albo księstwa, wyjazd do Szwajcarji, Włoch, Anglji, dokądkolwiek, gdzie nauka jest cenioną i stanowi kapitał, sute nieraz niosący procenty, a w każdym razie skromne zapewniający utrzymanie, — oto, co się nam przedewszystkiem przedstawiło. Trzeba jednak było przenieść się, wyjechać, to znaczy: podróż opłacić. Kopernicki nie posiadał grosza przy duszy; u mnie z trzydziestu złotych reńskich, któreby na opędzenie kosztów przejazdu do najbliższego w krajach ucywilizowanych punktu były w całości nie wystarczyły, mało co już pozostawało. Starczyłoby może jeszcze przy pomocy pożyczki na zastaw na wyjazd do Turcji, do Widynia np., dla rozpoczęcia tam praktyki lekarskiej, duże zapewniającej zyski, pod warunkiem atoli połączenia jej z szarlatanizmem. Praktyka tego rodzaju i w Serbji popłacała. Nie proponowałem też jej Kopernickiemu, znając jego we względzie tym nieudolność. Ale — przyszła mi na myśl Rumunja.

— No... a Rumunja — rzekłem.

— Cóż Rumunja? Druga Serbja, tem gorsza, że zupełnie obca — odrzekł.

— W Bukareszcie zakłada się fakultet medyczny.

— A? więc co?

— Napisz do dra Daville'a.

— Hm? Nie znam go. Nic nawet o nim nie słyszałem. On zapewne nic nie słyszał o mnie.

— Czy co stracisz, jeżeli napiszesz?

---

[1] Szalwary, szarawary, spodnie bufiaste.

— Zapewne.

— Więc napiszesz?

— Jeżeli się ty przypiszesz.

Na wystosowany do dra Daville'a, organizatora fakultetu medycznego w Bukareszcie, list odpowiedź nadeszła drogą telegraficzną, — odpowiedź jaknajpomyślniejsza, bo nietylko wzywająca Kopernickiego do przyjazdu jaknajspieszniejszego, ale zapowiadająca mu pieniężną na podróż wysyłkę. Sytuacja w jednej zmieniła się chwili. W parę dni później Kopernicki wyjechał. W Bukareszcie dostało się mu organizowanie muzeum anatomicznego, — praca, dzięki której i niedostatku, póki na grunt polski nie powrócił, nie zaznał, i nieposzukiwany przezeń w postaci orderu rumuńskiego zaszczyt na niego spłynął, i mnie od czasu do czasu zasiłków pieniężnych, mimo żem go o nie nie prosił, udzielał. Mógł był szanowany, czczony, na zawsze przy Uniwersytecie Bukareszteńskim pozostać. Do Polski go jednak natura, niby wilka do lasu, ciągnęła. Jak skoro się możliwość powrotu do kraju zaznaczyła, wnet z niej, pokończywszy w Bukareszcie roboty, skorzystał. Osiadł najprzód w Tarnowie, następnie w Krakowie. Uniwersytet Krakowski, baczący na kwalifikacje wierzeniowe, nic mu we względzie tym do zarzucenia mieć nie mógł, mimo to — dlatego może, że powstania nie potępiał ani wyszydzał, a może dlatego, że się z takimi jak ja przyjaźnił — chłodno tego, coby najznakomitszego uniwersytetu chlubą i ozdobą był, do grona nauczających przyjął, ofiarując mu zrazu prywatdocenturę antropologji, następnie, po długich latach, profesurę nadzwyczajną, dopiero pod koniec jego życia katedrę profesora zwyczajnego. Przywiązanie jego do kraju rodzinnego tak było silne, że, kiedym go w r. 1874 czy 1875 na katedrę profesora anatomji do Uniwersytetu Genewskiego ciągnął, zabronił mi zabiegi o to czynić.

W czasie pobytu mego w Belgradzie ustawiczną z Kopernickim utrzymywałem korespondencję. Listy jego, które się u mnie przechowują, malują go: anatoma-poetę i człowieka bez żółci. Powszechnie ludzie, co czyto z ochoty, czy z musu, za granicami ojczyzny własnej się włóczą, zapatrują się na obce narody przez pryzmat doznawanego u nich przyjęcia i wedle tego je cenią. Słabości tej szczególnie emigracja polska podlega. Jednostki śród niej, niepowodujące się wrażeniami osobistemi,

zdarzają się wyjątkowo. Kopernicki należał do wyjątków: mimo złe, jakiego doznał w Serbji, przyjęcie, zachował dla narodu serbskiego szczere, serdeczne i głębokie pobratymcze uczucie, czego dowiódł w następnym, 1865 roku, gdy Serbja uroczyście pięćdziesiątą rocznicę wyzwolenia swego z jarzma tureckiego obchodziła. Za jego inicjatywą napisaliśmy i podali rządowi serbskiemu adres, wyrażający spółczucie nasze i życzenia jaknajlepsze dla pobratymczego nam narodu, w którym kilkuwiekowa niewola nie stłumiła patrjotyzmu i ducha poświęceń. Przy okazji tej napisałem wydaną, zdaje się, we Lwowie broszurę p. t. *Jubileusz serbski* [1]. We dwadzieścia cztery lata później nowy dowód życzliwej o Serbji pamięci złożył Kopernicki: wydał w Krakowie ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy klęski, jaka na Serbów spadła (r. 1389) na Kosowem Polu, tłumaczone przez siebie, a do klęski tej odnoszące się pieśni p. t. *Na Vidov-dan* (Dzień św. Wita) [2], wezwawszy mnie, ażebym do tłumaczenia tego napisał przedmowę. Świadczy to, że na kilka przed śmiercią swoją lat jeszcze życzliwie a przyjaźnie pamiętał o Serbji i o mnie.

Dzięki jemu przyszedłem do części jakiejś rupieci moich, w Mołdawji pod dozorem jednego z Polaków — niejakiego Ł. — pozostawionych. Pojechał w tym celu do Michalen. Chodziło mi nie o sprzęty, ale o książki, rękopisy, o bieliznę, drobiazgi, wartość niejaką posiadające, a także o 30 dukatów, pożyczonych rabinowej na słowo, nie wziąwszy od niej w zastaw zauszników, które mi ona przemocą prawie wpychała. Niestety, dozór mi nie dopisał. Książek ledwie połowa rąk moich doszła, rękopisy przepadły, bielizna i drobiazgi zniknęły, co się zaś dukatów tyczy, rabinowa przez Kopernickiego żonie mojej przesłała życzenia:

— Aby ona królową polską została.

Przesłała oraz wraz z życzeniem zapewnienie, że się o to do Boga modli — i tyle.

Miałem na Mołdawji inne jeszcze wierzytelności, docho-

---

[1] *Jubileusz serbski. Pogląd na dzieje serbskie z ostatnich lat pięćdziesięciu*, Lwów 1865, wyd. *Dziennika Literackiego*, str. 54.

[2] *Na Vidov-dan 1389—1889. Pieśni serbskie o kosowskim boju*, w nowym przekładzie przez J. Kopernickiego z przedmową T. T. Jeża, Kraków 1889, str. 114.

dzące w sumie ogólnej jakiej setki dukatów. Kołatałem o nie napróżno. Z dłużników moich żaden odpisać mi nawet nie raczył.

Zabrałem się do pracy literackiej po rzemiosłowemu — na obstalunek, w oczekiwaniu zaś na zapłatę ratowałem się pożyczkami na zastaw i pożyczkami na słowo. Te ostatnie, po parę dukatów, dostawałem niekiedy u Słotwińskiego, częściej u dra Wermińskiego; na zastaw u rozmaitych, między innemi u jednej z faworyt ojca księcia panującego, księcia Miłosza.

O faworytach Miłosza słówko powiedzieć warto. Ciekawie na tle dziejów Europy w XIX w. przedstawia się postać tego panującego, który panował, rządził, politycznemi sprawami kierował i dyplomatą przebiegłym w zamęcie dyplomatycznym, sprawianym przez Wysoką Portę i gabinety petersburski, wiedeński, londyński i paryski, okazywał się, nie umiejąc czytać i pisać. Niepiśmienny ten monarcha ściśle się do przepisów religijnych stosował: pościł, w cerkwi bywał, spowiadał się i obowiązku wierności małżeńskiej względem żony swojej dochowywał. Ale żona postarzała i jemu się corazto bardziej *toujours des perdrix* przykrzyły. Użalał się na to przed metropolitą. Metropolita wziął utrapienie księcia do serca, jakoteż na rozum, w księgach świętych rady na nie szukał i wyszukał. Konduita króla Dawida posłużyła mu do wyzwolenia księcia Miłosza z więzów małżeńskich i wyperswadowania księżnej, że mąż jej iść za przykładem króla Dawida może, albowiem Pan Bóg pogniewał się na niego za to tylko, że zamordować kazał męża Betsabei, ale i to mu wybaczył. „Bo książęta są z łaski bożej i we wszystkiem, co czynią, jest łaska boża“. Na tej podstawie Miłosz faworyty brał i mieniał z czystem sumieniem, naśladując króla Dawida i nie obawiając się gniewu bożego, albowiem nie czepiał się cudzych żon. Wszystkie jego faworyty w stanie dziewiczym otwierały mu objęcia swoje.

Z jedną z nich sprowadziła nas potrzeba zaciągnięcia pożyczki. Była to kobieta mniejwięcej czterdziestoletnia, przystojna, tęga, ospowata — może była ponętną, kiedy ją młodość zdobiła. Bawiła się ona w miłosierdzie, pożyczając na lichwę, litując się nad dłużnikiem i polecając go Bogu najwyższemu. Wzięliśmy od niej dziesięć czy dwanaście dukatów na miednicę srebrną mojej żony za wypłacany miesięcznie procent roczny 100%. Jeden dukat mieniała na dwa dukaty rocznie. Procent

taki uchodził w czasach owych za miłosierdzie w Serbji. Dla nas był on miłosierdziem w rzeczy samej, zdarzały się bowiem momenty, w których nam bieda w całej nagości swojej w oczy zaglądała.

Dwa szczególnie momenty takie pamiętnemi mi są.

Ponieważ żyć musieliśmy z gotówki, gdy przeto zapas brzęczącej monety umniejszał się, ściskaliśmy żołądki, wprowadzając do nich artykuły co najtańsze: mleko, chleb i jarzyny. Przez czas pewien żywiliśmy się szpinakiem. Raz chłop przyniósł sporo grzybów, które mi się jadalnemi wydały, a ponieważ mało za nie żądał, kupiłem je dla usunięcia ze stołu naszego na dni parę szpinaku. Spożyliśmy je nad wieczorem przy herbacie i — potruli się. Dotknęło to nas dwoje: dziecko spało, a pijący z nami herbatę Maurycy Chodylski grzybów nie jadł. Gdy się objawiły symptomaty otrucia, Chodylski, który znał stan nasz finansowy i wiedział, iż ani na lekarza, ani na lekarstwa nie mamy, wszystko mi, co w woreczku posiadał, wysypał i w przerażeniu uciekł, zostawiając nas na łasce bożej. Jad tych kryptogamów nie uśmiercił nas jednak, pomimo żeśmy ani lekarstw nie zażywali, ani po lekarza nie posyłali. Żona moja mocno dni kilka chorowała, ja prędko przyszedłem do siebie.

Drugi wypadek tak się wyraził. W r. 1866 latem zagościła w Belgradzie cholera. Ludzie w mieście niby zatrute muchy marli; kto mógł, wynosił się; książę wyjechał, ministrowie powyjeżdżali; wszyscy wyżsi urzędnicy stanowiska poopuszczali, pozostawiając stolicę pod dozorem podwładnych swoich, którzy, co począć, nie wiedzieli. Dzwony pogrzebowe jęczały od rana do wieczora, ogłaszając panowanie pary dobranej: zarazy i przerażenia. Zaraza szczególnie srożyła się w mieście, czerpiąc bogate zasiłki w śmieciach ulicznych, brudach domowych i miazmatach nawiewanych z trzęsawisk, szeroko rozlegających się na lewym brzegu Dunaju. Na Wraczar zaglądała ona sporadycznie.

Zaglądnęła do nas — zapadła moja żona. Znajdowałem się w momencie owym w posiadaniu kilku sztuk złota i pewnej ilości monety srebrnej. Zapasik ten miał nam na czas dłuższy starczyć. Zagrożenie życia ukochanej przeze mnie kobiety, matki trojga już natenczas dzieci, usunęło mi wzgląd na jutro. Nieobecność lekarzy Polaków, którzyby żonę moją bezinteresownie

leczyli, zniewoliła mnie wezwać zamieszkałego na Wraczarze Czecha, dra Walenta, i ani jemu, ani na aptekę nie żałować grosza. Grosz się też wyczerpał prędko. Niebezpieczeństwo w dni kilka minęło wprawdzie, ale się jeszcze nie rozpoczął był dla chorej okres rekonwalescencji, kiedy się już sakiewka moja doszczętnie wypróżniła i dawać mi się poczęły uczuwać symptomaty, zapowiadające chorobę. Zwalczałem je kroplami, przez Łątkiewicza, który był do Belgradu na początku objawów w mieście zarazy zajrzał, zapisanemi. Zdawało się mi, że to przeminie; żony trwożyć nie chciałem, — obsługiwałem ją, udając zdrowego, i gdy mi grosza zabrakło, a zastawić ani co, ani komu nie miałem, postanowiłem sprzedać jedyny, jaki nam pozostawał, przedmiot wartościowy: duży kocioł miedziany. Sprzedać go komu innemu naprędce nie było można, chyba tylko kotlarzom. Warsztaty kotlarskie znajdowały się w mieście, w paruwiorstowem od mieszkania naszego oddaleniu. Należało z kotłem do nich pójść. Ubrałem się więc w kocioł, głowę do środka wkładając, i z nim na głowie, do stóp prawie okryty, udałem się celem zdobycia trochę grosza na „czarsziję“ (rynek). Nim doszedłem, siły moje pod ciężarem słabły i ataki choleryczne razy kilka do zatrzymania się mnie zmuszały. Dowlókłem się nareszcie. Pierwszy kotlarz, do któregom się zgłosił, ofiarował mi za kocioł połowę wartości, drugi — mniej niż połowę; powróciłem do pierwszego, ten atoli dawał mi jeszcze mniej; — musiałem kocioł sprzedać zabezcen. Gdybym nie sprzedał, nie byłbym już w stanie napowrót go odnieść. Zirytowany, zmęczony, wracałem do domu z pieniędzmi i z chorobą wewnątrz, w którą jeszcze nie wierzyłem, dla której jednak zatrzymywać się musiałem.

Spowrotem miałem niekoniecznie pocieszające widowisko. Na jednej z ulic, na środku, w oczach moich kobieta umarła.

Ufałem kroplom Łątkiewicza. Głównie chodziło mi o to, ażeby stan mój przed żoną utaić. Wchodząc przeto do niej, oblicze odpowiednio nastroiłem, coś przemówić chciałem; język mi posłuszeństwa odmówił, przed oczami żółte, zielone, czerwone przesuwać się poczęły plamy, nogi się pode mną ugięły — runąłem na podłogę jak długi.

Jam upadł — żona wstała: z łóżka się zerwała i w tejże chwili wyzdrowiała.

Na posługach u nas znajdowała się Niemka, czternastoletnia dziewczyna. Żona moja wnet ją do dra Walenta posłała. Mieszkający w pobliżu doktor w chwil kilka później nadbiegł i szeroko w zdumieniu oczy otworzył, gdy ją na nogach zobaczył.

— To nie do pani?

— Nie — do męża mego.

— Cóż pani?

— Ja zdrowa.

— *Wunderbar!! phänomenal!!*

Z temi słowami do mnie przystąpił.

Do zwyczajnych nie należy wypadek tego nagłego wyzdrowienia. Inaczej się on chyba wytłumaczyć nie da, tylko uznając oddziaływanie siły moralnej na ustrój fizyczny. Nie inne przyczyny przy uzdrowieniach cudownych działają. Uzdrowiłem żonę, żona mnie uzdrowiła. Starania jej około mnie, niby około czego dobrego, katastrofę odwróciły, wypadek zaś odwrócił zagrażające nam po wyżyłowaniu się na ozdrowienie przymieranie głodem. Kiedym się z cholerą mocował jeszcze, nadjechał niejaki Arndt, uczestnik powstania, rusznikarz, który w początkach naszego w Belgradzie pobytu przybył i do Kragujewca do rządowej fabryki broni się udał. Przy fabryce zarobił dukatów kilkadziesiąt. Z zarobkiem tym pojawił się u nas w drodze do Rumunji i podzielił się ze mną [1]. Wypadek go w samą sprowadził porę.

Wypadki dużą w życiu mojem odegrywają rolę. Uratowały mnie one od śmierci razy bezliku. Bo i czemuż innemu przypisać ominięcie głowy mojej przez kul tysiące? — czemum się nie utopił w rozwierających się pode mną kilkakrotnie otchłaniach? — co, gdym w głodowej rozpaczy życie sobie odebrać postanowił, samobójstwu zapobiegło? — co sprawiało, żem śród czyhających na mnie wrogów bezpiecznie, jakby mnie czarodziejska czapka niewidzimka osłaniała, przechodził? — co zresztą w niezmiernie trudnej o byt walce podupaść mi nie dawało? Opatrzność nade mną czuwała? Miałżem ja jakie lepsze aniżeli inni, więcej ode mnie warci, ludzie do opieki Opatrzności prawo?

---

[1] Zwróciłem to w lat kilka, może kilkanaście później, nie jemu, ale wdowie po nim. O nim, póki nie umarł, nie wiedziałem nawet, gdzie się obraca. (Nota T. T. Jeża).

Tacy młodzi, tacy zdolni, tacy sił i zasobów pełni do służenia z korzyścią sprawie, której ja służyłem, jak np. Stefan Bobrowski, Gustaw Wasilewski, Mieczysław Romanowski, poginęli, zaledwie na niebezpieczeństwo głowy wystawili; ja głowę moją wystawiałem bez rachuby i zawsze mnie wypadek „z łowczych obierzy“ uratował, pomimo żem często „o ostry kamień zawadził nogą“.

Żona mnie uzdrowiła — można to jej za spełnienie obowiązku poczytać. Ale co Arndta nie wcześniej ani później sprowadziło, i czemu on, jakby na jego miejscu tysiące innych zrobiło, nie odjechał, zostawiając mnie na pastwę niedostatku śród srożącej się zarazy?

Cholera nie była dla mnie rzeczą nową. Spotykałem się z nią poprzednio kilkakrotnie. Z taką jednak, jaka się w Belgradzie pojawiła, spotkałem się po raz pierwszy. Przygniotła ona, skonsternowała ludność, która wobec niej spokorniała, spłaszczyła się moralnie. Na obliczach mieszkańców widzieć się dawało przerażenie. Słotwiński, chłop setny i odważny, wszedłszy przez żonę w świat serbski, dostroił się do nastroju ogólnego. Przyszli oni byli do nas z wizytą przedtem, nim nas się choroba czepiła, i udawali odważnych, póki w brzuchu Pawła słyszeć się nie dało bulkotanie. Gdy to nastąpiło, jemu i jego żonie oczy się szeroko otworzyły; na obliczach ich odmalowało się przerażenie; stracili fantazję; nazajutrz się do Mehadji wynieśli. Przerażenie ogólne potęgował widok nieschodzących z ulic pogrzebów i niemilknący w uszach jęk dzwonów przy akompanjamencie lamentu płaczek. Na wieczny spoczynek zwyczaj miejscowy odnosić każe nieboszczyków w trumnach otwartych. Nie przyczyniało się to do uspokojenia umysłów, luboć parady te pogrzebowe stosowano tylko do zamożniejszych; ubogich grzebano pośpiesznie i pocichu. Pogrzebom dostojniejszych ludzi przewodniczył jeden z dostojników kościelnych, co za przykładem innych ucieczką się nie salwował. Chłop duży, pokaźny, kroczył naczele i basem wyciągał pienia żałobne. Widywano go w dniu każdym po kilka razy. I mnie razy parę zdarzyło się widzieć tę w ornacie, z krzyżem w ręku, zuchwałą wobec śmierci postać malowniczą. Po niejakimeś czasie rozeszła się wieść prorocza, że cholera trwać będzie póty, aż owego archireja (takiem było zdaje się w hierarchji kościelnej dostojnika tego stanowisko)

cholera zabierze. Proroctwo to ziściło się. Cholera popa zabrała — zaraza wnet przygasać poczęła i wygasła.

Wypadek z grzybami, jakoteż walka z cholerą malują dokładnie smutne nasze w stolicy Serbji położenie. Nie trwożyło mnie ono na przyszłość. Literatura kapaniną dawała mi dochody, które spodziewałem się, że się sczasem uregulują i starczą na życie i na wychowanie dzieci. Ugrzązłem więc w literaturze, pracowałem, otoczyłem się książkami, czasopismami i dziennikami, które mi redakcje przysyłały. Posłużyło mi to do ściągnięcia do siebie i Polaków i Serbów — tych ostatnich ze sfery literacko-naukowej. Wybraliśmy wieczór jeden w tygodniu dla Polaków specjalnie; dawaliśmy im do czytania książki i pisma; wywierało to wpływ niejaki, przedewszystkiem językowy, zapobiegając każeniu mowy, psującej się bardzo prędko w społeczeństwie, posługującem się językiem jednego z polskim pochodzenia. Dwaj z nich, dr Medowicz i Wiktorowicz (Drozdowski), wcale już po polsku nie mówili; inni mówili, kalecząc wyrazy i składnię. Spotkałem jednego tylko, który przez lat piętnaście pobytu śród Serbów w absolutnym od Polaków odosobnieniu po polsku nie zapomniał. Był to krawiec, zamieszkały i ożeniony w Szabcu, niegdyś polski na Węgrzech legjonista. Odwiedził mnie i gdym po rozmówieniu się z nim wyraził zdziwienie, że czysto po polsku mówi, powiedział mi, że czyta ustawicznie dwie książki polskie: książkę do nabożeństwa i poezje Schilera w tłumaczeniu. Ci, co w Belgradzie mieszkali, nie ratowali się w sposób podobny. Ale się to u nas przy herbacie powoli naprawiało. Wieczory upływały nam raz na tydzień przyjemnie i korzystnie, od czasu zwłaszcza, jak do towarzystwa naszego przybył niejaki Listopad, człowiek miły, wesoły, dowcipny, w konceptach niewyczerpany. On jednak — chwilowo wprawdzie — harmonję zamącił.

W Belgradzie zastaliśmy Galicjanina nazwiskiem Gabor, z którym w r. 1848/49 w legjonie kolegowałem i w Aradzie razem leczyłem się w szpitalu. Po wojnie węgierskiej udało się mu w Serbji pozostać. Gdyśmy się po piętnastoletniem rozstaniu spotkali, widywaliśmy się od czasu do czasu, lecz nie zawiązywaliśmy stosunków bliższych. I nie mogło być inaczej. Gabor procesował się z rodzicami żony swojej, kobiety potwornie brzydkiej, o posag, który mu dali w wysokości o wiele mniej-

szej, aniżeli obiecywali, i dla którego on prawosławie przyjął. Razu pewnego przychodzi do mnie z oświadczeniem, że ma mi coś powiedzieć.

— Cóż takiego?

— Listopad mówił, że pułkownik w Belgradzie za kradzione żyjesz pieniądze.

Wiadomość ta mnie samego byłaby miernie obeszła, ale dotknęła moją żonę, w której obecności udzieloną została. Następnie Gabor uzupełnił ją szczegółami, opiewającemi, jakobym z danych mi na organizację pieniędzy zachował 75 tysięcy rsr dla siebie, o czem w kraju, skąd Listopad przybywa, wiedzą i mówią wszyscy.

Znając się już z plotkami i z donosami fałszywemi, niewielkie do tego przywiązywałem znaczenie. Listopadowi, z wyjątkiem miny jego bandyckiej, nic pod względem konduity zarzucić nie było można: wziął się do kominiarstwa, pracował i zarabiał; przytem donos Gabora niekoniecznie na wiarę zasługiwał, pochodził bowiem z pobudki podejrzanej: z poróżnienia się jego z Listopadem, zdaje się, o kominy. Rzecz jednak wymagała sprawdzenia. Bodaj czy nie tego samego dnia Polacy zeszli się u nas liczniej niż zwykle — przyszedł i Listopad; wieczór upłynął jaknajlepiej. Dopiero gdy się rozchodzić mieli, żona moja, wziąwszy dra Wermińskiego na stronę, użaliła się przed nim. Dr Wermiński donos Gabora potwierdził: i jemu Listopad o kradzieży tej mówił.

— Proszęż go poprosić, ażeby nie przychodził więcej do ludzi posądzanych przez niego o występek taki brudny.

Nazajutrz rano od saloniku, w którym się żona moja krzątała, drzwi nagle otwierają się, we drzwiach się ukazuje Listopad, na kolana pada i na kolanach ze złożonemi dłoniami ku środkowi się czołgając, o przebaczenie błaga.

Był to narwaniec, narwańca w nim wykazywało wszystko, zacząwszy od powierzchowności: szczupły, śniady, o zaroście czarnym i obliczu wyrazistem, wzrostu więcej niż średniego, budowy żylastej, wyglądał na włoskiego lub hiszpańskiego bandytę. Obok tego nie brakło mu na wykształceniu kulturalnem i ogładzie towarzyskiej. Po scenie błagania o przebaczenie więcej do nas nie przyszedł, niebawem z horyzontu w Belgradzie znikł. Ciekawa to była postać kominiarza, człowieka wykształ-

conego, zagadkowego, zajęcie wzbudzającego i z kłamstwa ulepionego. W Belgradzie popasał on niedługo.

W towarzystwie polskiem w Belgradzie żywioł niewieści długo reprezentowała moja żona sama jedna. W r. 1866 przybyła młoda para, doktorostwo Gąsiorowscy: on rodem z Królestwa, wychowaniec Uniwersytetu Kijowskiego, ona warszawianeczka, ładniutka, milutka, w mężu rozkochana, w siebie zapatrzona, płocha, kapryśna, istna mieszczka, wykwintnego świata wychowanka, lubiąca się pokazywać i podziw wzbudzać. Zjawisko to na bruku belgradzkim uwagę na siebie zwróciło. Nam — żonie mojej i mnie — ogromnie się ono podobało. Zamieszkali zrazu Gąsiorowscy w domu położonym po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domku przez nas zajmowanego, który był już trzeciem naszem w Belgradzie mieszkaniem. Póki doktor nominacji nie otrzymał, jadali u nas, gdy zaś go do Kragujewca na lekarza miejskiego przeznaczono, wyjechał, zostawiając żonę pod naszą opieką. Doktorowa miesięcy parę u nas przemieszkała.

Działo się nam niedobrze wprawdzie, ale nienajgorzej. Najgorsze przeminęło. Rwało się nam co czas jakiś, nie tak atoli, ażeby w perspektywie nie przyświecało polepszenie bytu. Zajmowaliśmy na Wraczarze domek o trzech pokojach z werandą, z kuchnią na podwórzu i z ogrodem owocowym, produkującym winograd, jabłka, gruszki, wiśnie, figi, brzoskwinie i migdały. Z fig i winnicy nie mieliśmy pociechy, za to inne drzewa obradzały obficie, zwłaszcza wiśnie i migdały. Warzyw nie uprawialiśmy, raz dlatego, że w ogrodzie miejsca na nie nie było, powtóre wielka produktów tych taniość czyniła uprawę zbędną. Taniem było wszystko, co do odżywiania się służyło, wliczając w to drób, dziczyznę, bryndzę (przerób mleczny) i wino wyborne, jakoteż opał w obfitości z pobliskich dowożony lasów. Można więc było, skromne mając dochody, przyzwoicie się utrzymywać i gościny ludziom użyczać. Jedno tylko wielki stanowiło mankament, a to usługa, mianowicie niewieścia. Rekrutowała się ona spomiędzy Serbek, Węgierek i Niemek, i wogóle była, wyrażając się obrazowo, pod psem. We względzie tym prym trzymały Serbki. Najpierwsza, którąśmy wzięli, zraziła moją żonę, przyzwyczajoną do uległości sług w Polsce, nietylko tem, że przemawiała do niej: „ty“, ale wprost brutalnością. Raz,

gdy nieobtarty przez nią należycie talerz obcierała, służąca go jej z rąk wydarła i tak do niej przemówiła:

— Cóż to! Jam u ministra służyła, a ty po mnie chcesz talerze obcierać?

Innej znów, dziewce zamaszystej i w wyrażeniach nieprzebierającej, dyspozycje dawać się bała. O służące było łatwo: szło się po nie w dzień targowy na targowicę, tam czekał zastęp kandydatek na „kuwarice“ i „służanki“; przystępowało się do nich, upatrywało się jedną i zadawało się jej pytanie:

— „Otiesz da służisz kod menie“?[1]

Jeżeli odpowiadała: „otiu“[2], co się zwykle zdarzało, zawierało się z nią *pede stante* umowę i prowadziło się ją do domu.

Zwykle jednak po próbie tygodniowej trzeba było na targowicę po nową iść. Zmieniliśmy wreszcie Serbki na Niemki. I z temi długo trudno było do ładu trafić, aż natrafiliśmy na rodzinę niemiecką, złożoną ze starej pary małżeńskiej, ubłogosławionej kilku pożenionymi i niepożenionymi synami, jako też kilku zamężnemi i niezamężnemi córkami. *Mutter* trudniła się leczeniem zapomocą nacierania *(schmieren)* sadłem wieprzowem na wszelakie, jakie jeno ludzkość trapią, przypadłości chorobliwe; jedna z jej córek praktykowała akuszerję; inne po służbach chodziły. Męska rodziny tej połowa rozmaite nam oddawała usługi w zakresie stolarskim, kowalskim, ślusarskim. *Vater* drwa rąbał. Z tejto rodziny dostała się nam na początek dziewczynka czternastoletnia, następnie starsza jej siostra, dzięki którym zakończyły się nasze ze służbą domową kłopoty. *Mutter* dla praktyki swojej — *schmieren* — nie znajdowała u nas pola, ale często nas odwiedzała i dzieci nam bawiła. Dobra to i uczciwa była rodzina cała, wyróżniająca się śród wyuzdanego zepsucia, jakie, niestety, w sferze tej w Serbji po miastach wogóle panowało.

Regulowało się nam powoli w Belgradzie życie na wydającej się niepewną podstawie pracy mojej literackiej. Pozycja nasza zachwiewała się czasami, następnie się prostowała: wykupywałem zastawy, i nastawał szereg cały dni pogodniejszych. Ze strony władz krajowych najmniejszej nie doznawaliśmy przykrości; przybrały one względem nas postawę taką,

---

[1] Chcesz u mnie służyć? [2] Chcę. (Tłum. T. T. Jeża).

jakby ignorowały obecność moją. Posuwało się to aż do śmieszności. Poznałem kilku mężów, zajmujących stanowiska wysokie: na osobności odnosili się do mnie uprzejmie, serdecznie nawet; na ulicy jednak, gdy mnie zdaleka zoczyli, na drugą przechodzili stronę, lub mijali zamyśleni, albo roztargnienie udając. Taksamo zachowywał się Franciszek Zach, pułkownik, dyrektor szkoły wojskowej, Morawianin rodem, ale niegdyś uczestnik powstania polskiego z r. 1830/31 i następnie emigracji. Ten również publicznie mnie nie poznawał. W czasie mego w Belgradzie pobytu odbywały się za miastem ćwiczenia dywizji milicji serbskiej, kilku pułków piechoty, jazdy i artylerji. Ciekaw byłem oglądać to; wychodziłem, przypatrywałem się; najdłużej zatrzymało mnie widowisko udanej bitwy, w której na terenie wzgórzystym trzy bronie udział brały. Kiedym po skończonych manewrach wracał, ujrzałem zdaleka jeźdźca, oficera jakiegoś, samotnie jadącego przez pola. Nie zważałem na niego, doszedłem do biegnącej wzdłuż ogrodów zawraczarskich ocienionej drzewami ścieżki i kiedym na nią wkroczył, usłyszałem za sobą stępem idącego konia tentent. Obejrzałem się — Zach jechał. Myślałem, że mnie minie; on jednak, ze mną się zrównawszy, z konia zsiadł, dłoń mi do uścisku podał i o zdanie o manewrach mnie zapytał. Długa się następnie między nami zawiązała o siłach zbrojnych Serbji rozmowa. W cieniu drzew, po ścieżynie zaogrodowej chodziliśmy powoli tam i spowrotem dłużej aniżeli godzinę. Ale nikt nie widział. Zacha znajomość ze mną nie kompromitowała w oczach konsulatów mocarstw, opiekujących się Serbją, a mających na nią otworzone oczy i uszy agentów swoich tajnych.

Obawa kompromitacji, powstrzymująca od wdawania się ze mną osobistości nadające towarzystwu belgradzkiemu ton, utrudniała nam utrzymywanie w świecie serbskim stosunków towarzyskich. Zresztą i bez tego trudne one były dla mojej zwłaszcza żony, spowodu że językiem serbskim nie władała wcale, językiem zaś niemieckim władała słabo. Poznała się i poprzyjaźniła z panią Jokisz, sąsiadką naszą, kobietą miłą i dobrą, w Wiedniu wychowaną, którą rozumiała, gdy ona mówiła, lecz odpowiadać jej, jakby chciała, nie mogła, chyba za pośrednictwem mówiącego po francusku jej męża. Sczasem się wprawiła, lecz na nawiązanie stosunków było już za późno.

Stanęło na tem, żeśmy poprzestawali na towarzystwie męskiem. Schodziłem się w bibljotece z Szafarzykiem, porządkującym wyciągi tyczące się historji Serbji, powypisywane przezeń w archiwach weneckich; bywałem u Nowakowicza, korygującego znajdującą się w druku pracę jego, *Bibljografję serbską*, w której opuścił dział cały literatury dubrowackiej (raguskiej). Razu pewnego, gdy o literaturze polskiej u tego ostatniego była mowa, pyta on mnie, którą z powieści moich życzyłbym sobie mieć na język serbski przetłumaczoną.

— Chyba *Asana* — odpowiedziałem po namyśle.

Na to Nowakowicz wstał, wyjął i podał mi jedną ze znajdujących się na półkach książek: był to *Asan*, w tłumaczeniu serbskiem czy bułgarskiem, tego nie zauważyłem, rzuciłem bowiem tylko okiem i nie rozpatrywałem się w nim bliżej w tej pewności, że to tłumaczenie serbskie. Dałem więc do wyboru: *Szandora Kowacza* i *Handzię Zahornicką*. Zaszczyt wystąpienia w przyodziewku serbskim spotkał *Handzię*.

Nowakowicza odwiedzałem częściej niż innych. Bywał on u nas, zwykle nie sam. Niekiedy w saloniku naszym, pełniącym funkcję pracowni mojej, zbierała się gromadka braci po piórze, analizująca naukowe i literackie kwestje. Na tem w serbskim świecie ograniczały się towarzyskie stosunki nasze w Belgradzie.

Kolonja polska zbierała się pod strzechą naszą raz na tydzień regularnie. Od czasu do czasu ktoś z przejezdnych spadał niespodzianie. Z osobistości w świecie polskim wydatniejszych zabrałem w sposób ten znajomości z drem Juljanem Łukaszewskim, Wielkopolaninem, który skompromitowany zbyt wyraźnym i gorliwym udziałem w powstaniu, zagrażającym mu długiem w zaborze pruskim więzieniem, wyemigrował był do Szwajcarji i po paruletnim w Zurychu pobycie przenosił się na praktykę do Rumunji. W przejeździe zatrzymał się w Belgradzie. Osobista znajomość nasza miała charakter przelotny. Później nie spotkaliśmy się już nigdzie, aleśmy ze sobą stosunki zawiązali, kiedym na siebie w r. 1887 wziął sprawę Skarbu Narodowego i redakcję *Wolnego Polskiego Słowa*. W jednem i w drugiem dr J. Łukaszewicz udzielał mi skutecznie pomocy patrjotycznej.

Drugą osobistością, co do Belgradu zajrzała, był Włady-

sław książę Sanguszko. Nie widziałem go: miał się on zapewne za zbyt wysoko stojącego męża, ażeby mógł o złożeniu jakiemuś tam Miłkowskiemu wizyty pomyśleć; ja zaś nie uważałem za rzecz „wskazaną“ składanie mu hołdu dla tej jeno racji, że nosił nazwisko ozdobione tytułem. Była jeszcze inna racja, ta mianowicie, że drukował dwie prace swoje: *O chowie koni* i *Rachunek sumienia*, ale o tem nie wiedziałem; gdybym jednak był wiedział, wątpię, czyby wiadomość o tem autorstwie pobudziła mnie była do wybrania się z hołdem do księcia. Z obecnych w Belgradzie Polaków jeden tylko widział się z nim Chodylski. Przed nim książę gorzko się żalił na przyjęcie, jakiego doznał ze strony księcia panującego, Michała. Ks. Michał ani wiedział zapewne o dostojności męża, co mu się przedstawił: przyjął go *du haut de sa grandeur* i nie rewizytował. Ubodło to ks. Władysława do żywego, wymyślał ks. Michałowi od świnopasów; przyznać jednak należy, iż się mu przyjęcie takie należało za sposób, w jaki się on do ludności serbskiej odnosił. Oglądał ją, jak się oglądają konie na jarmarku, albo zwierzęta dzikie w menażerji. Tak się z jego strony wyraziło „zwiedzanie południowej Słowiańszczyzny“, o której, przypuszczać należy, tyle miał pojęcia, co Michał Obrenowicz o znakomitości rodu Sanguszków. O „zwiedzaniu“ tem Serbowie, z którymi się spotykałem, jedni z przekąsem, drudzy z oburzeniem mówili. Panowie wogóle, nietylko polscy, do sfer, w mniemaniu ich uchodzących za niższe, stosować się nie umieją i niesłusznie narzekają, gdy ich sztywne spotyka przyjęcie.

Przyjęcie uprzejme i serdeczne spotkało gromadkę młodych akademików Moskali, przybyłą w tym samym celu, w jakim przyjechał ks. Sanguszko. Młodzież serbska oddała się na gości tych usługi: ciceronowała im, w wycieczkach wgłąb kraju przewodniczyła, posługiwała, nad ich wygodami i bezpieczeństwem czuwała i kiedy odjeżdżali, na cześć ich urządziła bankiet w hotelu Pod jeleniem. Przy bankiecie wino strumieniem się lało. Toastowano; przy toastach wygłaszano mowy, sławiące słowiańską jedność braterską pod przewodnictwem Rosji. Po toastach nastąpiły śpiewy, które rozpoczęto od hymnu rosyjskiego: „Boże, caria chrani“. Skolei słyszeć

się dały hymny innych narodów słowiańskich: serbski, czarnogórski, czeski.

— Polski! — ktoś przypomniał.

— Polskiego hymnu śpiewać nie wolno! — zaprotestował jeden z Moskali.

— Czemu? Wszak Polacy to Słowianie!

— Zdrajcy! Nazwy Słowian niegodni!

Jeden z młodzieży serbskiej ostro się za Polakami ujął i ze strony moskiewskiej również ostrą wywołał odpowiedź. Wymiana słów stała się wymianą obelg. Od słów przyszło do czynów. Wymowę zastąpiły kułaki. Bankiet na cześć Moskali dany na tem się skończył, że młodzież serbska za drzwi młodzież moskiewską wyrzuciła dzięki — sprawie polskiej.

W głoszonych Słowian południowych dla Rosji sympatjach sprawa polska odegrywa rolę przestrogi kamedulskiej: *Memento mori*. Głębi, szczerości w nich niema. Losy Polski pobratymcom naszym w myśli tkwią i powstrzymują ich od oddawania się Moskwie duszą całą. Przekonałem się o tem, obchodziło mnie to bowiem. Przekonałem się, że i propaganda moskiewska, mająca na celu pozyskanie sympatji w sferach ludowych, owoców przez Moskali pożądanych nie wydaje.

Byłem raz świadkiem takiego zdarzenia. Na rynku w Belgradzie, pod gołem niebem, przy kibitce, Moskale, handlarze malowanych jaskrawemi farbami wizerunków świętych pańskich, rozłożyli wystawę. Serbowie płci obojej otoczyli ją kołem i gapili się. Jeden z kacapów obchodził widzów, zalecając im obraz jakiś, który w ręku trzymał i pod oczy im tkał. Nabywca nie zgłaszał się, aż jakiś młody, szykowny parobczak o cenę zapytał. Kacap cenę wymienił. Chłopak ramionami wzruszył. Kacap cenę zniżył i w odpowiedzi, otrzymawszy powtórne ramionami wzruszenie, w matkę mu załajał. Zaledwie ostatni obelgi wyraz z ust mu wyszedł, na twarz Moskala spadł policzek, wymierzony z takim rozmachem, że mu się krew z nosa puściła. Stało się to w jedno niemal oka mgnienie, bez namysłu. Bądźcobądź sympatja, gdyby istniała, powinna była powstrzymać od policzka ramię Serba wobec prawosławnego handlarza obrazów świętych, poddanego państwa „opiekuńczego", gościa wreszcie. Gościnności serbskiej doznawałem nieraz na sobie, mimo żem nie prawosławny i Polak.

Obelga nie tłumaczy zniewagi dostatecznie. Lżenie się wzajemne, równie dosadne jak węgierskie, jest w Serbji chlebem powszednim. Powodu odruchu tego nieobmyślonego szukać należy w tem, że obelga wyszła z ust Moskala. Czy nie *da ist der Hund beyraben?* Serbowie sympatyzują z Moskalami, o ile okazów sympatji własny ich interes, stosownie do nastawiania się okoliczności, wymaga. O chwiejności tej sympatji świadczy najdowodniej historja.

Sympatja serbska dla Moskali miała swoje *hausse* i *baisse* — raz się wzmagała, znów słabła, nigdy atoli całkowicie nie znikała. Dużą w tem rolę odgrywała „jedna wiara". W odniesieniu do Austrjaków jednak i do Niemców wogóle zawsze się w obniżeniu znajdowała. Niemca zwano „Szwabą", a wyraz ten był obelgą. Osobliwie się uczucie względem rasy niemieckiej zamanifestowało, gdy pomiędzy Austrją a Prusami przyszło do wojny r. 1866. Serbowie nie wiedzieli, której zwycięstwa życzyć mają stronie. Szwaby bili się ze Szwabami. Jedni warci drugich. Nie mieliby nic przeciwko temu, ażeby z bojów cało nie wyszli ani ci, ani tamci. Klęli jednakowo w „majkę" jednym i drugim, i gdy musieli wyraźną wypowiedzieć opinję, oświadczali się za tymi, co się znajdowali dalej, — za Prusakami.

Z sympatją gromadki Polaków w Belgradzie przebywających działo się to samo. Nie przychylaliśmy się ani ku tym, ani ku tamtym. Sądziliśmy i wnioskowali wedle reputacji bojowej, jaką posiadali zapaśnicy. Prusacy od r. 1815 z nikim wojny na wielką skalę nie toczyli; wojny zaś ich poprzednie sławy im nie zapewniły. Nie przypuszczaliśmy więc, ażeby oni zwyciężyć mogli Austrjaków, których wojska, jeżeli zwycięsko z wojen węgierskiej i włoskiej nie wyszły, to przynajmniej ostrzelane były, proch wąchały. Co do mnie pewny byłem, że w skórę dostaną Prusacy. Nie litowałem się nad nimi, nie życzyłem im triumfów; nie życzyłem triumfów i Austrjakom, ale tak mi wypadało z porównawczego zestawienia szans, polegających na warunkach, odnoszących się do jakości materjału bojowego.

Zdziwienie moje było niemałe, gdy się wojna ze szkodą Austrji zakończyła. Pocieszało mnie to jeno, że Austrję zgubił Benedek, — ten Benedek, którego u przeprawy przez Cisę pod Szegedynem żołnierze dowodzonego przeze mnie plutonu postrzelili i przez to na bohatera wykierowali.

Zanim grunt serbski opuszczę, powiedzieć winienem, czegom się w czasie pobytu mego w stolicy Serbji dowiedział o kraju, o narodzie i o znaczeniu jego na tle interesów rasy słowiańskiej. Zacznę od tego ostatniego.

Serbja jako naród, jako wyraz etnograficzny, ocechowany językiem, zajmuje dużą, ogniskującą się głównie na porzeczu Sawy, połać Europy. Opiera się ona stroną zachodnią o pomorze adrjatyckie i gdybyśmy na mapie nakreślili poczynającą się na południu w Antivari, a kończącą się na północy u źródlisk Drawy, linję prostę, gdybyśmy następnie od obydwóch końców tej linji przeprowadzili wprost na wschód dwie równoległe i doprowadziwszy je na wysokość ujścia Timoka do Dunaju, linją prostą złączyli, otrzymalibyśmy czworobok nierównoboczny (trapezę), którego wnętrze całkowicie prawie zapełniają różne nazwy noszące krainy, zaludnione przez Serbów. Serbami są Czarnogórce, Dalmaci, Hercegowina, Bośniacy, Ilirowie, Slawoni, Kroaci. Cechę ich spólną stanowi mowa, rozpadająca się na narzecza, niewytwarzające języków odrębnych. Różnią je wyniki chodów dziejowych i wyznania religijne. W siódmem stuleciu naszego dziesiątku cała Słowiańszczyzna południowa pozostawała, jeżeli nie pod panowaniem, to w zależności od państw obcych. Najmniej zależną była Serbja (księstwo), luboć bowiem lenniczy z Turcją wiązał ją stosunek i warownie w niej (Belgrad, Szabac, Nowa Orsowa) obsadzone były przez garnizony tureckie, to przyznawany jej samorząd zupełny, w połączeniu z położeniem geograficznem i zasobami ekonomicznemi, nadawał jej znaczenie czynnika politycznego w międzynarodowym zakresie. Spółzawodniczyć z nią mogłaby była Czarnogóra, gdyby warunki, w jakich bytowała, nie czyniły z niej posterunku polityczno-wojennego, pozostającego pod rozkazami Rosji. Serbji znaczenie polityczne, zaznaczające się wówczas nawet, kiedy kark jej ugniatało jarzmo tureckie, wzrosło następnie i dało jej możność spekulowania na drodze dyplomatycznej. Spekulowanie na tej drodze kieruje się wytyczonemi przez Adama Smitha dla handlu, a pozbawionemi absolutnie charakteru etycznego, prawidłami konkurencji. Cel — zbogacenie się, zapewniające potęgę i wielkość, wymaga w podążaniu ku niemu wytknięcia sobie zadania, nadającego stały, do okoliczności odpowiednio stosowany kierunek. Na zadaniowo prowadzonej i od-

powiednio do okoliczności stosowanej, a etycznego podkładu bezwzględnie pozbawionej polityce urosły mocarstwa. W sformułowanym przez Bismarcka „Siła nad prawem“ kierunku prowadzenie polityki stanowi istotę dyplomacji. Gabinety *di primo cartello,* kierujące losami mocarstw pierwszorzędnych, politykę w duchu handlowym wedle zaznaczonych przez ojca ekonomji politycznej reguł uprawiają, dając wzory do naśladowania gabinetom i gabinecikom państw i państewek drugo-, trzecio- i czwartorzędnych.

I Serbja przeto, jak skoro względną zdobyła sobie niepodległość, jak skoro uzyskała możliwość targowania się samodzielnie o nabywanie i udzielanie korzyść jej wróżących usług, będących w zakresie politycznym tem samem, czem są w zakresie handlowym towary, wnet na drogę naśladownictwa wkroczyła. Na drodze tej wytknęła sobie cel, wyznaczyła zadanie — cel i zadanie z powietrza jej niejako zwiane, a przez echa przeszłości zbudowane: przywrócenie państwa cara Duszana, opanowanie półwyspu Bałkańskiego na rzecz Serbji.

Zadanie to wydało się mi, gdym się w stosunkach miejscowych i w dziejach rozpatrzył, błędnie postanowionem, tak ze względu na Serbję samą, jakoteż w odniesieniu do mocarstw, na które się ona oglądała, a które dla własnych wyzyskiwały ją widoków. Anglja i Francja ugłaskiwały ją zdaleka na wszelki wypadek; Austrja, nienawidzona przez naród, obchodziła się z nią jak magnat z zawadzającym mu, pod bokiem jego osiadłym, chudopachołkiem; Rosja, rozdmuchując w niej ideę wielkoserbską, ukazywała jej wdali gruszki na wierzbie, traktowała ją protekcjonalnie i posługiwała się nią na gruncie zarazem kwestji wschodniej w Turcji i sprawy słowiańskiej w Austrji. Często o tem pomiędzy Serbami a mną była mowa. Oceniali oni wogóle sytuację trafnie i upatrywali, równie jak ja, jedynie skuteczny na wyjście z trudności sposób w idei państwa federacyjnego, obejmującego narody zaludniające półwysep Bałkański, i zapewniającego każdemu z nich swobodny narodowościowy rozwój. Na półwyspie w czasie owym istniały dwa ogniska, które ideę tę szczepić i szerzyć mogły: Grecja i Serbja. Ku tej ostatniej politycznie cała południowa ciążyła Słowiańszczyzna. Politycznie — powtarzam — bo nie kulturalnie. O kulturze poniżej wspomnę; ciążenie zaś polityczne stąd pochodziło, że Serbja

w odniesieniu do Bośni i Hercegowiny oraz do Bułgarii stanowiła punkt wychodni i schron dla powstańczych przeciwko Turcji przedsięwzięć. Powstania moralnie w niej się rodziły i w niej materjalne czerpały zasoby; gdy, co się regularnie powtarzało, wojska tureckie wybuch stłumiły, Serbja dawała rozbitkom przytułek bezpieczny. Za naszego w Belgradzie pobytu powstała była Hercegowina pod wodzą Łuki Wukałowicza. Powstanie to spotkał los zwyczajny, który do Serbji wepchnął wojewodę z drużyną. W stolicy przyjęto ich gościnnie, po bratersku. Tydzień, jeżeli nie dłużej, na rynkach i ulicach widzieć się dawali junacy w suto haftowanej odzieży, noszący za pasami arsenały bogato oprawnych handżarów i pistoletów, poważnie się przechadzający i zgóry na miejscową spoglądający ludność. Parę razy zdarzyło się mi samego wojewodę spotkać: chłop rosły, suchy, grubokościsty, na obliczu czerwony, rudo zarosły i groźnie spod ostrzeszkowatych brwi spoglądający. Poważnie a lekceważąco składane mu przyjmował hołdy. Nagle on i drużyna jego z Belgradu znikli. Można się tego spodziewać było; nie poprzestając bowiem na gościnności i hołdach, dopuszczali się czynów, z heroizmem niekoniecznie licujących: bawić się poczęli w hajduczenie w mieście, w biały dzień rabowali i tak się nastawili, że niebezpiecznem było spotykanie się z nimi, na osobności zwłaszcza. Nie wiem, dokąd ich policja wyprawiła. Obrażony Łuka udał się ze skargą i z żądaniem interwencji do najwyższej słowiańskiej instancji — do Rosji: chciał dotrzeć do „białego cara“, lecz go do niego nie dopuszczono; w Odesie internowany w kilka lat później umarł.

Serbja wobec takich jak hercegowińskie pod Łuką Wukałowiczem powstań, wobec ogólnego śród Słowian południowych dążenia do wybicia się na niepodległość spod panowania tureckiego, w dogodnem znajdowała się położeniu. I mogłaby była dużo w kierunku tym zrobić, gdyby do niego własne stosowała dążenie. Aspiracje wielkoserbskie wzbudzały do niej nieufność, czerpaną z podań i tradycyj. Hercegowińcy mieli swoje, Bośniacy swoje; Czarnogórcy powoływali się na kilkuwiekową niepodległości swojej obronę; Bułgarzy się nie odzywali, lecz w ich tradycjach drzemała wielkobułgarska, nieustępująca w niczem wielkoserbskiej, idea. Sprowadzenie tych południowosłowiańskich ułamków do jednego mianownika było Serbji zada-

niem, — zadaniem, któreby ona pojąć i podjąć zdołała, gdyby u kolebki nowej Serbji nie stanęły były niańki, które ją przedewszystkiem w koronę ubrały. Korona w Grecji, korona w Czarnogórze, korona w Serbji. Te trzy korony ukazywały w perspektywie korony inne, należne Epirowi, Macedonji, Tracji, Bułgarji, i zgóry szczepiły antagonizmy i spółzawodnictwo wewnętrzne, przyzywające antagonizmy i spółzawodnictwa zewnętrzne. Korony dla zamieszkujących półwysep Bałkański narodów najsmutniejszym i najfatalniejszym są wynalazkiem: Łuka Wukałowicz, rozwijając sztandar buntu w Hercegowinie, miał przed oczami Jerzego Czarnego i Miłosza Obrenowicza w książęcych koronach. Najwłaściwszą, najodpowiedniejszą, najradykalniejszą, kwestję wschodnią rozwiązującą, formą rządu dla narodów półwyspu Bałkańskiego jest rzeczpospolita federacyjna, urządzona na wzór i podobieństwo Szwajcarji. Umysły, jasno na rzeczy patrzące i o przyszłość dbające, wiedzą o tem w Serbji i w Grecji. Z ideą federacji bałkańskiej spotkałem się w Belgradzie jako z „pięknem rojeniem", niemożliwem do urzeczywistnienia na drodze popytów i podaży dyplomatycznych, praktykujących się za pośrednictwem gabinetów z wykluczeniem etyki.

Konkluzja: Serbji przystrojenie jej w koronę przeszkadzało w rozwiązywaniu tego zadania politycznego, które sama natura rzeczy na nią włożyła. Przygotowywała ona na przyszłość zatargi i niepokoje, które nie kazały na siebie czekać długo: znalazły one swój wyraz najprzód w wojnie serbsko-bułgarskiej, wytoczonej przez Serbję spowodu nadwerężenia równowagi dzięki przyłączeniu się Rumelji do Bułgarji, następnie w powstrzymaniu Bułgarji i Serbji w niesieniu pomocy Grecji, gdy tę do wojny przeciwko Turcji popchnęły okrucieństwa tej ostatniej, dokonywane na Grekach i Ormianach pod osłoną dyplomacji europejskiej. Ale to rzeczy późniejsze. Wróćmy do dawniejszych.

Zamykamy pobieżny na polityczne, otwieramy na kulturalne Serbji znaczenie pogląd.

Kulturalne Serbji znaczenie mocno w r. 1866 chromało. Powodem tego były powijaki moskiewskie, z których się jeszcze nie była wyzwoliła całkowicie, tak dalece, że człowiek niewątpliwie uczony, autor serbskiej bibljografji, Nowakowicz, do cerkiewnosłowiańskich zabytków przyczepił początek piśmien-

nictwa serbskiego w XIX w., dając mu za ojca Dociteja Obradowicza, a pomijając całą złotą epokę dubrowacką. Zwróciłem mu na to uwagę. On w dłonie klasnął, palce wyłamał i zawołał:

— Moja wina! Zapomniałem...

Zapomnienia tego powodem była szkolna nauka, urządzona wedle skazówek instruktorów moskiewskich, usiłujących dla Serbji stworzyć język piśmienniczy urobiony na wzorach ksiąg cerkiewnych i nieuwzględniający języka, którym lud mówił. Takim sztucznym językiem pisał Docitej Obradowicz. Docitej Obradowicz wytworzył szkołę, panującą w Serbji do czasów Wuka Karadzicza, który szkołę tę wywrócił sposobem rewolucyjnym, odkrywszy język piękniejszy aniżeli obradowiczowski i wprowadziwszy jotę do pisowni. Zuchwalstwo to, w którem obradowce widzieli zamach nietylko na język, ale i na prawosławie, wykazywane w świetle występnem przez moskiewskich szczepicieli cywilizacji w Serbji, ściągnęło na Karadzicza wyrok wygnania z Belgradu. Rewolucjonista ten nie zaprzestał działalności swojej w Wiedniu. Z Wiednia podkopywał szkołę sztuczną, ogłosił zbiór pieśni ludowych i zwyciężył. Język żywy wziął nad sztucznym górę. Lecz rewolucja językowa nie usunęła szkolnego literatury wykładu, w którym przybył dział nowy: epoka karadziczowska, jako zupełnie nowy, niepoprzedzony przez nic i przez nikogo. Karadzicz zapewne nie wiedział, że w XVI i XVII w. na obszarze zamieszkałym przez naród serbski istniał taki zakątek, w którym literaturę narodową świetnie uprawiano. Do wykładów szkolnych nie wkluczono jej. Nie wiedział przeto o niej Nowakowicz, gromadząc do pracy swojej materjały. Stąd poszło, że dział ów całkowicie pominięty został. Kiedym mu na to uwagę zwrócił, zaniepokoił się, zgryzł się, zmartwił, powiadał, że praca jego kilkoletnia bez żadnej jest wartości, razy kilka wywoływał:

— I co ja teraz pocznę!

— Napisz historję literatury — rzekłem. — Gdy w niej literaturę dubrowacką zamieścisz, naprawisz omyłkę i przyniesiesz korzyść donioślejszą aniżeli bibljografja, bo dostępniejszą dla szerszego ogółu.

— Chyba że tak — odrzekł.

W kilka lat później wyszła przez Nowakowicza napisana historja literatury serbskiej; w niej dział dubrowacki poczestne

zajmuje miejsce. Autor przysłał mi ją do Brukseli. Kto wie, czy nie dzięki radzie, skutkiem której literaturę serbską pożyteczna zbogaciła praca, spotkał mnie ten zaszczyt, żem zamianowany został członkiem korespondentem Serbskiego Naukowego Towarzystwa, którego Szafarzyk był prezesem, a Nowakowicz sekretarzem.

To, co wyżej, służyć może za ilustrację kulturalnego w południowej Słowiańszczyźnie Serbji znaczenia. Chromało ono, jakem się wyraził, — chromało z racji fałszywych skazówek, którym zrazu zaufało, jakoteż z racji prawosławia, które abecadłowo odosabniało Serbję od Kroacji, mówiącej jednym i tymże samym co ona językiem, stojącej od niej kulturalnie wyżej, posiadającej bogate na jej rozporządzenie zasoby cywilizacji, ale wyznającej katolicyzm i posługującej się w piśmie alfabetem łacińskim. Wyznanie i alfabet wniwecz obracały śród Słowian na prawym porzeczu Sawy osiedlonych wpływ niosący oświatę, jaki Kroacji z natury rzeczy przypadał. Kulturalizm kroacki był dla Serbów księgą zakazaną, z której połowicznie korzystali prawosławni poddani korony św. Szczepana, zogniskowani w arcybiskupstwie (patrjarchacie) karłowackim. Ogniska wyznaniowego rzecznictwo kulturalne znajdowało się w Nowym Sadzie (Neusatz-Ujwidek), zaopatrzonym w szkoły, bibljoteki, w księgarnie wydawnicze i drukarnie, w naukowe i literackie towarzystwa, w cały ruchu umysłowego aparat, wybierający starannie spośród sianych w Zagrzebiu ziarn katolickich ziarna prawosławne i udzielający tych ostatnich w miarę potrzeby Belgradowi serbskiemu. Do Belgradu przeto światło z drugiej dostawało się ręki. Światło to, oczyszczone w N. Sadzie z błędów katolickich i zanieczyszczone przez pierwotnych szczepicieli oświaty prawosławiem moskiewskiem, mimo że się rozlewało po licznych szkołach i szkółkach w kraju, zapładniało mózgi młodzieży w wyższej szkole (liceum) w stolicy i ogniskowało się w Towarzystwie Naukowem, świeciło słabiutko. Belgradzkie księgarnie ubogi pędziły żywot, belgradzkie drukarnie ledwie dyszały, belgradzkie wydawnictwa obejść się bez subsydjów rządowych nie mogły.

W pierwszych przybycia mego do Belgradu chwilach oglądałem się za jakimeś dziennikiem miejscowym, którybym miał pod ręką dla informowania się o sprawach bieżących. Słotwiński

nie umiał mnie we względzie tym objaśnić — nie wiedział nawet, czy i jakie w Belgradzie wychodzą dzienniki. W którejś kawiarni znalazłem pism parę i z tych jedno p. t. *Światowid,* pokaźniejsze niż inne, zaprenumerowałem. Zaprenumerowałem je w redakcji. Redaktor, człek niemłody, przyjął mnie uprzedzająco uprzejmie, zachwalał mi swój dziennik i o zasługach swoich opowiadał. Obok *Światowida* wychodził jeszcze *Vidow-dan,* półurzędowy, czy urzędowy, — i tyle. Były to pisma ukazujące się: pierwsze dwa, drugie trzy razy na tydzień. Na prowincję poczta dostawiała je daremnie. *Światowid* dochodził mnie spoczątku nie dwa razy, ale raz na tydzień, — przynosiła go baba. Po jakimeś czasie dwa tygodnie upłynęło — dziennika nie otrzymałem; gdy mi go nareszcie baba przyniosła, na zapytanie, czemu tak późno, dała mi odpowiedź wymijającą. Następnie otrzymałem numer z zawiadomieniem, że ponieważ redaktor wyjeżdża, wydawnictwo przeto pisma zawiesza się na czas jego nieobecności. Gdy powrócił, numer następny wyszedł. Baba, co mi go przyniosła, o prenumeratę się upomniała. Odmówiłem. Powróciła — znów odmówiłem. Odmowę powtórzyć musiałem po raz trzeci i poszedłem do redakcji, ażeby o powód tej natarczywości zapytać. Powód:

— Brak prenumeratorów — wytłumaczył redaktor.

— Iluż pan masz?

— Pięciu.

Pismo to trzymało się tem tylko, że pobierało od Rosji subsydjum. *Vidow-dan* subsydjowanym był przez rząd serbski. Publiczność nie rozumiała i nie czuła potrzeby podtrzymywania prasy perjodycznej. Na druk *Głasnika,* czasopisma tomowego, organu Towarzystwa Naukowego, skarb publiczny łożył.

Pisma literackie, jakoteż gazety polityczne, roztrząsające sprawy serbskie, wychodziły w Nowym Sadzie i stanowiły zasiłek kulturalny, którego znaczenie odnosiło się do przyszłości. W teraźniejszości chodziło o to, ażeby publiczność zaciekawić do słowa drukowanego, — jakiegokolwiek, byle drukowanego.

We względzie tym zaznaczył się w Serbji fakt godzien uwagi. Kiedy się Serbja niepodległą już czuła, nadszedł moment, w którym się czuć jej dał brak oświaty. Głos ogólny o szkoły się upominał. Szkoły! szkoły! Cały po miastach, miasteczkach i po wsiach naród dał się opanować zapałowi do elementarza, —

do książki. Dzięki zapałowi temu Serbja zapełniła się szkółkami, które odrazu funkcjonować zaczęły bezładnie i, gdy ład jakitaki wprowadzony został, — spowszedniały. Zapał, który zrazu powściągać trzeba było, przystygał i ostygł. Z ogółu wydzieliła się sfera inteligentna i ta na dwa rozpadła się rodzaje: rodzaj upatrujący w oświacie drogę do karjery, i rodzaj uznający ją za pokarm duchowy, za chleb umysłowy, narówni z chlebem z ziarn zbożowych wyrabianym człowieczeństwu potrzebny, narody podnoszący, ożywiający i uszlachetniający. Ten ostatni rodzaj inteligencji szczupło się, niestety, w czasie pobytu mego w Belgradzie przedstawiał. Do tamtego wchodziła całkowicie liczna klasa cywilnych i wojskowych urzędników, pozująca na arystokrację. Do niej przymykało duchowieństwo i klasa handlarska, „trgowacka“, wyidealizowana w Serbji, dzięki roli, jaką w ciągu walki o niepodległość odegrała. Karageorgi był „trgowac“, Miłosz Obrenowicz był „trgowac“ — jeden i drugi handlowali świniami. Mało który z wojewodów, co się w walce odznaczyli, do klasy tej nie należał. Stąd ona ogólny uzyskała szacunek, stała się przedmiotem rojeń i dążenia dla każdego Serba, co świnie hodował, i przyczyniła się niemało z jednej strony do ostudzenia pierwotnego do oświaty zapału, z drugiej do rozmiłowania się w próżniactwie.

Podkład natury Serba stanowi próżniactwo, że tak się wyrażę, dekoracyjne: jaskrawo przystrojone i heroizmem hajduczym ilustrowane. Opiewają je narodowe historyczne pieśni, poematy, których bohaterowie walczą i ucztują w odzieży srebrem i złotem kapiącej, w kołpakach z brylantem świecącym w nocy jak słońce. Do zbliżenia się do tego ideału dwie za panowania tureckiego istniały drogi: jedna bardzo ryzykowna — hajduczenie w górach i lasach, druga napoły ryzykowna — handlowanie bydłem i nierogacizną. Ta druga była napoły ryzykowna raz dlatego, że Turcy raję serbską bez tych ceremonij, jakie do nas stosują Moskale, obdzierali, powtóre dlatego, że handel nierogacizną, artykułem dla muzułmanów wstrętnym i srodze przez nich prześladowanym, prowadzić należało sposobem kontrabandy. Hodowla atoli tego artykułu dokonywała się sama przez się. Serb zgoła nie troszczył się o nią. Świnie się rodziły, rosły i wykarmiały na żołędziach, buczynie, grzybach, korzonkach po wąwozach górskich, pod osłoną la-

sów niedostępnych. Zapewniały one dochody donośne, wyręczane zapomocą ukradkowego, z niebezpieczeństwem połączonego przepędzania ich przez kraj na lewy brzeg Dunaju lub Sawy. O jakiejś przy tem pracy i staranności szczególnej mowy nawet być nie mogło. Po ustąpieniu Turków, po usunięciu otaczających za ich panowania handel przeszkód, ideał bogactwa bez pracy pozostał zmodyfikowany odpowiednio do warunków, w jakich się znalazło społeczeństwo. Hajductwo, które, pozbawiając Turków życia dla obdzierania ich z odzieży, pieniędzy i oręża, osłaniało się patrjotyzmem, straciło rację bytu i Miłosz je doszczętnie wytępił. Droga ta dla próżniactwa zamknęła się. Nie zamknęła się jeno droga handlowa, cokolwiek uregulowana, lecz w braku przemysłu nieposiadająca do wyprowadzania artykułów innych, tylko to, co dawniej: bydło i nierogacizna, które się po dawniejszemu same hodowały. Serb-włościanin nie chodził koło nich, tylko je na sprzedaż wyprowadzał i pieniądze („nowce") za nie brał, czas od tej operacji handlowej zbywający, a rok okrągły obejmujący, spędzając na „puszeniu" [1] lulki, popijaniu kawy, „winca" [2] i „raki" [3] i na graniu w karty. Jednostajność tego żywota przeplatały „sławy" [4], obchodzone pod hasłem: „Da jediemo, da pijemo, da se weselimo [5]. Gospodarstwem domowem, jakoteż rolnem zajmowały się niewiasty wyłącznie w rodzinach uboższych, przy pomocy najmowanych robotników w zamożniejszych. Mężczyźni dozorowali, sami rzadko, bardzo rzadko, wyjątkowo chyba, ręki dokładali. Kobiety pracowały w winnicach, pędziły gorzałkę na alembikach domowych, utrzymywały sady, hodowały jedwabniki, sporządzały bieliznę i odzież itp. Mężczyźni — „prawi" [6] Serbowie — nic nie robili. Ogrodowiznę uprawiali Bułgarzy, ogólni na całym półwyspie Bałkańskim ogrodnicy. Rzemiosłami trudnili się cudzoziemcy: Niemcy, Węgrzy, Cincarzy czyli Kucowołosi (osiedli w górach rodopskich Rumuni). Handel końmi znajdował się w ręku Żydów hiszpańskich, przysłowiowo uczciwych, którzy się oraz rybołówstwem zajmowali. Odkryłem ich obok ruin pałacu księcia Eugenjusza Sabaudzkiego, gdym kupował owe sterlety, które Kopernicki sprawiał.

---

[1] Kurzeniu. [2] Wina. [3] Wódki.
[4] Święto patrona domu. [5] Jedzmy, pijmy, weselmy się.
[6] Prawdziwi. (Noty T. T. Jeża).

Serbja, wogóle — w sensie konkluzji z tego, com napisał powyżej — mówiąc, stała słabo wobec ciążących na niej zadań tak politycznych, jak kulturalnych, ekonomicznych i społecznych. W polityce błędną kroczyła drogą; kulturalnie, jeżeli co z siebie wydzielała i ościennej Słowiańszczyźnie udzielała, wszystko z drugiej pochodziło ręki; we względzie ekonomicznym znajdowała się w pieluchach; społecznie urabiała w łonie swojem arystokrację gatunku bardzo lichego — urzędniczą, modelującą się wedle urzędnictwa austrjackiego, a zaszczepioną przez czynownictwo moskiewskie. Przytem nurtowała ją plaga: karty, — karty w rękach ludu, po wsiach, zabrukane, zatłuszczone, zabierające czas, zabijające „hłuzdy“ [1] i służące jako rozrywka umysłowa ku przyozdobieniu próżniactwa. Przypominało mi to domy nasze szlacheckie, nasze w porze zimowej podróże do Kijowa i po domach zajezdnych popasy i noclegi, kijowskie zresztą kontrakty, dubieńskie kontrakty, berdyczowskie, bałckie, jarmolinieckie jarmarki. Karty i karty. U nas atoli plaga ta dotykała klasę uprzywilejowaną, szlachecką, z równowagi przez wypadki historyczne wytrąconą, co ją do pewnego stopnia, psychologicznie rzecz biorąc, usprawiedliwiało, było bowiem rodzajem nałogu, którego się ludzie chwytają bądź w rozpaczy, bądź też celem głuszenia sumienia, gdy z własnej winy widzą się wtrąceni w próżnię otchłanną i nie widzą z niej wyjścia. W takiem położeniu jedni sumienia topią w pijaństwie, drudzy w kartach, inni w innej jakiej rozpuście. Do gier hazardownych, dla których otworem naówczas stało kilka jaskiń modnych (Baden-Baden, Homburg, Spa, Monte-Carlo, Saxon les Bains), garnęły się kosmopolityczne rodzaju człowieczego męty, goniące za wrażeniami lub za zyskiem. W Serbji z podniet tych nie działała żadna, zaraza zaś grasowała śród ludu, „u podstaw społecznych“, co jest rzeczą najsmutniejszą. Szkoły i cerkiew możeby na nią środki lecznicze znalazły, gdyby się o to postarały. Nie starały się jednak; gdyby się zaś starały, wątpić należy, czyby się im powiodło osiągnąć rezultaty pożądane. Dla cerkwi zresztą było to rzeczą obojętną, niedotykająca ani praw kanonicznych, które nic o kartach nie wiedzą, ani jej interesów, polegających

[1] Zabijać hłuzdy = tracić rozum.

przedewszystkiem na utrzymywaniu owieczek w zagrodzie prawosławnej.

To ostatnie duchowieństwu przychodziło z łatwością, prawosławie bowiem, podszywając patrjotyzm, stanowiło siłę jego opozycyjną wobec usiłowań misyj katolickich, protegowanych przez Austrję. Protekcja ta neutralizowała misjonarzy zabiegi. Spoza niej przeglądało ku Serbom oblicze szczerze przez nich nienawidzonego „Szwaby". Wyraz „Szwaba" miał w ustach serbskich znaczenie wzgardliwe, odnoszące się wogóle do Niemców, o których z pokolenia na pokolenie przechodziła tradycja, opiewająca o niesumiennem wyzyskiwaniu Serbów w wojnach, jakie cesarstwo z Turcją toczyło. Byli oni regularnie oszukiwani i na łup wydawani. Stąd pod ich skrzydłem wsuwający się katolicyzm wzbudzał w nich wstręt, nie z przekonania o wyższości prawosławia, ale z pobudek i z podniet patrjotycznych, głęboko w duszy ludzi wkorzenionych, idący. Patrjotyzm jest w Serbach potęgą rzeczywistą, żywą, gotową każdej chwili do składania dowodów. Na lat parę przed przybyciem naszem do Belgradu, wskutek zajścia pomiędzy serbską a turecką ludnością w mieście i odmowy dania przez rząd satysfakcji, jakiej się domagał komendant będącej w rękach Turków twierdzy, twierdza bombardować poczęła miasto. Na odgłos strzałów działowych cała ze wsi pobliskich ludność na pomoc stolicy ruszyła. Senatorowie z miasta uciekali; chłopi do miasta biegli, uzbrojeni w co kto miał pod ręką: w noże, w strzelby, w widła. Interwencja konsulów burzę zażegnała. Chłopi do domów wrócili z przekonaniem, że Turcy zaprzestali bombardowania na widok tłumów wieśniaczych z nożami spieszących.

Patrjotyzm to wielka potęga. Stanowi on rękojmię przyszłości Serbji i spodziewać się pozwala, że gdy naród pozna, jakie szkody przynoszą mu zamiłowanie w próżniactwie i karty, przyczyni się do stłumienia tych wad i podniesienia w nim moralności.

Taki patrjotyzm Polskę zbawi, gdy nasz lud przeniknie. Pobyt w Serbji przekonał mnie o tem.

Bombardowanie o którem wyżej wspomniałem, wpłynęło na losy miasta. Układy dawniejsze, oddające warownie serbskie w ręce tureckie, wyznaczały oraz w przylegających do warowni miastach dzielnice, w których Turkom mieszkać wolno było.

W Belgradzie chrześcijanie rozsiedli się nad Sawą, muzułmanie zajmowali „mahałę“ [1] przylegającą do Dunaju, a leżącą na pochyłości, kończącej się wchodzącym w Dunaj cyplem, na którym zasiadła rowami i wałami otoczona twierdza. Po bombardowaniu, dla zapobieżenia wypadkom podobnym na przyszłość, Turcy się z miasta całkowicie usunęli. Mahałę turecką zastaliśmy opustoszałą. Domy i domki stały, ale w nich nikt nie mieszkał; nikt ogrodów nie uprawiał; wyżej wznosiła się dżamija [2] z minaretem, z którego nie odzywało się wzywające wiernych do modlitwy wołanie muezzina. Smutkiem w tej połaci wiało, a nadole nad samym Dunajem rozlegały się ruiny gmachu — pałacu Eugenjusza Sabaudzkiego, o którym historja dużo mówi, o którym jednak śród Serbów podania milczą. [3] I ruiny te gruzami i śmieciem zawalone nic nie mówią — przynajmniej nic nie mówiły w czasie naszego w stolicy Serbji pobytu: nie pobudzały ani mnie, ani Kopernickiego nawet, do dumania takiego, jakiemu oddawał się Marjusz na ruinach Kartaginy, a to dlatego zapewne, że żadna podnioślejsza nie przemawiała z nich idea, tylko idea łapczywości państwowej, której zanieczyszczającym historję wyrazem są domu austrjackiego dzieje. Słusznie Serbowie Niemców „szwabami“ z przekąsnym przezywają przyciskiem.

Turcy zajmowali warownię, uważaną za jedną z silniejszych w Europie. Od miasta oddzielał ją kilkaset kroków wynoszący stok, przez który droga prowadziła do mostu zwodzonego, podnoszonego o wschodzie, spuszczanego o zachodzie słońca. Za wałami mieściło się miasto czysto tureckie: ulice ciasne, domy nazewnątrz pozasłaniane, place, bazary, meczety, studnie. Urwisty, wysoki od strony rzeki brzeg czynił ją nieprzystępną, z innych stron z wałów przez ambrazury wyglądały działa, gotowe chwili każdej rzygnąć ogniem i pociskami, niosącemi ludziom śmierć, miastu zniszczenie. W dnie pogodne na wałach widzieć się dawały szeregi różnobarwnych, skurczonych postaci, bielejących się z wierzchu: były to przykucnięte na ziemi niewiasty tureckie w jaskrawych feredżijach, biało zakwe-

---

[1] Dzielnicę. [2] Meczet. (T. T. J.)

[3] Austrja posiadała Belgrad dwoma nawrotami: raz od r. 1717 do 1739, drugi raz od 1789—91. (Nota T. T. Jeża).

fione, przypatrujące się zdala w smutnem milczeniu wydartym ich panom zdobyczom. Urozmaicały one widok fortecy od strony rzeki i od strony lądu, ale go nie ożywiały: wiało od nich martwotą, naprowadzały bowiem widzowi na myśl, że są rolą rodzajną narodu ginącego, państwa niegdyś potężnego i świetnego, chylącego się ku całkiem zasłużonemu upadkowi. Co one myślały, patrząc na szeroki Dunaj i rozlegające się za nim zielone, okiem objąć się niedające obszary, na miasto, w którem — pokorni niegdyś — panoszyli się giaurowie, a ich niewiasty używały nieznanej niewiastom tureckim swobody?

Coprawda, miasto w czasie owym nie było do oglądania ciekawem. Pokaźniejsze budowle, jak szkoła wyższa, szkoła wojskowa, bibljoteka, nic w sobie pokaźnego nie miały. Pałac książęcy z pozoru wyglądał na dwór szlachcica polskiego, właściciela wsi sporej. Place, których było dwa, jeden przylegający do opuszczonej dzielnicy tureckiej, drugi zwany „czarsziją“ [1], przypominały place po naszych miastach na Podolu, w takim np. Mohylowie nad Dniestrem, w Szarogrodzie, Tulczynie, w których panowanie tureckie zostawiło po sobie ślady. Ślady te wyraźniej się w Belgradzie aniżeli po naszych miastach pokazywały. Od nich rozchodziły się na wsze strony „sokaki“ [2], brudne, zaśmiecone, ciasne, z wyjątkiem jednej, która od czarszii, mimo konaku książęcego, przez Wraczar prowadziła do Topczidere, miejscowości oddalonej od miasta o pół mili, położonej w dolinie, w której rozlegał się porządnie utrzymany i dla publiczności otwarty park, otaczający letni, drewniany, z pozoru na „kutię“ [3] zamożnego wieśniaka wyglądający, pałac książęcy. W pałacu tym z faworytami przemieszkiwać lubił Miłosz na stare lata — na czardaku siadywał, kawę popijał i „lulę puszył“ [4]. W parku tym, w lat parę po opuszczeniu przez nas Belgradu, syn jego, Michał, zamordowanym został. Zapłacił biedak za dokonane przez ojca swego morderstwo Karageorga. To snadź morderstwo zrobiło podarowany przez dyplomację Serbji tron śliskim. Po Karageorgu, po Miłoszu nastąpiło z niego wywrotów kilka, a nie zasiadł na nim ani jeden z majstrów od fabrykowania państw, jakimi np. byli wszyscy prawie potomkowie Fryderyka

---

[1] Targowica. [2] Ulice. [3] Dom. [4] Fajkę palił. (T. T. J.).

Wilhelma, elektora brandeburskiego, znanego w historji pod nazwą Wielkiego Elektora.

Michał Obrenowicz był z tego ludzi rodzaju, o których powiadają: „Bogu ducha winien“. Panował, nie rządził, rządy całkowicie na Ilję Garaszanina zdał, czem dowiódł, że posiadał nieudolności własnej rozeznanie. Wychowany zagranicą, obco mu w kraju rodzinnym było. Nudził się — nudy odbijały od oblicza jego, kiedy w dnie pogodne na angielskim i po angielsku osiodłanym koniu jechał nad wieczorem z konaku w mieście na Topczidere dla zażycia przechadzki w parku. Ani razu nie zdarzyło mi się widzieć go inaczej. Cała jego smukła, na koniu kiwająca się postać wyrażała znudzenie. Zapytywałem: co książę robi, czem się trudni, do czego ma zamiłowania? Na zapytania te odpowiadano mi wzruszeniem ramion. Upokarzającym dla niego był stosunek z żoną. Żona jego, z domu Hunjadi, zgodziła się dla względów wyższych wyjść za księcia Serbji, ale nie zgodziła się na podzielanie łożnicy małżeńskiej z synem świnopasa. Nie zrywali ze sobą, nie podawali się do rozwodu, nawet pomiędzy nimi nie zachodziła separacja urzędowa — stosunku swego nie rzucali dziennikarskiemu plotkarstwu na pastwę, ale nie mieszkali razem. On w stolicy serbskiej, w konaku książęcym, panując, nudził się; ona, piękna, młoda, zdrowiem jaśniejąca kobieta, również — zapewne — nudziła się w jakimeś na Węgrzech zamku. Widziałem ją na balu. Od czasu do czasu zjeżdżała na dni kilka do Belgradu, pokazywała się poddanym swoim, składała im dowód, że pomiędzy nią a mężem „nic niema“ i na Węgry wracała. Stosunek ten tem bardziej ks. Michała upokarzał, że w braku niemożliwych w nim dzieci następstwo tronu dostawało się bratankowi jego, sławnemu Milanowi, synowi kobiety, którą spiskowce, co Kuzę tronu pozbawili, przyaresztowali w nocy wraz z Kuzą w strojach takich, w jakich Adam i Ewa w raju chodzili. Tu żona znać go za męża nie chciała; tu matki jego spadkobiercy konduita cokolwiek do życzenia pozostawiała: w takiem oskrzydleniu człowiekowi spokój miłującemu niekoniecznie być musiało wesoło, pomimo że w otoczeniu tronowem takie, na jakie sobie pozwalała matka następcy tronu, grzeszki uchodzą za grzeszki urocze. Nie wiem, jak się na nie Michał zapatrywał; nie znałem go, nigdy z nim nie mówiłem, ci zaś, co mi o nim mówili, podawali go za uczci-

wego i moralnego człowieka. Nie słyszałem o niczem, coby miało woń zgorszenia ze strony tronu.

Wspomniałem powyżej o aresztowaniu Kuzy. Niebawem potem, jak wieść mnie o tem doszła, zgłosił się do mnie od rządu prowizorycznego z Bukaresztu wysłaniec z prośbą, ażebym do Rumunji nie jechał i do spraw jej się nie wtrącał. O tem ani myślałem. Prośba ta zdziwiła mnie zrazu, lecz się później dowiedziałem, że nie była ona bez racji. Racja odnosiła się do odrzuconych przeze mnie dwa razy propozycyj pretendentów do tronów hospodarskich, a opierała się na przypuszczeniu, iż za trzecim razem skusić się dam. Nikt mi nic nie proponował i nikt nie kusił. Przypuszczenie spowodowały jakieś pomiędzy przebywającem naonczas licznie w Rumunji wychodztwem polskiem a policją zajścia, skutkiem których kilku czy kilkunastu aresztowano. Zajścia te w żadnej ze sprawami rumuńskiemi nie pozostawały styczności; ja nic o nich nie wiedziałem; dużo dopiero później o aresztowaniach Polaków opowiedział mi jeden, którego los ten spotkał, a którym był Maurycy Chodylski. Deklamował mi mowę, jaką w obronie swojej wygłosił. Na uspokojenie rządu prowizorycznego i umorzenie sprawy, najmniejszego politycznego znaczenia niemającej, wpłynął Kopernicki. Rząd go był wysłał celem wyperswadowania Polakom, ażeby się do niczego nie wtrącali.

Sprawa ta ubocznie, poślizgiem — że się tak wyrażę — o mnie się otarła. Była ona ostatniem z odnoszących się do wyprawy mojej następstwem, świadczącem, że sfery rządowe poza granicami Polski wiedzą o mnie i ze mną się liczą. Odtąd dano mi pokój — zeszedłem na poziom ludzi pospolitych, troszczących się każdego dziś o grosz na każde jutro, żyjących i życie obserwujących.

Z obserwacji życiowej, tyczącej się Serbji i Serbów, wyspowiadałem się już po większej części. Pozostaje mi jeszcze parę szczegółów, charakteryzujących tak blisko obchodzące nas: krainę i naród.

Krainy dla braku środków do podróżowania nie zwiedziłem tak, jakbym pragnął. Nie byłem ani w Kragujewacu, drugiej stolicy serbskiej, ani w Kruszewacu, skąd opiewany w legendach car Lazar na bój na Kosowem Polu wyjeżdżał. Jedyną wycieczką, jaką z żoną w towarzystwie Słotwińskich i Badow-

skiego zrobiłem, była na Awalę, górę stożkowego kształtu, od Belgradu o 15 kilometrów odległą, a na tysiąc paręset stóp wysoką. Góra ta, lasem od dołu do szczytu obrosła, na szczycie dźwiga zamek w ruinie. O niej i o zamku opowiadają pieśni i legendy, nie podając nic historycznie pewnego. Na górze przebywać miały „wile“, boginki, pokrewne co do znaczenia nimfom greckim, wyższe jednak od nich, podczas bowiem kiedy tych zadania opiekuńcze odnosiły się do przedmiotów specjalnych, one czuwały nad krajem i narodem, i nie wdawały się ze śmiertelnikami w miłostki. Królewicz Marko często miał z niemi do czynienia, nigdy atoli w sensie romansowym. Wedle jednej pieśni, zamiast nawiązki, do której się zobowiązał, zapłacił „wili“ grzmotnięciem buławą w plecy i sam dalej pojechał śpiewając, ona zaś na ziemię upadła i nogi ściągała. Takieto istoty niegdyś na Awali przebywały, a niewiadomo czy nie przebywają obecnie. O zniknięciu ich lud serbski żadnej pewnej nie posiada wiadomości. Również co do zamku, którego ruiny świadczą, że był wspaniałym i na urząd budowanym, podania nic pewnego do powiedzenia nie mają. Wznieść go miał jakiś junak-wojewoda, rycerz sławny; mieszkała w nim jakoby królowa Helena, dla której z Belgradu codziennie świeżo upieczony, gorący jeszcze chleb dostawiano i która wody nie pijała innej, tylko ze źródła bijącego, nie przypominam sobie gdzie. Wymyślną była w jadle i piciu ta królowa Helena, grecka cesarzówna: gońce na rozstawnych koniach ustawicznie zwozili jej przysmaki z miejscowości odległych. Awala, poza owiewającemi ją legendami, jest punktem z tego względu ciekawym, że z niej na wsze strony przepyszne rozwijają się widoki. Ku północno-wschodowi połyskuje wstęga Dunaju, przewijająca się mimo morza zieleni; ku północno-zachodowi oko chwyta nurt Sawy, ubranej w krajobrazy rozmaite; w stronie południowej góry: wąwozy, lasy, dymy osad, wynurzające się tu i ówdzie spoza leśnych firanek, skalne urwiska lub kleconki ludzkie — wszystko to dyszące niejako dzikością natury pierwotnej, wykazującej piękności swoje nago. Widoki te sprawiały wrażenie, które potęgowały szybujące ponad Awalą orły, nad głowami naszemi krążące, głowy ku nam wyginające i pokrzykujące, jakby się dziwiły naszej na tej wyżynie obecności i wołały: „Precz stąd!“.

Jadąc do Awali i powracając, przejeżdżaliśmy przez wieś

Rakowicę, posiadającą monaster, a w nim obraz cudowny. Monaster wygląda nieimponująco. Trafiliśmy na odpust. Przed skromny mającą pozór cerkiewką stało wozów kilkanaście; kilku przekupniów rozłożyło stragany z napitkami, z jadłem i z obrazkami; natłoku nabożnych nie było wcale; zapewne święty, co cuda czynił, nie wzbudzał zaufania, a może zakonnicy serbscy nie umieją odpustom, cudownym obrazom, posągom i źródłom, nadawać akcent ściągający tłumy.

Była to jedyna nasza z Belgradu wgłąb kraju serbskiego wycieczka. Spostrzeżenia nasze odnosiły się całkowicie do stolicy, do jej mieszkańców i do zgromadzających się w niej od czasu do czasu mieszkańców prowincji, gdy ich jaka ściągała okazja. Okazjami takiemi bywały jarmarki, odbywające się na przedmieściu, zwanym Paliluja. Na jarmarkach ciekawość ściągały na siebie stroje wieśniaczek, szczególnie zaś ubrania ich piersi i głów w pieniądze. Pieniędzmi na sznureczki nanizanemi okrywały sobie piersi całe; pieniądze zdobiły im głowy sprzodu; pieniądze w luszczkową ułożone zasłonę zwisały im styłu, osłaniając grzbiet od ramienia do ramienia i do pasa prawie. Na głowie i na piersiach spomiędzy monety srebrnej przeglądała w większej lub mniejszej ilości, w sztukach rozmaitej wielkości, złota. Zależało to od stopnia zamożności. Do osłony grzbietu służyła moneta srebrna zdawkowa. Serbka w chodzie wydawała brzęczenie i szelest metaliczny, słyszeć się dający zdaleka. Mieszczanki grzbietów sobie nie osłaniały i mniej monety, zato przeważnie złotej, na głowę i na piersi kładły. Po miastach zresztą, w Belgradzie zwłaszcza, kobiety zarzucały już strój narodowy, którego jedną z cech znamiennych stanowiło obnażanie piersi. W sposób podobny nie dekoltują się, i bodaj czy się kiedy dekoltowały, największe w Europie elegantki. Krój kaftaników, osłaniających grzbiet i ręce, omijał sprzodu piersi i schodził się poniżej nad pasem. Otwór przodowy, i to niezawsze, przysłaniała lekka, przejrzysta gaza. Moda ta, stosowana zarówno do zamężnych i niezamężnych kobiet, przejęta, jak się zdaje, z haremów, przemijała już za naszego w Serbji pobytu. Dawniej, w latach 1849 i 1854 spotykałem się z nią częściej, w 1864—1866 parę zaledwie razy zdarzyło się mi tak przystrojone widzieć niewiasty: raz młodą i bardzo przystojną pannę , raz znów starą

kobietę, której wystawione na pokaz wdzięki nic w sobie ponętnego nie miały.

Gratką we względzie obserwacyjnym był dla nas obchód pięćdziesiątej wybicia się Serbji na niepodległość rocznicy. Trwał on dni kilka (trzy, jeżeli mnie pamięć nie myli), a odbywał się z całym stosowanym do uroczystości podobnych szykiem: przystrojenie miasta w sztandary i wieńce, iluminacje, pochody, parady wojskowe, strzelanie z dział, ognie sztuczne, które mówiąc nawiasem fiasko zrobiły, itp. Podejmowano weteranów; pomiędzy nimi najwybitniejszym był Uzun-Mirko, który wojował z Turkami w r. 1804, odznaczał się śród wojowników wzrostem i siłą, i upamiętnił się tem, że przy zdobywaniu Belgradu należał do liczby ochotników, co w nocy do rowu się wkradli i, nim sam na wał wlazł, wszystkim innym za drabinę posłużył. W czasie obchodu był to zgrzybiały, pochylony, osiemdziesiąt kilku laty przygnieciony starzec. Powszechna otaczała go cześć, przy uczcie obok księcia za stołem siedział. Nie widziałem go, bardziej bowiem aniżeli jego postać obchodziły mnie na jego i na różnych bohaterów cześć improwizowane przez ślepców-lirników pieśni. Dla pieśni tych dni całe trawiłem na przylegającym do parku topcziderskiego rozłogu, na którym się odbywały igrzyska ludowe.

Igrzyska, jak igrzyska; wszędzie je na jednakową urządzają modłę. Ciekawość ich polegała na tem, że ściągnęły Serbów płci obojej ze wszystkich dzielnic księstwa, a nawet i spoza granic. Zajmowało mnie przypatrywanie się ich postawom i rysom ich oblicz, przypominającym typy polskie. Niektórzy wydawali Polaków poprzebieranych z turecka. Bawili się, cieszyli. Program igrzysk obejmował wyścigi, zapasy, włażenie po osmarowanych mydłem słupach po nadgrody, huśtawki, karuzele, widowiska sztuk łamanych; tu i ówdzie zataczano horę przy odgłosie bębenka albo drumli, jeżeli innej na podorędziu muzyki nie było; gdzieindziej, siedząc kołem, posilano się, pito wino i na wiwaty z pistoletów strzelano; na placu wokoło i w kilku miejscach we środku widzieć się dawały z gałęzi robione szałasy, z których przed jednym, w głąb, zdala od wrzawy usuniętym, regularnie, nie przypominam sobie ile razy na dzień, zbierała się duża ludu gromada i w milczeniu słuchała brzęku gęśli, wtórującego monotonnej,

wpółśpiewanej deklamacji. U otworu szałasu siedział starzec ślepy, w gęśl uderzał i improwizował rapsody.

Było to dla mnie w obchodzie całym najciekawszem i najbardziej zajmującem. W ten sposób powstały owe pieśni serbskie, których opublikowanie w zdumienie świat ucywilizowany wprawiło.

W ślepcu przedstawił mi się Homer serbski.

Przysłuchiwałem się improwizacjom jego pilnie, myśląc, że z ust wypłynie mu jedna ze znanych pieśni, takich np. jak o Marku królewiczu, o car Łazarze, o Miłoszu Obyliczu lub innych. Nie! Nie z przeszłości, ale z teraźniejszości treść czerpał: śpiewał o księciu Michale, o serbskiem wojsku, o pandurach, o dyrektorze policji i o różnych innych, zgoła niepoetycznych, rzeczach, ubierając je w wyrazy i omówienia poetyczne. Przytoczę przykład, celem dania wyobrażenia o sposobie tworzenia:

Jedzie, jedzie książę Mijaïło,
Jedzie drogą, co z Belgradu idzie.
Drum drum na gęśli.
Jedzie drogą, co z Belgradu idzie,
Od konaku, od sławnego dworu.
Drum drum.
Od konaku, od sławnego dworu,
Ode dworu, który jasno świeci.
Drum drum.

Każdy wiersz powtarza się i po powtórzeniu dorabia się do niego wiersz następny. Ponieważ chodzi nie o rymy, tylko o rytm, przygrywka przeto daje czasu dosyć na dokomponowanie wiersza i utrzymanie w osnowie rapsodu porządku opowiadaniowego, odnoszącego się do założenia.

Słuchając ślepca na Topczidere, pomyślałem sobie: co za szczęście, że Wuk Karadzicz uśpiał w porę stare zebrać pieśni, przechowane jeszcze w pamięci gęślarzy! Gdyby był tego nie uczynił, nowe czasy byłyby je wytrąciły z pamięci ludzkiej i zatraciły się te skarby. Następcy gęślarzy dawnych przechowali jeno proceder tworzenia swoich poprzedników, naśladując ich, lecz brak im tej fantazji, która tamtych ożywiała i czyniła z nich tworzycieli historji. Spotkał ich los naśla-

dowców Homera i Wirgiljusza, naciągających na nowe, za klasyczne uznane kopyto *Iljady* i *Eneidy*.

Z wielkiem zajęciem i z wytężoną ciekawością słuchałem gęślarza na Topczidere. Więcej on atoli dogadzał patrzeniu aniżeli słyszeniu, odtwarzając sceny z czasów panowania tureckiego, kiedy wypadki bieżące nie nadawały się na tematy do rapsodów, które dawniej czerpać trzeba było w odległej przeszłości z podań ustnych, upiększonych dodatkami, nadającemi im wdzięk wysoko poetyczny i nierzadko zmieniającemi istotę zdarzeń.

Rapsody dawne śpiewywanemi bywały w uroczystości kościelne, po wsiach, na „sławach", przy okazji zbiorowisk gromadnych, i rozbudziły, urobiły patrjotyzm w duszy ludu, dla którego przejście pod obce, pod tureckie panowanie było wyzwoleniem z ciężkiej niewoli społecznej. Serbskie „włastielstwo" [1] niemiłosiernie, gorzej niż Turcy, z ludem się obchodziło. Kraljewicz Marko stał się zrazu bohaterem ludowym, następnie narodowym: zaszczyt pierwszy spotkał go, gdy do Turków przeszedł (ojczyznę zdradził), drugi, gdy wyzwolonemu spod włastielskiej władzy ludowi we znaki tureckie dało się panowanie. Rapsodziści przeistoczyli naturę bohatera: renegata przerobili na patrjotę i postawili narówni z królem Lazarem, który klasztory fundował i na Kosowem Polu w obronie Serbji głowę złożył, z Miłoszem Obyliczem, co Amurata zamordował, i z innymi. W przeistoczeniu tem on, wespół z obrońcami cerkwi i ojczyzny, posłużył za wzór patrjotyczny w uświadamianiu ludu i w moralnem przysposabianiu chłopa do walk o wolność i niepodległość ojczyzny. Bohaterów z łona ciemiężców swoich, z łona „włastielstwa", przystrojonych przez gęślarzy w blaski, w jakie Homer bohaterów Grecji przystrajał, wziął lud na rachunek własny i na ich nastrój nastrajał uczucia swoje. Wielce znamiennym jest ów długi, kilkuwiekowy w duszy ciemnego narodu proces, który się na korzyść Serbji rozstrzygnął. W procesie tym adwokatowali ślepcy-gęślarze, adwokatowali i zarazem nauczycielowali.

Tych adwokatów-nauczycieli ślepiec na polu topczidersskim odtwarzał, jak na deskach teatralnych w dramatach histo-

---

[1] Możnowładztwo. (T. T. J.).

rycznych odtwarzanymi są monarchowie, wodzowie, mężowie stanu i t. p. Było to widowisko ogromnie dla mnie zajmujące. Przypatrywałem się mu w dniu obchodu do wieczora, wyobrażając sobie, jak to dawnemi czasy gromady wiejskie wytężały słuchy na opowiadania gęślarza, a w gronie słuchaczy ludzie młodzi pięści zaciskali, o bojach z Turczynem marzyli i niejeden z nich w dni parę później do hajduków przystał. Śpiewane na Topczidere rapsody do niczego podobnego zachęcić nie mogły. Zadanie ich polegało na wszczepianiu w naród rozmiłowania się w dynastji Obrenowiczów. Dla zaakcentowania tego zadania, dla upamiętnienia pod panowaniem swojem obchodu, książę Michał urządzić kazał ognie sztuczne. Tłum z Topczidere i z miasta rzucił się na drogę warczarską i gęstą masą obległ wzgórze, na którem fajerwerki pokazywać miano. Oczekiwanie długo trwało, zmrok zapadł i o zmroku na wzgórzu błysnęło. Miała to być rakieta, dająca hasło widowisku ogniowemu. Błysnęła, ale zamiast wznieść się z szypieniem dogóry i wgórze, pod osłoniętem ciemnością niebem, gwiazdy rozsypać, rzuciła się na ziemię i szypiąc, a iskry sypiąc, w tłum się wświdrowała. Słyszeć się dały krzyki, na widzów trwoga padła. Na szczęście rakieta wnet zgasła. Widzowie, śród których dzieci i kobiet moc była wielka, uspokoili się. Nastąpiło oczekiwanie na rakietę drugą — i ta się nielepiej od pierwszej spisała. Śród prób dalej czynionych zaledwie parę nie zawiodło. Inne sztuki nielepiej się powiodły. Wirujące słońce zabłysło, zgasło, kręciło się błyskając, to gasnąc, wreszcie huknęło i widowisko się skończyło. Widzowie się rozeszli, rozprawiając o ogniach sztucznych, z których jedni drwili, inni, w większej liczbie, uważali je za niepomyślną dla dynastji wróżbę. Jakoż wróżba się ziściła: we dwa lata później ks. Michał padł pod nożami morderców w parku topcziderskim i miejsce jego zajął Milan, wsławiony kłótniami z żoną i romansami, a uzdolniony w stopniu najwyższym do zaciągania długów. Nastąpiło to, kiedy nas już w Serbji nie było.

ROZDZIAŁ XXII

NA WYSTAWIE W PARYŻU 1867

W Serbji interesy nasze poprawiały się powoli pod względem bytowym. Literatura skromnie wprawdzie i niedostatecznie nas zasilała; zasilała jednak i w perspektywie ze źródła tego ukazywały się dochody starczyć mogące w kraju, w którym środki do życia opłacały się tanio. Przytem jeszcze jeden miałem w perspektywie resurs, nienadający się narazie, spowodu żem przyjechał do Serbji w charakterze politycznym, lecz mogący się nadać, gdy z charakteru tego czas zetrze kanty ostre. Zamierzałem sprowadzić kopje wierzytelne dokumentów moich szkolnych z Niemirowa i z Odesy i ubiegać się o katedrę bądź matematyki czystej, bądź fizyki (skończyłem wydział fizyko-matematyczny), czyto w gimnazjum, czy też w szkole wyższej. Posada ta, gdybym ją otrzymał, co nie było rzeczą nieprawdopodobną, zapewniłaby mi dochód stały, ułatwiający pracę na polach literackiem i naukowem. Zacząłem był gromadzić do dziejów Serbji materjały; wysnułem z nich nawet ogłoszone w *Przeglądzie*[1], założonym w Lipsku, opracowanie i... dalsze w kierunku tym studja przerwać musiałem. Byłem już na świecie nie sam. Powiększała mi się rodzina, nad którą czuwało nas dwoje, jednakowo za nią odpowiedzialnych: ja i żona.

Wobec dzieci, zdaniem mojem, odpowiedzialność ciążyła na nas jednakowo. W przekonaniu mojem głos mój we względzie tym tyle ważył i takie samo miał znaczenie, co głos mojej żony. Uznawałem równość praw w małżeństwie, mimo że kwestja równouprawnienia płci nie znajdowała się wówczas jeszcze na porządku dziennym. Uznawałem powinność rodziców myślenia o przyszłości istot, którym życie dali, obowiązek przy-

[1] *Serbja.* Studjum historyczne. *Przegląd Powszechny.* Drezno 1866.

sposobienia ich i uzbrojenia do życia. Wyznać winienem, że o tem myślała więcej moja żona aniżeli ja, zajęty literacko-naukowemi pracami. Ona pierwsza dostrzegła i uwagę na to zwróciła, że w Belgradzie brak zakładów wychowawczych, dla dziewcząt zwłaszcza, — a nam się dziewczęta rodziły. Ona pierwsza zwróciła na to uwagę, której słuszności odmówić nie mogłem.

Czy miałem prawo dla prac, których wartość, a zatem i pożyteczność, była zagadkową, poświęcać dzieci, mające do przyszłości prawo i mogące większy aniżeli prace moje przynieść pożytek? Zapytanie to zawierało odpowiedź w sobie. Powzięliśmy postanowienie przeniesienia się na Zachód — do Szwajcarji, którą wybraliśmy dla życzliwości, jaką nam, Polakom, Szwajcarowie w czasie i po upadku powstania okazywali, jakoteż ze względu na szkoły dla dzieci i resursów naukowych dla mnie. Nęciły mnie oraz: wolność, republikańskie rządy i przykład Kościuszki. W ojczyźnie Tella i Winkelrieda, Bernouillich, wielkiego Hallera, Rousseau'a, Pestalozziego pewność miałem znalezienia wszystkiego tego, na czem brakło w ojczyźnie Karageorga.

Ale powzięcie a wykonanie postanowienia — to dwie rzeczy nieidące w parze, gdy brak środków pieniężnych na przeszkodzie stoi. Należało się o środki starać. W celu tym żona moja pojechała do Lwowa, zabierając ze sobą dziecko najmłodsze, z piersi jeszcze matczynej karmiącą się Handzię[1]. Dwie starsze: czteroletnia Antosia i dwa lata od niej młodsza, kaleka Bronisia, ze mną pozostały. Nawiasem zauważyć sobie pozwolę, że przyjście na świat tej ostatniej świadczy o wpływach, jakie na matki wywierają wzruszenia moralne. Wszystkie dzieci nasze, a było ich siedmioro, przychodziły na świat normalnie zbudowane, z wyjątkiem tej jednej, której pojawienie się na świecie poprzedziły doznawane przez matkę trudy i niepokoje. Kalectwo tej dzieciny objawiało się ogólną, z wyjątkiem żołądka, w organizmie jej bezwładnością. O własnej sile nie siedziała; trzeba ją było nosić i karmić. W stanie takim, zdrowa zresztą, przeżyła lat dwanaście, rozwijając się fizycznie przy zupełnem uśpieniu umysłu, obróconego wniwecz przez mikrocefalizm, przez uciskającą mózg czaszkę.

---

[1] Hanna Pojawska, malarka i rzeźbiarka, zmarła w r. 1935.

Z nią i ze starszą jej siostrą spędziłem w Belgradzie miesiąc zgórą, oczekując na rezultaty zabiegów mojej żony we Lwowie.

Zamierzaliśmy wynieść się do Szwajcarii, jak zaznaczyłem powyżej. Zamiar ten zmienił się wskutek przybycia do Belgradu Wacława Przybylskiego. Przyjeżdżał z Konstantynopola z propozycją dla mnie. Propozycja ta polegała na objęciu redakcji naczelnej miesięcznika *Revue d'Orient*, mającego wychodzić w Brukseli, subwencjonowanego przez Wysoką Portę, a mającego za zadanie walkę z pismami francuskiemi, subwencjonowanemi przez Rosję. Propozycję tę przyjąłem bez wahania, raz dla walki przeciwko Rosji, powtóre dlatego, że pismo opierać się miało na zasadach liberalnych i postępowych, do wprowadzenia których w państwie otomańskiem Turcja zobowiązała się względem sprzymierzeńców swoich w wojnie r. 1853—6. Rząd Abdul-Azisa, który w r. 1861 po bracie swoim Abdul-Medżidzie na tron wstąpił, na drogę tę powoli wchodził. Pismo utrzymywać go na niej i zachęcać miało. Garaszanin, któremu Przybylski program przedstawił, obiecał popierać je i zobowiązał się zaprenumerować czterdzieści egzemplarzy. W przedsiębiorstwie brała udział emigracja węgierska. Klapka, którego listy pokazywał mi Przybylski, zapewniał poparcie rządu włoskiego i przyrzekał fundusz na popieranie wydawnictwa; w tym celu dom w Brukseli nabył i porozumiał się z bankami. Rzecz przedstawiała się ponętnie i obiecująco, — obiecująco pod każdym względem tak dalece, żem zamiar przeniesienia się do Szwajcarji zmienił na przesiedlenie się do Belgji, do Brukseli. Przybylski zabawił u mnie dni z dziesięć i wyjechał celem uorganizowania wydawnictwa, które, dla niewiadomych mi przyczyn, rozpoczęło się i skończyło... na projekcie.

Żony mojej zabiegi, tyczące się wydostania funduszu na wyjazd z Belgradu, nieodrazu uwieńczył rezultat pomyślny. Dłużnicy moi, redaktorowie pism lwowskich, śród których Jan Dobrzański był mi parę tysięcy złotych reńskich winien, pieniędzy nie mieli. Zamiast pieniędzy dawali jej rady, opierające się na warunku zamieszkania przeze mnie we Lwowie.

— Niech Zygmunt we Lwowie zamieszka. Pióro zapewni mu byt i demokratycznej sprawie polskiej, której się poświęcił, usługi wielkie odda.

Nie byłem od tego. Do zamieszkania w Galicji i pracowania śród swoich na ziemi własnej najmniejszego nie miałem wstrętu. Przeciwnie. Uczucie do Polski mnie ciągnęło i byłbym za niem poszedł, gdyby nie jedno „ale“, które mnie powstrzymywało, pomimo że w dobie tej Austrja po cięgach, jakie jej Prusy sprawiły, na konstytucyjną wkroczyła drogę i dla emigracji polskiej otworem stanęła.

„Ale“ owo polegało na konieczności wystarania się o obywatelstwo austrjackie.

W momencie owym (r. 1866) otrzymanie obywatelstwa austrjackiego najmniejszej nie przedstawiało trudności. Belcredi[1], stojący naczele rządu, udzielał je każdemu, co się po nie zgłaszał, pod warunkiem atoli, ażeby się do amnestji podał i na wierność cesarzowi przysięgę złożył. Warunek ten, który przyjaciele moi we Lwowie, Kornela[2] nie wyłączając, przedstawiali żonie mojej jako rzecz małej wagi, był dla mnie nie do przyjęcia. Proszenie o amnestję znaczyło przyznawanie się do winy, której nie popełniłem, gdym z orężem w ręku przeciwko Austrji i Rosji stawał. Przysięganie jednemu z zaborców Polski na wierność wydało mi się potwornością wobec sumienia własnego. Czułem, że gdybym to zrobił, straciłbym dla samego siebie szacunek i nawet talent pisarskibym w sobie zabił. Gdy mi o tem żona napisała, odpowiedziałem wręcz odmownie. Ona atoli nalegała, a nalegała dlatego, że jej perswadowali i tłumaczyli dwaj szczególnie ludzie, Dobrzański i Abancourt, mający w czasie owym posłuch u Gołuchowskiego, owoczesnego namiestnika, który im dwom zawdzięczał do sejmu krajowego wybór, bez czegoby namiestnikiem być nie mógł. Straszyli ją oni dolą tułaczą, pociągającą za sobą nietylko walkę z niedostatkiem, ale i wynarodowienie dzieci. Wskazywali jej przykłady na dzieciach emigrantów takich jak Mickiewicz. Domagali się od niej, ażeby na mnie wymogła napisanie na ich ręce do Gołuchowskiego listu, podejmując się ze swojej strony rzecz w taki załatwić sposób, że na tem nie ucierpią ani cześć, ani sumienie moje. Na naleganie jej zgodziłem się na napisanie do Gołuchowskiego.

---

[1] Belcredi R., prezydent gabinetu austrjackiego od 27 VII 1865 do 7 II 1867.

[2] Ujejskiego.

Nie zachowałem bruljonu listu, dokładnie jednak pamiętam osnowę onego. Nadałem mu formę nie prośby ani podania, ale zapytania. Pytałem namiestnika, czy pozwoli mi w Galicji mieszkać, jak każdemu, co posiada paszport i stosuje się do praw krajowych? Za powód podawałem rodzinne moje i żony mojej stosunki, oraz to, że ponieważ jestem pisarzem polskim, potrzebuję przeto, dla należytego służenia ojczyźnie mojej piórem, nieba krajowego i powietrza krajowego, pobytu śród społeczeństwa, którego członkiem jestem.

List tej treści napisałem i żonie mojej posłałem; ona go, dawszy do odczytania wszystkim, co się mną interesowali, wręczyła Dobrzańskiemu i Abancourtowi, i z nich jeden, Abancourt zdaje się, Gołuchowskiemu oddał. Po odczytaniu listu mego Gołuchowski dla dania odpowiedzi zażądał dwudziestu czterech godzin do namysłu. I dał odpowiedź odmowną, na przedstawienia zaś Abancourta, tłumaczącego mu korzyści mojej w kraju obecności, odrzekł:

— Nie chcę sprowadzać potęgi, z którąbym walczyć musiał. Proszę powiedzieć pani Miłkowskiej, że mężowi jej w Galicji mieszkać nie pozwolę i niech się ona napróżno do Belcrediego nie udaje; gdyby mu Belcredi obywatelstwo nadał, ja go wypędzę.

Żonie mojej przyjaciele drogę do Belcrediego otworzyli i radzili jej, ażeby, nie zważając na odmowę Gołuchowskiego, zwróciła się do prezydenta gabinetu. Ponieważ jednak do prezydenta gabinetu cesarskiego, do Niemca, nie jak do Polaka Gołuchowskiego, nie z zapytaniem, ale z prośbą, z podaniem zwracać się należało, na to zgodzić się nie mogłem, — nie chciałem. Prosiłem żonę, ażeby zabiegów na tej drodze zaniechała, usiłowanie całe zwracając na wydostanie potrzebnego na przenosiny grosza. Do życzenia tego zastosowała się, a przytem załatwiła niezałatwioną w Belgradzie sprawę jedną: ochrzciła dziecko.

Chrzest Handzi znamienny jest z tego względu, że wykazał wpływ, jaki szlachcic dobrej woli i szczery Polak wywierać może, jeżeli zechce, na lud wiejski.

Chrzest odbył się w dzierżawionej przez Kornela Ujejskiego od miasta Lwowa Zubrzy. W pierwszej parze dziecko trzymali Kornel z Musiałową, żoną wójta, w drugiej wójt

Musiała z panią Kornelową, w dalszych parami chłopi i chłopki — cała wieś w osobach najdostojniejszych przedstawicieli swoich. Po chrzcinach ojcowie chrzestni i matki zasiedli we dworze do poczęstunku, w którym wraz z nimi udział żona moja wzięła. Baby dziecko sobie z rąk do rąk podawały i unosiły się nad niem i przymawiały do niego, a ta i owa miodu mu do pokosztowania dawała, ażeby się dla niego słodko rozpoczęło i słodko mu płynęło życie. Chłopy również nie milczeli. Od życzeń pochrzestnicy swojej rodzicom przeszli do opowiadań o sobie i o „wielmożnym“ dzierżawcy, — do opowiadań, które jeden z nich, Serbinowicz, człek rezolutny i wymowny, streścił, jak następuje:

— Bo co tu długo gadać: dawniej my byliśmy gałgany, pijacy, złodzieje, o niczem niewiedzący i o niczem wiedzieć niechcący. Nastał wielmożny dzierżawca i wszystko to się powoli odmieniło. Nieodrazu, ale powoli... powoli. Poznaliśmy, że on nas krzywdzić nie chce, tośmy do niego serca nabrali i jego krzywdzić zaprzestali. Przemawiał do nas po ludzku, tośmy go słuchali... słuchali i na rozum brali. Dawniej powiadaliśmy, żeśmy cisarscy; od niego dowiedzieliśmy się, żeśmy Polacy, że mieliśmy królów własnych, że kraj nasz był wielki i szanowany, że nas skrzywdzili Niemcy i Moskale. Krótko powiedzieć, wielmożny dzierżawca z nas pijaków, złodziei, cisarskich, — zrobił ludzi.

Uczta ta chłopska, na której podchmielenia nie było, głębokie na żonie mojej sprawiła wrażenie. Wywiozła z niej ona przekonanie, wyrażone przez Zygmunta Krasińskiego w słowach: „Z szlachtą polską polski lud!“. Na szlachcie naszej, chłopskiego będącej pochodzenia, ciąży zaniedbywany przez nią niestety obowiązek stosowania się do pochodzenia swego. Od tego zbawienie Polski zależy.

Interesy finansowe szły nieco opornie. Znalazł się jednak dyrektor banku, p. Simon, który trudności usunął i za poręczeniem własnem Kornela i Władysława [1], szwagra mego, wyliczył żonie mojej 800 złr. Dostawszy o takim obrocie zawiadomienie, wysprzedałem ruchomości nasze, zaopatrzyłem się w paszport francuski, zabrałem dzieci i ruszyłem w drogę

---

[1] Konrada Ujejskiego i Władysława Wróblewskiego.

statkiem do Baziasz, dalej drogą żelazną do Wiednia dla połączenia się z żoną i podążenia całą gromadką do Brukseli.

W Baziasz, gdym wysiadł, niezwłocznie paszport mój żandarmowi przedstawiłem; ten atoli ręce wtył cofnął i po niemiecku tonem wyższości do mnie rzekł:

— U nas, panie, o paszporty nikogo nie pytają.

Mówiono mi o tem w Belgradzie, alem nie dowierzał. Monarchja pod berłem Habsburgów wydawała mi się bez paszportów niemożliwą. Przekonałem się, że wiele ten czyni, co musi. Po załatwieniu się z rewizją bagażów, jedno dziecko na ręku niosąc, drugie za rączkę prowadząc, wziąłem bilety i ulokowałem się w wagonie drugiej klasy, idącym wprost do Wiednia.

W podróży tej, zajęty posługiwaniem dzieciom, nie byłem w stanie dawać folgę wrażeniom, gdy pociąg mijał miejscowości, w których pod austrjackiemi i moskiewskiemi chodziłem kulami. Temeszwar najprzód, Segedyn następnie, dalej Peszt, Waców, Komorn. Przy każdem z tych miast mogły kości moje w ziemi od lat siedemnastu próchnieć. Zamiast tego żywy i zdrów siedziałem w wagonie i niańczyłem dzieci, posługując się maszynką do grzania mleka, wiktuałami nabywanemi na stacjach, i pieluszkami, przy pomocy usłużnej — oficerów austrjackich. Powtórnie już w podróży spotykałem się z nimi po wojnach, z których orły austrjackie z połamanemi wyszły skrzydłami: raz w r. 1859, drugi raz w r. 1866. Pogromy te na dobre im wychodziły: spuszczali z tonu, pozbawiali się charakteryzującej rycerstwo niemieckie arogancji. Od Baziaszu do Wiednia jedni na rozmaitych stacjach wysiadali, drudzy wsiadali, towarzyszyli mi ustawicznie i od wszystkich jednakowej doznawałem pomocy w bawieniu i obsługiwaniu dzieci. Wdzięczen byłem Prusakom za pobicie Austrjaków; winszowałem sobie za wykierowanie, niechcący, na bohatera Benedeka, dzięki któremu wbrew moim oczekiwaniom (pewny byłem, że Austrja zwycięsko z wojny wyjdzie) nie pruskie, ale austrjackie zastępy cięgi dostały. Cięgi te skasowały paszporty, usunęły szykany policyjne, zaprowadziły konstytucję i ugrzeczniły oficerów. *A quelque chose malheur est bon.*

W Wiedniu z żoną spotkałem się na dworcu kolejowym. Czekała na nas w towarzystwie młodszej siostry swojej, Antoniny, wybranej z nami do Brukseli. Żona moja przyjechała

ze Lwowa zaopatrzona obficie w listy polecające do Belcrediego na wypadek, gdybym się namyślił i na obywatelskość austrjacką nawrócił. Nie nawróciłem się jednak. W stolicy Austrji przenocowaliśmy tylko. W pociągu trafiła mi się przedziałka o jednej ławce, zajęliśmy ją dlatego, że brak ławki drugiej zabezpieczał nas od towarzystwa ludzi obcych w podróży. Marszrutę wytknęliśmy sobie taką: Norymberga, Moguncja, statkiem po Renie do Kolonji, wreszcie Bruksela. Rozłożyliśmy się wygodnie, troje ludzi dorosłych i troje dzieci; na gruncie bawarskim zaskoczyła nas wczesna jesienna, ponura noc; pospaliśmy się. Nagle, około północy, rozbudziło nas wstrząśnięcie tak silne, że rzuciło nami o ścianę przedziału. Pociąg się zatrzymał. Słyszeć się dały okrzyki. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem na przodzie płomień, rzucający jasność. Drzwi od wagonów się otwierały i przez nie wydobywały się lamenty znamionujące trwogę. Wysiadłem i natychmiast po zrobieniu kroków paru cofnąć się musiałem, znalazłem się bowiem na świeżym pochyłym nasypie, w który po kostki wgrzązłem. Noc czarna nic widzieć ani rozpoznać mi nie pozwalała. To jedno, że wagony stały spokojnie, świadczyło, że jeżeli wypadek zaszedł, niebezpieczeństwo minęło.

Wypadek zaszedł w rzeczy samej. Jechaliśmy pociągiem pospiesznym. Przed nami w tym samym kierunku posuwał się pociąg zwyczajny, odwożący do ojczyzny żołnierzy saskich, co po stronie Austrji przeciwko Prusom walczyli. Nasz pociąg, o kilka przed Norymbergą stacyj, dopędził ich pociąg i na tylne wjechał wagony, które rozbił, zabijając i kalecząc sporo ludzi. Biedacy Sasi, których w bojach kule oszczędziły, śmierć na gładkiej znaleźli drodze. Przy świetle rozpalonych obok plantu kolei żelaznej paru ognisk widzieliśmy przenoszonych rannych i zabitych. Drogę oczyszczano. Pociąg nasz ruszyć mógł dopiero między 9 a 10 rano. Zatrzymaliśmy się w Norymberdze do dnia następnego, zwiedzaliśmy miasto, bodaj czy nienajlepiej w Europie zachowujące charakter średniowieczny, oglądaliśmy rzeźby Wita Stwosza; wieczorem z żoną zaszliśmy do piwiarni, ażeby widzieć Niemców prawdziwych, gaszących pragnienie napojem patrjotycznym. Widzieliśmy tłum ściśnięty przy stołach i przy kuflach synów Germanji w obłokach dymu, który nam przeszkodził długo się im przypatrywać.

Na Renie spotkało nas niepowodzenie: mgły jesienne zasłoniły przed oczami naszemi widoki nadbrzeżne, a niska woda zmusiła nas przenosić się w paru miejscach ze statku na łodzie. W Kolonji po spędzonej w hotelu nocy i zwiedzeniu katedry wsiedliśmy na pociąg, który nas wprost zawiózł do Brukseli, gdzieśmy zajechali do wskazanego mi przez Przybylskiego trzeciorzędnego hotelu Porte-Verte, przytuliska, o czem nie wiedziałem, zbiegów rewolucyjnych francuskich i niemieckich. Był to port, do którego zawijali emigranci polityczni. Po r. 1848 gościł w nim Arnold Ruge; po grudniowym zamachu stanu w Paryżu w hotelu tym przemieszkiwali Wiktor Hugo, płk. Charras, Edgar Quinet i inni. Toteż, jak skorom się zainstalował, wnet wizytę złożył mi komisarz policji i grzecznie rozpytał, com za jeden i w jakich do Belgji przybywam zamiarach. Na wszystkie zapytania dałem mu odpowiedzi prawdziwe. Z policją belgijską, od której łaski i niełaski — jakem się o tem później dowiedział — emigranci polityczni zależeli bezwarunkowo, tyle tylko miałem do czynienia. Nie niepokoiła mnie więcej.

Z dawniejszych znajomych moich w Brukseli pozostawali tylko Ludwik Lubliner i Wiktor Heltman. Z ostatnim, byłym członkiem Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, łączyły mnie stosunki ścisłe i życzliwe. Od niego pobrałem skazówki tyczące się mieszkania w Brukseli i do skazówek tych stosując się, wziąłem apartamencik parterowy w domu przy ulicy Van-Dyck, ciasny i niewygodny, ale tani, — tani dlatego, że właściciel domu tego fabrykował w nim trumny. Nie wiedziałem o tem, gdym umowę zawierał, fabryka bowiem znajdowała się wgłębi, apartamencik zaś wychodził na ulicę, a fabryki nie zaznaczały żadne w oczy rzucające się godła. Wziąłem przeto apartamencik i zapełniłem go meblami najętemi. Apartamencik składał się z trzech pokoików i kuchenki. Byłoby to dostateczne, gdyby pokoiki nie były zazbyt małe, jeden mianowicie, który wziąłem sobie na pracownię, a w którym po postawieniu stolika do pisania i ułożeniu książek pozostawało miejsca niewięcej, tylko na przeciśnięcie się do stolika. Wziąłem to mieszkanie tymczasowo, licząc na możliwość ulokowania się wygodniej, gdy obejmę redakcję *Przeglądu*. Okazało się to jednak światełkiem fałszywem. Nieznane mi są powody, dla których wydawnictwo do skutku nie przyszło.

Na pisanych, celem zasiągnięcia we względzie tym wiadomości, listów parę odpowiedzi nie otrzymałem i pozostał mi do życia resurs ten sam, który mi służył w Belgradzie, tylko rozszerzony nieco. Odrazu uzyskałem dwie korespondencje stałe: do *Gazety Warszawskiej*, zapewniającej mi 1000 franków rocznie, i do *Dziennika Poznańskiego*, który płacił od wiersza. Z tym dochodem mogliśmy w sześcioro wyżyć — *vivoter*, jak powiadają Francuzi, oszczędzając się jaknajściślej. Żona moja wzięła na siebie kucharstwo wyłącznie, posiłkując się w utrzymywaniu porządku i czystości w mieszkaniu, oraz w dozorowaniu dzieci, pomocą siostry swojej. Nastręczyły się we względzie tym na samym wstępie trudności duże, pochodzące z braku wprawy. Za opał np. służył węgiel kamienny, z którym nigdy w życiu do czynienia nie miała. Rozpalenie węgla na kuchni stanowiło zrazu zadanie do rozwiązania niemożliwe. Praktyka rozwiązywać je nauczyła, a zasiłki pieniężne, powiększające się, przybyły mi bowiem korespondencje do *Tygodnika Ilustrowanego* i do *Kłosów*, pozwalały na posługiwanie się najemnicami dochodzącemi. Powoli przeto życie nasze układało się znośnie, z perspektywą na dochody znaczniejsze, ukazującą się w przyszłości, gdy otworzy się możliwość nałożenia na warsztat obszerniejszych i donioślejszych prac literackich. Przy ulicy Van-Dyck żadnej, o ile przypominam sobie, z prac tego rodzaju nie dokonałem. Kleiłem korespondencje, dostarczające nam mniejwięcej 200 fr miesięcznie.

Miesięcy kilka mieszkaliśmy przy ulicy Van-Dyck, jednej z podlejszych w Brukseli, nie najpodlejszej jednak. Bruksela, jak każde miasto stare (założona została w w. VII), przeistaczająca się z upływem wieków, przedstawia mieszaninę charakterów i typów brukowych starożytnych, średniowiecznych i nowoczesnych. W starożytności ludziom chodziło wogóle o dachy nad głowami, w szczególności zaś o schroniska obronne; w wiekach średnich upiększano miasta, wznoszono kościoły, ratusze, rezydencje monarsze, biskupie, gubernatorskie, formowano place, stawiano pomniki, nie troszcząc się o ulice, ani o to, jak się gnieździ ludność robocza; w czasach nowych troszczyć się poczęto o wygody, o zdrowotność, o powietrze, najprzód dla warstw ludności zamożnej, następnie i dla ubogiej; zaprowadzano parki, zakładano bulwary, rozszerzano i prosto-

wano ulice, wznoszono budowle, których potrzebę wskazywał rozwój przemysłu i dobrobytu. Na tle średniowieczyzny rozpanoszyła się nowożytność i obie razem w ziemię wgniotły starodawność. Najwyraźniej to się widzieć daje w stolicy Belgji, w kraju, w którym stan średni *(tiers etat)* zaznaczył się mocno w społeczno-politycznej na tle dziejowem ewolucji. Bruksela w czasie naszego w niej pobytu kilkorakie robiła wrażenie. Gdy się stanęło wobec katedry św. Guduli albo na placu przed ratuszem, przedstawiał się wiek XVI w całej architektonicznej wspaniałości swojej. Obok tych wspaniałości humor flamandzki mieszczaństwa w średnich wiekach folgował sobie, przyozdabiając place i wgłębienia uliczne w posągi i posążki rażące przyzwoitość. Istniała niegdyś sadzawka kamienna, do której wodę przykucnięte na obwodzie trzy gracje wlewały w sposób ściśle naturalistyczny. Ozdoby podobne pousuwano. Pozostała z nich jedna tylko, zwana „Mannequin pisse", przedstawiająca chłopczyka z bronzu, stojącego nago na piedestale i załatwiającego swój interes na rzecz ludzi przychodzących ze dzbankami po wodę. Nowoczesne studnie monumentalne, odznaczające się pięknością artystyczną, humorystyki już nie traktują. Spółzawodniczą one z pomnikami tej miary co Godfryda de Bouillon, hrabiów Egmonta i Horna, Vesala i innych. Park, ogrody, szerokie a cieniste bulwary, skwery, wygodne ulice i chodniki, piękne domy, bogate wystawy sklepowe tworzą jądro miasta, wyglądające na dzielnicę Paryża, przeniesioną znad Sekwany na brzegi mizernej Senny, zasklepionej, jak we Lwowie zasklepianą jest Pełtew, a tem od Pełtwi szkodliwszej, iż z lewego brzegu towarzyszą jej trzęsawiska, nawiewające na miasto choroby. Wpływu ich doznała na sobie niestety żona moja. Dzielnice do Senny przylegające nie używają dobrej we względzie zdrowotnym opinji. Zdrowotność trzyma się w górnych częściach miasta po bulwary, wzdłuż których ciągną się szeregi nowych, wspaniałych domów, maskujących sobą dzielnice, nieustępujące w niczem dzielnicom miast naszych, zamieszkałym przez Żydów, stekom brudów, rozwiązłości i występków. Jeden z takich zakątków znajduje się (znajdował się w r. 1866—72) tuż za szeregiem domów przy bulwarach.

Ulica, przy której zamieszkaliśmy, do najgorszych nie należała. W mieszkaniu jednak było nam ciasno, ciasno prawie

jak śledziom w beczce, co niekoniecznie pomagało mi w pracy literackiej, jedynym, jaki nam pozostawał, resursie do życia, mającego przed sobą wychowanie dzieci i na sumieniu służenie sprawie publicznej. Obowiązek i obowiązek. Jeden od drugiego odłączyć, tem zaś bardziej z jednego na rzecz drugiego całopalną zrobić ofiarę, nie mogłem, nie umiałem. Wskazanem dla mnie było *et hoc faciendum et illa non omittendum*. Nie wola, lecz popęd drogę mi wytyczał. „Natura wilka ciągnie do lasu".

W Belgradzie jeszcze wiedziałem, że emigracja nasza zorganizowała związek pod nazwą Zjednoczenia, które od Towarzystwa Demokratycznego Polskiego zasady i formy wzięło. Naczele związku stał wybierany każdorocznie komitet, pełniący funkcje dawniejszej Centralizacji. Zjednoczenie dzieliło się na sekcje, pozawiązywane po miastach we Francji, w Anglji, w Szwajcarji i w Belgji. W Belgji najliczniejsza była sekcja brukselska. Przedstawiony przez Heltmana, zostałem jej członkiem i wszedłem w grono ludzi, w którem Heltmana znałem bliżej, Włodzimierza Wolskiego przelotnie, z innymi schodziłem się po raz pierwszy w życiu. W sekcji rolę wydatną odgrywali: Piotr Umiński i Erazm Malinowski, obydwaj żonaci, pierwszy bezdzietny, nabożny, spowodu że się stosować biedak musiał do żony posażnej, zakamieniałej bigotki, zbieracz zabytków archeologicznych, — drugi ojciec dwóch prześlicznych dziewczątek, były profesor prawa w Piotrkowie, były sędzia śledczy, były naczelnik jednej z dzielnic Warszawy w czasie powstania; zacność wcielona, człowiek miły i rozumny, pracował w banku Langrand Dumonceau, w tym smutnej sławy banku katolickim, co zamierzył był na rzecz Kościoła, jeżeli prawdopodobnie nie na własną, wypompować kapitały wszechświata, następnie skandalicznie z wielkim hałasem zbankrutował, rujnując mnóstwo rodzin. Od sekcji nauboczu, mimo że do niej niektórzy należeli, trzymali się: Henryk Merzbach, księgarz i poeta, St. Jasiński urzędnik bankowy, żonaty i dzietny, Radziszewscy Bronisław i Ksawery; pierwszy, w powstaniu „żandarm wieszający", studjował w Uniwersytecie Gandawskim chemję (następnie był asystentem w Louvain, obecnie zajmuje katedrę uniwersytecką we Lwowie); drugi, finansista, trudnił się wekslarstwem *(agence de change)*, miał żonę i dzieci, dalej Kropiwnicki inżynier, żonaty, paru księży i inni. Poza nimi w Brukseli sporo mie-

szkało Polaków z tej sfery, co się z emigracją wdaje nierada, ze względów częścią politycznych, częścią towarzyskich. Od czasu do czasu wpadały nam w słuch nazwiska znane i nieznane. Z noszącemi je osobistościami znajomościśmy nie zabierali.

Przyjechałem do Brukseli na podstawie układu z Przybylskim, odnoszącego się do założenia pisma. Miałem w stolicy Belgji zastać Klapkę i w porozumieniu z nim, jako z dostarczycielem funduszu zakładowego, przystąpić do wydawnictwa. Adres Klapki w jego własnym był domu, nabytym przezeń gwoli pisma. Do domu trafiłem z łatwością, lecz właściciela nie zastałem. Przebywał we Włoszech. Napisałem do niego. Pisanie moje pozostało bez odpowiedzi, na którą czekałem tygodni kilka. Zwłoka ta nakazała mi myśleć o sobie, nie spuszczając się na nadzieję, która zawieść mogła. W korespondencjach politycznych znalazłem resurs na samym wstępie. To mi otuchy ze względu na przyszłość dodawało i nietylko pocieszało w zawodzie, jaki mnie wydawnictwo *Revue d'Orient* sprawiło, ale mi zawód ów miłym czyniło. Jakkolwiek bowiem *Revue d'Orient* liberalną i postępową być miała, jakkolwiek zadanie jej polegało na wskazywaniu Wysokiej Porcie dróg humanitarnych w polityce, zwłaszcza w odniesieniu do poddanych jej słowiańskich, z tem wszystkiem z zadaniem tem łączyła się obrona tronu. Jakiego tronu? — sułtańskiego. Tron ten nie zachwycał mnie ani trochę, nie miałem do niego przekonania najmniejszego; objęcie przeto redakcji pisma, będącego przy tronie tym rodzajem straży honorowej, ciężyło mi. Prowadziło mnie to do jednego z dwóch: albo do ubrania się w dwulicowość, albo do zaparcia się tych przekonań zasadniczych, z któremi się zżyłem, które ukochałem, które duszę moją przenikały. Napisałem przeto do Klapki, razy parę dowiadywałem się o niego w domu jego, i dałem za wygrane, nie dowiedziawszy się o powodzie milczenia Klapki, z którym już więcej stosunków nie miałem. Przypuszczać należy, że w sferach dyplomatycznych ze względów niezrozumiałych zwykłym śmiertelnikom zaniechano wydawania pisma w miejscowości, w której wychodziły organy publicystyczne, jeden dla polityki rosyjskiej pozyskany *(Indépendance Belge)*, drugi za pieniądze rządu rosyjskiego wydawany *(Nord)*. Obok organów

takich dla pisma, mającego głosić pokój na ziemi na podstawie wolności i sprawiedliwości jednakiej dla rządzących i rządzonych, a służącego rządowi tureckiemu, miejsca nie było. W służbie tej prędkobym został ze stołka redakcyjnego zrzucony. Co się stać miało potem, stało się przedtem — chyba iżbym się był przekupić dał, co, jak mi się zdaje, do rzeczy nie to łatwych, ale nawet możliwych nie należało.

A tymczasem musieliśmy się w ciasnych mieścić pokoikach. Słusznie Niemcy twierdzą, że człowiek jest *Gewohnheitsthier*. Przyzwyczajaliśmy się i przyzwyczailiśmy się powoli. Do mieszkania posiadaliśmy właściwie dwa pokoje: jeden środkowy, służący za sypialny, bawialny i jadalny, drugi boczny sypialny i kuchnia. W kuchni znajdowało się łóżko dla siostry i jednego z dzieci, do bawialni na noc wnosiliśmy dla nas i dla dzieci dwojga materace i rozścielaliśmy je na podłodze. I mieszkaliśmy tak do miesiąca maja roku następnego.

W maju, zamówiony przez *Kłosy* na korespondenta z wystawy powszechnej, urządzonej w czasie owym przez Francję dla zbratania wtórego cesarstwa z monarchami wszechświata, zwłaszcza zaś wszech-Europy, wyjechałem do Paryża na pół roku, pozostawiając żonę samą z dziećmi, zamówiwszy dla niej życzliwość spółrodaków paru, śród których oczekiwaniom moim najlepiej odpowiedział Malinowski, który się nią zajął po przyjacielsku, zaczynając od tego, że ją na inne przeprowadził mieszkanie.

Niedogodność mieszkania ciasnego w trumniarni zaznaczyła się tem, że najprzód oddaliła była od nas ludzi, następnie naraziła nas razy parę na kompromitację. Kompromitacja spotkała nas raz szczególnie. Kompromitacją nie była niemożliwość przyjęcia i ugoszczenia, jak się należało, Władysława, szwagra mego, gdy w odwiedziny do nas przyjechał. Cierpiała na tem szczególnie żona moja, przyzwyczajona do podejmowania gościa wedle reguły, mówiącej: „Gość w dom, Bóg w dom“ bez względu na to, kim on był, nie dopieroż, gdy był nim brat rodzony. Jakoś jednak zaradziło się temu. Kompromitacja formalna spotkała nas, gdy razu pewnego, około dziesiątej wieczorem, do salonu naszego, założonego mającemi służyć za łóżka materacami, poduszkami, kołdrami, prześcieradłami rozłożonemi na podłodze, wpadła drużyna wesoła ludzi młodych,

sprowadzona przez Henryka Merzbacha. Z Merzbachem te łączyły mnie stosunki, jakie zachodzą pomiędzy autorami a księgarzami, uakcentowane w Brukseli tą osobliwością, że Merzbach, skompromitowany w powstaniu, wiersze po polsku udatne pisywał i z tego tytułu mnie, posiadającego już imię w literaturze polskiej, za kolegę uważał. Przytem firma księgarni „Muquard et C-ie“ nadawała się na osłanianie nią korespondencji pomiędzy mną a pisującymi do mnie z Warszawy i wogóle spod panowania rosyjskiego, pod którem uchodziłem za zbrodniarza. Pod firmą tej księgarni otrzymywałem honorarja literackie. Właściciel jej przeto dużo świadczył mi usługi — i z tej przyczyny niepożądane w momencie nieodpowiedniem najście jego z towarzystwem spokojnym przyjąć musiałem umysłem, luboć nie w ten sposób, w jaki czasu onego ojcowie nasi kuligi w zapusty przyjmowali. Bodaj czy najście to w zapusty nie wypadło, nie przypominam sobie tego.

Przenosiny z trumniarni tej w mojej odbyły się nieobecności. Żona moja z trojgiem drobnych dzieci sama, bez służącej, radę sobie dawać musiała, zaopatrywana będąc przeze mnie bardziej niż skromnie w środki pieniężne, dosyłane jej z Paryża.

W Paryżu na korespondencjach z wystawy ani na redagowaniu *Niepodległości*, oficjalnego Zjednoczenia organu, majątku się nie dorabiałem. Dawało to mi więcej pracy niż dochodów i wprawiało w rzemiośle, którego do końca życia nie umiałem uprawiać umiejętnie, poprawnie i bez wkładania w nie duszy mojej w dozach raz większej, znów mniejszej. Ale o tem potem. Przebiegowi karjery mojej literackiej poświęcę wspomnienie specjalne. Tymczasem naniżę na nić wspomnień osobistości kilka, z któremim się w stolicy Francji zetknął i zdarzeń trochę, których świadkiem byłem. Nie będę się trzymał porządku chronologicznego, trudnoby mi bowiem było porządek chronologiczny, po upływie lat i lat, w ramach sześciomiesięcznych utrzymać.

Co do osobistości zacznę od członków Komitetu Zjednoczenia, których poznałem poprzednio, w grudniu, może w styczniu, w czasie krótkiej, dla nich umyślnie, do Paryża wycieczki. Było ich pięciu; śród nich wybitniej przedstawiali się: Bolesław Świętorzecki z Białorusi, były marszałek powiatu, jeżeli

się nie mylę, ihumeńskiego, powstaniec z r. 1863, Stanisław Jarmund, inżynier z Warszawy, członek organizacji powstańczej, i Aleksander Frankowski z Ukrainy, powstaniec z oddziału Edmunda Różyckiego. Nazwisk dwóch innych pewny nie jestem.

W Paryżu zamieszkałem przy ulicy de Lille, w hoteliku, w jednym pokoju z Włodzimierzem Milowiczem, który pracował w agencji Havas, spędzając w biurach dni całe, co mi dawało swobodę pracowania w mieszkaniu. W tymże hotelu mieszkał Frankowski i innych Polaków kilku. Była to niejako ogólna polska kwatera, mieszkający bowiem dawali gościnę przybywającym na wystawę, i tak się niekiedy zdarzało, że w hoteliku na wszystkich piętrach słyszeć się dawała mowa polska.

Nim kącik w pokoju Milowicza zająłem, mieszkać musiałem dni parę pod schodami, w ciupie bez okna, w której na łóżko tylko miejsce było. Do Milowicza wniosłem się na miejsce gościa, gdy ten odjechał, zainstalowawszy się zaś, niezwłocznie miałem wizytę szarmanckiego jegomościa, Francuza, który mnie powitał. Był to urzędnik policyjny z biura emigracyjnego. O wizycie tej uprzedzono mnie. Rozmowę ze mną zaczął od przeprosin za najście i następnie zadawał mi odniechcenia niby zapytania, odnoszące się do osoby mojej. Na zapytania te odpowiedziałem, jak się rzeczy miały. Po nich atoli pan ów objawił ochotę dowiadywania się ode mnie o innych. Zapytał o osób parę nieznanych mi. Odpowiedziałem odpowiednio.

— Ale tego pana znasz — zaczął i zadał mi zapytanie, nie przypominam sobie o kogo.

— Znam — odrzekłem — ale wybaczy mi pan, że ani o nim, ani o nikim nic do powiedzenia nie mam.

W sposób ten pozbyłem się ciekawości policyjnej, poszukującej śród emigrantów takich, co się z łatwością wygadywali.

W hoteliku jedni mieszkali stale, inni czasowo u przyjaciół przebywali. Z gości czasowych przypominam sobie generała Edmunda Różyckiego, który zamieszkał był u Frankowskiego, podkomendnego swego, uczestnika bitwy pod Salichą. Przypominam sobie również ks. Krechowieckiego i kształcącego się w Strassburgu na lekarza byłego pułkownika sztabu armji rosyjskiej, byłego szefa sztabu przy Różyckim we Lwowie,

Stellę-Sawickiego. Nieraz w gromadce takiej wieczory miło nam schodziły.

Ze znajomości w czasie owym zabranych jedną, która mi w pamięci stoi i nigdy z niej nie zejdzie, jest znajomość z Jarosławem Dąbrowskim. Dąbrowską z domu była żony mojej matka, a tej ostatniej Jarosław był bratem stryjecznym i żonie mojej wujem wypadał. Stosunki przeto rodzinne nakazywały mi zaznajomić się z nim, jak podobneż stosunki poprowadziły mnie do pani Dąbrowskiej, wdowy po Teodorze Dąbrowskim, rodzonym matki żony mojej bracie, która w Paryżu z dwoma mieszkała synami; z tych jeden, Henryk, kierował się na Liszta polskiego W rodzinie tej bywałem częściej, lecz mimo że w niej mistrzowską częstowany byłem muzyką, nie znajdowałem tego uroku moralnego, co w rodzinie Jarosława, ożenionego z kobietą bardzo przystojną, bardzo miłą i wykształconą. Młodzi byli. On szczupły, wzrostu mniej niż średniego, blondyn, o wyglądzie chorobliwym, ona życia i zdrowia pełna. Jarosław powierzył mi był żonę swoją na majową do Montmorency pielgrzymkę polską. Wysłuchaliśmy kazania na temat zbawienia Polski wiarą katolicką, wygłoszonego przez obdarzonego wymową porywającą, młodego podówczas dominikanina, głośnego później odstępcy od Kościoła, ojca Hiacynta Loyson; złożyliśmy cześć grobom znakomitości naszych: Kniaziewicza, Niemcewicza, Mickiewicza i innych; przechadzaliśmy się po lasach montmorenckich w towarzystwie Andriollego; spędziliśmy dzień jeden z takich, o których się nie zapomina. W ciągu owoczesnego pobytu mego w Paryżu raz jeszcze byłem w Montmorency na otwarciu grobowca pomnikowego, postawionego przez rodzinę Mickiewicza ojcu. Tym zaś razem odwiozłem panią Dąbrowską mężowi i z nią, jakoteż z mężem jej, w życiu mojem nie zeszedłem się już więcej. Korespondowałem z Jarosławem.

Powstanie styczniowe zużyło młodzieży polskiej wysoce uzdolnionej dużo. Sporo z niej poznać się publiczności nie dało, tak rychło się z nią kule, bagnety i stryczki moskiewskie rozprawiły. Śród niej Jarosław Dąbrowski odznaczał się zdolnościami górującemi, zdolnościami rodzaju wyjątkowego: pożerającego ludzi pragnieniem czynu. Ludziom tego rodzaju natura cel wyznacza niewyraźny często, zawsze niepospolity, jeden z wyższych, i puszcza ich bez przewodnika. Jarosławowi zba-

wienie Polski narzuciło się w momencie, kiedy duszę jego opanowało dążenie do czynu. Znaną jest przeszkoda, która go nie dopuściła do odegrania w powstaniu roli wybitnej; znana jest jego z drogi na Syberję ucieczka. W Paryżu nie pozostawał z rękami założonemi, oddając się działalności, która była knowaniem, celem wynalezienia środków na walkę o zbawienie, jeżeli nie Polski — to Rosji, nie Rosji — to Francji, nie Francji to... ludzkości. Stąd wynikało, że z tymi ze spółrodaków, co pragnienia swoje do Polski „zacieśniają“, a do tego jeszcze i w środkach przebierają, nie mógł iść ręka w rękę. Przeznaczeniem niemal jego było spalić się. Całopalenie też na nim się w pełni całej dokonało. W razie każdym była to osobistość, której życiu losy dłuższy powinny były wyznaczyć okres — bodaj dla nauki — dla badań psychologicznych, którym się jako przedmiot nadawał.

Drugą osobistością polską, uwydatniającą się na tle gromadki demokratycznej, z którą żyłem, był Bolesław Świętorzecki — biegunowe w stosunku do Dąbrowskiego przeciwieństwo we względzie tak fizycznym, jak moralnym. Słuszny, silnie zbudowany, pokaźny, *belhomme* w znaczeniu całem; wymowny, liczący lat nie więcej nad trzydzieści kilka, przedstawiał sobą dwa w jednej osobie typy: szlachecko-polski i litewski. Polska świeciła mu w duszy jaśnią świętości, będącej przedmiotem czci najwyższej i ukochania bezgranicznego, zasługującego na to, ażeby było „nie żal żyć dla niej, nie żal i umierać“. Losy go też w tem wypróbowały niemiłosiernie. Powstanie w powiecie swoim wywołał w czasie, kiedy Litwa oddana była na łaskę i niełaskę Murawiewa Wieszatiela. Nie powiodło się. Rozbitym w pierwszej z wojskiem regularnem rozprawie powstańcom niektórym udało się w rozsypce ujść niewoli, niektórzy dostali się w ręce krwawych caratu mścicieli. Murawiew pragnął dostać marszałka powiatu, ażeby go wystawić na okaz ludności najdalej w srogości posuniętej zemsty carskiej. Nie dostał go jednak. W ręce zato wpadli mu słudzy i oficjaliści Świętorzeckiego. Na nich przeto dokonał zemsty po swojemu: kazał ich wywieszać w jednym szeregu na podwórzu dworu zbiegłego marszałka, w oczach zmuszonej do patrzenia na wieszanie młodej żony jego. Widowisko to, rzecz prosta, młodą kobietę w grób wtrąciło. A jakie to, gdy się

o tem dowiedział, na Świętorzeckiego wywrzeć musiało wrażenie, wyobrazić sobie łatwo. Moskale skonfiskowali mu majątek, nie mogąc konfiskatą objąć znacznego posagowego żony jego majątku, którego właścicielką po śmierci matki stała się córeczka kilkuletnia, edukująca się w r. 1867 w jednym z zakładów *Sacré-Coeur*. Niekoniecznie trafnym był to wybór edukacji dla panienki bogatej, co się później pokazało. Wybór ten świadczy, że od Świętorzeckiego nie odstały na emigracji niektóre ułomności szlacheckie.

Do ułomności szlacheckich zaliczają patrjoci autoramentu austrjackiego, pruskiego, moskiewskiego, postanowienie szlachciców gdzieniektórych służenia Polsce — wedle wyrażenia Kraszewskiego — „do zdechu". Ułomność tę Świętorzecki posiadał w stopniu wysokim i wysoko stawianą. Zamierzał o Polskę walczyć ze świadomością rzeczy, stać się dla niej Chodkiewiczem, Żółkiewskim, Czarnieckim. W celu tym, nie zważając na to, że zajmował wysokie w obywatelstwie stanowisko marszałka, przygotowywał się do egzaminu do szkoły wojskowej w St. Cyr. Dowiedziałem się o tem, jeżeli się nie mylę, od Milowicza. Wiadomość tę sam mi następnie potwierdził. Egzamin do szkoły wojskowej zdał i wstąpił do niej pod koniec wystawy. Oglądałem go w mundurze ucznia z St. Cyr.

Zdobiły go też i zalety typowe litewskie: oszczędność i podejrzliwość. Oszczędność odnosiła się nie do kwot grubych, trochę do dwudziestofrankówek, najbardziej jednak do monety zdawkowej. Gdy mu wydać przychodziło dziesięć centimów, przypominał konfiskatę przez Moskali majątku swego i uskarżał się, że pozostaje na łasce córki. Wydając jednak franków kilkaset, nic nie przypominał i na nic się nie skarżył. Co się zaś podejrzliwości tyczy, przejawiała się ona za razem każdym, gdy go kto o co zapytał. Nigdy inaczej, tylko na pytanie pytaniem odpowiadał. Za przykład niech służy następujący pomiędzy mną a nim ułamek rozmowy:

— Czy to prawda, że zamiarem waszym jest do szkoły w St. Cyr wstąpić?

— Od kogo o tem wiecie? — odparł.

— Od Milowicza.

— Pytaliście go o to?

— Nie. Sam mi z własnego powiedział natchnienia.

— Skądżeby mu się natchnienie to wzięło?

— Nie wiem. Może to nieprawda?

— Czy przypuszczacie, że Milowicz powiedziałby, gdyby to nieprawdą było?

Rozmowy z nim bywały zabawne, ale często męczące.

Odpowiadanie na pytanie pytaniami dosyć jest u Litwinów pospolite.

Do typów wybitniejszych nie należeli koledzy Świętorzeckiego w komitecie, ani inne, które rozgłos w powstaniu uzyskały osobistości, jak Walery Wróblewski naprzykład. Zabrałem z nim znajomość w mieszkaniu jego, w mansardzie przy ulicy Boursoufle. Zastałem go studjującego dzieła wojskowe francuskie. Miał snadź przeczucie generalstwa w komunie, do czego go nie przysposobiły ani szkoła leśnicza, ani praktyka powstańcza. Utrzymywał się w Paryżu z obsługiwania latarni ulicznych, które obowiązanym był zwieczora zapalać, nad ranem gasić i oczyszczać.

Milczeniem pominąć nie godzi mi się bardzo blisko obchodzącej mnie osobistości, sama przez się znaczenia niemającej, lecz w połączeniu z rodziną swoją wchodzącej w jeden z kręgów piekła dantejskiego, jakiem Rosja dla Polaków była. Stryj mój Erazm, ojca mego brat najmłodszy, ożeniwszy się, zamieszkał na kawałku ziemi własnej nad Jahorlikiem w Dojbanach i zajął się gospodarką. Małżeństwu temu przybyło dzieci dwoje, dwóch synów: starszy Ernest, młodszy Edmund. Starszy, przysposobiwszy się odpowiednio, stanął do praktyki w jednej z cukrowni na Podolu czy na Ukrainie. Wybuch powstania wsadził go na koń i pod dowództwem Różyckiego zaprowadził najprzód pod Salichę, następnie do Galicji, wkońcu do Francji, gdzie niezwłocznie jął się pracy. Pracował na dwóch warsztatach: przy pudretach, przy których się zaraził, lecz go w szpitalu odratowano, następnie w cukrowni, gdzie się zdźwignął i do szpitala powtórnie się dostał. W szpitalu go poznałem. Mimo schorowania przedstawił się mi młody człowiek, któregoby w czasach biblijnych nazwano „radością oczów“ — przepiękny. Gdym przed nim stanął i nazwał się, ręce do mnie wyciągnął i zawołał:

— Ach! teraz już wyzdrowieję.

Niestety, nie wyzdrowiał. Odwiedzałem go często — zda-

wało się, że mu się polepsza. Gdym go żegnał, opuszczając Paryż, pożegnaliśmy się: „Dowidzenia“, zapowiedział mi bowiem przyjazd do Brukseli na odbycie rekonwalescencji u nas.

W parę tygodni później zawiadomiono mnie o śmierci jego i przysłano ruchomości jego drobiazgów kilka, mające dla mnie znaczenie pamiątkowe.

Biedny ojciec! biedna matka!

Matka owdowiała wkrótce potem — i po śmierci męża spotkało ją coś, co z ciosami losów najcięższemi w porównanie iść może.

Pozostała sama na gospodarstwie, syna do Kiszyniowa do gimnazji posłała. Chłopaka natura obdarzyła zdolnościami, ułatwiającemi mu i naukę i utrzymanie. Świetny uczeń został korepetytorem poszukiwanym. Renoma wprowadziła go do domu generała, którego syn pomocy naukowej potrzebował. Generałowi Edmund się podobał i zaufanie jego tak dalece pozyskał, że mu zaproponował, ażeby po ukończeniu gimnazjum z synem jego w charakterze pomocnika naukowego i przewodnika moralnego do Petersburga jechał. Propozycja ta urzeczywistniała marzenia młodego człowieka, pragnącego dalej w uniwersytecie kształcić się w matematyce, w której się rozmiłował. Matka, znając zamiłowania syna, również dla niego pracowania na drodze naukowej pragnęła. Marzenia ich obojga ziściły się. Rozstali się dla nich na lat cztery. Ona osamotniała, pocieszając się regularnie nadchodzącemi od Edmunda listami, które pod koniec roku czwartego zapowiedziały przyjazd jego.

Zapowiadanie sprawdziło się, co do dnia i niemal godziny. Pewnego dnia upalnego w miesiącu lipcu dzwonek pocztowy dał znać o zbliżaniu się gościa ukochanego.

Przyjechał.

Próżnem byłoby wysilanie się na opis uczuć stryjenki mojej, gdy syn, przedstawiający jej osobą swoją nietylko siebie samego, ale męża zmarłego, i tamtego, starszego, co poszedł drogą służby ojczyźnie i załamał się na drodze tej, — gdy on, w osobie swojej ześrodkowujący trzy jednako drogie istoty, w objęciu jej się znalazł. Takie uczucie matczyne nie nadaje się na opisy literackie.

Na przyjęcie i ugoszczenie Edmunda zgóry wszystko przysposobione było: i posiłek i wypoczynek. Wypoczynek mu,

po podróży męczącej „perekładną“[1] należał się szczególnie. Po posileniu się przeto, po rozmowie frazesami urywanemi, matka go do łóżka wyprawiła. Położył się, zasnął, — zasnął snem znużonego młodego człowieka.

Korzystając z twardego syna snu, stryjenka, świecę dłonią osłaniając, wsunęła się do pokoju, świecę w kącie ukryła, u nóg śpiącego uklękła i w oblicze jego się zapatrzyła.

Niech matki wyobrażą ją sobie i na jej miejsce się postawią w sytuacji tej, czy nie odczują tej cichej, a uroczystej ekstazy, tego wniebowzięcia, jakie ją przejmowało?

W zapomnieniu się nie słyszała rozlegającego się w ciszy nocnej corazto mocniej i zbliżającego się do Dojban w dobie tej powtórnie dzwonka pocztowego.

Nie słyszała — aż dzwonek w połączeniu z turkotem kół i tętentem kopyt końskich na podwórzu się odezwał.

— Co to? — zapytała siebie, klęcząc jeszcze.

Nagle tarkot i tętent przed ganeczkiem dworku ustały. Zastąpił je szczęk, słyszeć się do drzwi dało kołatanie mocne.

Zerwała się, do sionki wybiegła.

— Otwieraj! — z za drzwi zabrzmiał po rosyjsku rozkaz.

Przerażona otworzyła.

Próg przestąpił poprzedzający dwóch żołnierzy oficer żandarmski i groźnie zapytał:

— Jedmund Jerazmowicz Miłkowskij?

— Zmęczony spoczywa — odpowiedziała.

— Gdzie on?

— Śpi, panie.

— Gdzie on? — powtórzył groźnie.

— Ależ on zmęczony. Dziś przyjechał. Tylko co zasnął — błagalnym przemawiała głosem w obawie, ażeby głośne, rozkazodawcze odzywanie się oficera Edmunda nie zbudziło.

Obawa jej płonną nie była. Hałaśliwe zachowywanie się żandarmskie rozbudziło śpiącego w izdebce, drzwiami od sionki oddzielonej. Słysząc mowę rosyjską, akcentowaną brutalnością, a połączoną z dobrze mu znanym szczękiem oręża, rozlegającym się ustawicznie w Rosji całej, pewny był, że jest to jedna z szykan zwyczajnych, których czynownictwo osobistościom

---

[1] Zmienianym na przestanku każdym wózkiem pocztowym. (T. T. J.).

pochodzenia polskiego, wdowom zwłaszcza, nie szczędzi. Zerwał się więc i począł odziewać pospiesznie. Zaledwie buty wciągnął, gdy z brzękiem próg oficer przekroczył i zatrzymując się przed nim, z wyjętego zzanadrza rozłożonego i w herb państwowy zaopatrzonego papieru tonem zapytania wyczytał:

— „Wy Jedmund Jerazmowicz Miłkowskij, dwarianin, kandidat matiematiczieskawo fakułtieta sankt pietierburskawo uniwiersitieta“?

— Ja — odpowiedział nie bez zdziwienia.

— Odziewajcie się i w drogę!

— A toż co!

— Jesteście aresztowani i — w drogę!

— Dokąd? poco?

— Poco? rzecz nie moja. Dokąd? do Petersburga...

— Jezus Marja! — wykrzyknęła matka.

Edmund na żandarma z takim w oczach i na obliczu spojrzał wyrazem, jakby mu powiedzieć chciał: „Oszalałeś“. Zamiast tego odpowiedział:

— Stamtąd wprost przyjeżdżam. O cóż to chodzi?

— Rzecz nie moja wiedzieć. Wie prawitielstwo, od którego otrzymałem rozkaz was, gaspadin kandidat, do Petersburga dostawić.

Matka, z rękami ściśniętemi, wystraszona, zmitrężona, w syna oczy wlepiła.

— Niema rady — rzekł Edmund, do matki mowę zwracając. — Niech mama spokojna będzie. Nieporozumienie jakieś. To się wyjaśnić musi. Za miesiąc, za miesięcy parę powrócę.

Nie było rady w rzeczy samej. Matka i syn rozstali się, Edmund pisywać przyrzekł, lecz na dotrzymanie przyrzeczenia matka czekała miesiąc, po nim drugi, a dalej miesiące po miesiącach, aż się ich uzbierało dwanaście, i gdy z drugiej serji dwunastu miesięcy parę upłynęło, otrzymała z Petersburga zawiniątko, a przy niem zawiadomienie urzędowe, że syn jej, Edmund Erazmowicz aresztowany, jak się z dochodzenia sądowego okazało, przez omyłkę, w więzieniu umarł. W zawiniątku znajdowały się rzeczy nieboszczyka, kilka dzieł matematycznych i notatki naukowe.

O! ty, Polsko! ty... droga!

Czy to jedna matka Polka na macierzyństwie swojem tak jak stryjenka moja wyszła?

Nie wiem, czym wiernie to opowiedziane mi zdarzenie powtórzył. Wiernem jest ono w osnowie, wiernem w tem, że Edmund w dniu powrotu z Petersburga matce wydarty został i padł ofiarą omyłki — i więcej nie wrócił do matki, która w pewnym rodzaju obłędu na powrót jego czekała, czekała, aż po otrzymaniu o śmierci syna wiadomości, wkrótce się i sama śmierci doczekała.

Zdarzenie to nie należy do wspomnień paryskich z r. 1867. Opowiedziałem je raz dlatego, że się wplata w ciernisty dziejów rodziny mojej wieniec, powtóre dlatego, żeby zaznaczyć, iż nie znaleźć szlacheckiej rodziny polskiej, w której dziejach nie tkwiłyby ciernie podobne.

Wracam do zabranych w czasie onym w Paryżu znajomości. Do wspomnień nasuwa się mi Józef Fricz, Czech, emigrant z r. 1848, demokrata i republikanin. Czechów znałem niewielu, a zabierając z nimi dorywczo znajomości, nigdy nie trafiałem źle. Znajomość z Friczem należała do trafów najlepszych. Przypadł mi on jakoś tak, jakbyśmy się znali od lat naszych dziecinnych. Prędkom się z nim zżył; zżyłem się i z rodziną jego, składającą z żony i dwóch synów, chłopaków nie starszych nad lat dziesięć. Pani, kobieta cicha, skromna, prosta, wydawała mi się długo jedną z żon mężów uczonych (Fricz był nietylko uczonym wybitnym, ale literatem i poetą, działalność zaś polityczna naraziła go na skazanie na śmierć), pełniących przy nich funkcję towarzyszki życia, specjalistki od czuwania nad materjalną życia ich stroną. W obecności mojej nie brała udziału w rozmowach, tyczących się czyto polityki, czy też nauki lub literatury. Prawda, że rozmowy pomiędzy nami nie wychodziły poza zakres sprawy polskiej, którą Fricz traktował, jakby rodowitym był Polakiem. Zdarzyło się raz, żem spotkał dwóch świeżo do Paryża przybyłych Czechów młodych, którym, ponieważ się z Friczem widzieć pragnęli, a adresu jego nie znali i w Paryżu zabłądzić się lękali, za przewodnika posłużyłem. Poszliśmy razem — Friczaśmy nie zastali: wyszła do nas pani. Jakżem się zdziwił, gdy ucieszona przybyciem gości z Czech, ożywiła się i zawiązała z nimi rozmowę w kwestjach literackich i naukowych, rozpytując o pracowni-

ków w tych zakresach, o ich dzieła, wydając o tych ostatnich sądy, jedne chwaląc, inne ganiąc. Kobieta w oczach mi się z kucharki na gruntownie i rozlegle wykształconą przemieniła. Cud ten sprawiły sprawy czeskie, obchodzące ją bardziej niż polskie. O zdziwieniu mojem, przez żonę jego wywołanem, powiedziałem Friczowi. Uśmiechnął się na to.

Fricz po polsku bez akcentu czeskiego mówił, poprawnie pisał i był w Paryżu jednym z lepszych mowców polskich. Słyszałem go w Montmorency, gdzie miał mowę na odsłonięciu grobowca, postawionego przez dzieci Mickiewiczowi. W ceremonji tej wziąłem udział dla wyrażenia przedewszystkiem czci pamięci wielkiego poety naszego, następnie zaś dla usłyszenia mowców zapowiedzianych, między innymi Goszczyńskiego, któremu stan zdrowia przybyć nie pozwolił (mowa jego była odczytaną przez kogoś), bynajmniej nie dla urządzenia awantury, podanej do wiadomości publicznej w korespondencji z Paryża, zamieszczonej w *Dzienniku Warszawskim*, owoczesnym organie urzędowym, poprzedniku obecnie w języku moskiewskim wychodzącego pisma p. t. *Warszawskij Dniewnik*.

W łonie emigracji, spowodowanej powstaniem r. 1863—4, znajdował się niejaki Młochowski herbu Belina. W powstaniu podobno wziął udział zaszczytny; na emigracji wziął na się zaszczytne obowiązki szpiega i *Dziennika Warszawskiego* korespondenta, specjalnie powołanego do szkalowania czynów i osobistości emigracyjnych. Na korespondencjach herbowem podpisywał się mianem. Osobą moją, usuniętą w cienie porzeczy dunajskich (Rumunja, Bułgarja, Serbja), nie zajmował się. Aż mu się na ceremonji mickiewiczowskiej pokazałem. Z natchnienia, jakie mu widzenie to nasunęło, wysnuł w korespondencji opowiadanie, jakoby się i mnie zachciało mowę ze stopni grobowca Mickiewicza wygłosić. Spełnieniu chęci tej przeszkodził Grzymała, który mi drogę zastąpił. Wynikło stąd pomiędzy Grzymałą a mną szarpanie się, zakończone zepchnięciem osoby mojej ze stopni grobowcowych i uwieńczone pojedynkiem na pałasze. Rezultatem pojedynku było rozcięcie przeze mnie, „żołnierza“, Grzymale brzucha. Tak mieć się miała rzecz z natchnienia szpiegowskiego wysnuta. W rzeczywistości o głoszeniu mowy w Montmorency ani mi się śniło, Grzymały

z widzenia nawet nie znałem, z nikim się w Paryżu ani wówczas, ani przedtem, ani potem nie pojedynkowałem.

Kłamstwami podobnemi, oszczerstwem grubo podszytemi, długo, bodaj czy nie do śmierci Aleksandra II, z emigracją polską wojnę toczyła Rosja, posługując się w niej dziennikarstwem polskiem, rosyjskiem i francuskiem *(Nord)*. Posługiwała się też wywoływaniem śród niej kompromitujących ją w oczach opinji publicznej w Europie występków, takich np. jak fałszowanie monety. Sprawie tej w pamiętnikach moich osobny poświęcę rozdział. Świetnie ona ilustruje moralność w polityce. Moralność tego rodzaju zasadniczo od czasu rozbiorów Polski w najnowszych dziejach kuli ziemskiej nurtuje.

Bywała o tem mowa pomiędzy mną a osobistością, z którą dzięki Friczowi znajomość w sposób niespodziankowy zabrałem. Stało się to na wystawie. Poszedłem był celem przestudjowania działu szkolnictwa, interesującego mnie szczególnie. W dziale atoli artystycznym figurował okaz, budzący zajęcie powszechne, zwłaszcza zaś Polaków, było to bowiem pierwsze na wystawach wystąpienie Matejki, z malowidłem znakomicie wykonanem, odtwarzającem na płótnie najsmutniejszy w dziejach Polski moment. Mistrzowskie, życia i zgrozy pełne przedstawienie pamiętnej sceny położenia się Rejtana na progu sali sejmowej celem niedopuszczenia do obradowania, prawo narodowe gwałcącego, zgromadzało ustawicznie tłumy przed obrazem. Francuzi i wogóle nieobowiązani znać dzieje Polski widzowie nie rozumieli znaczenia sceny. Odwiedzających wystawę Polaków przemocą niemal pociągała i przy sobie zatrzymywała. Oglądałem ją dziesiątki i dziesiątki razy, i nie mogłem się pragnieniu oglądania jej, ilekroć na wystawę wchodziłem, opierać. Gdy razu pewnego wszedłem do sali, w której ona wystawioną była i szukałem oczyma luki, którąbym się do niej zbliżyć mógł, zoczyłem nieopodal Fricza. Znajdował się niesam. Gdyśmy się przywitali, przedstawił mnie towarzyszowi swemu i towarzysza swego mnie, wymówiwszy nazwisko jego tak, żem go nie dosłyszał. Jegomość ów, wzrostu miernego, wyglądu zwyczajnego, w melonku na głowie i w surducie na grzbiecie, nie uderzył mnie czem innem, jeno tem, że po serbsku przemówił. Nie wyszła mi jeszcze z użycia była mowa naddunajskich i nadsawskich pobratymców naszych, z łatwością przeto zamieniłem

z tym znajomym nowym frazesów kilka, odnoszących się do arcydzieła Matejki. Fricz, zdaje się, zapytał mnie, co dalej na wystawie robić zamierzam.

— Studjuję dział szkolnictwa — odpowiedziałem.

— Rzecz ta właśnie ogromnie mnie obchodzi — odezwał się bezimienny jeszcze dla mnie znajomy.

Razem przeto szczegółowo rozpatrywaliśmy się w okazach szkolnictw różnonarodowych, śród których zafrapowała nas szczególnie wystawa szkolnictwa duńskiego; razem posilaliśmy się w restauracji dla klasy robotniczej urządzonej; razem oglądaliśmy maszyny, funkcjonujące w dziale przemysłowym. Oglądanie wywoływało ze strony to Fricza, to mojej, to tego trzeciego, uwagi stające się przedmiotem krótszej lub dłuższej rozmowy, z której, sądząc wedle zdań bezimiennego do sprawy szkolnej się odnoszących, wziąłem go za pedagoga, nauczyciela jeżeli nie w Serbji, to w Chorwacji. Ruchy jego, mina, sposób bycia domysł ten stwierdzały, tak że wkońcu pewny tego byłem. Wytrawne we względzie nauczania i wychowania opinje jego do przekonania mego po większej części trafiały i szacunek we mnie dla domniemanego pedagoga wzbudzały. Z przyjemnością i zadowolnieniem dzień cały w towarzystwie jego spędziłem i gdy godzina wynoszenia się z pałaców wystawowych nadeszła, z ochotą zgodziłem się wracać do zamieszkiwanych przez nas dzielnic Paryża nie omnibusem, ale piechotą. Pogoda ku temu służyła. Droga prowadziła nas lewym brzegiem Sekwany od placu Marsowego do mostu [Alma][1]. W drodze zawiązała się pomiędzy nami rozmowa polityczno-kulturalna, potrącająca o sprawy Polski, Czech i Słowiańszczyzny południowej. Na rozmowie tej, która mnie ogromnie zainteresowała, godzina upłynęła mi niby chwila jedna. Gdyśmy się przy moście rozstać mieli, pedagog mniemany dłoń mi do uścisku podał i tak przemówił:

— Aleśmy się tak rozstać nie powinni.

— Ano... — odrzekłem.

— Nie mógłbyś pan zajść do mnie?

— Z ochotą. Dokąd i kiedy?

Wyjął zzanadrza i podał mi kartę swoją.

---

[1] Opuszczone w rękopisie.

Na karcie wyczytałem: „J. J. Strossmayer, biskup diakowarski".

Do podania karty dołączył wyrazy:

— Jutro o dziesiątej rano czekać na pana będę.

Zmieszało mnie to.

Strossmayer pedagog podbił mnie. Strossmayer biskup przedstawił się mi pod postacią wielkiego znaku zapytania. Biskupów znałem z działalności ich na polu dziejów ludzkości i wiedziałem, że śród nich w czynach i słowie trafiają się czarodzieje, pełniący funkcję piastunów ludzkości, zdobywców tłumów dla Kościoła. O Strossmayerze w Belgradzie słyszałem dużo, i z tego, com słyszał, nie mogłem całą przekonań moich siłą nie uznawać działalności jego w dwóch kierunkach: w kierunku szerzenia oświaty narodowej i w kierunku zacierania rozdarcia narodu serbskiego przez wyznania religijne, przez kościoły prawosławny i katolicki, panujące jeden w Serbji, drugi w Chorwacji. W kierunki te atoli wchodzą: z jednej strony świeckość, poręczająca swobodę sumienia i postępowość naukową, z drugiej kościelność, nakładająca wędzidła na jedną i na drugą, na swobodę i na postępowość, uniemożliwiając rozwój ludzkościowy. Któż nie zna wędzideł tych własności? Któż nie wie o inkwizycji, o Torquemadach, o okrucieństwach dokonywanych w imię miłości bliźniego? Któż z nas Polaków, oznajomionych z dziejami upadku Polski, zapomnieć może o krzywdach, wyrządzonych jej przez książąt Kościoła? — Myśli te tłumnie obsiadły mi mózg w połączeniu z urokiem, jaki na mnie wywarła głęboka jakaś a pociągająca prostota Strossmayera.

Po pożegnaniu się z nami Strossmayer zwrócił się na lewo, na most, Fricz i ja na prawo, ku dzielnicy łacińskiej. Szliśmy czas jakiś w milczeniu, które przerwałem, rzucając dwa pod adresem biskupa diakowarskiego wyrazy:

— Niebezpieczny człowiek.

— Czemu? — Fricz zapytał.

— Biskup... — odparłem.

— Niebezpieczeństwo to względne, przestające być niebezpiecznem, gdy się je zna.

— Zna się... — odrzekłem. — Kto je zna? Ty i ja, i z nami minimalny wobec mas ludnościowych procent ludzi, z przekona-

nia świadomego nieuznających powagi stanowisk kościelnych. Ludom, pozostającym pod wpływem wyobraźni, obojętnym jest dogmat, wyprowadzający rodowód Ducha Świętego; nieobojętnym jest Kościół, zaprawny łechcącemi wyobraźnię tajemnicami, olśniewający blaskami, miewający na czele swojem reżyserów czarujących. Wszak Włodzimierz Świętosławowicz przyznał prawosławiu wyższość nad katolicyzmem, judaizmem i islamizmem — ze względu nie na dogmaty, o których pojęcia nie miał, ale na okazałość nabożeństwa i doniosłość śpiewów.

Po chwili milczenia dodałem:

— Jutro iść mam do Strossmayera.

— Lękasz się o siebie, co?

— Prawie.

— Wypróbuj się. Masz się na lep biskupi wziąć, to i bez Strossmayera się weźmiesz.

Na wizycie u biskupa nazajutrz skompromitowałem się fatalnie. Zadzwoniłem do niego, jak należało, otworzył mi służący na krótki korytarz i, gdym kapelusz na kołku zawiesił, drzwi wskazał. Za drzwiami znalazłem się w salonie, w którym na lewo, na wywyższeniu niewysokiem, w fotelu, we fioletach, ozdobiony krzyżem na łańcuchu złotym, z powagą pontyfikalną siedział Strossmayer. Krzesła popod ścianami zajęte były przez paru księży, parę osób świeckich, i od biskupa najbliżej, przez człowieczka wzrostu drobnego, z teką pod pachą, o minie pokornej, siedzącego na kraju stołka i mnie z widzenia znanego. Widywałem go przed laty w Konstantynopolu, w mundurze kozaków sułtańskich. Był to nie ksiądz jeszcze podówczas, autor dzieła kompromitującego Austrję, *Galicja i Kraków*, Walerjan Kalinka [1].

Wszedłszy do salonu, nie wiedziałem co począć ze sobą. Nigdym w życiu nie oddawał wizyty podobnej. Czułem się stropiony wobec pokory gości i pontyfikalizmu gospodarza. Powinienem był podobno z głową pochyloną podejść i w sygnet biskupa pocałować. Nie znając ceremonjału tego, postąpiłem kroków kilka w kierunku biskupa i skłoniłem się mu. Strossmayer lekkiem skinieniem ręką krzesło pod ścianą mi wskazał.

---

[1] T. T. Jeż daje mu błędnie imię Kazimierz. Dzieło *Galicja i Kraków pod panowaniem austrjackiem* drukowane w Paryżu r. 1853.

Usiadłem. Ktoś coś do biskupa mówił, biskup zaś coś komuś odpowiadał. Słuchałem, alem nie słyszał, mózg mi bowiem udeptywało zapytanie: „I poco ja tu?“. Udeptywanie to ciągnęło się minut kilka, zajętych słuchanemi, ale niesłyszanemi przeze mnie rozmowami, pókim się nie zdecydował. Decyzja moja w ten wyraziła się sposób, żem wstał, ukłonił się i drogą, którąm wszedł, wyniósł się.

W korytarzu kapelusz z kołka zdejmując, myślałem sobie: „Nie złapię się po raz drugi na zaproszenie biskupie“.

Zwróciłem się ku wyjściu z mieszkania, gdy niespodzianie we drzwiach wgłębi korytarza ukazał się Strossmayer. Niespodzianka ta zatrzymała mnie. Strossmayer biegiem prawie do mnie podszedł, za rękę mnie ujął i zaczął:

— Przepraszam, przepraszam. Zapomniałem wczora o wyznaczonem na dziś gościom przyjęciu. Ale z wami się widzieć i pomówić, obszernie pomówić, muszę. Rano wstajecie? — zapytał.

— O czwartej.

— Doskonale! Ale gdzie?

— W ogrodzie tiuleryjskim chyba — odpowiedziałem bez namysłu.

— Wybornie! Jutro o czwartej.

Pożegnaliśmy się mocnym dłoni uściskiem.

Zdałem z wizyty mojej sprawę Friczowi. Opowiadanie moje mocno go ubawiło — winszował sobie, że wymówił się, gdy go razem ze mną Strossmayer zapraszał. Postanowił wynadgrodzić to sobie nazajutrz.

— Stawisz się w ogrodzie na czwartą rano? — zdziwiłem się.

— Żona mnie w porę zbudzi — odparł.

Zeszliśmy się więc nazajutrz we trzech i wybrawszy sobie ustronne na jednej z ławeczek miejsce, przystąpiliśmy do konferencji polityczno-społecznej, której oś obradową stanowiła Słowiańszczyzna. Zdaje się, że Strossmayerowi chodziło głównie o oświadomienie się z opinją polską odnośnie do sprawy wszechsłowiańskiej, trudnej, zdaniem jego, do rozwiązania bez udziału Rosji, jedynego na Słowiańszczyźnie rzeczywiście niezależnego i rzeczywiście potężnego państwa.

— Ale... — podchwycił Fricz.

— Znam wasze „ale“ — przerwał mu Strossmayer — lecz nie może być ono wiecznem. I Rosja się kiedyś przeistoczy, nie w naszych zapewne oczach, ale przeistoczy się kiedyś tem pewniej, że zaszczepiła sobie zarazek postępu pod postacią narodu polskiego, zrywającego się co moment do walki „o naszą i waszą wolność“...

Nie zestenografowałem, ani nawet znotowałem sobie konferencji, odbytej pomiędzy biskupem diakowarskim, Józefem Friczem i mną pod gałęzistem jednego z drzew ogrodu tiuleryjskiego sklepieniem, przy wtaczaniu się na niebo słońca porankowego nad Paryżem. Powtarzam ją wedle wrażeń, jakie o niej przechowała pamięć moja, wrażeń, które przy okazji drukiem do wiadomości publicznej za życia założyciela Uniwersytetu Chorwackiego w Zagrzebiu podawałem. Podań tych ani on, ani Fricz nie prostował. Mogę więc, nie lękając się zaprzeczeń ze strony bliżej niż ja nieboszczyka znakomitego znających, powtórzyć je w edycji obszerniejszej.

Wzmianka o narodzie polskim wytoczyła na stół sprawę polską. Strossmayer przyznawał jej największe w Słowiańszczyźnie znaczenie polityczne oraz we względzie kulturalnym przewodnie.

— Idea polska przenika nas: Chorwatów, Serbów, Czarnogórców. Wszak waszą „Jeszcze Polska nie zginęła“ przetłumaczyliśmy na „Jeszcze Serbja nie zginęła“. Zajmujecie w Słowiańszczyźnie stanowisko funduszu wartościowego, nierentującego się narazie.

— Dającego jednak odsetki niejakie — wtrącił jeden z nas, Fricz albo ja.

— O tak... i duże nawet — odparł biskup. — W niewoli rodzą się śród was Lelewele, Mickiewicze, Matejkowie. Gleba, co Kopernika wydała, płodności nie straciła. Służy jeszcze i służyć będzie. Wiemy o tem. Narazie jednak nie o to chodzi...

— Ale o Turcję i Austrję — zaznaczyłem.

Strossmayer przyznał.

W r. 1867 nastąpił był zwrot w stosunkach pomiędzy Chorwacją a Węgrami. W latach 1848 i 1849 Chorwaci trzymali z Austrją przeciwko Węgrom i w czasie wojny oddali jej usługi ogromne, licząc na to, że Austrja wywdzięczy się im za nie. Wywdzięczyła się im ona akurat tak, jak Moskwa Rusinom,

którym, szczując ich przeciwko Polsce, wolność i samodzielność obiecywała. Po pokonaniu Węgier przy pomocy Rosji r. 1849 wywdzięczenie się Chorwatom tem się jeno różniło od kary, jaka spotkała buntowników węgierskich, że Jelaczić i przywódcy chorwaccy nie zostali powywieszani, jak generałowie i mężowie stanu węgierscy, co się Austrjakom skutkiem zdrady Görgeya w ręce dostali. Chorwacja narówni z Węgrami poszła w pasy i popręgi niemieckie. Niemcy objęli wszystkie, od najwyższych do najniższych, w Chorwacji jak na Węgrzech, urzędy. Język niemiecki w administracji, w sądownictwie, w szkołach zapanował tu i tam, jak rosyjski w Polsce i na Rusi po r. 1864. Za służbę wierną spotkała Chorwatów niewola sroga, skutkiem której skleiło się było w r. 1864 porozumienie się, pod osłoną zakulisową włoską, pomiędzy Węgrami a Chorwacją. Przysposabiało się wznowienie powstania przeciwko Austrji, powstania węgierskiego do spółki z kroackiem. Opowiedziałem o tem poprzednio, ponieważ w robocie tej udział brałem i dla niej, zamiast do Szwecji, do Serbji mnie Rząd Narodowy wyprawił.

Nawiązane w r. 1864 dobre pomiędzy Węgrami a Austrją stosunki trwały do r. 1867. Niedługo — trzy lata. Rezultat wojny austrjacko-pruskiej zmusił Austrję do ukonstytucjonowania się, udobrodziejstwowania (?) autonomjami podległych berlu jej krajów i zawarcia z Węgrami, pod wpływem polityki Deaka, ciążącej im obecnie (1905 r.) ugody. Dowcipna ugody tej strona na tem polega, że mniejszości madjarskiej w królestwie węgierskiem zapewnia wobec słowiańsko-rumuńsko-niemieckiej większości taką, jak mniejszości niemieckiej wobec większości słowiańskiej w cesarstwie austrjackiem preponderencję. Dowcip ów obrócił się na szkodę Kroacji: Węgrzy, władzę w koronie św. Szczepana w ręce swoje ująwszy, na ciężar jej Kroatom czekać długo nie dali. Pomiędzy królestwami madjarskiem a trójjedynem (Kroacja, Slawonja i Dalmacja) odrazu do nieporozumień, nieporozumień ostrych, przyszło. W Kroacji zawrzało manifestujące się czynnie w odniesieniu do Węgier i do Austrji niezadowolenie. Wytworzyło się pod przewodnictwem gorliwego przed trzema laty wyznawcy zgody pomiędzy Kroacją a Węgrami, adwokata Starcewicza, stronnictwo, w którem rolę wybitną odgrywał Strossmayer. Rola ta tak go skompromitowała, że musiał na czas jakiś z ojczyzny, z Węgier

i z Austrji się usunąć. We Francji przeto znajdował się w charakterze emigranta politycznego, tym samym, co Fricz na śmierć skazany i ja, buntownik mocno markowany. O szczególe tym dopiero się w ogrodzie tiuleryjskim dowiedziałem. Dlatego, po przyznaniu Polsce pierwszorzędnego w Słowiańszczyźnie znaczenia i wyrzeczenia przez Strossmayera, że „narazie jednak nie o to chodzi“, gdym wtrącił, że chodzi o Turcję i Austrję, interes rozmowy zwrócił się na sprawy „zbrodnicze“.

W sprawach tych jego świątobliwość sprawy nam dotrzymywała, jakby zgoła nie piastowała godności biskupiej. My dwaj dyskutowaliśmy z nim, jak ludzie świeccy z człowiekiem świeckim — z politykiem, liczącym na Kościół w tej mierze, w jakiej się on, w momencie owym, w którym cesarstwo francuskie mocno się Kościołem posługiwało, do działalności politycznej wprowadzać dawał.

Wytoczone na stół „sprawy zbrodnicze“ tyczyły się wyzwolenia Słowiańszczyzny południowej z ciążących na niej więzów tureckich i austrjackich. Nie ciężyły one już tak, jak przed rokiem 1812, tem bardziej zato czuć się dawały. Wyzwolenia narodowe nie zadowalniają się ćwierć- ani półwyzwoleniami. Półniewola, w jakiej Austro-Węgry trzymały Kroatów, Dalmatów, Slawonów, Słowaków, Czechów, Polaków, dokuczała bodaj czy nie bardziej niż $^3/_4$ niewoli, w jakiej po pokoju paryskim r. 1856 pozostawały w Turcji Bułgarja, Bośnia. W warunkach takich Polska służyć Słowiańszczyźnie mogła przykładem tylko. Dla wyzwolenia się z więzów moskiewskich Polacy nie wahali się sprzymierzać z Turcją. Czy nie starali się o przymierze z nią świeżo w r. 1853—4? Upoważnia to Słowian południowych do oglądania się na pomoc rosyjską, liczenia na nią i wiązania się dla niej z Rosją, będącą dla Polski tem, czem jest dla nich Turcja.

— Słusznie — na tak wyrzeczone przez Strossmayera zdanie odpowiedzieliśmy mu. — I słuszność w kwestji tej byłaby zupełną, gdyby nie to, że pomoc turecka nie zagraża Polsce niewolą turecką, rosyjska zaś Słowianom południowym zagraża niewolą moskiewską. Polityka z ewentualnością tą liczyć się powinna.

— O... i jak! — westchnął biskup. — Uniknąć tego jednak niesposób wobec pchania się Rosji na półwysep Bałkański i wygłaszania haseł, z któremi ludność sympatyzuje: prawosławie np.

O prawosławiu mówił bezstronnie, jak człek świecki: nie nazywał go „schizmą“, nie obniżał wartości jego religijnej, stronę onego szkodliwą w tem głównie upatrując, że służył za motor polityczny takiemu jak Rosja mocarstwu, oraz w tem, że narodom rasy jednej i tej samej, zajmującym porzecza Drawy i Sawy i oba brzegi Dunaju do ujścia Timoka, opierającym się na zachód o morze Adrjatyckie, na południu o plemiona albańskie, na wschód o Bułgarję, liczącym mniejwięcej 10 miljonów ludności, pozostającym względem państw zaborczych w położeniu jednakowem i mającym te same potrzeby kulturalne, stał na przeszkodzie do zlania się w jedno.

W czasie pobytu naszego w Belgradzie był moment, w którym spodziewano się odwiedzin stolicy Serbji przez Strossmayera i mówiono o potrzebie przyjęcia go i ugoszczenia owacyjnie. Wspomniałem o tem.

Uśmiechnął się i rzekł:

— Tak... *Mundus vult decipi.* Owacje przysposabiają się, jak widowiska cyrkowe, bezpłatne zwłaszcza. Taksamo w Zagrzebiu witanoby i goszczono, gdyby się kto tem zajął, Wuka Karadzicza, w Zagrzebiu zaś i w Belgradzie Mickiewicza waszego. Owacje, ludziom wybitniejszym, urzędnikom wysokim, monarchom nawet czynione, są to rzeczy robione: fabrykują się... Wniesionoby mnie na rękach i ogłaszano okrzykiem „Żiwio!“ w Belgradzie. Gdybym jednak Serbów prosił, gdybym ich błagał o wybaczenie Kroatom katolicyzmu, nie posłuchanoby mnie. Taka sama odprawa spotkałaby każdego, mnie nie wyłączając, coby u Kroatów wyprosić chciał wybaczenie dla Serbów za prawosławie.

— Fanatyzm — bąknął jeden z nas.

— Nie co innego... fakt wszelako, z którym się nie liczyć nie można. Musimy brać rzeczy, jak są, nie jakbyśmy pragnęli, by były. Rosja prawosławie wewnątrz i nazewnątrz wyzyskuje dla siebie, dla tronu, który jej rację bytu stanowi. Naród w niej liczy się o tyle, o ile jest ślepo posłusznym i do celów państwowych się nadaje.

— Czyż nie tak w monarchjach wszystkich?

— Do pewnego stopnia. Anglicy nie z taką jak w Rosji łatwością, nie tak na ślepo za narzędzie użyćby się dali. W Anglji hasło: „Za cara i Boga!...“

— Zastępuje się „honorem sztandaru“ — podchwycił Fricz, może ja.

Strossmayer zamilkł, pomyślał chwilę i z uśmiechem lekkim odparł:

— Zachodzi jednak różnica pomiędzy państwem konstytucyjnem a samowładnem, tak bezgranicznie samowładnem, tak bezwzględnie na ciemnocie i fanatyzmie, nie „obywateli“ (rzekł z naciskiem), lecz poddanych swoich się opierającem, jak Rosja. A mimo to, ponieważ jest ona jedynem, niezależnem, potężnem w Słowiańszczyźnie mocarstwem, Słowianie oglądać się i liczyć na nią muszą. Wyrzeczone na zjeździe słowiańskim w Pradze r. 1848 przez wielkiego Słowianina, Palackiego, słowa, że: „gdyby Austrja nie istniała, stworzyćby ją dla dobra Słowiańszczyzny należało“, nie trafiły do przekonania austrjackich mężów stanu. Może to nastąpi później, kiedyś, dziś atoli interesy słowiańskie nie w austrjackich, lecz niestety w rosyjskich spoczywają rękach. Nie wzięła ich — dodał, do mnie się zwracając — Polska w ręce swoje za panowania Władysława IV i obecnie zastępuje ją Rosja.

Zastępstwo to, ze względu na wynikające z niego dla Słowian niebezpieczeństwo, szeroko omawianem było. Fricz i ja mieliśmy je za bardziej niż Strossmayer niebezpieczne. Ten ostatni bardziej niż my liczył na to, że sczasem „wiatr zachodni ogrzeje te państwa“. Następstwa ogrzania widzieć się ani odczuwać nie dawały. Nasłanie na Litwę w czasie powstania polskiego takiego jak Murawiew potwora, chwycenie się po uśmierzeniu powstania polityki dzikiej zemsty dla ukarania narodu za miłość ojczyzny, nie świadczyły zgoła o wkroczeniu Rosji na drogę postępowości humanitarnej, rokującej dla niej zajęcie stanowiska śród państw, biorących udział w pracy cywilizacyjnej. Pokazało się, że owe rzekome reformy liberalne, które zaznaczyły pierwsze panowania Aleksandra II lata, nie miały znaczenia głębszego. Były to złudzenia optyczne, sztucznie urządzane miraże dla reklamy, dla zapewnienia Rosji kredytu w Europie.

Racje te, podawane przez nas celem wykazania nieprzydatności Rosji w dziele wyzwolenia Słowiańszczyzny, ks. biskup uznawał, uznając jednak, nie wątpił w skuteczność wpływów zachodnich, działających powolnie lecz stale. Na dowód wska-

zywał decembrzystów, oraz objawy liberalizmu w literaturze rosyjskiej współczesnej.

— Taki Hercen, taki Turgeniew świadczą, że myśl rosyjska pracuje, jak pracowały myśli narodów przodujących cywilizacyjnie, Francuzów, Anglików, Niemców.

W opinji Strossmayera co do Rosji przebijała się wiara Kościoła katolickiego w nawrócenie Moskali. Przyszło mi na myśl posługiwanie się w celu tym Polską przez kurję rzymską i narażenie przez to Polski na wojny domowe, które jej upadek spowodowały. Wspomniałem o tem, dodając:

— Stolica Apostolska wzięła sobie Polskę za narzędzie, które zepsuła.

Na to otrzymałem odpowiedź, że:

— Co do Polski, historja o niej nie wyrzekła jeszcze słowa ostatniego. Co się zaś Stolicy Apostolskiej tyczy, ma ona obowiązek i prawo rozwiązywania ciążących na niej zadań zapomocą narzędzi, jakie jej pod rękę wpadają.

— I psucie ich? — zapytałem, wyczuwszy klerykalizm w wyrazach powyższych.

— Niezbadane są wyroki Boże.

Wyrazy ostatnie bardziej jeszcze klerykała zdradziły. Zareplikowałem przeto, że car, będąc taksamo głową Kościoła jak papież i taksamo samowładnym, nie zechce się ani papieżowi poddać, ani z nim władzę podzielić. Wszak

Car jest papież z boskiego ramienia,
Pan samowładny wiary i sumienia.

Wierzy w to mocno sześćdziesiąt miljonów prawosławnych.

— Zachodzi pytanie — odparł Strossmayer —, czy samowładztwo carskie utrzyma się tak długo, jak się trzymało królewskie we Francji naprzykład?

A wracając do Polski, dodał, że:

— Narzędzie to nie zmarnowało się jednak. Czego nie dokonała unja florencka, to zrobiła brzeska: wbiła się w prawosławie klinem, który je prędzej-później rozsadzi.

O unji było mowy dużo. Strossmayer wyznawał się gorącym jej zwolennikiem i za złe miał Polsce, że nie umiała jej ani u siebie stanowczo wprowadzić, ani od matactw zagranicznych (moskiewskich) skutecznie bronić.

— Bronili jej jezuici — wtrąciłem.

Wywiązała się stąd rozmowa o jezuitach, o ich szkodliwym w losach Polski udziale. O ile przypominam sobie, miękko w obronie sławnego zakonu tego biskup diakowarski stawał.

Konferencje z nim poranne, pod osłoną drzew gałęzistych parku tiuleryjskiego, powtórzyły się razy dwa czy trzy, raz bez Fricza. Znaczenia jakiegoś donioślejszego, politycznego np., nie miały one żadnego. Można je chyba podejrzewać o znaczenie naukowe, o chęć ze strony gorliwego w Kroacji szerzyciela oświaty poinformowania się o rzeczach polskich u jednego z literatów wybitniejszych, a demokraty wyraźnego. Musiał mnie przed nim Fricz ogadać.

To, com o konferencjach z nim opowiedział, wysnułem wprost ze wspomnień sprzed lat trzydziestu ośmiu, — ze wspomnień, obwiniętych we wrażenie, jakie się w pamięci mojej wyryło. A wyryło się mocno raz dlatego, że za rylec w tym razie służy znakomitość interlokutora (ze znakomitości w tym rodzaju, z któremim się w życiu mojem wdawał, był jeden chyba Lelewel), po wtóre dlatego, że ciągu wspomnień tych nic nie przerywa i nic się do nich obcego nie wtrąca.

Poza Paryżem nie miałem z nim żadnych a żadnych stosunków, ani osobistych, ani listowych. Raz jeden pisałem do niego roku, zdaje się, 1879, polecając mu jadącego z Algeru, po wzięciu dymisji z legjonu zagranicznego Świętorzeckiego, który zamierzał Słowiańszczyznę południową zwiedzić i na niej dla Polski pracować, alem na list ten odpowiedzi nie otrzymał. Wątpię nawet, ażeby list mój rąk Strossmayera doszedł, albowiem Świętorzecki, mimo obietnicy, ani o bytności u niego, ani o podróży na Słowiańszczyźnie mnie nie zawiadomił. Dowiedziałem się później zboku, że w Wenecji zamieszkał, jeszcze zaś później, z przysłanej mi przez niego godłami książęcemi przyozdobionej ferparki [1], o ślubie córki jego z Prozorem i — z dzienników — o wspaniałem w Wenecji dla młodej pary wyprawionem weselu. Po weselu tem w lat kilka niespodzianie w sposób smutny życie zakończył [2].

[1] Zawiadomienie, z franc. *faire part.*

[2] Zięć jego posiadał rozległe dobra na Wołyniu i na Litwie; córka znaczną po matce i babce odziedziczyła fortunę. Majątek państwa młodych był duży w całem tego wyrazu znaczeniu. Po owładnięciu nim tak

Opyt o Strossmayerze w odniesieniu do osoby mojej trafił mi się w r. 1894 we Lwowie, na wystawie kościuszkowskiej. Zeszedłem się tam z Bronisławem Grabowskim, słowianofilem gorącym, który na rok przedtem listownie zaproponował mi był wspólną po Słowiańszczyźnie południowej podróż. Propozycji tej przyjąć nie mogłem. Nie pomnę, w którem piśmie warszawskiem z podróży tej sprawozdanie czytałem i wyczytałem opis bytności B. Grabowskiego w Diakowarze u biskupa. Spotkawszy się więc z autorem opisu, zapytałem go o tego ostatniego.

— A, pytał o pana — była odpowiedź. — O pana, o Kraszewskiego...

Odpowiedź Grabowskiego dała mi do poznania, że Strossmayer wprawdzie pamiętał o mnie, lecz pamiętanie jego nie miało w sobie tego akcentu zażyłości, jaka się była pomiędzy nami urobiła pod konarami ogrodu tiuleryjskiego. Może akcentu tego Grabowski oddać nie umiał. A może... Czy to wiedzieć można? *Tempora mutantur et nos in illis.* Od roku 1867 do momentu, w którym mnie wieść o śmierci biskupa diakowarskiego doszła, pisma i posłuchy dawały mi o nim wiadomości. Cześć moja dla szczepiciela i szerzyciela oświaty w świecie serbskim nie słabła, powzięte w pierwszym poznania się z nim dniu uznanie dla pedagoga nie ustawało, miałem mu jednak i mam za złe tolerowanie, czy też pobłażanie, jeżeli nie uznawanie, w Słowianach południowych, w Czechach, Morawianach, Słowakach, przejmowania się polityczną w Rosję wiarą. Był to błąd we względzie zarówno politycznym, jak etycznym. Zaborcze Rosji powodzenia wyzwały w kierunku tym spółzawodnictwo na morzu, na lądzie. Na morzu górę wzięła Anglja, drażniła dopiero Rosję (na Dalekim Wschodzie), na którym ta ostatnia potrafiła już zająć stanowisko, zagartując w sposób przyjacielski (?) kraj przyamurski. Na lądzie Prusy spróbowały już szczęścia z Austrją, z którą spólnie ograbiły Danję i którą następnie wyrzuciły z Rzeszy, obławiając się kosztem tej ostatniej i zajmując w niej posiadaną do r. 1866 przez Austrję

się urządzili, że go w przeciągu lat kilku z dymem puścili na zbytki najmarniejsze. Świętorzeckiego nietyle strata majątku, ile to, że dobra ziemskie w ręce Moskali przeszły (działo się to za panowania Aleksandra III), tak zabolało, że życie sobie odebrał. (Nota T. T. Jeża).

hegemonję. W przysposabianiach się tych do wojny z Francją spółzawodnicze naśladowanie zaborczych procederów rosyjskich w oczy się rzuca. Zaborczość taka, na język potoczny przetłumaczona, znaczy rozbój. Wprowadzony do polityki r. 1772, reguluje on odtąd działalność polityczną. Przyczyniła się do tego mocno — coprawda — gospodarka Napoleona I. Bądźcobądź potakiwanie Słowianom garnięcia się pod skrzydła rosyjskie było dawaniem im Rosji za wzór, — wzór, który oni w swoich na przyszłość widokach naśladowali i naśladują. Niesposób, ażeby Strossmayer nie widział szkodliwości w kierunku tym. Czy mu zapobiec nie mógł?

Wiedząc o tem, a czcząc go dla zasług ojczyźnie oddanych, drogą polityczną nie szedłbym ani pod nim, ani z nim.

Znajomość z nim pozostała we wspomnieniach moich jako zdarzenie nadzwyczajne, przeze mnie nieszukane [1].

Wypadki? Napisawszy wyraz ten, przypomniałem sobie wypadek, jaki się mnie przytrafił, wypadek zabawny w odniesieniu do osoby mojej, która w kwitnącej młodości swojej nie cieszyła się tak zwanem „szczęściem do kobiet". Natura wprawdzie nie obdarzyła mnie uderzającą pięknością męską, ale i nie upośledziła. Rodzaj panieński cokolwiek uwagi na mnie zwracał. W odniesieniu atoli do „szczęścia", o którem mowa, nie o ten rodzaj chodzi. Do rodzaju kobiecego dziewczyna wprawdzie należy, ale dziewczyna kobietą nie jest jeszcze, staje się nią po wyjściu zamąż dopiero. Owóż szczęście — przepraszam — o mało nie spłodziłem kłamstwa, pisząc: „spadło". Nie, nie spadło; mogło spaść, gdybym po nie sięgnąć był umiał, gdyby naturę moją zalecał bądźto przebojem idący donżuanizm, bądź też odpowiednio upozorowany romantyzm. Nieobecność w niej dwóch tych przymiotów i wynikających z nich dążeń to sprawiło, żem nie osiągnął powyżej określonego „szczęścia".

Szczęście to było się na mnie rzuciło. A to tak:

Idę sobie ja, myśląc o czemeś — może o korespondencji do *Kłosów* —, dochodzę do mostu i gdy na most wchodzę, równocześnie ze mną na tenże most wjeżdża fiakier. Byłbym nań nie

[1] W dalszym ciągu opowiada T. T. Jeż o spotkaniu się z J. I. Kraszewskim na wystawie paryskiej. Ustęp ten opuszczono, gdyż opowiadanie to powtarza się obszerniej na stronach następnych.

zważał, gdyby się był nie zatrzymał i z niego nię wysiadł — kto? — Rettel. Dla Rettla samego, mego naówczas w redagowanej przeze mnie *Niepodległości* spółpracownika (w sekrecie, ponieważ jako towiańczykowi pokora nie pozwalała bawić się próżnością pisarską), byłbym stanął. Po jego atoli wygramoleniu się z „dryndy“ (fiakry paryskie w zupełności na nazwę tę przed laty zasługiwały) wyskoczyła, ku zdziwieniu memu, dama strojna, wyprzedziła go i z impetem w objęcia mnie pochwyciła. Na ulicy, w Paryżu, napaść podobna należy do kategorji wypadków. Na szczęście tak się zdarzyło, że rzadkość w momencie tym przechodniów nie wywołała zbiegowiska. Uścisk niewiasty nieznajomej, uścisku jej miękkość i ciepło, bijąca od niej woń, odurzyły mnie. Musiało to trwać niedługo, może i całus mi się dostał, tego nie pamiętam. Zdziwienie stłumiło fakty. Uwolniony z uścisku, usłyszałem wyrazy:

— Jakaż ja szczęśliwa! Jaka ja szczęśliwa!

— Pani! — odrzekłem wzruszony, nie tem atoli wzruszeniem, którego się domyślać można, ale takiem, jakie sprowadza niezwyczajność wypadku wszelaka.

Ona szczęście swoje głosiła, ja zaś powtarzałem wyraz „pani!“.

Po chwilce obejrzałem się i ujrzałem Rettla, patrzącego na nas z drwiącym na ustach uśmieszkiem.

Rettel niby zimną wodą na damę bryznął, odezwawszy się do niej:

— Ależ na nas pora.

— Ach! prawda — odparła z niejakim w głosie ambarasem. — Możemy jednak przejść przez most razem.

Fiakier ruszył powoli; myśmy szli we troje. Obejrzałem napastnicę zdołu dogóry i znalazłem w niej kobietę słuszną, szykownie zbudowaną, bardzo przystojną, będącą we wieku, noszącym nazwę „drugiej młodości“.

W ciągu przechadzki przez most zabraliśmy znajomość ze sobą, — znajomość osobistą, inaczej bowiem nie byliśmy sobie nieznani: ona znała T. T. Jeża, autora powieści z ochotą czytanych; mnie obcym nie był autor *Starej panny*, *Oksany* i innych, po czasopismach polskich drukowanych, mniejszych i większych utworów pod imieniem Zbigniewa, osłaniającem nazwisko Marji z Brzezinów Sadowskiej, pisarki znakomitej.

Po przejściu przez most nastąpiło rozstanie się, poprzedzone wystosowaną do mnie przez koleżankę prośbą, w następujący wymotywowaną sposób:

— Umówiliśmy się z panem Wacławem, że on, pan Rettel i ja, razem u mnie zjemy śniadanie. Czyby pan nie raczył z nami śniadanie podzielić?

Nie pamiętam, czy miało to być nazajutrz, czy później; pamiętam jeno, że mi nic do przyjęcia zaprosin tych nie przeszkadzało. Stawiłem się przeto w godzinie śniadaniowej w zamieszkiwanym przez panią Sadowską na Batinjolach hotelu. Czwarty spółbiesiadnik jawił się w osobie znanego mi dobrze Wacława Przybylskiego.

Przybylski wyprawiał mnie w r. 1864 do Szwecji, a wyprawił do Serbji; w r. 1866 przenosiny moje z Belgradu, zamiast do jednego z miast szwajcarskich, skierował do Brukseli, i oto w niespełna rok później spotkałem się z nim znów w Paryżu, raz pierwszy jako z komisarzem Rządu Narodowego, raz wtóry jako z członkiem świty sułtańskiej.

Jaką on w świcie tej pełnił funkcję, nie wiedziałem i nie wiem [1], nie pytałem go o to. Sądząc po humorze, jaki mu służył, musiało to być stanowisko conajmniej dochodne; co się bowiem zaszczytności tyczy, ta rzadko bardzo w służbie sułtańskiej wątpliwą nie jest. Przykład W. Kościelskiego jaskrawo w materji tej świadczył. Władcy islamu „niewiernych“ używają do usług poniżających ludzi. Wolałem przeto nie dowiadywać się o roli, jaką Przybylski w świcie sułtana odegrywał, rzadkom się z nim schodził i — jak się zdaje — unikaliśmy siebie obydwa. Przy śniadaniu u pani M. Sadowskiej opowiedział nam zabawną, jaka go spotkała, przygodę. Po przyjeździe sułtana rozeszła się po Paryżu wieść o wielkiej ilości orderów tureckich, jakie on ze sobą przywiózł. Wieść ta zaintrygowała Paryżanów, łakomych, jak wogóle Francuzi, na oznaki honorowe. Dopytywali się o drogi i sposoby, w jakieby się dało piersi niemi przyozdobić sobie, i zasłyszeli o jednym z członków świty sułtańskiej, mającym jakoby w posiadaniu swojem wielką skrzynię,

[1] Wacław Przybylski był urzędnikiem Polskiego Biura Korespondencyjnego, prowadzonego za pieniądze tureckie w Konstantynopolu przez T. O. Orzechowskiego. W świcie sułtana w Paryżu był jako pośrednik między prasą francuską a Portą.

napełnioną orderami i dyplomami... do nabycia. Wieść ta posłużyła za nitkę, która doprowadziła do kłębka. Kłębek ukazał się pod postacią Wacława Przybylskiego. Odkrycie to stało się powodem nachodzenia go przez Francuzów w ilości ogromnej. Drzwi jego się nie zamykały. Rady sobie dać nie mógł. Nadaremnie zaręczał, że to nieprawda, że żadnej z orderami skrzyni w posiadaniu swojem nie ma i o niczem podobnem nie słyszał. Solicytorzy spokoju mu nie dawali i wkońcu zmusili go do wyprowadzenia się z hotelu i zamieszkania pod nazwiskiem zmienionem w innym, w dzielnicy Paryża oddalonej. O ile sobie przypominam, nie spotkałem się już z nim w Paryżu w czasie wystawy, po wystawie zaś, w lat kilka później, doszła mnie wiadomość o śmierci jego w szpitalu, w Bukareszcie, spowodowanej chorobą zwaną rozmiękczeniem mózgu. Zeszedł ze świata w sile wieku. Był to człowiek wykształcony, dużemi od natury obdarzony zdolnościami, rzutki, pomysłowy, uzdolniony do oddawania usług w sprawach publicznych, posiadał bowiem przymiot wchodzenia przez okna, gdzie wejść nie mógł przeze drzwi, lecz... przymiot ów podobno wprowadził go na drogi, na które wkraczać był nie powinien. Drogą tego rodzaju była służba dworska u sułtana. Może go ona do grobu wpędziła.

Z panią Sadowską zeszedłem się w czasie wystawy razy kilka. Najprzód po śniadaniu, po którem Przybylski nas pożegnał, spędziłem z nią i z Rettlem godzin parę we fiakrze, na spacerze pośniadaniowym. Spaceru takiego — zdaniem Rettla — chciał jakoby zwyczaj francuski. Spacer ów w pamięci mi pozostaje spowodu nagłego przerwania dyskusji, jaka się pomiędzy nami w ciągu onego była zawiązała. Wywołała ją czyjaś wzmianka o Słowackim, któremu zaszczytu spółzawodniczenia z Mickiewiczem Rettel przyznawać nie chciał. Siedząc przed nami i zdradzając lekkie podchmielenie, zapalał się, głos podnosił i szczególnie na Słowackiego, jako znawca literatury hiszpańskiej, oburzał się za tłumaczenie *Księcia Niezłomnego*.

— Cóż to jest!? — wykrzykiwał, wymachując rękami. — To fałszerstwo, nie tłumaczenie! To zbrodnia, za którą się na galery idzie! W tłumaczeniu Słowackiego niemasz śladu Calderona... Tak tłumaczyć lada kiep potrafi. Porównajcie, proszę was, tłumaczenie Słowackiego *Księcia Niezłomnego* z tłumacze-

niem Mickiewicza *Giaura*. To mi tłumaczenie. A to... co? Jabym za nie Słowackiego... Jabym! jabym! ja... bym... go...

Ręce wyciągnął. Pięści zaciskał. I nagle umilkł. Ręce mu opadły. Głowa zwisła — usnął. W chwilkę później — chrapał.

Ubawiło nas to.

Rozmowa dalsza, podczas kiedyśmy objeżdżali Lasek Buloński i przylegające doń przedmieścia paryskie, toczyła się pomiędzy nami półgłosem.

Przejażdżka przeciągnęła się dla niezbudzenia śpiącego. Gdy się zbudził, odsapnął, na nas zukosa z sennem w oczach zdziwieniem popatrzył. Zapytałem go:

— Co ci się śniło?

— Przepraszam państwa — odrzekł. — Ale... to... tego...

— W sen cię wprawiło oburzenie — przerywając mu przepraszanie, odezwałem się.

— Oburzenie!.. I na cóż to? — odparł.

— Nie na co, ale na kogo.

— Na kogo?

— Na Słowackiego.

— Na Słowackiego?! Za co?

— Za jego tłumaczenie.

— Hm... Tłumaczenie?

— *Księcia Niezłomnego*.

— Skądże ci *Książę Niezłomny* na język się przyplątał?

Sporo jeszcze było zapytań z jego, odpowiedzi z mojej strony, zanim się dowiedział o dyskusji i o sposobie, w jaki ją przeprowadził. Dowiedziawszy się, poweselał, żartował z siebie i z ludzi, opowiadał anegdoty o Mickiewiczu, Słowackim i innych znakomitościach emigracyjnych.

Nie przypominam sobie, gdzie i jak się spacer ów zakończył.

Z panią M. Sadowską miałem kilka schadzek umówionych, niegdzieindziej tylko na wystawie. Raz spożywaliśmy razem śniadanie, przy którem z jej strony nastąpiła interpelacja polityczna, tycząca się sprawy polskiej. Użalała się we względzie tym na bezczynność i dawała mi do poznania, że kwestję tę nie we własnem tylko poruszała imieniu, świadcząc się Kornelem Ujejskim, u którego w gościnie czas jakiś spędziła. Kornela wysoko jako poetę, Polaka, patrjotę jaknajlepszemi przepeł-

nionego chęciami, ceniłem, ale — dzięki bliskiej z nim znajomości — miałem go wyłącznie za poetę, powołanego do wieszczenia, nie do działania. Tę przeto w materji politycznej rozmowę toczyłem, jak się toczą rozmowy towarzyskie poważne, niewykraczające poza ramy rozmówne. Pani M. Sadowska zainteresowała mnie. Poglądy jej wykazały mi w niej pisarkę utalentowaną, hołdującą idei, nie frazesowi, i jako taka mogącą na społeczeństwo dodatnie wywierać wpływy. Jako na taką zagiąłem był nawet parol, zamierzając użytkować ją dla pisma, które wówczas redagowałem. W piśmie tem w charakterze spółpracownika bezimiennego pomagał mi Rettel, któremu, jako towiańczykowi, nie wolno było brać w publicystyce udziału: czemuż pomagać nie miała i ona, towianizmu niewyznająca?

Zapytanie to pozostawić muszę bez odpowiedzi, jakbym bez odpowiedzi pozostawić musiał zapytanie o dalsze moje z panią M. Sadowską stosunki. Urwały się one bez żadnej racji. Któreś ze spotkań z nią na wystawie było ostatniem. I na tem się skończyło. Nie spotkałem się z nią nigdy w życiu więcej. Znikła dla mnie, znikła — cobardziej — dla literatury, pomimo że Paryża, jakem się później dowiedział, nie opuszczała[1].

Później, dużo później, dowiedziałem się o niej rzeczy... przerażających. Upadła, w rynsztokach społecznych życia dokonała. Na czemeś, a może na kimeś, ciąży chyba wina i za jej upadek, i za to, że się dla niej ratunek nie znalazł. Bądźcobądź jest ona jednym z wybitniejszych wpływów kulturalnych okazem, — wpływów, które ją zaprowadzić mogły na wyżyny, a doprowadziły do... rynsztoka. Za upadek Sadowskiej odpowiedzialność zwalićby można na płeć jej, gdyby upadkowi podobnemu nie podlegali i mężczyźni. Tylko, że tym ostatnim to uchodzi.

Żal tej kobiety. Co jednak żale pomogą!

Wystawa wrzała. Dla oglądania jej zjeżdżali się z całej kuli ziemskiej ludzie, a śród nich gromad człowieczych, w ramy państwowe ujętych, przewodnicy wszelkiego kalibru, monarchowie, goście cesarza Francuzów, Napoleona III. O jednym z gości, o sułtanie tureckim, wspomniałem. Wspomnę później o drugim obszerniej nieco, pomimo że mnie wszyscy oni mało obcho-

---

[1] Maria Brzezina (Sadowska), powieściopisarka, ur. 1835, uległa około r. 1867 chorobie umysłowej.

dzili. Więcej niż oni obchodził mnie Kraszewski, spowodu że na porządku dziennym znajdowała się sprawa obsadzenia w Krakowie katedry literatury polskiej. Prasa polska rozpisywała się o kandydatach, śród których figurowało nazwisko Kraszewskiego i innych kilku, a między nimi nazwisko Stanisława hr. Tarnowskiego, popieranego mocno przez arystokrację. Popieranie to nie niepokoiłoby mnie, gdybym nie wiedział, że arystokracja nie uwzględnia nauki niepodszytej przekonaniami religijnemi i politycznemi, dogadzającemi zajmowanemu przez nią w społeczeństwie stanowisku. Nadto Tarnowski był *homo novus*. W r. 1863 wziął udział w powstaniu, za co go Austrjacy więzili, po wyjściu z więzienia założył w Krakowie pismo w duchu, który już przed r. 1867 zapowiadał narzucanie Polsce zgody z losem. Nie było to dla uniwersytetu, który wypadki powołały do oczyszczenia nauki ze rdzy austrjackiej, wróżbą dobrą. Ze względu na to bardzo mnie w momencie owym Uniwersytet Krakowski obchodził.

Spośród kandydatów dwaj się na czoło wysuwali, z tych jeden rzeczywiście poważny, którym był Kraszewski. Nie posiadał on wprawdzie stopni akademickich, ale posiadał wiedzę, której dowody złożył w pracach, świadczących nietylko o talencie literackim, ale i o znajomości literatury, znajomości nie mechanicznej, pamięciowej, spólnej zdobywcom dyplomów doktorskich, otrzymywanych zapomocą mniejwięcej świetnej obrony tez, budowanych wedle skazówek podręczników naukowych, lecz samodzielnej, będącej wynikiem wgłębiania się myślowo, intuicyjnie, twórczo, w tajniki umysłowych i moralnych, z estetyką skojarzonych, kulturalnych potrzeb narodowych. Nawskróś poeta, artysta, ulegał jako taki wrażeniom w momentach wulkanicznych wstrząśnień narodowych, co świadczyło, że artyzm nie pozbawił mózgu jego pojęć, nie wyziębiał w sercu uczuć obywatelskich, nie był jednym z tych, coby z niego na katedrze zrobił Austrjaka pochodzenia polskiego, i nie przeszkadzałby mu wmyślać się i wczuwać w dzieje piśmiennictwa polskiego od najwcześniejszego zarania jego przez ciąg wieków. Ten był powód, dla którego gorąco pragnąłem, ażeby nie kto inny jeno on literaturę polską w Krakowie wykładał. Z racji tej dowiadywałem się o niego, czatowałem na niego.

Wypatrzyłem go też.

Oprowadzając po wystawie jednego z patronów moich, S. Lewentala, wydawcę *Kłosów*, które w sprawozdania z wystawy zaopatrywałem, w jednej z sal nagle zoczyłem Kraszewskiego. Szedł opodał w towarzystwie młodziutkiego jakiegoś blondyna. Widok ten wyzuł mnie naraz z grzeczności zarówno względem tak patrona, jak Kraszewskiego. Rzuciłem bez ceremonji pierwszego i poskoczyłem ku drugiemu, zachodząc mu stylu i wsuwając nagle moją rękę prawą pod jego ramię lewe. W przewidywaniu, że się mi wyrwać zechce, ująłem go mocno. Przewidywanie moje stąd pochodziło, że miałem z nim, a raczej on miał ze mną, na pieńku spowodu napisanej przeze mnie a ogłoszonej nie pomnę w którem piśmie polskiem, bodaj czy nie w *Niepodległości*, recenzji, może trochę za ostrej, opinji, jaką w wydawanym przez siebie w Dreznie Przeglądzie rzeczy polskich w kraju[1] wyraził o Galicji, odsądzając ją niemal od czci i wiary. Sąd jego, o ile tyczył zaznaczonej przezeń słabości szlachty galicyjskiej do złotych kołnierzy i tytułów, znajdowałem słusznym; odnoszenie go atoli do ogółu inteligencji wydało się mi niesprawiedliwem. Ton, w jaki niesprawiedliwość skarciłem, mógł go, należącego do kategorji śmiertelników stanowiących *genus irritabile*, mógł go dotknąć i rozżalić. Co też nastąpiło. W sposobie, w jaki mnie powitał, czułem, że nie wita się ze mną Kraszewski z pierwszego zimą r. 1864 w Paryżu poznania się, ani też Kraszewski z Drezna w tymże roku. Właściwie nie witaliśmy się wcale. Nie dałem ani sobie, ani jemu na to czasu, rzucając się niemal na niego z zapytaniem:

— Czy to prawda, że wam katedrę literatury polskiej w Krakowie ofiarują?

— Prawda — odpowiedział z namysłem niejakim.

— Rzecz prosta: przyjmujecie.

— Nie wiem jeszcze... nie wiem. Waham się.

— Czemu? — zagadnąłem ostro.

— Bo to... to... to mnie od pracy odciągnie.

— Od jakiej? Od literackiej, beletrystycznej... i to nie na długo: na lat trzy, cztery, to jest na czasu tyle, ile wam będzie potrzeba do wciągnięcia się w wykłady. Po wciągnięciu się, dalsza na polu literackiem produkcja będzie zależała od rozkładu

[1] Mowa o *Rachunkach*; rocznik I (za r. 1866) ukazał się 1867 r.

godzin. Przecież w sposób ten pracujecie obecnie, nie zaniedbując tworzenia literackiego dla studjów naukowych, ani studjów dla tworzenia. Równocześnie z powieściami waszemi czytaliśmy wasze *Studja literackie* i *Studja nowe literackie* [1], badania dziejów litewskich [2] i inne, i inne badań waszych owoce. I czasu i sił starczyło wam na jedne i drugie. Czemużby starczyć ich obok katedry nie miało?

— Do studjów tych nic mnie nie zobowiązywało. Katedra na mnie więzy włoży.

— Sądzę — podchwyciłem — że w sprawie tej przedewszystkiem uwzględniać należy obowiązki obywatelskie, do których wiem, że się poczuwacie. A obowiązki te wymagać od was mają prawo i poświęcenia nawet.

Widocznie mu do przekonania trafiłem, zamilkł i głowę lekko pochylił. Szliśmy czas jakiś obydwa w milczeniu. Milczenie przerwał Kraszewski.

— Pomyślę — rzekł, i dodał tonem takim, jakby sam do siebie mówił: — Czy i jak poradzę sobie z pierwocinami literatury polskiej? z poczęciem jej w łonie narodu, które trwało wieki i wieki? Jak wyszukam tego ducha świętego, co Polskę słowem zapłodnił?

— Poradzicie sobie, jak radził Mickiewicz — odrzekłem —, który, ani trochę lepiej od was przygotowany, wziął się do wykładania historji literatury.

We zwróconem na mnie w chwili tej wejrzeniu Kraszewskiego wyczytałem zapytanie, na które należało odpowiedzieć prędko i stanowczo. Odpowiedziałem tak:

— Możecie się nawet z zadania historycznego w zakresie literatury lepiej aniżeli Mickiewicz wywiązać, zapatrując się racjonalniej niż on na młodość. Mickiewicz napisał *Odę do młodości*, rzecz przepiękną, arcydzieło, ale jest to wydmuch artystyczny, nadający młodości moc „łamania, czego rozum nie złamie“, moc niebezpieczną, bo powołującą ją do łamania i łamania bez miary i końca, bez względu na to, że i ona się starzeje i że ją, jak szyldwach szyldwacha, młodość w pokoleniu następnem zmieni. W utworach pewnego poety jedna z pieśni napisanego przezeń poematu zaczyna się od wyrazów:

---

[1] Wydane w Wilnie w l. 1842—3.

[2] *Litwa*, Warszawa 1847—50.

O, wieku młody! tyś wiosną człowieka.
Na tobie ziarno przyszłości on sieje
Twojem on życiem resztę wieku żyje

Mickiewicz ziarnem *Ody* żył resztę życia i ziarno to wydało owoce: zrazu *Konrada Wallenroda* i *Do matki Polki*, następnie Improwizację w więzieniu Konrada (wcielającego w siebie naród polski w przeszłych i przyszłych jego pokoleniach, cierpiącego za miljony i oskarżającego Boga o caryzm), dalej: towiańczyka, improwizatora na katedrze literatury słowiańskiej w Collège de France, nawróciciela na chrześcijanizm papieża, organizatora legjonu w sile 16 bojowników, wreszcie poszukiwacza Polski w Turcji, w szeregach kozactwa sułtańskiego pod dowództwem Sadyka Paszy. Autor *Witoloraudy*, gdyby objął w Krakowie katedrę literatury polskiej, na literaturę patrzałby jako na wytwór narodu, w którego duszy, w młodocianych latach jego, spoczywały zarodki jej, ziarna przezeń siane. Autor *Witoloraudy*, jako profesor literatury, w duszę narodu zapuściłby sondę psychologiczną i, poza rogatkami kultury łacińskiej, odszukiwał jedne po drugich ziarenka, z których się w wieku z XV na XVI wykluła piśmienna literatura polska. Czyby je odszukał, nie wiem; to pewne, iżby odszukiwaczy wywołał, wytworzył. Czy do tego się wziąść nie warto? co?

Musiałem być wymownym. Zapytanie ostatnie wywołało we mnie odruch, który mnie przed Kraszewskim frontem postawił, zmuszając go do zatrzymania się przede mną, popatrzenia mi w oczy i powiedzenia:

— Tak, to prawda, więc: katedrę przyjmę.

— Słowo? — i dłoń mu do uścisku podałem.

— Słowo! — odrzekł z przyciskiem.

Podaliśmy sobie dłonie i rozstaliśmy się tak, jakeśmy się przed trzema laty w marcu w Dreznie rozstawali.

Pewny byłem Kraszewskiego w Uniwersytecie Krakowskim profesury. Przekonałem się — niestety — że niemasz pewności, któraby zawodną nie była.

Odpowiedzialności za zawód nie śmiem na niego zwalać. Może niedotrzymanie mi słowa sprawiły niezależne od niego powody?

ROZDZIAŁ XXIII

O ADAMIE MICKIEWICZU — WYSTAWY PARYSKIEJ CIĄG DALSZY[1]

W poprzednich pamiętników moich rozdziałach razy kilka wspomniałem o Mickiewiczu, jakoteż o powodach, dla których mu, wielbionemu przeze mnie poecie, hołdu wzorem innych nie złożyłem. Rozdział niniejszy piszę po zaznaczeniu wspomnienia o tym wieszczu naszym, jako o profesorze w Collège de France, celem przekonania Kraszewskiego o potrzebie przyjęcia ofiarowanej mu w Uniwersytecie Krakowskim profesury. To ostatnie wspomnienie uzupełnić winienem, wyjaśniając stanowisko, jakie Mickiewicz w emigracji z r. 1831 zajmował, i prostując błędne we względzie tym sądy o nim i o emigracji, przepełniające naukowe i nienaukowe piśmiennictwo nasze.

W narodzie naszym, bardziej aniżeli w innych, wielkość genjalnością nacechowana uderza [raczej] wyobraźnię niż rozum. We względzie tym uprzywilejowanym jest szczególnie artyzm. Wielkiego artystę bez zawahania się mianujemy wielkim człowiekiem. Wielkich w kategorji tej ludzi dały nam malarstwo, muzyka i aktorstwo, a także poezja. Sędziowie, w materji tej wyrokujący, słusznie czynią, sadzając na tronie wielkości człowieczej Matejków, Chopinów, Mickiewiczów — artystów pendzla, artystów tonu i artystów słowa; tych ostatnich najwyżej, albowiem posługują się oni materjałem najdelikatniejszym, najsubtelniejszym, plastycznym jak malarstwo, rzeźba, budownictwo, tonowym jak muzyka, śpiew, a przytem myślowym, wydobywanym z głębin duszy człowieczej, rozmaitej nieskończenie w przejawach i wymogach swoich, zależnie

[1] W autografie rozdział bez tytułu.

od układu komórek mózgowych wytwarzającego w duszy artyzm i nadającego jej ton i nastrój. Dusza artystyczna jest narzędziem bądź doskonałem, niby skrzypce Stradiwarjusa, bądź pospolitym, jako fujarka pastusza. Narzędziowy charakter posiada i dusza poetyczna.

Pozatem — poeta jest człowiekiem.

Wielki poeta rzadko bywa wielkim człowiekiem; bardzo rzadko, bardziej nawet niż rzadko.

Człowiekiem jest zawsze ze względu na rodzaj w szeregu stworzeń organicznych, ale w rodzaju swoim gatunkiem, artystą, ugatunkowującym się specjalizmem, polegającym na kierowaniu się wrażeniami. Uczeni są również specjalistami, niemogącymi, taksamo jak artyści, powiedzieć o sobie: *homines sumus, humani nihil a nos alienum putamus.* Jest w nich coś więcej czy mniej człowieczego. Pomiędzy uczonymi atoli a artystami ta zachodzi różnica, że uczonych cechujące ich specjalności pochłaniają całkowicie, nie dozwalając im z drogi raz wytkniętej zbaczać; artystom zaś wrażenia drogi nie wytykają, ciskają nimi w kierunkach często wręcz przeciwnych. Jednym zadania naukowe nadają stałość w pochodzie życiowym, drugich charakteryzuje zmienność w pochodzie rzekomo jednakim. Mickiewicz naprzykład — patrjotą był, i to jednym z najgorętszych, ale jakże rozmaicie patrjotyzm rozumiał i w czynie przejawiał! Świadczy we względzie tym chronologiczne utworów jego rozpatrzenie.

Słusznie o sobie powiedział, że patrjotyzm zaszczepiła w nim wiosna, — ta wiosna, którą „jedną miał w życiu". W przenośni retorycznej pod wyrazem „wiosna" rozumieć należy widok hufców wojennych, przeciągających pod wodzą Napoleona I przez Litwę na pokonanie głównego Polski wroga, Rosji. Mickiewicz, 24 grudnia r. 1798 urodzony, liczył wówczas lat czternaście niespełna, był dzieckiem nabożnem, jak wogóle w Polsce dzieci w czasach owych, i dzięki matce, która uzdrowienie jego przypisywała sprawie Matki Boskiej, umysłowo na ton mistyczny nastrojonem. Że widok niezliczonej mnogości żołnierstwa, przyodzianego różnobarwnie a błyszcząco, przystrojonego w pióropusze, kity, pasy, szarfy, prowadzącego ze sobą dział mnóstwo, konno i pieszo przy odgłosie trąb, bębnów i muzyk, jadącego i idącego pod sztandarami, na których spo-

śród układanych przez ruchy powietrzne fałdów przeglądały cesarskie złote i polskie białe orły, że widok ten na nabożne, mistycznie nastrojone i genjuszem poetycznym obdarzone dziecko potężne wywrzeć musiał wrażenie, to najmniejszej ulegać nie może wątpliwości.

I wrażenie to pierwotne, pod postacią patrjotyczno-mistycznej nici przewodniej, pozostało na zawsze, w działalności późniejszej, młodzieńczej i męskiej, przejawiającej się pod wpływem wrażeń pobocznych. Wpływy te mocno i wyraźnie zaznaczają się w twórczości poetycznej Mickiewicza, dozwalając podzielić ją na trzy epoki, które pozwolę sobie nazwać, jak następuje: epoka Gustawa (*Dziady* — część druga), epoka Konrada (*Dziady* — część trzecia), towianizm.

W epoce pierwszej, młodzieńczej, wrażenie pierwotne modyfikuje się pod wpływem wdzięczności za odczuwane mocniej na Litwie niż w Królestwie Kongresowem dobrodziejstwa (?), zlewane na Polskę przez Aleksandra I. Odczuwać się one dały niezwłocznie po wielkiej wojnie, która się mocno Litwie, nękanej przechodami rabowniczemi tam i napowrót napoleońskich i rosyjskich armij, w pamięć wgryzła, odbijając się od względności, okazywanej przez rząd zaborczy, zwłaszcza od momentu założenia w Wilnie uniwersytetu i powierzenia ks. Adamowi Czartoryskiemu czuwania nad oświatą w Krajach Zabranych (na Litwie i Rusi). Po r. 1815 wdzięczność owa wielkim rozgorzała płomieniem, widnym w napisanym przez Alojzego Felińskiego hymnie, zaczynającym się od wyrazów: „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki“, którego strofę każdą kończyła prośba modlitewna: „Ojczyznę, króla zachowaj nam, Panie“. Dziś zmiana „Króla[1] zachowaj“ na „wolność racz nam wrócić“ to sprawiła, że hymn, prawowierny niegdyś, uznanym został za zbrodniczy. O wdzięczności świadczą znanego mi autora, Antoniego Andrzejowskiego[2], botanika, *Ramoty starego*

---

[1] Którym się zamianował był car. (Nota T. T. Jeża).

[2] Andrzejowski A. w l. 1822—4 z domu ojca mego w Saracei nad Dniestrem, jako z głównej kwatery swojej, czynił wycieczki, celem gromadzenia okazów botanicznych do dzieła p. t. *Rys botaniczny krain pomiędzy Bohem a Dniestrem, od Zbrucza do morza Czarnego*. Poznałem go w r. 1842 w Niemirowie na Podolu, gdzie zamieszkał był dla edukacji dzieci. Był on jedną z ofiar prześladowań moskiewskich, srożących się za panowania

Detiuka, wspominające o czasach Liceum Krzemienieckiego. Mogę się jeszcze powołać i na ojca mego, tak wdzięcznością za pochodzące od Aleksandra I dobrodziejstwa (?) przejętego, że pierwszemu synowi swemu, zmarłemu przed mojem na świat przyjściem, dał na chrzcie imię zamianowanego przez „odnowiciela“ Polski wodzem naczelnym wojsk polskich brata jego, w. ks. Konstantego.

Wdzięczność ta, sięgająca w najdalsze ziem dawnej Rzeczypospolitej krańce, nie mogła nie udzielić się młodzieńcowi, noszącemu na czole dokonane przez naturę pomazanie poetyczne. Obijała się mu o słuch pod strzechą rodzinną, obijała się w szkole dominikańskiej w Nowogródku, spotkał się z nią w Wilnie, gdy w r. 1815 do uniwersytetu wstąpił. Wdzięczność nie zatarła wrażeniowych wspomnień wiosny „nadzieją brzemiennej“ i dlatego nie wynurzyła się w pierwszych Mickiewicza utworach. Do chłodzenia jej przyczyniło się niemało towarzystwo kolegów, którym moralnie przewodniczył młody człowiek, trzeźwiej niż inni na rzeczy patrzący i wysoką intelektualną posiadający wartość, Tomasz Zan. Pod wpływem takim nie zdobyłby się ani na hymny pod adresem „króla“, ani wzorem Detiuka na pochwały dla czynowników rangi wysokiej, dozorujących szkołę wyższą, przez Tadeusza Czackiego dla utrzymania ducha polskiego w ruskich dawnej Rzeczypospolitej Polskiej ziemiach założoną. Stąd w pierwocinach twórczości poetycznej Mickiewicza tendencja przebija, ale różnorodna, motyla, dotykająca przedmiotów lekkich, wesołych, miłostkowych, i obok tych — poważnych, dydaktycznych w stylu klasycznym, w sprawach zaś publicznych rażąco sprzeczna: lekceważąca rozum w *Odzie do młodości*, oddająca rozumowi hołd w *Do Joachima Lelewela*. *Pieśń Filaretów* mówi o nauce jako o środku służącym do ułatwienia i umilenia życia, nie wzmiankując o znanych zadaniach społecznych, tyczących się uregulowania na zasadach sprawiedliwości stosunku szlachty do ludu, których rozwiązanie stanowiło przedmiot rozważań filaretów i filomatów. Wogóle w całej pierwotnej produkcji poetycznej odczuwać się

Mikołaja I, pomimo że Moskali w *Ramotach* wychwala w osobach zwierzchników, czuwających nad edukacją publiczną w Krajach Zabranych przed r. 1831, w którym Liceum w Krzemieńcu istnieć przestało. (Nota T. T. Jeża). *Rys botaniczny* wyszedł drukiem w Wilnie 1823.

daje w Mickiewiczu szlachcic, niedbający o „czyny“, rangi, o krzyże, ordery:

Tyś szlachty syn, nie dbaj o czyn...
Poczciwie bij, a tęgo pij...

i nietroszczący się sprawami natury politycznej.

Sprawy te obchodziły go jednak, ponieważ znalazł się w liczbie podejrzanych i uwięzionych w sławnym procesie wileńskim, wynalezionym przez Nowosilcowa celem ochełznania wędzidłem carskiem młodzieży polskiej. W więzieniu, nie w teorji już ale w praktyce, oko w oko zeszedł się z patrjotyzmem, zaliczonym przez Gustawa do rodzaju kazań w ustępie (*Dziady* część czwarta), w którym on, opowiadając księdzu o pożegnaniu z kochanką, wyraża się „z ironją“ o usłyszanych z ust jej naukach:

Właśnie, właśnie to była do kazania pora...
Słyszałem od niej słówek piękno-brzmiących wiele:
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada.

Sprawy patrjotyczne Gustaw podporządkowywał sprawom erotycznym.

Zeszedł się z niemi, poznał je i... zwątpił.

Zwątpił pod wpływem wrażeń, jakie na wyobraźnię jego poetyczną wywarły: najprzód

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta,

na drodze, którą wprost z więzienia wieziono go kibitką, w towarzystwie żandarma z Wilna, na północ; następnie stolica, a w niej widok potęgi carskiej. Dzięki wrażeniom tym *Gustavus* nie *obiit M. D. CCC. XXIII, calendis novembris*, lecz dziewięć lat później. Więzienie w cień usunęło Marylę, tę Marylę, którą „jedną wybrał z tylu dziewic grona“. Zdala od Wilna i Kowna, w Petersburgu, dokąd go żandarm w kibitce zawiózł, w Odesie, Moskwie, znalazł się w gronach przedstawicielek płci nadobnej, w których wybierać było co. A w Rzymie? W stolicy chrześcijaństwa zwiedzał osobliwości pod przewodnictwem cicerona w postaci nadobnej i nieubogiej dziewczyny, nadającej się na zastąpienie Maryli.

Zachodzi tu pytanie: jakim on, we względzie zasadniczo-

przekonaniowym, r. 1830 w Rzymie się w towarzystwie polskiem jawił? Pytanie to tak postawić należy: czy on oddziałał na towarzystwo, czy towarzystwo, w sensie wyżej zaznaczonego „względu“, oddziałało na niego? Pytanie to jest kluczem do wyjaśnienia roli, jaką następnie Mickiewicz w emigracji polskiej odegrał.

Owoczesne w Rzymie towarzystwo polskie, z którem się zeszedł Mickiewicz, do którego ubocznie, niemogący mieć jeszcze do żadnych wpływów pretensji, wchodził dorywczo młodziutki Zygmunt Krasiński, składało się z grona, grupującego się około rodziny Ankwiczów, a uilustrowanego przez Henryka Rzewuskiego, posiadającego wysokie, dowcipem zaprawne przymioty towarzyskie. Grono to hołdowało bezwzględnie, pojmowanemu w sensie, jaki mu nadają rządy mocarstw, co Polskę rozebrały, lojalizmowi przesiąkniętemu mistycyzmem religijnym. Tego ostatniego pełnym, ponęt dziewiczych wrażenia ze siebie wydzielającym, był ów cicerone, domniemany Maryli zastępca.

Pomiędzy Marylą tamtą a tą duża jednak zachodziła różnica. Tamta Gustawowi wskazywała ojczyznę, sławę oraz inny, od ściany osypujący się, „groch“ i doprowadziła go do rozpaczy, do rozpaczy studenckiej, polegającej na „albo, albo“: — albo na wbiciu sobie sztyleta w serce, albo na ośpiewaniu rozpaczy swojej w tysiącu paruset wierszy na temat

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!

Student ów z rąk natury wyszedł artystą genjalnym, artystą słowa, uzdolnionym do wznoszenia z materjału tego, napozór nikłego, posiadającego jednak warunkowo trwałość niezużytą, budowli różniących się kształtem i przeznaczeniem: domów mieszkalnych, gmachów publicznych, świątyń, pomników, kiosków, altan, chatek i t. p., w stylu, rodzaju, uderzającym oryginalnością, rozmaitością i wdziękiem. Jako poeta poznać się dał przed ciosem wymierzonym mu przez Marylę. Cios spotęgował w nim twórczość poetyczną. Czas rany sercowe uleczył.

W ciągu lat piętnastu — od chwili wstąpienia do uniwersytetu (r. 1815) do rozgoszczenia się w Rzymie (1830) — koleje życia o charakterze sytuacyjnym wywieraly nań wrażenia od-

powiednie. Na śmiertelnika zwyczajnego nie oddziaływałyby one. Co do Mickiewicza, na każdym z jego utworów poznać się daje nastrój, w jakim się w danej chwili znajdował. Chwile rozciągały się w momenty dłuższe lub krótsze. Do momentów wrażenia na duszę poety wywierających należą: koleżeństwo uniwersyteckie; miłość dzierzgana barwą kwiecia doliny kowieńskiej; proces dający poznać istotę dobrodziejstw carskich; wystawa potęgi carstwa w Petersburgu, w połączeniu z artyzmem (Szymanowska muzyczka i pomnik Piotra Wielkiego) i z mistycyzmem (Oleszkiewicz); w Odesie towarzystwo zalotne; w Moskwie artyzm (księżna Wołkońska) i uznanie ze strony uczonych i literatów rosyjskich; podróż zagranicą w towarzystwie Odyńca, podróż, którą, wedle zdania o niej sprawy przez Odyńca sądząc, charakteryzował akcent mocno studencki. Niedziw. Mickiewicz liczył lat 31, Odyniec 25. Poetów młodość długo się trzyma, luboć i ludzie zwyczajni, co na ławach uniwersyteckich przesiadywali, nieodrazu się akcentu studenckiego pozbywają. W Mickiewiczu w Rzymie pokutował student, poeta-artysta genjalny.

Do Rzymu przybył Mickiewicz z bogatym — wyrażając się technicznie — „bagażem“ literackim, o genjuszu świadczącym. W niepozornych tomikach, rozchwytywanych przez czytelników, w rękopisach z tomików przepisywanych, w żywem słowie, głoszonem przez obdarzonych chwytną pamięcią miłośników harmonji mowy rytmicznej, przebijał się on zadziwiająco, zachwycająco, nakazująco, mistrzowsko, pod postacią raz młodocianego Prometeusza, zuchwałego, pewnego siebie, podejmującego się łamania „czego rozum nie złamie“ i dokonywującego przedsięwzięcia tego na pustyni arabskiej, przezwyciężając pokusy, prześcigając ptaki, obłoki i odnosząc wkońcu zwycięstwo nad „huraganem“, skutkiem czego „za myślą duszę utopił w niebie“; znów pod postacią zawiedzionego kochanka, który w rozpaczy życie sobie odebrał i po śmierci za karę obchodził miejsca, w których bywał za życia. Obok tych dwóch upostaciowań się — ileż genjusz ów, sprzodu, stylu, zboków, klejnotów mowy człowieczej śpiewanych, malowanych, rzeźbionych rozsypał! We wszystkiem tem wyznawał się przeważnie postępowcem, widzącym „słońce zbawienia“ ludzkości w doprowadzeniu do rozpryśnięcia „przesądów światło ćmiących“,

luboć nie braknie świadectw innych, takich np. jak: mistycyzm filozoficzno-poetyczny, szekspirowski, widzący prawdę nie w rozumie, ale „w sercu“ *(in my mind's eyes);* religijność zlekka poganizmem podszyta; powaga klasycznej pokrewna, znamionująca utwory w tonie dydaktycznym; artyzm czysty, zalecający ballady. sonety, pieśni, piosnki, artyzm humorystyczny, miłosny i miłostkowy, posuwany w miłostkowości do wyznań, nieuchodzących w towarzystwie przyzwoitem. Nie zaliczyłem do „bagażu“ tego utworów patrjotyzmem akcentowanych. Znajdzie się na nie miejsce poniżej trochę.

Rozpatrując się w twórczości Mickiewicza sprzed r. 1830, mimowolnie, po krytyce, jaka w r. 1905 spotkała Słowackiego, przychodzi uwaga, że gdyby się był znalazł jaki prawowiernego uniwersytetu profesor literatury polskiej, któryby się tak na Mickiewicza jak p. Tretiak na Słowackiego [1] naposiadł, w jakichże straszliwie czarnych barwach biedny Mickiewicz światuby się ukazał! A barw tych profesor ów nie gdzieindziejby szukać potrzebował, tylko we własnych Mickiewicza zeznaniach.

Przed potępieniem go we względzie prawomyślności i moralności — przed potępieniem surowszem nawet od tego, jakie ze strony p. Tretiaka spotkało autora *Kordjana*, któryto autor tego rodzaju wyroki przeczuwał, nie zasłoniłyby Mickiewicza utwory patrjotyzmem akcentowane — z wyjątkiem jednego chyba. Utworów z tego czasu okresu jest trzy: *Grażyna*, *Konrad Wallenrod* i *Do matki Polki*. Znamionują one patrjotyzm, ale, obok antylojalizmu, jałowy, a nawet szkodliwy. Dla usprawiedliwienia zdania tego rozpatrzmy się w nich pobieżnie.

Patrjotyzm w *Grażynie* przedstawia się pod postacią dwóch zdrad, raczej dwóch zgwałceń obowiązków: Litawora względem Witolda i Grażyny względem męża. Litawora zamiar był zdradą kwalifikowaną. Patrjotyzm rzeczywisty i wielki wyraził się czynem Grażyny, lecz słabo, przez niewiastę niezdolną należytych mieczem ciosów zadawać, nadawał się więc do uwielbiania, lecz nie do naśladowania, ani dla małżonek, ani dla patrjotek.

Poemat *Konrad Wallenrod* niesłusznie przez Rusina [2], wiel-

---

[1] Mowa o monografji Tretiaka J., *Juliusz Słowacki*. Kraków 1904; autorowi, jak wiadomo, zarzucano uprzedzenie wobec poety.

[2] Franko Iwan, *Ein Dichter des Verrathes* w wiedeńskiej *Neue Freie Presse* 1897.

biciela Chmielnickich, Doroszenków i t. p. bohaterów, nazwanym został „poematem zdrady“. Zasługuje on na nazwę poematu zemsty, a raczej odwetu. Udanie przez Litwina Niemca dla uzyskania władzy nad zakonem krzyżackim celem narażenia zakonu na klęskę, pozwalającą Alfowi, małżonkowi Aldony, pochwalić się czynem Samsona, było nie czem innem, jeno podstępem wojennym. Na naganę w czynie tym zasługuje to tylko, że się nie powiódł, że nie zniszczył źródeł potęgi krzyżackiej, że nie dokonał „zburzenia gmachu jednem wstrząśnieniem kolumny“.

Czy i jakie poemat ów ma znaczenie patrjotyczne? Że ma — to wątpliwości nie ulega; jakie? — o tem pomówić należy, analizując wrażenia, które do poczęcia go i wydania na świat poetę nastroiły.

Z patrjotyzmem znał się Mickiewicz od dzieciństwa; wrażenie „wiosny“ pamiętnej wyrzeźbiło ją mu w duszy na zawsze; służenia Ojczyźnie nauczył się w Wilnie, na uniwersytecie, od profesorów, od kolegów, od szubrawców, od Zana; w więzieniu u bazyljanów oko w oko zeszedł się z patrjotyzmem ofiarnym, wymagającym „łamania, czego rozum nie złamie“, z patrjotyzmem, z którym bliżej jeszcze zapoznał się w Petersburgu, ściskając „jak bratnią“ w przededniu egzekucji decembrzystów „szlachetną szyję Rylejewa“. Na wygnaniu atoli, przejeżdżając przez Rosję wzdłuż, od mroźnej północy na południe upalne, i zatrzymując się tam i spowrotem w grodach znaczniejszych: w Moskwie (gniazdo wielkości państwowej), w Odesie (metropolja handlowa, kwalifikująca się na kapuę dla cnotliwości młodzieńczej), w Bakczyseraju (stolica mocarstwa upadłego), — zapoznał się z odwrotną w stosunku do patrjotyzmu polskiego stroną medalu: z potęgą Rosji. Widział ją na rewjach wojskowych, nasłuchał się o niej w rozmowach z powagami naukowemi, dotknął ci jej w kancelarji generał-gubernatorskiej, przeświadczył się o jej sprawności i energji administracyjnej, o niezłomności i bezwzględności w odniesieniu do interesów państwowych sądowej, oraz o tem, że pod ręką tej groźnej, bezlitosnej, obsługiwanej przez złodziei, szpiegów i donosicieli, potęgi można, nie drażniąc jej, narodowi własnemu zacnie służyć. Możliwości tej doznał na sobie. Czyż poza decembrzystami, którzy znikli z powierzchni potwornie rozległego i przez władcę

„jak Bóg wielkiego i jak Szatan złośliwego“ rządzonego mocarstwa, nie znajdowali się wiernopoddani carscy: Wiaziemscy, Polewoje, Kozłowy, Puszkiny, księżny Wołkońskie i inni, i inne osobistości, uznające poezję polską i otaczające poetę względami, przyjaźnią nawet? Czyż uznanie ich nie świadczy o tolerancji niejakiej, — warunkowej wprawdzie, względnej, — o tolerancji jednak, dzięki której, do warunków się stosując, można ojczyźnie służyć? Warunki ciężkie, trudne, dozorowane przez urzędników przebiegłych, czujnych, bezsumiennych, wysługujących się rządowi dla korzyści osobistych, zapewnionych im bezkarnością nadużyć, urabiającą w sferze tej arymanizm — genjusz zła — zarażający społeczeństwo, świetnie przez Mickiewicza uosobiony w postaciach wprowadzonych do dwóch scen, VII i VIII, *Dziadów* części trzeciej, noszących tytuły: Salon warszawski i W Wilnie. W pierwszej szczepiące się w Polsce zepsucie moralne przedstawiają: hrabia, dama druga, szambelan, jenerał (Wincenty Krasiński), literat (Fr. Sal. Dmochowski), mistrz ceremonji, kamerjunker. W drugiej występują szczepiciele zepsucia: senator (Nowosilcow, model czynownika, co się dosłużył), Bajkow (model czynownika dosługującego się), doktor (A. Bécu, profesor uniwersytetu), W. Pelikan (profesor uniwersytetu, później rektor), panna, sowietnicy, damy, czynownicy niżsi.

Mickiewicz w dobie życia swego, zasługującej na nazwę petersbursko-moskiewsko-odeskiej, widział i odczuwał wkraczające do Polski zwycięsko złe, zagrażające narodowi zgubą spowodu kierującej niem genjalności, nie widząc na oparcie się mu siły zaradczej w czem innem, tylko w przeciwpostawieniu złemu Ormuzda — genjusza dobra, wywołanego z głębi narodowej, spod „skorupy zimnej i twardej, suchej i plugawej“. Będąc w dobie owej młodym jeszcze — nie liczył lat trzydziestu —, ufał możliwości wywołania siły takiej, jak niedawniej niż przed laty kilku ufał w „łamanie“ zapałem młodzieńczym tego, „czego rozum nie złamie“. Do tegoto momentu odnosi się *Farys*, utwór będący uzupełnieniem (zwanem po francusku *pendant*) *Ody do młodości*. Drugi z pierwszej wypływa — drugi z pierwszą się ideą, tendencją wiąże, jak z trafnie postawioną hipotezą wiążą się i odnoszące się do niej fakty i wysnuwające się z niej logicznie wyniki. Arab, co rumaka z opoki na obszar pustyni strąca i hu-

ragan zwycięża, jest nie kim innym, jeno studentem z *Ody*, łamiącym, czego rozum nie złamie.

Znaczącem jest ofiarowanie kasydy tej sparaliżowanemu, ociemniałemu poecie rosyjskiemu I. I. Kozłowowi, który literaturę rosyjską zasilił nietylko wartościowemi utworami oryginalnemi, ale i tłumaczeniami z języków angielskiego i polskiego. Z polskiego tłumaczył Mickiewicza. Był on jednym z przyjaciół jego — nie z tych atoli, do których wystosował wiersz p. t. *Do przyjaciół Moskali*, nie z tych, co na szubienicach pomarli i na Sybirze się zaprzepaścili, ale z innych — z lojalnych, z takich, co i Polakom, z którymi zaprzyjaźnieni byli, lojalizm, poezji zdaniem ich zgoła nieszkodzący, doradzali. Że coś podobnego ze strony Kozłowa spotkać mogło Mickiewicza, jest to rzecz więcej niż przypuszczalna. Że Mickiewiczowi, po procesie wileńskim i po wspomnieniach świeżych z uścisku ręki Bestużewa i ściskania szyi Rylejewa, wydać się rada taka musiała rzeczą niemożliwą, jest to również więcej niż przypuszczalnem. Na tych przypuszczalnościach o charakterze pewnikowym, dodawszy do nich trzecią: pewnik przyjaźni pomiędzy polskim i rosyjskim poetami, zbudować się da zrównanie algebraiczne, pozwalające odtworzyć przypuszczalnie treść i sens rozmów, jakie dwaj ci przyjaciele ze sobą miewać musieli. Przytoczę jedną z nich, mającą znaczenie osiowe, a odnoszącą się do rozmów poprzednich o myśli przewodniej *Ody do młodości*, myśli zestrzelonej w dwóch wyrazach: „rozumni szałem“.

Kozłow: Chcę z tobą, Adamie Mikołajewiczu, rozmówić się po przyjacielsku. Myślałem i myślałem nad wytwarzającym jedność silną „szałem rozumnym“, z którego wysnułeś przykazania dla młodzieży. Szał ów, przez ciebie w poezję ubrany, wygląda prześlicznie, cudownie, wzbudzając w rozum jego wiarę, dokonywa bowiem rzeczy takich, jak przeprawa Farysa przez pustynię. Ale... czy nie idzie on za daleko?

Mickiewicz. Taki szał cuda tworzy.

K. Cuda?

M. Jak, Iwanie Iwanowiczu, wytłumaczysz przeprowadzenie Żydów przez morze Czerwone? wyprowadzenie przez Mojżesza wody ze skały?

K. Tak... to prawda. Stało się to z woli bożej. Mojżesz był bożym zesłańcem.

M. Jako taki w cuda wierzył i wiarą cuda tworzył.

K. Nato jednak potrzeba być zesłańcem bożym.

M. Czy Panu Bogu nie wolno Mojżeszów zsyłać na ziemię dziś, jak zsyłał przed wiekami w osobach proroków? Co?

K. Tak... niezawodnie. Panu Bogu niczego wzbronić nie można... Lecz...

Zamyślił się poeta rosyjski.

M. Co?

K. Czy nie nato Pan Bóg cuda dawniej tworzył, a później zaprzestał, ażeby, zaopatrzywszy ludzi w rozum, dać im wskazówki do korzystania z daru tego i nienadużywania go na szały, licząc na cuda?...

M. Zapytanie to, Iwanie Iwanowiczu, brzmi niby przestroga.

K. Nie mylisz się, Adamie Mikołajewiczu. Umyśliłem udzielić ci przestrogi przyjacielskiej... „Szał rozumny“ stosuje się do młodzieży wogóle, nietylko do polskiej, ale i do francuskiej, angielskiej, rosyjskiej. Dla tych atoli jest on hiperbolą retoryczną, młodzież zaś polska wziąść go może za wskazówkę i porywać się na rzeczy niemożliwe.

M. Na wyzwolenie ojczyzny swojej od Rosji?

K. No... tak. Nie jest to rzecz niemożliwa absolutnie, w momencie jednak obecnym bardziej niż trudna. O, bardzo trudna... Nieboszczyk cesarz Aleksander ręce wam rozwiązał trochę, na tyle, ażebyście nazwisko swoje zachowali i kulturę narodową rozwijać mogli. Niewola rosyjska czy ci przeszkodziła napisać *Grażynę*, pisać ballady, sonety, napisać zagadkowe: *Odę* i kasydę? Poprzestańże na nich!

M. Nie wiesz chyba, że rząd węzły niewoli polskiej corazto mocniej zaciska.

K. Czyni to, albowiem w okrzyku: „Witaj, jutrzenko swobody!“ czuje duch buntowniczy, a jest potęgi swojej pewnym.

M. Czy pewności takie nie zawodzą?

K. Zawodzą. W momencie jednak obecnym prawdopodobieństwo zawodu większem jest po stronie waszej, aniżeli po rządowej rosyjskiej. Dlatego, jako przyjaciel wasz, a szczególnie twój, Adamie Mikołajewiczu, pozwalam sobie dać wam, ze względu na możliwość spuszczenia się na „szał rozumny“, ostrzeżenie przyjacielskie.

M. Dziękuję ci, Iwanie Iwanowiczu, myślę jednak, że i rząd rosyjski ostrzeżenia potrzebuje.

Rozmowa powyższa, która się może nie odbyła, której jednak w treści i sensie prawdopodobieństwo wątpliwości nie ulega, rozmowa podobna nie z jednym zapewne toczyła się Kozłowem. Prawdopodobieństwo jej stwierdza ustęp z przedmowy do wydania poezyj Mickiewicza w Petersburgu r. 1829, u Karola Kraya, w której autor wysławia „monarchę, będącego ojcem wszystkich plemion, zapewniającego im wolne posiadanie dóbr ziemskich i droższych jeszcze dóbr moralnych i umysłowych“ [1]. Ustęp ten kończy wezwanie: „Oby imię Ojca tylu ludów we wszystkich pokoleniach wszystkiemi językami zarówno sławione było“. Tłumaczy się Mickiewicz z tego w poezji *Do przyjaciół Moskali*, w sposób następujący:

Pókim był w okuciach,
Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę.

Gra to niebezpieczna. Na niej źle wychodzi częściej łudzący niż łudzony. Posłużyła ona Mickiewiczowi za natchnienie do napisania arcydzieła, — arcydzieła w każdym względzie, zasługującego zająć miejsce zaszczytne obok trzeciej części *Dziadów* i *Pana Tadeusza*, utworu nawskróś tendencyjnego. Tendencją jego główną i wyraźną jest ostrzeżenie Rosji, wykazując jej możliwość, jeżeli nie pewność, wychowania sobie spośród niewolników polskich mściciela, który jej potęgę, jeżeli nie zwali, to podkopie. W poemacie tym zawiera się i dla Polaków ostrzeżenie, o którem pomówię później, gdy rzecz o nim doprowadzę do roli, jaką on w emigracji polskiej odegrał.

W ostatnich czasach swego w Rosji pobytu Mickiewicz carat przejechał od północy na południe i spowrotem, z południa na północ, zatrzymując się dłużej w Odesie, Moskwie i Petersburgu. W Odesie otoczyły go piękne Polki; w Moskwie, gdzie w kancelarji generał-gubernatora urzędował, i w Petersburgu rozrywało go towarzystwo przyjazne mu i talent jego

---

[1] Ustęp ten brzmi: „Trzecie to już dzieło polskie ogłaszam w stolicy Monarchy, który ze wszystkich królów ziemi liczy w państwie swojem najwięcej plemion i języków. Będąc zarówno Ojcem wszystkich, zapewnia wszystkim wolne posiadanie dóbr ziemskich i droższych jeszcze dóbr moralnych i umysłowych“ (Mickiewicz A., *Poezje*, Petersburg 1829, str. XXXIX).

wielbiące, moskiewskie. *Konrada Wallenroda* cenzura przepuściła; lecz druk uwydatnił ustępy podejrzenie wzbudzające i tendencję wykazujące. Przyjaciele ostrzegli Mickiewicza, radzili mu z kraju się wynieść i w paszport go zaopatrzyli. Wyjechał z Petersburga w sierpniu [1] r. 1829 i w tymże roku, przejechawszy przez Niemcy i Szwajcarję, zawitał do Rzymu. Podróż odbywał wesoło, po studencku. Do Rzymu w osobie jego, jak rzekłem wyżej, przybył student, artysta genjalny, „pół-filozof“, wedle Odyńca.

W stolicy chrześcijaństwa opadły go wrażenia artystyczne przedewszystkiem i dopasowane do nich naukowe, religijne i wszelakie inne, podzielane z gronem spółrodaków, z którego wydzielało się wrażenie, specjalnie poetów czarem wejrzeń, uśmiechów i skinień prześladujące, a tak pociągające, że pięć razy z Rzymu wyjeżdżał i pięć razy wracał. Zawitał po raz pierwszy w listopadzie r. 1829, zabawił do maja r. 1830; w maju wyjechał, w czerwcu wrócił; w czerwcu wyjechał, w lipcu wrócił; w lipcu wyjechał i, zwiedziwszy Florencję, Pizę, Genuę, przez Medjolan dostał się do Szwajcarji, gdzie zabawił dwa miesiące i w październiku do Rzymu wrócił.

W Rzymie towarzystwo polskie, w jakiem przebywał, duży na niego wywarło wpływ w kierunkach religijnym i politycznym: w pierwszym odszukał wiarę, którą był zatracił, w drugim wszedł na wskazywaną mu przez Kozłowa drogę rezygnacyjną. Nastąpić to musiało. Dzięki temu, że się towarzystwo grupowało około rodziny, której patrjotyzm przenikał żal do narodu za wystawienie jej w dziejach pomnika pod postacią „suchego drzewa szubienicy“, upamiętniającego głowę rodu, faworyta dworu wiedeńskiego, faworyta Stanisława Augusta, mianem zdrajcy narodu; dzięki temu panował w niej duch przyznający rację nie narodowi, ale zaborcom Polski. Patrjotyzm jej łagodzącą dla narodu okoliczność widział w obłędzie, oddającym na pastwę „wrogowi potężnemu“ te zwłaszcza dzieci swoje, którym ze źrenic „błyszczy genjuszu świetność“. Widzeniu takiemu nie przeczył ani dowcipny Henryk Rzewuski, ani bogobojny ksiądz Stanisław Chołoniewski — przeciwnie, sankcję zaś mu nadawała Maryla numer drugi, z której źrenic dla uleczo-

---

[1] Wyjechał w maju t. r.

nego z rozpaczy po tamtej Gustawa biło coś więcej, aniżeli „genjuszu świetność“. Pod wrażeniem źrenic tych, obsadzonem przez takich Rzewuskich i Chołoniewskich, autor *Ody do młodości*, *Farysa* i *Konrada Wallenroda* napisał na intencję łamiącego „przesądy“ zuchwalstwa młodocianego i bezwzględności patrjotyzmu odwetowego ostrzeżenie p. t. *Do matki Polki*.

Zbieg okoliczności chciał, że utwór ten, we względzie artystycznym nieustępujący arcydziełom Benwenuta Celliniego, pojawił się w przededniu wybuchu powstania listopadowego.

Utwór ten tendencyjny, doradzający oględność w patrjotyzmie, wyjaśnia powody, dla których autor *Grażyny*, jedynego przed r. 1830 dzieła mickiewiczowskiego, malującego patrjotyzm czysty, a nieoględnością ofiarną nacechowany, nie wziął w powstaniu listopadowem udziału.

Powód ów świadczy, że poeci, artyści są niewolnikami wrażeń.

Niewolniczość ta sprawiła, że poeta, który młodość postawił na wyżynie, nadającej jej moc rozkazodawstwa samodzierżawczego i zdolność zwalczania potęg takich jak huragany pustynne, który samodzierżawiu moskiewskiemu pogroził wallenrodyzmem patrjotycznym, nie wyzwolił się z niej pod wrażeniem dochodzących do niego wieści o heroicznych w ojczyźnie jego o wolność walkach. Widocznie działały tu wrażenia silniejsze i słabsze, albo bliższe bezpośrednie i dalsze pośrednie. We względzie tym nastręcza się psychologom do przestudjowania fenomen, posiadający doniosłe znaczenie naukowe w odniesieniu filozoficznem i socjologicznem. W tem ostatniem chodzi o rolę, a raczej o zadanie artyzmu w społeczeństwie, niwelowanem gwoli zasadzie równości przez socjologów z natchnienia. Cechę podstawową *(sine qua non)* artyzmu stanowi wedle nauki objektywizm. Tak chce estetyka. Pytanie: jak się w Mickiewiczu przejawiały: objektywizm i subjektywizm, czyli, przekładając wyrazy te na polskie, przedmiotowizm i podmiotowizm?

Silnie, wszechwładnie podmiotowizm podziałał na niego po upadku powstania, w Dreznie, gdzie się znalazł w otoczeniu rozbitków. Śród nich opanowały go wrażenia, wstrząsające do najgłębszych głębin duszy i wytrącające mu z pamięci i serca wrażenia dawniejsze, wydzielające się z takich i innych Maryl, wypośrodkowujące się z gron przyjacielskich Moskali i Moskie-

wek w klanach mniejwięcej poetycznych (Kozłow, Wiaziemski, księżna Wołkońska, hrabina Klustin i in.), wyfiltrowujące się z rozmów rzymskich pod dozorem źrenic znacząco świecących, wszystkie, wszystkie, jakie gdziekolwiek, jakkolwiek na niego w ciągu życia oddziaływały. Wszystkie i wszelakie wrażenia poprzednie w duszy jego się naraz zatarły, ustępując miejsca wlewającemu się w nią pełnym strumieniem patrjotyzmowi czystemu, ofiarnemu, bezwzględnemu.

Pod wrażeniem tem we wrzawie opowiadań pisał, tworzył szybko, gorączkowo, jakby chciał uzupełnić braki i poprostować skazówki błędne twórczości patrjotycznej polskiej. Opowiadają, że tworzenie przyprawiało go o konwulsje, że go niekiedy znajdowano w omdleniu leżącego na ziemi. *Hic* — nie w 1823, ale w 1831 — *natus est Conradus* — Gustaw w Konradzie odrodzony i kochający nie kobietę jedną, której upomnienia, tyczące się sławy, ojczyzny, były dlań ciskaniem grochu na ścianę, ale „cały naród“ w jego „przeszłych i przyszłych pokoleniach“, naród, który chce „dźwignąć, uszczęśliwić“ i „nim cały świat zadziwić“. W Dreznie w Konradzie narodził się patrjota podmiotowy, gorący, w miłość ojczyzny wlewający artyzm nowy jakiś, gwałtowny, przekraczający reguły sztuki budowlanej, mierzący się z Bogiem, przemawiający do Niego językiem nie solicytora, ale sędziego, i wydający nań wyrok wyrazem takiej wielkiej hańby sromotnej, że mu głosu do wykrztuszenia jej zabrakło. Zastąpił go w tem djabeł — jeden z gromadki djabłów, którzy, gdy aniołowie z prawej strony czuwali nad więźniem (Gustawem w Konradzie odrodzonym), z lewej na duszę jego czyhali, korzystając z momentu, kiedy on samotny w celi, raz budząc się, znów usypiając, rozmyślał o potędze myśli człowieczej.

Improwizacja zawiera w sobie tyle bezładu mistycznego i wykroczeń przeciwko sztuce budowniczej, że, przez krytyka niezbyt nawet surowego zanalizowana, nie może być za dzieło artyzmu uznaną. Toteż nie wedle reguł sztuki budowaną, ale tchem jednym z materjałów mowy ludzkiej ulepioną i twórczą myśli człowieczej mocą ożywioną została. Czyż nie tą mocą Bóg człowiekowi z gliny ulepionemu życie nadał? Poeta sprawę myślowej twórczości człowieczej wyraźnie postawił i z twórczością bożą ją zrównał. Takie sprawy tej postawienie pełni

w Improwizacji funkcję przewodniej nici czerwonej. Trzeba nić tę za jeden z jej końców ująć i pójść za nią, ażeby zdać sobie sprawę z owoczesnego psychicznego Mickiewicza nastroju. Ponętne dla psychologa zadanie.

Do rozwiązania zadania tego istnieją następujące dane znane, w tendencjach utworów miarodajnych wyrażone: 1-o ufność zuchwała w uświadomioną na ludzkość młodości działalność; 2-o przejęcie się w uniwersytecie ważnością roli powołanego do odegrania w działalności tej patrjotyzmu samodzielnego; 3-o osłabienie ufności przez własną mocarstwa carskiego obserwację, jakoteż za wpływem rozmów ze zgodzonymi z losem i doradzającymi Polakom rezygnację filozoficzną przyjaciółmi Moskalami, wykazującymi niemożliwość zwalczenia potęgi zła, tkwiącej w carstwie; 4-o ratowanie ufności zachwianej przez dopatrzenie możliwości zwalczenia caratu bojem nie wstępnym, lecz podstępnym, na drodze odwetu czy zemsty, pod hasłem: „Póki cała carska szyja, nie uwierzę, że nam sprzyja Jezus-Maryja!“

Po przebyciu powyższych etap czterech, z których pierwszą zaakcentowała miłość zawiedziona, po odbyciu wesołej przez Niemcy i Szwajcarję podróży, przybywa Mickiewicz do Rzymu i tam natyka się na etapę piątą, uniebieszczoną miłością powtórną. Lecz jakże się różniły tamta a ta! Tamta prawiła poecie: „Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele“. Poszedł w kierunku wskazówek tych i, w duchu ich krocząc, znalazł się wobec wołań o zemstę, o odwety, o podstępy. Sumienie mówiło mu, że droga jego „nie tędy“. Którędyż? Na pytanie to znalazł odpowiedź w Rzymie. Podszepnęła mu ją miłość wtóra, usuwając z duszy jego wolnomyślność uniwersytecką, a wsuwając w nią natomiast uznanie rad pogodzonych z losem przyjaciół Moskali. „Bagaż“, z którym przyjechał był do Rzymu, a w którym na wierzchu leżał *Konrad Wallenrod*, różnił się jak niebo od ziemi od tego, z którym przybył do Drezna, a w którym, obok wiersza *Do mego cicerone w Rzymie*, spoczywała poważna, rezygnacyjna, ostrzegająca odezwa: *Do matki Polki.*

Utwór ten zasadniczo nie dozwolił mu ani przez ciekawość zajrzeć na teatr wojny, od którego znajdował się o miedzę. Nie spieszył nań, albowiem walki o Polskę nie przypuszczał już pod postacią inną, jeno pod tą, że synowi Polki:

Wyznanie przyszle... szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny,
A placem boju będzie loch kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Walki innej nie rozumiał, w Rzymie bowiem, w towarzystwie, w które wsiąkł, które go z kory studenckiej oskrobało i na męża, życie ze strony poważnej biorącego, przerobiło, w którem wieść o wybuchu powstania powitano ze zgrozą rzuconym okrzykiem: „szaleństwo!“ które wyraz ten powtarzało, i wyrazem tym go przy rozstaniu żegnało i może odjeżdżającego do Wielkopolski poleciło ludziom, co się na powstanie zapatrywali taksamo, jak rodzina Ankwiczów, jak Henryk Rzewuski, jak ks. Stanisław Chołoniewski, jak inni jeszcze, jak wreszcie Ojciec święty, Grzegorz XVI, który powstanie polskie wyklął. Kto wie, ażali wyraz ten nie najgłębiej do przekonania i sumienia jego wszedł z ust panny Henryki. Wszak krążyła za plotkę uchodząca pogłoska, że od wzięcia udziału w powstaniu listopadowem Mickiewicza odciągnęła miłość. Na ów atoli właśnie moment przypada miłość dla panny Ankwicz, która plotką nie jest; o innej zaś w r. 1831 życiorysy jego milczą. Jeżeli przeto miłość wpływ w czasie owym we względzie tym wywarła, to nie inna, tylko taka, w której oczach walka owa być musiała szaleństwem.

Jakąby jednak w sprawie tej miłość rolę nie odegrała, faktem jest, że w r. 1830 walka o Polskę Mickiewiczowi przedstawiała się nie inaczej, tylko jako następstwo wyzwania „szpiega nieznajomego“.

Czyżby, nad granicą oddzielającą zabór pruski od Polski walczącej stanąwszy, granicy nie przekraczał, na wyzwanie czekając?

Nie ten był wahania się czy wyczekiwania powód, lecz wyrozumowane przewidywanie następstw tak nierodzajnych i tak bezowocnych, jak „suche drzewa szubienicy“. Wahał się, wyczekiwał, aż doczekał się... zakończenia walki. Zmieniła się treść wieści krążących: zamiast o klęskach i zwycięstwach, o poglądach i wnioskach, opowiadały one o losach rozbitków, wychodzących z Polski tłumnie, nad którymi się Prusacy znęcali, których Niemcy owacyjnie przyjmowali i z triumfem przez kraje Rzeszy przeprowadzali.

Wszelaka, jakąby nie była, racja przebywania nad granicą Kongresówki dla Mickiewicza upadła. Z Rosji wyjechał za paszportem legalnym, mógłby więc wrócić, gdyby nie odezwa *Do matki Polki*, odradzająca wprawdzie Polakom, nie mówiąc o powstawaniu z orężem w ręku, nawet słuchania „opowiadań o ojców dziejach", zawierająca jednak w sobie strof parę niekoniecznie dla rządów i sądów moskiewskich pochlebnych. Śród zbrodni stanu, brzemiennych większą lub mniejszą dla państwa szkodliwością, zbrodnicze myśli wierszami wypowiadane Mikołaj I do rodzaju najkarygodniejszych zaliczał. Mowa o wyzwaniu przez szpiega, o sądzie krzywoprzysiężnym i o każących się domyślać spiskowań „długich, nocnych rodaków rozmowach" nie uszłyby mu na sucho [1]. Powrót przeto nie uśmiechał się Mickiewiczowi. Opuścił więc dom gościnny, w którym spędził tygodni kilka, i wędrówkę swoją zagraniczną zwrócił nie na północ, nie na wschód, ale na południo-zachód do Drezna. Czemu do Drezna, nie zaś do Krakowa np.? Śród okoliczności owoczesnych Polaka, któremu nie powiodło się na polu zapasów wojennych z wrogiem ojczyzny się zmierzyć, myśl i serce bardziej chyba zająłby Kraków niż Drezno. Zwrócenia się do Drezna dwojakiej domyślać się należy przyczyny: do stolicy Saksonji pociągnąć go mogła wiadomość o pobycie w niej kolegów uniwersyteckich, przyjaciół i znajomych, niemniej ta okoliczność, że Drezno, jadąc z Poznania, leży na prostszej aniżeli Kraków drodze do grodu, „*wo sein Athem wehte*". Wszystkie wprawdzie drogi do Rzymu prowadzą, obrania tej atoli psychologja domyślać się pozwala, biorąc na uwagę nastrój psychiczny poety, odbijający wyraźnie, „jak zielony brzeg w krynicy", w dwóch ostatnich jego tendencyjnych utworach: w *Konradzie Wallenrodzie*, utworze, opiewającym dzieło zemsty czy odwetu, nieprowadzące do zwyciężenia wroga stanowczo, oraz w *Do matki Polki*, pozbawiającym wszelkiej wydobycia się z niewoli moskiewskiej nadziei.

Bądźcobądź do Drezna podążył i w stolicy tej, przepełnionej pamiątkami rabowania Polski przez Augusta II, znalazł się w otoczeniu bojowników, którzy nie zostali do walki przez

---

[1] Wiersz *Do matki Polki* został ogłoszony drukiem dopiero w Paryżu r. 1832.

„szpiega nieznajomego“ wyzwani, ale sami go otwarcie i zuchwale wyzwali. Wyzwali i walczyli... nie bez prawdopodobieństwa wygranej. Poznał to dowodnie z rozmów i z opowiadań. Możliwość wyłamania ojczyzny z niewoli przedstawiła się umysłowi jego obywatelskiemu i wyobraźni poetycznej w sposób niezbity, gdyby:

nie wypuszczenie wielkiego księcia;

nie zawód na patrjotyzmie Chłopickiego;

nie niedołęstwo Skrzyneckiego;

nie nieposłuszeństwo Ramorina, spowodowane przez otaczający go — niestety polski — sztab;

nie zdrada wreszcie Krukowieckiego.

Dowiedział się o tem wszystkiem, a oraz i o odwrotnej medalu stronie, wydokumentowanej walecznością wojsk polskich i szczegółami czynów heroicznych, takich jak: zwycięstwo pod Stoczkiem, obrona przez pułk czwarty olszyny pod Grochowem, zwycięstwa pod Dębem-Wielkim i Iganiami, artylerzycki atak Bema pod Ostrołęką, powstanie na Litwie i odwrót Dembińskiego, powstanie na Rusi i przebicie się jazdy wołyńskiej pod Różyckim, wreszcie przypominające Missolungi i Byrona wysadzenie w powietrze reduty przez Ordona — wszystko to opowiadane w sposób malujący bitwy w całej onych grozie piękna estetycznego. Słuchając opowiadań, Mickiewicz widział: szeregi artylerji ciągnące się niby morza brzegi, widział zwijającego ich skrzydło wodza i wylewające się spoza niego kolumny piechoty, podobne do „lawy błota, nasypanego iskrami bagnetów“, widział sprawiane u nich zniszczenia przez kule, z których każda

grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje,

przez granaty, z których każdy, wpadając w kolumnę,

pułk dymem zachmurza,
Pęka śród dymu granat, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina śród kolumny świeci.

Widział to wszystko i słyszał, patrząc na to i słuchając tego z uczuciem Polaka-poety, a poglądem i słuchem poety-artysty.

To zaś wszystko wszystkiem jeszcze nie było. Wysnuwała się z tego rzecz ważniejsza: walki o niepodległość Polski ciąg

dalszy. Powstanie listopadowe, wedle przekonania i wiary rozbitków, było zapoczątkowaniem przewidzianej przez Napoleona walki świata ucywilizowanego z Rosją o rozwiązanie pytania, czy Europa w lat pięćdziesiąt po bitwie pod Waterloo zostać ma republikańską, czy też kozacką? Przewidywanie to, pochodzące od Napoleona, postaci olbrzymiego, mistycyzmem zaprawnego, w dziejach ludzkości znaczenia, potwierdzały owacje, z jakiemi w pochodzie przez kraje niemieckie przeprowadzali Niemcy bojowników polskich do Francji, pamiętnej i na ostrzeżenie Napoleona i na przysługi przez Polskę w latach 1792, 1809 i 1830, jakoteż przez legjony polskie na wszystkich teatrach wojen republikańskich i cesarskich jej oddane. Przysług takich historja nie przemazuje. Do Francji przeto wychodztwo polskie w składzie swoim wyborowym podąża nie poco innego, jeno poto, ażeby świat ucywilizowany przysposobić do wojny w ciągu dalszym, zapoczątkowanej przez Polskę pod hasłem: „Za wolność naszą i waszą“, — do wojny, zapobiegającej... skozaczeniu Europy.

Wyobrazić sobie łatwo, jakiem powołanie to spółrodaków jego przenikać musiało udręczeniem duszę wieszcza, co kilka temu miesięcy upominał matkę Polkę, ażeby syna swego, jeśli mu „w źrenicach błyszczy genjuszu świetność“, nie wychowywała na zaginionego bezimiennie i bezowocnie męczennika.

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Zatknąć zwycięski znak w Jerozolimie,
Ni jak trójbarwnej chorągwi żołnierze
Na wolność orać, krwią oblewać ziemię[1].

Jakiem to udręczeniem być musiało dla poety, gdy się tak prędko i tak dowodnie *de visu* i *de auditu* pokazało, że wieszczył błędnie...

Nie potrzeba być nadzwyczajnym filozofem-psychologiem, ażeby zrozumieć, co się w razie takim w duszy człowieczej dzieje.

Wiedzieć bowiem należy, że genjusz poetyczny największy, najpotężniejszy, najszczytniejszy, najsubtelniejszy mieszka w lepiance najzwyczajniejszego zjadacza chleba i bynajmniej zabezpieczonym przeciwko najpospolitszym ułomnościom człowieczym nie jest.

[1] Przytoczono z pamięci, z drobnemi, charakterystycznemi odmianami tekstu.

Czy w odniesieniu do Mickiewicza natura we względzie tym wyjątek uczyniła? Na pytanie to twierdząco żaden chyba z uświadomionych psychologicznie najbardziej zdeklarowanych zwolenników poety — do jakich i ja należę — nie odpowie. Stosowała się do niego reguła ogólnie ludzka, od dawiendawna przez myślicieli dostrzeżona, że *errare humanum est.* Stosowała się do niego reguła ta tem bardziej, że, jak się pokazuje w jego nie czysto artystycznych („sztuka dla sztuki"), lecz nacechowanych tendencjanizmem utworach poetycznych, był on wrażeń niewolnikiem. Wrażenia go za rękę niejako prowadziły od *Ody do młodości* do *Konrada Wallenroda* i od tego ostatniego do *Do matki Polki.* Przewodnią *Konrada Wallenroda* myślą jest, bardziej ku ostrzeżeniu Moskali niż na użytek Polakom służyć mogące, wykazanie sposobu mszczenia się na wrogach, czy też odpłacania im złem za złe. Utwór następny, bezpośrednio a prędko po poprzednim, znamiennym, wielkim, idący poemacie, ostrzega matki przed wychowywaniem synów na męczeństwo bezcelowe.

Co się z wrażliwą poety wyobraźnią dziać musiało po zestawieniu tych dwóch ostatnich utworów, napisanych: pierwszy pod wrażeniem moskiewskich i petersburskich stosunków z Moskalami, drugi napisany pod wrażeniem z losami zgodzonego towarzystwa polskiego w Rzymie, z wrażeniem, jakie go w Dreznie opadło, — przedstawić to sobie śmiertelnikowi zwyczajnemu trudno. Nie ręczę za poprawne dwuwiersza następnego przytoczenie:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

Przytaczam wiersz ten dla usprawiedliwienia poety, który sam, w uniesieniu młodzieńczem, pod wrażeniem świetnie w perspektywie przyszłościowej ukazujących się widoków, kraj ów nazwał: „rajską dziedziną ułudy". Wrażenia widziane przed oczami jego przesuwały się pod postacią wojowników, noszących jeszcze na sobie ślady bitew i trudów, o obliczach ogorzałych, odymionych, przedstawiających sobą towarzyszy ośpiewanego przez Niemców bohaterskiego dziesiątka *vom vierten Regiment.* Wrażenia słyszane, działając na wyobraźnię jego obrazowo, przetwarzały się w niej w dramaty historyczne, w których osobistość jego odegrywała właściwą jej rolę, odpowiednio do nastro-

jów, w jakie w ciągu życia następujące po sobie kolejno wrażenia duszę jego wprawiały. Odbyła się w niej spowiedź czynów w słowo zaklętych i uosobionych — w niego wcielonych. Był kolejno: zrazu młodzieńcem, pod którego przewództwem młodzież „spólnemi łańcuchy opasała ziemskie kolisko“ i na „nowe tory z posad pchnęła bryłę świata“; następnie Arabem, który dla pokazania zrezygnowanym mędrcom i poetom, na co wola silna zdobyć się może, pokonał huragany pustynne; wkońcu, sprowadzając na intencję tychże mędrców i poetów czyny fantastyczne na grunt realny, wcielił w Alfa, małżonka Aldony, przeistaczającego się w Wallenroda... w Konrada Wallenroda. W przeglądzie tym spowiednianym nie zapomniał i o roli minstrela, w której damom śpiewał ballady i romanse, a znawców zdumiewał misternością artystyczną większych i mniejszych budowli poetycznych. Analizy tej nie posuwał poza wielki, tendencyjny poemat; cofał się przed wrażeniami rzymskiemi, z których wysnuł radę niewczesną, i z tem większą gorliwością i pośpiechem podążał ku syntezie czynów dokonanych, zapytując o każdego z nich przydatność w sprawie, o którą się świeżo w Polsce heroiczna stoczyła walka. Do czegoby służyć mogło opasywanie ziemskiego koliska i pchanie go na tory nowe... na jakie? Co za znaczenie tkwić miało w pustynnym Araba popisie? W jakim celu Alf w roli mistrza krzyżackiego wyprawę na Litwę na pastwę psom zgłodniałym oddał? — czy nato tylko, ażeby duszę własną, przez „ścięcie tylu głów hydry jednym zamachem“, zaspokoić? Czy nie mógł ściąć głów wszystkich? Co mu przeszkodziło? Co? — miłość starcza.

Psycholog bezstronny, wziąwszy pod nóż analizy naukowej duszę Mickiewicza w dobie pobytu jego w Dreznie, bez wielkiego trudu otworzy sobie wnijście do *Dichters Lande*. Poeta, tworzący w natchnieniu, utożsamia się z kreacjami ducha swego, czuje ich uczuciem, podziela z niemi pragnienia, zadowolenia, smutki, dążenia, cierpienia. Utożsamiwszy się z Konradem, poszedł w „świecie ułudy“ do końca. Stało się mu to, co uznawanemu przez modernizm nadczłowieczy za najszczytniejszy genjusza wyraz poecie czeskiemu Juljuszowi Zeyerowi we śnie: zmienienie się w Mojżesza [1]. Poetom prawdziwym,

---

[1] Poemat *Na Synaj*. *Chimera* I. (Nota T. T. Jeża).

jakim bezspornie był Mickiewicz, często pod naciskiem wrażeń sen na jawie się trafia. W śnie takim, pod wpływem przemożnym wrażeń w Dreznie, dokonało się w wyobraźni Mickiewicza przeistoczenie duszy Gustawa, rozkochanego w Maryli, w duszę Alfa, co się z objęć Aldony wydarł i sławą czynów wojennych, jakoteż cnót chrześcijańskich, napełniwszy „zagraniczne domy“, został pod nazwiskiem Konrada Wallenroda mistrzem krzyżackim nato, ażeby ściąć „tyle głów hydry“. Zmienienie się Alfa w Konrada, dokonane w wyobraźni poety, dokonało się w rodzicielce wyobraźni, w duszy jego, w jego istocie, w nim samym. On się Konradem stał, a raczej: w nim *natus est Conradus*, ale spotęgowany, dumny, „depcący wszystkich poetów, mędrców i proroków“, twórczością Bogu równy, istny przez metafizycyzm Nietzschego wyspekulowany, a przez spółczesny [1] modernizm artystyczny na ołtarzu postawiony, nadczłowiek.

Znamiennem jest nazwanie „chwilą Samsona, kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny“ (Improwizacja), chwili, w której Konrad z *Dziadów* części III sposobił się do walki z Bogiem. Retoryczne to w *Konradzie Wallenrodzie* przyrównanie zamyka walkę z wrogiem Litwy, w Improwizacji zaznacza wstęp do rozprawy mistrza uczucia („Ja mistrz!...“) z mistrzem mądrości. Czyż nie świadczy to o duchowem Konrada jednego z Konradem drugim powinowactwie, jeżeli nie o tożsamości, dzięki uznanej przez wyznawców osobliwego „dostojeństwa dusz“ własności genjuszów: wewłaszczania w siebie genjusza upatrzonego bez względu na to, czy w rzeczywistości, czy też w imaginacji, w indywidualizmie pojedynczym, czy zbiorowym istniał. Na Mickiewicza oddziałał genjusz kreacji własnej, bohater poematu, wykonawca dzieła wielkiego, ale nieuzupełnionego ścięciem nie „tylu“, lecz wszystkich głów hydry. Czy nie mógł się Wallenrod poprawny dla wyzwolenia Polski znaleźć? Czy nie mógł wyzwolicielem być Dybicz-Ślązak, Paskiewicz-Rusin? Było do ścięcia głów niewiele — tylko trzy: moskiewska, pruska i austrjacka. Od kogo zależało zesłanie Polsce Konrada — czy nie od twórcy świata, mistrza mądrości? Czemu tego nie uczynił? Co mu w tem przeszkodziło?

---

[1] Piszę to w r. 1906. (Nota T. T. Jeża).

Pytania takie i pretensje obsiadły umysł poety, w sercu mu się skupiły, wszystkie nerwy, krew całą w nim poruszyły, ryczały, wyły, wprawiły go w stan gniewu, złości, rozpaczy, bolu, cierpienia „za miljony“. Imię, Konrad, Konrad, Konrad:... chórem głosów niezliczonych na rozmaite tony w uszach mu brzmiało, huczało i do wygłoszenia w mowie bogów przepełniających go uczuć zmusiło.

Nigdy i nigdzie tak dużo tchem jednym Mickiewicz nie napisał, co w Dreznie. Same arcydzieła — a nie inne, jeno patrjotyczne, — i jak patrjotyczne! W charakterze patrjotycznym, z którego natężeniem żaden najgorętszy równać się nie może patrjotyzm, stanął wobec Boga, pozywając Go na sąd przed „całe obręby stworzenia“, głosem, „który z pokoleń pójdzie w pokolenia“.

Pozew ów jest wyzwaniem duże mającem znaczenie we względzie stopniowania w potęgowaniu się patrjotyzmu w Mickiewiczu. Wyzwanie poprzedza poeta przypomnieniem Bogu, że z szatanem walczył osobiście. Woła więc:

Wyzywam Cię uroczyście!
Nie gardź mną: ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy i trony:
Jeśli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niźli Szatan —
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;
Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

W Improwizacji zachodzi tu przestanek, zapełniony głosami: z jednej strony szatanów, z drugiej aniołów stróżów. Improwizacja w podnoszącym się stopniowo zapale tak ciągnie się dalej:

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna to jedno;
Nazywam się Milijon: bo za milijony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.

Czy sposób patrjotyzm mocniej, dosadniej, wyrazić? Czy wątpić można, ażeby w wyrażeniu tem zupełnej, głębokiej szczerości nie było?

Szczerość bije z wyrazu każdego przejętego uczuciem, którego podkład, założony w dzieciństwie pod wrażeniem widoku sztandarów poprzedzających hufce orężne, spieszące na boje o wyzwolenie Polski, odnalazł się w Dreznie dzięki wrażeniu, jakie na poetę wywarło towarzystwo bojowników o Polskę. Cowięcej: wrażenie to ostatnie wzmocniło podkład — wzmocniło go wiarą w Ojczyznę, zachwianą obcowaniem z wielbicielami twórcy arcydzieł poetycznych w Moskwach, Petersburgach, Odesach, Rzymach. Towarzystwo drezneńskie w r. 1832 odmienny nań wpływ wywarło: natchnęło go wiarą w Ojczyznę, w Polskę, w zmartwychpowstanie, w odrodzenie jej. Uwierzył w nią i w potęgę miłowania jej, dającego mu odczuwać wszystkie przebywane przez nią katusze, wszystkie jej męki, bole, cierpienia; uwierzył w nią i w... siebie — w mistrzostwo swoje.

„Ja mistrz!“.

Twórca arcydzieł na polu wrażeń poetycznych poczuł w sobie siłę twórczą na polu czynu.

Czego mu odmówił Bóg, „rządu dusz“, to mu dadzą spółrodacy. Jak on się poczuł mistrzem, tak oni w nim mistrza, wodza, przeczują i oddadzą się mu bezwzględnie, bezwarunkowo, przyjmując władzę jego w sposób taki, ażeby:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni zwiąże się budowa!

Wyznać należy, że ta samowładcza „rządu dusz“ metoda, nieustępująca w niczem metodzie, wedle której w czasach owych rządzili imperatorowie moskiewscy, królowie pruscy i cesarze austrjaccy, gdyby przez rozbitków z powstania uznaną i przyjętą została, toby sprawiła, że na emigracji we Francji zapanowałaby zgoda pszczelna, mrówcza, jagnięca, ale pod warunkiem, ażeby się emigracja nie z ludzi, lecz z pszczół, mrówek lub jagniąt składała.

Poeta nie myślał o tem. W przypuszczeniu, że wychodźce

polscy są natury pszczelej czy mrówczej, napisał dla nich stylem biblijnym księgę praw p. t. *Księgi pielgrzymstwa polskiego*, poprzedzone wstępem historjozoficznym p. t. *Księgi narodu polskiego*. Wstęp mocno we względzie naukowym grzeszy; zato moralizacyjna części drugiej wartość, przypowieściami podszyta, luboć do gminu na emigracji specjalnie stosowana, na znaczeniu swojem w szerszym zakresie dziś nawet nie traci. W niej Mickiewicz czystym jest republikaninem, jak świadczy następujący z rozdziału XIX wyjątek:

„Podobną jest rzeczpospolita, którą założyć macie, do lasu, który sieje gospodarz.

„Jeżeli gospodarz zasieje nasienie dobre na ziemi dobrej, może być pewny, iż się drzewa urodzą, i nie ma potrzeby myśleć o formie drzew, i lękać się, aby się dęby nie urodziły z kolcami, a jodły z liściami.

„Zasiewajcie więc miłość ojczyzny i duch poświęcenia się, a bądźcie pewni, iż wyrośnie rzeczpospolita wielka i piękna“.

Niełaskaw w dobie owej był Mickiewicz na królów wogóle, jakoteż szczególnie na rządców i mędrców francuskich, na rządców i mędrców angielskich [1], jeszcze zaś szczególniej na Kazimierza Périer, prezydenta gabinetu we Francji, oraz na Fryderyka Ancillon, sekretarza stanu dla spraw zagranicznych w tymże gabinecie [2]. Pretensja do nich nie była bez racji. Powstanie polskie wobec zdeptania zagwarantowanych przez św. przymierze wyroków kongresu wiedeńskiego (r. 1815), jakiego się dopuściły Francja i Belgja, odegrało ważną rolę polityczną. Osłoniło ono gwałcicielki wyroków od szykującej się mocarstw sprzymierzonych zbrojnej interwencji celem przywrócenia nadwerężonego przez detronizowanie linji burbońskiej a intronizowanie orleańskiej we Francji i oderwanie się Belgji od Holandji porządku legalnego. O przywrócenie porządku w Europie szczególnie i najbardziej chodziło Mikołajowi I, który jako władca „najporządniejszego“ (?) na kuli ziemskiej mocarstwa, jako świeżo laurami okryty zwycięzca Turcji, jako wreszcie następca monarchy „zaprowadziciela porządku w świecie“, poczuwał się do obowiązku skarcenia wespół z Prusami i Austrją burzycielek onego. W dokonaniu dzieła tego na drodze stanęła

---

[1] Rozdz. XXIII *Ks. pielgrz. p.* (Nota T. T. Jeża).

[2] W rzeczywistości w r. 1832 ministra spraw zagranicznych rządu pruskiego.

mu Polska. Walka powstańcza wywołała ze strony polskiej działalność dyplomatyczną, liczącą na to, że Francja i Anglja, jeżeli nie inaczej, to na drodze dyplomatycznej ujmą się za Polską, opierając się co do niej na wyrokach kongresu z r. 1815. Byłoby to może nastąpiło, gdyby nie zgwałcenie wyroków owych przez rewolucję lipcową, przeszkadzającą Francji wystąpić w interesie sprawy polskiej wespół z Anglją, a nakazującą Ludwikowi Filipowi starać się o uznanie go królem Francuzów przez Rosję zwłaszcza — główną w św. przymierzu odegrywającą rolę. Gdy przeto agenci rządu rewolucyjnego polskiego w interesie sprawy polskiej kołatali do gabinetów w Paryżu i w Londynie, z Paryża wyprawionem zostało do Petersburga poselstwo w sprawie Ludwika Filipa. Do tejto wyprawy poeta w *Reducie Ordona*, wzmiankując o wybuchu powstania, czyni w ustępie następującym w zwrocie do cara aluzję:

Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy, itd.

Pretensję do królów, do parlamentów, do mędrców podzielał Mickiewicz z emigracją i wraz z nią pragnął wolności dla ludów, wywalczonej przez konfederację europejską, zaprowadzoną przez żołnierzy polskich pod wodzą podoficerów. *Księgi pielgrzymstwa* nauczają, jak zaprowadzenie to pielgrzymi propagować mają, a [autor ich] nauczając, wieszczy — przepowiada [1]:

„Zaprawdę mówię wam, iż pielgrzymstwo wasze stanie się dla mocarstw kamieniem obrazy“...

„A z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu“.

Księgi pielgrzymstwa polskiego zamykają: Modlitwa i Litanja. Modlitwa woła:

„Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych“.

---

[1] Rozdz. XXII. (Nota T. T. Jeża).

a Litanja:

O wojnę powszechną za Wolność Ludów!
Prosimy Cię, Panie.
O broń i orły narodowe
Prosimy Cię, Panie!
O śmierć szczęśliwą na polu bitwy
Prosimy Cię, Panie.
O grób dla kości naszych w ziemi naszej
Prosimy Cię, Panie.
O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej
Prosimy Cię, Panie.

I pisał to autor *Do matki Polki...*

Z utworem tym do porównywania i do wzbudzania zdziwień są jeszcze utwory drezneńskie: *Ustęp*, *Reduta Ordona*, *Nocleg*, *Śmierć pułkownika*, *Pieśń żołnierza*, *Do przyjaciół Moskali*. Ten ostatni zaznacza tendencyjność polityczną. Poeta do przyjaciół swoich nie zalicza Kozłowych, Wiaziemskich, Polewojów, Puszkinów, lecz Rylejewa, Bestużewa i towarzyszy ich decembrzystów, — to jest tych, których spotkała szubienica lub praca „rycia w minach obok polskiej dłoni", nie zaś „sroższa niebios kara": „zhańbienia urzędem, orderami", zaprzedanie duszy wolnej w łaskę carską i „wybijanie pokłonów na jego progach". Poświęcenie *Ustępu* pisał nie w Dreznie, lecz w Paryżu, dokąd pojechał dla dopilnowania druku utworów drezneńskich i gdzie dowiedział się o zmianie przekonań niektórych z przyjaciół skazańców grudniowych. Do liczby tych ostatnich należy Puszkin. Do niego wyraźnie zwraca się ostatnia *Do przyjaciół Moskali* strofa. Świadczy ona, że poetycznej odezwy tej autor sam nie liczył i spółziomkom swoim nie radził liczyć na przyjaźń moskiewską.

Gdy piszę to, nasuwa się mi na myśl uwaga, tycząca się sześciu początkowych wierszy ustępu w *Ustępie*, poświęconego „pomnikowi Piotra Wielkiego". W sześciowierszowym ustępie owym autor opowiada o tem, co usłyszał o pomniku od „wieszcza narodu ruskiego, sławnego pieśniami na całej północy", z którym „zwieczora, na dżdżu, pod jednym płaszczem", pod pomnikiem stał. We wzmiankach o ustępie tym i w szerszych nań poglądach krytyków i historyków literatury nie zdarzyło mi się spotkać z wątpliwością, ażeby wieszczem owym miał być nie

Puszkin[1]. Przy twierdzeniu, że Puszkin nim był, upierają się szczególnie amatorowie przyjaźni moskiewskiej, rekrutujący się w sferze dyplomatyczno-politycznej śród ugodowców, w sferze uczonych śród słowianofilów. Tymczasem wątpieniu nic bardziej podlegać nie może. Utwór p. t. *Ustęp* odnosi się całkowicie do lat 1824—5, w których Mickiewicz mógł uściskać szyję wskazanego w grudniu r. 1825 na powieszenie Rylejewa i dłoń Bestużewa, zesłanego do taczek na Syberję. W czasie tym Puszkin leczył się z wolnodumstwa na Kaukazie. Wieszczem przeto owym, co się z Mickiewiczem płaszczem jednym okrywał, być mógł albo Rylejew, albo wytwór fantazji poetycznej, potrzebny do artystycznego udekorowania opowiadania. Zagadki tej Mickiewicz za życia nie rozwiązał; po śmierci zaś jego — wielkiego poety — biografowie nie zadawali sobie trudu zastanawiania się nad nią. Nie rozwiązał jej i syn, bezkrytyczny ojca biograf. Zaznaczam ją bez pretensji do rozwiązania jej. Zresztą sami jeno zbieracze dowodów na jednakowość mianownika pomiędzy rasami polską i moskiewską, oraz na ich styczność duchową, wielką do tego, że Mickiewicz z Puszkinem, nie z kim innym, w wieczór dżdżysty, nie pod parasolem, ale pod jednym, za ręce się trzymając, stali płaszczem, — wielką przywiązują wagę. Kwestja ta ważną mnie się nie wydaje.

Ważniejszym, zdaniem mojem, jest ów stan duchowy, w jaki wprawiło Mickiewicza zetknięcie się z rozbitkami powstania i przejęcie się wiarą w Polskę, jaka stąd wynikła. Uwierzył w Polskę i przejął się patrjotyzmem nie odwetowym, nie wołającym jeno o zemstę na wroga: „Z Bogiem — i choćby mimo Boga“, nie jałowym, lecz czynnym, ożywczym, budującym, twórczym — wyznaczającym pielgrzymstwu polskiemu powołanie apostolskie wedle skazówek biblijno-ewangelicznych. To ostatnie łączyło się z przyznaniem sobie powołania wieszczego, proroczego, w tem znaczeniu, jakie posiadali prorocy w Starym Testamencie naczele ludu wybranego. Poczuwał się w prawie do tego, mimo bowiem że w powstaniu ani z orężem w ręku, ani w uczestniczeniu w niem radą, ani w konspiracyjnych do niego

---

[1] Ostatniemi czasy była ona szeroko roztrząsana; zob. rozprawę W. Lednickiego przy wydanym w tłumaczeniu polskiem poemacie Puszkina *Jeździec miedziany* (Warszawa 1934).

przygotowaniach udziału nie wziął, wrażeniowo jednak powstańcem i więcej niż powstańcem zwyczajnym, rzucającym „broń od oka do nogi, od nogi do oka“, był, gdyż w podniesieniu patrjotyzmu do $+n$ potęgi przecierpiał wszystkie cierpienia, przebolał wszystkie bole narodu. Tak wyznawcy Chrystusa, w przejęciu się w stopniu najwyższym ofiarą Jego krzyżową, nietylko odczuwają przebyte przez Niego bóle i cierpienia, ale na ciele doznają krwawienia w miejscach, w których ciało Syna Bożego przebitem było gwoździami i dzidą. Takim ofiarnym a do czynu powołującym patrjotyzmem polskim przejął się Mickiewicz w Dreznie, w takim napisał *Księgi pielgrzymstwa polskiego*, wskazujące pielgrzymstwu temu zadanie przeistoczenia, podzielonej politycznie na państwa i społecznie na klasy, ludzkości na społeczność wszechludzką, wolną, związaną miłością bratnią i rządzoną przez... mężów natchnionych: z tak rozumianym, uczuwanym i nauczanym patrjotyzmem autor *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* zaciągnął się do szeregów emigracji i przeniósł się z Drezna do Paryża.

W Paryżu wszedł do Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich, przez co wziął udział w ruchach organizacyjnych, jakie się w pierwszych momentach pobytu wychodztwa polskiego we Francji objawiły. Udziałem owym zaznaczył się stosunek Mickiewicza do emigracji — stosunek, dla którego nad zamiar szeroko się o Mickiewiczu rozpisałem, a rozpisałem się dla wykazania powodu, który nie pozwolił mi uznawanemu za mistrza, wielbionemu przeze mnie, poecie hołdu złożyć.

Mogłem to uczynić, przebywając w Paryżu razy dwa w r. 1851 za cudzym paszportem: raz pierwszy celem pozostania w stolicy Francji, raz drugi, przejeżdżając przez nią w roli emisarjusza. Z okazyj tych nie korzystałem. Po raz trzeci zbliżyłem się do niego na klęczkach, gdy zwłoki jego w potrójnej spoczywały trumnie.

Z dwóch pierwszych okazyj nie korzystałem z racji jego „mistrzostwa“.

„Ja mistrz!“

Przyznanie sobie mistrzostwa w uniesieniu improwizacyjnem motywuje księga praw, czem jest utwór noszący nazwę *Ksiąg pielgrzymstwa polskiego*, motywują artykuły publicystyczne, zamieszczane w wydawanym przez E. Januszkiewicza

Pielgrzymie. Kto księgę praw wydał, ten albo sam je wprowadza, albo wprowadzania dozoruje. Czy wprowadzając, czy dozorując — mistrzuje: mistrzem, przewodnikiem, wodzem jest. W poezji Mickiewicz był nim. W praktyce życiowej atoli?

Na punkcie tym odrazu pomiędzy prawodawcą a gromadą emigracyjną zaszło nieporozumienie.

Nieporozumienia powód mniej ważny, sprawiający jednak niesmak, znalazł się w wybraniu dla siebie przez Litwinów na rocznicę powstania dnia innego niż ten, który służył Królewiakom. Dla tych ostatnich rocznicą był 29 listopada; dla Litwinów 25 marca. Ogół emigracyjny głośno przeciwko temu zaprotestował. Nie odnosiło się to wszelako do Mickiewicza i nie byłoby dla niego gromady emigracyjnej ochłodziło, gdyby nie objawiany przezeń słowem ustnem i pisanem zamiar zorganizowania emigracji na wzór i podobieństwo pierwotnego kościoła chrześcijańskiego. *Księgi pielgrzymstwa* i artykuły w *Pielgrzymie* czytało się, jak się czytają Ewangelje, Biblja; znajdowano je zrozumiałemi i zajmującemi, ale w praktyce niemożliwemi. Nie przeszkadzało to w Mickiewiczu mistrza poezji uznawać i wielbić, ale w nim organizatora nie uznawano. Ogół widział w nim wskaziciela, doradcę ideowego, szczytnego, wykazującego cele dalekie, piękne lecz wątpliwie dosięgalne, i dlatego nienadającego się na przewodnika, na wodza, na sprawcę czynów. Wynikła stąd rozterka pomiędzy nim a ogółem, zamarkowana na samym początku przez wstąpienie do towarzystwa, wydzielającego się z ogółu, — rozterka, powodująca nieufność ogółu do niego, w nim zaś uczucie zawodu, niesmak. Zawód ów i niesmak przebijają się w jednym z artykułów jego pióra w *Pielgrzymie*, p. t. *Wyjątek z listu do jednego z redaktorów* [1], zawierającym w sobie „wydarty kawałek“ z danej mu przez pannę Lenormand, sławną w Paryżu w czasie owym wróżbitkę, *Gazety Województwa Szawelskiego* z r. 1899. „Kawałek“ ów świadczy, że wyjeżdżał z Drezna z pewnością znalezienia w Paryżu, w łonie emigracji polskiej, posłuchu bezwzględnego, bezwarunkowego, takiego, jaki posiadał Mistrz z Improwizacji, wyciągający dłonie swoje w niebiosa i kładący je „na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach“, dla kręcenia niemi

[1] Paryż, 2 czerwca 1833. (Nota T. T. Jeża).

swoim duchem, dobywania z nich miljona tonów i rozlewania ich „w dźwiękach i błyskawic wstęgach". Zamiast posłuchu takiego znalazł w emigrantach nie gwiazdy, lecz ludzi, „gadatliwych i bazgrających" — znalazł śród nich „niezgodę" chorobliwą, wyrażającą się naśladownictwem

„choroby miejscowej gadania i pisania, adresomanji i proklamacjomanji i gorszej jeszcze manji pisania teoryj przyszłych konstytucyj".

Zrazu niezgodę usprawiedliwiał: [1]

„Z różności zdań wypływa różność działań, nieszkodliwa dla sprawy naszej, o ile skierowana jest zewnątrz. Nie oburzamy się bynajmniej przeciwko tym, którzy probują Filipa nawrócić, króla angielskiego naprawić, izbom i parlamentom uczucia szlachetne natchnąć, chociaż znamy zatwardziałość grzeszników; żądamy, aby nie oburzano się również na ludzi, którzy sobie wzięli za godło: „Kto nawrócić się nie dał, da się zamordować". A zawsze pewni jesteśmy, że pierwszy szczęśliwy wypadek, pierwsza pieśń zwycięstwa wszystkich połączy".

Autor tego wyjątku i artykułu, ogłoszonego w *Pielgrzymie* dn. 31 maja 1833 r., duże czyniącego ustępstwa autorowi *Ksiąg pielgrzymstwa*, niedopuszczających różnicy zdań, niedługo na ów wyglądany pierwszy szczęśliwy wypadek czekał. Prędko się zraził i usunął. Zraził go nieposłuch emigracyjny, zraziło, a raczej w miłości własnej mistrzowej dotknęło, spółzawodnictwo, wysuwające się z tłumu pod postacią młodziana, zuchwale po jego „z dźwięków i błyskawic" ukute sięgającego berło.

„Ja tu niemile żyję śród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą; doktrynerzy mają za warjata, a wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni" —

pisał w styczniu r. 1833 do Odyńca o emigracji, nie czyniąc wyjątku dla nikogo. Czy świadectwo to słuszne? — O tem wątpić należy; niewątpliwem jest ono jednak we względzie zrażenia się do spółziomków, co go zrozumieć nie umieli i pretensji jego do wszechwładzy nie uznali.

Zraził się, usunął i, jakby szukając uspokojenia dla nerwów rozhukanych: od wieszczenia abstrakcyjnego i prawodawczego, wołającego pod trzymany ręką własną sztandar apostolski, przeszedł do objektywnej twórczości poetyckiej, do budowania artystycznego pod wezwaniem: „Litwo, Ojczyzno moja!".

---

[1] *Niezgody emigracji naszej. Kilka słów o jej ruchach* (*Pielgrzym Polski*, 31 V 1833).

Na złość i naprzekór krzykliwcom głupim i niedołężnym, przeniósł się wyobraźnią „na Litwę, do litewskich lasów, karczem, pomiędzy szlachtę, żydów etc.“ — odosobnił się dla napisania „poemy“ i napisał... epopeę, idącą o lepsze z *Iljadą* Homera. Postawił Polsce pomnik nietylko czyniący jej zaszczyt, ale poręczający za jej bytowanie na przyszłość, pomnik, zaznaczający punkt zborny dla Polaków w służeniu ojczyźnie. Naród, posiadający *Pana Tadeusza*, posiada patent dojrzałości, dający mu pewność siebie, wynikającą z samouznania własnej w porównaniu z narodami innemi wartości.

Utwór ten, to wyobraźni poetyckiej i nastroju artystycznego arcydzieło, jest dzieckiem gniewu iście Achillesowego, różniącego się od gniewu syna Tetydy tem jeno, że ten, zamknąwszy się w namiocie swoim, próżnował, Mickiewicz zaś w swoim pracował, — pracował na złość niejako, na upokorzenie niby emigracji, którą pomawiał, że go nienawidzi. Oskarżenie niesłuszne, oparte na tem, że go, wieszcza, proroka, autora Improwizacji i *Ksiąg pielgrzymstwa*, wodzem dusz swoich nie zrobiła.

Chyba, że — co do tego — racji nie było. Nie powierzyła mu emigracja dusz swoich, ponieważ pomiędzy nim a nią zachodziła nierównomierność, jaka zachodzi pomiędzy promiennym, nadziemskim, w niebo wpatrzonym idealizmem, a żołnierskim, ziemi się trzymającym, w karabin wierzącym realizmem. Ten ostatni z uwielbieniem ku tamtemu zwracać się może, lecz dowództwo nad sobą raczej pierwszemu lepszemu kapitanowi, nie jemu, powierzy. We względzie tym rzemiosło rozstrzyga, i podoficer przed poetą idzie. Przytem w latach trzydziestych wieku XIX Mickiewicz do nienawidzenia siebie emigracji najmniejszego nie dał powodu. Bąkano wprawdzie, że prochu nie wąchał, nie w sensie zarzutu jednak, lecz dlatego, że, co się przewodniczenia rzemiosłowego i politycznego tyczyło, w sferze arystokratycznej oglądano się na Czartoryskich, na Bemów, w demokratycznej na Lelewelów, na Dwernickich. Poetów czczono, a cześć największą oddawano Mickiewiczowi.

Cześć dla niego poświadcza pamiętna u Eustachego Januszkiewicza uczta w dniu imienin jego, gdy on po ożenieniu się, po przebyciu lat kilku w dotkliwym z żoną i dziećmi niedostatku, po wykładaniu przez rok niespełna w Lozannie litera-

tury łacińskiej, do Paryża, w charakterze profesora literatury słowiańskiej w Collège de France powrócił. Opowiadania świadków o uczcie tej ani jedno objektywnem nie jest, sprawę z niej bowiem zdawali wielbiciele Mickiewicza, — wielbiciele o spotęgowanem do $+n$ stopnia uwielbieniu przez fakt objęcia przezeń katedry w Collège de France. Działo się to po wygłoszeniu przezeń pierwszej na katedrze tej lekcji, po nieostygnięciu jeszcze tego zachwytu, jaki ona w słuchaczach wywołała. Słuchaczom Polakom przedstawił się on w momencie owym w oświetleniu posągowem dwojakiem: jako poeta, z którym chęć równania się w innych muz wychowańcach za świętokradztwo uchodziła, i jako profesor, powołany do podniesienia wartości Polski na wyżyny, nakazujące narodom czoło przed nią chylić. Pierwszą lekcję Mickiewicz miał r. 1840, d. 22 grudnia, na dni dwa przed ucztą, urządzoną w zamiarze owacyjnym, któremu odpowiadało symboliczne znaczenie d. 24 grudnia: łączącego imieniny wieszcza i wieczerzę pańską, uroczystość narodową. Wcelu podniesienia charakteru owacji na wieczerzę zaproszono... Juljusza Słowackiego.

Ze strony urządzicieli uczty, miłośników poezji i znawców, znających się przeto na wartości poetycznej Słowackiego i wiedzących o żalu jego za sponiewieranie mu w trzeciej części *Dziadów* ojczyma, był to nietakt. Słowacki miał wprawdzie w dobie owej na emigracji „słuchaczów głuchych albo umarłych“, Januszkiewicze jednak, Witwiccy, Koźmiany i inni doskonale wiedzieli, że głuchotę tę spowodowało wcześniejsze o lat jedenaście przyjście na świat Mickiewicza. Kiedy Mickiewicz w swoim „stanie służby poetycznej“, datowanej od r. 1822 i zapełnionej takiemi „czynami“ jak ballady, romanse, sonety, *Oda do młodości*, *Grażyna*, *Konrad Wallenrod*, *Dziady*, — Słowacki w r. 1832 po raz dopiero pierwszy oglądał w druku utwory poetyczne swoje. W r. 1840 jednak dorobek jego poetyczny we względzie tak liczebnym, jak jakościowym, nie ustępował dorobkowi mickiewiczowskiemu, posiadając takie uczucia i artyzmu klejnoty, jak *Kordjan*, *Poema o piekle*, *W Szwajcarji*, *Ojciec zadżumionych*, *Balladyna* i utwory liryczne. Urządziciele uczty znali to wszystko i wiedzieli, co to warte, znali oraz drażliwość, cechującą jednego i drugiego, a będącą ogólną poetów, jako artystów *par excellence*, właściwością. Nieprzypu-

szczalną jest przytem w Mickiewiczu nieznajomość wartości Słowackiego, połączona z niedomyślaniem się w nim spółzawodnika. Zaproszeni obydwa na ucztę dorozumieli się intencji zaproszenia i przewidzieli wyzwanie do turnieju, do którego na przysposobienie się, jeżeli nie z piórem w ręku, to z myślami w głowie, czasu mieli najmniej dobę całą, — aż nadto na potentatów takich. Na nieprzyjęcie wyzwania Słowackiemu nie pozwalała duma, a może liczył na Mickiewicza — na jego sprawiedliwość profesorską. W warunkach takich wygłoszone zostały improwizacje toastowe przez nich obydwóch wobec galerji, w której nikogo — może nie „ze szlachetnych", jak się Słowacki skarży, ale z nieuprzedzonych względem niego, nie było. Sądząc z odległości lat sześćdziesięciu kilku o turnieju tym, trudno nie przypuszczać, że w powziętym przez wielbicieli Mickiewicza pomyśle uczty owej nie tkwiła intencja upokorzenia poety jednego na rzecz drugiego. Kult mickiewiczowski w momencie owym w apogeum się znajdował na emigracji i w kraju. Zaznaczyłem go dwukrotnie w pamiętnikach moich, w rozdziale, odnoszącym się do r. 1838—9. Raz ojciec mój, dowiedziawszy się, że rymuję, powiedział mi, iż „trzeba być durniem, ażeby po Mickiewiczu odważać się na pisanie wierszy"; drugi raz, na imieninach u państwa Zakrzewskich zięć ich, p. Koszarski, opowiadając o pobycie swoim w Paryżu, oznajmił sporemu słuchającej go szlachty pobereskiej gronu: „Wyobraźcie sobie państwo, syn znanego niejednemu z was z Krzemieńca Euzebjusza Słowackiego, młody chłopiec, śmie się z Mickiewiczem równać!". Słowa te wywołały oburzenie ogólne a wielkie, które się i mnie w stopniu wysokim udzieliło.

Niedziw przeto, że grono wielbicieli twórcy trzeciej części *Dziadów* i *Pana Tadeusza* dopuściło się nietaktu, zapraszając na ucztę Słowackiego, oraz przypuszczalnej niesprawiedliwości, zamieszczając w sprawozdaniach o improwizacji jego wzmiankę, że była piękna, lecz zrobiła wrażenie zimnej. Improwizacja Mickiewicza zato, której obecni stojąc wysłuchali, miała być czemś nadzwyczajnem, porywającem. Januszkiewicz widział nimb świetlany około głowy improwizatora, kasztelan Plater zemdlał ze wzruszenia, Kaszyc noc całą płakał. W tem niema nic dziwnego, dzięki podnieceniu, w jakie wprawiła Mickiewicza improwizacja Słowackiego, podnieceniu, świadczącemu

o dwóch rzeczach: o tem, jaką improwizacja Słowackiego wysoką wartość poetyczną posiadać musiała, jeżeli Mickiewicza podnieciła, oraz o tem, że Mickiewicz był wrażeń niewolnikiem [1].

Z improwizacji tej słuchacze dwa zapamiętali dwuwiersze. Jeden zawiera w sobie dla poetów radę:

Wiedzcie, że dla poetów jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć — do Boga.

Rady tej sam się niekoniecznie trzymał. W drugim dwuwierszu mówi poeta o istocie twórczości swojej:

Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam.

I to niekoniecznie, a przynajmniej niezawsze, tak się robiło, albowiem istnieją autografy bruljonów pokreślonych i popoprawianych, a nawet przeróbek w rękopisach na czysto już do druku przepisywanych.

Ujmy to nie czyni najmniejszej tej improwizacji wigilijnej, po której, jak powiada autorka w swoim zachwytem poetycznym owianym przeglądzie p. t. *Życie i duch Mickiewicza* [2], nastąpił cały szereg świetnych improwizacyj prozą w Kolegjum Francuskiem. Były to w rzeczy samej nie wykłady naukowe, ale improwizacje na tematy wynajdywane przez profesora w źródłach do literatury nieistniejącej. Ks. Adam Czartoryski, inspirator, i minister wychowania publicznego we Francji Wiktor Cousin, wykonawca, omylili się w nadaniu nowozałożonej katedrze nazwy narodu, nieznajdującego się na kuli ziemskiej. Są narody słowiańskie, rasy słowiańskiej: polski, ruski, czeski, rosyjski, serbski, bułgarski, posiadające każdy literaturę własną. Ogólnej literatury słowiańskiej niema. Omyłkę tę rządu za panowania Napoleona III poprawił za pośrednictwem Henryka Martin, historyka, Franciszek Duchiński. Nie dostrzegł jej Mickiewicz, literaturę nieistniejącą improwizował, — improwizował świetnie przez lat dwa, zeszpeciwszy ją tem tylko, że w wykazie poetów polskich spółczesnych wykreślił Słowackiego.

---

[1] Mickiewicz w liście do Odyńca: „Zdaje mi się, że jak magnetyzowany z oczu towarzyszów ciągnie siłę, tak ja z Was nabieram ognia i ochoty“. (Nota T. T. Jeża).

[2] Konopnicka M., *Mickiewicz, jego życie i duch*, Warszawa 1899.

Świadczy to, że w pięknej duszy poety znajdowała się skaza katechizmowego grzechu głównego przedostatniego.

Właściwie w wykładach Mickiewicza literatura grała rolę podrzędną, dekoracyjną w tem znaczeniu, w jakiem wielcy mówcy artyzm budowlany okresów swoich przyozdabiają cytatami poezji wytwornej. Poezja krasomówstwu, które jest artyzmem *(poetae nascuntur, oratores fiunt)* ogromne oddaje usługi. Mickiewicz był i poetą i krasomówcą, niedziw przeto, że improwizowane wykłady jego przejmowała siła twórcza, porywająca słuchaczy. W wykładach występował on w charakterze nie profesora, ale adwokata, broniącego sprawy narodów słowiańskich, krzywdzonych przez losy, a posiadających zalety, cnoty i zasługi, wymagające naprawy krzywd. Temat dla Demostenesa. Dostarczał on poecie-obrońcy natchnień na każdą lekcję tem wznioślejszych, że śród pokrzywdzonych, których wobec świata sprawy bronił, znajdowała się Ojczyzna jego, głównie mu na sercu ciążąca i w wyobraźni naczelne zajmująca miejsce od czasu patrjotycznych w Dreznie wrażeń.

Wrażenia te stanowczy, przełomowy na drodze żywota jego wywarły na niego wpływ, połączony z wpływami doktryn mistyków: Boehma, Saint-Martina, Swedenborga, które, nie schodząc z podłoża wiary katechizmowej („a słowo stało się ciałem"), z zamiłowaniem studjował. W studjach tych psycholog, badający duszę poety, odszuka to źródło, z którego trysnęło w Improwizacji drezneńskiej domaganie się „rządu dusz". Możliwość urzeczywistnienia domagania się tego wykazał w *Księgach pielgrzymstwa*, powołując emigrację do apostołowania wśród ludów w sprawie nietylko Polski, ale ludzkości, pogrążonej w zepsuciu. Uzdrowienie ludzkości przez Polskę i wyzwolenie Polski przez ludzkość wydało się Mickiewiczowi rzeczą tak piękną, tak dobrą i tak potrzebną, że nie wątpił o ogólnem potrzeby tej odczuciu i zrozumieniu, poręczających za powodzenie. Czyż Chrystus, przy pomocy apostołów dwunastu, gnębionych przez faryzeizm i poganizm, ludom drogi wyzwolenia i odrodzenia się moralnego nie wskazał ? Czy duchem bożym natchniony Mojżesz nie wyprowadził ludu żydowskiego z niewoli egipskiej ? Czyż nie dzięki natchnieniu ducha bożego Piotr Pustelnik poruszył Europę do półtorawiekowej zgórą walki dla celu idealnego: otoczenia czcią grobowca Boga-Człowieka, co człowieczeńskość swoją dla zba-

wienia ludzkości na męczeństwo ofiarne oddał? Przykłady takie nie mogły nie przemówić do niego, gdy, po doznaniu niepowodzenia w zamiarach swoich apostolskich i usunięciu się od innych, emigracyjnych „niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów“, do zacisza lozańskiego, doszło go na katedrę w Kolegjum Francuskiem wezwanie. Wziął je za głos boży, powołujący go do służby, za nakaz zgóry, niemający jako taki nic wspólnego z „niewczesnemi zamiarami“ jakicheś tam krzykliwych demokratów czy arystokratów emigracyjnych, jakicheś tam rządców i mędrców. W duchu tym wezwanie przyjął, gwoli — nie zapominać o tem należy — „rządu dusz“.

Na katedrze poczuł się mistrzem... odpowiedzialnym przed Bogiem tylko.

Genjalny poeta, poezją zaprawiający krasomówstwo, posługujący się w sposób oryginalny językiem zadziwiającym i zachwycającym Francuzów, zasilający, a częściej zastępujący, naukę twórczością poetyczną, — profesor taki stał się w Paryżu zjawiskiem ściągającem tłumy. Największe w Kolegjum audytorja okazywały się za małe dla pomieszczenia słuchaczy różnonarodowych. Francuzi, Niemcy, Włosi, Anglicy, Hiszpanie, Moskale, Czesi, Serbowie, Polacy tłoczyli się na ławach, wytężając zmysły patrzenia i słuchania.

Czy widzów tych i słuchaczy ściągała żądza wiedzy?

Spoczątku chyba, póki nie dosłuchali się, że mistrz wykłada nie literaturę, ale istotę przebijającego się w literaturze ducha słowiańskiego. Na wykłady szli, jak się chodzi do teatru, więcej dla frazesu, dla akcentu, dla gestu, aniżeli dla treści. Sam Mickiewicz się na tem spostrzegł i uskarżał, na Polaków zwłaszcza, uczęszczających celem dowiedzenia się — jak powiadał — „czy arystokrata, czy demokrata ze mnie“. Nie mogło mu to nie sprawiać przykrości, podobnych do deptania po cierniach. Szedł jednak dalej drogą ciernistą z taką wiarą i z takiem postanowieniem, z jakiem Manes (założyciel manicheizmu) dał się żywcem ze skóry (r. 247) obedrzeć, z jakiem Huss w Konstancji (1415), Servet w Genewie (1553) na całopalenie się oddali. Szedł dalej, czując wyczerpanie się na drodze naukowej i oglądając się na drodze tej za pomocą.

Pomoc się jawiła w obsłonach cudu, pod postacią przy-

byłego z Litwy kałamaszką szlachcica, który go „w imię Boże“ powitał i... żonę mu uzdrowił.

I wnet w wykłady nowe weszło życie.

Na katedrze miejsce literatury zajął mesjanizm.

Mesjanizm emigrację odepchnął od Mickiewicza: nie od Mickiewicza-poety, ale od Mickiewicza-wodza na drodze czynu.

Mistrz „słowa“ okazał się niezdolnym do przeistoczenia „słowa w ciało“, co było jego pragnieniem, dążeniem i co go poróżniło ze „szlachcicem z Litwy“, Andrzejem Towiańskim, obdarzonym przez naturę zdolnościami, spólnemi wszystkim założycielom sekt religijnych. Wszyscy oni, bez wyjątku prawie, podają się za zesłańców bożych, niektórzy za Chrystusów nawet. Znałem jednego Chrystusa osobiście, lekarza Moskala, który przepowiadał, nauczał, rozkazywał i kółko wierzących mu wyznawców posiadał. Towiański był we względzie tym skromniejszym od niego i z racji tej wyznawców, mimo że się o nich starał (Skrzynecki generał), nie znajdował, aż udało mu się trafić na „niewolnika wrażeń“ tej co Mickiewicz miary i... „słowo“ stało się towianizmem. Faktyczne towianizmu czyli mesjanizmu założenie dokonało się dzięki Mickiewiczowi, a raczej dzięki zbiegowi okoliczności, zaszłych w momencie, w którym go Towiański powitał. Okoliczności zbiegło się dwie: choroba żony i wyczerpanie się pomysłów na ciąg dalszy kursu literatury nieistniejącej. Zadaniu podobnemu sam jeno Mickiewicz mógł podołać, póty atoli, póki tchu czyli natchnienia, czyli — wyrażając się trywjalnie — konceptu starczyło. Towiański cudu (?) dokazał, zaradzając jednemu i drugiemu: strapionemu mężowi żonę uzdrowił i profesorowi materjał na wykłady dał.

W warunkach takich z nieba niby zeszłe wrażenie — podziałało.

Wrażenia sprawca samowładnie nad poetą zapanował i... poetę nietylko emigracji, ale Polsce wydarł.

Emigracja, bezpośrednio — że tak się wyrażę — dotknięta, odczuła to odrazu i mocniej aniżeli krajowce. Ogromna jej większość w organizacjach: trzeciomajowej (arystokracja), demokratycznej i zjednoczeniowej, odwróciła się nie od twórcy *Dziadów*, *Pana Tadeusza*, *Konrada Wallenroda*, ale od towiańczyka. W towianizmie doktryna mesjanistyczna razi we Wrońskim jeszcze kosmopolityzmem, na czem się — przypuszczać

należy — Mickiewicz nie spostrzegł zrazu. Nie spostrzegła się i emigracja, której do przekonania nie trafiały ani metempsychoza, ani techniczne znaczenie w doktrynie posiadające wyrazy i wyrażenia: „ton“, „drgnięcie“, „kolumny duchów“, „ruchy“, „tchnienia“ itp., zwłaszcza zaś duchy, z któremi towiańczycy w stosunkach pozostawali, poufalili się, i którym przyznawali wpływ decydujący na losy Polski.

Wszystko to jednak służyłoby do zasilania humorystyki emigracyjnej, do odzywania się niejednego z emigrantów słowami *Wachmistrza Dorosza* (W. Pola): „U mnie duch, co tęgo bije“, — gdyby nie wystosowany przez towiańczyków do Mikołaja I adres, oddający siebie i Polskę w poddaństwo carskie. Ponieważ wedle św. Pawła „wszelka władza od Boga pochodzi“, każdy przeto monarcha jest zesłańcem bożym, dzierżącym daną mu przez Boga dla karania w nieprawościach grzęznące narody rózgę, przeciwko której nie buntować się, ale którą czcić i błogosławić należy.

Adres ten ogólne wywołał oburzenie.

Nie podpisał się na nim ani Mickiewicz, ani Słowacki; zaprotestował atoli przeciwko niemu tylko drugi; jak jeden wszelako, tak drugi od mistrza się odwrócił, nie zrywając z doktryną.

Słowacki, trawiony gorączką suchotniczą, wprowadził muzę swoją w niedostępną dla śmiertelników zwyczajnych krainę mistyczną.

Mickiewicz, podniecony wypadkami lat czterdziestych w. XIX, przystąpił do zabranianej przez Towiańskiego „realizacji słowa“, co w mowie pospolitej znaczyło: pełnienie czynów.

Na drodze czynów nie wiodło się mu. Próbował na towianizm nawrócić papieża i nie nawrócił. Spróbował stanąć naczele orężnych szyków polskich, i Polacy nie pogarnęli się pod buławę jego. Nielepiej mu się wiodło we spółpracownictwie w dzienniku socjalistycznym *Tribune des Peuples*, redagowanym przez Armanda Carrela. Całą korzyścią, jaką zabiegi te przyniosły, było pozyskanie dla mesjanizmu Włochów kilku.

Zajęcie krzesła prezydjalnego w wznowionej respublice francuskiej przez synowca Napoleona I, który pierwszorzędną w doktrynie mesjanistycznej odegrywał rolę, ożywiło w Mickiewiczu nadzieję na czyn, czyli na „realizację słowa“. Kazało to na siebie czekać lat siedem, nato ażeby się w r. 1855 roz-

strzygnęło. Znalazłem się w roku onym najbliżej osoby Mickiewicza... złożonej w trumnie. Ukląkłem przed nią.

W r. 1851 miałem dwukrotnie sposobność złożenia hołdu wielkiemu poecie naszemu, przebywającemu w czasie tym w Paryżu w charakterze bibljotekarza w Arsenale. Nie poszedłem do niego. Należałem do tej zgrai, co wyprawiała „dzikie wrzaski“, nie na poetę, ale na towiańczyka. Stanowiła ona na emigracji większość i — cobardziej — rację miała. W położeniu, w jakiem się Polska znajdowała i znajduje, sprawie jej egzaltowanie patrjotyzmu służy, obniżanie go ją zabija. Mickiewicz-poeta, jako taki niewolnik wrażeń, Mickiewicz-Polak, jako taki patrjota, od wrażeń patrjotyzm uzależniał nieświadomie. Pod tym przeto wpływem patrjotyzm w nim podlegał fluktuacji: potęgując się raz do najwyższego wytężenia zemsty samsońskiej, burzącej „jednem wstrząśnięciem kolumny gmach cały“, dla zginięcia pod nim samemu i nieodbudowania z gruzów niczego, — znów schodząc na nizinę rezygnacyjną, ostrzegającą matki przed „złem bawieniem się synów“; następnie wznosząc się raz aż do wyzywania i karcenia Boga, pokorniejąc znów aż do oddania się pod rozkazy człowiekowi, mieniącemu się posłem bożym, wprowadzającym ludzkość, świat cielesny, w obcowanie ze światem duchów, powołanym do zreformowania ludzkości, tak ażeby stała się jedną miłującą się rodziną, niepodzieloną na ojczyzny i niepotrzebującą walczyć o nie.

Z ideą ojczyzny jednak Mickiewicz, jak Słowacki, rozstać się nie był w stanie. Zapoczątkowane powstaniem krakowskiem r. 1846 wypadki polityczne europejskie porwały go, powołały do czynów, stanowiących mieszaninę mistycyzmu z realizmem, takich np. jak ów legjon, naczele którego stanął, z Rzymu hufiec, liczący ludzi kilkunastu, wyprowadził i na drodze do Medjolanu opuścił, dla publikowania w *Tribune* artykułów zaprawnych towianizmem i socjalizmem. Gdyby legjon ów, którego działalność zakończyła się na przyjęciu owacji, jaką został w bramach Medjolanu powitany, nie był Mickiewicza dziełem, sławiliby hufiec ten nie wieszcze (Wyspiański), ale humoryści.

Dowiedziałem się o tem wszystkiem po wojnie węgierskiej (1848—9) na emigracji w szeregach demokratycznych. Mickiewicz przedstawił się mi inaczej aniżeli w kraju. W kraju, na ławach szkolnych (w gimnazjach i w uniwersytetach), dzieła

jego we mnie i w kolegach moich patrjotyzm rozogniały. „Wallenrodyczność“, o której w Londynie czy w Paryżu usłyszałem,

czyli wallenrodyzm,
Ten wiele zrobił dobrego, najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.

Dla nas, w uniwersytetach zwłaszcza, wallenrodyzm był ideałem patrjotycznym, przedmiotem marzeń, dla których ci, co w sobie żyłkę żołnierską czuli, do szeregów moskiewskich się garnęli. Ja sam o małom do wojska rosyjskiego nie wszedł: jedną nogą byłem już w saperach, drugą później trochę w ułanach, nim obiema wszedłem do piechoty w legjonach polskich na Węgrzech. Przedtem, w kraju, w szubienicach nawet, wskazywanych przez autora *Konrada Wallenroda* ku przestrodze matki Polki, widzieliśmy zaszczytne drzewo krzyża Chrystusowego. Przypominam sobie, jak raz, r. 1848, przejeżdżając przez Skwirę, miasto powiatowe na Ukrainie, ujrzawszy na rynku wystawioną na postrach patrjotom polskim szubienicę, przypatrywałem się i wyobrażałem sobie na niej siebie z drwiącym na obliczu pod adresem Moskali uśmiechem.

Patrjotyzm polski, tak w kraju jak zagranicą, tkwił w narodzie i z narodu na poetów przechodził. Stanowił on drogą narodu własność. Nie dziw przeto, że Mickiewicza „dzikie wrzaski“ powitały, gdy wrażeniu nowemu z patrjotyzmu, który sam tak był podniósł i wyakcentował, ustępstwo uczynił. On nie błądził, szedł bowiem własną, wrażeniami wytyczoną drogą poetyczną; nie wolno jednak zarzutów czynić tym, co w duszach pielęgnowali patrjotyzm czysty, niedający się podnosić i zniżać wedle zmienności wrażeń, jakim podlegał poeta. Na tem polega okoliczność łagodząca wobec oskarżeń emigracji o „wrzaski dzikie“, oraz uspokajająca sumienie moje wobec wyrzutu, jaki sam sobie nieraz czynię za niezłożenie mu hołdu za życia jego.

Nie spodziewałem się i nie przewidywałem, że potrzeba uspokojenia sumienia własnego zabierze mi czasu tyle i tak się rozwinie, iż urośnie na studjum o Mickiewiczu psychologiczne. Może się ono przyda historykom i literatury i emigracji, — emigracji, która zasługuje na to, ażeby się nią historycy po-

ważni poważnie zajęli. Zostawiam je przeto w całości w rozdziale pamiętników moich, poświęconym wspomnieniom z wystawy paryskiej r. 1867. Wywołała je rozmowa z Kraszewskim w sprawie katedry literatury polskiej w Krakowie.

Z wydatniejszych z wystawy wspomnień pozostaje mi jeszcze jedno tylko: wizyta Aleksandra II, zaznaczona dwoma wypadkami pamiętnemi: powitaniem go w Pałacu Sprawiedliwości przez adwokata Floquet i zamachem Berezowskiego.

Powitanie było następstwem ogólnego przez lud w Paryżu przyjęcia władcy Rosji.

Wystawa r. 1867 podwójne miała znaczenie: ekonomiczne i polityczne. Ekonomiczne, opierające się na przemyśle i handlu, posługującemi się zaprzęganemi na ich usługi przez naukę siłami przyrody, świadczyło o cywilizacyjnej wartości narodów, biorących w niej udział. Takiem jest podkładowe wystaw wogóle znaczenie. Znaczenie polityczne tyczyło się szczególnie cesarstwa, a jeszcze szczególniej dynastji w osobie Napoleona III, usiłującego wszystkich monarchów uczynić sobie nietylko *de facto* i *de jure* braćmi, do czego prawo nadały mu pomyślnie zakończone dwie wojny (krymska i włoska) oraz niepomyślna próba zaszczepienia władzy monarchicznej w Ameryce, — ale i prawo to ugruntować, wyciskając na niem pieczęć serdeczności przy...kielichu. Sposób ów zaleca przysłowie polskie: „Czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą“. Dla zniewolenia przeto monarchów do pobratania się z nimi, obok *de facto* i *de jure* także *de anima* i *de corde*, Napoleon III wszystkich na kuli ziemskiej dynastów własnoręcznie zaprosił. Zaproszenia te rozbudziły w świecie cywilizowanym ciekawość: czy wszyscy je przyjmą? Wątpliwość odnosiła się zwłaszcza do trzech: do sułtana, z racji islamizmu niedozwalającego kalifowi, głowie wiernych, pospolitować się z giaurami, do cesarza austrjackiego i cara rosyjskiego, mających do Napoleona III żal, jeden za upokorzenie go r. 1859 we Włoszech, drugi za wywołanie przeciwko niemu kampanji dyplomatycznej r. 1863 w sprawie polskiej. I sułtan atoli i cesarze, ten o nakazach proroka, ci o żalu zapomnieli. Zaproszeni stawili się wszyscy i toastowali na zdrowie Napoleona III, jego małżonki i syna, na nieprzerwalność przyjaźni z nimi. Szczerość życzeń tych, ze strony zwłaszcza Prus, które w rok przedtem Austrję z Rzeszy Niemieckiej wytrąciły i hegemonję jej

wydarły, okazała się w świetle właściwem we trzy lata później, pozbawiając Napoleona III tronu, zabierając następnie Francji Alzację i Lotaryngję i każąc jej płacić koszty wojenne w wysokości, o jakiej się do czasu onego żadnym jeszcze nie śniło filozofom. W r. 1867 nic na pozór zdarzeń tych przewidywać nie pozwalało. Cesarz francuski i król pruski bankietowali i jeden drugiemu braterstwo monarsze świadczyli. A kiedy oni się bratali, agenci pruscy w roli komiwojażerów handlowych, artystów, turystów, wyrobników, krążąc po Francji drogami i ścieżkami wszystkiemi, czyniąc rekonesanse sytuacyjne, zdejmując ukradkiem plany, zbierali po przyjacielsku informacje dla sztabu w Berlinie, planującego wojnę z Francją.

Z przyjaźni tego rodzaju nie przybywał Aleksander II. Przyjeżdżał dla zabawienia się w Paryżu, posiadającym w materji tej specjalność rozgłośną. Zaznaczył zgóry cel ten wyraźnie, telegrafując po przekroczeniu granicy francuskiej o zatrzymanie dla niego loży w teatrze Rozmaitości (Variétés), w którym grano wówczas *Wielką Księżnę Gerolstein*, zakazaną w Rosji, spowodu, że za zbyt przejrzyście bohaterka w tej sztuce zdradzała swój model: prababkę Aleksandra II, Katarzynę Wielką. Wieść o telegramie tym dobrze dla cara Paryżan narazie usposobiła. Okrzykiwano go: *vive le tsar!* i *vive le kzar!* Trwało to jednak niedługo. Od połowy drugiego dnia pobytu w Paryżu o słuchy carskie nie obijały się okrzyki inne, tylko: *vive la Pologne!* Prześladowały go one w punktach zwłaszcza, w których się zatrzymywał dla zwiedzania znajdujących się w liczbie dużej osobliwości paryskich. Doszło wreszcie do skandalu w gmachu sprawiedliwości, w wielkiej, zwanej *des pas perdus*, sali wchodowej, w której adwokatura uroczyste mu przysposobiła powitanie. Od wchodu głównego przez salę ciągnął się we dwa szeregi, oczyszczające ulicę środkową, szpaler adwokatów w czarnych togach i w czarnych czworokątnych na głowach okryciach. Szpaler ciągnął się do drzwi w przeciwległej ścianie sali, u których dla przemówienia do wysokiego gościa stał w otoczeniu dygnitarzy fachu prezes korporacji, noszący nazwę *bâtonnier*. Za szeregami szpaleru salę zapełniał tłum.

Aleksander II, poprzedzając liczną, z generałów i adjutantów francuskich i moskiewskich składającą się świtę, wkroczył wchodem głównym i uśmiechnięty, skinieniami głowy na prawo

i na lewo odwzajemniając się adwokatom za składane mu rogatywkami urzędowemi ukłony, posuwał się powoli ku czekającemu nań z miną nastrojoną i przemową stylową *bâtonnier*'owi. Gdy car ku środkowi szpaleru się zbliżył, jeden z adwokatów zamaszyście niski mu złożył ukłon i, w oczy carskie patrząc, gromki wydał okrzyk:

Vive la Pologne, Monsieur!

Car się zmieszał, zbladł, i o krok się cofnął.

W tym momencie, w tem oka mgnieniu, „jak dwóch lutni *zu der himmelvollen Harmonie* zlewające się zgłoski", zagrzmiał od drzwi przeciwległych okrzyk:

A la porte!

Okrzyk wyszedł z ust *bâtonnier*'a, który go wydał z gestem rozkazującym zakończonej palcem wskazicielem ręki, zwróconej w punkt, w którym stał adwokat, co się takiej niegrzeczności względem gościa cesarskiego dopuścił. Rozkaz więc: „Za drzwi go!" zwracał się do niego, a raczej do konfraterni adwokackiej, wzywając ją, ażeby go za drzwi wyrzuciła. Aleksander II jednak, w tym samym znajdujący się punkcie, wziął go do siebie, na lewo wtył zwrot wykonał ku wyjściu, chwiejące się pod sobą nogi uczuł, ręce wyciągnął i pod ramiona przez otaczającą go świtę podchwycony, wyprowadzonym, a raczej wyniesionym, wyrażając się zaś dokładniej, wyrzuconym z sali został. Nim wyszedł, dwa żegnały go okrzyki: jeden zwykły, pod adresem Polski, drugi:

Vive Floquet!

Było to nazwisko adwokata, co się niegrzeczności dopuścił.

Okrzyk ten odrazu adwokata nieznanego głośnym, jako jednego z gorących sprawy polskiej przyjaciół, uczynił.

Sprawa polska dużo we Francji pod koniec cesarstwa wtórego liczyła jeszcze przyjaciół. Śród nich Floquet zaszczytne zajął miejsce. Zaszczyt ten wszelako, gdy cesarstwo trzecia rzeczpospolita zmieniła i ku zaprzyjaźnieniu się z Rosją skłonność uczuwała, ciążyć mu począł. Ciążenie się stopniowo wzmagało, aż je z bark zrzucił i stał się gorącym *entente cordiale* zwolennikiem. Synowi Aleksandra II krzyknąłby: *à bas la Pologne!* i naródby mu za to okrzykiem *vive Floquet!* dziękował. Ludzi pojedynczych i narodów sympatje nastrajają okoliczności.

Nastrój sympatyczniejszy, aniżeli skutkiem okrzyku Flo-

queta, okazał się przy okazji zamachu na cara, dokonanego przez Antoniego Berezowskiego. O zamachu dowiedziałem się na obiedzie w „Dziurce"; tak zwano garkuchnię trzymaną przez Janka, ekskucharza pułkownika z r. 1831, przezywanego (nie o pułkowniku mowa) „trucicielem", u którego się mimo to emigracja stołowała. Naśladowałem innych i — nie otrułem się. Jadłodajnia owa zalecała się taniością i tem, że kredytu udzielała. Owóż gdym się w niej w towarzystwie kilku spółrodaków truł razu pewnego, wchodzi ktoś, przy stole siada i oznajmia tonem zapytania:

— Słyszeliście państwo o zamachu na cara?

— Słyszeliśmy o przeglądzie — ktoś odpowiedział.

— Ale o zamachu na przeglądzie?

— Nie.

Świeża ta nowina zaciekawiła konsumentów trucizn Jankowych i Janka samego, nieprzypuszczającego, ażeby się coś podobnego stać mogło.

— Zamach? a do tego na cara? Zamachu na cara chyba Polakby się dopuścił.

— Ano... Czemużby nie? — ktoś się odezwał.

— Świętorzeckiego sam minister wzywał do siebie i wziął od niego zapewnienie, że emigracja polska o zamachach na nikogo ani myśli.

Gdy na cara kolej na uczynienie zadość zaprosinom cesarskim nadchodziła, policja zwróciła na Polaków uwagę, polecając szpiegom swoim, znajdującym się, niestety, w szeregach polskich, czuwać zwłaszcza nad członkami Zjednoczenia oraz nad mierosławczykami, których gromadka około dyktatora, jak druga gromadka pod nazwą towiańczyków około mistrza, się kupiła. Ci ostatni czcili w monarchach zesłańców bożych, ich przeto o zamach na cara podejrzewać racji nie było. W oczach mierosławczyków większymi Polski wrogami byli nie carowie, ale ci Polacy, co dyktatury Mierosławskiego nie uznawali. O stronników Hotelu Lambert policja się we względzie tym nie troszczyła, równie jak o stronników nienależenia do stronnictwa żadnego i spożywania w spokoju uczciwie zapracowanego kawałka chleba, myśląc nie o Polsce, ale o sobie. Pozostawało więc tylko Zjednoczenie, mieniące się politycznem Towarzystwa Demokratycznego spadkobierstwem, bawiące się przeto

polityką i mogące być posądzonem o zamiary i zamachy najbardziej zbrodnicze w odniesieniu do austrjackich, pruskich, zwłaszcza zaś moskiewskich gości koronowanych pragnącego być ich bratem cesarza Francuzów. Śród zjednoczeńców rolę najwybitniejszą odegrywał najpokaźniejszy pomiędzy nimi, najbardziej w sferach francuskich towarzyskich i urzędowych znany i poważany, Bolesław Świętorzecki. Rozpisywałem się już o nim w rozdziale poprzednim, powtarzać się więc nie potrzebuję, wyprowadzam go zaś w opowiadaniach moich znów na scenę dlatego, że w wywołanej przez zamach sprawie sądowej udział jego zaznaczył się najmocniej.

Że zamachu Polak się dopuścił, o tem dowiedziałem się na budzie omnibusa, na której niezwłocznie po obiedzie w Dziurce jechałem z dzielnicy łacińskiej na Batignolles. Zająłem miejsce na ławce obok furmana, obok mnie i za mną ulokowali się Francuzi i nim omnibus z miejsca ruszył, pomiędzy nimi się rozmowa o zamachu zawiązała. Od pierwszego niemal słowa wyraz „Polak" o słuch mój uderzył. Treść rozmowy stanowiło nadużywanie przez cudzoziemców, szczególnie przez Polaków, udzielanej im wspaniałomyślnie we Francji gościnności. Siedziałem niby na szpilkach i milcząc słuchałem, jak Francuzi rozprawiali o potrzebie skończenia z tą wspaniałomyślnością i pozbycia się z kraju gości nieproszonych, niewdzięczników, przez Francję żywionych i chronionych.

Odgrażań się tych i narzekań słuchanie wielką mi sprawiało przykrość.

W Batignolles dowiedziałem się o nazwisku sprawcy zamachu. Nikt go nie znał.

Wieczorem zgromadziło się nas w hotelu, w którym zamieszkiwaliśmy, grono większe i w gronie tym Frankowski sobie Berezowskiego przypominał niewyraźnie, jako powstańca w oddziale Edmunda Różyckiego, co Moskali pod Salichą na głowę pobił i następnie, do Galicji wprowadzony, stał się jądrem korpusu Artura Gołuchowskiego, przeznaczonego do wkroczenia na Podole lub Wołyń i... niewkraczającego. Skutkiem zadekretowanego w r. 1864 stanu oblężenia w Galicji Galicjanie, uczestnicy powstania, pod sąd poszli, obcokrajowcy zaś z kraju wygnani zostali. Jedną z wygnańców tych partję w roli przewodnika wyprowadzał Ruszczewski. Od niego dopiero dowie-

dziano się, że w partji tej znajdował się Berezowski, sprawca zamachu, młody chłopak, który po przybyciu do Paryża wziął się niezwłocznie do pracy w fachu ślusarskim i w fachu tym gorliwie, do żadnej politycznej nie wtrącając się działalności, pracował.

O zamiarze jego zamachowym nie wiedział nikt, ani Ruszczewski, do którego zgłaszał się niekiedy. Gdyby się był kogo poradził, byłby zapewne zamachu nie wykonał, jak tylko sobie wyobrazić można — najniedołężniej. Kupił pistolet lichy, napchał weń prochu o wiele więcej niż potrzeba, wpędził nieodpowiedniego kalibru kulę, ulokował się przy drodze zaznaczonego w programach przejazdu na rewji cesarza z carem, i gdy pojazd z cesarzem i carem wgłębi, z dwoma carewiczami na przedzie siedzącymi, ze strzelcami konno obok, nadjechał, pistolet podniósł i w kupę wypalił. Wystrzału skutek był ten, że rozerwany w ręku pistolet skaleczył mocno strzelającego, a wypchnięta zeń kula zraniła lekko konia i siedzącego na nim strzelca. Cesarz i car twierdzili, że słyszeli gwizdnięcie kuli, pomiędzy ich głowami przebiegającej. Nie jest to twierdzenie wiarogodne, gaz bowiem, jaki się z zapalonego prochu wywiązał, całą siłę swoją zużył pierwej na rozerwanie lufy, aniżeli na wypchnięcie z niej kuli. Twierdzenie to przeto w głowach panów najjaśniejszych imaginacja niejasno *a posteriori* wytworzyła.

Główny zamachu wynik wyrazić się musiał sądem nad wydartym przez policję z rąk rozwścieklonej publiczności zbrodniarzem, który po wystrzale zemdlał. Zemdlonego agenci policyjni do więzienia odwieźli i w więzieniu dopiero ocucili. Pierwszem odezwaniem się jego było zapytanie, czy cara zabił.

Po wypadku tym władze niezwłocznie wezwały Świętorzeckiego dla rozmówienia się z nim, zaczynając od zarzutu:

— Zaręczałeś pan, że ziomkowie twoi zamachu się nie dopuszczą.

— Nie zaręczałem, tylkom zapewniał na tej podstawie, że co Polacy, to nie Włosi.

— To prawda — odrzekł minister, przypomniawszy sobie Orsiniego.

— Zapewniałem ogólnikowo, co nie wyklucza wyjątków.

— I to prawda — przyznał minister. — Chodzi o to, ażebyście panowie z waszego Zjednoczenia w dochodzeniu trudności nie stawiali i na opinję oddziaływać nie próbowali.

Zalecenia te nanic się nie zdały. W dochodzeniu nie mogliśmy ani szkodzić, ani pomagać, znajdowało się ono bowiem całkowicie w rękach agentów policji tajemnej, wyszukujących ujemnych zwłaszcza świadectw z życia obwinionego, nadających się do charakteryzowania oskarżenia głównego, tyczącego się zamachu. Teatrem, na którym się świadectwa tego rodzaju po miastach najpospoliciej ujawniają, są miejsca podejrzane, noszące nazwę ogólną „jaskiń zepsucia". W miejscach tych nie mogliśmy policji ani wyprzedzać, ani za nią iść, dla tej prostej racji, że były nam nieznane. Dostęp służył nam do warsztatów, w których delikwent pracował i w których opinja o nim zależała od zwierzchników, właścicieli i kontrmetrów: na tych absolutnie nie mieliśmy wpływu. Rzadcy emigranci, co go znali bliżej, świadczyli o nim jaknajlepiej. Takie same świadectwo oddawali mu właściciele i właścicielki mieszkań, które zajmował. W gromadzeniu tych informacyj emigracja żadnej do odegrywania nie miała roli. Sprawcą zamachu zainteresowała się żywo opinja publiczna w Paryżu i za jej pośrednictwem do wiadomości naszej dochodziły rezultaty dochodzeń agentów, dochodzeń tak szczegółowych, że we względzie konduity Berezowski, młodzieniec lat mało co więcej nad dwadzieścia liczący, wyszedł z nich bez skazy najmniejszej. Reguła *cherchez la femme*, wielkie mająca w kryminalistyce francuskiej znaczenie, do odkrycia bodaj miłostki jakiejś nie posłużyła. Praojcowie nasi, synów w świat wyprawiając, nakazywali im pod błogosławieństwem wystrzegać się: kieliszka, kart i podwiki. Chłopak ten się do nakazu tego stosował, ze ścisłego bowiem śledztwa wychodził pod postacią młodzianka ewangelicznego. Zbrodniarze tego rodzaju kłopot sprawiedliwości niemały sprawiają.

Kłopot w wypadku tym tem był większy, że opinja publiczna zgóry zbrodniarza i zbrodnię bez najmniejszej ze strony naszej interwencji osądziła. W dniu zamachu zdawało się, że się ona najgorzej dla sprawcy i dla spółziomków jego nastroiła. W dniu następnym dzienniki popołudniowe zapisywały okrzyki *vive le tsar!*, potępiając zamach mocno. Wiedzieliśmy już jednak, że są to usiłowania nastrojenia opinji na rzecz gościa, których skutek jest wątpliwy. Rano Aleksander Frankowski udał się był do jednej z fabryk dla zasiągnięcia wiadomości i na wstępie

do warsztatu, zapełnionego pracownikami, kontrmetr, który go zdaleka ujrzał, głośno go temi powitał słowami:

— Wiem, po co przychodzisz! Powiedz spółziomkom swoim, że Berezowski jest, zdaniem naszem, *un justicier* [1]!...

Od południa też wznowiły się na cześć Polski okrzyki, uszom cara i carząt niemiłe. Z towarzyszących ojcu carewiczów starszy, Mikołaj, zaręczony z Dagmarą duńską, umarł wkrótce, młodszy jął za żonę narzeczonę brata i wstąpił na tron pod imieniem bolesnej dla nas i smutnej — dzięki spotęgowaniu rządów czynowniczych — dla Moskali pamięci Aleksandra III.

Na dworcu nawet, gdy odjeżdżał, Aleksandra II żegnały niemiłe mu okrzyki. Po odjeździe jego troska emigracji zwróciła się na sprawę sądową, będącą wynikiem zamachu. Zajmował się nią zarząd Zjednoczenia, z którego ramienia działał Świętorzecki wraz z Ruszczewskim. Ten ostatni, w charakterze opiekuna czy krewnego, uzyskał prawo odwiedzania podsądnego w więzieniu. Było to dla niego pociechą, niepokoiła go bowiem myśl, jakie krok jego na spółrodaków wywarł wrażenie. Obchodziło go to bardziej, aniżeli prawdopodobieństwo śmierci. Czyn zamachu na życie kwalifikował się do sądu przysięgłych, którzy w ręku swojem los jego mieli. Przysięgli w zasadzie sądzą wedle sumienia, które jednak, samo sobie pozostawione, wyrokowałoby naoślep, gdyby im spraw nie objaśniali oskarżyciel-prokurator i obrońca-adwokat, których opinje streszcza prezydent trybunału, stosującego wyrok wedle orzeczenia stopnia winy przez sędziów przysięgłych. Skład sędziów zależy od losowania; skład trybunału i oskarżyciela wyznacza ministerstwo sprawiedliwości w państwach monarchicznych, obrońcę wybiera sobie delikwent.

Berezowski urządzenie obrony, czyli wybranie adwokata, zdał na Ruszczewskiego. Ruszczewski rzecz tę powierzył ciału obradującemu, które się samo dobrało i w mieszkaniu Świętorzeckiego zgromadzało. Każdemu, co przychodził, przysługiwał głos doradczy. Na porządku dziennym znajdowały się dwie kwestje, domagające się rozstrzygnięcia: osobistość obrońcy i zadanie obrony.

---

[1] Nie posiadamy w języku polskim jednoznacznika wyrazu tego. Tłumaczyć go należy: czynny sprawiedliwości wykonawca. (Nota T. T. Jeża).

Co się obrony tyczy, proponowali się i proponowano adwokatów najznakomitszych. Nie przypominam sobie nazwiska adwokata, wsławionego jako specjalista w sprawach kryminalnych. Ten był polecany najmocniej. Prawie równie mocno Hotel Lambert zalecał P. A. Berryera, legitymistę, który jednak po ostatecznym Napoleona I upadku bronił skompromitowanych powrotem pod jego rozkazy r. 1815 generałów, jakoteż Lamennais'go, Ludwika Napoleona i wielu innych, niewyznających wyznawanych przezeń przekonań. O obronę Berezowskiego spółubiegali się Juljusz Favre, Grévy, co później był prezydentem Rzeczypospolitej, i wielu, wielu innych. Wybraliśmy Emanuela Arago raz dlatego, że pochodził z rodziny od dziadów pradziadów sprzyjającej Polsce, powtóre dlatego, że go rząd cesarski za republikanizm prześladował.

Zadanie obrony trochę od nas zależało. Drogą półoficjalną dochodziły nas oficjalne półskazówki, półnakazy, wymagające niestawiania przez obronę wyraźnie żądania przyznania podsądnemu okoliczności łagodzących. Domaganie się dla niego uniewinnienia byłoby absurdem. Przyznanie okoliczności łagodzących usprawiedliwiało zamach. Takiego ze strony przysięgłych orzeczenia nie życzono sobie w sferach wysokich dlatego, iżby carowi ubliżało. Szczególnie jakoby tego sobie Najjaśniejsza Pani nie życzyła, w jej bowiem imieniu jakaś z otoczenia cesarskiego osobistość tłumaczyła Świętorzeckiemu, że wskazanie Berezowskiego na śmierć potrzebnem jest do dania Aleksandrowi II sposobności poproszenia Napoleona III o ułaskawienie go.

— W ten tylko sposób — wykładała osobistość owa — Berezowski ułaskawionym być może; inaczej czeka go deportacja na Kajennę, jeżeli nie ciężkie i dożywotnie więzienie.

Powtórzony przez Świętorzeckiego, do którego się wyłącznie sfery górne z radami i skazówkami w sprawie Berezowskiego zwracały, wykład ów do przekonania nam nie trafił.

W obradach naszych udział i Francuzi brali, jedni osobiście: Carnot (ojciec późniejszego prezydenta respubliki), Lafayette (syn czy wnuk przyjaciela Kościuszki) i in., drudzy [pośrednio, jak:] Montalembert, ks. Napoleon (syn Hieronima) przezwany Plonplonem i in. Wszyscy oni odradzali nam spuszczanie się na wspaniałomyślność Aleksandra II. Berezowski

przez Ruszczewskiego oświadczył, że woli śmierć niż życie z łaski carskiej. Robotnicy odgrażali się:

— Niech spróbują... na śmierć go wskażą, spod gilotyny go wyrwiemy!

Nadszedł wreszcie dzień sądu. Prawo nakazuje odbywać je publicznie. Władze prawo to w ten obchodzą sposób, że dla procesów budzących wrażenie wyznaczają sale szczupłe i celem uniknięcia ścisku dobierają publiczność za biletami. Świętorzecki wystarał się o bilety dla tych, co w obradach udział brali; dostał się więc bilet i mnie. Dla mnie obecność na sądzie przysięgłych była pierwszą w życiu.

Dostało się mi miejsce w pierwszym rzędzie krzeseł obok Lafayette'a, a z trudnością się na nie docisnąłem spowodu ścisku, jaki panował na schodach, zajętych demonstracyjnie przez robotników, schodzących się u drzwi wchodowych na długo przed godziną rozpoczęcia czynności sądowej. Zaznaczyć winienem, że wchód ów znajdował się nie ze strony głównego Pałacu Sprawiedliwości frontu, ale styłu. Prowadziły do niego schody zewnętrzne i wewnętrzne: zewnętrzne, zwrócone na plac obszerny, dochodzący do mostu. I plac i most posiadają nazwy, które mi z pamięci wypadły. Plac był prawie pusty, kiedym przezeń przechodził, widzieć się jeno dawały gromadki w bluzach, zmierzające do schodów. Na schodach wewnętrznych z trudnością się już — jak rzekłem — przecisnąć można było. W sali zastałem ciasnotę, spóźniłem się, mimo że jeszcze z pół godziny do rozpoczęcia sądu pozostawało. Dobre miejsce dostałem dzięki sąsiadowi, który je dla mnie zatrzymał. Siedzieliśmy naprzeciwko trybunału, mając na lewo ławki puste jeszcze dla sędziów przysięgłych, na prawo ławkę dla obwinionego, obrońcy i żandarmów. Pośrodku krzesełko dla świadka i stoliczek, na którym widniał jedyny zbrodni dowód: kawalec pistoletu rozerwanego.

Zająwszy miejsce, obejrzałem się po sali. Zdziwiła mnie nieobecność śród publiczności płci niewieściej.

— Ale... niema kobiet — szepnąłem do sąsiada.

— Biletów nie dostały — odrzekł.

— Czemu?

— Widowisko wzruszające... Kobiety mają zwyczaj w razach takich płakać i głośno nosy ucierać, co sędziów przy-

sięgłych rozrzewnia i na ich opinję wpływ wywiera. Temidzie oczy zawiązywano, ale zapomniano o zatykaniu jej uszów, stąd w starożytności tyle niesprawiedliwości się nietylko ludzie ale nawet bogowie dopuszczali...

O godzinie oznaczonej do sali na wywyższenie wkroczył trybunał: prezes, dwaj sędziowie, pisarze *(greffiers)*, oskarżyciel, członkowie trybunału w togach zwykłych, oskarżyciel w czerwonej, po nich sędziowie przysięgli, wkońcu obwiniony śród towarzyszących mu dwóch żandarmów, za nimi obrońca. Gdy wszyscy miejsca pozajmowali, prezes oznajmił otwarcie sądu i wezwał sekretarza do odczytania aktu oskarżenia.

Nie słuchałem czytania przez nos aktu, któregom treści się domyślał. Przypatrywałem się oskarżonemu. Na zbrodniarza on nie wyglądał. Włosów płowych, wzrostu średniego, o zasiewającym się na obliczu zaroście, zdradzał wiek wiosny życia, niezamącony niczem, coby złe o nim mniemanie upoważniać mogło. Z wyrazu oczów i oblicza patrzała czystość pogodna, jutrzniowa jakaś, każąca młodziana tego do piersi przygarnąć, po głowie dłonią głasnąć, w czoło pocałować i powiedzieć mu: „synu“.

Akt oskarżenia najmniejszego na niego nie wywarł wrażenia. Po wysłuchaniu onego odpowiadał na zapytania zadawane mu przez prezesa, tyczące się najprzód identyczności osoby jego, następnie zarzuconego mu czynu. Do czynu przyznał się. Nie uznawał w nim zbrodni, utrzymując, że miał prawo zabić uciemiężyciela ojczyzny swojej i mordercę Polaków. Na niektóre z zapytań odpowiedzi jego cechowała naiwność, jak np.: nieprzyznawanie carowi kwalifikacji człowieczej.

„Car to nie człowiek“.

Gdy go zaś prezes zapytał, czy nie pomyślał o tem, że, strzelając naoślep, mógł zabić cesarza Napoleona? — odpowiedział:

— Kula polska nie dotknęłaby cesarza Francuzów.

Przemawiało z niego jeżeli nie dziecko, to samowładnie nad myśleniem panujące uczucie, uczucie dziecka, nie namyślającego się nad sposobami bronienia matki, umiłowanej całą gorącego kochania mocą, ślepą, fanatyczną, a na okaz spokojną, cichą, słodką, do przysłowiowej „cichej wody, co brzegi rwie“, podobną. Takim w oczach ludzi myślących i po ludzku rzeczy

biorących, w kochaniu zaślepionym, wykazała publiczności Berezowskiego jego z prezesem trybunału krótka rozmowa. Krótka ona była, bo z nim o czem do mówienia nie było. Prezes, powstrzymując się od machnięcia ręką i zakończenia rozmowy wykrzyknikiem „at!“, świadków wezwał.

Świadkowie, z wyjątkiem dwóch Polaków, Ruszczewskiego i Frankowskiego, sami Francuzi, jaknajlepiej o nim mówili. Jeden tylko ślusarz wyznał, że go z warsztatu po tygodniach paru wydalić musiał.

— Czemu? — prezes go zapytał.

— Pilnika w ręku trzymać nie umiał.

Pokazało się, że u majstra tego rozpoczynał się ślusarski Berezowskiego nowicjat.

Ci, co go strzelającego widzieli lub słyszeli, nie stawili się. Nie stawili się również ani Aleksander II ani Napoleon III, o których powiadano, że słyszeli gwizdnięcie kuli. Świadectwa obwiniającego nie było ani jednego. Rozmowa z prezesem, stanowiąca indagację urzędową, jakoteż jednogłośne ze dwudziestu ludzi wiarogodnych świadectwo złożyły się na uniewinnienie zbrodniarza, zbrodnia zaś sama uwydatniła się w oświetleniu odruchu obrończego.

Nie przeszkodziło to oskarżycielowi wygłosić z zapałem obficie ogestykulowanym oskarżenia, przedstawiającego oskarżonego pod postacią zbrodniarza tem większego, tem niebezpieczniejszego, że osłaniającego zbrodnicze zamiary swoje pozorami niewinności. Żeby tak jak on od ludzi stronić i umieć się ukrywać, na to być potrzeba łotrem skończonym, łotrem nad łotrami. Z takiego wyszedłszy założenia, mówca świetnie rozwinął dowodzenie, zdobne w kwiaty retoryczne, w wyrazy politowania dla świadków, co się mu oszukiwać dali, w wyrazy oburzenia spowodu pogwałcenia szlachetnej a wspaniałomyślnej gościnności francuskiej i podeptania łaski monarchy, któremu naród francuski losy swoje powierzył i którego wielkość i cnoty świat wielbi. W ciągu wykładu tego na estradzie, z której prokurator przemawiał, robi się przeszkadzający mu ruch, jeden z sekretarzy coś prezesowi do ucha szepce, ten mu gestem odpowiada i po chwilce na estradzie jawi się posłaniec z biura telegraficznego, który oskarżycielowi wręcza telegram. Oskarżyciel mówie-

nie sobie przerywa, kopertę rozdziera, telegram okiem przebiega i głośno oznajmia:

— Oto telegram z Rosji, z miejsca urodzenia obwinionego, z rezultatem dochodzeń na miejscu.

O ile przypominam sobie, rezultat ów przynosił czyn kradzieży, dokonanej przez obwinionego. Ogłoszenie czynu tego publiczność przyjęła mruknięciem, niebrzmiącym akcentem uznania, i w milczeniu głuchem wysłuchała nacechowanego oburzeniem najwyższem, wystosowanego do sędziów przysięgłych, wezwania o przykładne zbrodniarza takiego ukaranie. W konkluzji domagał się kary śmierci.

Obrońca w mowie swojej nie uciekał się celem wzruszenia sędziów do efektów sztucznych. Założenie oparł na przypuszczeniu. Postawił Francję w położeniu Polski i pytał ich, coby oni myśleli o synach swoich, dopuszczających się zamachów tego, co zamach Berezowskiego, rodzaju. Miłość ojczyzny jest uczuciem potężnem, wywołującem w duszach ludzkich rozpacz, szał, pobudzającem jednych do samobójstwa, drugich do zamachów na ciemiężycieli, jest uczuciem, nieliczącem się z następstwami. Że się Berezowski z następstwami nie liczył i że nie zbrodnicze kierowały nim popędy, gdy kupował pistolet lichy, gdy go nabić nie umiał, dowodzi tego rezultat zamachu. Zbrodniarz zakamieniały przedewszystkiemby oręż wypróbował. Wykonanie zamachu świadczy o dziecinności pomysłu, niedowarzoności umysłowej. I za to miałby był śmiercią karanym? Miłość ojczyzny i nieumiejętność w uskutecznieniu zamiaru stanowią okoliczności tak łagodzące, tak dalece łagodzące, że przeciwko skazaniu go na śmierć z siły całej protestuję. Nie! nie, panowie przysięgli! Nie pozwolicie na to, ażeby we Francji szczęśliwej, siostrze Polski nieszczęśliwej, spadła głowa Polaka, młodziana, dziecka prawie, któremu głęboka, gorąca miłość ojczyzny dała w rękę lichy pistolet i kazała niedorzecznie wykonać czyn, mogący w razie najgorszym uchodzić za ostrzeżenie, nigdy za zbrodnię!

Mimo że w mowie tej retoryki mało było, kilka razy w publiczności czuć się dawało ustępów niektórych podkreślenie. Przypatrywałem się uważnie przysięgłym, widziałem po policzkach kilku śród nich toczące się łzy. Gdy obrońca skończył, zakazane klaskanie zastąpił głuchy ale wyraźny pomruk uznania.

Oskarżyciel miał prawo replikować obrońcy. Ponieważ jednak z prawa tego nie skorzystał, prezes głos zabrał, i streściwszy dla przysięgłych istotę sprawy w sposób taki, ażeby się zbrodniczość zamachu mocno uwydatniła, odczytał im dwa zapytania, z których jedno tyczyło się dokonania zamachu, drugie okoliczności, i na które przysięgli odpowiedzieć mieli przez „tak“ lub „nie“.

Przysięgli oddalili się do izby przyległej. W izbie sądowej zapanowała cisza oczekiwania tak wytężonego, że, gdyby nie ono, obecni słyszeliby jedni drugich serc bicia niespokojne.

Obrady przysięgłych krótko trwały. Wychodzą wreszcie, stają, prezes znów z trzymanego w ręku arkusza czyta:

„Pytanie pierwsze: Czy Antoni Berezowski wykonał na gościa Francji, cesarza Wszechrosji, Aleksandra II, dnia *x* miesiąca *y* r. 1867 zamach celem pozbawienia go życia?“ Odpowiedź: „tak“, większością głosów.

„Pytanie drugie: Czy przy zamachu tym zachodzą okoliczności łagodzące?“ — Odpowiedź: „tak“, jednogłośnie.

Zakaz klaskania złamało uniesienie obecnych. Odruch uniesienia wszystkich nas z siedzeń dogóry poderwał i dłonie nam do oklasku złożył. Oklask odrazu wywołał gwałtowne prezesa trybunału dzwonienie. Posiadaliśmy i umilkli.

Oklaskowi naszemu zawtórowała wrzawa za drzwiami na schodach, wrzawa złożona z oklasków i okrzyków, hucząca blisko, tuż, a przychodząca skądeś zdala, czy też odchodząca gdzieś w dal szeroką, jakby we wrzawie tej Paryż cały udział brał.

Nie był to wprawdzie Paryż cały, ale duża ludności jego część, ta część, która bezwzględniej niż klasy dyplomatyzmem nasiąkłe lub mocno nim zabarwione ideał Ojczyzny rozumiała i żywiej patrjotyzm polski odczuwała. Zaległa ona ciżbą schody wewnętrzne i schody zewnętrzne, wylała się na plac, na most, na ulice przyległe, wylała się szeroko, i w milczeniu, w ducha skupieniu na orzeczenie sądu przysięgłych oczekiwała. Oczekiwała w natężeniu obawy o spodlenie się Francji...

Ta wrzawa przeto, składająca się z oklasków i z okrzyków *Vive la Pologne!*, wyrażała uradowanie.

Przy niej, napełniającej izbę sądową odgłosem huczącym, prezes trybunału odczytał wyrok, skazujący Berezowskiego na zesłanie do Nowej Kaledonji na lat dwadzieścia.

Lata wygnania jego zakończyły się r. 1887 w miesiącu, jeżeli się nie mylę, lipcu. Od czasu tego jest on wolny, ale z wolności celem powrócenia do Europy nie korzysta z woli własnej. Nie było mu na wygnaniu źle. Do Nowej Kaledonji poprzedziły go listy polecające, które mu władz miejscowych życzliwość zgóry zapewniły. Traktowany po ludzku oswoił się z miejscowością, przywykł, pobudował dla siebie domek, zaprowadził gospodarstwo i pozostał. Może on, jak Frejend z *Dziadów* części trzeciej, poczuwający się do „jakiegoś talenciku do bicia i szpikowania dońcom grzbietów“, poczuwał się nie do czego innego, tylko do strzelenia w nos carowi dla udzielenia mu ostrzeżenia. Nie udało mu się. Ostrzeżenie nie dla cara jednego, ale dla carów wogóle, w lat kilkanaście później poprawił Hryniewiecki.

ROZDZIAŁ XXIV

W BRUKSELI[1]

Wzruszeń pełną i obfitą dla mnie we wspomnienia była wystawa paryska r. 1867, a zarazem nauczyła mnie ona, że finansowa autorów niezależność o popłatności ich stanowi: ci, co nie posiadają zapewniających im dochody majątków, pozostają na łasce i niełasce wydawców, wyzyskujących ich jak parobków, jak wyrobników. Losowi temu ulegają zwłaszcza bezdomni, jakimi są emigranci polityczni. We względzie tym zepsuł mnie był nieboszczyk Antoni Lesznowski. Rozpocząłem karjerę moją zarobkowo-literacką od tego, żem się mu narzucił z wyrobami mojemi i on, nie stosując do mnie reguły handlowej, uzależniającej podaż od popytu, nie wyzyskał emigracyjnego położenia mego. Wydało mi się, że tak być powinno. Z podażą się nie spieszyłem, a zgłaszającym się do mnie i o warunki honoraryjne pytającym wydawcom niezmiennie odpowiadałem, że „się nie targuję, pewnym będąc, iż mnie krzywdzić nie zechcą". Wyszedłem na tem jak Zabłocki na mydle. Wydawcy zgłaszali się do mnie, gdy pióra mego na przynętę potrzebowali, a płacili, jak im się podobało. Dlategom na wystawie interesów nie poprawił sobie i nie mogłem ulżyć żonie w Brukseli z trojgiem drobnych dzieci (śród których jedno kalekie), w mieszkaniu trumiennem na łasce sług dochodzących pozostawionej. Dosyłałem jej, co mogłem, z zarobków honoraryjnych od *Kłosów* i od *Dziennika Poznańskiego* za korespondencje płatne od wiersza — pierwsze regularnie, drugie za zbyt dowolnie, pomimo że owoczesny *Dziennika* redaktor—Żychliński, gdy mu Merzbach mnie na korespondenta zaproponował, propozycję z zachwytem przyjął, przyjaźń mi swoją zaofiarował

[1] Rozdział ten w autografie bez tytułu.

i ofiarę fotografją własną stwierdził. Żona moja przeto biedowała, rady sobie — do położenia podobnego nienawykła — dawać nie umiała i srodzeby była ucierpiała, gdyby nie życzliwość zacnych pp. Erazmostwa Malinowskich, która się tem przedewszystkiem wyraziła, że p. Erazm dla niej inne mieszkanie wynalazł i przeprowadzkę jej urządził. Pokazało się jednak, że i to drugie mieszkanie zmienić należało. Powróciwszy z Paryża, zastałem rodzinę moją ulokowaną przy ulicy Berkmans, na parterze, w domu stolarza, nazwiskiem Cuisinier, którego żona funkcję sługi dochodzącej pełniła. Apartament składał się z dwóch pokoi i kuchenki. Dla mnie, pracownika pióra, miejsca w niem, w towarzystwie trojga dzieci, nie było. Przynajęliśmy więc izbę pod strychem *(à la mansarde)*, zmieniliśmy meble najmowane na własne i rozpoczęliśmy życie na nowo. Mimo wszystko życie się nam lepiej na przyszłość zapowiadało.

O polepszeniu to świadczyło, że oprócz zacnych Malinowskich i Heltmanostwa i inni spółrodacy do nas się dowiadywali. Dotychczas schodziłem się z nimi na odbywających się raz na miesiąc posiedzeniach gminy, do której należała demokracja. Posiedzeń, w których po przyjeździe z Serbji udział wziąłem, odbyło się niewięcej nad cztery. Śród członków dwaj szczególnie w oczy mi wpadli, jeden z miny, drugi z reputacji literackiej: Kropiwnicki i Włodzimierz Wolski. Obydwóch jeden i ten sam podkreślał mianownik: pociąg do trunków, zwanych „gorącemi“, różniła zaś ich postawa: [tam]tego zamaszysta, zadzierzysta, pokaźna, tego marna, sterana, zaznaczona jednak przylepioną do niej etykietą, mówiącą o przynależności do grona głośnej w czasie swoim cyganerji warszawskiej. Nadawało mu to własność magnesu, pociągającego mnie do niego. Do literatów wogóle, do poetów w szczególności, miałem słabość. Rad byłem zbliżyć się do autora *Ojca Hilarego*, fantazji p. t. *Szopen*, spółpracownika Moniuszki w operach *Halka* i *Hrabina*, do których libretta dorobił, autora poezyj w książkowem wydaniu i na łamach pism czasowych, oraz powieści, których nb. nie czytałem. Zbliżyć się jednak odrazu po przybyciu mojem do stolicy Belgji nie mogłem. I on się trzymał ode mnie zdaleka; i mnie w obcesowem do niego przystąpieniu powstrzymywały ostrzeżenia, będące w związku z niedawno zakończonym o fałszerstwo przez Polaków pieniędzy procesem, w którym Wolski

jako oskarżony, czy też jako świadek, udział miał. O udziale tym dokładnie mnie objaśnić nie umiano. Ostrzeganie wahało się pomiędzy wyrazem opinji publicznej a plotką. Nie nadarzała mi się ani możność, ani sposobność, sprawdzenia, i tak w niepewności pozostawałem do powrotu mego z wystawy.

Zdarzyło się jednak, że wyrazów kilka zamieniliśmy ze sobą przedtem, a to na obchodzie rocznicy powstania listopadowego r. 1867, na którym po raz w życiu mojem trzeci wystąpiłem z popisem oratorskim. Raz pierwszy mowę wygłosiłem w Kijowie w r. 1847, w miesiącu lutym zapewne, w jednym z tych trzech dni karnawałowych katolickich, które wedle kalendarza starego stylu wkraczają w post prawosławny. Drugi raz mówiłem w r. 1858 w Londynie, jako członek Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego na obchodzie listopadowym. Powodzenia nie ominęły mnie raz i drugi, największe atoli osiągnąłem w Brukseli. To ostatnie mogło było do krasomowstwa pretensję mi wszczepić, gdyby nie... co? Czy ja wiem, co? Nie skromność chyba. Coś przeto nieumyślnego, mimowolnego nie pchnęło mnie na drogę Demostenesową, na której na tej podstawie, że *oratores fiunt*, miałbym prawo niejakie do próbowania szczęścia. Zachęcał mnie do tego Wolski. Gdym mowę skończył, gdy oklaski ucichły, słuchaczów sporo przedstawiało się mi i dziękowało. Wolski podszedł, dłoń mi uścisnął i rzekł:

— Winszuję ci, pułkowniku, mowy: świetna — świetna!

Po triumfie tym nie widziałem się z nim miesięcy ośm zgórą. Po powrocie z Paryża — nie przypominam sobie, gdziem się z Wolskim zeszedł i dzięki jakim manewrom zwabiłem go do mieszkania naszego.

I żona moja i ja bardzośmy zaznajomieniu się temu radzi byli. Żonie mojej, wzrosłej śród otoczenia literackiego, do gustu przypadło towarzystwo literata z profesji. Ja siebie za takiego, mimo żem już na tem polu uszczknął laurów trochę, nie uważałem. Jakoś mi z tytułem tym było nijako. Człek atoli do wszystkiego nawyka. Nawykłem. Nie wbiło mnie to jednak w pychę, miałem bowiem Wolskiego za literata od siebie dostojniejszego, inaczej mówiąc, w randze ode mnie wyższego. Była w tem racja: on posiadał szkolne wykształcenie fachowe; jam się do fachu wcisnął. Bez względu na to przystaliśmy do siebie.

Ze strony swojej żona moja, na poetach się znająca, przyswoić go umiała. Bywał u nas i — bodaj czy nie skutkiem bywania tego — począł znów tworzyć. Świadczyło o tem przynoszenie przezeń i odczytywanie nam utworów nowych. Powtarzało się to od czasu do czasu, zwykle wobec nas obojga, niekiedy wobec samej żony mojej, która z dziećmi na parterze przebywała, ja zaś urządziłem sobie pracownię w obszernej na trzeciem piętrze, na poddaszu *(mansarde)*, izbie i w niej spędzałem godziny dzienne, na odżywianie organizmu cielesnego nieprzeznaczone. Dlatego nieraz w przyjmowaniu łaskawych na nas gości udziału nie brałem. Goście — nawiasowo zauważę — pókiśmy przy ul. Berkmans mieszkali, nie naprzykrzali się nam zbytecznie. Najczęściej odwiedzali nas Erazmostwo Malinowscy, rzadziej Umińscy (pani, bigotka zawzięta, miała mnie za bezwyznaniowca i wdawać się z nami nie chciała), inni jeszcze rzadziej; Wolski jednak zaglądał dosyć często.

Raz, po jego w nieobecności mojej wizycie, wbiega do mnie pod strychem żona moja z ćwiartką zapisaną w ręku i z okrzykiem w ustach:

— Arcydzieło!... arcydzieło! Czytaj.

Ćwiartkę z ręki jej wziąłem, odczytałem i odrzekłem:

— Prawda.

Było to arcydziełem w rzeczy samej: *Siostra mleczna*. Arcydzieło pod względem formy i treści, nieustępujące najpiękniejszym w rodzaju tym utworom naszych poetów wielkich, przemilczywane przez historyków literatury polskiej. Czemu? Nie wiedzą może. Jeżeli dlatego, to — ponieważ „niewiadomość grzechu nie czyni“ — wybacza się im przemilczanie tego wzoru liryzmu patrjotycznego, wyrażonego w formie niepokalanej, prostotą przemawiającego do umysłów dziecinnych, treścią uplastyczniającego niejako demokratyzm w klasach narodu polskiego, w którym t. zw. ongi „naród polityczny“ (szlachta) jest pochodzenia nie najazdowego ani krzyżowego, ale chłopskiego. Utwór ten świadczy, że Wolskiego natura obdarzyła rzeczywistym a wielkim talentem poetycznym, któremu jednak spirytualja niekoniecznie, tak jak Bürgerowi, autorowi *Lenory*, służyły.

Z utworów jego dawniejszych znałem *Ojca Hilarego*, w którym się talent rzetelny przebija. Dlatego zapewne wierzyłem

weń i nie podzielałem opinji p. Erazma, utrzymującego, że Wolski talent w sobie wódką zalał. *Siostra mleczna* niespodzianie się na poparcie zdania mego zjawiła. Ujawniła to żona moja. Wychodząc ode mnie po zaznajomieniu mnie z nią, rzekła:

— Nauczę ja tego Antosię.

Antosią była wówczas sześcioletnia pocieszka nasza, dzisiejsza pani Franciszkowa Rawita-Gawrońska.

W czas jakiś, w miesiąc może później, w dniu którejś z rocznic naszych narodowych, naszli nas na wieczór oprócz Wolskiego Malinowscy, przyprowadzając ze sobą po raz pierwszy nas odwiedzającego Aleksandra Guttrego, z którym następnie związała nas przyjaźń ścisła. Obecność pana Erazma od nudów broniła. Przytem i Wolskiemu nie brakło ani trochę na zaletach towarzyskich. Rozmowa żywo się toczyła, wiła, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, z prywaty na publikę, z polityki na literaturę, i przy tej ostatniej pani moja tak zamanewrowała, że zachęciła gości do posłuchania deklamacji swojej pierworodnej.

— Antosiu! panno Antonino! — odezwały się wołania, zachęcające dziecko.

Wolski domyślił się, surowo bowiem na żonę moją spojrzał, lękając się snadź o zepsucie którego ze swoich utworów przez nieudałą paplaninę dziecinną.

Dziewczynka wsunęła się między kolana matczyne i czując na sobie dłoń matki, która jej podpowiedziała wiersz pierwszy, podchwyciła go i wypowiadając dalej z odpowiedniem akcentowaniem uczucia w tonie i głosie strofy po strofie, bez zacinania się i zająkania wiersz cale długi do końca wygłosiła. Nie przerywano jej oklaskami, lecz przy ustępach niektórych głuche, tłumione odczuwać się dawało wzruszenie. W miejscu, w którem, drażniona przez kochającego ją kulawego kowalczuka zalecaniem się do niej „sałdata“, Maryś odpowiada:

Ja nie pójdę za Moskala!
Gospodarska córka?!...

Guttry drgnął i z piersi mu się wydarło „ah!“.

Wolskiemu łzy za powiekami wezbrały. Od czasu do czasu półgłosem powtarzał:

— To matka! — To matka!

Gdy deklamatorka skończyła i ku matce się zwróciła, Malinowski zerwał się z zapytaniem:

— Czyjeż to, czyje?

Z satysfakcją wskazałem mu skulonego i bodaj czy nie bardziej niż wszyscy wzruszonego autora. Malinowski ręce złożył i szeroko otwartemi na mnie spojrzał oczami. Guttry odtąd pannę Antoninę nazywał nie inaczej, tylko „gospodarską córką".

Z Guttrym znajomość w serdeczną wkrótce zmieniła się przyjaźń. Przebywał on natenczas w Liège, gdzie zamieszkał w czasie powstania styczniowego celem zamawiania u fabrykantów tamecznych broni dla powstańców. W funkcji tej znalazł się w zależności od Mierosławskiego, stawiającej go w położeniu fałszywem. Mierosławski, mający pretensję do dyktatury, tamże w Liège konstruował, za nadsyłane z kraju pieniądze, wynalazku swego wozy bojowe, na co nikt o zdrowych zmysłach nietylko godzić się, ale patrzeć nie mógł. Powstanie domagało się karabinów od Guttrego, a Mierosławski narzucał mu wozy. Musiało stąd wyniknąć nieporozumienie, rozstrzygania zaś nieporozumień Mierosławski nie rozumiał inaczej tylko na rzecz swoją, sądem własnym i wydawanym przez siebie samego wyrokiem na przeciwnika. Od wyroku takiego, podszytego wedle przyjętego przez dyktatora zwyczaju oszczerstwem, odwołał się był Guttry — o ile przypominam sobie — do sądu polubownego. Takie atoli odwołanie się znaczyło dla generała tyle, co przemawianie do obrazu. Mierosławski nad sobą żadnych nie uznawał sądów. Przyjazdy atoli Guttrego dosyć częste odnosiły się do sprawy stosunków jego z Mierosławskim, którego on niegdyś, jak ja, jak wielu innych, wielbicielem był. Przekonany jestem, że wielbicielstwo to, nie co innego, człowieka tego, ogromnie uzdolnionego, o pomieszanie zmysłów przyprawiło. Uznał siebie nieomylnym i domagał się od innych, ażeby go takim uznawali, i pod wpływem takiego o sobie mniemania równowagę umysłową postradał. Miałem i ja z nim do czynienia. O stosunkach z Mierosławskim moich pisałem poprzednio. Zakończyły się one, raczej rozstrzygnęły, w czasie pobytu mego w Brukseli. Wspomnę o tem później. Guttry się z nim rozprawił, oddając go pod sąd opinji publicznej w trzynastoarkuszowej in 8⁰ broszurze, wydanej p. t. *Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania,* r. 1870, drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.

W sprawie, dla której on do Malinowskiego, prawnika, byłego sędziego i profesora praw, przyjeżdżał, udziału nie brałem.

W sprawie innej, bardzo nieczystej, wypadło mi wziąść udział w czasie zamieszkiwania naszego przy ulicy Berkmans. Nazwisk nie wymienię, są bowiem *odiosa*, zarówno krzywdziciela, jako też pokrzywdzonego, a przytem jednego z nich nie pamiętam, zaznaczę je więc literą X., zapamiętane zaś inicjałem J. Należało ono do chłopca młodego, bardzo bogatego i dlatego otaczanego przez czcicieli fortuny, których w żadnem nie braknie społeczeństwie. J., zdaje się, „bawił“ w Brukseli dla „przecierania się“ zagranicą, X. zaś, uczestnik powstania styczniowego, niezaopatrzony obficie w zasoby pieniężne, czekał na zdarzające się czekającym niektórym pomyślne losu zwroty i tymczasem trzymał się klamki młodzieńca przez losy obdarowanego. Ani jeden przeto, ani drugi, na szacunek ludzki nie zasługiwali. Bogacza nazwisko o słuch mi się obijało, o drugim usłyszałem po raz pierwszy, gdy śród emigracji polskiej rozeszła się wiadomość o zajściu, raczej o awanturze, urządzonej przez paniątko. Awantura wyraziła się tak: J. posłał do X. lokaja swego z listem i z rozkazem wypoliczkowania go. Lokaj rozkaz spełnił.

Fakt zasługiwał na nazwę świństwa kwalifikowanego, twórca onego na wzgardę; dla ofiary zaś wynikała stąd nauczka, polegająca na trzymaniu się zdaleka od istot, których wartość cała mierzy się grubością pugilaresu. W polskiej jednak kolonji w Brukseli znaleźli się stronnicy panicza i stronnicy X-a. Zawrzało. Nas, pomimo że po stronie pokrzywdzonego stanęła sekcja Zjednoczenia, której członkiem byłem, sprawa ta obchodziła o tyle, o ile się o niej słyszało. Byłbym o niej zapomniał, i dziś, w r. 1907, w pamiętniku moim miejsceby się dla niej nie znalazło, gdyby nie sąd polubowny, w którym udział wziąść musiałem. Nie wiem i zdaje się lat temu czterdzieści nie wiedziałem, jak sąd ów wypośrodkowany został. Dowiedziałem się o nim od H. Merzbacha, który [przybył do mnie] w towarzystwie Jezierskiego, syna czy jednego z synów Jezierskiego owego, co po wybuchu powstania listopadowego jeździł w towarzystwie Lubeckiego do Petersburga celem nastrojenia Mikołaja I łaskawie dla Polski Kongresowej i oddzielenia jej od buntu. Syn udziałem w powstaniu styczniowem zamierzył był rehabilitować nazwisko rodzinne i rehabilitował je w ten sposób, że sam sobie misje polityczne nadawał, pieczęcie Rządu Narodowego fałszował, wkońcu w Brukseli założył teatrzyk operetkowy

dla muz podkasanych, będących w czasie owym w modzie dzięki patronowaniu tego rodzaju artyzmowi przez cesarstwo francuskie. W towarzystwie męża tego Merzbach zawiadomił mnie o sądzie i poprosił o wzięcie w nim udziału w charakterze jednego z arbitrów po stronie J. Żądanie to zdziwić mnie musiało i wyraziłem zapewne zdziwienie moje, przypominam sobie bowiem długi wykład o honorze, wygłoszony przez Jezierskiego, wykład, z którego zapamiętałem frazes ostatni:

— Gdyby mi kto dłoni podanej przeze mnie nie uścisnął, tobym go z miejsca w pysk trzasnął.

Pamiętnym mi jest ten frazes, albowiem, gdy panowie ci mansardę opuszczali, Merzbacha pożegnałem uściśnieniem dłoni jego, lecz Jezierskiemu skłoniłem się z dłonią moją na kości pacierzowej. Mimo to w sądzie udział wziąść musiałem, powołany przez arbitrów na superarbitra. Arbitrami po stronie J. jednym— zdaje się mi — był Merzbach, drugim niejaki Lasocki: pierwszy do wszystkich bogów o ordery, drugi o tytuł hrabski kołatał. Merzbacha orderem zaszczyciła królowa hiszpańska, Lasockiego tytułem nie wiem kto. Co się zaś sądu tyczy, pamiętam jeno, że wyrok, przez Malinowskiego zredagowany, odczytany i przedyskutowany na zgromadzeniu kolonji polskiej pod przewodnictwem mojem, zawotowany większością głosów i stronom wręczony został. Treści onego nie pomnę, nie przypuszczam atoli, ażeby zawierał pochwałę czynu pana J.; Malinowski nie miał zwyczaju panków chwalić. Komicznym nieco był sprawy tej epilog. Jeden z członków gminy zaproponował X-owi wynadgrodzić krzywdę, ofiarując mu zakupiony przez gminę pierścionek. Nie wiem, czy propozycja ta uskutecznioną została. O X-ie nie słyszałem już więcej, J. — poprawił się może.

Przy ul. Berkmans niedługośmy mieszkali, mimo że dobrze nam tam było i interesy nasze się polepszyły. Musieliśmy jednak mieszkanie zmienić, ponieważ dom zmienił właściciela, który mu inne nadał przeznaczenie. W domu tym doznaliśmy jednego z ciosów bolesnych, jakie na rodziców spadają. Umarło nam z dzieci jedno, w Brukseli zrodzona córeczka, której Zofja na imię było. Matka stratę tę mocno odczuła, nim ją przebolała. Bodaj czy nie od niej rozpoczęło się zapadanie na zdrowiu żony mojej. Jedno dziecko, kalekie, ulokowaliśmy na wsi, w Gistoux,

u włościan; drugie miłe, wesolutkie, zdrowe, zgasło z uśmiechem na usteczkach.

Ze wspomnień miłych z czasów pobytu w domu owym zanotować należy odwiedziny panny Magdaleny Kopernickiej z panną Marją Darowską. Panna Magdalena była siostrą bratowej mojej Szczęsnowej Miłkowskiej, siostrą Izydora, kolegi mego szkolnego i przyjaciela, oraz wychowawczynią panny Marji, zwanej przez nas natenczas jeszcze Manią, córki p. Jana, znanego pod przydomkiem „obrosłego“, dla odróżnienia od drugiego Jana Darowskiego, przezwanego „gołym“. Przezwiska te spowodowała różnica majątkowa. O Janie gołym pisałem już w pamiętnikach niniejszych. O ojcu panny Mani i brata jej Zygmunta to mam do powiedzenia, że wszyscy oni byli szczerymi rodziny mojej przyjaciółmi. Obecnie (r. 1907) ojciec ich już oddawna nie żyje; Zygmunt, który mi do *Wolnego Polskiego Słowa* korespondencje z Ukrainy dosyłał, również nie żyje; majątek, składający się z paru wsi na Podolu i z połowy miasta Tetijowa na Ukrainie, odziedziczyła pani Moraczyńska, panna Marja niegdyś, bezdzietna i oddana, niestety, skrajnej bigoterji, zastępującej w wielu zamożnych rodzinach polskich na Rusi pod panowaniem rosyjskiem patrjotyzm.

Odwiedził nas też i Izydor Kopernicki, który, urządziwszy dla Rumunów przy uniwersytecie w Bukareszcie muzeum anatomiczne, przeniósł się do Galicji i przed uzyskaniem docentury dla wykładania antropologji w Krakowie zamieszkał z rodziną w Tarnowie. Do Brukseli zajechał dla nas, podążając do Holandji na kongres antropologiczny, zwołany do Leydy, jeżeli się nie mylę. Zabawił u nas dni kilka. Należał on do specjalistów w rodzaju człowieczym, zasługujących na nazwę „zwiedzaczy zawziętych“. Bruksela obfituje w przedmioty do zwiedzania. Ciceronowaliśmy mu więc gorliwie po muzeach, galerjach, bibljotekach, placach, ulicach, od pomnika do pomnika, wszędzie, gdzie tylko do oglądania co było. Że zaś wiedziałem o jego ciekawości do widowisk teatralnych, wziąłem przeto bilety do teatru w pasażu, będącego w Brukseli tem, czem jest teatr Rozmaitości w Paryżu, przybytkiem Talji farsą podszytej. Gdym o tem żonie mojej i jemu oznajmił, zapytał:

— Cóż grają?

— *La cagnotte.*

— Cóż to znaczy?

— Skarbonka.

Nie wiem skąd w języku francuskim wziął się niezaznaczony w słowniku Littrégo[1] nawet wyraz ten, oznaczający dawaną przez starszych dzieciom skarbonkę glinianą, zaopatrzoną w szparkę do wrzucania przez nią do środka drobnych pieniędzy i przechowywania onych do zgóry oznaczonego dnia, w którym dzieciom wolno skarbonkę roztłuc i pieniądze obliczyć celem odpowiedniego zużytkowania ich. W sztuce wyrazem tym zatytułowanej skarbonka służy nie dzieciom, ale towarzystwu, zgromadzającemu się w jednem z miast we Francji co wieczór u aptekarza i zabawiającemu się grą w pikietę, w której wygrywający zobowiązani są wrzucać wygraną do skarbonki, dla zużytkowania takowej na mającą się obmyślić zabawę. Gdy termin stłuczenia naczynia nadszedł, pokazało się, iż zebrała się w niem kwota spora. Nastąpiła więc narada. Z narady wypadło, że towarzystwo pozwolić sobie może na wycieczkę do Paryża. Na tle tem wypadki, śmieszniejsze jedne od drugich, zdarzające się ludziom, co nigdy w życiu z rodzinnego miasteczka na świat się nie wychylali, stanowią treść sztuki, iskrzącej się dowcipem.

— Jakąż skarbonka odegrywa rolę? — zapytał Kopernicki.

— Pobudzającą do śmiechu — odpowiedziałem.

— Musi to być farsa — rzekł tonem, wywołującym dyskusję, w której niemal wstręt do fars, francuskich zwłaszcza, wypowiedział.

Poszliśmy jednak na przedstawienie i wstręt ów w taki w czynie objawił się sposób, żem ludzi tak jak żona moja i Kopernicki roześmianych w życiu mojem nie spotykał. O kobietę moją lękać się jużem był począł. Śmiała się i łzy lała; śmiał się Kopernicki i łzy lał. Złego atoli nic ani jej, ani jego nie spotkało, pomimo że śmiech niebezpiecznym bywa. Chryzypa, filozofa stoika, żyjącego na półtrzecia wieku przed Chrystusem, śmiech, którego powstrzymać nie mógł, o śmierć przyprawił. Snadź w wiekach późniejszych ludzie się oporniejszymi wobec niebezpieczeństwa tego stali. Rozum tracą, umierają z przerażenia, ale nie ze śmiechu.

---

[1] Littré E., *Dictionnaire de la langue française* (1863—72).

Nam szło nieźle. Pracą zaspokajałem potrzeby życiowe i dokazałem tego, żeśmy się zdobyli na opłacanie pomocnicy w kuchennych i porządkowych zajęciach. Ze strony pracodawców zawody mnie nie spotykały, z wyjątkiem redakcji *Dziennika Poznańskiego*, z którą, spowodu żem w korespondencjach do pisma jej nie hołdował narówni z nią Napoleonowi III, zerwałem i która nie zapłaciła mi kilkuset franków honorarjów, usprawiedliwiając się w feljetonie, że emigracja na wspieranie jej nie zasługuje. Spadła była na mnie raz durnica nawet. Na weksel w banku dano mi francuski tysiącfrankowy banknot zamiast stufrankowego. Na omyłce spostrzegłem się na ulicy, gdzie na mnie żona czekała. Wróciłem; płatnik przekonać się nie dał, jakoby się omylił, pomimo żem się na świadectwo żony powoływał. Cóż miałem z tym „zyskiem nieprawym“ począć? Nie zaciężył on mi na sumieniu. Znawcówem się radził. Wyperswadowano mi, że w bankach przewidzianą jest rubryka na straty tego rodzaju; do omyłek zaś podobnych nie przyznają się banki poważne.

Durnica ta rozeszła się, jak rozchodziły się zarobki, częścią na zaspokojenie potrzeb naszych, częścią na innych potrzebujących — nie wiem, w jakich częściach. Ani kobieta moja, ani ja nie mieliśmy we zwyczaju obrachowywania wydatków tego rodzaju.

Losy uśmiechnęły się nam były na skalę szerszą. Uśmiech ów ukazał z gości jeden płci niewieściej w osobie pani Teodory Mączuńskiej, Narbutówny z domu, siostry Ludwika, który w r. 1863 zginął pod Dubiczami na Litwie, i Franciszka, który wyemigrował, skończył inżynierję w Gandawie i starając się o posadę, był w Brukseli prawie domownikiem naszym. Pani Mączuńska, za odpowiedni płci swojej udział w walce o wolność narówni z braćmi skompromitowana, schronić się przed następstwami udziału tego musiała zagranicę. W Paryżu biedowała, nim się jej trafiła posada u Karolostwa Przezdzieckich (Przezdziecka z domu Lachmanówna), przy ich córkach. Przyjazd jej do nas miał znaczenie wytchnienia wakacyjnego. Korzystał z tego jej brat. Korzyść i nam w udziale przypadła, była to bowiem miła i dobra kobieta.

Wymieniłem panieńskie pani Przezdzieckiej nazwisko, nazwisko to bowiem w czasie swoim głośnem się było na Rusi

stało, a to dzięki dziwnej noszących je dwóch panien piękności. Piękność stanowiła cały ich od natury dany posag; matka zaś, z domu Paszkowska, pupilka z tytułu pokrewieństwa dziada mego po kądzieli, wychowała je na wyzyskiwanie posagu tego, co je głośnemi w Europie zachodniej uczyniło. Starsza, *primo voto* Leonowa Szwejkowska, połowica bardzo bogatego szlachcica z Podola, wyszła następnie za markiza de Noailles, uczonego, dyplomatę, który się dla niej nauczył po polsku i napisał: *La Pologne et ses frontières* i *Henri de Valois et la Pologne de 1572*[1]. Młodszą pojął Karol Przezdziecki, również szlachcic bogaty. Za ożenek ten ojciec, pan Czarnego Ostrowia na Podolu, wydziedziczył go był z racji reputacji nieosobliwej, jaką się synowej nazwisko cieszyło. Gniew atoli ojcowski trwał póty tylko, póki jej oczy jego nie ujrzały. Jak skoro to nastąpiło, pan Ostrowia, widokiem olśnięty, w zachwycie zawołał:

— Na miejscu Karola zrobiłbym to samo.

I mezaljans synowi wybaczył.

Nie wybaczał sobie Szwejkowski. Uderzając się dłonią w czoło, wołał:

— O tożem głupi! — głupi!

Obwiniał się, utrzymując, że po śmierci dwóch żon Turkułówien, kobiet ładnych, nie powinien już był łakomić się na trzecią, od tamtych piękniejszą, ale za to — oh! Była to piękność słodka, łagodna, urocza, i... niemiłosierna. Uśmiech jej żałosny rozbrajał go, gdy chciał być surowym, — inaczej, gdy odmawiać musiał. Wówczas mus znikał, a wszelaka niemożliwość możliwą się stawała. Na uśmiechy pani otworzyły się śluzy, któremi upłynął majątek. O niej, o jej zagranicą powodzeniach, o pośpiechu, z jakim żądania jej krezusowie i potentaci spełniali, mówiono rozmaicie. To pewne, że po śmierci zrujnowanego przez nią męża, gdy za rozmiłowanego w niej za jego życia markiza wyszła, zupełnie się poprawnie na stanowisku ambasadorowej we Włoszech i w Turcji zachowywała. To ją do pewnego stopnia pod pewnym kątem widzenia tłumaczy.

Siostra jej młodsza inaczej się pokierowała: trzymała się męża, czy może mąż jej się trzymał, i oboje po świecie się włó-

---

[1] Dzieło pierwsze wyszło w Paryżu r. 1863 z mapami, drugie tamże w r. 1867 w trzech tomach. (Nota T. T. Jeża).

czyli z dworem adoratorów nie jego, ale jej. On rymy tworzył [1], powieści Kraszewskiego na język francuski tłumaczył i w żonie się kochał; ona flirtowi się oddawała. Czas jakiś jaśniała na salonach cesarskich, zapraszana na wieczory poufne jako *charmante petite comtesse polonaise Psipsiska;* lecz dopuściła się jakiejś względem Napoleona III niestosowności i straciła łaskę cesarzowej Eugenji. Nie zmartwiło jej to. Odsunięta od dworu cesarskiego, urządziła sobie dwór własny, ruchomy, przenoszący się z Rzymu do Czarnego Ostrowia, z Czarnego Ostrowia do Nicy, czy Mentony, czy dokądeś indziej, znów do Rzymu, i tak ciągle. We dworze jej obok męża figurowali wyłącznie prawie cudzoziemcy, sami pełnej krwi książęta, hrabiowie, markizy. Mączuńska, z domu Narbutówna, zajmowała stanowisko poczestne. Przebywające zagranicą o nazwiskach arystokratycznych damy polskie z Przezdziecką się nie wdawały. Wizytowały i jej wizyty przyjmowały arystokratki *minorum gentium*, z tej sfery, do której wchodziła z Komarów Potocka Delfina.

Gdyśmy się z rozmów z Mączuńską dowiedzieli o znajomości jej z tą ostatnią, „Beatryczą“ Zygmunta Krasińskiego, ciekawość żony mojej i moja rozwinęła się bezgranicznie. Musiała pani Teodora o niej nam opowiadać a opowiadać. Dowiedzieliśmy się przeto, jak wygląda i jaki, dzięki wydoskonalonej sztuce pozowania, urok wywiera. Dowiedzieliśmy się o wielkiem miłowaniu jej przez twórcę *Przedświtu,* którego utwory w części jeno stały się publiczną własnością narodową, w części zaś znacznej przechowują się pod zamknięciem u Delfiny.

Wiadomość ta zafrapowała nas.

— Co? jakto!? I ona je dla siebie trzyma?

— A trzyma.

— I ogłosić nie chce?

— Nie chce.

— Chyba są to poezje „Do niej“?

— Nietylko „Do niej“.

— Widziała je pani?

— Miałam w ręku paczkę sporą i — przeglądałam ją.

— Nie perswadowała jej pani, że to grzech skarby takie przed narodem chować?

---

[1] Gruby takowych kajet *in folio* mnie do oceny był przysłał. (Nota T. T. Jeża).

— Perswadowałam, ale się to nanic nie zdało.

— Wykradłbym — zawołałem.

— Przepisałam sobie ukradkiem jedno tylko.

Nie daliśmy pani Mączuńskiej spokoju, póki nam tego „jednego“ nie pokazała.

A jak ona go u Delfiny wykradła, tak ja wykradłem u niej — i cogorsza (?) przepisałem i *Tygodnikowi Ilustrowanemu* posłałem [1]. W utworze tym, mocno panteizmem idealnym nacechowanym, poeta wypowiada życzenie, tyczące się przystrojenia po śmierci jego grobowca kwiatami łąk polskich, zwłaszcza konwalji, nato, ażeby woń ich łączyła duch jego z duchem natury. U Krasińskiego nierzadko się panteizm przebija, tak iżby powiedzieć można, że stanowi on pojęć jego filozoficznych podłoża podłoże.

Z rozmów z panią Mączuńską dowiedzieliśmy się o wielkiem kochanki Krasińskiego miłosierdziu, praktykowanem przez nią w odniesieniu do ubogich dzieci włoskich, dla których zakłada przytułki.

— Skądże ona na to pieniądze bierze? — zdziwiłem się.

— Od Mieczysława Potockiego.

Nie zdziwiło mnie już uzyskanie przez Delfinę wpływu na męża, z którym się rozwiodła, wiedziano już bowiem o tem na Podolu i ojciec mój przysłał mi do Potockiego list, polecając przesłanie mu onego [2]. Na to, stosownie do opowiadań pani Mączuńskiej, najlepiej nadawała się Delfina. Mączuńska ręczyła za to, zapewniając, że eksmałżonka Potockiego wdzięczną mi będzie za nastręczenie jej okazji naprawienia takiej krzywdy, jakiej rodzina moja doznała. Po naradzie przeto wszechstronnej wystosowałem do Delfiny list, przyłączając list ojcowski do Mieczysława Potockiego i prosząc jej o wstawienie się do niego dla dołączenia jednego więcej dobrego uczynku do innych, spełnionych przez nią. W liście nie omieszkałem powoływać się na świadectwa hołdów, składanych jej przez ludzi takich, jak Delaroche, Chopin, Krasiński. Nie zdało się to na nic. Na list mój francuski Delfina odpowiedziała po polsku, ale stylem takim i pi-

---

[1] *Tygodnik Ilustr.* 1868, II 55; wiersz *Gdybym dziś, jutro...* (zob. *Pisma*, 1912, VI 122).

[2] O sprawie tej dość obszernie piszę w trzecim pamiętników niniejszych rozdziale. (Nota T. T. Jeża). Ob. t. I str. 140—1.

sownią taką, jakiemi się posługują umiejące pisać praczki. Tłumaczyła się, że na Potockiego wpływu nie wywiera żadnego, przypuszczała atoli, że on sam ojcu memu odpisze na list jego, który mu przesłała. Ojciec mój życie zakończył i odpowiedzi się nie doczekał. Panowie w rodzaju Mieczysława Potockiego uważają siebie za uprawnionych do wyrządzania krzywd i nieobowiązanych do naprawiania onych inaczej, tylko w drodze łaski. Takie same stanowisko zajmują Rosja, Prusy i Austrja w odniesieniu do Polski, służąc różnym Potockim za wzór.

Po liście Delfiny pani Mączuńska tę nam odkryła tajemnicę, że „Beatryks" Krasińskiego bardzo słabo władała językiem polskim. Posłużyła się nim w odpowiedzi na list mój dlatego, że albo mnie za godnego mowy francuskiej nie miała, albo pokazać mi chciała, że ona o polskości swojej wie i pamięta. List ten zachować chciałem, jako jeden z przyczynków do życiorysu jednego z trzech wielkich naszych poetów. Życiorysy Krasińskiego przytaczają listy jego, ale w żadnym nie zdarzyło mi się spotkać z listem Delfiny. Czy i do niego ona po polsku pisywała? List jej do mnie zatracił się. O zaprzepaszczenie onego podejrzewam panią Teodorę. Odwzajemniła mi się: jak ja u niej wykradłem cudny poemacik dla przyłączenia listka jednego więcej do wieńca poety, tak ona wykradła u mnie list Delfiny dla nieprzyćmienia uroku inspiratorki jego.

On ją snadź kochał po starogrecku: dla formy.

Pani Mączuńska zabawiła u nas miesięcy parę. Rozstaliśmy się z nią ze szczerym żalem.

Nie przypominam sobie dnia, miesiąca, ani nawet roku, w którym z ulicy Berkmans przeprowadziliśmy się na ulicę Pałaców *(des Palais)*, przy której w czasach onych pałace nieobecnością świeciły. Była ona długa bardzo i szła niziną, ciągnącą się wzdłuż trzęsawisk nieosuszonych jeszcze. Wybór na niej mieszkania nastąpił skutkiem nieoględności, spowodowanej względami na taniość i wygodę. Dostał się nam domek cały, jednopiętrowy: na parterze salonik, oddzielony sienią od kuchni, na piętrze dwa pokoje, nad niemi strych, na którym w potrzebie i mieszkaćby można, styłu dziedzińczyk na skład rupieci, sprzodu studnia i ogródek podłużny, otwierający się na ulicę. Wygód nie brakło. Pokój od ulicy zajęła żona moja z dwojgiem dzieci, w drugim ulokowałem pracownię i siebie; w saloniku znalazło

się miejsce na pianino najmowane. Domek ów zajmował środkowe pomiędzy dwoma innemi przyległemi i tak samo zbudowanemi miejsce, z których w jednym, na lewo, sąsiadował z nami człowiek spokojny, niemłody, obsługiwany przez starą ochmistrzynię, w drugim mieszkały dwie siostry, pędzące żywot wesoły, kosztem odwiedzającego je co kilka, kilkanaście dni młodego człowieka, podnoszącego wesołość do diapazonu hałaśliwości, kończącej się niekiedy płaczami i jękami niewieściemi, spowodowywanemi zwyczajem gościa bijania z sióstr starszej, pełniącej funkcję gospodyni domu. Sąsiedztwo to zawadzało nam mocno, pomimo żeśmy z temi paniami i z tym panem znali się z widzenia tylko i trzymaliśmy się od nich zdaleka. Dzięki trzymaniu się temu pan ów pisał do mnie, tłumacząc się z punktu filozofji życiowej, żeśmy od nich nielepsi, a nawet gorsi z tej racji, że swobodny stosunek płciowy cechuje prawda, małżeństwa zaś wiąże hipokryzja. List zdradzał człowieka wykształconego, ponieważ jednak zawierał w sobie wyrażenia, rażące kobiece, żonine nawet, uszy, przeto nań nie odpisałem i żonie go nie pokazałem.

Poza draśnięciem tem, dorywczem, życie w domu ułożyło się nam cale dobrze. Nie „otwieraliśmy“ domu. Otworzył się on sam. Ludzie nas często odwiedzać poczęli, tak żeśmy musieli wyznaczyć *jour-fixe* — nie pomnę, piątek czy sobotę.

Jeden z pierwszych a najmilszy gość przy ulicy Pałaców zawitał do nas Kornel Ujejski. Przyjechał dla Ostendy, odbył przepisane mu przez lekarzy kąpiele i spowrotem u nas zamieszkał na dni kilka, w ciągu których emigracja uczciła twórcę hymnu *Z dymem pożarów* bankietem owacyjnym. Obok kolonji polskiej w Brukseli wzięła w nim udział młodzież studjująca w Gandawie i w Liège. Obchód odbył się świetnie. Wspomniały o nim dzienniki miejscowe. Przemawiali Guttry, Malinowski, jeden z młodzieży i żona moja. Kornel odpowiedział wierszem, zaczynającym się od wyrazów: „Młodzież to przyszłość narodowa“. Złożenie mu hołdu wzruszyło go dogłębi, wzruszyło i do porządku — jeżeli się tak wyrazić wolno — przywołało.

Pod wyrazem „porządek“ w odniesieniu do poetów rozumie się twórczość, nadawana im przez naturę, lecz zależna od wpływów, które im natchnień udzielają. Wpływy te pochodzą, jeżeli nie od istot idealnych, niewidzialnych i niedotykalnych,

jakiemi w starożytności były Muzy: Erato, Polihymnja, Kaljope, Talja, Melpomena, — to od takich, jaką Laura była dla Petrarki, w ostateczności Delfina dla Krasińskiego, nigdy atoli żadna Egerja.

A niestety, Kornel się pod wpływ Egerji dostał, która w nim twórczość wyjałowiła. Spotkało to i Mickiewicza, dzięki wpływowi idei mesjanistycznej, która genjalnego poetę przerobiła na polityczno-socjalno-religijno-militarnego ideologa.

Coś podobnego Egerja z Ujejskiego zrobiła. Pod wpływem jej, poczuwszy w sobie powołanie parlamentarne, przeforsował wybór swój na posła, zamierzając czarem słowa pociągnąć za sobą rzesze, i... skompromitował siebie. Poezja mu już nie szła. Dla zagadkowej rzekomo „niej“ „tłumaczył“ z powodzeniem nierównem Chopina; sam już atoli czuł, że „to nie to“. Zrozumiał, że manifestacja polska w Brukseli odnosiła się do autora *Chorału*, nie zaś do tłumacza mazurków i preludjów. Nie wiedział wszelako, czemu właściwie przypisać obniżenie twórczości, ceniąc panią Wild zbyt wysoko, ażeby przypuszczać miał, iż z niej ono poszło. Poczuł potrzebę rozmówienia się z kimś w tym względzie i do nas się zwrócił.

Mówię „do nas“ w liczbie mnogiej, rozumiejąc pod tem siebie i żonę moją, którą Kornel żywiej niż mnie obchodził. Od dziecka go znała i wzrastała skandując:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do ciebie, Panie, bije ten głos.
Skarga to straszna...

Ta przez niego wygłoszona „skarga“ w duszy jej utkwiła i ją z głosicielem węzłem siostrzanym spoiła.

Kornel pierwszy stosunek swój do p. Wildowej na stół wytoczył. Ujęła go muzyką: odtwarzała Chopina cudownie. O wpływie, jaki muzykantki na płeć brzydką wywierają, przytoczę przykładów parę w ciągu dalszym wspomnień moich brukselskich. Dzieje się i odwrotnie. Artystki opanowują profanów — poetów niekoniecznie; artyści biorą w niewolę niewiasty nietylko zwyczajne, lecz księżniczki, oddające się zarówno tenorom, jak skrzypicielom cygańskim. Muzyka, śpiewy ludziom głowy zawracają.

Kornel, jakem powiedział, sam o pani Wildowej, jako o muzyczce zrazu, zaczął. Przy pianinie z żoną moją godzinami

siadywał i sylabizując na klawiszach utwory Chopina, wyjaśniał związek ich z poezją, wykazywał wymowę muzyczną. Zajmujące to były posiedzenia i dla mnie profana, odrywanego przez nie od pracy. Miałem wówczas na warsztacie *Uskoki*, najpierwszą na tle dziejów południowosłowiańskich z nowszej doby powieść. Przypominam to sobie, prolog bowiem do niej odczytałem słuchaczom, składającym się z Ujejskiego, Wolskiego i żony mojej. Ustęp ten spotkało ze strony ich uznanie. Przy okazji tej Wolski opowiedział o wrażeniu, jakie w Warszawie w kołach literackich sprawiło ukazanie się prac moich powieściowych. Powiedziano jakoby: „To ktoś, co pisząc pobrzękuje ostrogami". Mniejsza jednak o to. Chodzi mi o Kornela.

Posiedzenia przy pianinie miały pozór usprawiedliwiania się ze stosunku, który go z drogi twórczej na naśladowczą sprowadził. Nie usprawiedliwiło go to.

Widzę gest jego, malujący wrażenie, jakie na nim sprawiły wyrazy:

— Panie Kornelu, kiedyż wrócisz na drogę twoją?

W czoło dłonią się uderzył, milcząc chwil kilka, w oczy żonie mojej się wpatrywał i odrzekł:

— Pani, nie zapominam o niej.

Wywiązała się rozmowa długa. Stenografa nie było, więc jej nie powtórzę dosłownie. Pamiętam wszelako punkt jej, który nazwać można zwrotowym. Któreś z nas potrąciło o *Samsona*, rozpoczęty, wielce obiecujący dramat.

— Czemu nie kończysz?

— W głowie mojej jest skończony. Chodzi o przeniesienie z głowy na papier.

— A więc... — odezwałem się.

— Myślisz, że to łatwo?

— Na utworach twoich wysiłków nie znać.

— Tak ci się zdaje. Gdy wiersze piszę, z każdego włosa pot mi kapie.

Pamiętam wyznanie to, przesadą zapewne trącące.

O dramacie, o czem rozmowa ciągnęła się dni parę, powiadał, że na pole to twórczość swoją zwrócić postanowił, ponieważ czuje się wyczerpanym na polu lirycznem. Wspomniał o scenie p. t. *Ostatni Buczaccy*, zapowiedział wstawienie jej

w całość oddawna obmyśloną i szczegółowo wyłożył nam osnowę dwóch czy trzech innych dramatów, które pisać zamierza.

— Wierzcie mi, drodzy moi — często powtarzał — „ona“ mi nie przeszkadza. Przeciwnie. Ona mi ducha podnosi, a bez tego poezji niemasz.

Odjechał, pozostawiając nam wiarę w dotrzymanie obietnic. Na odjezdnem ofiarował żonie mojej świeże „tłumaczenie z Chopina“ p. t. *Koniucha*, które przysłał ze Lwowa wraz z dwoma tomami poezyj swoich, wydanych w Lipsku u Brockhausa. Przepisuję dedykację na pierwszym tomiku:

Zygmuntowi i Zofii z Wróblewskich Miłkowskim
w uczuciu braterskiej miłości przesyła
chrzestny ojciec ich Handzi
Lwów 15 marca 1868 Kornel Ujejski.

Wkrótce po przesyłce tej żona moja od pani Wildowej list otrzymała, oznajmiający jej, że Kornel złamał dane jej przyrzeczenie: nieofiarowywania *Tłumaczeń z Chopina* nikomu innemu tylko jej; za złamanie atoli przyrzeczenia tego dla żony mojej, którą kocha i ceni wysoko, pretensji do niego nie rości.

W liście tym, uprzejmie i elegancko napisanym, pretensja czuć się dawała. Ubodło to kobietę. Również uprzejmie i poprawnie odpisała, że ofiary ze złamaniem przyrzeczenia złączonej przyjąć nie może. Zdaje się jednak, że *Koniucha* w druku ukazał się w pierwotną dedykacją, którą oglądałem na własnoręcznym Kornela rękopisie.

Wkrótce, w półtora roku może potem, Kornel znów do nas zawitał, przywożąc syna młodszego, Romana, którego w szkole w Brukseli ulokował i nam dozór nad nim powierzył. Było to następstwem stanowczego z żoną zerwania. Odebrał jej dziecko — chłopak liczył wieku lat około dziesięciu. To mnie się mocno nie podobało, a kobietę moją oburzyło. Czyniliśmy na sobie wysiłek, ażeby mu tego nie okazać, wiedząc, iżby to nietylko stosunków małżeńskich Kornelostwa nie poprawiło, aleby je ostatecznie popsuło. Próbowaliśmy łagodzenia. Trzymał nam do chrztu syna, który po wybuchu wojny francusko-niemieckiej, w dniu bitwy pod Wörth[1], na świat przyszedł. O owacjach żadnych z racji wypadków politycznych,

[1] Dn. 6 VIII 1870.

dzięki którym Austrja z monarchji samowładnej na państwo konstytucyjne się przeistoczyła i dla emigracji polskiej granice Galicji otworzyła, mowy być nie mogło. Emigracja na tem ucierpiała, ponieważ duża jej liczba, a w niej niemało wybitniejszych onej członków, do zaboru austrjackiego się przeniosła. Brukselę opuścili Malinowscy, Bronisławostwo Radziszewscy, Stanisławostwo Jasińscy, Umińscy i inni. Gdyby nie odwiedzający nas często Guttry, nie byłby Kornel z Polaków w stolicy Belgji nikogo poza nami widział. A i tak dużo z nami spędzał czasu, skutkiem czego sprawa stosunku jego małżeńskiego na stół wytoczyć się musiała. Musiał się przecie przed nami z przywiezienia chłopaka swego usprawiedliwić. Nie poszło mu to gładko. Żonę jego znaliśmy od strony jaknajlepszej, jako matkę i jako Polkę. Nie nadawała się na małżonkę dla poety, pomimo bowiem że była hrabianką (Komorowska) i jedynaczką, spadkobierczynią majątku znacznego, nie otrzymała wychowania odpowiedniego. Ojciec, oszczędny, nie łożył na wykształcenie jej, a natura zbyt skąpa względem niej co do wdzięków się okazała. Nieładna, obdarzona głosem skrzeczącym, rozmiłowana w gospodarstwie domowem, kochająca męża, ale wyżej ceniąca wysiadanie kurcząt przez kwoczki, aniżeli wytwarzanie hymnów przezeń, niecierpliwiła go nieraz.

— Gdy mi raz — opowiadał — kiedym doznawał bólów porodu, przyniosła filiżankę mleka i oznajmiła, że „ta szelma Paraska drugi raz hładuszczyk stłukła“, taki mnie pochwycił gniew, żem filiżanką z mlekiem o sufit trzasnął.

W warunkach podobnych w pożyciu małżeńskiem harmonja panować nie mogła. Zrazu, jak świadczą utwory: *U brzegu*, *Ojcowski psalm* (po urodzeniu się Kordjanka), *Niebezpieczna* nawet, pożycie szło znośnie, jeżeli nie zupełnie dobrze. Nadeszła atoli, nie we śnie, lecz na jawie, „niebezpieczna“ i zmąciła je. Kornel się przed nami na tamtą, „bladolicą“, gorzko żalił, tej błogosławił. Słuchaliśmy w milczeniu niewesołem, które on rozumiał i coraz mocniej żal do „pani Henryki“ i do tych, co jej stronę trzymali, zaznaczał. Uskarżał się zwłaszcza na Władysława, brata mojej żony. Nie przypominam sobie, czy jej, czy mnie przyszło na myśl zwrócić się do niego z zapytaniem:

— Czy ci pani Wildowa w twórczości nie przeszkadza?

Zmieszało go to.

— No, nie! *Tłumaczenia*... — bąkać zaczął.

— To „dla niej“. Cóż dla Polski?

„Dla niej“ wymówiłem tak dobitnie, że zbytecznem się stało wymienienie nazwiska. Po poecie tej co Kornel miary naród czegoś ważniejszego niż „tłumaczenia“ mazurków i preludjów oczekiwał.

— Myślicie, drodzy moi, o dramatach, o których wam mówiłem... — odrzekł.

Wyszła stąd długa w materji tej rozmowa, przeplatana wycieczkami to ku pani Henryce, to ku pani Wild. W odniesieniu do pracy dla Polski, obowiązującej tak poetów, jak zwyczajnych śmiertelników, pani Henryka, niepiękna i nieumiejąca ocenić piękności *Wniebowzięcia* (Preludjum, dzieło 28), wychodziła lepiej od spółzawodniczki swojej, a tak dalece lepiej, że wkońcu racja po naszej znalazła się stronie. Było to następstwem tonu, w jakimeśmy z nim dyskusję toczyli. Odczuwał w nas siostrę i brata, rozrzewniał się i nietylko rację nam przyznał i zabrać się do dramatów przyrzekł, ale, co narazie duże miało znaczenie, dał słowo honoru, że do Meranu, do pani Wildowej, nie pojedzie.

W r. p. 1867 jeden poeta dał mi „słowo honoru“, że katedrę literatury polskiej w Krakowie obejmuje, i — nie objął. W cztery lata później drugi poeta dał nam „słowo honoru“, że do Meranu nie pojedzie, i — pojechał.

Żona moja napisała do niego list siostrzany, ale ostro wymówkami zaprawny i wróżący mu zanik talentu poetycznego. Z listem tym poszedł do Malinowskiego i dał mu go do przeczytania z zapytaniem:

— Powiedzcie mi, czego ona ode mnie chce?...

Zdaje się, że na list ów odpowiedzią publiczną był, zamieszczony bodaj czy nie w *Dzienniku Literackim*, wiersz o obudzeniu się lwa, kończący się zapytaniem wraz z odpowiedzią:

Słyszycie ryk?
On wam zamrozi szpik...

Co mu kobieta moja wróżyła, to nastąpiło.

Po odjeździe Kornela, w pół roku może, nadjechała pani Henryka. Otoż się biedactwo żaliło i skarżyło! Żona moja, która przed Kornelem ją zawzięcie broniła, przed nią broniła Kornela.

Pomiędzy pierwszą a drugą autora *Chorału* w Brukseli bytnością dom nasz, skutkiem zapewne zwrócenia na siebie uwagi przebywających w niej Polaków przyjęciem owacyjnem poety, począł być licznie przez spółziomków odwiedzany. Goście zaglądali często, niekiedy po razy kilka na dzień. Nie pomagało mi to w pracy, musieliśmy przeto dzień w tygodniu i godzinę przyjęć wyznaczyć. Ułatwiło to nam znacznie egzystencję, zwłaszcza ze względu na to, że już nadeszła pora posyłania dziecka naszego najstarszego do szkoły. Antosia nasza, chowana w otoczeniu książek i wydawnictw obrazkowych warszawskich (*Tygodnika Ilustrowanego*, do którego pisywałem od pobytu w Michalenach, i *Kłosów*, które później założone zostały), sztukę czytania posiadła sama, bez uczenia się abecadła i sylabizowania. Natura obdarzyła ją łatwością przyswajania sobie języków obcych. Przyjechała do Brukseli, mając lat cztery i mówiąc po polsku, po serbsku i po niemiecku. W Brukseli po serbsku i po niemiecku zapomniała, a nauczyła się po francusku i po angielsku. W obcem mieście nad dzieckiem czuwać trzeba było — lekcyj dopilnowywać, do szkoły odprowadzać i ze szkoły przyprowadzać, obok tego dzieci przybywających nie zaniedbywać: na to wszystko pozwalały nam żurfiksy, przy pomocy służącej stałej, zwanej Marją (nazwisko jej rodowe zapomniałem), kobiety zacnej i dobrej, która nam jeść gotowała, mieszkanie oprzątała i dzieci niańczyła, i która następnie państwu Radziszewskim, bankierostwu, wyniańczyła w Warszawie syna Henryka, odznaczającego się obecnie (r. 1907) na polu ekonomicznem jako uczony i pisarz znakomity [1]. Jej zawdzięczam możliwość pracowania; jej żona moja zawdzięczała możliwość czuwania nad edukacją najdroższej dla matki istoty: dziecka pierworodnego; jej oboje zawdzięczaliśmy możliwość pełnienia obowiązków towarzyskich, polegających na przyjmowaniu gości raz na tydzień, w dniu nie pomnę którym, wieczorami. Gdyby nie ona, skomplikowanym pracom i zaję-

[1] Jako uczonego i pisarza, z którego rodzicami żyliśmy dobrze w Brukseli, znam p. Henryka Radziszewskiego ze szpalt dziennikarskich. Pozatem drogą prywatną doszła mnie wiadomość o przywiązaniu jego do zmarłej u państwa Radziszewskich Marji, na której grobie, dzięki jemu, nigdy niebrak kwiatów świeżych. Świadczy to dobrze o uczonym i o niańce jego. (Nota T. T. Jeża).

ciom nie podołalibyśmy sami. Ona nas zastępowała, wyręczała, obowiązków naszych połowę, jeżeli nie trudniejszą to przykrzejszą, pełniła. Gdy moment rozstania nadszedł, żegnaliśmy się z nią jak z przyjaciółką. Nastąpiło to atoli nie rychlej aż w r. 1872, a nim do tego przyszło, życie się snuło na polach prywatnem i publicznem, jedno się wytwarzając, drugie odbijając w chałupie naszej.

Na wieczorach u nas ludno bywało, taksamo jak w dwóch innych domach polskich, co żurfiksy u siebie zaprowadziły: pani Mierzejewska i państwo Paszkowscy. Zdaje się i pani Mierzejewska i państwo Paszkowscy byli z Wołynia i p. Paszkowski należał do rodzaju „niebłagonadiożnych"; skompromitowany w czasie powstania jako demisjonowany oficer od ułanów czy huzarów i zesłany do którejś gubernji wgłębi Rosji, wyrobił sobie pozwolenie na wyjechanie zagranicę dla poratowania rzeczywiście nadwerężonego mocno zdrowia, w Brukseli z żoną i dwojgiem dzieci zamieszkał i w Brukseli umarł. Dom ich byłby miły, gdyby się u nich nie trafiali goście, nieprzyznający się do narodowości rosyjskiej, lecz noszący takie rażące uszy polskie nazwiska, jak np. Siewers i t. p. Noszące nazwiska takie panie, luboć niebrzydkie, nieponętnie jednak wyglądały. Jedna z nich śpiewała, wydając ze siebie tony takie, jakby była pozytywką i ktoś ją nakręcał.

U pani Mierzejewskiej zebrał się był raz śród gości dobór taki: staruszek zgrzybiały, Dzierzanowski czy Dzierzański [1], oficer z szesnastego pułku ułanów z r. 1812, ja, syn oficera tegoż pułku, i młody Tyszkiewicz, wnuk rotmistrza szwadronu w szesnastym pułku. Gospodyni, matka młodzieńca okazującego skłonności literackie, święciła świeżo nabyty tytuł hrabiny, wyjednany dla niej i jej syna u papieża przez księdza Szczeniowskiego, byłego profesora w seminarjum katolickiem w Żytomierzu, skompromitowanego udziałem w powstaniu.

Ozdobą dwóch tych żurfiksów bywały ukazujące się rzadko razem trzy prześliczne mężatki młode, występujące nieodmiennie w asystencji jeżeli nie księdza Szczeniowskiego, to księdza Drohojewskiego. Dwaj ci kapłani specjalnie nad płcią niewieścią

---

[1] Podpor. w 16 pułku piech. był Stanisław Dzierżański. Ob. Gembarzewski G., *Wojsko polskie 1807—1884*, Warszawa 1905.

czuwali. Trzeci, ks. Horbaczewski — jeżeli się w nazwisku nie mylę — pełnił funkcję kapelana u pani Burbiny, obywatelki z Litwy, wdowy z dwojgiem czy trojgiem dzieci, utrapionej dochodem rocznym wynoszącym trzydzieści kilka tysięcy rubli, i dotkniętej manją wychodzenia zamąż i rozwodzenia się z mężami. Przychodziło to jej z łatwością, omijała bowiem obowiązujące w Belgji śluby cywilne, biorąc jeno nieważne, kościelne, dawane jej przez kapelana ukradkiem. Rozwód przeto od jej całkowicie zależał woli. Cechowała ją bigoterja niezrównana.

Jeszcze paru księży Polaków w Brukseli przebywało, ci atoli w kolonji polskiej roli nie odegrywali żadnej.

Z domów polskich do zanotowania nasuwają się mi pod pióro dwa jeszcze: inżyniera Kislańskiego i wybijającego się z wekslarza *(changeur)* na bankiera Radziszewskiego. Pierwszy atoli, ożeniwszy się z córką emigranta we Francji, z emigracją w Brukseli się nie wdawał; drugi zaś domu nie otwierał, ale i nie zamykał, a opanowany przez melomanję, chorobę, na którą mu rozwijające się świetnie interesy pozwalały, rad przyjmował, chociażby co wieczór, każdego i każdą grającą biegle na fortepianie, na skrzypcach, na czembądź. Pierwsza sposobność przekonania się o wysokości stopnia choroby tej nastręczyła mi się przy okazji koncertu, w którym występowała łączność gry na skrzypcach ze śpiewem w duecie końcowym, wykonanym przez zespół artystów tej miary co Vieuxtemps i Patti. Na koncert ów, do sali znajdującej się w domu nieopodal od parku królewskiego, poszła żona moja, ja zaś na wyjście jej czekałem w parku na ławce umówionej. Przyszła zachwycona, nie w tym atoli stopniu, co przybiegający wnet po niej Radziszewski, który, ujrzawszy nas, na ławkę się zwalił z okrzykiem:

— Ach, pani! ach, pani! ach, ach!

Rozachał się, jakby nie był handlarzem pieniędzy.

— Ach, co to było! Coś nadzwyczajnego, nieludzkiego, o szał przyprawić zdolnego!

Patrzałem na niego, nito na oszalałego za sprawą jakowegoś wniebowzięcia, nieprzystającego zgoła do krótkiego, pękatego, poczynającego tłuszczem porastać wekslarza. Gdzie teżto lokują się zachwyty artystyczne!

Zaznaczyćby należało i dom państwa Stanisławostwa Jasińskich, gdyby nie to, że jak prędko stanowisko pokaźne zajęli, tak prędko się z niego usunęli. W przeciągu mniejwięcej półtora roku na ofiarowanym mnie przez Gropplera a ustąpionym przeze mnie p. Stanisławowi J[asińskiemu] komisie jednego z domów handlowych w Konstantynopolu p. Jasiński zarobił kilkadziesiąt tysięcy franków. Jako pełnomocnik domu tego w przemysłowym świecie belgijskim uzyskał powagę i kredyt, uważał więc za wskazane odpowiednio zamieszkać i mieszkanie umontować. Zaopatrzył się w meble, ozdoby i sprzęty wszelakie nie tyle dla wygody, co dla oka, rachując na to, że „jak cię widzą tak cię piszą". Rachunek ten byłby nie zawiódł, gdyby dom handlowy w Konstantynopolu nagle i niespodzianie nie zbankrutował. Przeraziło to i przestraszyło państwa Jasińskich. W przerażeniu pani grubą na siebie włożyła żałobę; w przestrachu, lękając się, ażeby ich nie sfantowano, państwo odesłało do nas kosze z precjozami i kryształami, z obrazami i meblami kosztowniejszemi. Pretensje atoli przemysłowców belgijskich zwróciły się do firmy handlowej w Konstantynopolu, ale nie do urzędnika onej. Spostrzegli się na tem państwo Jasińscy, lecz żałobą i przestrachem tak się czuli skompromitowani, że Brukselę opuścili na zawsze. Spotkałem się z nimi w lat parę później w Krakowie. Zarobione w Belgji franki pozwoliły im spekulować na rękę własną. Mieli na drodze tej do łamania się z ciekawemi i charakterystycznemi przeszkodami. Naprzykład. Dowiaduje się p. S. Jasiński, że niektóre fabryki w Czechach potrzebują jaj w dużej ilości, urządza się więc odpowiednio i skupowywać poczyna jaja. Zafrapowało to Żydów krakowskich. Dalejże jaja wykupować, nie wiedząc naco! Na produkt ten cenę odrazu podwyższyli ze stratą własną, uniemożliwiając na drodze tej zarobkowanie panu Jasińskiemu, potomkowi frankistów po mieczu i po kądzieli. Takie to się eksperymenty na drodze spekulacyjnej trafiają.

Ubył więc Brukseli jeden dom polski, który się dobrze zapowiadał ze względu na to, że małżeństwo Jasińscy należało do sfery umysłowo wykształconej i tradycyjnie przejętej patrjotyzmem polskim, do sfery, wydającej uczonych, artystów, literatów i żołnierzy. Syn ich jeden na niepospolitego wykierował się rysownika. Szkoda ich nam było.

Pozostało domów trzy. Ogniskowaliśmy się w nich.

U nas w wyznaczonych na „fiksy“ wieczorach ludno niekiedy bywało — ludno i nienudno. Moja „gospodyni domu“ gości „bawić“ umiała. Sztuki tej nauczyła się w Czortkowie, gdzie dom Wróblewskich z gości się na chwilę nie wypróżniał. Pomagali jej w tem goście stali: Franciszek Narbutt i Włodzimierz Wolski.

Pisząc nazwiska te, przyszły mi na myśl wyrazy konfederata z wiersza pod tytułem tym Kornela Ujejskiego:

Tfu... Jak się tu nie sierdzić!
Gdy lampa dogorywa, to knot musi śmierdzić, —
I starość ma swoje zgryźliwe humory.

„Zgryźliwe“ — w odniesieniu do teraźniejszości. Przeszłość dla starców jest rodzajem wskrzeszenia: zawsze ich wzrusza, często rozrzewnia, niekiedy rozwesela. Dwa wyżej wymienione nazwiska wzruszyły mnie i wywołały trzecie, które mi zabawne przypomniało zdarzenie.

Niemal nazajutrz po zamieszkaniu przez nas domku przy ulicy des Palais zjawił się u nas młody, słuszny, przystojny, wesoło patrzący, dobrej tuszy ksiądz, który się mi w następujący przedstawił sposób:

— Ksiądz (imię zapomniałem) Drohojewski, były ułan legjonu polskiego, mam zaszczyt meldować się pułkownikowi wojsk polskich.

Żołnierską postawę przybrał, dwa palce dłoni prawej do czoła podniósł.

Prosiłem siedzieć. Zdziwiło mnie, skąd się wziąć mógł legjonista taki młody w lat dwadzieścia po wygaśnięciu wszelakich organizacyj legjonowych polskich.

— Z którego pułku? — zapytałem.

— Z Meksyku — odpowiedział.

— Aa... — odezwałem się.

Po wycofaniu się z Meksyku wojsk francuskich i pozostawieniu Maksymiljana, brata Franciszka Józefa, na łaskę i niełaskę losów we względzie utrzymania się na tronie cesarskim, wyspekulowanym dla niego przez Napoleona III, Austrja zwerbowała pewną ilość Polaków do legjonu na pomoc bratu cesarza swego. Gdy o legjonie tym coś mi ksiądz opowiadał, przypomniałem sobie o pogrzebie Gendebiena, przy którego

zwłokach, jako przy zwłokach prezesa wszelakich komitetów zawiązywanych w Belgji od r. 1831 na rzecz Polski, wygłosiłem pożegnanie krótkie. Gendebien, jeden z wyzwolicieli Belgji spod panowania holenderskiego, pomnąc na przysługę, jaką ojczyźnie jego oddało powstanie polskie r. 1830, był jednym z gorących sprawy polskiej przyjaciół. Nie mogłem więc w pogrzebie jego udziału nie wziąć. Powiedziałem to księdzu, a on na to:

— A to i ja z pułkownikiem pójdę.

Poszedł i — otoż umykał, gdy spostrzegł, że to pogrzeb cywilny! W życiu po raz pierwszy mu się widzieć to zdarzyło.

Ksiądz ów bywał u nas gościem niezbyt częstym. Częściej odwiedzali nas biegli w muzyce: Dobrowolski[1], człek miły i rozumny, nauczyciel przy synach pani marszałkowej Burbiny, i dr Czeczott, wnuk Czeczota, przyjaciela Mickiewicza, wierzący w swój genjusz muzykalny, który sprawdzać mogą mieszkańcy Petersburga, wyświęcił się bowiem na księdza i zajmuje obecnie w Petersburgu jakieś wysokie w hierarchji kościelnej stanowisko[2]. Wówczas pracował gorliwie na sławę artystyczną, grał biegle, ale grze jego brakowało tego, co na nerwach słuchaczy wtór wywołuje.

Wywołującą wtóry tego rodzaju fortepianistką była w czasach onych w Brukseli Polka, wychowanka czy też córka Józefa Brzowskiego, inspektora i nauczyciela Instytutu Muzycznego w Warszawie. Losy jej zasługują na opowiedzenie. Wykształcona przez ojca, kolegę i wielbiciela Chopina, weszła była po r. 1848 na drogę karjery koncertowej w Polsce. Nie poszło jej. Impresarjo jakiś poznał się na wartości jej, wywiózł ją do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i zaprodukował pod nazwiskiem panny Jagiełło. Nazwisko zrobiło jej reklamę, którą

---

[1] Bruno.

[2] Ks. Witold Danilewicz-Czeczott (1846—1929) ukończył wydział prawny Uniw. Petersb., poczem uczył się u Liszta w Wiedniu i w Konserwatorjum muzycznem w Brukseli, następnie odbył studja w uniwersytecie w Heidelbergu i uzyskał stopień dra fil. W r. 1881 ukończył Seminarjum duchowne w Warszawie i przyjął święcenia; był potem profesorem Seminarjum duchownego w Petersburgu. Ogłaszał artykuły literackie i teologiczne. Nie był wnukiem Jana Czeczota, filarety. (Zob. nekrolog w *Pińskim Przeglądzie Diec.* 1929 nr. 1).

poparł talent rzeczywisty. Na koncerty jej cisnęły się tłumy, popisy wywoływały zachwyty, — zachwyty odnoszące się nietylko do muzyki, ale i do muzyczki. Panna Jagiellonka, w której żyłach płynęła krew królewska, rozkochiwała w sobie Jankesów i niesamych tylko Jankesów. Rozmiłował się w niej przywiązaniec *(attaché)* ambasady francuskiej, człowiek młody, bogaty, o nazwisku arystokratycznem de Maijean czy Méjean, i wziął ją sobie za żonę. Pożycie małżeńskie, na gruncie melomanji sklejone, niedługo trwało. Wprędce się rozkleiło. Krótkie to małżeństwo dziewczynie bezdomnej i bezimiennej dało nazwisko poprzedzone przez *de*, co nie jest bez znaczenia, i zapewniło egzystencję pod postacią przyznanych jej przez sądy alimentów donośnych, dozwalających jej pędzić żywot beztroski.

Zastaliśmy ją zamieszkałą w Brukseli we własnym podobno domu. Dawała koncerty i w koncertach udział brała, lecz nie dla zarobku osobistego, ale dla celów bądź dobroczynnych, bądź użyteczności publicznej. Do kół polskich nie zbliżała się. Dowiedzieliśmy się o niej od Wolskiego, który razu pewnego zapowiedział nam wielki festyn muzykalny.

— Ma tu przyjechać z Warszawy Józef Brzowski, muzyk i kompozytor. Napisał oratorjum, które dedykował królowi belgijskiemu i którego egzekucja uroczysta odbędzie się w katedrze u św. Guduli. Orkiestra katedralna studjuje tę sztukę o rozmiarach szerokich, złożonych z ustępów muzykalnych i wokalnych.

Któreś z nas zapytało, z jakiego tytułu dzieło to muzyk polski dedykował królowi belgijskiemu.

— Z tego tytułu, że pani de Méjean jest muzyka tego córką [1].

Wolski opowiedział nam dzieje jej życia, osnute na triumfach koncertowych, działających na nerwy melomanów, i nieskończone jeszcze.

— Jakto? — zapytaliśmy.

— Bo ciągną się dalej. Pani de Méjean, niewiasta mocno już przejrzała i nieponętna, serca męskie podbija jeszcze.

Wymienił nazwisko jednego z bardzo bogatych jubilerów

---

[1] Podobno w rzeczy samej była ona córką jego nieślubną. (Nota T. T. Jeża).

brukselskich, rujnującego się dla niej, i opowiadanie zaprawił obrokiem duchownym:

— Dawniej rujnowanie się tego rodzaju było przywilejem arystokracji wysokiej; obecnie przywilej ten mieszczaństwo przyswoiło sobie. X (nazwał jubilera) proteguje muzykę, a Buls, również jubiler, mecenasuje naukom, literaturze i sztukom plastycznym.

W czas jakiś, może w miesiąc po zawiadomieniu przez W. Wolskiego o festynie, wizytowała nas w porze przedpołudniowej pani de Méjean. Przyjechała celem zaproszenia żony mojej i mnie na bankiet dany przez nią ku uczczeniu kompozytora oratorjum w dniu, w którym kompozycja w katedrze odegrana zostanie. Przyjąłem ją w saloniku sam. Przyjąłem zaproszenie dla siebie, dla żony zaś warunkowo: „jeżeli będzie mogła".

Wprzededniu popisu w katedrze odbyła się ogólna próba popisowa wobec zaproszonego na nią całego świata artystycznego brukselskiego. Ponieważ zaproszenie i nam się dostało, więc byliśmy na próbie, na której się nam kompozytor przedstawił. Z Wolskim łączyła go znajomość koleżeńska z czasów cyganerji warszawskiej. Różnił ich wiek: jeden rodził się w 1805, drugi w 1825, mimo to byli ze sobą na „ty" i przypominali sobie anegdoty o „czwartakach", dla których Wolski marsz napisał, a którymi byli literaci, mieszkający u Radziszewskiego na piętrze czwartem i nawykający do pluskw i niepłacenia właścicielowi czynszów, — o dzikiej Kaśce, co im usługiwała i do której ody pisywali i t. p. Na próbie ulokowano nas na krzesłach w pierwszym szeregu wraz z Wolskim. Po odegraniu każdego z ustępów ogromnego oratorjum Wolski, przyklaskując, wołał na kompozytora:

— Brawo! brawo!

Nam zaś, usta dłonią przysłaniając, oznajmiał półgłosem:

— Kłania mu się Beethoven. Kłania mu się Mozart. Kłania mu się Bellini.

I tym podobnie.

Utwór ten był, zdaje się, *mixtum compositum*, pozszywane umiejętnie. Po popisie w katedrze w obecności króla, najwyższych sfer rządowych, elity towarzyskiej i artystycznej, pierś twórcy Leopold II przyozdobił orderem. Ku uczczeniu trium-

fów córka obiad w hotelu i przyjęcie u siebie w rodzaju uczty artystycznej urządziła i nas na nią zaprosiła. Po złożonej nam przez nią wizycie nadbiegł do nas Wolski ze zwróconem do żony mojej zapytaniem:

— Była już u państwa de Méjean?

— Była.

— Prosiła?

— Prosiła.

— Pójdzie pani?

— Nie.

— O! to dobrze. Nam z pułkownikiem wolno iść wszędzie, ale pani? nie!...

Wiedzieliśmy o tem i dlatego na przyjęcie pani de Méjean żona moja nie wyszła.

O obiedzie w hotelu tyle tylko mam do powiedzenia, że ciągnął się długo, składał się z dań bezliku w trzech zmianach, rozpoczął się zawidna, skończył przy świecach; wkońcu krytemi szarabanami odwieziono nas w ilości osób 30 do 40 do domu pani i zostawiono samym sobie. Towarzystwo składało się z kobiet kilku, reszta mężczyźni, śród których Polaków znajdowało się pięciu: Brzowski, Wieniawski fortepianista, Merzbach, Wolski i ja. Polek było dwie: gospodyni domu i zapomnianego przeze mnie nazwiska aktorka, emerytka teatru warszawskiego.

Zostawiono nas samym sobie dla drzemki poobiedniej, dla której w dużej izbie czekały na nas, śród kwiecia i zieleni, rozstawione na środku i wzdłuż ścian w nieładzie pozornym, wygodne kanapy, sofy, szezlągi, fotele, krzesła i meble inne, których nazywać nie umiem. W przybytku tym przepych z każdego wyglądał kąta. Przesiedzieliśmy w nim godzin parę: jedni zgrupowani rozmową się zabawiali, drudzy drzemali, niektórzy chrapali i około dziesiątej w nocy rozbudzeni zostali. Wezwano nas na herbatę, podaną w pokoju zajętym stołem podłużnym, okrytym zastawą przepyszną. Zastawa oczy zrywała. Na środku stołu wznosił się stożek niby nieoszlifowanych kamieni drogich. We dwie onego strony ciągnęły się przeplatane bukietami w wazonach misternych ciasta, cukry, owoce, na podstawkach srebrnych, złotych, porcelanowych, kryształowych, śród zajmujących brzegi stołu nakryć dla gości, które wytwornością

kształtów i harmonją układu czyniły zadość najwybredniejszej wyobraźni artystycznej. Szczegół każdy świadczył, że gust gospodyni domu manifestuje się nietylko w tonach, ale i w kształtach.

Przy stole towarzystwo na dwie rozpadło się połowy, rozdzielone stojącym na środku stożkiem. W połowie, w której obok Wolskiego blisko stożka siedziałem, zrobiło się wesoło dzięki grubemu redaktorowi dziennika *Indépendance Belge* i jednemu ze spółbiesiadników. Oni zapoczątkowali, prym jednak w kierunku tym objęli po nich Wieniawski i Wolski — pierwszy kalemburami, sypanemi niby z rękawa, drugi ciętemi do nich komentarzami. Wieniawski powtarzał rzeczy wyuczone po papuziemu, Wolski oryginalnie wlot stronę ich słabą lub śmieszną podchwytywał. Bawiliśmy się wybornie, póki ktoś w szkło nie zadzwonił i toastu na cześć jubilata nie wniósł.

Rozpoczęły się toasty.

Słuchając je, ku wielkiemu zdziwieniu memu dowiedziałem się, że spędzam wieczór w towarzystwie samych genjuszów, — genjuszów miary, przechodzącej miary wszelkie, ludzi wielkich, jakich ludzkość nie posiadała jeszcze.

Trąciłem Wolskiego łokciem i rzekłem:

— Uciekam.

— A toż czemu? — zapytał.

— Dla małości mojej wobec wielkości takich.

— Niech pułkownik trochę jeszcze poczeka.

Poczekałem i wnet się doczekałem.

Z drugiej strony stołu, spoza środkowego stożka, pochyliła się ku mnie pani Méjean i gdym wstawszy ucho nastawił, wsunęła mi w słuch wyrazy następujące:

— Niech pułkownik będzie łaskaw, króciutki dla mnie wygłosi toast...

— Wypłata za jadło i napitek — pomyślałem sobie, a Wolskiego zapytałem pocichu:

— Co ja nieszczęśliwy powiedzieć mogę?

— Czy pułkownika nie nastroiły toasty słyszane?

Poradziliśmy się chwilkę. Wstałem i donośnie wygłosiłem superlatywów kilka.

Po herbacie, którą spółbiesiadnicy niektórzy koniakiem doskonałym zaprawiali, towarzystwo przeszło do salonu, gdzie ktoś usiadł przy fortepianie, wziął akordów kilka i z pań jedna za-

śpiewała, wynadgrodzona oklaskami odeszła, a miejsce przy fortepianie zajęła gospodyni domu. Nastąpiła chwilowa oczekiwania cisza, którą zamąciły wstępne nuty poloneza Chopina, tego poloneza, który zasługuje na nazwę plastycznego, wsłuchując się weń bowiem, widzi się przesuwające praojców i pramatek naszych cienie. Po burzy oklasków, które cienie te spłoszyły, słyszeć się dały wyrazy:

— Pani, ażeby tak utwory Chopina egzekwować, potrzeba być kobietą i Polką.

Wyrazy te do siedzącej jeszcze pani de Méjean wygłosił Merzbach przy stojącym obok Wieniawskim, któremu wiszące na ustach powinszowania czy komplementy w gębie nagle zamarły. Milczał, w Merzbacha oczy wlepił i, gdy artystka wstała, wybuchnął:

— Co?! Czemże, kobietą czy mężczyzną, Chopin był? Co za gadanie!... Gdyby tak być miało, fortepianbym roztrzaskał.

Ze wzrastającą irytacją potrącił podstawę zwierzchniej strun fortepianowych pokrywy i ta z hukiem spadła, następnie zamknął z trzaskiem osłonę klawiszów i, zwracając się do skupionych a zdziwionych słuchaczy, zawołał:

— Ale ja wam pokażę, jak się Chopina grać powinno!

Otworzył okrywę strun, otworzył osłonę klawiszów, przy fortepianie usiadł i tego samego poloneza, co pani de Méjean tylko co odegrała, wziął akordy wstępne.

Niesmaczna ta scena z salonu mnie wydaliła. Przeszedłem do pokoju przyległego i na kanapie obok Wolskiego i Brzowskiego miejsce zająłem.

— Kto to gra? — zapytał porywczo Brzowski, muzykę usłyszawszy.

— Wieniawski — rzekłem.

— Pyski mu zbiję! — zerwał się.

Wnet jednak usiadł, pociągnięty za połę surduta przez Wolskiego, przemawiającego doń tonem perswazji.

— Daj mu tam pokój.

Po chwili zerwanie się powtórzyło.

— Pyski mu zbiję!

— Daj mu tam pokój — powtórzył Wolski, znów go za połę pociągając.

Powtarzało się to nie pomnę ile razy. Obydwa w czubku

mieli, ale koniak na jednego działał zaczepliwie, na drugiego kojąco.

Z uczty tej nic więcej w pamięci mi nie zostało. Była to uczta nawskroś, nawylot artystyczna, która mi świat artystyczny ze strony wprawdzie wybuchowej, ale podszytej regułą: *in vino veritas* — cale wiernie poznać dała. Czy nie z tego świata wyłonił się nietzscheizm, system filozoficzny, wskazujący dla ludzkości przewodnictwo w genjuszu orfeuszowskim? Na długo przed pojawieniem się Nietzschego system jego w świecie tym nurtował, pomazując poetów na wieszczów, nakazując ludziom płci obojej cześć dla muzyków, dla tenorów, dla sopranistek, dla malarzy, rzeźbiarzy. Czy nie korzą się ludzie przed Michałem Aniołem, przed Rafaelem? Czy nie ofiarowano Matejce berła królewskiego? Świat artystyczny zawraca głowy i artystom i śmiertelnikom zwyczajnym.

Przekonałem się o tem wkrótce po uczcie na cześć Brzowskiego. Najprzód o pojawieniu się w Belgji wielkiej fortepianistki Polki, uczenicy i wielbicielki Liszta, przebywającej w domu Servais'go wiolenczelisty, a protegowanej przez księży polskich, wieść się rozeszła. Wieść tę potwierdził młody Servais, który niekiedy bywał u nas, a słynął podobieństwem uderzającem do Liszta i na Liszta się charakteryzował: nazwał artystkę Olgą Janiną, mówił o niej jako o osóbce bardzo utalentowanej i o istocie bardzo ciekawej. Protegowanie jej przez księży wydawało się rzeczą naturalną, ponieważ Liszt sam dla uchronienia się przed natarczywością uwielbień niewieścich habit przywdział. Mówili nam o niej Dobrowolski i Czeczott. Ten ostatni spotkał się z nią u księdza Drohojewskiego, który dla niej mieszkanie swoje przyozdobił w fortepian i odwiedzał ją u Servais'ych, mieszkających nie w Brukseli. Wieści takie śród Polonji krążyły i zaciekawienie budziły, wywołując rzecz prosta — plotki. Dla zmienienia czy dla wysłania pieniędzy zaszedłem był raz do biura Radziszewskiego i ten o Olgę Janinę mnie rozpytywał z akcentem ciekawości melomańskiej. Wiedziałem o niej tyle co on.

Nagle i niespodzianie dowiedziałem się o niej więcej — od niej samej. Zjawiła się u mnie w pracowni mojej w charakterze kobiety nie protegowanej, ale prześladowanej przez księży i zrozpaczonej. Przyszła do mnie, ażeby mi oznajmić, że sobie

życie odbierze, na dowód czego pokazała mi w drobniutkich, białych, nakształt homeopatycznych, pigułeczkach truciznę, zwaną *curare*. Perswadowałem jej, żeby tego nie robiła, słyszałem bowiem, że jest artystką znakomitą, jako taka przeto nie ma powodu oddawania się rozpaczy. W odpowiedzi na perswazje moje przedstawiła mi położenie swoje. Od Servais'ych przyjechała z ks. Drohojewskim, który ją we fiakrze zgwałcić chciał, lecz mu się oparła, więc ją w hotelu ulokował.

— W tem jeszcze niema — rzekłem — do pozbawiania się życia powodu.

— Zapewne. Alem ja bez grosza! — tonem tragicznym wybuchnęła.

— Tak-że pani mów — podchwyciłem. — Nieszczęściu takiemu zaradzić nietrudno.

— Jałmużny nie przyjmę! — z przyciskiem obrazy odparła.

— Nie o jałmużnę, ale... naprzykład... o ułatwienie pani dania koncertu chodzi.

To ją uspokoiło. Przestała o samobójstwie mówić, rozpacz objawiać, i przyjęła małą, jaką jej ofiarować mogłem, pożyczkę.

Po odejściu jej poszedłem wprost do Radziszewskiego. Znalazłem go w takiem usposobieniu, że nie dając mi [dojść do słowa], rozwodził się nad położeniem smutnem wielkiej artystki; podjął się ratować ją.

O, toż się ubrał — ha!

Doiła go lat kilka, doiła bez miłosierdzia, opanowawszy jego i żonę. Ulokowali ją u siebie, oddali jej piętro, zaopatrzone i umeblowane stosownie do jej gustu, najęli czy kupili dla niej fortepian wedle jej skazówki i nic jej do odmówienia nie mieli.

Zaczęła od wyciągnięcia ich na podróż artystyczną do Bawarji dla zapowiedzianego znakomitego jakiegoś w Monachjum koncertu i do Szwajcarji dla szafirowej Lemanu barwy. Fatalnie się podróż ta obróciła. Państwo Radziszewscy odjechali dziecko chore, które im umarło. Następnie w ciągu dwóch lat zgórą wyciągała ich na wydatki ogromne i robiła im sceny ustawiczne. Raz w Ostendzie, w obecności mojej, skutkiem sceny jakiejś zemdlała. Bez wysiłku, drobna ta bowiem istotka lekką była, z podłogi ją podniosłem i w sypialni na łóżku ułożyłem. Omdlenie owo przyprawiło ją — jakoby — o utratę władzy mówienia na tygodni parę. Fenomenu tego lekarze pojąć nie mogli. Radzi-

szewscy pozbyli się jej nie prędzej, aż się jej zachciało do Paryża. Skorzystawszy z okazji, wyprawili ją, zaopatrzywszy we wszystko, niby córkę rodzoną, od nóg do głowy zbytkownie oporządzoną i w pieniądze zaopatrzoną. Z Paryża, jako z punktu wychodniego, puściła się na awantury w ciągu dalszym. W walce o byt kojarzyła się, rozwodziła, haussowała, baissowała i przebojem kroczyła. Nie zalecały jej ani piękność, ani rozum, ani dowcip, a tylko i wyłącznie gra na fortepianie, gra niedościgle biegła i zuchwała. Kobiecina ta, szczupła, sucha, nieponętna, fortepiany rozbijała, a paluszki od uderzania o klawisze popłaszczyła sobie na koniuszkach, tak że przybrały kształt buławeczek. I zawracała głowy nie samcom, ale melomanom. W lat dużo — dużo — dużo później spotkałem ją na ulicy w jednym z grodów szwajcarskich, wyblanszowaną, wypichrzoną, cudacznie ustrojoną. W grodzie owym uwiodła lekarza bogatego, w zawodzie swoim bezwzględnego, ale melomana.

Melomanizm należy do rodzaju chorób zaraźliwych, grasujących w obydwóch rodzaju człowieczego połowach. Dawniej wydawało się mi, że należy on do gatunku chorób endemicznych, właściwych Polsce. Przekonania tego nabyłem skutkiem wrażeń, jakie czasu onego na Rusi wywarły koncerty Lipińskiego na płeć męską, Liszta na niewieścią. Lipiński przed powstaniem listopadowem koncertował w Kijowie na kontraktach, Liszt, który do Kijowa zawitał w r. 1845 (może w r. 1844), od Kijowa zaczął i następnie objeżdżał miasta i miasteczka w gubernjach kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, na Krzemieńcu skończył. Słyszałem go w Niemirowic.

Nam p. Janina grywała w czasach wojny francusko-niemieckiej, sprawiającej mi w odniesieniu do muzyki dystrakcję. Wojna zajmowała mnie bardziej aniżeli ona, raz jako żołnierza i człowieka, którego wypadki polityczne żywo interesowały, powtóre jako korespondenta „z teatru wojny“ do *Kłosów*, tygodnika ilustrowanego założonego przez Lewentala, i do seraskieratu (ministerstwa wojny) w Konstantynopolu.

Kłosom korespondencje moje napędziły czytelników, wydawcy zaś dochodów, stanowiących dla niego posiew plonu miljonowego. Dowiedziałem się o tem od niego samego, przyjeżdżał bowiem do nas z wynurzeniami wdzięczności i z propozycjami złotą dla mnie w perspektywie ukazującemi przyszłość.

Dla literackich produkcyj moich otwierał pismo swoje jaknajszerzej. Raz, gdy się zgadało o Ostendzie, o wzmacnianiu sił przez kąpiele morskie i o wydatkach na nie, podchwycił:

— Ależ pan się na wydatki oglądać nie potrzebuje. Potrzebuje pan słówko do wydawcy *Kłosów* napisać. Co tam wydatki! Na gadanie takie Rusini trafne mają przysłowie: „Obiecał pan kożuch“... Lewental robił majątek miljonowy, ja za korespondencje dostawałem po centimów 12 od wiersza.

Poważniejszy zasiłek dochodził mnie z Konstantynopola, z ministerstwa wojny. Seraskierat za pośrednictwem Okszy (Tadeusza Orzechowskiego), byłego agenta Rządu Narodowego w czasach powstania styczniowego, proponował mi osobiste operacjom wojennym asystowanie i przesyłanie mu sprawozdań. Podjęcie się czynności podobnej niemożliwem było bez upoważnień urzędowych tak ze strony seraskieratu, jakoteż ze strony francuskiego ministerstwa wojny. Uzyskanie onych wymagało czasu, który szybko, od zwycięskiego rzekomo rozpoczęcia kroków wojennych przez armję francuską do rozbicia onej pod Sedanem, upływał. Bitwa pod Wörth, bitwa pod Sedanem, oblężenie Metzu i oblężenie Paryża: nie można było ani jak, ani do kogo o upoważnienie kołatać, musiałaby więc bez następstw pozostać propozycja seraskieratu, gdybym nie mieszkał w Brukseli, punkcie środkowym wojny, w którym ogniskowały się wiadomości o ruchach, pozwalając oceniać je. Seraskierat przeto poprzestał na poglądach fachowych, które, po francusku pisane, posyłałem co tydzień pod adresem Orzechowskiego i za które płacono mi regularnie po franków 100. Podreperowało nas to. Pracy miałem sporo, była ona atoli korzystną i interesującą.

Że zaś wojna interesowała wszystkich, dla zaspokajania przeto ciekawości mieszkańców stolicy założoną została czytelnia, zaopatrzona w doborowe, tak ogólnie polityczne, jakoteż specjalne militarne dzienniki i pisma we wszystkich cywilizowanych wielkopaństwowych językach. Brakowało rosyjskich, luboć mową państwa wielkiego, ale z cywilizacją niezespolonego, pisanych. Zastępował je *Nord*, wychodzący w Brukseli, a założony w specjalnym celu zohydzania emigracji polskiej. Nie nosił on piętna oficjalnego, wiadomem atoli było, że redakcja onego z ministerstwa spraw zagranicznych w Petersburgu natchnie-

nia, z funduszów zaś państwowych czerpała środki na opłacanie wydawnictwa i spółpracowników, dobieranych spośród świetnie władających piórem, a takich, co się sprzedawali, dziennikarzy belgijskich i francuskich. Płatni suto, pochłaniali oni miljony, dziennik bowiem, znany w redakcjach dzięki wymianie dziennikarskiej, wziętości nie posiadał, z prenumeraty dochodów nie ciągnął i nie cieszył się szacunkiem szanujących siebie publicystów. We względzie tym ostatnim zdarzyło mi się raz być świadkiem sceny oryginalnej. Zasiadłszy w czytelni z wąskiej strony stoła podłużnego, znalazłem się wobec dwóch jegomości: Anglika i Francuza czy Belga, toczących ze sobą przez stół rozmowę w materji politycznej. W ciągu niej Anglik zaczepił interlokutora swego zapytaniem, tyczącem się tytułu pisma, w którem pracuje.

— W *Nord* — była odpowiedź.

Na to Anglik przeciągle, z akcentem opisać się niedającym, wygłosił:

— A-a-a-a?...

— Panie! — podchwycił tamten tonem wyniosłego, pojedynek zapowiadającego podrażnienia — to: a-a... co oznacza?

— Ad-mi-ra-cję... — odparł Anglik i gazetą oblicze sobie zasłonił.

— Impertynent! — syknął nordzista przez zęby.

W czytelni tej toczyły się niekiedy głośne i zawzięte dyskusje, znosiło się je jednak, była bowiem w czasach owych jedyną i dobrze zaopatrzoną. Znajdowałem w niej materjał dostateczny na poglądy fachowe, które pisane po francusku przechodziły do seraskieratu w tłumaczeniu na język turecki i znajdują się zapewne w archiwach, przechowywanych w Konstantynopolu na strychach w torbach parcianych. W oryginale spotkałem się z niemi w 36 lat później w Rapperswilu, przeglądając papiery pozostałe po śmierci Orzechowskiego [1].

Wraz z zawarciem pokoju skończyła się moja służba turecka.

W ciągu wojny, w dniu bitwy pod Wörth, urodził mi się syn [2]. Skutkiem urodzin jego otrzymałem ze Lwowa, zaopatrzony w kilkanaście podpisów, telegram następujący:

---

[1] Znajdują się obecnie w Bibliotece Rapperswilskiej, rps 790.

[2] Józef Miłkowski, jedyny syn Jeża. Życie miał pełne przygód. Uciekł że szkół do „Légion étrangère“. Odbył kampanje w Tonkinie i w Da-

Urodził się smarkacz w dniu wielkiej bitwy,
Niech rośnie na pociechę Polski, Rusi, Litwy.

Nie potrzebuję rozwodzić się nad znaczeniem dla nas, rodziców, zdarzenia tego.

W odniesieniu do wojny, sympatyzowałem z nią o tyle, o ile w początkach onej ukazywała się w perspektywie możliwość pobicia Prus po dwóch powodzeniach (w wojnach z Danją i z Austrją), które je w pychę wbijały i potęgowanie zniepra-wiania polityki wróżyły. Upokorzenie tej w zanadrzu Polski wygrzanej żmii uważałem za rzecz pożyteczną, za potrzebę ludzkościową. Cesarstwu we Francji, zaprawionemu krzywoprzysięstwem, nie sprzyjałem, śród dwóch złych jednak prusactwo wydawało mi się gorszem ze względu na zgorszenie, jakie w w. XVIII z niego wyszło i rozwija się zaraźliwie, niby odnowione *gesta Dei*. Ten był powód, dla którego pragnąłem zwycięstwa Francji. Ten powód oraz wzgląd na rodzinę przeszkodził mi w wojnie tej udział wziąść. Nie przeszkodził mi on próbować oddawania Francuzom usług, gdy się takowe nastręczały.

Nastręczyły się one dwukrotnie: raz mnie samemu, drugi raz wespół z Guttrym. Próby atoli oddania Francji przysługi w potrzebie nie powiodły się nam. Moja polegała na zaofiarowaniu jej kilkuset karabinów niezużytkowanej w powstaniu pozostałości „przechowywanej w Liège". W celu tym jeździłem do Lille, gdzie politowanie we mnie wzbudzał widok bezbronnych i suchotniczo wyglądających szyldwachów, pełniących służbę wartowniczą. Ledwiem się do plackomendy dopytał. Na propozycję moją otrzymałem odpowiedź odmowną, opryskliwie mi udzieloną.

Grzeczniejsza, również odmowna odpowiedź spotkała nas (Guttrego i mnie) w ambasadzie francuskiej w Brukseli. Cho-

homeju (r. 1892). Odznaczony za waleczność obywatelstwem francuskiem, został komendantem wojskowym na Madagaskarze. Wystąpił z wojska. Wrócił doń w 1914; ranny pod Paryżem, wysłany został do Indochin jako inwalida, w zastępstwie dyrektora banku w Hanoï. Na wiadomość o sformowaniu Brygady syberyjskiej, zrzeka się francuskiego obywatelstwa, przedziera się aż pod Ural, na prostego szeregowca. W 1920 r. urlopowany, wraca do Warszawy i, w walce z bolszewikami, pada pod Nasielskiem. Ostatni z Miłkowskich wywalczył sobie „grób w ziemi naszej" i spoczywa na Powąskach.

dziło o rzecz ważniejszą niż o kilka setek karabinów kabzlowych, niegwintowanych ani odtylcowych, ale: o wywołanie, przy pomocy domagających się tego jeńców francuskich, trzymanych po fortecach pruskich, powstania polskiego w Poznańskiem. Rzecz ta do niemożliwych nie należała. Liczebny żołnierstwa francuskiego do wart garnizonowych stosunek pozwalał liczyć na uprzednie opanowanie takich jak Poznań twierdz, co powstaniu doniosłe dywersyjne nadałoby znaczenie. Ambasador innego był zdania. Wydało mu się to ryzykiem za wielkiem oraz kompromitacją dyplomatyczną. Na niczem więc spełzły nasze w kierunku tym próby.

Udział mój w wojnie francusko-niemieckiej — a raczej francusko-pruskiej — ograniczył się w zakresie sprawozdawczym, skierowanym do jednego z ilustrowanych tygodników polskich p. t. *Kłosy* oraz do seraskieratu w Konstantynopolu. Dorywcza w seraskieracie służba pozwoliła nam przenieść się z chałupy przy ulicy des Palais na pokaźną ulicę Malibran, do pokaźnego o czterech pokojach apartamentu, i zaopatrzyć w meble, których resztki zestarzałe dziś jeszcze mi służą [...] [1].

Nie Lewental atoli do Ostendy mnie pociągnął. Zawitał do nas gość bardzo miły, Juljusz Jeleńkowski, brat mój ciotecznorodzony. Zjawił się niespodzianie, niby z nieba spadł. Stojąc raz w oknie i patrząc w ulicę, zoczyłem fiakra, który się zbliżał, przed bramą domu zatrzymał, jadący zaś nim, nie wysiadając, stanął i po oknach oczami wodził.

Zgóry spoglądając (zajmowaliśmy piętro pierwsze), nieodrazu gościa poznałem. On mnie poznał i rękę do mnie wyciągnął. Na gest ten skoczyłem i przy nim się znalazłem, nim on z powozu wysiadł. Nie widzieliśmy się lat dwadzieścia.

Juljusz Jeleńkowski r. 1831, po bitwach i potyczkach pod Daszowem, Obodnem, Majdankiem, przekroczył był granice zaboru rosyjskiego, ale poza granice Polski po r. 1871 dopiero wyjechał. W Galicji zabawił krótko, tyle tylko, ażeby sobie we Lwowie odzież polską sprawić i w odzieży tej, przy karabeli, odfotografować się kazać. Pośpieszał do mnie nie poto jeno, ażeby się ze mną widzieć, ale i dla pomówienia o sprawach

[1] W tem miejscu autor ponownie wspomniał o scenie odwiedzin Lewentala i o jego zachęcie wyjazdu do Ostendy. Tych kilka zdań opuszczono.

poważnych. Oznajmił mi to zgóry. Po paru dniach przeto pobytu w Brukseli i zabraniu znajomości bliższej z żoną moją i dziećmi udaliśmy się do parku królewskiego i tam na ławce w odosobnieniu rozmówiliśmy się. Opowiedział mi o małżeństwie swojem, w którem szczęścia nie zaznał, i o intencji zużytkowania majątku swego na rzecz edukacyjną. Wymienił cyfrę (50.000 rubli, o ile przypominam sobie), jaką na cel ten przeznacza. Na zapytanie moje, komu rozporządzanie zasiłkiem tym powierzy, odpowiedział:

— Jezuitom.

— Co tobie! — krzyknąłem.

Okrzyk ten wywołało zdumienie.

Zmiana przekonań przypuszczalną jest w każdym razie i w czasie jaknajkrótszym. Powinienem był to uwzględnić, biorąc na uwagę lat dwadzieścia i działalność wpływów religijnych na umysły, nieposiadające rozumowej do odpierania wpływów rezerwy. Mój Juljusz rezerwy tej nie posiadał i dlatego, jak mnie powiedzenie jego zdumiło, tak jego zdumiło krzyknięcie moje. Oczy na mnie szeroko otwarte zwrócił, jakby wykrzyknik mój pytajnikiem mu się wydał. Wyczytawszy w spojrzeniu jego pytanie, opowiedziałem w krótkości o roli, jaką zakon ów odegrał w upadku Polski.

— Prawda — odrzekł Juljusz tonem przypomnienia sobie.

W momencie owym na Rusi, w sześć lat po poskromieniu przez Moskwę powstania styczniowego i pod wrażeniem świeżych triumfów pruskich nad Francją, w sferze poleskiego obywatelstwa zamożnego patrjotyzm polski przetwarzał się na bigotyzm katolicki. Sfera ta oddziałała na Juljusza i przytłumiła w nim liberalizm, ów liberalizm formalistyczny „Stacha z Zamiechowa [1], co w cerkwi nie bywa i postów nie chowa“, nieopierający się na gruncie rozumowym. Gdyby 50.000 rsr starczyło na założenie dla chłopców szkoły zakonnej, byłby zapewne poszedł za przykładem p. Darowskiej, która cały majątek swój oddała na założenie szkoły takiej w Jazłowcu, w Galicji, dla dziewcząt. Skutkiem rozmowy ze mną zapis mego brata ciotecznego poszedł na stypendja dla młodzieży polskiej w warunkach mi nieznanych.

---

[1] Pseudonim Stanisława Starzyńskiego, poety (1784—1851).

Nie mogłem się wymówić od towarzyszenia do Ostendy, gdzie zastaliśmy państwa Henrykostwa Lipkowskich, młode z Podola rosyjskiego małżeństwo. Pani, z domu Koszarska, prześliczna kobieta. Z nich dwojga i z nas dwóch wyszykowało się towarzystwo, w którem zniewolony zostałem przyjąć funkcję *cicerone* w wycieczce do Londynu.

Do Londynu przyjechaliśmy wieczorem i ulokowaliśmy się w hotelu, urządzonym na sposób francuski, a położonym w pobliżu kościoła św. Pawła. Wybrałem punkt ten dla ułatwienia sobie orjentowania się w mieście, do którego nie zaglądałem lat dwanaście. Juljusz i ja zajęliśmy pokój jeden, z którego nazajutrz wyniosłem się o świtaniu, pozostawiając towarzysza mego we śnie jeszcze pogrążonego. Celem moim było ułożenie planu zwiedzań osobliwości stolicy Anglji odnośnie do zmian, jakie w niej w ciągu lat 12 zajść musiały. Jakoż w oczy rzuciło się mi przedewszystkiem obmurowanie Tamizy na wzór i podobieństwo Sekwany w Paryżu. Chodziło mi o zaopatrzenie się w plan miasta, na co czekać musiałem do ósmej, o której się księgarnie otwierać poczęły. Zaopatrzywszy się w plan, powróciłem około pół do dziewiątej do hotelu. Na progu numeru, w którym noc spędziłem, stanąłem zdziwiony i skonfundowany. Po pokoju przechadzał się Juljusz w pełnym stroju staropolskim: żupan, kontusz z wylotami, pas lity, karabeli nawet nie brakło. Zdziwienie się okazać lękałem, strzeliła mi bowiem w głowie strofa o pawiu i papudze z *Grobu Agamemnona*. Zapytałem jeno:

— Gdzieżeś to sobie zafundował?

— We Lwowie — odpowiedział, zbliżając się do zwierciadła i przypatrując się sobie.

Przypatrywanie się to wiele mówiło, świadcząc przedewszystkiem o sile tradycji, tkwiącej w pamiątkach narodowych, stanowiącej w patrjotyzmie ważną część składową. Znałem takich, którym patrjotyzm bez kontusza, w ostateczności bez czamary, wydaje się, jeżeli nie podejrzanym, to niezupełnym. Jest to jeden z objawów symptomatycznych tego rodzaju, co fanatyzm religijny, działający na organizm nakształt wrzodów, których leczenie wymaga ostrożności wielkiej, nieostrożne bowiem chorego zabija. Tyczy się to organizmów zarówno zbiorowych, narodowych, państwowych, jak pojedynczych, oderwa-

nych, odnoszących się do moralnej strony człowieka. Nie chciałem więc Juljusza brutalizować, przypominając mu, że

Na Termopilach bez złotego pasa,
Bez czerwonego leżał trup kontusza.

Przebranie się jego atoli niepokoiło mnie. A nuż zechce on pokazać się w niem Londynowi! Niebawem jednak uspokoiłem się. Przypatrując się sobie w zwierciadle, zapytał:

— O której tu śniadanie?

— O tej, o której się do jadalni zejdzie — odrzekłem.

— A... to przebrać się muszę — rzekł i jął się z siebie powoli zdejmować odzież, która w Londynie rozbudziłaby ciekawość uliczników i przeszkodziła nam w zwiedzaniu miasta. Usunięcie tej przeszkody posłużyło zwiedzaniu, które się rozpoczęło od wielkiego zadowolnienia, sprawionego gościom moim przez *cab*'y [1], jednokonne na dwie osoby fiakry, powożone przez woźnicę, siedzącego za budą, na wysokim koziołku. Zręczne wożenie i dzielność koni zachwycały ich. Ja z Juljuszem jechaliśmy przodem, Lipkowscy za nami. Wyciągniętym kłusem przebiegaliśmy ulice, wywijając się śród omnibusów i powozów i wozów wszelakich, tłoczących się w kierunkach rozmaitych. W przeciągu dni trzech, trzymając się planu przeze mnie nakreślonego, pokazałem im: parków parę, British Museum, Bank Angielski, Parlament, London Tower, ogród zoologiczny, place, pomniki, wystawy sklepowe na Regent Street i może co jeszcze — nie pomnę. Przypominam sobie jeno, że szczególne zajęcie w nich wzbudziły: w Wieży Londyńskiej dwa pieńki, jeden, który Alfredowi Wielkiemu za tron służył, i drugi, na którym królowa Elżbieta królowej Marji Stuart głowę uciąć kazała; w ogrodzie zoologicznym małpa z rodzaju gorylów, może orangutangów, dobrze wychowana i oswojona, która za zbliżeniem się naszem dłoń nam do uścisku podała. Ja jeden tylko dłoń małpią uścisnąć odważyłem się.

Z Polaków w Londynie jednego tylko gen. Walerego Wróblewskiego widziałem. Po zdobyciu Paryża przez Wersalczyków udało się mu ucieczką uratować. Dostał się do Belgji, dni kilka w Brukseli przebywał, lecz bezpieczeństwo w Anglji tylko mógł znaleźć. W Londynie w ostatniej znajdował się nędzy. Bez

[1] Czytaj keby. (Nota T. T. Jeża).

uzyskania na to od niego pozwolenia, o co mnie ks. Horbaczewski prosił, do matki jego napisałem i ta podobno zasiłek mu nadesłała.

Niedługo bawiliśmy w Londynie. Po powrocie Juljusz znów mnie o edukację młodzieży zaczepił, tym razem wespół z Lipkowskim. Za punkt wyjścia zaczepki wzięli znów potrzebę edukacyjnego zakładu polskiego zagranicą, pozostającego pod kierownictwem osobistości, posiadającej w kraju imię i zaufanie. Nie zaprzeczyłem temu, a ponieważ nie zaprzeczyłem:

— Więc — podchwycił Juljusz — zakładaj szkołę.

— Ja? — zawołałem.

— Jużci nie kto inny.

Wywiązała się stąd dyskusja, polegająca na usuwaniu objekcyj, czynionych przeze mnie, objekcyj tyczących się: charakteru zakładu (szkoła niezależna czy pomocnicza), miejscowości (Belgja, Anglja, Szwajcarja), nakładu pieniężnego. Objekcja ostatnia rozstrzygnęła pierwszą. Założenie zagranicą szkoły niezależnej wymagało nie dziesiątki, ale setki tysięcy franków wynoszącego nakładu pieniężnego. Zamierzona przeto szkoła niezależną być nie mogła. Należało poprzestać na pomocniczej, t. j. na takiej, w którejby uczniom Polakom, uczęszczającym obowiązkowo do szkół publicznych, lekcje przerabiane były przy pomocy języka polskiego, wykładanego prywatnie, równie jak historja polska i historja literatury polskiej. Zakład wychowawczy polski w tym rodzaju nie wymagał nakładu wielkiego, nie mógł atoli obejść się bez znacznych subsydjów pieniężnych, udzielonych na szkołę polską zagranicą w znaczeniu przedsiębiorstwa akcyjnego.

— Czyby się to jednak w formie tej powiodło? — wyraziłem wątpliwość.

— Czemużby się powieść nie miało? — odparł Juljusz.

— Powiodłoby się — zauważył Lipkowski — pod warunkiem, gdyby na to rząd zezwolił.

— O tem ani myśleć. Rzecz się zrobi poufnie, po obywatelsku, między sobą.

— No, tak... zapewne — Lipkowski na to.

— Trzeba tylko zakład edukacyjny otworzyć — dodał Juljusz.

— I czuwać nad nim.

Słowa Lipkowskiego cechował akcent wątpliwości, nie stanowczej atoli. Rzecz samą uznawał, miał ją za pożądaną, zadeklarował gotowość wzięcia w subsydjowaniu udziału, zwracał jeno uwagę na potrzebę oględności wobec Moskali, opiekujących się Polakami zagranicą nawet. Oględności atoli nie mogą i nie powinni posuwać Polacy aż do zrzekania się kultury polskiej na rzecz moskiewskiej. Wzgląd ten ustąpić winien obawom o kompromitację.

Chodziło przeto o wybór kraju i miasta. Kwestja ta rozstrzygniętą została przeze mnie. Godność patrjotyczna, niepozwalająca mi składać oręża przed zaborcami ojczyzny mojej, w połączeniu z obowiązkami ojca, nakazującemi dbać o dobre wychowanie dzieci, ciągnęły do Szwajcarji i mnie i żonę moją. Gdyby nie Przybylski, który mnie dla wydawania w Brukseli pisma do zamieszkania w stolicy Belgji zniewolił, byłbym w r. 1866 w ojczyźnie Tella osiadł. Na Szwajcarję z łatwością zgodzili się Juljusz i Lipkowski.

Juljusz podjął się zamówić dla mnie na początek uczniów kilku.

W Brukseli osobiście nic nas nie trzymało. Dziecko najstarsze chodziło do wzorowej szkoły panieńskiej panny Gatti de Gammond; lecz wiadomości o szkołach szwajcarskich — o szkole panieńskiej mianowicie w Neuchâtel — uspokajały nas we względzie tym. Co się zaś spraw osobistych (ale nie moich) i publicznych tyczy, z tych pierwsza odnosiła się do Heltmana, druga do karabinów powstańczych, złożonych w Liège.

Dla Heltmana r. 1867 założyliśmy Komitet czy Komisję Zaopatrzenia, składającą się pierwotnie z E. Malinowskiego, Al. Guttrego, mnie i dwóch obywateli z Paryża, których nazwiska z pamięci mi wypadły. Komitet Zaopatrzenia zwrócił się z odezwą do emigracji i kraju i wywołał odrazu na zaopatrzenie w środki do życia starca zasłużonego i żony jego składki donośne, które sczasem pozwoliły nietylko wypłacać Heltmanowi po 220 franków miesięcznie, ale i kwotę kilkutysięczną ulokować w obligacjach miasta Brukseli na fundusz zapaśny. Składki, z Wielkopolski zwłaszcza, napływały regularnie do wybuchu wojny, a raczej do r. 1869. W roku tym zamanifestował się ruch emigracji polskiej, wywołany przez otwarcie dla niej granic zaboru austrjackiego. Ruch ów pozbawił Komitet

Zaopatrzenia skarbnika, Erazma Malinowskiego, funkcja jego spadła na mnie. Skarbnikostwo moje wstrząsnął wkrótce potem wybuch wojny francusko-niemieckiej, dezorganizując składkowanie emigracyjne i wielkopolskie; wpływy naraz się urwały, wypłaty nie ustawały. Stan ten pogorszył się po podpisaniu traktatu pokojowego w Wersalu. Wspaniałomyślny zwycięzca udzielił zbrodniarzom politycznym amnestji bezwarunkowej, co pozwoliło Guttremu powrócić w progi domowe. Po odjeździe jego pozostałem z ubywającemi w szufladzie obligacjami miasta Brukseli, stanowiącemi fundusz zapaśny na zaopatrzenie potrzeb Heltmanostwa. Czerpanie z funduszu zapaśnego rozpoczęło się r. 1871 i trwało do śmierci Heltmana, zaszłej w lipcu r. 1874, i Heltmanowej, która świat ten pożegnała w miesiącu marcu r. 1875 [1].

[1] Dla niepowtarzania się w następnych pamiętników moich rozdziałach zamieszczam w odsyłaczu zakończenie sprawy zaopatrzeniowej Heltmanostwa. Rachunki z wpływów i wydatków, prowadzone przez Erazma Malinowskiego, spadły po wyjeździe jego na mnie. Prowadziłem je porządnie do momentu, w którym wpływy się urwały, t. j. do wybuchu r. 1870 wojny francusko-niemieckiej. Gdy takowe całkowicie ustały, pozwoliłem sobie na ograniczenie rachunków do składania kwitów, opiewających niezmiennie w miesiącu każdy po 240 fr. Rachunek z rozchodów sam się w ten sposób układał. Rozpoczęło się to w r. 1871, w ciągu którego wpływy ustały całkowicie, tak że w oczekiwaniu na wznowienie się takowych gotówkę zastępowałem z kieszeni własnej, zaopatrzonej nienajgorzej dzięki sprawozdaniom militarnym w czasie wojny, jakoteż honorarjom literackim, otrzymanym za kilka prac obszerniejszych. Opuszczając Brukselę w r. 1872, zostawiłem Heltmanostwu w miesiącu grudniu na trzy miesiące fr 720, na które znajduje się kwit śród kwitów najprzód przez Heltmana do śmierci jego d. 16 lipca 1874, następnie przez nią do śmierci jej d. 17 marca 1875, wystawianych. Licząc przeto za ostatnich 16 miesięcy życia jego po fr 240, oraz za ostatnich 9 miesięcy życia jej po śmierci męża po fr. 160, nie licząc zaś wydatków na pogrzeb ś. p. Heltmana, wypadnie na wypłaconą Heltmanostwu od momentu ustania wpływów składkowych pensję emerytalną fr. 5280. Z Brukseli w obligacjach nie wywiozłem fr 5000 — w pamięci tkwi mi cyfra 4000. Naddatek ów przeto pensyjny jest dla mnie dobrze zasłużoną za nieporządne rachunków prowadzenie karą. Rachunki heltmanowskie, wraz z nagromadzonemi u mnie od r. 1886 rękopisami, złożyłem w Rapperswilu *. Z kwitów może zatracił się jaki. Nie zatraciły się jednak najważniejsze: kwit Heltmanowej po śmierci męża i kwit brata jej, dra Włodzimierza Dmuchowskiego, po jej śmierci. Świadczą one, że Heltma-

* Papiery Komitetu pomocy W. Heltmanowi znajdują się obecnie w Bibliotece Rapperswilskiej, rps 2060.

Karabiny w Liège sprawiały nam kłopot niemały. Musieliśmy skład opłacać za towar, tracący z dniem każdym na wartości wobec broni palnej, której doskonalenie szło, po triumfach pruskich w latach 1870—71, na wyścigi w państwach zagrożonych przez nowe, środkowo-europejskie, militarne, duchem zaborczym przejęte prusko-niemieckie mocarstwo. W czasie już wojny krymskiej broń gwintowana w powszechne w piechocie weszła użycie, z wyjątkiem Rosji jeszcze. We Francji szaspoty *faisaient merveille*, w Prusiech iglicówki uznanie zyskiwały. W ósmem w. XIX dziesięcioleciu przemyśliwano już o odtylcówkach, o magazynierkach. Wynalazcy głowy nad doskonaleniem karabinów, dział, kul pełnych i wydrążonych i materjałów wybuchowych suszyli, a państwa za przykładem Prus nie zważały na koszta zbrojenia się... dla pokoju. Regułę *si vis pacem para bellum* stosowano w rozciągłości całej. Jakąż wobec tego wartość mieć mogły gładkie, zgóry nabijane, kabzlowe karabiny nasze?!

Zdecydowaliśmy się je sprzedać.

Sprzedać je można było albo na żelazo, albo jako oręż do Afryki plemionom dzikim, zorganizowanym w królestwa i cesarstwa, które na sobie skuteczności broni palnej doznały i pragną się w to narzędzie cywilizacyjne zaopatrzyć. Właściciel składu p. Adam, Belg, radził mi poczekać na sposobność sprzedaży do Afryki. Czekałem — nie doczekałem się, przed wyjazdem przeto z Brukseli przekazałem za pośrednictwem Ruszczewskiego opiekę nad bronią zawiązanemu *ad hoc* komitetowi w Paryżu. Komitet ów — jak się później dowiedziałem — z zadania się wywiązał przy pomocy Agatona Gillera.

---

nostwo, w ciągu ostatnich lat dziewięciu życia, braku nie zaznali najmniejszego. Kto wie, czyby do rezultatu tego doprowadziło było przy braku dochodów porządne rachunków prowadzenie. (Nota T. T. Jeża).

ROZDZIAŁ XXV

PODRÓŻ DO POLSKI I DO SZWAJCARJI W R. 1871[1]

Rezultat wojny niemiecko-francuskiej był w sferach politycznych rodzajem obucha spadłego na łeb opinji publicznej w Europie. Detronizował on Francję, wprowadzając na miejsce narzuconego jej podstępem cesarstwa wprowadzone przemocą, pod nazwą niemieckiego, cesarstwo pruskie. Aczkolwiek wznowienie napoleonizmu fatalny w ludzkości wywarło wpływ, miało ono jednak za podkład naród pochopny i powszechnie za powołany do naprawiania wpływów podobnych uznawany. Złożył on na to dowody brutalne na Ludwiku XVI, Karolu X, Ludwiku Filipie. Dowody te atoli na znaczeniu straciły po takich jak Sedan, Metz i Paryż pogromach, po zawarciu w Wersalu pokoju upokarzającego, po wykazaniu w narodzie niemocy moralnej, pozbawiającej Francję pokładanego w niej przez ludzkość zaufania. Odbiło się to szczególnie na polskiej emigracji politycznej, która, wyszedłszy z kraju po upadku powstania styczniowego dla służenia ojczyźnie, pogarnęła się gromadnie — jak skoro Austrja granice swoje dla niej otworzyła — do Galicji, celem osiedlenia się w kąciku spokojnym i pracowania na kawałek chleba.

Przed wyprowadzeniem się z Brukseli miałem jeszcze do spełnienia obowiązek prawie: odwiedzenie przyjaciół w zaborach pruskim (Aleksandra Guttrego) i austrjackim (Kornela Ujejskiego). Jeden i drugi stanowili dla mnie rodzaj punktów środkowych, około których gromadzili się ludzie, zasługujący na nazwę „wielbicieli Jeża". Był to mój „kwadransik" *(quart d'heure)* wziętości literackiej, wziętości, mającej w narodach bytowania niezależnego pozbawionych znaczenie inne, aniżeli

---

[1] W rękopisie bez tytułu.

w niepodległych. W narodach w niewoli literaci-artyści słowa, a w braku ich, lub też w razie pojawienia się górujących artystów dłóta, pendzla, smyczka, głosu, wysuwają się na czoło narodu pozbawionego, jak nasz, swobody samorządu, stanowiącego grunt nadający się do uprawiania roślin wszelakich, potrzebnych nietylko do utrzymywania życia, lecz oraz i do zajmowania w stosunkach międzynarodowych stanowiska dostojnego, stanowiska, bijącego od uprawnionego nazwiska własnego. Dobrodzieje nasi pozbawili nas prawa tego. Artyści, uczeni nasi polskość swoją nazewnątrz przebojem reklamować muszą[1].

Należąc do tych, co na pomoc obcą w odniesieniu do sprawy polskiej ewentualnie tylko liczyli, zapragnąłem zajrzeć do kraju przed przeniesieniem się do Szwajcarji, gdzie spowodu oddania się szkolnictwu czekało na mnie *glebae adscriptio*, — zajrzeć do kraju dla zaczerpnięcia od krajowców obroku duchowego. Ciągnęło mnie do Wielkopolski, w Poznańskie, które wobec emigracji z r. 1831 pełniło funkcję ostoi patrjotycznej, przystani politycznej. Nie wieki r. 1871 dzieliły od r. 1846, w którym członkowie Towarzystwa Demokratycznego wespół z Poznańczykami zasiadali w Berlinie ławy oskarżonych o zbrodnię stanu. Żyli jeszcze emigranci i Poznańczycy wskazani na śmierć przez sądy pruskie. Rozporządzałem jeszcze pieniędzmi, złożonemi przez Poznańczyków na zaopatrzenie potrzeb życiowych współpracownika ich na polu zbrodni stanu, członka Centralizacji, Wiktora Heltmana. Istnieli przeto jeszcze w Poznańskiem ludzie, z którymi nietylko warto było, ale należało rozmówić się człowiekowi, co się mimo wszystko za Polaka miał. Istnieli jeszcze mężowie stanu — że się tak wyrażę — prywatnie w szeregach tych, co o Polskę walcząc nieustannie, w momentach zawieszenia broni pełnią funkcję drogowskazów.

Mężem stanu tego rodzaju był Aleksander Guttry, żołnierz w r. 1831, konspirator w r. 1846, powstaniec w r. 1848, uczestnik powstania w r. 1863. W latach poprzedzających rok 1863 dom jego miał znaczenie portu ostatniego dla statków wybierających się w podróż do bieguna północnego. W domu Guttrego przysposobiciele ruchów, mających na celu orężną z caratem

---

[1] W rękopisie T. T. Jeża zaczyna się zdanie niedokończone: „Paderewskich, Sienkiewiczów na...“

moskiewskim rozprawę, czerpali zasoby moralne i umysłowe, zaopatrywali się w nie i nierzadko materjalną znajdowali pomoc. Wielkopolska w epoce wojny francusko-niemieckiej posiadała takich jeszcze kilku. Dla mnie była ona *terra incognita*. Prowadziła mnie do niej nie prosta jeno ciekawość turystyczna.

Ciekawość ta w podróży nie grała roli głównej. Nie przypatrywałem się Niemcom ani z okien wagonu, ani w bufetach kolejowych. Ciągiem jednym przedostałem się z Brukseli do Berlina i w Berlinie dopiero musiałem się godzin parę zatrzymać, czekając na pociąg. Nie zaciekawiłem się do stolicy Prus. Czas czekania spędziłem w najbliższej od dworca knajpie, przypatrując się dwom Prusakom, popijającym powolnie *Weissbier* ze szklanic wielkości wiadra średniej miary i toczącym rozmowę w gwarze berlińskiej, niezrozumiałej mi, pomimo żem posiadał znajomość języka niemieckiego. Nie jestże to dowodem, że Prusacy są Niemcami podrobionymi? Język pruski powstał z mieszaniny mowy saskiej ze słowiańską, dokonanej w epoce pierwotnych na Pomorzu zaborów niemieckich.

Z krótkiego w Berlinie pobytu pamięć moja nic więcej nad to wiaderko szklane i nad tę gwarę niezrozumiałą nie przechowała. Śpieszno mi było do Polski, bliziutko pod Berlin podchodzącej granicą zachodnią. Przekroczyłem ją we Frankfurcie nad Odrą. Po raz trzeci w charakterze zbrodniarza politycznego wkradałem się do ojczyzny mojej. O Wielkopolsce słyszałem, czytałem, nie widziałem jej. Nie odrywałem więc oczu od okna wagonu, gdy pociąg pomykał od Frankfurtu do Poznania, i jak lat temu dwadzieścia jeden widok kościółka w Miaskówce na Podolu w zaborze rosyjskim, tak dnia 11 sierpnia r. 1871 widok wieśniaczki bosej na świeżo zżętem polu dogłębi mnie wzruszył. Wzruszył on mnie tem mocniej, że jak ongi, tak w momencie owym nie miałem się z kim wzruszeniem podzielić. Do Miaskówki w przebraniu chłopskiem wjeżdżałem konno. Wjeżdżając do Wielkopolski, znajdowałem się w towarzystwie samych Niemców. Od Frankfurtu do Poznania do przedziału, do którego wszedłem, nie wsiadł Polak ani jeden. Dziwiło mnie to i niecierpliwiło. Polaków wyglądałem. Polaków pragnąłem.

„Co u licha! — na myśl mi przychodziło. — Czyż Prusacy z Polaków Wielkopolskę wyludnili?“.

Na dworcu w Poznaniu wyskoczyłem z wagonu z walizką

w ręku, chcąc ją wręczyć tragarzowi, któryby mnie do fiakra odprowadził. Przemówiłem do tragarza po polsku i musiałem przemówienie moje powtórzyć po niemiecku. Z fiakrem to samo. Kazałem mu wieźć siebie — wedle umowy z Guttrym — do Bazaru. On się zatrzymał przed jakimeś hotelem niemieckim, w którym byłbym stanął, gdybym był nie zapytał:

— Bazar?

Usłyszawszy od garsona jakąś nazwę, powtórzyłem nazwę Bazaru furmanowi dobitnie i wreszciem się pomiędzy Polaków dostał.

W Bazarze język polski o słuch mnie, nim z fiakra wysiadłem, uderzył. Przez służbę hotelową powitany zostałem, jakby na mnie czekano. Czekano w rzeczy samej, o czem przekonałem się w numerze, w którym gospodarz, czy też zarządzający, oznajmił mi, że:

— Nie widać, jak p. Guttry przyjedzie.

Jakoż, zanimem się nieco po podróży oczyścił i odświeżył, Guttry się zjawił.

W Poznaniu zabawiłem dwa dni. Guttry mi ciceronował — oprowadzał, pokazywał. Odwiedziliśmy razem osób kilka: Bentkowskiego, b. dowódcę baterji lekkokonnej w legjonie polskim na Węgrzech i b. szefa sztabu Langiewicza w r. 1863; Calliera, jednego z dowódców z powstania styczniowego; Dobrowolskiego, redaktora *Dziennika Poznańskiego*, zreformowanego przezeń na pismo liberalne z konserwatywnego, jakiem był dawniej pod redakcją Żychlińskiego. Ci trzej wyraźnie mi w pamięci stoją, inni mętnie, a śród tych ostatnich osobistości kilka zgromadzonych na schadzce wieczornej, napoły konspiracyjnej, ze sfery robotniczej.

Miasto co do charakteru przedstawiło mi się dobrze, jako polskie pod pokostem niemieckim, a raczej pruskim. Pruskie barwy, niemieckie napisy, urzędowa cywilno-militarna, snująca się po placach i ulicach, buta nie tłumiły istoty narodowej grodu polskiego. Przebijała się ona, nadając Poznaniowi pozór miasta pozawczora zdobytego. Prusacy posiadają sztukę nadawania pozorów swoich dokonywanym przez nich zaborom. W sztuce tej rolę główną odgrywa naśladowanie wzorów barbarzyńskich, gwałcących naukę, polegających bądź na przekręcaniu (Poznań — *Posen*), bądź na przemienianiu (Bydgoszcz —

Bromberg) nazw historycznych miejscowości. Dopuszczają się herezyj podobnych Turcy, Moskale, ale czegoś podobnego wystrzegaćby się powinni Prusacy ze względu na to, że się pod Niemcy podszywają. Dzięki temu poprzezywali miasta, wsie, pozaopatrywali koleje, urzędy w służbę niemiecką, powywlekali niemieckość napokaz, lecz nie sięgnęli do głębi duszy narodu polskiego. Pocieszyło i pocieszało mnie to.

Z odwiedzin, jakie z Guttrym poczyniłem, wspomnienie najlepsze wyniosłem z redakcji *Dziennika Poznańskiego*. Dobrowolski powitał mnie jak spółwyznawcę co do przekonań demokratyczno-postępowych i co do uczuć patrjotycznych. Demokrata, postępowiec, patrjota, ujął mnie dla siebie odrazu mimo powierzchowność nieponętną, zdradzającą pochodzenie semickie i rażącą chudością nadzwyczajną. Skóra i kości. Zaznaczam wygląd Dobrowolskiego obecnie, później bowiem będę miał do zaznaczenia we względzie tym metamorfozę niedowiary. Metamorfoza zaszła nie co do wyglądu tylko. Wówczas atoli zeszliśmy się nito dwaj towarzysze z jednego plutonu.

— Ah! — zawołał, gdy mnie mu Guttry przedstawił. — Właśnie o was myślałem, jako o spółpracowniku w dzienniku naszym. Czy na was liczyć mogę?

— Owszem — odrzekłem — jeżeli dziennik nie pójdzie drogą przez Żychlińskich wytyczoną.

— Ależ go zgruntu przerabiamy!

Nie miałem od lat kilku *Dziennika Poznańskiego* w ręku i nie wiedziałem o zmianie kierunku. Gdy Guttry zmianę tę potwierdził, rozmowa potoczyła się o wypadkach, o triumfie pruskim, o spowodowanym przez triumf ów upadku na duchu śród obywatelstwa polskiego w zaborze pruskim, o potrzebie przeciwdziałania temu i o bróżdżeniu księży pod kierownictwem arcybiskupa Ledóchowskiego, przesadzającego w lojalizmie politycznym. Na tym ostatnim szczególny Dobrowolski kładł nacisk. O lojalizmie księży, o ich obyczajności, o klerykalizmie, podporządkującym patrjotyzm pod interesy Kościoła, mówił dużo, przytaczał przykłady i zwracając się do mnie, przemówił:

— Niełatwa z nimi walka, ale wy mnie ją ułatwicie. Liczę na was.

— O?... — zapytałem.

— Zamawiam dla dziennika u was powieść. Powieść, w której po księżach pojedziecie.

— A zasługują na to — podchwycił Guttry.

Nie miałem żadnej do nieprzyjęcia propozycji tej racji. Owszem. Arcybiskup Ledóchowski zasługiwał się jeszcze rządowi i, ze względu na Kościół, usiłował w duchowieństwie niższem tłumić patrjotyzm, chłodzić uczucia narodowe. Przytem opowiadanie o wybrykach, na jakie sobie z kapłanów niektórzy, nawet z takich, co się kształceniem młodzieży szkolnej trudnili, pozwalali, odpowiednio mnie nastrajały. Podjąłem się przeto „pojechać“ po księżach i z zadania się wywiązałem w napisanej w kilka miesięcy później powieści p. t. *W obronie gniazda* [1], wydanej nie w Poznaniu, lecz w Warszawie, pod zmienionym gwoli cenzurze tytułem *Dyplomacja szlachecka*. Nastąpiło to skutkiem wytoczenia przez Bismarka wojny katolicyzmowi, uniemożliwiającej księdzu Ledóchowskiemu trzymanie duchowieństwa w karbach lojalizmu. Wpłynęło to na demokratyzm postępowy *Dziennika Poznańskiego* i nie dozwoliło redakcji w odcinku drukować „jazdy“ po odbywających w przebraniu cywilnem i w towarzystwie Zosiek podróże zagranicą księżach. Rozpoczęło się prześladowanie księży przez rząd pruski i „dyplomacja szlachecka“ po ich stanęła stronie.

Z pobytu mego w Poznaniu winienem zanotować jeszcze zabranie znajomości osobistej z Żupańskim, wydawcą naonczas głośnym. Widywałem się z nim nie inaczej, tylko przed księgarnią na ulicy. Ofiarował mi w upominku *Dzieje narodu polskiego* T. Morawskiego i *Pamiętniki* Niemcewicza. Namawiał mnie do pisania pamiętników moich, zamawiając drukowanie onych dla siebie. Wówczas myśl ta w głowie mi jeszcze nie postała, luboć częściowo była już dokonana pod postacią sprawozdania mego w rękopisie jeszcze z udziału, jaki wziąłem w powstaniu styczniowem. Rękopis ów [2] ukazał się w druku w Poznaniu „nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego“ r. 1880. Żupański, wydawca większej części dzieł Lelewela, był prawosławnym, co mu nie przeszkadzało być wzorowym polskim patrjotą.

---

[1] Szkice z Poznańskiego *Wędrowiec* Warszawa 1884 i *Dyplomacja szlachecka* druk. nakł. P. W. Gruszeckiego, Warszawa 1885.

[2] *W Galicji i na Wschodzie*, Poznań 1880.

Po dwu-, może trzydniowym w Poznaniu pobycie, w ciągu którego raz tylko spożyłem obiad w Bazarze przy „tabldocie“, w gronie szlachty poznańskiej, nieróżniącej się wyglądem od szlachty polskiej na najdalszym od północno-zachodniego ku południowo-wschodniemu dawnej Rzeczypospolitej krańcu, Guttry zabrał mnie do siebie na wieś, noszącą nazwę Paryża. Zaznaczyć winienem, że Poznańczycy nie byli mi całkiem obcymi. Z etnograficznemi rasy wielkopolskiej okazami schodziłem się już nieraz w życiu. Nie różnili się oni, jak rzekłem, wyglądowo od Pobereżan z okolic Sawrania, Czeczelnika, z nadbrzeży błotnistej Kodymy; różnili się atoli tonem, nadającym im pozór sensatów czy dyplomatów. Sprawdziłem to przy zapełnionym biesiadnikami stole w Bazarze. Wszyscy oni wiedzieli, com zacz, śród nich bowiem znajdował się dobry mój z Konstantynopola, z czasów wojny krymskiej, znajomy, Unrug. Jeżeli nie dla czego innego, to dlatego, żem się przezywał T. T. Jeżem, byłem dla Polaków figurą ciekawą, — figurą, która, gdyby się w Warszawie lub w Wilnie pojawiła, byłaby oglądana, otaczana, rozpytywana. W Poznaniu raz jeden tylko spostrzegłem, żem ciekawość wzbudził. Spotkało mnie to na schodach w Bazarze, ze strony jakiejś młodej, prześlicznej damy. Jam wchodził, ona schodziła i, zoczywszy mnie zdaleka, zatrzymała się i wpatrzyła w osobę moją, wpatrzyła się ze zdziwienia niby w obliczu wyrazem. Możem jej przypomniał ze znajomych kogo. Prawdopodobniejsze jednak jest przypuszczenie, że śród gości hotelowych krążyła wiadomość o obecności Jeża. Przy stole wszelako nikt się z tem nie zdradził — nikt na mnie uwagi nie zwrócił. W miesiąc niespełna później w Krakowie i we Lwowie — jakże się ze mną obchodzono inaczej!

Z Poznania w podróż do Paryża wioskowego puściliśmy się dyliżansem. W podróży tej uwagę moją zatrzymała na sobie katedra gnieźnieńska, mimo której przejeżdżaliśmy. Przypatrywałem się jej, przypatrywałem się Gnieznu, tej rezydencji władzy duchownej, która z władzą świecką wybieralną dzieliła niegdyś panowanie nad Polską — ze szkodą dla niej. Z ochotą byłbym się bodaj dzień jeden w Gnieźnie zatrzymał, gdyby nie to, żem się w państwie pruskiem zupełnie bezpiecznym nie czuł.

Za Gnieznem fizjognomja kraju przypominała mi rozłogi ukraińskie. Szukałem na nich wsi ukraińskiej i — nie znajdo-

wałem, pomimo że z traktu, którym dyliżans przechodził, rzucały mi się w oczy tu widoki dworów i zabudowań gospodarskich, ówdzie kościołów. Przy jednym z takich widoków Guttry wymienił nazwę majątku dużego, niegdyś polskiego, będącego atoli własnością Niemca. Wywiązała się stąd o właścicielach Niemcach rozmowa. Guttry lekceważył znaczenie ich we względzie tak ekonomicznym, jak narodowym. W r. 1871 polityka bismarkowska nie wyklarowała się była jeszcze w odniesieniu do sprawy polskiej, mimo że germanizacja, po wkluczeniu zaboru pruskiego do Rzeszy Niemieckiej, mocno już na tej dzielnicy Polski ciążyła. Ze słów Guttrego wyobrażałem sobie, że obecność wielkich właścicieli niemieckich na gruncie wielkopolskim taki mniejwięcej wywiera wpływ, jaki przed r. 1863 wywierali rzadcy naonczas właściciele moskiewscy na Podolu, Ukrainie i Wołyniu.

Wieczorem w dniu wyjazdu z Poznania stanęliśmy w Paryżu, powitani uprzejmie przez panią Guttrową, wyręczycielkę męża w gospodarstwie i zarządzie majątkiem, składającym się z dwóch wsi (Paryż i Piotrkowice), ile razy mąż bądź w kozie siedział, bądź na emigracji przebywał. Na więzienie pruskie i na emigrowanie od czasu do czasu narażało go wytrwałe branie w niemiłych rządowi sprawach publicznych udziału. Między latami 1848 a 1863 zasiadał w parlamencie pruskim, nie podzielając z niektórymi z kolegów tej opinji, że dla Polski po rozbiorach pracować wolno tylko „w granicach prawem przepisanych". Pracował też dla niej poza granicami temi życie całe.

Dom pracownika tego był piętrowy, coby mnie było zdziwiło, gdybym domów, a raczej, mówiąc terminem na Rusi utartym, „dworów" wiejskich „piętrowych" nie oglądał w Galicji. U nas na Rusi w zaborze moskiewskim dwory piętrowe nazwę pałaców nosiły. Dwór atoli Guttrego znamion pałacowych nie posiadał dlatego, że znamionom tym nie odpowiadały ani wygląd architektoniczny, ani rozkład wewnętrzny. Nadole cztery pokoje sienią rozdzielone: na prawo pokój bawialny kwadratowy od frontu, za nim podłużny od ogrodu; na lewo rozkład taki sam z odmianą w umeblowaniu, oznaczającem przeznaczenie pokoju pierwszego na przyjmowanie w nim posiłków, drugiego na pracę umysłową, o czem świadczyły książki,

częścią w szafach złożone, częścią na podłodze w dużej ilości na uporządkowanie oczekujące, i biuro pod oknem ustawione. Gospodarstwo, zdaje się, sypiało na piętrze i na piętrze również mieszkała ich córka zamężna, która z mężem, ze względów zwłaszcza patrjotycznych, żyć nie mogła. Nie widziałem jej w czasie kilkudniowego mego w Paryżu pobytu — nie schodziła do gości, których przy mnie do niedzieli nie było. Czas mimo to upływał mi prędko i miło na rozmowach o stosunkach miejscowych gospodarskich, towarzyskich, społecznych oraz politycznych w odniesieniu do władz pruskich. Guttry raz piechotą, znów w wózku, oprowadzał mnie po gospodarstwie dworskiem i włościańskiem, rozdzielonych po uregulowaniu w Prusiech kwestji włościańskiej w ten sposób, że włościanie ze wsi się na poletki swoje wynieśli. We wsi pozostał dwór z ogrodem, zabudowania dworskie, kościół z plebanją i karczma bez Żyda, Żydzi bowiem w Poznańskiem w czasach onych po miastach jeno trzymali się. Handel i przemysł po wsiach znajdowały się w rękach chrześcijańskich, specjalizując się na wzór miejski. Rolnicy pilnowali roli wyłącznie, nie odrywając się od niej do zajęć domowych, takich np. jak pieczenie chleba. Dwór i chaty włościańskie, pokaźniej niż gdzieindziej w Polsce wyglądające, w chleb piekarz zaopatrywał. Poletki włościańskie od dworskich się we względzie staranności uprawy nie różniły w niczem. We względzie tym pod panowaniem pruskiem lepiej się aniżeli pod moskiewskiem i austrjackiem działo. Prusacy wcześniej niż spólnicy ich w rozbiorach Polski domyślili się stosowania w kraju zabranym reguły *divide et impera*, zapomocą faworyzowania najliczniejszej i najmniej oświeconej klasy ludności. Austrja zrobiła to połowicznie narazie i wyzyskała sposób ten świetnie (?) w r. 1846. Rosja spróbowała po uśmierzeniu powstania styczniowego i zawiodła się dzięki dokonanej w duchu „obrony czynnej“ pracy nad ludem rolnym, gdy wypadki po wojnie rosyjsko-japońskiej powołały lud polski do oświadczenia się, przy kim — przy Rosji czy przy Polsce — stoi. Faworyzowanie ludu przez zaborcę celem zjednania go i zrobienia z niego „Prusaka pochodzenia polskiego“ to sprawiło, że lud dzięki nabyciu dobrobytu uświadomił się, w duchu nie pruskim atoli, ale polskim. Niewdzięczność ta rozdrażniła prusactwo i pobudziła je do

mszczenia się na niewdzięcznikach, utrudniając im gospodarowanie na gruncie własnym i zmuszając do obchodzenia trudności zapomocą wynalazku chałup na kołach wzorem Drzymały. W r. 1871 wynalazek ów nie istniał jeszcze, ale wynagradzanie Bartków za waleczność już istniało. Bartkowie pod przymusem bili się nieźle za Prusy w r. 1864 przeciwko Duńczykom, w r. 1866 przeciwko Austrjakom, w r. 1870 przeciwko Francuzom, ale nienajgorzej w r. 1848 przeciwko Prusakom. Prusacy mają zwyczaj pułki polskie w bój prowadzić, przygrywając im „Jeszcze Polska nie zginęła“, na czem się chłopi poznańscy znają doskonale, mimo że w szkołach pruskich hymn ten, „mazurkiem“ przezywany, surowo jest zabroniony.

O tych tyczących się ludu szczegółach dowiadywałem się z rozmów z Aleksandrem i z panią jego, oraz z Karolem Libeltem, sąsiadującym z nimi bliziutko. Guttry powiózł mnie do niego, do Brdowa, tak przezeń na pamiątkę syna, który w czasie powstania w Królestwie pod Brdowem zginął, nazwanej kilkudziesięciu, może kilkusetmorgowej przestrzeni gruntu. Na gruncie tym, pod laskiem, pobudował dla siebie domek i założył gospodarstwo wiejskie. Domek ów drewniany od chałup wieśniaczych różnił się staranniejszem ogładzeniem ścian, okien i odrzwi. Wyglądał świeżo. Poprzedzało go podwórko ze stajenką z jednej i oficyną z drugiej strony. Nie dostrzegłem przy nim ani ogrodu ani obory. Uzupełnienia te gospodarstwa nastąpiły zapewne później. Gdyśmy z wózka wysiedli, spotkała nas kobieta, która, po wymianie pozdrowień z Guttrym, na zapytanie jego: „Pan w domu?“ — odpowiedziała:

— Tylko co wyszli do robotników.

— W którą stronę?

— Tędy, poprzez las, proszę pana — kierunek ręką wskazała.

W kierunku tym poczynała się ścieżyna, na której, niedługo idąc, zeszliśmy się z Libeltem.

Z domu rodzicielskiego wyniosłem cześć dla uczonych. Ze czcią odnosiłem się do profesorów Moskali, mimo że się oni w większości swojej wrogo do młodzieży polskiej odnosili. Cześć wzbudzał we mnie zachowujący umyślnie w obecności mojej milczenie Trentowski. Ze czcią głęboką przysposabiałem się na powitanie Libelta, wodza moralnego i umysłowego w za-

kresie tych uczuć i przekonań, które wyznawałem i za którem głowę nadstawiał. Nigdy się z wizerunkiem jego nie spotykałem i dlatego doznałem pewnego zawodu, znalazłszy się wobec człowieka pozbawionego przez naturę wdzięków rodzaju człowieczego. Wrażenie atoli przykrości doznanej trwało niedługo. Usunęło je popatrzenie mu w oczy, pełne wyrazu słodyczy, zaakcentowanej tonacją przemówienia, jakiem zostaliśmy przezeń powitani. Odezwała się w nim bliska jakaś, serdeczna, uprzejma swoistość, każąca zapominać o niekształtności rysów oblicza, o ociężałości, cechującej postać przysadkowatą, wzrostu mniej trochę niż średniego. Liczył wówczas lat 64.

Od pierwszych jego i mego przemówień stosunek pomiędzy nami ułożył się, jakbyśmy byli oddawna [znajomi] i nie mieli żadnej jeden dla drugiego tajemnicy.

— Cóż tam Heltman? — zapytał.

— Ano — odrzekłem — zapasik mamy. Starczy na lat parę, a gdy się w świecie uspokoi, spodziewać się należy, że składkowanie się wznowi.

— Hm — burknął i z Guttrym rozmowę w materji gospodarskiej zawiązał.

Rozmawiając, weszliśmy do izby o dwóch oknach, o ścianach białych, czystej i jasnej, w której stół pośrodku obrusem nakryty i trzema talerzami zastawiony posiłek dla nas zapowiadał.

— Otóż i podwieczorek na nas czeka — odezwał się gospodarz.

Jakoż podwieczorek pojawił się pod postacią dwóch salaterek napełnionych jedna mlekiem kwaśnem, druga kartoflami ugotowanemi. Wypróżniliśmy je, nie przerywając sobie w ciągu dalszym na tle gospodarczem rozmowy, w której brałem udział w charakterze słuchacza póty, póki nieporuszona została kwestja braku robotnika. Brak ów spowodowała wojna.

— To już, Bogu dzięki, przemija — odezwał się Guttry.

— Ba — podchwycił Libelt. — Przemija jedno, nadchodzi drugie: Ameryka.

Wiedziałem o rozpoczynającym się ruchu wychodźczym śród ludu rolnego i ubolewałem nad tem, jak ubolewano ogólnie. Upatrywano w nim szkodę dla kraju podwójną: brak rąk do

pracy przy roli, zwłaszcza w miesiącach letnich, i ubytek sił narodowych. Wtrąciłem w sensie tym do rozmowy uwagę odpowiednią.

— Zapewne — odparł Libelt. — Ale cóż poradzić na to! W razie tym perswazje nie pomogą. Potrzebaby dowodów brzęczących. Nie możemy robotnikowi płacić, jak płacą w Ameryce.

Na poparcie słów tych przytoczył przykłady znanych mu dwóch parobków, którzy po kilku latach, w Ameryce na zarobkach spędzonych, powrócili i przywieźli jeden tysiąc kilkaset, drugi kilkaset dolarów.

W dalszym rozmowy tej ciągu wywiązała się rzecz o spółkach rolnych, zawiązanych pomiędzy właścicielami wielkich gruntu obszarów („obszarnikami“ w Galicji przez ludowców przezywanych) a chłopami. W materji tej Libelt ogłosił rozprawę — nie wiem przed, czy po r. 1871 [1]. Czytałem ją później i z niej zaczerpnąłem pomysł do powieści p. t. *Wnuk Chorążego* [2]. Powieść miała w czasie swoim powodzenie w sferach ziemiańskich na Litwie i w Galicji, ale spółek nie wywołała.

Rozmowa w Brdowie przerzucała się z przedmiotu na przedmiot. Sprawy gospodarskie dały powód wytoczeniu sprawy naukowej, odnoszącej się do archeologji, a tyczącej się odkrycia w jednem z jezior pobliskich śladów mieszkań nawodnych. O odkryciu tem ja, uczestnik kongresu archeologji przedhistorycznej w Brukseli, miałem nieco do powiedzenia. Nie przypominam sobie węzła, który kwestję tę zestosunkował z nazwiskiem hrabiego Czarneckiego. Bodaj czy nie w majątku pana tego odkryto ślady mieszkań nawodnych, i powód ten posłużył do powtórzenia relacji jego o cudzie, dokonanym w czasie pobytu hrabiego w Rzymie przez Ojca św. Piusa IX. Cud ów stał się na jednym z mostów na Tybrze, na osobie siadującego na nim żebraka sparaliżowanego. Widok jego wzruszył Ojca św., zatrzymał karetę, wysiadł, paralityka przeżegnał, krótką nad nim modlitwę po cichu odmówił i do niego przemówił:

— Wzywam cię w imię boże: wstań i idź!

---

[1] Libelt K., *Koalicja kapitału i pracy,* Poznań 1868.

[2] Druk. w *Tygodniku Ilustrowanym,* 1880, str. 236—61, i osobno w r. 1881 nakł. Gebethnera i Wolffa.

Paralityk — wedle hrabiego — wstał i poszedł, ale bez wiary snadź w moc wezwania Ojca św., albowiem upadł po zrobieniu kroków kilku.

Nie pomnę, Libelt czy Guttry cud ów objaśnił nie mocą wezwania, ale mocą wrażenia doznanego przez paralityka na widok zatrzymującej się przy nim karety i przemawiającego do niego Ojca św.

— Moc to pokrewna mocy rozkazu, ślącego żołnierza na śmierć pewną wobec rzygającego kartaczami działa — wtrąciłem.

Wtręt mój wywołał rozmowę na tle psychologicznem, tyczącem się rozmaitości podniet moralnych, wywierających wpływ na człowieka. Oś onej stanowiła waleczność żołnierska, okazywana obustronnie w świeżo zakończonej wojnie niemiecko-francuskiej, w której Niemcy wykazały ogromną waleczność i nad Francuzami przewagę.

Przeciwko temu przeze mnie wygłoszonemu zdaniu zaprotestowali jednogłośnie Libelt i Guttry, jeden z nich zaś protest w następujący wymotywował sposób:

— Nie waleczność, ale umiejętność zapewniła przewagę armji, toczonej chorobą chroniczną.

— Jaką? — zapytałem.

— Pederastją.

Wyraz ów po raz w życiu mojem pierwszy o uszy mi się obił. Istota choroby tej znana mi była, panuje bowiem ona ogólnie w Turcji, stanowiąc jedną z przyczyn ważniejszych, pozbawiających naród energji zdobywczej, tak silnie, tak szeroko i tak dla narodów chrześcijańskich dotkliwie okazywanej w przeszłości. Trwało to póty, póki wodzowie armij tureckich, wyruszając na podbijanie świata, wyprowadzali ze sobą haremy. Reforma wojskowa usunęła ten zwyczaj, zmuszając paszów zastępować go czem innem. Nie przypuszczałem, ażeby homoseksualizm, odkryty na dworze cesarskim i w armji niemiecko-pruskiej w r. 1907, datował od tak dawna. Pokazuje się, że ohydna choroba ta na rycerstwo pruskie odmienny aniżeli na tureckie wywiera wpływ. Chyba rozkładająca działalność jej później się na prusactwie okaże. Przyszło mi to na myśl w czasie procesów dziennikarza Hardena oraz Molt-

kego i kilku przedstawicieli sfer junkierskich w szeregach wojskowych, — procesów, które opinję publiczną mocno były zajęły.

— A teraz powiozę ciebie do pałacu — oznajmił mi Guttry nazajutrz po odwiedzinach u Libelta.

Zapomniałem nazwę wsi i nie jestem pewny, że nazwisko Moszczyński jest nazwiskiem właściciela pałacu w sąsiedztwie Paryża, w którym byliśmy na herbacie u małżeństwa niemłodego, zaszczyconego — jeżeli się nie mylę — tytułem hrabiowskim.

W dniu następnym wypadła niedziela. Obiad spożyliśmy w towarzystwie Libelta, po obiedzie zaś dwór paryski zapełnili goście płci obojej, sproszeni, jak się domyślam, przez gospodarstwo. Z nazwisk utytułowanych i nieutytułowanych ani jedno w pamięci mi nie pozostało. Przypomina mi się jeno postać jednej z dam, która karetą przyjechała i ze mną o literaturze ze znajomością rzeczy mówiła.

W poniedziałek rano pożegnałem Aleksandrostwo Guttrych na zawsze. Oboje już ze świata zeszli, pozostawiając po sobie pamięć ludzi zacnych i na drodze działalności patrjotycznej zasłużonych. Nazwisko ich ze czcią w pokolenia najpóźniejsze wymawiane być winno. Należy się mu to, jest bowiem nazwiskiem małżeństwa, co pełniąc obowiązki obywatelskie w służbie sprawie polskiej z poświęceniem całem, rozgłosu nie szukało. A. Guttry należał do tych, co gorliwie służyli, na stanowiska przodowe się nie wyrywali i o żadnego rodzaju zapłacie nie myśleli. Życiorysy mężów takich jak on, jak Libelt, jak obok nich Seweryn Mielżyński, Jan Działyński, czekają na autorów, jako wzory dla pokoleń w Polsce, wskazanych kto wie jak długo jeszcze na zmaganie się z ciążącą na kraju niewolą.

Przed rozstaniem się w pamiętniku moim z Wielkopolską, zanotować winienem wymianę listową z Libeltem. Zdarzyła się ona raz jeden i byłbym o niej zapomniał, gdyby przy porządkowaniu korespondencyj u mnie nie odnalazła się odpowiedź Libelta na list mój, tyczący się opodatkowania się narodu polskiego na sprawę polską, chorującą na brak środków pieniężnych. List Libelta jest bez daty, treść onego atoli odnosi się do momentu, w którym w Galicji zapanował był głód. Pisałem wówczas do niego i do Leona Sapiehy, prezesa galicyjskiego sejmu krajowego — do pierwszego z prośbą o po-

parcie projektu mego, wystosowanego do drugiego, a mającego na celu zaprowadzenie, wzorem Anglji, Szwajcarji i Żydów, postu narodowego na zapobieganie klęskom wszelakim. Posty tego rodzaju polegają na jednodziennem ogólnem powstrzymaniu się od jadła i składaniu do kasy spólnej jednodziennych na jedzenie wydatków. Książę L. Sapieha odpowiedział mi, że projektu mego przyjąć nie może, ponieważ nie jestem poddanym austrjackim. Libeltowi środek ten wydał się niemożliwy do zastosowania w Polsce. Uporządkowanie Skarbu Narodowego nastąpiło w r. 1891 dopiero.

Dyliżansem w Wągrowcu wziętym wróciłem do Poznania z zamiarem spędzenia w stolicy Wielkopolski dni kilku. Zamiar ten, niestety, rozbił się na wstępie do hotelu. Zawiadowca Bazaru, jak skoro zająłem przeznaczony dla mnie numer, powitał mnie wyrazami:

— Panie, o piątej rano odchodzi pociąg do Krakowa.

— Albo co? — zapytałem.

— Policja zapytywała o pana, a ja obowiązany jestem o ósmej rano w policji gości przyjeżdżających i wyjeżdżających meldować.

Policja wypłoszyła mnie. Widocznie oddawna, mimo żem w Prusiech żadnej zbrodni ani nawet występku przeciwko porządkowi i bezpieczeństwu publicznemu nie popełnił, w instytucji przestrzegania porządku i bezpieczeństwa złą posiadałem notę. Nazajutrz o 5 rano na Wrocław wyruszyłem do Krakowa. Podróż odbyła się pomyślnie. W Krakowie, jak skoro wieść o obecności mojej po mieście się rozeszła, odwiedziny się rozpoczęły. Jedni, znajomi dawni, dla pozdrowienia mnie przychodzili, drudzy się ze mną zaznajamiali, a nikt prawie bez jakiejś mogącej mnie zainteresować wiadomości nie przychodził. Ktoś zawiadomił mnie o obecności w Krakowie małżeństwa, co mnie w Konstantynopolu przyjaźnią zaszczycało: Henrykostwa Gropplerów. Wybrałem się do nich niezwłocznie. Mieszkali u rodziny — nie wiem, pana czy pani, oboje bowiem z Krakowa rodem byli. Zastałem pana; pani weszła niebawem i ujrzawszy mnie, postąpiła sobie ze mną, jakby postąpiła siostra z rodzonym a dawno niewidzianym bratem: poskoczyła, ramionami szyję moją otoczyła i pocałunkami oblicze mi okryła.

A gdy mnie z objęć swoich wypuściła, mąż, w obecności którego scena się ta odbyła, głową pokiwał i powiedział:

— I co mi na to zrobić należy?

Do robienia nic nie było. Uściski te i pocałunki miały nie inne, jeno siostrzane znaczenie. Zdziwiły mnie one, nie przypuszczałem bowiem, żem małżeństwo to w sensie takim pozyskał dla siebie. Obecność Gropplerostwa ogromnie uprzyjemniła mi parudniowy pobyt w Krakowie. Godzin kilka popołudniowych spędziłem w towarzystwie pani Groppler i zamężnej już w czasie owym byłej panny Demidowiczówny, którą znałem w latach 1862—3, wyglądającą w domu rodziców, będącym przystanią konspiracyjną, na żywy obrazek milczenia, zmienioną w r. 1871 na istotę mówiącą, wesołą, swawolną nawet. Z dwiema kobietami temi spędziłem w jakimeś parku czy ogródku krakowskim niezapomniany dla mnie wieczór.

Nie zapamiętałem spotkań i odwiedzin innych. Niby sen zapomniany przedstawiają się mi pensja panieńska pod dyrekcją kobiety z Podola czy z Ukrainy, u której byłem dla Izydora Kopernickiego, zamieszkałego z rodziną w Bochni, lecz bywającego często i bawiącego po dni i tygodni kilka w Krakowie. W Krakowie go nie zastałem. Nie zastałem również innych osób paru, ze wspomnień zaś pozostało mi w pamięci jedno, zabawne. Na obiedzie w hotelu Saskim, w którym mieszkałem, zeszedłem się przy jednym stoliczku z Żychlińskim, byłym *Dziennika Poznańskiego* redaktorem. On mnie nie poznał; ja go z fotografji, przysłanej mi przezeń w znaczeniu zadatku przyjaźni, gdym korespondowanie do *Dziennika* rozpoczął był. Przyjaźń ta z racji różnicy przekonań i uczuć zerwała się następnie z moją szkodą, wynoszącą kilkaset franków niewypłaconego honorarjum. Odebrało mi to ochotę zabrania z przypadkowym towarzyszem przyobiednim znajomości osobistej; nie przeszkodziło jednak patrzeć na niego i przysłuchiwać się dyspozycjom, dawanym drobiazgowo garsonowi przy każdej wybieranej ze spisu potrawie. Każdą potrawę zwał terminem zdrobniałym: zupka, rybka, sztuka mięska, i o każdą rozpytywał się szczegółowo.

— Zupka szczawiowa — dobrze, zabielana — bardzo dobrze, a w niej jajeczko faszerowane, co?

— Bifsztyczek? Niech będzie bifsztyczek, ale z polędwicy

i napół po angielsku, — napół, nie zupełnie — rozumiesz kochanie? napół, a z kartofelkami przyrumienionemi z jednej strony i posypany zlekka pietruszeczką, a może trybulką, co? jak myślisz, kochanie? A! niech będzie trybulka.

Bawiło mnie mocno to smakoszostwo redaktorskie, oprawne w akcentowany świątobliwością sposób jedzenia. Kawałek każdy do ust niby komunikant wkładał i przeżuwał z pobożnym na obliczu i w oczach wyrazem. Widzę go dziś, po upływie trzydziestu kilku lat, widowisko bowiem podobne, mimo że smakoszów znałem i nieraz w towarzystwie ich jadałem, po raz pierwszy i jedyny mi się zdarzyło. Klasyczne ono było. Dlatego też mi ono tak mocno do pamięci przylgnęło. Z eksredaktorem zeszedłem się powtórnie we Lwowie, na sejmie krajowym, w loży dziennikarskiej, na sesji, na której zawotowany został wniosek demokratyczny, tyczący się przymusowego posyłania do szkół dzieci włościańskich. Żychliński dowiedział się od kogoś, com zacz, bo mi się pilnie przypatrywał, ale, pomnąc zapewne o honorarjum, trzymał się ode mnie zdaleka.

Pamiętny mi jest owoczesny pobyt we Lwowie. Przyjechałem wieczorem i niezwłocznie poszedłem do łóżka, w którem dłużej niż zwykle nazajutrz pozostawać pozwoliłem sobie. Wstałem około ósmej i gdym się ubierał, zaszczycony zostałem wizytą komisarza policji. Zaszczyt ten nie spotkał mnie ani w Wiedniu r. 1866, ani dni temu kilka w Krakowie. Zdziwiła mnie więc i wizyta i ugrzecznienie nadzwyczajne, z jakiem komisarz o paszport zapytał:

— Czy paszporty znów w Austrji zaprowadzono? — odparłem.

— Nie, panie — wcale nie — ale...

— Wziąłem ze sobą na wypadek wszelki paszport francuski mocno przedawniony — podchwyciłem.

— Niech pan dobrodziej dać mi go raczy. Za godzinę najdalej odniosę.

Powrócił z paszportem prędzej niż za godzinę i wręczając mi takowy, przepraszał z uniżonością, która mnie mocno dziwiła, a której wyjaśnienie dał Jan Dobrzański, wydawca i redaktor *Gazety Narodowej*. Spotkałem się z nim, wychodząc z hotelu. Szedł do mnie od dyrektora policji, ażeby mnie za zbytek gorliwości komisarza przeprosić.

W tymże dniu spotkały mnie dwa inne zaszczyty: zamianowanie członkiem honorowym „Gwiazdy“, towarzystwa rzemieślniczego, i zaproszenie na bankiet na cześć moją, który do skutku nie przyszedł. Sprawcą pierwszego był zacny i szanowany powszechnie Mieczysław Darowski; drugiego — niedoszłego — ja sam.

Bankiet zaprojektował Kornel Ujejski, ułożył się o urządzenie z komitetem, do którego weszli Franciszek Zima, mój kolega i przyjaciel, postawiony naczele świeżo założonej Galicyjskiej Kasy Oszczędności, i innych kilku. W materji tej Kornel odniósł się do mnie celem uzyskania zgody mojej na nadanie bankietowi charakteru agitacyjnego, czy też propagacyjnego, o podłożu wybitnie teologicznem, zaznaczonem tezą *Chorału*: „Bóg był i jest“.

— Powinniśmy ostro zgromić poczynający się szerzyć w społeczeństwie naszem ateizm.

Takiem było Kornela zdanie.

— W duchu więc tym ja mowę wygłoszę, ty mnie poprzesz, i ruch ateistyczny w zawiązku zabijemy.

Zdanie to nie było mojem. Ateizm miałem i mam za wiarę w swoim rodzaju, odmiennego niż wiary „objawione“ pochodzenia. Przytem od teologij wszelakich, zarówno katolickich jak protestanckich, chrześcijańskich i niechrześcijańskich, jako od nauk na dogmatach opartych, trzymałem się zdaleka. Wyłożyłem to Kornelowi i wymówiłem się od spółdziałania z nim w zamierzonem przezeń „zabijaniu“, przypominającem działalność inkwizycyjną. Nie wiem, czym go przekonał. O ile wiem atoli, kwestji tej nie wyprowadzał on poza ramy *Chorału*.

Po rozmowie z Kornelem udałem się prosto do Zimy, układając sobie na drodze w myśli wypośrodkowanie z rozmowy tej następstwa, nieczyniącego przykrości nikomu. I wypośrodkowałem.

— Przychodzę do ciebie, Franciszku, z pożegnaniem — oznajmiłem Zimie wchodząc.

— A toż z jakiej racji?

— Wyjeżdżam.

— Czemu?

— Mówił ze mną Kornel.

— A no. Spodziewałem się, że z bankietu nic nie będzie. Dobrześ zrobił.

Dodatniość postępku mego na tem polegała, żem wyjazd mój upowodować mógł nagłą widzenia się z rodziną potrzebą, — potrzebą istotną, luboć nie nagłą.

Wieczór dnia tego spędziłem w klubie mieszczańskim, w towarzystwie kolegów z wojny węgierskiej (r. 1848—9) i powstania styczniowego polskiego (1863—4). Był moment, w którym zajęliśmy we trzech kanapę, na której mnie pomiędzy Kornelem a Agatonem Gillerem, mężami dobrej tuszy, przyciasno było. Przechodzili mimo ten i ów, witali się, po słów parę z nami zamieniali i szli dalej. Jednym z takich zdarzył się burmistrz miasta Lwowa owoczesny, a mój niegdyś spółkonspirator, Florjan Ziemiałkowski. Ten, zatrzymawszy się, o pierś mi w okolicy serca palcem stuknął i zapytał:

— Tam... zawsze jedno?

— Zdaje się — odrzekłem.

— Czemużto od bankietu uciekasz?

— Do rodziny mi spieszno.

Wieść o nagłym odjeździe moim i o rzekomym powodzie onego rozeszła się po mieście i zdziwiła Kornela nawet.

— Niceś mi nie mówił dziś rano — powitał mnie wieczorem w klubie.

— Sam nie wiedziałem jeszcze.

Kłamstwo mi się udało. W kłamstwie tym atoli odrobina prawdy tkwiła, uśmiechała mi się bowiem nadzieja widzenia się z rodzicami, którzy, zawiadomieni będąc listownie o przyjeździe moim w pobliże granicy posiadłości rosyjskich, powzięli byli zamiar do Czortkowa przyjechać. Nie było to rzeczą niemożliwą. Panowanie Aleksandra II, luboć Polskę po poskromieniu w niej powstania krótko zapomocą nasyłanych do Warszawy, Wilna i Kijowa generał-gubernatorów w wędzidłach trzymało, nie zamykało jej jednak tak szczelnie w niewoli, jak panowanie mikołajewskie. Wrota więzienia dla poddanych carskich otwierać się mogły łatwiej nieco. Paszporty opłacano taniej, i nie potrzeba już było o nie w stolicach kołatać. Widzenie się przeto z rodziną nietylko żoniną, ale moją własną, nie pretekstu, lecz powodu w odniesieniu do wyjazdu znaczenie miało. Upretekstowałem jeno nagłość.

Na kanapie klubowej Kornela zluzował, jeżeli się nie mylę, Sawicki, ekspułkownik sztabowy w armji rosyjskiej, doktoryzo-

wany medyk z Uniwersytetu Strassburskiego, znany w powstaniu pod pseudonimem Strusia, znany w literaturze naukowej pod pseudonimem Stelli i w 1871 pełniący w szpitalu lwowskim, w którym Erazm Malinowski zajmował stanowisko gospodarza, funkcję lekarza. Odwiedzając państwa Malinowskich, przy szpitalu zamieszkałych, i z nim się w sali operacyjnej widziałem. Jemu również, jak Kornelowi i Gillerowi, tuszy przybyło. We trzech na kanapie wyglądaliśmy okazale, ponieważ okazałość ich dwóch udzielała się mnie. Wpadła ona w oczy Tadeuszowi Romanowiczowi, młodziutkiemu w dobie onej człowiekowi, którego na zgromadzeniu „Gwiazdy" poznałem i mówiącego słyszałem. Należał on do młodzieży, na którą w zakresie działalności patrjotycznej liczyć można. Zalecały go wielkie zdolności krasomówcze i gorącość uczucia. Zatrzymawszy się przed nami, zawołał:

— A toż co! Rząd Narodowy w całości? Po policaja iść potrzeba...

Zwracając się zaś do mnie, zapytał, czy nie mam do zaofiarowania mu chwilki czasu.

Z ochotą wezwaniu temu zadość uczyniłem, siedzenie bowiem na kanapie zawadzać mi już poczynało. Romanowicz wyprowadził mnie na oświecony księżycem ogród i bez wstępów o sprawę polską zaczepił. Zaczepka odnosiła się do emigracji: „Co ona myśli?" Od powstania kościuszkowskiego, z którego wynikły legjony, następnie od r. 1831, który wytworzył Towarzystwo Demokratyczne i nadał sprawie służący jej do dziś kierunek, krajowcy nawykli byli na emigrację się oglądać. Emigracja kraj, życia politycznego w zaborach pozbawiony, zasilała na drodze ideowej, sprzężonej w zakresie społecznym z drogą realistyczną warunkiem sprawiedliwości, gwałconej w warstwach ludności niższych, pracujących na rzecz warstw wyższych, używających. Szkodziło to szczególnie Polsce, pozbawiając ją sił obrończych wobec czyhających na nią mocarstw sąsiednich. Należało siły te rozbudzić, formalnie podnieść i oświecić. Zadanie to emigracja wskazywała i wywoływała słowem i czynem do momentu, w którym w dwóch zaborach, w pruskim i austrjackim, Polacy nie zostali w pewnej mierze przypuszczeni do udziału w życiu połowicznie konstytucyjnem. Udział ów rozszerzył się skutkiem pogromu Austrji przez Prusy

w r. 1866 i dotknął głęboko emigrację polską we Francji w 1871. Emigracji, że tak się wyrażę, zabrakło gruntu pod nogami. Pogarnęła się do Austrji, gdzie do pewnego stopnia znajdowała grunt polski i do pewnego stopnia nie traciła charakteru emigracyjnego. Mnie trapiła myśl, czy połowiczność konstytucyjna w Prusiech i w Austrji sprawie polskiej zamiast pomocy nie przyniesie szkody? W Poznańskiem kwestja ta trudną jeszcze do rozwiązania była. Świeżość triumfów pruskich opamiętać się Polakom nie dawała, ukazując im w perspektywie walkę z klerykalizmem, pozostającym pod kierownictwem arcybiskupa, który w wersalskiej cesarstwa prusko-niemieckiego kreacji czynny udział wziął. Rzeczy w zaborze austrjackim odmienny miały obrót. Klęski doprowadziły Austrję na krawędź przepaści, nad którą losy jej znalazły się w rękach nieczujących do niej przywiązania serdecznego, obcych jedna drugiej, narodowości. Położenie to nakazało jej zjednywać je sobie zapomocą ugłaskiwania konstytucyjnego, praktykowanego z powodzeniem przez państwa w Europie zachodniej. I części Polski, łaskawie przez Austrję do spółki z Wielkim Fryderykiem i Katarzyną zabranej, coś się dostało. Łaska część tę, przezwaną dziwacznie, zaopatrzyła uprzednio w domową niezgodę społeczno-polityczną i w hegemonję klasy, co Polskę zgubiła. Korzyść konstytucyjna polegała jedynie na przywróceniu języka, będącego — zdaniem Ezopa — rzeczą najlepszą i najgorszą. Chodziło o to, ażeby korzyść tę Polacy w duchu Unji Lubelskiej a na tle demokracji nowoczesnej wyzyskać umieli. Mogłoby to nastąpić, gdyby hegemoni odrazu zrozumieli przewagę potrzeb narodowych nad klasowemi. Konstytucja przeto, nadana przez Austrję „krajom“, odpowiadającym prowincjom historycznym, stanowiącym w państwie konglomerat polityczno-narodowościowy, wydała się mi posiadającą zaczyny dobre i złe, zależnie od tego, jaki państwo — federacyjny czy centralizacyjny — kierunek przybierze. Ponieważ atoli przyszłość Austrji przedstawiała się lat temu trzydzieści kilka, jak przedstawia się obecnie (r. 1908), pod postacią mocarstwa podupadającego, należało więc liczyć na wyciąganie na rzecz państwa kleju z „krajów koronnych“. Tak się w rozmowie, na jaką mnie Romanowicz z sali klubowej do ogrodu wywołał, zarysowywała przewidywana przyszłość Galicji.

Rozmowa, jakem zaznaczył wyżej, wyszła z punktu wystosowanego do mnie zapytania: „Co myśli emigracja“.

— Emigracja się do Galicji wynosi — odpowiedziałem.

— Czy to się na dobre obróci?

— Zobaczymy — odrzekłem. — Powstrzymywać usiłowałem emigrantów od przenoszenia się do Austrji.

— Do Galicji — poprawił mnie T. Romanowicz.

— Galicja w oczach rządu w Wiedniu i w oczach gabinetów jest prowincją austrjacką, administrowaną przez urzędnika austrjackiego, nieupoważnionego do nadawania poddaństwa austrjackiego Polakom, poddanym zaborów pruskiego i moskiewskiego, obowiązanym prosić o nie w Wiedniu i przysięgać dobrowolnie na wierność spólnikowi rozbiorów Polski... Jak to wygląda?

— A no... — niepięknie chyba.

— Ze strony moralnej, zasadniczej. A z politycznej? Polacy w Galicji, z poddanych austrjackich zrodzeni, pod przymusem na wierność zaborcy ich ojczyzny przysięgają i przysięga taka Polaków tych nie zobowiązuje. Ale ci, co raz wobec zaborcy innego przysięgę wymuszoną z orężem w ręku złamali i wyprosili sobie pozwolenie złożenia przysięgi cesarzowi austrjackiemu a królowi galicyjsko-lodomeryjskiemu, ci... czy nie wnoszą oni w łono społeczeństwa polskiego w Galicji zaczynu wdzięczności? wdzięczności, podporządkowującej interesy i potrzeby polskie, jako prowincjonalne, interesom i potrzebom Austrji jako państwa? Mnie samego wdzięczność przejmuje dla spotykanych we Lwowie policjantów, pozwalających mi nazywać się imieniem i nazwiskiem własnem i swobodnie po ulicach krążyć. Przypuszczam i obawiam się, że emigranci w pracy dla Polski, gdy ją na siebie weźmiecie, zamiast pomagać, będą wam przeszkadzali.

Wykład ten wywarł na T. Romanowiczu wrażenie. Wywnioskował z niego, że na Galicję spada zadanie, które, póki w Polsce bezwzględna panowała niewola, ciążyło na emigracji.

— Zapewne — odrzekłem. — Nie wyzwala to atoli emigracji od obowiązku pracowania dla ojczyzny, która, gdyby zagranicą przedstawicielstwa nie posiadała, uprawniłaby w oczach świata, a skutkiem nawyku miejscowego, gwałty rozbiorowe. Nie byłoby komu Polakom przypominać o Polsce od morza do morza.

Zabory pruski, moskiewski, austrjacki zamknęłyby się w granicach prawem przepisanych, jak nam nakazywał *Dziennik Poznański* pod redakcją Żychlińskich. Niema jednak obawy, ażeby to nastąpić miało, emigracja bowiem zmniejsza się, ale nie niknie, i nie zniknie, póki Polska nie odzyska bytu niepodległego. Zawsze, jeżeli nie w Austrji i nie w Prusiech, to w Rosji, znajdzie się powód do wyjścia zagranicę pewnej ilości Polaków, niezasługujących na względy czynowników carskich.

Odnosiło się to do emigracji politycznej. O ekonomicznej, która się zaledwie w Prusiech poczynała, nie mówiono jeszcze, luboć niejeden z Polaków wychodźców w Stanach Zjednoczonych w Ameryce Północnej miał siebie za przedstawiciela sprawy polskiej, a dr [H. Kałussowski] [1], członek Towarzystwa Demokratycznego, pełnił funkcję wysłańca Centralizacji. Emigracja polityczna urzędowo zorganizowała się r. 1880 dopiero. W Europie emigracja nie wygasła. Ani w Brukseli, ani w Londynie, ani w miastach szwajcarskich (Genewa, Zurych, Bern, Fryburg, St. Gallen, Bazylea i in.) wojna nie zniosła zorganizowanych grup demokratycznych. Przypuszczać można było, że i we Francji, w Paryżu zwłaszcza, gdzie istniały posterunki polskie (szkoła na Batignolles, bibljoteka na quai d'Orléans, szpital i przytulisko dla starców i dzieci) wznowi się działalność polityczna. Przypuszczalnem to było tem bardziej, że Francja, która w przeciągu wieku niespełna trzykrotnie się królów pozbywać musiała i na którą cesarze dwa razy najazdy nawołali, na przyszłość się jako rzeczpospolita zapowiadała.

Republikanizm francuski w momencie owym ponętnie się nam, Polakom, republikanom z ducha i z tradycyj, przedstawiał. Widziało się w nim zalążek federacji republikańskiej w Europie romańskiej, obejmującej Francję, Włochy, Hiszpanję, Belgję i wciągającej w kolisko swoje Anglję, w której tron nie inne, jeno dekoracyjne ma znaczenie. Zaznaczyć należy, że perspektywa ta nie jest rojeniem, należącem do świata utopji, lecz potrzebą, narzucającą się Europie. Lekceważony i wyzyskiwany przez mocarstwa europejskie „Wschód daleki" sposobi się za przykładem Japonji do odwetu. W r. 1871 niebezpieczeństwo to nie zaznaczało się jeszcze i nie mówiliśmy o niem w roku

[1] Nazwisko opuszczone w autografie.

owym, na ogrodzie klubowym, ale zato w Europie zagroziło niebezpieczeństwo pruskie. Komuby wówczas na myśl było przyszło, że wobec Prus Francję bronić będzie Rosja!... Francji starczyło i kontrybucję pięciomiljardową zapłacić, i miljardami obronę opłacać. Nie przyszła nam możliwość podobna na myśl, i dlatego liczyliśmy na sojusz republikanizmu przeciwko monarchizmowi, — sojusz, w którym miejsce zgóry dla sprawy polskiej wyznaczone było.

Rozmowę z T. Romanowiczem wiernie powtarzam w osnowie. Konkluzja jej z mojej strony wyraziła się zapewnieniem, że wznowiona na emigracji działalność polityczna nie będzie inną, jeno taką, jaką dla niej Manifest Towarzystwa Demokratycznego zasadniczo wytyczył:

„Dążenie do odrodzenia Polski, rzeczypospolitej demokratycznej, całej, wolnej, niepodległej, na podstawie Unji Lubelskiej“.

— Czy znajdzie się w Galicji materjał do pracowania w kierunku tym dla Polski? — zapytałem.

— Znajdzie się — była Romanowicza odpowiedź.

— Pójdziemy więc razem?

— O! razem... — zawołał.

Za rękę mnie ujął, dłoń mi mocno uścisnął i przysiągł. Tak — przysiągł.

Przysięga ta, pierwsza i jedyna przede mną w duchu tym dobrowolnie złożona, zobowiązała mnie, — zobowiązała do nieschodzenia z drogi, na którąm wszedł przed laty, gdym wstąpił do szeregów Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Od momentu onego do momentu rozmowy mojej z Romanowiczem upłynęło było lat dwadzieścia dwa. Dokonało się to w Szumli, na gruncie tureckim. Byłem wówczas młodym. Do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego przyjęli mnie członkowie onego: Franciszek Sokulski, Żarski i Łękawski (ten ostatni syn księdza ruskiego z Galicji). Nie przysięgałem przed nimi, lecz przed samym sobą, a raczej przed duchem Polski, przed którym w ciągu wieków minionych obrońcy jej taksamo przysięgali i obowiązek obrony jej nam przekazali. Z Romanowiczem, mężem dojrzałym, zeszedłem się w lat dwadzieścia trzy później. O przysiędze z nim nie mówiłem. W odniesieniu do niej powiedziałem mu tylko:

— Austrjaczycie się na potęgę.

Lękałem się wówczas wpływu rezultatów konstytucjonalizmu austrjackiego na pracowników szczepiących patrjotyzm demokratyczny i narodowy w zaborze moskiewskim. Lękałem się nicowania, czy też modernizowania patrjotyzmu i demokratyzmu, które, zaczyniane chemicznie obcym kwasem państwowym, na pożytek sprawie polskiej służyć nie mogą.

Rozmowa z Romanowiczem wzruszyła mnie głęboko. Nazajutrz po niej wyjechałem do Tarnopola, gdzie czekać miał na mnie szwagier mój Władysław, budujący jeden z uczątków drogi żelaznej z Tarnopola do Podwołoczysk. Podróż mnie nie nużyła. Jechałem w towarzystwie Podolaków i Podolanek, etnograficznie nieróżniących się od Polaków na Rusi zabranej przez Rosję. Śród nich jeden służył ku zabawie ogólnej, stosując do ruchów pociągu wołania, wygłaszane przez furmanów na konie w bryczce. Gdy pociąg z góry zjeżdżał, on się przeciągle odzywał: „au-hoo, au-hoo“, pod górę hukał: „wio!“; gdy pociąg na stacjach bieg zwalniał, powtarzał: „prr-prr“. Przytem porównywał jazdę koleją z jazdą wozową, tłumacząc znaczenie jednej i drugiej i dowodząc potrzeby pierwszej dla handlu, a zatem dla Żydów, drugiej dla hodowców koni. Opowiadając i dowodząc, zwracał się raz do jednych, znów do drugich słuchaczy. Wkońcu zaszczyt ten na mnie spadł.

— Cóż pan dobrodziej na to? — zapytał.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, bom go nie słuchał.

— Ma pan dobrodziej rację — odrzekłem.

— O! bom odrazu zgadł, że p. dobrodziej koniarz.

— No, tak i nie tak.

— A z jakiej okolicy, jeżeli spytać wolno?...

— Zdaleka. Z Brukseli.

Zdaje się, nie dosłyszał odpowiedzi mojej, zwrócił się bowiem do kogo innego.

Zaczepił mnie jeszcze na dworcu w Tarnopolu, gdym wyszedłszy z walizką rozglądał się.

— Pan dobrodziej na kogoś czeka?

— Na szwagra mego — odparłem — który ma przyjechać po mnie. A! otóż on — zawołałem, ujrzawszy zbliżającą się najtyczankę, a na niej Władysława Wróblewskiego.

Zatrzymaliśmy się godzinkę w Tarnopolu dla sprawunków i interesów załatwianych przez Żyda-faktora.

Władysław przemieszkiwał w Bohdanówce, wsi od Tarnopola o parę godzin jazdy bryczką odległej. Mieszkał w chałupie u chłopa najętej, pędząc w niej żywot przesiębiorcy robót inżynierskich na linji kilku- czy kilkunastukilometrowej, wytyczonej dla drogi żelaznej. Robota polegała na przysposobieniu podłoża ziemnego, twardego i równego dla ułożenia na niem progów drewnianych pod szyny żelazne. Wymagała ona tu skopywań, tam nasypów, ówdzie podmurowywań, gdzieindziej mostów i mostków, a wszędzie obrachowywań ścisłych i dozoru robotników, dbających nie o dokładność w robocie, ale o zarobek. Przedsiębiorców, których na linji między Tarnopolem a Podwołoczyskami było kilku, dozorował inżynier wysokiej rangi, pełniący funkcję inspektora z ramienia rządowego. Posiadał on przedewszystkiem moc szykanowania przedsiębiorców, w interesie których było zaćmiewanie w nim w czasie inspekcyj zmysłu widzenia. Dokonywało się to przy pomocy jadła i napojów, — napojów zwłaszcza, dostarczanych mu w ilości i jakości takiej, ażeby w nim przy pisaniu raportów inspekcyjnych wzbudzały w odniesieniu do przedsiębiorców uczucie wdzięczności rzewnej. Nie zaniechiwano przytem i sposobów łapowniczych, świadczących, że w sferach urzędniczych nie w samej tylko Rosji słabe przejawiają się strony. Strony te przejawiają się i gdzieindziej — inaczej atoli. W Rosji czynownik łapę wyciąga z nakazem. Gdzieindziej niby o łaskę prosić urzędnika o przyjęcie wziątka potrzeba. Władysław ledwo nieledwo dozorującego go inspektora uprosił o przyjęcie od niego pary ładnych koni powozowych.

W Bohdanówce zastałem teścia mego i Olimpję, siostrę mojej żony. Władysław zaprosił ich do siebie na czas pobytu mego u niego, — pobytu, który się przeciągnął na dni kilka i upłynął dla mnie bardzo miło. W towarzystwie teścia mego, człowieka, który dużo umiał i wiele rozumiał, nudzenie się należało do niemożliwości. Interesowały mnie przytem roboty ziemne i stosunek pracodawcy do robotników, jakoteż przysposabiające się do odlotu jesiennego przepiórki, których nastrzelałem moc wielką.

Co do stosunku do robotników, wogóle do włościan, od lat już dwudziestu trzech w czasie onym uwłaszczonych, zdarzył się Władysławowi wypadek charakterystyczny, na zanoto-

wanie zasługujący. Potrzebował on na podkłady kamieni, trudnych w okolicy do znalezienia. W Bohdanówce jeden z włościan na gruncie swoim posiadał wzgórze niewielkie, mające pozór mogiły kamienistej. Dowiedziawszy się o tem, Władysław wezwał do się właściciela dla umówienia się z nim o kupno i o cenę. Na jedno i drugie chłop nie odpowiedział odrazu, chciał się pierwej z ludźmi naradzić. Po naradzie na sprzedaż kamieni zgodził się, co się zaś ceny tyczy, tę rezolutnie oznaczył na:

— Miljon reńskich.

— Miljon? Czy ty wiesz, co to miljon? — zapytał go Władysław.

— Tak ludzie osądzili.

— Czy z ceny tej nie spuścisz bodaj trochę?

— Nie.

— A jak ci się zdaje, co więcej: miljon, czy dziesięć reńskich?

— Nie wiem, proszę pana — odrzekł, w łeb się skrobiąc — ale... ludzie...

— Zachowajże kamienie dla siebie, a ja ich gdzieindziej poszukam.

Szwagier mój sprawę tę do rozstrzygnięcia oddał faktorowi i ten te same kamienie u tego samego chłopa nabył za reńskich 40.

Takie się to z ludem ciemnym interesy robią i zapomocą podobnych „narad ludzkich“ agitatorowie w Galicji wschodniej nastrajają Rusinów na ton hajdamacki, urabiając śród nich opinję, na którą się później na sejmach krajowych i w parlamencie państwowym powołują. W Galicji zachodniej również, świadcząc o pożytku ciemnoty, odegrywują się sztuki podobne. O! niestety — nie „wiedza“, lecz ciemnota „jest potęgą“, w głosowaniach zwłaszcza czteroprzymiotnikowych zapomocą kartek, pisanych przez ludzi pisać ni czytać nieumiejących.

Prawno-polityczne porządkowanie społeczeństw przez demokratów socjalnych czy przez socjalistów demokratycznych jest budowaniem gmachów nie od fundamentów, ale od dachów. Demokracja rzetelna forsuje oświatę ludu, Towarzystwo Szkoły Ludowej jest jej wielkiem w porozbiorowych Polski dziejach dziełem, obok Kółek rolniczych. Szkoła ludowa i Kółka rolnicze,

stanowiące pokarm dla ducha i pokarm dla ciała, narzucały się demokracji, wywołując instytucję, któraby działalność we względzie tym osłaniała sztandarem, noszącym na sobie napis wyroczny: *Memento Patriae*!

Myśli podobne towarzyszyły mi w ciągu owoczesnej mojej po Polsce wędrówki. Przeprowadzenie na sejmie prawa przymusu szkolnego było pierwszym na drodze oświatowej krokiem, krokiem wadliwym z tej racji, że nie usuwał od szkoły ludowej opieki rządowej, niemogącej być inną, jeno Polsce wrogą. Wrogą czyniła ją natura stosunku państwowego Austrji do zabranego przez nią szmatu Polski.

Pobyt mój w Galicji nie był co do czasu nieograniczonym. Liczyć się musiałem z terminem zjazdu Ligi Pokoju i Wolności, naznaczonym na nie pomnę który dzień miesiąca września w Lozannie, stolicy kantonu Vaud w Szwajcarji.

Zapomniałem poprzednio zaznaczyć, że wezwany zostałem do zastąpienia w Komitecie Centralnym Ligi jednego z założycieli jej, Józefa Hauke, znanego w powstaniu polskiem pod nazwiskiem Bosaka.

Liga Pokoju i Wolności, założona w Genewie d. 9 września r. 1867 pod prezydencją Józefa Garibaldiego, w momencie gdy kwestja luksemburska wojną zagrażała, miała dla nas — Polaków — znaczenie większe niż inne mnogie w czasie owym ligi, koła i towarzystwa pokojowe przez to, że, przyznając narodom i narodowościom prawa autonomiczne w zupełności, za jeden z warunków niezbędnych utrzymania pokoju uznawała: reparację krzywdy wyrządzonej Polsce. Wybuch wojny niemiecko-francuskiej w r. 1870 nie przeszkodził Lidze odbyć w tymże roku kongresu w Bazylei, na którym generał Bosak podjął się na rok następny referatu o Polsce. Ponieważ jednak generał d. 21 grudnia r. 1870 pod Dijon zginął, na mnie przeto spadł obowiązek wyręczenia go i na kongresie w Lozannie przedstawienia zapowiedzianego na kongresie poprzednim referatu. Musiałem więc przyśpieszyć wyjazd mój z Bohdanówki do Czortkowa, gdzie czekał na mnie spokój potrzebny do napisania rzeczy o krzywdach Polski, zadanych jej przez państwową bezkarność zaborczą.

W Czortkowie przyświecała mi nadzieja widzenia się z rodzicami, którzy, zawiadomieni o moim w pobliże granicy ro-

syjskiej przyjeździe, podali do Kamieńca o paszport. Nadzieja ta zawiodła mnie. Paszportu rodzicom moim, jako ludziom „niebłagonadiożnym“, gubernator nie udzielił.

Odległość między Bohdanówką a Czortkowem, wynoszącą kilometrów 50 mniejwięcej, przebyliśmy w dniu jednym, dzięki drodze równej, pogodzie i koniom dobrym, które z bryczką i z furmanem Władysław na rozporządzenie moje dał. Miałem niemi po rodziców do Husiatyna jechać. Tymczasem po popasie w Grzymałowie, gdzie za posiłek służyły nam nastrzelane przeze mnie przepiórki, zawiozły nas one do Czortkowa, do domu pod strzechą słomianą, w którym dla siebie towarzyszkę życia przed dziesięciu laty znalazłem.

Lat dziesięć nie zmieniły go ani trochę. Nie pochylił się bardziej i nie pousuwały się sprzed niego kamienie, które w braku ławek do siedzenia, raczej do przysiadywania, służyły. Przy kamieniach powitała nas gromadka otaczająca staruszkę małą, chudą, zgrzybiałą, ciotkę żony mojej, a rodzoną ojca jej siostrę, p. Czekońską, — gromadka złożona z młodszej żony mojej siostry, Antoniny, poślubionej przez dra Ostaszewskiego, z Karola, brata jej, z panienki trzynasto-czternastoletniej, czarnookiej, ładniutkiej, śniadawej, pani Czekońskiej wnuczki, i Sydora Rawskiego, rotmistrza kozaków sułtańskich, znanego mi z Konstantynopola. Gromadka powitała mnie uprzejmie, z wyjątkiem rotmistrza, który, gdym się do niego z dłonią wyciągniętą i z dobrem słowem zwrócił, cofnął się i głośno oświadczył, że mnie nie zna. Nicem mu na to nie odrzekł, odwróciłem się zdziwiony trochę i wdałem się w rozmowę, jaka się zwykle zawiązuje w towarzystwie osobistości, w połowie się schodzących po raz pierwszy, a w połowie znanych. O staruszce z pomarszczonem, zżółkłem obliczem, odzywającej się głosem skrzeczącym, wiedziałem, że to ciotka, w podlotku trzynastoletnim domyśliłem się córki jej syna, Leona, któregom w czasie powstania poznał. Do rozmowy przeto poufałej przedmiotu szukać nie było potrzeby. Nadszedł dr Ostaszewski, nadszedł ktoś jeszcze. Zasiedliśmy do wieczerzy w towarzystwie licznem. Nie było to dla mnie rzeczą nową. W Czortkowie w czasach dawniejszych obiadów i wieczerzy bez gości nie jadano. Ta jedna tylko w oczy wpadła mi zmiana, że przy stole nie lokaj półmiski obnosił, ale

posługiwała dziewka bosa. Zresztą „wszystko tak jak było“, wszystko bowiem „ku starości“ dawno już „się pochyliło“.

Przy wieczerzy rotmistrz od kozaków sułtańskich tak się względem mnie zachowywał, jakby nietylko przed chwilą impertynencji mi nie wyrządził, ale jakbyśmy się oddawna znali. W istocie poznaliśmy się w Konstantynopolu i on wiedział i pamiętał, żem z młodszym bratem jego w Niemirowie do szkół chodził. Nazwisko Rawskich na Podolu w zaborze rosyjskim spopularyzował kozak, który Izydorowi jako „paniczowi“ przez ojca przydany w powstaniu towarzyszył i w bitwie pod Obodnem majorowi od dragonów moskiewskich szablą łeb rozpłatał. Kozak ów w innej potyczce — bodaj czy nie pod Majdankiem — zginął, a panicz jego na emigracji się skozaczył, o kozactwie Polskę z niewoli wyzwalającem roił, do pułku kozaków sułtańskich, do Polski się niekwapiących, wstąpił, w pułku za żonę poznaną przed laty w Wielkopolsce Szwajcarkę pojął, z pułku, o jego dla Polski bezużyteczności przekonawszy się i żonę z dzieckiem do Genewy do jej rodziny odesławszy, dymisję wziął, do Galicji się udał, skromniutki urząd dozorcy drogowego w Czortkowie otrzymał, w domu Wróblewskich gościnę znalazł i rozpił się. O powód wyrządzenia mi impertynecji nie pytałem go. Zdaje się, że dla wynadgrodzenia mi jej nie odstępował mnie prawie w czasie mego w Czortkowie pobytu i wszelakie możliwe oddawał mi przysługi. Należał do tego rodzaju roicieli, których głowy pracują pod kierownictwem serc, wytwarzając raz na długą, znów na krótką metę pomysły często dziwaczne. Roicieli takich emigracja z r. 1831 posiadała niemało. Na czele ich stali poeci, a obok nich poezją egoizmem zaprawną podszyci działacze tej miary, co Ludwik Mierosławski, Michał Czajkowski i kilku, kilkunastu może jeszcze miary Izydora (Sydora) Rawskiego. Ogół wierzył w patrjotyzm poloskiego *Wachmistrza Dorosza* i prosił Boga, jeżeli nie dosłownie, to w duchu ułożonej przez Mickiewicza litanji: „O broń i orły narodowe“, o „śmierć na polu bitwy“, „o grób w ziemi naszej“, „o niepodległość, całość i wolność ojczyzny naszej“. Taką była wiara i dążność polityczna w czasie owym stronnictw emigracyjnych, każdego zosobna i wszystkich razem. Dlatego, jak skoro gdzie jawiła się orężna przeciwko któremu z zaborców Polski walka, emigranci spieszyli udział w niej wziąść, pod sztandarem nienaro-

dowym nawet. Rawski, demokrata, r. 1848 bił się w Poznańskiem pod wodzą Mierosławskiego i pośpieszył do Turcji, do szeregów, nad któremi powiewał sztandar z półksiężycem. Pod dowództwo Sadyka-paszy emigranci z r. 1831 w mniejszej cisnęli się liczbie, nie mieli go bowiem za wodza serjo. W ilości większej garnęli się do Zamoyskiego, mimo że mu pamiętali uprowadzenie dwudziestotysięcznego korpusu w przededniu oblężenia Warszawy przez Paszkiewicza, ale nie zapominali mu rozbicia pod Kałuszynem, naczele trzech szwadronów zorganizowanych sumptem własnym ułanów, dwóch pułków piechoty moskiewskiej. Rawski miał słabość do kozaków i dlatego Sadyka nad Zamoyskiego, szykującego za pieniądze angielskie pod nazwą kozaków sułtańskich nie kozaków, ale piechotę, artylerję i pułki jazdy ułańskie i strzeleckie, przełożył. Kiedym mu r. 1853 w Konstantynopolu uwagę zwrócił na to, że Michał Czajkowski (Sadyk pasza) w roli atamana kozackiego głową podrwić może:

— A ja od czego! — odparł mi i opowiedział, jak to on, zeszedłszy się przed laty z Czajkowskim na Dobrudży, nahajką mu pod nosem kiwał.

— To może on wam tego nie zapomni — zauważyłem.

— Dam ja z nim sobie radę — odrzekł.

Nie dowiadywałem się, co go do porzucenia służby kozackiej spowodowało. Powitanie mnie przezeń w Czortkowie przyjąłem obojętnie i zapewne trzymałbym się był od niego zdaleka, gdyby on tegoż jeszcze wieczora nie zmienił się na mego dawnego znajomego. Zmiana nastąpiła niewiedzieć skąd i niewiedzieć dlaczego, niby kaprys kobiecy. Był to odruch mimowolny, wywołany pretensją. Rawski w powstaniu ostatniem udziału nie wziął — a nie wziął dlatego, że (słowa jego): „nikt mnie nie wezwał“. Owym „nikt“ byłem ja, organizator oddziału polskiego w Turcji r. 1863. Powinienem był o nim pamiętać. Organizując w Turcji oddział wojskowy, umyślnie nie wzywałem kozaków tureckich, nie chcąc być posądzonym o wywoływanie w szeregach wojska tureckiego dezercji. Oficerowie kozaccy, co się w szeregach polskich znaleźli, pobrali dymisje; o dezercjach zaś zdałem sprawę w książce pióra mego, wydanej u Żupańskiego w Poznaniu, pt. *W Galicji i na Wschodzie*, oraz w rozdziale pamiętnika niniejszego, w którym jest mowa o widzeniu się mojem z Ludwiką Śniadecką w roli żony Sadyka-paszy.

W Czortkowie po powstaniu zamieszkała cała ciotki Czekońskiej rodzina, składająca się z córki panny Kamili, i syna Leona z żoną i dziećmi. Leonostwo Czekońscy mieszkali w najętym domu żydowskim tymczasowo, budowali bowiem na gruncie ojca mojej żony i z drzewa z lasu jego dom dla siebie. Przy nich dożywała lat matka pani, Kumanowska, z domu Potocka, wdowa po właścicielu Kumanówki, zamordowanym przez poddanych, z których dwaj, kucharz i lokaj, służyli u ojca mego i narazili go na proces o przyjmowanie na służbę zbiegów z poddaństwa. Wytoczył mu go właściciel tych ludzi, jeden z rzadkich śród obywatelstwa polskiego na Rusi okazów tyraństwa szlacheckiego.

W rodzinie Czekońskich uwydatniała się panna Kamila, ofiara miłości matczynej. Rozmiłowanie się w niej matki przyczyniło się do dania jej edukacji starannej, a przeszkodziło do wyzyskania tej edukacji na rzecz ludzką i na korzyść własną, nadając posiedzicielce onej nastrój wyższości, zrażający do niej ludzi. Matka tego była przekonania, że Kamilcia jej wyjść zamąż nie może za kogo innego, chyba za księcia. Kamilcia zaś nie mogła wyobrazić sobie możliwości rozłączenia się z matką. W przekonaniach i wyobrażeniach tych trwały póty, póki młodość panny przekwitać nie poczęła. Wówczasby się i za nieksięcia wydała, ale... W dobie tej poznałem ją. Zeszedłem się z nią po raz pierwszy u Leonostwa Czekońskich na wieczerzy. Dostrzegłem w niej zażenowanie. Odzywała się rzadko i nie inaczej tylko w wyrazach dobranych, niby z książki, stylowo. Zraziło mnie to do niej. Wrażenie to atoli naprawiło się niebawem. Wracając raz z miasta do dworu, ujrzałem ją w ogrodzie warzywnym śpieszącą ku mnie. Zeszliśmy się, powitali, i zawiązała się pomiędzy nami rozmowa powszednia: o Zosi (żonie mojej), o dzieciach naszych, o życiu na obczyźnie i t. p. zwyczajnościach. Pogadanka ta wielką mi sprawiła przyjemność.

Wizyt w mieście, z wyjątkiem u L. Czekońskich i starosty, nie czyniłem; i ta druga była nie wizytą, ale rewizytą, albowiem starosta (urząd równy prefektowi we Francji) wizytował mnie pierwszy, jako „autora znakomitego“. Lat temu ośm[1] starostowie autorów polskich nie uznawali.

---

[1] W r. 1863.

Wizyt w sąsiedztwie czortkowskiem złożyłem dwie: jedną w Kalinowszczyźnie, drugą w Przewłoce.

W Kalinowszczyźnie mieszkali państwo Władysławostwo Ochoccy, ludzie zamożni, gościnni i dobrzy, zacności wielkiej Polacy. Było to Wróblewskich sąsiedztwo najbliższe i najlepsze. Znałem się z nimi od najpierwszej mojej w Czortkowie bytności. Dwór ich posiadał wygląd i charakter dworów szlacheckich starej daty, zasobnych, wygodnych i nieokazałych. W komnatach nie brakło ani fortepianu, ani foteli, ani kanap i mebli wszelakich, brakło wyszukania. Na ścianach bielonych nie brakło zwierciadeł, obrazów i landszaftów przez muchy upstrzonych. We względzie tym niczego nie brakło, wszystko pozostawało po staremu i jedyna, jaka się mi w oczy rzuciła, zmiana, odnosiła się do dziewczynek, wyrosłych przez lat ośm na panienki szykowne i zamaszyste, których chody dwór w trzęsienie wprawiały. Typowe dziewczęta wiejskie. W zdumienie żonę moją i mnie w lat parę później wprawiła wiadomość o ciosie, jaki na rodziców ich spadł. Obie, jedną po drugiej, śmierć zabrała. Pomarły na suchoty.

W Przewłoce, dokąd się z Rukomysza krewni moi, Ludwikostwo Szawłowscy, przeprowadzili, wizyta mi się nie powiodła. Nie zastałem w domu gospodarstwa, które wyjechało było na Podole rosyjskie w odwiedziny do siostry samej pani, z domu Przesieckiej. Dwór opustoszał. W nieobecności państwa ani przenocować w nim, ani posilić się, ani furmana i koni pokarmić nie mogłem. Wydało się mi, że wszystko to znajdę u księdza Lachowicza, unity, proboszcza przy cerkwi w Przewłoce, człowieka rozumnego, Polaka dobrego, z którym r. 1863 poznałem się był i zbliżył w Rukomyszu. I jego jednak w domu nie zastałem. Przeszedłem się tylko po Przewłoce, podziwiając wieś tę ze względu na piękność położenia i świadczący o zamożności mieszkańców wygląd chat. Że zaś wieś ta nie leży na trakcie handlowym, posiadała przeto karczmę, ale bez zajazdu dla gości. Dowiedziawszy się o tem, musiałem noclegu poza Przewłoką szukać. Znalazłem go o milę od Przewłoki, w lichej przy trakcie karczmie, w której również gospodarza nie zastałem. Przyjęła konie, furmana i mnie gospodyni, niemłoda, niepowabna i niegościnna Żydówka, która gniewnie nam potrzebnych do życia artykułów w gatunku nienajlepszym udzieliła. O noclegu

w karczmie tej przechowało się w umyśle moim wspomnienie niewesołe.

Pobyt mój w Czortkowie przewlekałem, czekając na rodziców, i doczekałem się zawiadomienia, że nie przyjadą. Gubernator paszportu im odmówił, czemu? — nie wiadomo. Rodzina moja nie cieszyła się w sferach rządowych względami, ale odmówienie paszportu małżeństwu, w którem jedno liczyło lat 84, drugie około 70, spowodować musiał powód szczególny jakiś. Jaki? — Domyślać się można, że gubernatorowi, wiedzącemu zapewne o mojej w Galicji obecności (od czegóż bowiem rząd rosyjski szpiegów zagranicą trzyma?), chodziło o niedopuszczenie parze starczej „złoumyszlenników“ zetknięcia się z takim jak ja zbrodniarzem. „Jeszczeby coś wyknowali na zgubę Rosji“. Bez widzenia się więc po raz ostatni z nimi wyjeżdżać musiałem.

Do wyjazdu naglił mnie termin zjazdu kongresu Ligi Pokoju i Wolności w Lozannie. Pożegnawszy się przeto ze wszystkimi, z Sydorem nawet, serdecznie, ruszyłem drogą najkrótszą do Lozanny, nie zatrzymując się nigdzie, z wyjątkiem Bochni i Krakowa.

W Bochni przenocowałem tylko, w Krakowie spędziłem dzień przyjazdu od rana i następny cały. Zrobiłem to dla Izydora Kopernickiego. Rozstaliśmy się r. 1864 w Belgradzie. On przeniósł się do Bukaresztu dla urządzenia przy organizującym się w czasie owym w uniwersytecie tamecznym wydziale medycznym muzeum anatomicznego i od momentu tego nigdzieśmy się nie zeszli. Wiązał nas stosunek iście braterski. Kochaliśmy się. Gdym w Brukseli zamieszkał, pociągnęło go nietylko widzenie zbiorów antropologicznych w Holandji, ale i odwiedzenie mnie w Belgji. Mnie przeto obowiązywało wywdzięczenie się mu odwiedzinami za odwiedziny. Poczuwając się więc do obowiązku o podkładzie sercowym, porozumiałem się z nim listownie i miałem odwiedzić go albo w Bochni, gdzie z rodziną mieszkał, albo w Krakowie, gdzie pracował. Zaszło jednak nieporozumienie jakieś, skutkiem którego w Bochni z pociągu wysiadłem i w domu przez Kopernickich zajmowanym od służącej dowiedziałem się, że „państwo z dziećmi pojechali do Krakowa“ i polecili jej, na wypadek gdybym przyjechał, wieczerzę mi dać i na noc mnie zatrzymać.

— Jutro powrócą? — zapytałem.

— Nie mówili.

Z odpowiedzi tej wywnioskowałem, że Izydorstwo na mnie w Krakowie czekają.

Posiliłem się, wyspałem i nazajutrz rano na dworzec się wyniosłem. Czekając na pociąg ze Lwowa do Krakowa, doczekałem się pociągu z Krakowa, z którego wysiadło osób kilkanaście i śród nich dama z dwiema panienkami. Gdybym się był do damy tej zbliżył i o Kopernickich zapytał, byłaby się do nazwiska tego przyznała. Przyszło mi to na myśl później, gdy ona odeszła, a pociąg lwowski nadchodził. Ominęła mnie jedyna okazja poznania rodziny Izydora.

Czekał on na mnie w Krakowie na dworcu.

— Co tobie? szeplenisz! — zaczepiłem go, gdy do mnie przemówił.

— A ty nie? — odparł.

Nie widzieliśmy się lat nie więcej jak cztery i nie liczyliśmy sobie jeszcze po lat pięćdziesiąt, a starość już nam do oczu zaglądała.

Nie przypominam sobie, jaki zbieg okoliczności sprawił, żem w dniu tym wieczór spędził nie z Kopernickim, ale z Asnykiem, z którym zeszedłem się po raz drugi w życiu: raz d. 24 grudnia r. 1863 w Heidelbergu na herbacie u pani Mieleniewskiej, drugi raz w pierwszej połowie września w Krakowie u Alfreda Szczepańskiego, na wieczorze poświęconym popisom muzycznym Żeleńskiego, zajmującego obecnie stanowisko wydatne i poważne w zakresie kompozytorstwa muzycznego. Wówczas początkował zdaje się w karjerze, był już jednak znany i ceniony, a znajdował uznanie specjalne w domu Szczepańskiego, który, jako student, mieszkający kątem w r. 1862 i sypiający w jednem łóżku z kolegą, służył gorliwie robotom brzemiennym powstaniem styczniowem. W r. 1871, ożeniony z córką jednego z przemysłowców krakowskich, zajmował apartament wspaniale umeblowany i odegrywał w gronie obywatelstwa jakąś rolę — nie wiem jaką, w razie każdym inną niż dziewięć lat temu. O roli tej ani wspomniał. Wieczór cały była mowa o muzyce, o kompozycji, o pieśni polskiej. Przy fortepianie mieniali się Żeleński i pani, smukła blondynka. Więcej już Szczepańskiego nie spotkałem. Zrobił on sobie później niezaszczytne imię, jako herold głoszący światu trójlojalizm polski.

Dzień następny cały i noc całą, po moim z Bochni powrocie bez poznania rodziny Izydora, z nim spędziłem. Dwa te fakty wyłącznie z tych dwóch dni pobytu mego w Krakowie w pamięci mi pozostały. Wszystko inne z niej znikło. Nie pamiętam zgoła: o czemeśmy mówili, gdzie chodzili, gdzie jadali i sypiali, u kogo bywali. Dwie te doby, z wyjątkiem wieczora u Szczepańskiego, niby sen, kamiennym zwany, w życiu mojem się przesunęły. Może charakteryzują one stosunek nasz wzajemny — stosunek niepodkreślony mianownikiem spólnym w zupełności. Łączyła nas wiara — wiara przyrodzona — patrjotyczna, nie łączyła wpojona, katechizmowa. Kopernicki, głęboko religijny, wierzył spólnie ze mną w Polskę i wiara ta stanowiła dla nas łącznik braterski w tym sensie, żeśmy Polsce „wiarą i prawdą“ służyli jednakowo. Nie byłoż to rzeczywiste w zakresie religijnym równouprawnienie, wyzwalające sumienie człowiecze z korzyścią dla idei Ojczyzny — idei prześladowanej w Polsce w trzech punktach: prawosławnym, protestanckim i katolickim? Wymieniam punkt prześladowania patrjotyzmu polskiego katolicki, w Austrji bowiem katolickiej Polacy za patrjotyzm polski do kategorji owiec parszywych zaliczają się, taksamo jak w Rosji i w Prusiech. Wszak wieszano ich za zbrodnię tę we Lwowie i Krakowie — i kto zaręczy, że wieszać nie będą? Niechby się tylko Wilhelmowi II knowania (piszę to w r. 1908) na drodze „bojaźni bożej“ powiodły, to i Austrjaby na tę drogę weszła.

Kopernicki w r. 1871 z trudem niemałym dokołatał się do Uniwersytetu Krakowskiego w charakterze docenta antropologji. Od katedry profesorskiej długo — długo w oddaleniu go trzymano. Zdarzyła się była dla niego okazja zajęcia w Genewie katedry profesora anatomji, gdy w akademji, na uniwersytet przeistoczonej i w fakultet medyczny zaopatrzonej, katedra ta nieobsadzoną jeszcze była. Mieszkałem wówczas w Lozannie, zawiadomiłem go o tem i podejmowałem się kołatania w tej sprawie, licząc na Karola Vogta, jednego z głównych fakultetu tego organizatorów, do którego przystęp miałem zapewniony. Kopernicki odmówił, Polski bowiem opuszczać nie chciał. Na rok czy na lat parę przed śmiercią doczekał się profesury nadzwyczajnej. Przypuszczać należy, że doszła go ona tak późno z racji bliskich ze mną stosunków. Przypuszczenie

to opieram na analogicznym fakcie pewnym i w czasie swoim głośnym, tyczącym się dra M. Zdziechowskiego.

Rzecz się tak miała: Za rektoratu Stanisława hr. Tarnowskiego dr M. Zdziechowski, po wysłużeniu w Uniwersytecie Jagiellońskim w charakterze docenta lat kilku i uzyskaniu ze strony słuchaczy i profesorów uznania, zrobił do senatu akademickiego podanie o posunięcie go o stopień jeden wyżej w nauczaniu uniwersyteckiem — o nadanie mu godności profesora. W Austrji profesorów mianuje minister oświaty na przedstawienie senatów akademickich, zwoływanych przez rektorów na posiedzenia *ad hoc*. Na zwołanem w celu tym posiedzeniu senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego profesorowie jednogłośnie godnym zaszczycenia go mianem profesora uznali, z wyjątkiem przewodniczącego, Stanisława hr. Tarnowskiego. Rektor swoje *votum separatum* tem usprawiedliwił, że do zamierzonego przez Grendyszyńskiego, wydawcę petersburskiego, dzieła p. t. *Życiorysy Polaków znakomitych* docent dr Zdziechowski podjął się napisać życiorys T. T. Jeża. Minister jednak uwzględnił w tym razie opinję zbiorową i Zdziechowskiego profesorem zamianował[1].

Na Kopernickim naganniejsza wobec lojalistycznego senatu akademickiego w Krakowie, niż zamiar pisania życiorysu Jeża, ciężyła kondemnata. Kopernicki w Kijowie z czasów uniwersyteckich jeszcze ze zbrodniarzem tym się znał, przyjaźnił, konspirował z nim razem, mieszkiwał, korespondował, był nawet jakimeś jego powinowatym: mógłże człowiek taki do profesury w Krakowie pretendować?

Kopernicki wiedział o tem zapewne i nie podawał się.

---

[1] Informację podaną w tym ustępie należy sprostować. Prawda, że księgarz Grendyszyński zapowiedział w serji *Życiorysy sławnych Polaków* biografję T. T. Jeża, pióra M. Zdziechowskiego. Ale wiadomość o konsekwencjach, jakie to miało pociągnąć w Uniwersytecie Jag., jest nieprawdziwa. Zapytany w tej sprawie sam prof. Zdziechowski odpowiedział (listem z 7 I 1937): „Informacja jest fałszywa: 1⁰ Oczywiście podania o nominację na profesora wnieść nie mogłem; kto mię przedstawił, nie pamiętam. 2⁰ Nominacja moja ma datę 13 V 1899, a zatem sprawa ta była rozpatrywana na senacie znacznie wcześniej, nie za rektoratu Tarnowskiego; Tarnowski został obrany rektorem na rok jubileuszowy 1899—1900 [czyli, że — dodajmy — wszedł do senatu dopiero od października 1899]. 3⁰ O tem, że miał podać *votum separatum*, lub choćby tylko protestować bez podania *votum separatum*, nie słyszałem. Skąd cała ta wersja powstała — nie wiem".

Przypominam sobie, żem mu kiedyś — bodaj czy nie w Brukseli — o katedrze profesorskiej wspomniał i on mi na to odrzekł:

— At! — z odpowiedniem ręką machnięciem.

Mógł był katedrę profesorską objąć w Bukareszcie, w Genewie, ale... Polski opuszczać nie chciał, że zaś, będąc ojcem rodziny, zarobkować na nią potrzebował, zarobek znalazł w Rabce, jako lekarz kąpielowy w porze letniej.

Dokładnej rozstania się z nim daty w miesiącu wrześniu nie pamiętam. Pamiętam, żem się mocno spieszył do Szwajcarji, do Lozanny, na kongres Ligi Pokoju i Wolności, wioząc na kongres ów, w zastępstwie Bosaka, referat o sprawie polskiej, w Czortkowie obrobiony. Nie zatrzymywałem się nigdzie po drodze, z wyjątkiem Zurychu dla mieszkającego w pobliżu Władysława hr. Platera, którego głośnym w sensie oszczerczym zrobił wychodzący w Warszawie w języku polskim organ rządowy, *Dziennik Warszawski*, spowodu gorliwego zajmowania się przez niego w swoim czasie liczną młodzieżą, pochodzącą z rozbitków powstania styczniowego. Obok tego znanem było dzieło jego: założenie podwalin Muzeum polskiego w Rapperswylu, miasteczku w kantonie St Gallen, nad jeziorem Zuryskiem. Było to spełnieniem rojeń moich. Fundatorowi przeto tej potrzebnej i pożytecznej instytucji cześć chcąc złożyć, wziąłem fiakra, który zawiózł mnie do nabytego przez Platera i nazwanego przezeń Broelberg zamku, oddalonego od Zurychu o kilometrów 25 mniejwięcej. Wycieczka ta nie powiodła mi się. Odźwierny zaniósł kartę moją hrabiemu i powrócił z oznajmieniem, że hrabia zajęty nie przyjmuje. Wróciłem do Zurychu niby zmyty i byłbym się na noc w dalszą puścił drogę, gdyby w czasie owym koleje w Szwajcarji nocami chodziły. Musiałem nocować.

Podróż do Lozanny odbyłem ciągiem jednym wesoło. Rozweseliły mnie towarzyszki, Moskiewki, jedna stara, niemówiąca inaczej tylko po rosyjsku, druga młoda, znająca język francuski i wioząca ze sobą syna, chłopaka wyglądającego na lat 7—8. Wniosły one do wagonu poduszki, koszyki i węzełki. Rad tym towarzyszkom byłem, dawno bowiem Moskiewek nie widziałem. Rad im byłem, ale zdaleka. Sympatja nie ciągnęła mnie do cór narodu, służącego carom do gnębienia ojczyzny mojej. Panie te mówiły ze sobą po rosyjsku i przypominały mi

pamiętny w życiu mojem moment, gdym po raz pierwszy usłyszał kobietę mówiącą po rosyjsku. Miałem wówczas lat 14 i posądzony o zbrodnię stanu, jako uczeń klasy trzeciej w gimnazjum niemirowskiem, znajdowałem się wobec przysłanej do zbadania tej sprawy z Kijowa komisji śledczej. Mowa rosyjska w ustach kobiecych zdumiła mnie była. Później, ani w Odesie, ani w Kijowie, ani nigdzie w Krajach Zabranych nie stykałem się z Moskiewkami. Z ciekawością przeto przysłuchiwałem się typowemu pań tych szczebiotaniu, aż dosłuchałem się z ich strony ochoty zaczepienia mnie. Starsza rzekła do młodszej:

— Przemów do niego po francusku.

Młodsza odpowiedziała:

— Czort wie, czy on zrozumie.

Usłyszawszy to, odsunąłem się i odwróciłem w sposób rozmowę ze mną uniemożliwiający, pomimo że w kompartymencie wagonowym było nas, dziecka nie licząc, troje tylko. Na szczęście dla mnie pociąg się przy jednej ze stacyj zatrzymał i liczbę tę powiększył o jedną osobę pasażer nowy, człowiek przystojny, młody, odziany czysto i przyzwoicie, który, wchodząc i mimo kolan tych pań się przesuwając, przemówił:

— *Excusez, mesdames*!

Wyrazy te na młodszej z nich wywarły wrażenie znalezienia rzeczy szukanej.

Po ruszeniu pociągu wszedł konduktor rewidujący bilety jazdy. Panie te pokazały dwa. Konduktor zapytał o trzeci. Wynikło stąd nieporozumienie pomiędzy panią młodszą, nierozumiejącą po niemiecku, a konduktorem, nierozumiejącym po francusku i domagającym się biletu od chłopca. Z interwencją pospieszył nowy przybysz, tłumacząc Moskiewce pretensję konduktora.

Oburzyło to ją.

— Jakto! — krzyknęła. — Tyle świata przejechałam, nie płacąc za to dziecko.

Zaperzyła się i upierała, że nie zapłaci. Dzięki interwencji grzecznego pasażera, który za tłumacza służył, sprzeczka w ten rozstrzygnęła się sposób, że Moskiewka należną połowę ceny za bilet dla chłopca zapłaciła, postanowiwszy po przyjeździe do Montreux, dokąd jechała, zanieść skargę do władzy wyższej.

Po pewnym czasie nastąpił spokój i pomiędzy damą

a grzecznym pasażerem zawiązała się rozmowa, którą ta pani rozpoczęła zapytaniem:

— Kiedyż nareszcie do Szwajcarji dojedziemy?

— Myśmy w Szwajcarji — była odpowiedź.

— Czyż to być może! — zawołała.

— W Szwajcarji — powtórzył.

— Ależ nigdzieśmy granicy szwajcarskiej nie przejechały!

— Skąd panie jadą?

— Z Rosji, z Tuły.

— Więc panie przejechały przez Austrję, przez Bawarję...

— Tak, tak. Zatrzymywałyśmy się w Warszawie, we Wiedniu, w Monachjum i z Monachjum już wprost do Szwajcarji, aleśmy nigdzie nie przejechały granicy szwajcarskiej.

Zaciekawiła mnie i zabawiła rozmowa ta mocno.

— Granicę panie przebyły w Lindau — tłumaczył pasażer.

— W Lindau?

— Statkiem panie przepłynęły przez jezioro Bodeńskie.

— A tak — przepływałyśmy przez jezioro.

— I na brzegu przeciwnym w Szwajcarji wysiadły.

— W Szwajcarji? — odezwała się ze zdziwieniem.

— Tak.

— Ależ nas na żadnym brzegu nikt o paszporty nie pytał.

— W Szwajcarji o paszporty nie pytają.

— Do kogoż ona należy?

Pytania tego Szwajcar nie zrozumiał i do niezrozumienia się przyznał.

Moskiewka mu wytłumaczyła:

— Rosja należy do imperatora i Austrja do imperatora, Bawarja do króla, do kogoż należy Szwajcarja?

— Do samej siebie, pani. Szwajcarja nie ma nad sobą ani imperatora, ani króla, ani księcia nawet, jest bowiem respubliką.

— A!.. — podchwyciła Moskiewka. — To ja rozumiem, skąd w niej nieporządki takie...

Strawić zapewne nie mogła „nieporządku“, jakim w mniemaniu jej było upomnienie się konduktora o bilet dla jej syna. Odgrażała się, że ona mu tego nie wybaczy.

W ciągu dalszym rozmów jej z podróżnymi, zmieniającymi się i od Olten w ilości większej, od Berna zaś wyłącznie prawie, po francusku mówiącymi, dowiedziałem się, że była dyrektorką

pensji panieńskiej w Tule i miała zamiar pensję podobną założyć w Montreux. Ależ mnie ubawiła. Dzięki jej w dobrym do Lozanny przyjechałem humorze.

Zaznaczam, że z pewnością nie podaję nazwy miasta, w którem taka uczona niewiasta przewodniczyła szkole panieńskiej. Może to była nie Tuła ale Kaługa, nie Kaługa, ale Wołogda?

Zaznaczam również, że data podróży mojej z paniami temi zbiega się z momentem, w którym się rozpoczęły tłumne moskiewskiej płci obojej młodzieży emigracje o charakterze polityczno-społeczno-naukowo-niejasnym. Zasłynął był założony przez nią w Zurychu falanster, który spowodował moralnością nabrzmiałe płci niewieściej Aleksandra II upomnienie, przez prasę humorystyczną w Europie wyszydzone. Publikacje te nastąpiły w lat parę później i wywołały ze strony władz szkolnych w Szwajcarji rozporządzenie nieprzyjmowania do szkół wyższych Rosjanek bez świadectw moralności.

Z towarzyszkami podróży rozstałem się w Lozannie. One pojechały do Montreux, ja zostałem.

Zapomniałem, pisząc o kilkudniowym pobycie moim we Lwowie, wspomnieć o zaznajomieniu się z niejakim Bronisławem Wołowskim, typową wszechwiedzącego i bicze z piasku kręcić umiejącego agitatora politycznego postacią. Wymowny, aż do zuchwalstwa śmiały, siebie naprzód wypychający, zaszedł mi drogę razy parę, zanimeśmy się wzajemnie na sobie poznali. We Lwowie go zastałem w przyjaźni i zażyłości z Mieczysławem Darowskim. Wiedział, że zarząd Ligi Pokoju i Wolności mnie do Komitetu Centralnego w zastępstwie Bosaka-Haukego powołał. Wiedział, że na kongresie w Lozannie będę w sprawie polskiej referował. Wiedział (skąd i jak?) o wszystkiem, co się Ligi Pokoju i Wolności, i mnie w odniesieniu do niej tyczyło. Rachował na nią i ją dla siebie wyzyskać zamierzał. Poznałem się na tem, ale później, tymczasem zaś jego do Darowskiego, człowieka zacności murowanej, stosunek z jaknajlepszej mi go przedstawił strony.

W Lozannie miałem jedną jedyną znajomość. Była nią generałowa Paszkowska, z domu Gałecka, ciotka żony mojej, a małżonka kuzyna mego. Znajomość z nią moja datowała z r. 1846, kiedy była młodą, piękną, tłumem oficerów (Polaków)

otaczaną pułkownikową (od huzarów) rosyjską. Od czasu onego nie spotykałem się z nią. Wiedząc atoli, że w Lozannie przemieszkuje, poczuwałem się do obowiązku odwiedzenia jej. Liczyłem na to, że odwiedziny te ułatwią mi zetknięcie się z Ligą, której adresu nie znałem. Rachunek ten atoli okazał się zbytecznym. Wysiadającego mnie z pociągu powitał Bron. Wołowski.

— Pan tu? — odezwałem się zdziwiony.

— Czekałem na pułkownika — odrzekł.

Przydał mi się ogromnie w funkcji cicerone w nieznajomem mieście i śród nieznajomych ludzi. Z członków Komitetu Centralnego i Ligi nie znałem nikogo. B. Wołowski mnie informował i wskazówki mi dawał, zaczynając od hotelu. Liga zajęła hotel obok dworca kolejowego i w nim miejsca nie było, ulokowałem się więc w innym.

Przyjechałem w porę, d. 24 września. Kongres otwierał się nazajutrz, miałem więc przed sobą czasu dość do pozabierania znajomości i rozpatrzenia się w mieście. Dzięki pomocy Wołowskiego poszło mi to z łatwością. W dniu przyjazdu mego, wieczorem, przedstawiłem się prezesowi Ligi Pokoju i Wolności, Karolowi Lemonnier, który przyjął mnie uprzejmie i ujął prostotą serdeczną. Znalazłem w nim człowieka bez cienia pozy, co później, gdy go bliżej poznałem ze strony rozumowej, wartość jego w oczach moich ogromnie podniosło. Francuz duszą całą i sercem całem, od spółziomków swoich tem się różnił, że w przekonaniu jego Francja nie zajmowała w ludzkości stanowiska uprzywilejowanego. Wraz z nim poznałem p. Eytel, radcę stanu kantonu Vaud, mającego przewodniczyć na kongresie, pana i panią Goegg (on Niemiec, emigrant polityczny, ona Szwajcarka), p. Simona de Treves Niemca, p. Hodgson Pratt Anglika, prof. Raoux pedagoga, spirytystę i wegetarjanina, i innych. Mówiono o licznym zjeździe emigrantów francuskich, socjalistów zwanych „komunardami“, spowodu że byli jedni członkami, drudzy urzędnikami lub wyznawcami komuny, rozpędzonej po wzięciu Paryża przez wojska francuskie. Chronili się oni przed sądami w Anglji, Belgji i Szwajcarji. Ciągnęły ich ku sobie szczególnie kantony francuskie. Kongres Pokoju w Lozannie wabił ich zwłaszcza, dawał im bowiem sposobność bronienia przed opinją publiczną świata cywilizowanego sprawy

swojej i oskarżania przeciwników. Niepokoiło to zarząd Ligi, przewidujący trudności w prowadzeniu obrad. Liczono na sprawę polską, na to, że otaczająca ją sympatja posłuży do zażegnywania spraw przez komunardów wytaczanych.

— Gotuj się na odpieranie pretensyj bez liku — ostrzegł ktoś Eytela.

— Pomoże mi kolega nowy — odparł tenże, na mnie oczami wskazując.

— *A propos* — odezwał się Lemonnier, do mnie mowę zwracając. — Będziesz miał w kwestji polskiej współzawodnika, raczej współzawodniczkę wymowną. Uprzedzam.

— Kogo? — ktoś zapytał.

— Paulinę Menk.

— O! Wyemigrowała?

— Wyemigrowała.

— Czy jej co groziło?

— Nie mówiła o tem — odrzekł Rollanday, sekretarz Komitetu Centralnego Ligi. — Zgłosiła konferencję w sprawie polskiej.

Zainteresowało mnie to. O adres spółzawodniczki mojej Rollandaya poprosiłem. Gdy Rollanday po adres wyszedł, zagadano o niej. Dowiedziałem się, że ma język *bien pendue*, i że jest Polką i zamężną.

— Za Francuzem — rzekłem.

— Nie. Za Polakiem — odpowiedziano mi.

Menk? Polak? Nie wydało mi się to, ale przypuściłem przekręcenie brzmiącego inaczej nazwiska polskiego i nie dopytywałem się. A może to Francuz spolaczony, a może o przekręconem nazwisku Anglik, Monk, potomek tego Monka, co odbudował zburzony przez Kromwela tron w Anglji? Czyniłem przypuszczenia w materji nieobchodzącej mnie wcale. Obchodziła mnie jednak spółrodaczka: co też ona i jak powie? Przemówiła do mnie próżność narodowa. Zapragnąłem, ażeby Francuzom, Szwajcarom i przedstawicielom narodów innych zaimponowała nietylko słowem, ale i urodą.

Wiedząc, że socjalistka, wyobrażałem ją sobie młodą, nie przypuszczałem bowiem, ażeby kobieta niemłoda wziąść się miała na plewy socjalistyczne.

Jakżem się nazajutrz, o jedenastej rano, srodze zawiódł!

Starą ona mi się nie wydała, ale co się urody tyczy — oh! We względzie tym mocno ją natura pokrzywdziła, nadając obliczu jej i postaci całej wyraz niemiły. W całości tej wyjątek stanowił głos. Powitałem ją po polsku. Odpowiedziała mi po francusku:

— Niestety, ku wielkiemu żalowi memu nieznaną mi jest ojców moich mowa. Dużośmy o was, obywatelu, z Rollandayem mówili. Zachodziła obawa, że nie przyjedziesz. Przyjeżdżasz z Brukseli? — zapytała.

— Tak, ale nie wprost. Jechałem dużem kołem: na Berlin, Poznań, Kraków, Lwów, Wiedeń — odpowiedziałem.

— Czemuż to?

— Ażeby na kongres, na którym się o sprawie polskiej będzie mówiło, trochę Polski w duszy przywieźć.

— W Polscem nigdy nie była, ale duszę mam polską z ojca i z męża.

— Mąż twój, obywatel Menk, jest z tobą, obywatelko? — podchwyciłem dla wyzwania jej na obznajomienie mnie z jej stosunkami rodzinnemi.

— Nie. Mąż mój, znany ci zapewne, obywatelu, jeden z bohaterów powstania, Bohdanowicz, przebywa obecnie w Konstantynopolu, nazwisko zaś Menk jest skróconem ojca mego, Mękarski, nazwiskiem.

W rozmowie zaimki, brzmiące w języku polskim „ty“, „twój“, po francusku brzmiały: *vous*, *votre*. W dalszym onej ciągu potrąciłem o treść jej mowy, o co mi chodziło, ażeby jej mowa i mój referat nie były dwoma grzybami w barszczu. We względzie tym zaspokoiła mnie w zupełności, oznajmiając mi, że „konferencja“ (jak mowę swoją nazywała) jej rozwinie się na podłożu sentymentalnem, okraszonem imionami: Sobieski, Kościuszko, Mickiewicz, spojonemi klejem socjalistycznym. Umówiliśmy się o porządek. Po odczytaniu referatu przeze mnie, ona mowę wygłosi z pamięci. Rozstaliśmy się w komitywie jaknajlepszej.

Od niej poszedłem wprost do ciotki żony mojej, p. Paszkowskiej, mieszkającej w t. zw. pensji *(pension d' etrangers)* panny Pauliny Caille, pełniącej niegdyś na Ukrainie, przy synowicy generałowej, Helence Gałeckiej, funkcje bony. Helenka w szkole panieńskiej, pozostającej pod dyrekcją pastora Vulliet,

nauki pobierała, a rodzice jej (matka z domu Peretiatkiewiczówna) u panny Caille mieszkali. Tamże mieszkała generałowa Paszkowska, rodzona siostra Gałeckiego, który pod dowództwem jej męża stopnia porucznika się dosłużył. Wszystkich ich ze mną i z żoną moją rozmaite stopnie pokrewieństwa wiązały. Wiedziałem jednak o obecności generałowej tylko. Do niej się zgłosiłem przeto i ona mnie uprzejmie przyjęła, na herbatę na wieczór prosiła, ale obecność Gałeckich w tajemnicy przede mną zachowała.

Przy herbacie asystował młody ksiądz Jasiewicz czy Jaśkiewicz. Z generałową, żony mojej matką chrzestną, z którą nie widziałem się od lat 25, mówiłem o Wróblewskich, Potockich, o stosunkach wołyńskich, przypominaliśmy sobie dawne czasy. Ksiądz mnie po herbacie do hotelu odprowadził i o „zjeździe socjalistów“ mówić zaczął, z naciskiem na wyraz ostatni, jakby się sami tylko socjaliści zjechali. Zrobiłem mu uwagę, że tak — zdaje się — nie jest.

— O tak — odparł. — Jedni się do socjalizmu przyznają otwarcie, drudzy nie, i ci są gorsi. Na szczęście, między nimi Polaków niema.

— Czyż niema? — rzekłem.

— Na szczęście, ani jednego.

— A ja? — zapytałem. — Jam Polak przecie i nie socjalista.

— Czyż pułkownik na zjazd przyjechał?

— Na zjazd i z referatem o sprawie polskiej w zastępstwie Bosaka w Lidze Pokoju i Wolności, która nie jest socjalistyczna.

— Nie wiedziałem o tem — rzekł ksiądz.

Na tem się rozmowa nasza urwała.

Do generałowej chodziłem jeszcze z pożegnaniem i z oznajmieniem, że mam zamiar z rodziną w Lozannie zamieszkać. Powiedziała mi na to, że będzie jej to miło, ale tonem, z którego chłodem wiało.

Kongres zabrał czasu dni cztery. Obrady odbywały się w sali obszernej, w budynku znajdującym się nieopodal od kościoła ś. Franciszka, przeznaczonym na zgromadzenia publiczne i na popisy koncertowe i teatralne. Teatru Lozanna nie posiadała jeszcze. Osobliwością sali była galerja, osłaniająca ją zgóry do połowy. Liga zgromadzała się przedpołudniem i po-

południu. Obrady otworzył prezes Komitetu Centralnego Karol Lemonnier przemową, w której po krótkim historycznym na Ligę Pokoju i Wolności poglądzie skreślił rację jej bytu ze względu na potrzebę sprostowania dróg, jakiemi kroczy polityka państwowa, zapominająca o wymogach etycznych, bez których człowieczeństwo taksamo jak bez chleba obywać się nie może. Kwestja moralności i kwestja chlebowa równoważą się. Są one dla człowieczeństwa tem, czem dla ptaka dwa skrzydła: jedno prawe, drugie lewe, jednakowe a różne, jednako potrzebne do górnych lotów i do poziomego poszukiwania jadła. Jak niesamym tylko, wedle wyrażenia ewangelicznego, chlebem, tak nie samem tylko słowem człowiek żyje. Chleb słowem, ojczyzną, ideą zaprawny, idea, ojczyzna, słowo w chleb zaopatrzone, jedno z drugiem wolnością, sprawiedliwością sprzężone: oto czem ludzkość stać winna — z tem do Was, obywatele i obywatelki, Liga Pokoju i Wolności przychodzi.

Przemówienie to prezesa Ligi stosowało się do rodzaju słuchaczy, złożonych w części znacznej ze zbiegów z Francji, zaprowadzającej u siebie porządek, przez komunę paryską nadwerężony. Zbiegowie ci zeszli się nie dla biernego słuchania rozpraw, lecz dla wzięcia w nich udziału czynnego w kwestji warunkujących pokój zasad, w których obronie oni krew leli. Nie można było odmówić im prawa zabierania głosu na kongresie, zwołanym dla sprawy pokoju i mającym na porządku dziennym sprawę polską. Prezes w przemowie zaznaczył ją. Zaznaczenie to wywołało oklask ogólny; na wymówienie zaś nazwiska „Bosak-Hauke“ zgromadzenie wstało i stojąco wysłuchało wyrzeczonych głosem wzruszonym słów o życiu tego założyciela Ligi Pokoju i Wolności, który w obronie Francji śmierć poniósł.

Przemowę, wygłoszoną z wybitnym akcentem krasomówczym przez człowieka o wyglądzie sympatycznym, świadczącym dźwiganie szóstego już krzyżyka na grzbiecie, zakończył prezes Ligi przedstawieniem publiczności obywatela Eytela, wybranego przez Komitet Centralny na przewodniczenie kongresowi. Zgromadzenie, w części większej z Lozańczyków spółobywateli jego złożone, nominację tę gromkim powitało oklaskiem. Po zajęciu przez nominata krzesła prezydjalnego pani Marja Goegg protokół z poprzedniego Ligi kongresu odczytała; po niej sekretarz, ob. Rollanday, ogłosił porządek dzienny.

Ponieważ porządek dzienny nie uwzględniał obecności emigracji francuskiej, spowodowanej pokonaniem komuny paryskiej przez wojska wersalskie, tak nazwane dlatego, że rząd, który pokój z Niemcami zawarł, w Wersalu tymczasowo rezydował, ze strony jej przeto nastąpiły dosadnie wypowiadane reklamacje, domagające się sprostowania porządku dziennego. Reklamacje te już dlatego, że się one bardziej niż pośrednio do kwestyj pokojowych odnosiły, na uwzględnienie zasługiwały. Obowiązek uwzględnienia onych ta jeszcze potęgowała okoliczność, że Liga, posiadająca podłoże zasadnicze, zbudowane wedle skazówek teoretycznych St. Pierre'ów, Kantów i in., nie posiadała szczegółowego programu realnego. Znajdował się on w robocie, na warsztacie — że się tak wyrażę; z reklamacyj zaś uwzględnionych wywiązywały się wnioski, domagające się rozpatrzenia natarczywie i nagląco.

Na porządku dziennym na pierwszem miejscu znajdowała się sprawa polska. Francuzi domagali się załatwienia sprawy komuny przedewszystkiem. Ustąpienie im pierwszeństwa zależało najprzód ode mnie, następnie — gdybym się upierał — od Ligi, powołanej przez przewodniczącego obradom do głosowania. Nie upierałem się jednak, chodziło mi bowiem o oznajomienie się, raz z rodzajem obrad, do czego nie posiadałem wprawy, powtóre z miastem, w którem z rodziną osiedlić się zamierzyłem. Do głosowania przeto nie dopuściłem i na popołudniowem w dniu pierwszym posiedzeniu, oraz na rannem i popołudniowem w dniu drugim udział mój w kongresie stał się biernym. Przysłuchiwałem się i przypatrywałem — i nic z mów wygłaszanych, wniosków stawianych i dyskusyj wywoływanych przez komunardów i socjalistów francuskich, i nic — po upływie lat trzydziestu siedmiu — nic z tego w pamięci mi nie pozostało. Nie zafrapowała mnie postać żadna. Z osobistości wybitniejszych nie było zdaje się nikogo. Interesowała mnie jedna pani Menk z tej racji, że wraz ze mną w sprawie polskiej wystąpić miała. Zabierała ona głos razy parę, zdradzając zdolność władania frazesem, nadającym się bardziej na okrasę, niżeli na dowód w kwestjach o charakterze obrończym. Dla niepoprzedzenia przeto okrasą dowodów zgłosiłem się wcześnie do prezydenta kongresu, zamawiając dla referatu mego pierwszeństwo, gdy na porządku dziennym kolej na sprawę polską

nadejdzie. Dobrzem zrobił, żem się pospieszył, uprzedziłem bowiem panią Menk, która w tym samym dniu o pierwszeństwo dla siebie kołatała. Zanotować przy okazji tej winienem takt, z jakim p. Eytel prowadził obrady w zgromadzeniu, objawiającem skłonności burzliwe. Eytel silną ręką, bez ubliżania komukolwiek, umiał je utrzymywać w karbach. W ciągu całym zjazdu nic porządku nie zamąciło z wyjątkiem wypadeczku, zaszłego w czasie czytania przeze mnie referatu.

Gdy na mnie kolej przyszła i czekałem na wywołanie do trybuny nazwiska mego, ujrzałem — ku niemałemu zdziwieniu memu — panią Menk na trybunie. Wzięła ją szturmem. Co miałem począć? Poskoczyć i panią Menk zepchnąć? Razy parę zdarzyło się po dwóch na mownicy mowców i przewodniczący ich do porządku przywoływał. Ze mną do spółzawodnictwa stanęła kobieta. Pomieszało mi to szyki. Zrezygnowany nie ruszyłem się z miejsca i sposobiąc się do słuchania pani Menk, usłyszałem p. Eytela:

— Pani! nie twoja kolej.

— Panie prezesie... — zaczęła uzurpatorka.

— Racz pani panu Miłkowskiemu miejsce ustąpić.

— Ależ, panie...

— Porządek przedewszystkiem.

— Ależ...

— Panie Miłkowski! — zagrzmiał Eytel. — Pańska kolej, masz głos, proszę pana.

Żal mi się kobiety zrobiło. Niby zmyta zeszła. Idąc ku trybunie, skrzyżowaliśmy się i w milczeniu ze sobą zamieniliśmy uścisk dłoni, który ze strony mojej był serdeczny, ale i ze strony jej pretensja do mnie w uścisku czuć się nie dała. Usposobiło mnie to dobrze, tem bardziej że publiczność powitała wnijście moje oklaskiem, na rachunek nie mój, rzecz prosta (nikt mnie nie znał), ale Polski. Czytanie poszło mi gładko i szło i byłoby się toczyło do końca, gdyby nie zaszedł wypadeczek, który je na chwilkę przerwał. Przy czytaniu ustępu, odnoszącego się do krzywd Polski ze strony Rosji, wgłębi sali odezwało się silne przeciągłe gwizdnięcie. Usłyszawszy je, zatrzymałem się, oczy w stronę, z której wyszło, zwróciłem i ujrzałem człowieka niesionego nawznak na rękach ludzkich ku drzwiom, wymachującego rękami i nogami. Na to wszyscy powstali, od-

wrócili się i rozweseleni posiadali, gdy człowiek niesiony, pożegnany oklaskiem publiczności, za drzwiami zniknął. Kim on był? Domyślano się w nim Moskala. Polityczno-społeczna emigracja moskiewska poczynała się już zagranicą pojawiać.

Na *intermezzo* tem odczyt mój wyszedł dobrze, a lepiej jeszcze wyszła mowa pani Menk, którą natchnęło ono do wygłoszenia kilku frenetycznie oklaskanych frazesów.

Ani jej, ani mnie na oklaskach nie zbrakło, ona atoli — o ile przypominam sobie — obfitszy z nich miała plon.

Mój referat i pani Menk mowa zajęły przedpołudnie całe. Dyskusję odłożono na popołudnie. Nie zabrała ona czasu dużo, sprawa bowiem polska oponentów w Europie nie wywoływała jeszcze, pomimo że rząd rosyjski starań i kosztów nie szczędził na oczernianie onej. W materji tej głos zabrało osób kilka, między niemi emigrant niemiecki, znakomity przyrodnik, Karol Vogt, który opowiedział o zachwycie, z jakim ludność niemiecka pozdrawiała wychodźców polskich, bojowników o wolność ojczyzny, podążających do Francji po r. 1831. Był on wówczas studentem w Giessen.

Dyskusja popołudniowa toczyła się około rezolucji, zaproponowanej, jeżeli się nie mylę, przez Karola Lemonnier. Głosiła ona, że „niepodległość Polski jest warunkiem pokoju w Europie“. Uchwalono ją jednogłośnie.

Z obrad, tyczących się zasadniczych Ligi Pokoju i Wolności zadań, ujętych w formy programowe, zaznaczę we trzy lata później ogłoszone punkty p. t. „Zasady“. Wynotowuję je w streszczeniu:

1-o Europejska, wzorowana na północnoamerykańskiej i szwajcarskiej, federacja republikańska.

2-o Zastąpienie armij stałych przez milicje narodowe.

3-o Zaprowadzenie kodeksu i trybunału międzynarodowego, sądy polubowne.

4-o Odłączenie Kościoła od szkoły i państwa.

5-o Reforma społeczna, przysposobiona przez nauczanie świeckie i bezpłatne, obowiązkowe w szkołach początkowych.

6-o Równość praw dla płci obojej.

7-o Ograniczenie prawa karnego prawem obrony i zniesienie kary śmierci.

Później dewizę: *Si vis pacem para libertatem* uzupełniono dodatkiem: *et justitiam.*

Jeszcze później punkty zasadnicze rozszerzono do trzynastu zapomocą dołączenia poszczególnień do siedmiu pierwszych, — poszczególnień, które je uwyraźniały i Ligę Pokoju i Wolności tem śród innych lig i stowarzyszeń pokojowych wyróżniały, że stanowiły warunki, usuwające przyczyny wojen, chełznające przemoc państwową, zaprowadzające sprawiedliwość międzynarodową, umoralniające politykę. Chodziło jej o pokój rzetelny, nie o „pokój bądźcobądź“ *(quand-même),* pozostający na łasce i niełasce mocarstw, a raczej mocarzy w rodzaju tej, w dziejach pamiętnej, trójcy zacnej (Fryderyk Wielki, Katarzyna Wielka i Marja Teresa), co pierwszy rozbiór Polski zawyrokowała. Taką była Liga Pokoju i Wolności w r. 1871 i taką pozostawała, póki Karol Lemonnier żył.

Kongresy jej odbywały się rok po roku, najczęściej w Szwajcarji, w jesieni, w dniu szwajcarskiego postu narodowego, ustanowionego przed wiekami celem ubłagania Boga o pomyślność dla ojczyzny różnonarodowej, różnojęzycznej, różnoreligijnej, wzorowo urządzonej i gorąco przez Szwajcarów ukochanej. Zwykle zamykały się bankietem.

Bankiet też w sali, w której się teatralne przedstawienia i koncertowe popisy odbywały, zgromadził po zamknięciu kongresu r. 1871 członków i sympatyków Ligi płci obojej w ilości głów kilkuset. Składał się on z dwóch działów popisowych: kulinarnego i krasomówczego. O pierwszym nic powiedzieć nie umiem, nie obdarzyła mnie bowiem natura w zakresie odżywianiowym ani smakiem wykwintnym, ani popędem do pożerania. Z drugiego zaczerpnąłem obficie posiłku dla duszy, udzielonego mi w przemowach toastowych przez ludzi zacnych i rozumnych: przewodnika kongresu i prezesa Ligi. Mówili oni o Polsce i o jej w stosunkach międzynarodowych znaczeniu leczniczem, czyniącem niepodległość jej taką potrzebą ludzkościową, jaką jest dla organizmu schorowanego przywrócenie działalności członka sparaliżowanego. Dokonana na niej zbrodnia smutna tem jest smutniejszą, że szerzy zarazę mocarstwową, wywołując w tej sferze solidarność zaborczą. Nie czemu innemu tylko rozbiorom Polski zawdzięcza ludzkość święte przymierze, które przez lat piętnaście na Europie ciężyło i czuć się jej dotkliwie

jeszcze dało w świeżo zakończonej wojnie. Francja bolesną, a zasłużoną otrzymała naukę, oby z niej skorzystała!

Zwycięskie Prusy mogły Francji pokonanej i armjami niemieckiemi zalanej formę rządu narzucić. Nie uczyniły tego, zdaniem Bismarcka bowiem forma rządu republikańska podziała na nią w sposób rozkładający. Liczył on na to. Republikanie francuscy liczyli na co innego. Nadzieje ich zwracały się ku pobratymstwu łacińskiemu. Liczyli przeto na federację ludów szczepu romańskiego: na zjednoczenie się republikańskie Francji, Hiszpanji, Włoch, Portugalji, Belgji, Szwajcarji — na przyłączenie się do federacji tej państw drugo- i trzeciorzędnych: Danji, Szwecji i Norwegji, Rumunji, zagrożonych w bytowaniu swojem przez potwory państwowe tego pokroju co Rosja i obarczone triumfalnemi na polu zapasów wojennych wieńcami Prusy.

W r. 1871 Francuzi przymierza z Rosją nie przypuszczali jeszcze. Anglja w czasie wojny sympatyzowała z nimi; po wojnie atoli, wobec niewyklarowanych stosunków politycznych, przybrała postawę *splendid isolation*. Wobec tego sprawa polska nietylko nie zawadzała, ale w najdalej idących demokratycznych rachubach francuskich poczestne zajmowała miejsce, — miejsce spółpracownicze w dziele wyzwolenia ludzkośc ze wszelakich samowładczych czy konstytucyjnych powijaków monarszych. Nikomu się nie śniło, ażeby samowładca, w pancerz prawosławny zakuty, respublice, zbrodnią morderstwa króla obarczonej i bezwyznaniowej, na sprzymierzeńca za pieniądze kupić się dał. Dlatego i w czasie obrad kongresowych i na bankiecie w toastach Francuzi, socjaliści nawet, sprawę polską uznawali i niepodległość Polski oklaskiwali.

Słowem, kongres Ligi Pokoju i Wolności Polaka, demokratę i republikanina z przekonania, a patrjotę z urodzenia i z tradycji, zadowalniał w zupełności. Zadowolenie potęgowało to na kongresie nabyte przekonanie, że sprawa polska ściśle się ze sprawą pokoju łączy i przez to staje się międzynarodową, wszechludzkościową. Powinniśmy to zrozumieć, tem się zająć i w kierunku tym pracować. Dla nas Polska, jak dla Anglików Anglja, jest *over all and for ever*.

Opuszczałem Lozannę pod jaknajmilszem wrażeniem i z postanowieniem zamieszkania w niej dla uczynienia zadość zobo-

wiązaniu otworzenia zakładu edukacyjnego dla młodzieży polskiej, wymożonemu na mnie przez Juljusza.

W ciągu owoczesnego w stolicy kantonu Vaud pobytu spotkał mnie wypadek zabawny, świadczący o niedogodnościach poliglotyzmu. Mówiłem naonczas kilkoma narodów ucywilizowanych i nieucywilizowanych językami. Mieszkając w hotelu Pod sokołem, jadałem przy spólnym stole *(table d'hôte)*. Raz siedziałem w sąsiedztwie z jednej strony Moskali, męża i żony, z drugiej Rumunów, męża i żony. Małżeństwo jedno i drugie kłóciło się w mowach macierzystych, w sposób nieczyniący słuchaczowi przyjemności, tak dalece, że mnie to do upomnienia tych dwóch par zniewoliło, jednej po rosyjsku: „panimaju", drugiej po rumuńsku „ęceleg". Zamilkły, oczy w talerze powlepiały — nie podziękowały mi, ani mnie przeprosiły.

Przestroga dla Polaków, mających zwyczaj po polsku zagranicą mówić głośno. Język polski, nie będac międzynarodowym, nie jest absolutnie nieznanym. Po polsku mówić można i należy, w materjach atoli niekompromitujących ze względu na treść. Nakazanem to jest nam zwłaszcza, Polakom, znajdującym się we władzy wrogów, dybiących na nasze czyny i myśli w kraju i zagranicą, utrzymujących nas ustawicznie w stanie wojennym, w którym ściany mają uszy, nie dopieroż ludzie nieznani, spotykani na kolejach, po hotelach, kawiarniach, na miejscu każdem. Śród nich mrowią się uszy płatne. Najserdeczniejsze nasze, Prusy i Rosja, szpiegami kulę ziemską zasiewają. Szpiegów użyteczność międzypaństwową wykazała dosadnie w czasach ostatnich Japonja, gdy się do wojny z Rosją sposobiła. Wobec tego nam zwłaszcza, — nam, o wyzwoleniu ojczyzny nie myśleć i nie mówić niemogącym, język za zębami trzymać należy. Ze szpiegami pruskimi i moskiewskimi zetknąłem się w Genewie. O tem potem jednak; porządek chronologiczny nakazuje mi trzymanie się kolei zdarzeń, towarzyszących wycieczce mojej z Brukseli do kraju i do Szwajcarji.

Do Szwajcarji udałem się w celu podwójnym: edukacyjnym i politycznym. Polityczny tyczył się kongresu, z którego w skróceniu możliwie dokładną powyżej sprawę zdałem. Edukacyjny odnosił się do warunków, umożliwiających otworzenie zakładu szkolnego dla młodzieży polskiej w Szwajcarji.

W Szwajcarji miałem do wyboru: dwa kraje i trzy mia-

sta: Szwajcarję niemiecką i w niej Zurych, lub Szwajcarję francuską, a w niej Lozannę albo Neuchâtel. Ta ostatnia i do mnie i do żony mojej lepiej przemawiała, więcej wiedzieliśmy o niej. W Genewie niejeden z Polaków wybitniejszych nauki pobierał, kształcił się Krasiński, przemieszkiwał Słowacki; w Lozannie wykładał Mickiewicz. Miasta te miały dla nas coś swojskiego. Lozanna, cztery razy dziennie zapełniająca się dziatwą szkolną, cała pozór szkoły przybierała, — szkoły, pozostającej pod wspólnym obywateli dozorem. Zalecało mi ją to. Przytem informowałem się najprzód u Eytela i ten zaznajomił mnie z p. Raoux, b. profesorem filozofji w Akademji Lozańskiej, z jednym z profesorów politechniki i z inspektorem szkolnym. Ci udzielili mi szczegółowych wiadomości o szkołach miejscowych, rządowych i prywatnych, o systemie nauczania i o warunkach życiowych. Zaopatrzony w informacje takiej wartości, powziąłem postanowienie przeniesienia penatów moich z Belgji do Szwajcarji, z Brukseli do Lozanny.

Nicby mnie już w Szwajcarji nie zatrzymywało, gdybym był Sydorowi Rawskiemu w Czortkowie nie obiecał odwiedzić osieroconą po matce i przygarniętą przez jej siostry córeczkę jego w Genewie. Zmusiło mnie to z prostej do Brukseli drogi zboczyć. Powiedziałem o tem państwu Goegg, z którymi się koleżeństwem w Lidze związałem, i ci zaprosili mnie do siebie w Genewie na wieczór.

Wieczór ów dobrze i pożytecznie spędziłem, był on bowiem dla mnie dalszym niejako ciągiem dyskusji kongresowej w kwestji socjalnej, — dyskusji prowadzonej przez osobistości w materji tej kompetentne: przez jednego z wielkich przemysłowców z Mülhuzy, przez redaktora naczelnego *Dziennika Frankfurckiego* (nazwiska tych panów z pamięci mi wypadły), przez Lemonniera, Goegga i in. Prym trzymał przemysłowiec, człowiek poważny, rozumny i zacny. Utrzymywał on, że socjalizm zgoła kapitalizmowi nie grozi; społeczeństwu zaś o tyle, o ile w niem instynkty nad rozumem panują i namiętności rozbudzają. Sprawę robotniczą reguluje i rozstrzyga udział w zysku *(participation aux bénéfices)*, ułatwiający robotnikom fabrycznym, kopalnianym, rolnym i wszelakim innym nabywanie akcyj i wytwarzanie w ten sposób spółek, zapobiegających zmowom, rujnującym przemysł i szkodzącym bardziej robotni-

kom niż kapitalistom. Robotnikowi przedewszystkiem chodzi o takie za pracę wynagrodzenie, któreby mu starczyło na życie dostatnie, na zabawienie się w towarzystwie i na występowanie w niedzielę w surducie czarnym na grzbiecie i w cylindrze na głowie. Robotnik dzisiejszy różni się od dawniejszego, poprzestającego na bluzie błękitnej. Socjalizm jednak rewolucyjny, mający z gruntu *(de fond en comble)* zmienić ustrój społeczny, obchodzi nie klasę robotniczą, ale doktrynerów, opracowujących przy biurku systemy społeczne wedle hipotez takich lub innych. Hipoteza obecnie tym panom posługująca opiera się na przypuszczeniu, że nadeszła pora, ażeby, jak przy końcu w. XVIII stan trzeci *(tiers-etat)* zajął stanowisko klas uprzywilejowanych szlachty i duchowieństwa, tak klasa robotnicza miejsce stanu trzeciego zajęła.

Socjalizm mnie żywo interesował, ponieważ mieszkałem w Belgji, w której on klasyczną odegrywał rolę, i wysłuchałem świeżo w Lozannie szeregu ognistych onego apologij, wygłoszonych przez komunardów paryskich. Socjalizm nie wziął mnie, mimo że sympatyczną dla mnie była idea reformy społecznej, wprowadzającej sprawiedliwość, a usuwającej przemoc czyto polityczną, czy też ekonomiczną. Przemoc kapitalistyczna raziła mnie narówni z państwową. Moje atoli przekonania demokratyczne, uznające wolność, równość, przeniknięte braterstwem, pogodzić się nie mogły z socjalistycznem szczepieniem nienawiści klasowej, opierającem reformę na niewoli. Niewola pod jakąbądź postacią do mnie nie przemawiała i w teorjach socjalnych równość uroku i wartości pozbawiała, czyniąc ją niemożliwą inaczej, tylko w ramach przymusu, zmieniającego człowieka w narzędzie działające automatycznie w mechanizmie społecznym. Ustrój taki odpowiada społeczności pszczolej i mrówczej, ale nie człowieczej, niezróżniczkowanej przez naturę na warstwy pracującą i używającą, lecz w sposób ten ustrojonej sztucznie na podstawie zaprowadzanego przemocą niewolnictwa. Czy socjalizm mocen jest zapobiec temu natury człowieczej gwałceniu? Pytanie to niepokoiło mnie i nakazywało studjowanie teoryj socjalistycznych. Wieczór przeto, u państwa Goegg w Genewie spędzony, upamiętnił się mi rzuceniem światła na zagadnienie, które mnie w momencie owym żywo interesowało, a takie następnie poważne w świecie myśli i czynów sta-

nowisko zajęło i tak boleśnie sprawie polskiej odczuć się dało. Rad byłem oświetleniu zagadnienia tego z punktu praktycznego.

Odwiedzenie dziecka Rawskiego wzruszyło mnie. Dziewczynka pozostawała na opiece sióstr żony jego, dwóch panien niemłodych, które ją za własne przybrały dziecko, bez najmniejszej do niemogącego na utrzymanie jej łożyć ojca pretensji. Rozpytywały o niego, spółczuły smutnemu położeniu jego, prosiły mnie, ażebym go co do dziecka uspokoił i zapewnił, że mu na niczem nie braknie i nie zbraknie. W akcencie mówienia o niem tych kobiet czuć się dawało pokochanie przez nie siostrzeniczki, liczącej lat pięć mniejwięcej. Odnoszenie się zaś jej do ciotek świadczyło, że się w macierzyńskiem znajdowała środowisku. Zawiadomiłem o tem Rawskiego, który wkrótce później ze świata tego zeszedł. Człowiek ten należał do typów emigracji polskiej z r. 1831, wzorowanych na Konstantych kniaziach Ostrogskich, Piotrach Konaszewiczach, Piotrach Mohyłach, wytworach etniczno-historycznych, zaznaczonych przez Stanisława Orzechowskiego w w. XVI mianem *gente Rutheni, natione Poloni*. Należał do nich smutnej pamięci Michał Czajkowski (Sadyk-pasza).

Na odwiedzinach w Genewie małej Rawskiej zakończyłem kolistą wycieczkę moją z Brukseli na Berlin, Poznań, Kraków, Lwów, Czortków, Wiedeń, Lozannę do Brukseli spowrotem w miesiącu wrześniu r. 1871. Wyniosłem z niej w odniesieniu do sprawy polskiej otuchy o tyle, żem ani w pruskim ani w austrjackim zaborze nie znalazł takiego, jakiego skutkiem pogromu Francji przez Prusaków spodziewać się należało upadku na duchu. Nastąpiło to później, gdy — po wytrzeźwieniu się nieco z upojeń triumfalnych — rząd pruski jął się wyzyskiwać rezultaty zwycięstw świetnych. Wyzysk narazie przedstawiał się w kierunku dwóch frontów, zwróconych: jeden ku Francji, drugi ku Polsce, różniących się tem, że w pierwszym chodziło o upokorzenie byłego zwycięzcy, w drugim o upokorzenie byłego dobrodzieja. Prusy Polsce tego zapomnieć nie mogą, że je w zanadrzu swojem wygrzała.

O tem atoli okazja pomówienia obszerniej nieco znajdzie się w dalszym pamiętników niniejszych ciągu. Obecnie spieszno mi do zaokrąglenia rozdziału o pobycie moim z rodziną w stolicy państewka, zabezpieczonego przez dyplomację sztucznie

przeciwko zdobywczemu możnych sąsiadów łakomstwu. Zabezpieczenie to ciekawie wygląda: polega na neutralności kraju, poręczonej traktatem międzynarodowym, zaopatrzonym w podpisy wielkich mocarstw, ale mającej w odwodzie rezerwę zbrojną pod postacią fortyfikacyj antwerpskich. Pytanie: co, wobec łakomstwa pruskiego np., więcej warte: podpisy areopagu mocarstwowego, czy forty Antwerpji?

Zapytanie to ma w chwili obecnej (r. 1908) znaczenie wobec trój-dwu-czwór- i t. p. przymierzy, jakoteż wobec szczególnego rozmiłowania się w pokoju mocarstw tego gatunku, co pchające się naprzód Prusy i zepchnięta ze stanowiska przodowego Rosja — pierwsze eks-Brandeburg, druga eks-Moskwa. I Belgja pnie się od momentu, gdy jej monarchę dyplomacja obdarzyła niepodległem w Afryce królestwem pod nazwą Kongo.

W czasie owym atoli, kiedym z Lozanny, z pierwszego, w którym udział wziąłem, kongresu Pokoju i Wolności do Brukseli powrócił, Belgji nie uśmiechała się jeszcze perspektywa taka świetna. Przyszłość przedstawiała się jej skromnie i pomyślnie, o ile neutralność przez dyplomację nadana utrzymać się zdoła. Warunek ten odnosił się do polityki zewnętrznej. Co do wewnętrznej — ta pozostawała w zależności od stronnictw zrazu dwóch: liberalnego i konserwatywnego, a raczej konserwatywno-klerykalnego, następnie trzech, gdy się od liberalnego odłamało socjalistyczne. Za czasów naszych odłamywanie się to zapowiadało się dopiero, zagrażając stronnictwu liberalnemu, które — dzięki większości liberalnej, w miastach zwłaszcza, śród wyborców do izb prawodawczych — władzę dzierżyło. Na władaniu liberałów Belgja wychodziła dobrze, mianowicie i szczególnie we względzie edukacyjnym. Ministerstwa liberalne usiłowały szczepić oświatę po wsiach i faworyzowały zakładanie szkół w duchu postępowym. Stolica sumptem własnym zafundowała uniwersytet, w którym jedną z katedr ofiarowała była Lelewelowi, czuwała nad szkołami średniemi i popierała edukację niewieścią. Na polu tem ostatniem zażarta z Kościołem toczyła się walka. Kościół szczególnie o płeć niewieścią, łatwiej niż męska wrażeniom ulegającą, się troszczy. Solą mu w oku stanęła była szkoła panieńska, od nazwiska dyrektorki szkołą panny Gatti de Gammond nazwana, wzorowa we względzie metody nauczania, polegającej na wdrażaniu

stopniowem umysłów uczenic do uczenia się samodzielnie. Wykładały w niej kobiety wyłącznie, od najniższych do najwyższych klas, — w klasach dziecinnych bez książek, sposobem poglądowym, ogromnie korzystnym dla dzieci, ale dzięki zaprowadzonemu przez dyrekcję dozorowi — zabójczym dla nauczycielek.

Konkurencję szkole panny Gatti de Gammond czyniły zakłady edukacyjne klasztorne i szkoły panieńskie świeckie, zwane angielskiemi. Mieliśmy w czem dla najstarszej naszej wybierać. Wybraliśmy na początek szkołę p. Gatti de Gammond, następnie angielską, ku zupełnemu naszemu i w jednej i w drugiej zadowoleniu, — ku zadowoleniu tak dalece idącemu, że zacząłem się był wahać co do przenosin do Szwajcarji, gdy zwłaszcza koledzy moi z komitetu pomnika dla Gendebien, dowiedziawszy się o zamiarach naszych opuszczenia Belgji, perswadowali mi, że Belgja weszła na polu edukacyjnem na drogę postępu, na której nie zatrzyma się i inne kraje wyprzedzi. I tak w rzeczy samej staćby się mogło, gdyby rozdwojenie w stronnictwie liberalnem, spowodowane przez socjalistów, nie oddało władzy w ręce konserwatystów, dzierżących ją do dziś. Ci do oświaty wzięli się po swojemu. Nie żałuję, żem kolegów szanownych nie posłuchał.

ROZDZIAŁ XXVI

W LOZANNIE

Szczegóły odnoszące się do powrotu mego do Brukseli z pamięci się mi wymykają. Podróż zabrała półtora miesiąca równo. Po powstaniu było to najdłuższe moje z rodziną rozstanie się. Zawitałem do domu 2 października r. 1871 i na mnie sprawdziło się przysłowie: „Wszędzie dobrze, w domu najlepiej“. Bośmy się też z żoną i dziećmi serdecznie, szczerze kochali. Dzieci mieliśmy wówczas troje: dwie dziewczynki i chłopczyk. Czwarte, dziewczynka kaleka od urodzenia, dotknięta ścieśnieniem czaszki, zwanem w medycynie *microcephalis*, umieszczona na wsi, zmarła. W Belgji śmierć dwoje zabrała nam dzieci.

Rzecz prosta po powrocie ze Szwajcarji, gdzie, ze względu na tyczącą się założenia szkoły polskiej umowę z Juljuszem, pobrałem o zakładach tego rodzaju informacje, musiała nastąpić z żoną narada. Osiedlenie się w celu tym w Szwajcarji zgóry postanowione było. Chodziło o wybór miasta. Wedle pogłosek ustnych i ogłoszeń w pismach, najodpowiedniejszem wydawało się nam Neuchâtel. Kilkudniowy atoli pobyt mój w Lozannie, zabranie znajomości z profesorami Akademji, uzupełnionej pod koniec w. XIX wydziałem medycznym i podniesionej do godności uniwersytetu, z profesorem szkoły wyższej technicznej, z inspektorem szkolnym, z Eytelem, prezesem kongresu Ligi Pokoju i Wolności, wskazało mi Lozannę. Dowiedziałem się od nich przedewszystkiem o swobodzie zakładania w Szwajcarji pensyj przez cudzoziemców i o łatwości dostępu do szkół publicznych. Taksamo jednak i w Neuchâtelu istniały szkoły niższe i średnie, taksamo istniała Akademja — uniwersytet niezupełny, taksamo w mieście tem istniały wła-

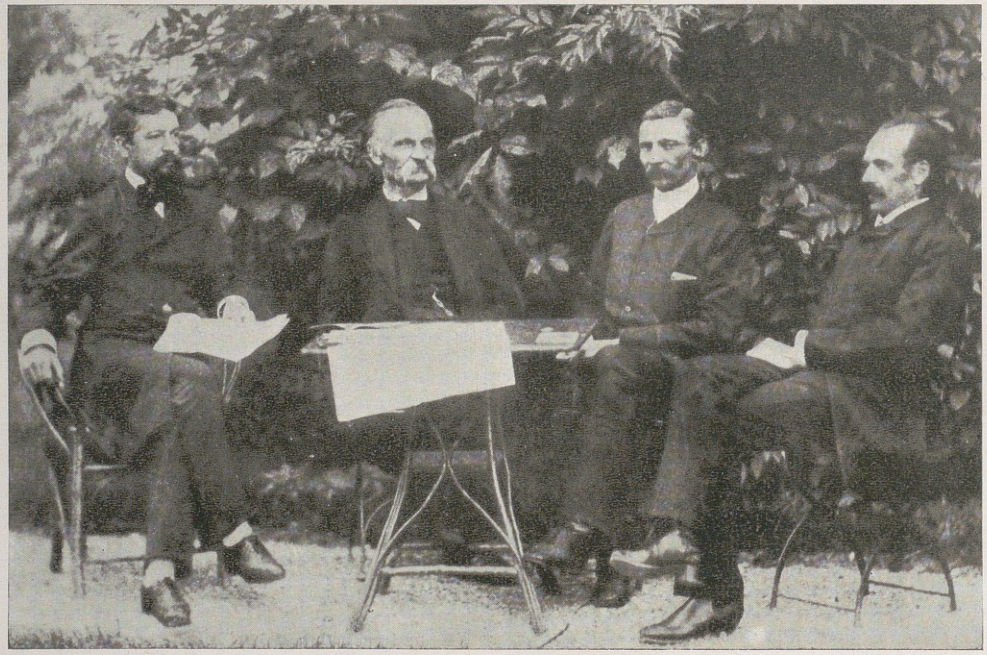

GRONO ZAŁOŻYCIELI SKARBU NARODOWEGO (1887)
Siedzą od lewej: Hertel, Miłkowski, L. Michalski i Al. Hirszberg

dze szkolne życzliwe, profesorowie i nauczyciele przystępni i uprzejmi, wybór przeto pozwalał się dokonać zapomocą czy ciągnięcia losów, czy też stukania w palce. Nie spuszczając się wszelako na ten sposób łatwy, uzależniłem go od żony, od natchnienia jej, w tem przekonaniu, że natchnienie dla kobiet przystępniejszem jest niż dla drugiej rodzaju człowieczego połowy. Spuściłem się więc na to. Narada odbyć się musiała niezwłocznie po powrocie moim i trwała zapewne niedługo. Rolę rozstrzygającą odegrała w niej obecność w Lozannie ciotki żony mojej, a zarazem jej matki chrzestnej, generałowej Paszkowskiej.

Łączyły nas stosunki familijne podwójne, żony mojej z nią, moje z mężem jej, który wówczas oddawna już nie żył. Stosunki te przeto miały znaczenie rozstrzygające co do wyboru w Szwajcarji miasta na zamieszkanie i zakładu edukacyjnego urządzenie.

Spotkanie się moje z panią Paszkowską i spędzenie z nią wieczora jednego niebardzo mnie wprawdzie do niej usposabiały. Była ona generałową rosyjską, co się w niej czuć dawało wobec powodu, który mnie do Lozanny sprowadził. Przyjechałem jako zastępca Bosaka-Haukego na kongres Pokoju i Wolności, w charakterze obrońcy sprawy polskiej. Gdym jej o tem wspomniał, odpowiedziała mi milczeniem, zdradzającem, jeżeli nie co innego, to obojętność dla sprawy przeze mnie nietylko słowem, ale i orężem bronionej. Orężem, albowiem na Węgrzech przeciwko hufcom przez jej męża dowodzonym stawałem. Pomiędzy mną przeto a nią nie było mianownika spólnego. Nie poczuwając się jednak do prawa narzucania żonie mojej wrażeń, tyczących się jej ciotki i zarazem matki chrzestnej, zachowałem je dla siebie. Mogłem się pani generałowej nie podobać. Było to rzeczą gustu, nieobejmującego koniecznie i pochrzestnicy jej. Miałem na względzie rady i skazówki osoby starszej i doświadczonej, które się żonie mojej w środowisku obcem przydać mogły. Liczyłem przytem na życzliwość dla niej, która w czasach owych krewnych bliskich obowiązywała jeszcze cokolwiek.

Żona przeto moja, nie stukając w palce, pomiędzy Neuchâtelem, Genewą i Lozanną — Lozannę wybrała. Przenosiny weszły na porządek dzienny rozmyślań, rozmów i zajęć do-

mowych. Nastąpiły one w dziewięć czy dziesięć miesięcy później — we wrześniu r. 1872, jeżeli się co do miesiąca nie mylę.

Z międzyczasu tego wspomnienia moje przechowują: jedno zajście i jeden pogrzeb.

Zajście tyczy się pozwania mnie przez księży do sądu polubownego. Nie przypominam sobie szczegółowo, o co chodziło, pamiętam atoli, że konduita paru młodych księży — konduita niekoniecznie we względzie kanonicznym poprawna — stanowiła przedmiot potocznych rozmów towarzyskich w domach polskich. Głośnem się stało było poszukiwanie drogą dziennikarską porwanej przez młodego duszpasterza córki obywatelskiej z Wołynia. Bawiono się tem. Zabawa tego rodzaju i w domu moim — przypuszczać należy — zabronioną nie była. Stąd przeto zaczerpnięty być musiał materjał na pozew, ponieważ w momencie owym nie co innego, jeno skandalem trącące kawaleroserwantowanie młodych księży młodym przystojnym mężatkom materjału dostarczyć mogło. Sąd odbył się prywatnie, w mieszkaniu mojem. Nazwiska sędziów, z wyjątkiem jednego Ksawerego Radziszewskiego, z pamięci mi wypadły. Broniłem się sam. Oskarżał mnie ksiądz Szczeniowski, były profesor seminarjum duchownego w Żytomierzu, człowiek z czasów powstaniowych zasłużony. Wybaczyć on mi nie mógł nieuznawania popowstaniowych jego zasług, polegających na wyrabianiu w Stolicy Apostolskiej tytułów hrabiowskich dla szlachciców i szlachcianek polskich. Pomiędzy zasługami temi a bałamuceniem przez księży mężatek najmniejsza nie zachodziła styczność, w mniemaniu jednak ks. Szczeniowskiego jedno z drugiem się wiązało, a przytem rzecz w taki przezeń przedstawiona została sposób, jakobym o romanse posądzał czy obwiniał „oszczerczo“ całe duchowieństwo katolickie. Duchowieństwa „całego“ o rzecz tę nie obwiniałem, ale — wyjątkowo może — kapłani, co w r. 1871 bruki brukselskie deptali, posądzać się o słabość tę dawali. „Krew nie woda“. W wytyczonym mi poufnie procesie wymowa ks. Szczeniowskiego nie oczyściła „całego“ duchowieństwa katolickiego. Proces ów atoli nie przeminął bezkarnie dla mnie. Kara w sposób następujący spadła na osobę moją:

W Brukseli mieszkało małżeństwo z dwojgiem dzieci: chłopakiem lat dziesięciu mniejwięcej, swawolnikiem niezrów-

nanym, i panienką lat dwunastu może. Nazwisko nosili te same co ciotka żony mojej w Lozannie, lecz z generałem nie wiązało ich żadne pokrewieństwo ani powinowactwo. Byli Paszkowskimi z innej gałęzi. Paszkowski ów służył w wojsku rosyjskiem. W stopniu porucznika czy rotmistrza dymisję wziął i do szeregów powstańczych wszedł. Niewyraźny jego w powstaniu udział nie naraził go na karę śmierci, a stosunki w sferach rządowych pozwoliły mu ręką obronną z kraju się usunąć na przeczekanie złych chwil zagranicą. Wyniesiona z kraju gościnność nie dała rodzinie tej wyosobnić się śród Polaków w Brukseli. Pomiędzy nią i wybitniejszymi spośród wychodztwa polskiego pozawiązywały się znajomości, dla których państwo Paszkowscy wyznaczyli jeden w tygodniu wieczór na zgromadzenia towarzyskie. Na wieczorkach tych spotykało się nierzadko gości z kraju, popisywano się muzyką i śpiewem, zabawiano się rozmową interesującą i mile godzin parę w atmosferze polskiej spędzano. Paszkowskiemu zdrowie nie dopisywało. Chroniczna jakaś choroba zmogła go wkońcu. Śmierć jego dała księdzu Szczeniowskiemu okazję ukarania mnie za niepomyślny dla niego wynik procesu. Kara spotkała mnie pod postacią klęczenia.

Po śmierci męża pani Paszkowska zwróciła się do mnie z prośbą o przemówienie nad grobem jego. Nieboszczyk zasługiwał na dobre słowo, na polecenie go pamięci spółziomków. Nie uważałem przeto za rzecz godziwą nieuczynienie prośbie wdowy zadość. Podjąłem się przemówienia, nie wiedząc, że pogrzebowi ksiądz Szczeniowski przewodniczyć będzie. Dowiedziałem się o tem od pani Paszkowskiej, która mi z płaczem oznajmiła, że ksiądz nie pozwala na przemówienie moje, grożąc usunięciem asysty religijnej, co biedną kobietę przerażało. Płakała, żaliła się i o radę pytała.

— Rady innej niema chyba — rzekłem — tylko o przemowę prosić kogo innego.

Wdowa dla powodów dla mnie zbyt pochlebnych zgodzić się na to nie chciała.

Sprawa ta w ten się rozstrzygnęła sposób, że ksiądz Szczeniowski na przemówienie moje zezwolił pod warunkiem, ażebym je uprzednio przeczytał Kislańskiemu, inżynierowi, który, wydelegowany przez kompanję budującą w Rosji drogi żelazne,

bawił w Brukseli dla dozorowania konstrukcji mostów żelaznych.

Dla wdowy warunek ten przyjąłem i przed wygłoszeniem mowy mojej godzinę całą na cmentarzu, na deszczu, w błocie klęczeć musiałem. Nato ksiądz pogrzeb odpowiednio urządził. Po poświęceniu grobu i odmówieniu krótkiej modlitwy wezwał obecnych do pomodlenia się klęcząc spólnie za duszę nieboszczyka. Uklękli wszyscy, ukląkłem — dla niewywołania skandalu — i ja, i wysłuchiwałem: najprzód litanję, potem modlitwę, potem znów litanję, dalej modlitwę z biciem się w piersi, dalej nie pamiętam co, i po tem wszystkiem błotem zwalany, ze zbolałemi od klęczenia na gruncie kamienistym kolanami, wygłosiłem mowę pogrzebową — pamiętną mi do dnia dzisiejszego.

Na pogrzebach bywałem — na żadnym się nie spotkałem z ceremonją podobną; ludzi rozpytywałem — nikt mi powodu onej nie wytłumaczył. Powód dla mnie tłumaczył się sam: pokutą za dopuszczenie się grzechu względem — sukienki kapłańskiej. Żem ja grzech ów popełnił, mnie więc pokuta się należała. Czemu jednak wraz ze mną pokutowało parę dziesiątków ludzi płci obojej, co w pogrzebie Paszkowskiego udział wzięło?

Jest to ostatni z wypadków z czasu pobytu mego w Brukseli, który mi w pamięci pozostał: wspomnienie zajścia z księżmi, piętnującego mnie w opinji publicznej polskiej jako wroga religji! Jako żywo! nie jestem i nie byłem nigdy wrogiem religji żadnej, jako duszpasterstwa, rządu moralnego, potrzebnego dla utrzymywania w społeczeństwach ludzkich harmonji zapomocą przestrzegania zdrowia duszy, higjeny duchowej, wywierającej wpływ stanowczy na zdrowie cielesne. O ile religja do ideału tego się zbliża, o tyle jest pożyteczniejsza; o ile urzędnicy jej lepiej wziętym na się obowiązkom odpowiadają, o tyle bardziej na szacunek, na cześć zasługują. Na co atoli zasługują urzędnicy religijni, posługujący się religją jako maską do osłaniania nadużyć, podkopujących ład społeczny i zatruwających dusze człowiecze? Obłudnictwo religijne jest, zdaniem mojem, jedną z największych plag, trapiących ludzkość. Praktykowało się ono dzięki paru młodym, zalotnym i historyczne polskie nazwiska noszącym księżom na cale szeroką skalę w Brukseli w pierwszych siódmego dzie-

siątka latach wieku XIX. Za grzech niezaliczania obłudy kapłańskiej do cnót chrześcijańskich odpokutowałem całogodzinnem klęczeniem i słuchaniem litanji na smętarzu. Pokuta ta nie poprawiła mnie. Nie ona sprawiła, żem ze czcią w Detroit przed księdzem Dąbrowskim głowę chylił i spracowane jego ręce całował [1].

Religji żadnej wrogiem nie byłem i nie jestem.

W materji tej później w pamiętniku moim będę miał do pomówienia jeszcze. Tymczasem zająć się muszę przenosinami z Belgji do Szwajcarji — z państwa wolnego pod warunkiem hołdownictwa żywemu bałwanowi majestatu monarszego, bez czego przesąd Europie obchodzić się nie pozwala, do państwa, przesądowi temu niehołdującego. Do przenosin tych żona moja i ja przysposabialiśmy się ochoczo mimo odradzań, z jakiemiśmy się i ze strony spółziomków i ze strony Belgów spotykali. Odradzanie spółziomków cechowała życzliwość towarzyska. Z Belgami stosunki nasze mocno były ograniczone. Towarzyskie nie istniały; poza temi zaś odnosiły się do zaspokajania potrzeb życiowych i intelektualnych, dostarczanych przez sklepy, sklepiki, księgarnie, biura pocztowe, poczekalnie lekarskie i zakłady edukacyjne. Mnie specjalnie obchodziła redakcja dziennika *Lud (le Peuple)*, w której bywałem raz na tydzień, czy raz na dwa tygodnie, zaproszonym będąc do komitetu zawiązanego celem uczczenia pomnikiem pamięci Gendebiena. Kiedym wspomniał o zamiarze opuszczenia Belgji dla Szwajcarji, koledzy postanowienie to przyjęli z żalem, zaakcentowanym tonem grzeczności pospolitej. Jeden tylko sekretarz, z którym się lepiej niż z innymi kolegami w komitecie porozumiewałem, a którego nazwisko z pamięci mi całkowicie wypadło, o powody mnie zapytał. Powodów podałem dwa: szkolnictwo szwajcarskie i atmosferę republikańską, w której dzieci chować pragnąłem. Starał się mi wyperswadować jedno i drugie. Co do szkolnictwa twierdził, że we względzie tym Belgję mocniej cechuje postępowość, aniżeli Szwajcarję, trzymającą się w nauczaniu metod dawniejszych póty, póki niedostateczność, jeżeli nie szkodliwość ich, zagranicą wykazana dowodnie nie zostanie.

---

[1] Podczas podróży do Stanów Zjednoczonych w r. 1901.

— Dzisiejsza Szwajcarja — mówił — w uczuciu przyzwoitości jeno czci pamięć Jana Jakóba Rousseau i nie wydaje Pestalozzich nowych. Co się zaś atmosfery republikańskiej tyczy, to atmosfera ta, po pozbyciu się we Francji skutkiem wojny z Niemcami cesarstwa, ogarnie Europę całą.

W Belgji, w której rząd dzierżyli jeszcze liberali, a socjalizm silniej niż gdzieindziej nurtował, liczono już dnie istnienia monarchji. Przeliczono się, niestety. Socjalizm podkopał stronnictwo liberalne i spowodował zagarnięcie władzy przez konserwatystów katolickich. Katolicy, raz się stanowiska rządowego dorwawszy, umieli się na niem zagospodarować, a wprowadziwszy wybory pluralne, zapewnili je sobie na długo. Nastąpiło to równocześnie prawie z przenosinami naszemi.

Przenosiny nasze dokonały się dwurazowo. Żonę z dwojgiem dzieci starszych wyprawiłem przodem w sierpniu, jeżeli się nie mylę, r. 1872, sam zaś z synem, liczącym wówczas mało co wyżej nad lat dwa życia, wybrałem się we dwa z czemeś miesiące później. Powodem, dla którego dłużej w Brukseli pozostałem, była potrzeba dokończenia dla nowo założonego w Warszawie, pod redakcją nie pamiętam czyją, pisma (bodaj czy nie *Nowiny*) pracy zamówionej [1]. Co to była za praca? — nie wiem, tytułu jej w pamięci nie zatrzymałem, co świadczy, jak miernie ceniłem moje stanowisko literackie. Musiało to być coś poważnego, a przynajmniej obszernego, przyniosło mi bowiem honorarjum pokaźne, którego otrzymanie dla możliwości zagospodarowania się jakotako w Lozannie zatrzymało mnie w Brukseli. Pokazuje się, żem już literaturę jako rzemiosło traktować poczynał, ponieważ na zarobek pracowałem. A to przypominam sobie, żem zarobił był sporo, albowiem parę tysięcy rubli ze sobą zabrałem za pracę, która mi dnie i noce zabierała. W ciągu onej poszedłem był z odwiedzinami, czy też z interesem do Radziszewskich, i gdym się do pani dla pozdrowienia jej zbliżył, pani Radziszewska przede mną cofnęła się z okrzykiem:

— Panie pułkowniku! panie pułkowniku!

— Co, pani? — zapytałem.

---

[1] Było to prawdopodobnie studjum p. t. *Belgja i Belgowie*, drukowane w *Niwie*, Warszawa 1872—3.

— Co za oczy!

— Jakie oczy?

— A pańskie...

Za rękę mnie ujęła i do zwierciadła poprowadziła.

W zwierciadle oczy moje ujrzałem zaczerwienione, krwią zaszłe.

Do Radziszewskich poszedłem był — przypominam sobie — w interesie przed wyjazdem, w interesie tyczącym się służącej, przechodzącej od nas do nich, kobiety dobrej, w rodzaju swoim wyjątkowej. Żonie mojej zdarzały się służące dobre, uczciwe i życzliwe, śród nich atoli znalazły się dwie, które się — że tak powiem — w rodzinę naszą wkluczyły. Jedną z nich była Marja. Mówiłem o niej w rozdziale poprzednim. P. Radziszewska zapragnęła jej dla siebie. Tego przeto interesu załatwienie stało się dla mnie okazją poznania na sobie skutków pracy forsownej. Dała mi się ona we znaki później jeszcze. Później też zdarzyła się służąca druga, o której na swojem wspomnę miejscu.

Z żoną, która pomyślnie do Lozanny zajechała, mienialiśmy się listami. Ulokowała się ona w pensjonacie *(pension d'étrangers)* panny Pauliny Caille, będącej również jak Marja okazem, świadczącym przeciwko ogólnej pań opinji o nieistnieniu sług dobrych. Taka Marja, taka Paulina, taka ta, o której później napiszę, wnioskować nakazują, że o wartości sług płci obojej sądzić należy wedle wartości pań i panów. Od gatunku etycznego tych zależy gatunek etyczny tamtych. Panna Paulina, Szwajcarka, służyła jako bona przy Helence Gałeckiej, synowicy pani Paszkowskiej generałowej, i za jej to, Pauliny, sprawą pani Paszkowska i brat jej z żoną, Peretiakiewiczówną z domu (kobietą na umyśle pomieszaną), i córką, dla edukacji tej ostatniej, sprowadzili się do Lozanny i zamieszkali w założonym przy ich pomocy pensjonie panny Pauliny Caille, w którym znalazło się i dla żony mojej z dwiema dziewczynkami miejsce.

Żona moja, mieszkając w pensjonie, poszukiwała pomieszkania apartamentowego w mieście. Dnie upływały jej na szukaniu apartamentu i podziwianiu otaczających Lozannę pejzażów, wieczory na braniu udziału w towarzystwie pensjonowem, składającem się z Gałeckich, generałowej, Moskiewki również generałowej (gienieralszy), której małżonek był gubernatorem wgłębi Rosji, z młodego Amerykanina ze stanu Kentucky, na-

zwiskiem Sprigg, i jeszcze z osób kilku. Córka Gałeckich mieszkała w pensji pastora Vulliet, spółzawodniczącej ze szkołą miejską rządową dla dziewcząt.

Towarzystwo wieczorowe, z którem później znajomość zabrałem, było ze względu na mieszaninę narodowościową i na dobór ciekawem i interesującem. Gałecki rzadko się udzielał — miłośnik muzyki fortepianowej zamykał się i dla siebie grał, żona jego milczała, generałowa Polka słuchała opowiadań generałowej Moskiewki, lubiącej rozprawiać szeroko i głośno o skandalach romantycznych w sferach wyższych społeczeństwa rosyjskiego i o miłościach „nieplatonicznych“ imperatorów Mikołaja I i Aleksandra II, dla których była z uwielbieniem. Ona najwięcej gadała i najwięcej jadła. Amerykanin, który dla nauczenia się po francusku w Lozannie na czas jakiś zamieszkał, zeszedłszy się z mówiącą po angielsku najstarszą córeczką moją, dotrzymywaniu towarzystwa jej, nieinteresującej się opowiadaniami generałowej moskiewskiej, całkowicie się oddał.

Co do znajomości języka angielskiego przez Antosię, liczącą w r. 1872 lat dziewięć, zaznaczyć muszę łatwość, z jaką dzieci, dziewczynki zwłaszcza, wyuczają się mówienia językami obcemi. Dziewczynki wyuczają się łatwiej niż chłopczyki. Łatwiej się wyuczają i łatwiej zapominają. Zaznaczyłem już w rozdziale poprzednim, że Antosia do Brukseli w r. 1866 przyjechała, mówiąc biegle po polsku, po niemiecku i po serbsku. W Brukseli po serbsku i po niemiecku zapomniała, a nabyła w przeciągu półtora roku niespełna mówienia, dzięki lekcjom godzinowym i nie codziennym, po angielsku. W języku Szekspira wyćwiczyło ją obcowanie ze Spriggiem — w obcowaniu nie dłuższem nad trzy miesiące. Urwało się bowiem ono po przyjeździe moim i zamieszkaniu nie w pensjonie panny Pauliny, ale w apartamencie w domu prywatnym, przytykającym do Placu Broni, najętym przez żonę moją.

Przyjechałem do siebie, do kącika własnego tymczasowo, składającego się z trzech pokoików mieszkalnych, z kuchenki, z pokoiku dla służącej i z poddasza *(mansarde)* dla mnie na pracownię literacką. Bruksela zrobiła ze mnie rzemieślnika, niemogącego już obchodzić się bez warsztatu. Przed ożenieniem się o warsztacie nie myślałem. Pracowałem dorywczo gdzie i jakkolwiek, w mieszkaniach opłacanych miesięcznie, tygod-

niowo, dziennie nawet, na noclegach, na popasach, nie troszcząc się o dzień jutrzejszy, ani o karjerę, ani o literaturę, nie mając siebie za co innego, jeno za bojownika, który, zmuszony zmienić karabin na pióro, nie pozbył się obowiązku sumienia, nakazującego mu nadawania pióru mocy oręża w walce o ojczyznę póty, póki ona, najdroższa, najświętsza, należnego jej bytowania nie odzyska. Małżeństwo nie zwolniło mnie z obowiązku tego. We względzie tym działał snadź atawizm. Dziad mój z żoną i dziećmi odbył kampanję r. 1792. Nie wkładałoż to na mnie obowiązku walczenia piórem, z żoną i dziećmi, w szeregach rzemieślniczych? W odniesieniu do rzemiosła literackiego pożycie małżeńskie ten jeno na mnie wywarło wpływ, że początkowo obecność żony przy pracy nie przeszkadzała mi — owszem pomagała; obecność jej atoli z dziećmi zniewoliła mnie do urządzania sobie warsztatu oddzielnie. Zaczęło się to już w Brukseli, gdzie tylko w apartamenciku przy ulicy Van Dycka pracownia moja znajdowała się w pokoju sypialnym, ale we wszystkich następnych osobno. Do wyosabniania pracowni zniewalały mnie nietylko dzieci, ale i fortepian. Muzyka przeszkadzała mi umysłowo pracować dlatego właśnie, żem ją lubił, żem lubił zwłaszcza granie żony mojej, posiadającej nie biegłość, ale odczuwanie wymowy i barwy tonów narówni z Paderewskim. Szopena granego przez nią, niewirtuozkę, jak granego przez tego artystę wielkiego, nasłuchać się dosyć nie mogłem. Z takiemże odczuciem i rozumieniem wydobywała ona z klawiszów ulubione przeze mnie sztuki, jak np. ostatni polonez Ogińskiego, marsz Rakoczego i wszelakie mazury, obertasy i melodje ukraińskie. Przy takiem odnoszeniu się do muzyki wtórowanie onej pracy umysłowej niemożliwą czyniło twórczość literacką. Żona moja niesłusznie posądzała mnie o nielubienie muzyki. Nie pociągało mnie granie Liszta ani Rubinsteina, których jednego w Niemirowie w r. 1844 czy 1845, drugiego w Genewie w ósmym czy dziewiątym w. XIX lat dziesiątku słyszałem. Jeden i drugi przejął mnie podziwem dzięki biegłości niezrównanej, z jaką oni z fortepianów wydobywali tony harmonji przenajgroźniejszej, przenajwznioślejszej i przenajsubtelniejszej. Przebijała się w tem sztuka do najwyższej doprowadzona doskonałości, — sztuka, naturę przewyższająca i zatrącająca... kuglarstwem. Niech mi to wyrażenie wybaczonem przez znawców muzyki będzie. Muzykę wogóle lubiłem

i lubię. Zadowalniali mnie skrzypkowie tacy jak H. Wieniawski w Londynie i Vieuxtemps w Brukseli, zadowalniały fortepianistki takie jak Olga Janina i pani de Méjean, ale uwielbieniem mnie przejmował Paderewski i oderwać mi się od grania swego żona moja nie dawała.

W domu państwa Warnery, do którego, z Brukseli przyjeżdżając wprost w Lozannie zajechałem, nie zaopatrzyliśmy się byli w fortepian.

Ale nim o pobycie u państwa tych się rozpiszę, rzec słówko o podróży mojej winienem, dlatego bodaj, że się ona nie tak gładko jak podróż żony mojej odbyła. I ona i ja po przekroczeniu granicy południowej księstwa Luksemburskiego jechaliśmy krainą przez Prusy Francji świeżo wydartą. Z racji tej, na przechodzącej w kierunku ku Szwajcarji przez Lotaryngję i Alzację drodze żelaznej Prusacy nie zaprowadzili byli jeszcze porządków niemieckich. Żonie mojej z dziewczynkami starszemi odczuć się to nie dało. Zajechały one do Bazylei ciągiem jednym. Mnie trafił się pociąg, którym należało w jednem na ziemi pruskiej miejscu do innego się przesiąść, w drugiem przenocować. Do pierwszego dojechałem wieczorem i z chłopcem moim na kolanach i z torbą podróżną u nóg siedziałem, czekając na pociąg mimo idący. Na dworze panowała pogoda fatalna: zawierucha śnieżna. Nagle w poczekalni słyszeć się dał okrzyk: „Pociąg“... Zrywam się, rzucam sobie ręką prawą na lewą chłopca, chwytam torbę, wybiegam do ruszającego już pociągu i u drzwi wagonu padam. Na szczęście moje znalazł się człek jakiś silny, który mi pod kołami pociągu zginąć przeszkodził i do wagonu z synem i torbą wskoczyć pomógł. W godzinę, może w godzin parę później, około dziesiątej zapewne, zatrzymaliśmy się w Saargemünde, gdzie pociąg następny zabrać nas miał nazajutrz do Strassburga około 9 rano. Wysiadamy — śnieg pada, ale wiatr się uciszył. Idę ku dworcowi celem poinformowania się o nocleg, lecz nim doszedłem, nagle światła wszystkie nazewnątrz i wewnątrz naraz pogasły. Podchodzę do drzwi, pukam — nikt nie otwiera. Dobywam się, szarpiąc drzwi jedne po drugich i pukając do okien, co najmniejszego na dworcu znaku życia nie wywołuje. Obchodzę wreszcie dworzec dookoła, rozpoznaję położenie jego za miastem i spotykam istotę żyjącą pod postacią człowieka, mającego pozór robotnika, który czynionych mu

przeze mnie po niemiecku i po francusku zapytań nie rozumiał. Mnie, trzymającego rozespane dziecko na ręku, a w ręku torbę i parasol, rozpacz już ogarniać poczynała, gdym, nie przypominam sobie jakim sposobem, na niemowie owym wymógł prowadzenie mnie do miasta. W rzeczy samej niemym był on. Ruszyliśmy — on przodem, ja z dzieckiem (z dzieckiem, powtarzam, dźwigałem je bowiem śpiące i mokre) za nim i wyszliśmy w pole, za miasto. I spostrzegłszy się na tem, szarpnąłem przewodnika za rękaw, wskazałem mu miasto palcem i w sposób ten dotarłem do hotelu, w którym z trudem wielkim doprosiłem się dla chłopca mego mleka grzanego, ale ogrzania pokoju doczekałem się nazajutrz dopiero.

Nazajutrz zajaśniała pogoda prześliczna, i podróż nasza w pogodę zakończyła się w Lozannie. Przy matce i siostrach chłopiec przestał — jak to w ciągu podróży czynił — napierać się do domu i wołać „Mamni" (tak przezwał Marję, służącą, co go wypiastowała). O Mamni też rychło zapomniał. Brak jej uczuwać się mu dawał w podróży tylko.

Z przybyciem mojem rozpoczął się dla nas w Szwajcarji tryb regularny życia rodzinnego. Zaczął się on częściowo poprzednio. Żona moja po przyjeździe swoim do Lozanny niedługo się położeniem malowniczem stolicy kantonu Vaud delektowała. Pejzażów w niej, w oczy się rzucających, nie szukała, — szukała szkół i obok licznych pensyj prywatnych odkryła dwie rywalizujące ze sobą szkoły panieńskie: rządową i przez władze szkolne za odpowiednią uznawaną szkołę pastora Vulliet. Ta ostatnia posiadała internat, który nie obowiązywał. W szkole mieszkające i dochodzące dziewczęta schodziły się w klasach, w których od nauczycieli pod dozorem dam klasowych pobierały naukę. Może trochę na żonę moją podziałał przykład jej wuja, którego córka, Helenka, uczyła się w szkole p. Vulliet, mieszkając w internacie, utrzymywanym przez syna i synową jego. Syn wykładał w szkole dyrygowanej przez ojca, jakoteż w szkołach i pensjach żeńskich i męskich, biorąc przytem udział czynny w kilkunastu towarzystwach, w których w jednych był członkiem, w innych funkcjonował w charakterze, jeżeli nie prezesa, to sekretarza lub skarbnika; w Lidze Pokoju i Wolności zajmował stanowisko kontrolera skarbowego. Równie jak on człowiek czynny i uczynny nieczęsto się trafia w społeczeństwach.

Do szkoły Vullieta oddaną została najstarsza nasza i przy pomocy matki szkołę tę chlubnie skończyła. Żona moja, luboć w klasach nie przesiadywała, nie opuściła lekcji żadnej, że zaś obok tego, chcąc dziecku pomagać skutecznie, uzupełniała sobie naukę, radząc się dzieł, odnoszących się do przedmiotów w szkole wykładanych, zakres wiedzy własnej rozszerzała regularnie i systematycznie. Trafia się często matkom, co szkoły żadnej progu nie przestępowały, wiedzę naukową od dzieci nabywać. W Lozannie niejaka pani K. lepiej niż syn wyuczyła się gramatyki greckiej i byłaby dalej w naukach postąpiła, gdyby syn na dwóch czy trzech klasach początkowych był nie poprzestał.

Szkoły, o! szkoły. Przez uczniów szkoły oświatę szerzą nazewnątrz — na tych, co na nie patrzą. Szkoły i czytelnie. Malutka Szwajcarja, obficie w szkoły i czytelnie zaopatrzona, dla ludzkości znaczy więcej aniżeli Rosja olbrzymia, posiadająca procent analfabetów, przygniatający sobą garstkę papug, wyuczonych powtarzania przetłumaczonych z języka obcego frazesów, dla ogółu niezrozumiałych.

Lozanna — jak zdaje się wspomniałem już poprzednio — zasługuje na tytuł zaszczytny „miasta-szkoły“, — miasta z pozoru więcej o dzieci niż o ludzi dojrzałych dbającego. Dogadzało nam to ze względu najprzód na dzieci nasze, następnie na ów zakład naukowy, którego otworzenie w Szwajcarji dla dzieci polskich, wskazanych w ojczyźnie na oddychanie oświatą miazmatami wrogiemi zatrutą, obowiązkowo na mnie ciążyło. W spełnieniu obowiązku tego liczyłem na rady i wskazówki osobistości paru, poznanych przeze mnie poprzednio, w czasie zjazdu Ligi Pokoju i Wolności. Zjazdowi prezydował Eytel, radca stanu, człowiek rozumny, poważny i szanowany. Zbliżyłem się był z nim i na pomoc rad i skazówek jego wiele liczyłem. Rachuba ta zawiodła mnie, niestety. W r. 1872 zjazd Ligi Pokoju i Wolności odbył się w Bellinzonie, stolicy kantonu Tessyn. W kongresie Ligi Eytel udział wziął i w powrocie, przejeżdżając przez góry, przeziębił się. Następstwo przeziębienia: zapalenie płuc na łoże go powaliło i w dni kilka po przyjeździe moim do grobu wpędziło. Byłem na pogrzebie jego. Ludwik Ruchonnet, jeden z tych rzetelnych mężów stanu, których mocarstwa wielkie zazdrościć Szwajcarji powinny, prześliczną na cmentarzu pożegnał go mową. Kolegowałem z nim w Komitecie Centralnym Ligi Pokoju i Wol-

ności. Później bardziej zbliżyłem się do niego jako prezesa Respubliki Szwajcarskiej, którym jest zawsze jeden z członków Rady Federalnej (władzy wykonawczej), radziłem się go w kwestji Skarbu Narodowego. W kwestji tej i Ludwik Michalski zwracał się do niego. Za radą L. Ruchonneta Skarb Narodowy pierwotnie w Szwajcarji ulokowany został. L. Ruchonnet sprawę polską znał dobrze i żywo interesował się nią.

Śmierć Eytela pozbawiła mnie najpewniejszego w rzeczy zamierzonego dla młodzieży polskiej zakładu naukowego informatora. Musiałem informować się u innych, głównie u p. Raoux, byłego profesora filozofji w Akademji Lozańskiej, pozbawionego katedry, gdy skutkiem rewolucji w r. 1847 władze kantonalne z rąk konserwatystów przeszły w ręce radykałów, co spowodowało odświeżenie w sensie postępowym zaśniedziałej w konserwatyzmie Akademji. Profesora Raoux społeczno-polityczne przekonania jasno się ani w konserwatywnym ani w radykalnym nie manifestowały kierunku. Bezwzględnie wyznawał on potrzebę pokoju dla ludzkości i z racji tej zajmował z wyboru stanowisko prezesa sekcji Ligi Pokoju i Wolności w Lozannie, będąc przytem namiętnym edukacji publicznej reformatorem, namiętnym wegetarjaninem i namiętnym spirytystą. Namiętności jego atoli cechowała wyrozumiałość, w połączeniu z łagodnością pedagogiczną. Niektóre z nich nie pozwalały się brać na serjo — np. sprawa pokoju. Członków Ligi zwoływał co tydzień. Schodziliśmy się zrazu licznie i na porządku dziennym nie znajdowaliśmy nigdy nic innego, tylko: kwestję agitacji na rzecz pokoju w zakresie szkolnym. We względzie tym za rzecz bardzo ważną uważał: rozstrzyganie sporów między dziećmi zapomocą wybieranych przez nie same sądów polubownych. Protegował ogródki freblowskie, urządzane atoli w widokach studjowania skłonności wrodzonych dzieciom od urodzenia. W celu tym w szopie przy ogrodzie (posiadał dom własny) zgromadził okazy wszelakich zabawek, mających znaczenie praktyczne dla wywoływania w dzieciach zaciekawienia do tych, co o skłonnościach ich świadczyć mogą. W tym też celu w ogrodzie swoim część onego podzielił na kwadraciki, przeznaczone jedne na uprawę roli pod zboża, drugie na ogrodowizny, inne na sadownictwo, inne na budownictwo, inne na coś jeszcze innego. Obrady na posiedzeniach doprowadzały zwykle do potrzeby

zreformowania edukacji od początku, od najpierwotniejszego świtania w główkach dziecinnych myśli, dla wszczepienia i gruntowania w niej idei pokoju. Obrady nad tą kwestją uzupełniał lekcją poglądową. Członków posiedzenia prowadził do szopy i na ogród, wykładał im znaczenie pokojowe każdej zabawki, każdego kwadracika gruntu w ogrodzie, krytykując metodę wpajania w chłopców idei wojennych.

— Mundurki, szabelki, trąbki — powiadał — to trucizna, strojenie w nie chłopiąt to zbrodnia społeczno-polityczna!

Oburzało go połączenie w szkołach rządowych w kantonie Vaud nauki świeckiej z wojskową, dla której w gimnazjach raz na tydzień ćwiczono chłopców w mundurach i pod bronią w obrotach wojennych i w strzelaniu z karabinów i z dział.

W materji tej ostre na posiedzeniach toczyły się dyskusje — ostre, ale nie brzemienne rozłamem. Wiązadło pokojowe trzymało w kupie gromadkę wyznawców pokoju, pomimo że większość jej uznawała wojnę obrończą, znajdującą podnietę w miłości ojczyzny. Szanowny prezes ojczyzny — wzorem socjalistów albo tołstoistów — nie odrzucał, lecz ku obronie jej nie uważał za rzecz godziwą uciekanie się do mordowania ludzi. We względzie tym trzymał stronę Tołstoja, którego zdaje się nie czytał, nigdy bowiem — o ile przypominam sobie — nim się w materji tej nie świadczył. Prawda, że w siódmem dziesięcioleciu w. XIX Tołstoj nie posiadał jeszcze tego co później rozgłosu.

Prof. Raoux nas, właściwie zaś żonę moją, szczególnemi zaszczycał względami. Względy te, co się jej tyczy, bezinteresownemi nie były: upatrywał w niej podatne do eksperymentów spirytystycznych medjum. Zaszczycał nas odwiedzinami dla spropagowania dla spirytyzmu i wegetarjanizmu. W celu tym z Genewy umyślnie sprowadził spirytystę, posiadającego w fachu tym wziętość, i wespół z nim urządził publiczne zgromadzenie doświadczalne, na które nas zaprosił. Ku doświadczeniu służyć miała muzyka na fortepianie zamagnetyzowanym. Spirytysta rozpoczął posiedzenie od wygłoszenia prelekcji o tej znanej w starożytności i wznowionej w czasach naszych gałęzi wiedzy ludzkiej, polegającej na utrzymywaniu i doskonaleniu stosunku pomiędzy dwoma ludzkościowemi światami: cielesnym i duchowym. Prelekcja, z zacięciem krasomówczem wygłoszona, ciekawą była, oklaski wywołała. Z zamagnetyzowanym forte-

pianem poszło jakotako: pań kilka wydało jęki przeciągłe, parę podobno sen magnetyczny opanował, ale doświadczenia zapomocą ciągów palcowych nie powiodły się. Niepowodzenie zaczęło się od pierwszego ochotnika, który, wysłuchawszy wykładu o istocie magnetyzmu, siadł na wezwanie spirytysty na wysuniętym na środek sali stołku i poddał się próbom. Był to mężczyzna w sile wieku, mocno zbudowany, o obliczu okrytem zarostem gęstym. Miał on być uśpionym. Gdy jednak uśpienie nie nadchodziło, mistrz zadaje mu pytanie, tyczące się odczuwanego przezeń wrażenia. Na pytanie nastąpiła dobitnie przez pacjenta wyrzeczona odpowiedź:

— *Rien du tout.*

Tę samą odpowiedź dawaną po cichu słyszał od żony mojej profesor, który ją, siedząc za nią, razy kilka o wrażenie zapytywał.

Próba pierwsza wywołała uśmiechy i parę śmiechów głośnych śród widzów, drugą atoli, której się poddała jedna z pań, uwieńczyło powodzenie zupełne.

Mimo to profesor ani w żonie mojej, ani we mnie adherentów dla doktryny spirytystycznej nie pozyskał. Do przekonania jej i mego nie trafiały materjalistyczne i mistyczne wyjaśnienia faktów widzianych, słyszanych i opisywanych, do tej się odnoszących kategorji. Ją zaciekawiały one. Zaciekawiały i mnie, ale tak jak siły natury tajemnicze, działające — elektryzm, powinowactwa chemiczne np. — ze skutków znane i przez ludzi wyzyskiwane, co do istoty atoli swojej zagadkowe. Do kategorji tej zaliczam ów świat duchowy, objawiający się za pośrednictwem stolików, medjumów i inaczej, ale co do istoty swojej, jak elektryzm, magnetyzm, powinowactwo chemiczne, zagadkowy i dlatego nienadający się do wyzyskiwania na co innego, tylko do zawracania ludziom głów. W kategorji tej wytworzyła się kwestja tej np. miary, co „duszy nagiej“, nietrafiająca do głowy mojej. Dusza w mniemaniu mojem, tak w osobistości pojedynczej, jak w osobowości narodowej, przejawia się w skłonnościach, w charakterze, w uświadomionych, złych lub dobrych, dążeniach moralnych. Ludzie pojedynczo i zbiorowo tem się od zwierząt różnią, że dusze ich się gatunkują: dusza pruska np. inną jest aniżeli szwajcarska. Świeżo na pole naukowe wprowadzona psychologja doświadczalna dokładniej — spodziewać się należy — duszę człowieczą określi, aniżeli eksperymenta spirytystyczne,

badając ją metodą porównawczą na tle przyrodniczem. W kierunku tym możebyśmy się — żona moja i ja — pociągnąć dali. W kierunku przez spirytystów praktykowanym objawy do wiadomościśmy brali i na tem poprzestawali. Szanowny profesor nie miał z nas pociechy.

Ten sam los w odniesieniu do nas spotkał i propagowany przez niego wegetarjanizm. Celem pozyskania dla niego mięsożerców w Lozannie urządzonym został staraniem profesora Raoux bankiet czysto jarski pod prezydencją zaproszonego lekarza, dyrektora jarskiego zakładu leczniczego, położonego w górach, w kantonie Appenzell. Zaproszenie na bankiet otrzymaliśmy oboje. Stawiłem się jednak sam i przekonałem się, o czem zresztą wiedziałem, że nietylko bez mięsa i napojów gorących odżywiać się, ale i obżerać się można. Na bankiecie tym dań zmieniło się zgórą piętnaście, przyrządzonych smacznie i zakrapianych wodą źródlaną. Przy deserze, przy którym do spełniania toastów posłużyła zamiast wina woda z sokiem, prezydent zabrał głos i wyłożył, jako dobro ludzkości we względzie moralnym i materjalnym wymaga wyrzeczenia się mięsa. Pod koniec mowy podniósł względy zdrowotne, wykazując je na żywym przykładzie — na osobie własnej.

— Panie i panowie! — wzywał — Patrzcie na mnie!

W rzeczy samej było patrzeć na co. Słuszny, barczysty, na obliczu czerwony, atletycznie zbudowany, przedstawiał sobą wzór zdrowia.

— Nie odżywiam się innemi, tylko jarzynnemi potrawami. A oto, jak mi służą!

Gromkiemi oklaskami spółbiesiadnicy prezesowi na przemówienie odpowiedzieli.

Po nim głos zabrał profesor Raoux, szczupły, chudy, mizerny. Ten zdrowiem się nie chwalił, ale wykazywał przykłady narodów, jak rosyjski, bez mięsa się obchodzących i zdrowiem się mimo to cieszących.

Po profesorze przemówił ktoś równie jak on, jeżeli nie bardziej jeszcze, chudy i mizerny. Ten jarstwo brał ze strony ekonomicznej, interesującej zwłaszcza klasy robotnicze, których zarobki we dwójnasóbby się podniosły, gdyby się odżywiały jarzynami i nie wydawały na wino, piwo i gorzałkę.

Mowcom tym również oklasków nie szczędzono, lecz w okla-

skach dla nich odczuwać się dawała różnica, jaka zachodziła w tuszy i zabarwieniu oblicz pomiędzy nimi a lekarzem. W oklaskach dla nich przebijała się ironja życzliwa. Akcent ów w okazjach podobnych po raz pierwszy zauważyć mi się dał. Profesor Raoux posiadał uznawane przez społeczeństwo lozańskie zalety moralne, które dla niego szacunek wzbudzały, posiadał atoli przytem upór agitacyjny, przesadny, który, wymową porywającą niepoparty, śmiesznym go czynił.

Oh! wymowa świetna. Pięknym jest ona natury darem, ale — jakże bywa szkodliwą! Oświecone w społeczeństwach warstwy znają się na tem. Śród młodzieży szczególnie i w klasach robotniczych sprawia ona spustoszenia. Wymowie odpowiada styl w literaturze, zarówno nadobnej jak naukowej. Piękno i dobro niezawsze, niestety, w parze chodzą.

Znajomości nasze w Lozannie nie ograniczały się na gromadce moich z Ligi Pokoju i Wolności kolegów. W pensji panny Pauliny żona moja, a przez nią i ja, weszliśmy w stosunki towarzyskie z członkami kolonji polskiej, składającej się, oprócz generałowej i państwa Gałeckich, krewnych naszych, z lekarza Polaka, księdza, robotnika żonatego i obdarzonej gromadą dziatwy rodziny zamożnej, trzymającej się nauboczu.

Lekarza, dra Józefa Zanietowskiego, człowieka wielkiej zacności, sprowadziła do Lozanny z żoną i dzieckiem choroba serca. Z nim zapoznaliśmy się i zbliżyli najpierw spowodu, że się nam w pierwszej połowie stycznia r. 1873 rodzina o głowę jedną dziewczęcą powiększyła. Gość ten na świat przybył w asystencji dra J. Zanietowskiego, który od momentu tego przyjaźnie się do nas odnosił i któremu zawdzięczamy czuwanie bezinteresowne nad zdrowiem naszem w ciągu całego naszego w Lozannie pobytu. Naszej rodziny z jego rodziną, zwłaszcza zaś z doktorową, nie podkreślał jednaki i spólny mianownik religijny. Mimo to znosiliśmy się, a życzliwość dla nas doktora nie słabła ani trochę.

Z księdzem Jasiewiczem i z robotnikiem tapicerskim, nazwiskiem — jeżeli się nie mylę — Skowroński, w dobrych pozostawaliśmy stosunkach. Ten ostatni cierpiał na mezaljansie małżeńskim. Młodym i bardzo przystojnym chłopcem będąc, wziął udział w powstaniu styczniowem. Ranny w jednem ze spotkań z Moskalami w pobliżu granicy galicyjskiej, w Galicji

leczony we dworze szlacheckim, pozyskał miłość córki gospodarstwa i związał się z nią węzłem małżeńskim. Panna, idąc za bojownika o wolność ojczyzny, nie domyślała się, a może nie dbała o to, że za rzemieślnika wychodzi. Dało się to jej czuć, gdy skutkiem ogłoszenia Galicji r. 1864 w stanie oblężenia z kraju z mężem wyrzucona w sferę życia robotniczego weszła. Towarzystwo lepsze znajdowała na pensji panny Pauliny, gdzie i swobodniej odetchnąć i pomówić o czemś nowem i na fortepianie pograć mogła. Słyszałem ją raz grającą sztukę, którą nazwała: „Bitwą pod Ostrołęką“. Za ustępem każdym dobitnie tytuł onego wygłaszała.

— To trąby grają. — To harmaty strzelają. — To ranni jęczą — i t. p.

Czuła się, biedna, wykolejoną. U rodziców było jej lepiej niż u męża w dostojeństwie macierzyństwa. Wydobywając z klawiszów granie trąb i huki wystrzałów harmatnich, głuszyła w sobie wspomnienia sprzed lat dziesięciu.

Rodzina nauboczu się trzymająca zamieszkiwała dom w ogrodzie i składała się z ojca, Ludwika Orpiszewskiego, z matki, hrabianki Platerówny z domu, z czterech synów i jednej córki. Ojciec, eksmąż stanu, eksdziennikarz i belletrysta, wysłużony w zawodzie dyplomatycznym (w czwartym w. XIX lat dziesiątku pełnił funkcję agenta ks. Adama Czartoryskiego w Rzymie przy Stolicy Apostolskiej), oddał się w Lozannie wychowaniu dzieci po bożemu. Życie jego zaznaczyło się czynem, wobec którego głowy polskie, zwłaszcza młode, chyliły się same, należał bowiem do tej studentów Uniwersytetu Warszawskiego szesnastki, co w nocy 29 listopada r. 1830 wielkiego księcia z Belwederu wypłoszyła. Myśląc w Brukseli o Lozannie, zamierzałem po przybyciu do tej metropolji nadlemańskiej cześć wraz z żoną belwederczykowi temu hołd złożyć.

— Ani myślmy o tem — rzekła żona, gdym jej o tem powiedział.

— Czemu? — zapytałem.

— Ciotka mnie ostrzegła, iżby mu to przykrość sprawiło.

— Przykrość!?

— Nie lubi, by mu Belweder wypominano.

Przypuszczałem skromność, wynik cnoty chrześcijańskiej — pokory, zawiadomiono nas bowiem o posuniętej do bigoterji

najskrajniejszej pobożności, przenikającej rodzinę. Nie zachęcało mnie to do spieszenia się z wizytą u Orpiszewskich.

Nie spieszyło się nam z drugą jeszcze wizytą, z powodów wręcz przeciwnych.

O ile Orpiszewscy byli fanatycznie nabożni, o tyle Rechniewscy byli fanatycznie bezbożni. Orpiszewskich atoli o brak patrjotyzmu polskiego posądzać nie można było, Rechniewscy zaś do braku tego głośno się i otwarcie przyznawali. Przytem mieszkali nie w Lozannie, lecz w oddalonej od niej o kilometrów kilka wsi Jouxtens, w domu własnym, w którym się zagospodarowali na stałe. Z mieszkających w Lozannie Polaków odwiedzał ich jako lekarz sam tylko dr Zanietowski. Po przybyciu z Rosji nie odwiedzili oni nikogo i nikt z nimi się nie znajomił. Znano ich z widzenia, gdy do miasta które z nich — pan lub pani — przyjeżdżało albo przychodziło. Poznawałem ich po powoziku i koniu gniadym. Raz na placu, przy studni, zoczywszy zbliżający się powozik, stanąłem. Powozik, zrównawszy się ze mną, również stanął, i ten, co w nim siedział i powoził, zwrócił się do mnie z miną taką, jakby chciał mi zadać pytanie: „Czego waść ode mnie chcesz?“ Był to Rechniewski w osobie własnej. Nie dopatrzyłem jednak fizjognomji jego. Nie w powoziku nie poznałbym go był.

Stosunki nasze towarzyskie w pierwszych pobytu naszego w Lozannie latach w szczuplutkiem zawarły się kółku. Odwiedziny ograniczały się do pensji panny Pauliny, u której gościem w czasie owym z Polski bodaj czy nie najpierwszym i jedynym był Juljusz Jeleńkowski. Zamówiliśmy go sobie na ojca chrzestnego do Helenki i on przyjechał w r. 1873 pod jesień. Chrzcił ją proboszcz lozański, człowiek zacności wielkiej, który obecnie (r. 1908) zajmuje stanowisko biskupa w Szwajcarji francuskiej.

Nie sam chrzest Juljusza sprowadził. W głowie mu pokutowała myśl zakładu edukacyjnego dla młodzieży polskiej pod dyrekcją moją. Omawialiśmy ją o ile można najbardziej szczegółowo, bardzo atoli po dyletancku, ani on bowiem, ani ja nie byliśmy w zakresie nietylko pedagogicznym, ale organizacyjnym i administracyjnym fachowcami. Można to zastąpić powołaniem, darem, który natura udziela takim jak Pestalozzi wybrańcom swoim. Lecz sam Pestalozzi fachowcem nie był, nie umiał bowiem swoich zakładów edukacyjnych na przyszłość zabezpieczać. Nie posiadał ducha organizacyjnego, polegającego

nietyle na pojmowaniu, co na wykonywaniu. Możebym potrafił być nauczycielem gimnazjum, a nawet profesorem w uniwersytecie, ale nie administratorem zakładu, łączącego zadania nauczaniowe i wychowawcze z zadaniami gospodarczemi, polegającemi na szczegółach dozoru nad warunkami higjenicznemi i odżywianiowemi, a szczególnie rachunkowemi. „Bacz rozchodzie, abyś był z dochodem w zgodzie“. Baczenie na to obowiązywało mnie i żonę moją. Z potrzeby rachowania się, dozorowania gospodarstwa i czuwania nad nauczaniem i trybem życia uczni zdawaliśmy sobie sprawę, pojmowaliśmy we względzie tym obowiązki nasze, ale w wykonywaniu onych brakło nam przedewszystkiem zmysłu, a nadewszystko wprawy. Dzięki łączeniu jednego z drugą, a przynajmniej posiadaniu bądź zmysłu, bądź wprawy, ludzie z niczego do majątków dochodzą. Warunki te wypładza duch merkantylizmu, którego w nas najmniejszego — równie jak w Juljuszu — śladu nie było.

A takeśmy głęboko zastanawiali się, rozważali i miarkowali!

Zamieszkaliśmy w Lozannie u siebie właściwie w r. 1873 dopiero. Latem roku tego na tyczące się zakładu edukacyjnego wywiady Juljusz przyjechał. Zabawił miesięcy kilka, czas jakiś w Lozannie, więcej w Szwajcarji, którą zwiedzał. Z pobytu jego zanotowały się mi: chrzciny Helenki (na świat przyszła w miesiącu styczniu, dnia 11., do chrztu ją trzymali: Juljusz i Helena Gałecka), udział Juljusza w kongresie Ligi Pokoju i Wolności w Genewie i wręczenie przezeń mojej żonie do przechowania 25.000 rubli, gdy na zwiedzanie lodowców wyjeżdżał. Na kongresie towarzyszył mnie. Dziwiło go, że posiedzeń nie poprzedzają nabożeństwa, dyskusje atoli i mowy uzyskiwały uznanie jego i znajdował słusznem i we względzie pokojowym racjonalnem domaganie się dla Europy ustroju republikańskiego federacyjnego. Jedno go tylko w tem niepokoiło:

— Byłoby to bardzo dobrze, ale czyby na to Rosja pozwoliła?

W Szwajcarji dziwiło go rzeczy niemało. Po raz pierwszy widział winnice, po raz pierwszy w budujących się domach oglądał belki żelazne.

Przed wyjazdem jego z nim razem wizytowałem Orpiszewskiego, który go na pensji u panny Pauliny rewizytował, ale mnie nie. Zapewne o tem, com zacz, dowiedział się z Hotelu

Lambert, z którym w stosunkach pozostawać musiał. Ze mną stosunek długo, lata całe, nie schodził z ulicy. Znaliśmy się, bom był u niego, i przy spotkaniach witaliśmy się, ale w sposób zabawny. Nie poznawał mnie w zamyśleniu i mijając, wstrząsał się nagle, zatrzymywał, wracał i wykrzykiwał:

— Ah! to pan dobrodziej.

Po wykrzyknięciu przepraszał; po przeproszeniu słów kilka o pogodzie lub o zdrowiu zamienialiśmy ze sobą i rozchodziliśmy się.

Powtarzało się to nieodmiennie póty, pókiśmy u państwa Warnery nieopodal od placu Beaulieu mieszkali, mówiąc inaczej: pókiśmy w domu naszym Clos Rosiers, przy ulicy Route de Morges, nie zamieszkali.

Później się o domu tym rozpiszę. Tymczasem skończę o Orpiszewskim i o paru na wspomnienie zasługujących zdarzeniach, jakie nas, nimeśmy mieszkanie zmienili, spotkały.

Razu pewnego, po zwykłem na ulicy powitaniu się, Orpiszewski, zamiast mnie przed pożegnaniem się przepraszać, począł iść ze mną w kierunku, w którym szedłem, i zawiązał rozmowę od zapytania, jak mi się w Lozannie podoba. Odpowiedziałem, że mi się podoba.

— Czy nie razi pana brak pojazdów prywatnych i zaprzęgów przyzwoitych?

— Nie zwracałem na to uwagi — odrzekłem.

— A przecież to się w oczy rzuca.

Z punktu tego wywiązała się rozmowa. Orpiszewski za złe brał Lozannie, stolicy jednego z większych w Szwajcarji kantonów, brak wyglądu stołecznego.

— W Szwajcarji kantony są państwami — mówił. — Dla honoru przeto jeżeli nie miasta, to państwa, kilkunastu, w ostateczności kilku mieszkańców zdobyćby się mogło na karetę, na parę koni cugowych, na furmana i lokaja w liberji.

— Może nie mają za co — wtrąciłem.

— Bogacze są między nimi, bez poczucia jednak godności państwowej.

W materji tej rozmowa z Orpiszewskim najpierwsza — dlatego mi w pamięci pozostała — doprowadziła nas do wychodzących wprost na ulicę drzwi domu, w którym się mój zakład naukowy dla młodzieży polskiej znajdował. Przed drzwiami

zatrzymaliśmy się, i ja, drzwi wskazując, odezwałem się tonem i z akcentem zaproszenia czy wezwania:

— Może pan dobrodziej będzie łaskaw...

Bez odpowiedzi gestem wezwanie przyjął i próg przestąpił.

Salonik nasz znajdował się na parterze, lecz ponieważ godzina poranna nie pozwalała odwiedzin tego rodzaju brać w znaczeniu wizyty, wprowadziłem gościa nie do saloniku, ale na piętro, gdzie, obok uczelni i pokojów sypialnych, znajdowała się pracownia moja. Z pracowni na jezioro i góry przeciwległe prześliczny rozlegał się widok. Gościa to uderzyło. Jął się o widokach w Szwajcarji wogóle mówić.

— Przynajmniej na tem Lozannie niebrak — wtrąciłem.

— Na tem tylko — odparł.

— I na szkołach.

— Mogłyby być lepsze.

Domyśliłem się, że w szkołach lozańskich raziła go bezwyznaniowość. W kantonach protestanckich nauczanie religji utrudnia rozmaitość wyznań, uniemożliwiając sprowadzenie ich do jednego mianownika. Sam protestantyzm dzieli się na prawowierny i liberalny obecnie, nie licząc sekt i katolicyzmu w dwóch rodzajach: rzymskim i starokatolickim. Iluż w każdej szkole średniej należałoby dodać nauczycieli dla wpajania w młodzież prawd wiary! Jakby prawdy te wyglądały! Dlatego w kantonach protestanckich wykład religji zdano na rodziców. Gorliwego katolika raziło to, niebardzo jednak, ponieważ, osiedlając się dla wychowania dzieci w Szwajcarji i mając do wyboru kantony protestanckie lub katolickie, śród których Fryburg niewiele protestanckim we względzie szkolnym ustępuje, wybrał protestancki. Może zrobił to wcelu nawrócenia sprotestantyzowanego przez „ich magnificencje“ berneńskie przemocą kantonu Vaud, osiadając w stolicy onego i świecąc przykładem rodziny pogrążonej w nabożeństwie? Celu tego atoli, z wyjątkiem lekkiego o niedoskonałość szkół lozańskich potrącenia, nie wykazał tym razem i później nie wykazywał wobec mnie.

Później odwiedzał mnie — nieczęsto, ale odwiedzał, — nigdy wszelako w znaczeniu wizytowem, wywołującem zawiązanie stosunków towarzyskich, a zawsze niby przypadkowo, niechcący, najczęściej dzięki spotkaniu się na ulicy w sposób

zwyczajny, poprzedzony przez zamyślenie się i wstrząsanie z okrzykiem: „Ah! to pan dobrodziej! — Przepraszam!“

Po przeproszeniu albo zwracał się i towarzyszył mi czas jakiś, gdym się od Clos Rosiers oddalał, albo towarzyszył do Clos Rosiers i, na zaproszenie nie czekając, wchodził wraz ze mną do pracowni mojej.

Przypadkowe niby te wizyty nie były bezcelowe. Na Orpiszewskiego widocznie napadały momenty, w których uczuwał potrzebę wygadywania się otwarcie. Znał osobiście i zbliska Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Miał więc o czem mówić, ja miałem go słuchać; że zaś byłem słuchaczem pojętnym, sprawiałem mu przeto zadowolenie, które go do opowiadania pobudzało. Stąd nasze we cztery oczy posiedzenia przedłużały się z „godzinki“ na „godzinkę“ i obywały się bez polemiki, bez dyskusji, polegając wyłącznie na tem, że ja pytałem, on odpowiadał i opowiadał, opowiadał. A opowiadał tak zajmująco, żem mu nieraz przerywał:

— Panie! pamiętniki...

Raz odważyłem się na powiedzenie mu:

— Panie! zbrodnię popełnisz, jeżeli po sobie pamiętników nie zostawisz.

Zapewniał mnie prawie, że pomyśli o tem, ciągnąc dalej rozpoczętą o którymeś z Wielkich naszych relację. Nie przypominam sobie, ażebyśmy mówili o czem innem, ani o literaturze nawet, która go, jako autora powieści paru i dramatu pięcioaktowego p. t. *Mikołaj Zebrzydowski*, napisanego w Lozannie [1], obchodzić była powinna. Jeżeli obchodziła, to nie spółczesna. Ta, co zakwitła po krwawej kąpieli r. 1863—4, dla niego nie istniała. Nie trzymał i nie czytywał dzienników i pism literackich polskich żadnych. Widział u mnie *Tygodnik Ilustrowany* i *Kłosy*, podsunąłem mu je — spojrzał i odwrócił się. Poznawszy tę jego obojętność dla nowoczesności literackiej, omijałem ją i obchodziłem się z nim jak z ptactwem, co niekiedy przez otwarte okno do pracowni mi wlatywało. Lękając się spłoszyć go, rozmowę zawsze starałem się nakręcić na osobistość jednego z trzech nich: Krasińskiego, Słowackiego lub Mickie-

---

[1] Orpiszewskiego L. dramat *Mikołaj Zebrzydowski*, druk. Poznań 1872, powieść *Pułkownik*, Paryż 1858.

wicza. Mówienie o nich widocznie przyjemność mu sprawiało. O każdym coś nowego zawsze powiedzieć umiał, ja zaś — tak mało, tak dalece mało literatem z rzemiosła byłem, żem brał to, nie notując do wiadomości, i obecnie, po trzydziestu kilku latach, w pamięci pozostały mi jeno wspomnienia ogólnikowe, jak np. o chorowitości i nieprzystępności „dynastycznej" (wyrażenie Orpiszewskiego) Krasińskiego, o elegancji Słowackiego, co do którego przypominam sobie odpowiedź, jaką mi dał na zapytanie moje, czy nie znał Muzy, co Słowackiemu za model do nakreślenia *W Szwajcarji* kochanki posłużyła.

— Jakżebym miał bratowej mojej nie znać! — odparł. — Utyła, wygląda jak ten stół — dodał, wskazując na cale poważnej objętości stolik krągły, na środku pokoju stojący.

W pamięci mojej dokładnie przechowałem opowiadanie jego o kłopotach, jakie im — zmartwychwstańcom i Orpiszewskiemu — sprawił Mickiewicz w Rzymie, w sprawie audjencji u papieża.

— Nauczyliśmy go, jak ma się wobec Ojca świętego zachować — słowa Orpiszewskiego, owoczesnego w Stolicy Apostolskiej agenta Hotelu Lambert. — I wszystko szło dobrze, póki w odpowiedzi na powitanie Piusa IX głosu nie zabrał. Osłupieliśmy. Samo zabranie głosu przeraziło nas, było bowiem zgwałceniem nietylko etykiety, ale czci Głowie Kościoła należnej. Na coś podobnego nie odważyłaby się żadna głowa koronowana. Mikołaj I tym tonem i z gestem podobnym spewnością do Grzegorza XVI nie przemawiał.

— Cóż mówił? — zapytałem, gdy oburzenie Orpiszewskiemu mowę na chwilę odjęło.

— Co mówił?! Papieża na towianizm nawracał!

Po chwili prawił dalej:

— Ojciec święty zmieszany, w milczeniu, w Mickiewicza wpatrzony na tronie siedział. Zmieszaniśmy byli i my, i dzięki jeno oprzytomnieniu X. (nie przypominam sobie wyrzeczonego przez Orpiszewskiego nazwiska, czy zmartwychwstańca, czy też towarzyszącego delegacji polskiej włoskiego dostojnika kościelnego) wycofaliśmy się z tej imprezy rozpaczliwej, w jaką nas Mickiewicz wprawił. Odetchnęliśmy, gdyśmy się na ulicy znaleźli. Tylko nadzwyczajna Piusa IX na Polaków łaskawość przed smutnemi wyprawy tej następstwami nas osłoniła.

— Cóż Mickiewicz? — zagadnąłem...

— A! Nadzwyczajnie był zadowolniony. Mówił o wrażeniu, jakie na papieża wywarł, i domagał się audjencji powtórnej.

Rozmowa między mną a L. Orpiszewskim o audjencji tej powtórzyła się jeszcze razy parę z tą różnicą, że za pierwszym razem cechowała ją powaga względna, której miejsce zajęła później żartobliwość. Orpiszewski żartował z papieża, ze zmartwychwstańców i z siebie. Sprawozdanie w materji tej moje nie jest stenograficznem, ale jest streszczeniem wiernem tego, com z ust świadka naocznego słyszał. Nie powtórzył on mi dlatego, że powtórzyć nie chciał, osnowy przemówienia Mickiewicza. Sprawozdanie z audjencji tej dokładne znajduje się spewnością w sekretnych spadkobierców ks. Adama Czartoryskiego archiwach. Staną się one znanemi, gdy zakaz z nich zdjętym zostanie wolą bądź spadkobierców, bądź Prusaków w razie opanowania przez nich Krakowa, o co im mocno chodzi.

Do wspomnień o Orpiszewskich dołączyć winienem jeszcze śmierć p. Ludwika, zaszłą niespodzianie, pogrzeb i moją nad grobem jego mowę pogrzebową, wygłoszoną na żądanie rodziny, która mi za nią nie podziękowała, dlatego zapewne, żem zasługi nieboszczyka wyakcentował czynnym udziałem jego w wystraszeniu w. księcia Konstantego z Belwederu d. 29 listopada r. 1830. Nie wiedziałem, że w mniemaniu rodziny czyn ten na pochwałę naprawdę nie zasługiwał. Po śmierci ojca rodzina się z Lozanny wyniosła z wyjątkiem syna najstarszego, p. Józefa, który, skończywszy w politechnice miejscowej nauki, znalazł na kolei żelaznej posadę i dotychczas (r. 1909) na niej pozostaje.

Stosunek — nie nasz, bo rodzina ani Orpiszewskich, ani moja udziału w nim nie brała, ale mój — z nieboszczykiem był, że się tak wyrażę, postronnym. Utrzymywała go ze strony mojej ciekawość, ze strony jego potrzeba wygadywania się przed kimeś słuchać umiejącym. Sztukę tę — jak się zdaje — wcale w wysokim posiadałem stopniu. Nie umiałem jej niestety wykorzystać. Kto inny — literat z rzemiosła — byłby świadkowi przemówienia Mickiewicza do papieża zdołał powyciągać muchy z nosa i z półsłówek, z niedomówień opowiadacza odbudować przemówienie, jeżeli nie w całości, to w osnowie. Wszak być musiało ono nie czem innem, jak komentarzem prozą prze-

mówienia wieszcza mową bogów w Improwizacji. Improwizacja zwracała się do Boga, przemówienie do „Namiestnika“ bożego na ziemi. Pomiędzy tamtą a tem psychicznie i logicznie zachodzi związek, z którego stylista w rodzaju Artura Górskiego wysnułby *Monsalwat*[1] w potędze *n*; co za szkoda dla doktryny prometeizmu, że na miejscu mojem nie znalazł się słuchacz mistycyzmem podszyty wobec takiego, jakim był ś. p. Ludwik Orpiszewski, opowiadacza!

Opowiadania Orpiszewskiego chronologicznie odnoszą się do lat dwóch (lata szkolne 1876/77 i 1877/78), w ciągu których w charakterze dyrektora zawiadowałem zakładem naukowym dla młodzieży polskiej. Powinienbym cofnąć się i pomijając zdarzenia zaszłe w ciągu trzech lat mieszkania naszego na Beaulieu, przystąpić do zdawania sprawy z funkcyj, włożonych na mnie przez człowieka wielkiej zacności i najlepszych chęci, lecz słabo pojmującego fach, któremu podołanie i mnie trudnem się nie wydawało. Odłożyć to atoli muszę na zakończenie rozdziału, w ciągu tych trzech lat bowiem zaszły zdarzenia, z których jedno mnie osobiście a boleśnie dotknęło, drugie wchodzi do kategorji charakterystycznych w rodzaju swoim spraw publicznych, znamionujących przytem ciągłość walki, toczonej z Polską przez zaborców Polski.

Ze zdarzeń pierwszem była śmierć rodziców moich, zmarłych jedno po drugiem w Mohylowie nad Dniestrem, w domu przez siostry moje (Bronisławę i Leonidę) na własność nabytym. Nie spadła ona na mnie niespodzianie. Ojciec mój, który w r. 1792 wespół z młodszą od siebie siostrą i z karmionym piersią matczyną młodszym jeszcze bratem brał — jak o tem w pierwszym pamiętników niniejszych rozdziale zapisałem — udział w kampanji przeciwko Rosji, przyjść na świat musiał nie później jak r. 1788. W r. przeto 1873 liczył lat 85. W wieku tym ludzie nad grobem już stoją. Matka moja od niego młodszą o lat 16 była. Życie ją znękało. Zejścia przeto ich dwojga ze świata spodziewać się należało z dziś na jutro. Mimo to wiadomość

[1] *Monsalwat*, doktryny prometeistycznej produkt, który w r. 1908 w wydaniu drugiem w Krakowie wyszedł, świadczy o wybitnie mistyczno-artystycznym kierunku, jaki w początkach w. XX nadobna literatura polska przybierać poczyna. Oby się w kierunku tym nie zapędziła za daleko! (Nota T. T. Jeża).

o śmierci ich wypowiedzieć się niedającym przejęła mnie bólem. Bólem i wyrzutem sumienia. Nie byłżem obowiązany czuwać nad nimi? W ciągu lat dwudziestu siedmiu rozstania się z nimi zapytanie to często na myśl mi przychodziło. Wywoływało ono odpowiedź, która mnie usprawiedliwiała, stawiając wobec obowiązków względem rodziców obowiązki względem ojczyzny. W momencie jednak, gdym się o śmierci ich dowiedział, naraz nagle przygniotła mnie myśl, że obowiązki względem ojczyzny złączyć mogłem z obowiązkami względem nich: nie żeniąc się.

„Służyłem ojczyźnie orężem i piórem. Pióro wszelako dawało mi dochody, któremi się z nimi dzielić powinienem był. Dochody całkowicie zabierałem dla siebie".

Słowami temi przemówiła do mnie zgryzota sumienia, gdy po odczytaniu zawierającego wiadomość o śmierci tych, dla których miłość serca mego na chwilę nie opuszczała, listu oddałem go do czytania żonie. Ze zgryzotą w duszy wyniosłem się do znajdującej się na mansardzie pracowni i zarazem sypialni mojej i pogrążyłem się nie w rozmyślaniu, ale w rozpaczy, nabrzmiałej pretensją do tej rodziny, co mnie na obczyźnie w oddaleniu od tamtej otoczyła. Gdyby się w chwili tej pojawiła była żona moja i do mnie się z pocieszaniem zwróciła, byłbym jej w oczy zarzutem bryznął i brutalnie ją odtrącił.

Jawiła się ona, ale później. Delikatność uczucia powstrzymała ją od pójścia wraz ze mną, poradziła jej nie występować z pocieszaniem banalnem, na nic nie przydatnem. Weszła, nieopodal usiadła i słowa nie przemówiła. Obecność jej nakazała mi pomyśleć nad nią i nad sobą w odniesieniu do winy opuszczenia rodzin przez nią i przeze mnie. Porównywując winy, za winniejszego uznałem siebie, jako stronę silniejszą. Pokochaliśmy się w warunkach nieobciążających miłości jej taką w odniesieniu do rodziny i ojczyzny odpowiedzialnością jak mnie. Rodzina jej, luboć niebogata, miała bądźcobądź byt zapewniony i bez jej pomocy obejść się mogła, co się zaś ojczyzny tyczy: jakież wobec niej znaczenie miałby jej, dziewczyny dwudziestoletniej, w służeniu onej udział czynny? Do udziału czynnego powołałem ją ja, — ją nb. nie samą, ale z dziećmi, i w sposób ten obarczyłem sam siebie dobrowolnie obowiązkami względem niej, względem otaczającej ją i mnie dziatwy naszej (trzy

w momencie owym dziewczynki i chłopiec), względem rodziców moich, pozbawionych, skutkiem śmierci trzech synów: Józefa rozstrzelanego, Jana który padł pod Oltenicą (obydwóch r. 1853) i Justynjana, zmarłego wcześniej, sił odpornych wobec zagrażającego im w starych latach niedostatku, względem ojczyzny wreszcie.

Tym ostatnim obowiązkom, w mojem i rodziców moich mniemaniu najważniejszym, dla których ja ich w r. 1848, a ojciec mój rodziców swoich r. 1809 opuściliśmy, dla których dziad mój r. 1792 nie zawahał się żony z dziećmi zaryzykować, nie mogąc w momencie owoczesnym inaczej, służyłem piórem, szykując się służyć im na polu edukacyjnem, przysposabiając dla nich młodzież, któraby duch polski dźwignąć zdołała z upadku, w jaki wtrąciły go dwa niepowodzenia — jedno krajowe, drugie zagraniczne: upadek powstania styczniowego i klęska Francji przez Prusy zadana.

Upadek na duchu skutkiem klęski francuskiej głębszym był niż kiedykolwiek przedtem. Pierwszy kraju rozbiór pozostawiał Polsce sił dosyć do dźwignięcia się i odzyskania poważnego stanowiska śródpaństwowego. Po rozbiorze drugim powstanie kościuszkowskie, wywołane i przysposobione przez wychodztwo, a będące ciągiem dalszym wojny 1792, wykazało w Europie ostoję dla polityczno-militarnych rezerw, nadającą się do utrzymywania w ciągłości walki organizacyjnej (przez zaborców „konspiracyjną“ zwanej) i od czasu do czasu orężnej o Polskę walki. Legjony Dąbrowskiego ostoję ową ugruntowały we Francji, wywołując ugruntowanie dla niej po r. 1831 oficjalne: przyznaniem emigracji polskiej żołdów wojskowych. Niepowodzenie nawet powstania styczniowego nie pozbawiło Francji charakteru ostoi w odniesieniu do sprawy polskiej. Odbudowany przez synowca Napoleona I napoleonizm zobowiązywał ją. Klęska przeto Francji r. 1871 wywarła w Polsce wrażenie obucha, spadającego na nią z ramienia pruskiego i wołającego do Polaków słowami Dantego: „*Lasciate ogni speranza.*“

Rozpacz umysły polskie ogarniała.

Dla takich przeto jak ja — niepoprawnych i nieprzejednanych — otwierało się pole pracy w kierunku podnoszenia ducha polskiego, chociażbym miał być w działalności tej osamotnionym.

Osamotnionym atoli nie byłem.

Przecież tak niedawno — nazajutrz po triumfach pruskich — w Poznańskiem i w Galicji widziałem Polaków, mówiłem z nimi o Polsce i nie znalazłem śród nich ani jednego zrozpaczonego.

Przecież w Lozannie przed czterema laty wziąłem udział w kongresie Ligi Pokoju i Wolności, w którym Francuzi, Włosi, Anglicy, Niemcy nawet niepodległość Polski na konieczność dla dobra ludzkościowego uznali.

Przecież ona, żona moja, w półtora roku po złączeniu się ze mną węzłem małżeńskim, z pierworodnem dzieckiem na ręku do powstania mnie wyprawiła.

Wszyscy ci i wszystko to usprawiedliwiało opuszczenie przeze mnie rodziców dla sprawy, w której z nich przykład wziąłem i której z ich błogosławieństwem służyłem.

Wszystko to w myśli mi się sposobem błyskawicowym przesunęło, łzy mi z ócz popłynęły i ze łzami w oczach do jej, towarzyszki mojej, kolan się pochyliłem.

I ona zapłakała.

O szczegółach zgonu rodziców moich dowiedziałem się później z ust siostry mojej, Bronisławy, gdy ta r. 1878 w Genewie nas odwiedziła i do wiosny r. 1879 z nami zabawiła.

Oboje oni obłożnie pod koniec zimy r. 1873 zachorowali i leżeli w pokojach osobnych, jeden od drugiego oddalonych, doglądani przez córki, czuwające nad nimi we dnie i w noce. Matka bardziej cierpiała, ojciec mniej: nie doznawał gorączki, nie dokuczały mu bóle, obezwładniało go osłabienie starcze. Rano d. 28 marca, obudziwszy się, kazał podać sobie mydło, pendzel i brzytwy, ogolił się, umył, o poduszki się oparł i nim mu z córek jedna herbatę czy kawę podała, skonał.

Córki go do snu wiecznego przybrały.

Matka o śmierci jego nie wiedziała, i dlatego, ażeby do niej wiadomość ta nie doszła, przysłana przez konsystujący w Mohylowie pułk piechoty dla uczczenia zgonu oficera, luboć polskiego, lecz przez rząd rosyjski uznanego, muzyka wyprowadziła zwłoki jego, przez młodzież polską niesione, w milczeniu. Odezwała się na drodze dopiero. Nad grobem Polacy pożegnali nieboszczyka dobrem, cicho wyrzeczonem słowem; Moskale uczcili go sprezentowaniem kirem osłoniętej broni i salwą

głuchą. Ani w r. 1809 Austrjacy, przeciwko którym orężnie walczył, ani w r. 1812—3 z tej samej racji Moskale nie byliby mu, gdyby był wówczas umarł, a to od nich zależało, honorów pośmiertnych oddawali. Honory zwłokom starca, który ich nie czuł i nie potrzebował, oddali, ale mu przedtem życie zatruwali, znęcając się nad ojczyzną jego i wydzierając mu jednego po drugim synów. Najstarszy jego śladami r. 1848 poszedł i w progi domowe nie wrócił; z młodszych r. 1853 trzech naraz Moskwa mu wydarła: Józefa w Izmaiłowie rozstrzelanego, Szczęsnego do Orenburga z pozbawieniem go szlachectwa do t. zw. rot aresztanckich zesłanego, i Jana, chorążego w pułku piechoty rosyjskiej, który z moskiewskim sztandarem w ręku w bitwie przeciwko Turkom pod Oltenicą zginął.

Zestawienie tych ofiar rodzinie polskiej przez Moskali wydartych z hołdem pośmiertnym ojcu tejże rodziny, co z nimi o Polskę walczył, dużo ironją zaprawnego ma w sobie tragizmu.

W liście tym samym wraz z wiadomością o śmierci ojca doszła mnie wiadomość o śmierci matki. Nastąpiła ona w dniu pogrzebu ojcowskiego. Pogrzeb odbył się rano, przed południem, matka zmarła wieczorem, przed północą. Konając, nagle się zerwała, z łóżka wyskoczyła i na trzech synów nieżyjących głośno, z rękami wyciągniętemi, po imieniu zawołała:

„Józiu! Jasiu! Justysiu!“

O śmierci tego ostatniego tylko, który wypadkowo w gospodarstwie, przy budowli stodoły (belka na niego spadła) śmierć znalazł, wiedziała. O dwóch starszych nie wiedziała. O Józefie mówiono jej, że się w Indjach do wojska angielskiego zaciągnął. Po śmierci jego Jan w miesięcy kilka zginął, a zginął jakby nato, ażeby rodzinie, której głową był dziad mój, co ją w bitwie na moście boruszkowieckim uratował, oszczędzić posiadania członka Moskwie zasłużonego. Jan mógł nim zostać, waleczność bowiem „Bartka Zwycięzcy“ zalecała go na „zhańbienie urzędem, orderem“ i „sprzedanie duszy na wieki w łaskę cara“. Nie zdobył „zaszczytu“ tego, jakby zdobyciu onego wołanie odchodzącej w zagadkowe światy zaziemskie duszy matczynej przeszkodziło.

Czy niema w tem mistycznej do rozwiązania zagadki?

Pogrzebem matki mojej, jak i pogrzebem ojca, zajął się

nieżyjący dziś już Zygmunt Darowski, który do śmierci swojej rodziny mojej szczerym i serdecznym pozostawał przyjacielem.

Po śmierci rodziców i braci pozostawało nas czworo jeszcze: dwie siostry, Bronisława i Leonida, w Mohylowie zamieszkałe i pracą na życie zarabiające [1]; Szczęsny, który po powrocie z Orenburga, ożeniwszy się w r. 1862 z panną Michaliną Kopernicką i zostawszy ojcem dziś żyjącej córki, po raz drugi r. 1863 zesłany, tym razem do Czelabińska, po raz drugi rodzinie — pod warunkiem, ażeby nie w kraju rodzinnym (na Podolu), lecz w Królestwie zamieszkał — powrócony, zawiadował położonym w gubernji kaliskiej majątkiem Licheń hr. Kwileckiego; ja, w Lozannie przysposabiałem się do służenia krajowi w znanym mi teoretycznie zawodzie edukacyjno-pedagogicznym. W celu tym otoczyłem się traktującemi o przedmiocie tym dziełami francuskiemi, niemieckiemi i polskiemi (Pestalozzi, père Girard, A. H. Niemayer, Trentowski i in.), studjowałem, porównywałem, obmyślałem — przeszkadzało mi to w twórczości literackiej i często w studjowaniu z drogi pedagogiczno-edukacyjnej spychało na historyczną, socjologiczną, ekonomo-polityczną, polityczną. Wytworzyłem coś zapewne w międzyczasie od r. 1872 do 1876 — nie przypominam jednak sobie co. Przypominam sobie zato przerwę, jaką mi sprawiła pierwszorzędna kwestja polityczna, tycząca się emigracji polskiej.

Emigracja w dziejach porozbiorowych Polski pierwszorzędną odegrała rolę ze względu na miarę wysokości natury swojej politycznej. Zajmowała ona stanowisko ważne w odniesieniu do środowiska, które ją spowodowało, a które było i jest złożonem, potrójnem: moskiewsko-prusko-austrjackiem. Wobec mocarstw tych, czyto w zespole, czy w odosobnieniu, wobec trzech razem i każdego zosobna, emigracja polska dlatego, że

---

[1] Z konfitur, wyrabianych z owoców, w jakie obfitował obszerny przy domu ogród, ciągnęły one dochody, wystarczające im na opędzanie potrzeb. Leonida lekcje przytem w Mohylowie dawała i czas jakiś w Kaliszu, w zakładzie rzemieślniczym szewskim, ćwiczyła się w szewstwie, które jej — o ile przypominam sobie — do zarobkowania nie służyło. W Kaliszu znała się z rodziną Parczewskich. Alfons Parczewski,* adwokat, obecnie poseł do Dumy, siostra jego Melanja, autorka. (Nota T. T. Jeża).

* Zmarł jako profesor Uniwersytetu Wileńskiego w r. 1932 (Jeż podał imię omyłkowo: Adolf).

w kulturalno-politycznem zadaniu ludzkościowem, na Europie ciążącem, brak Polski dotkliwie uczuwać się daje, stanowi żywioł mocno niepokojący. Nurtuje on w łonach narodów i państw na kuli ziemskiej, szczepiąc w nich zarazki, neutralizujące zaborców Polski umizgi do nich polityczne. Nazywa się to w języku zaborczym „intrygą polską", ściganą w Rosji i Prusiech brutalnie, w Austrji „życzliwie", zagranicą zapomocą dyskredytowania emigracji dawniej w Europie, obecnie i w Ameryce.

Za panowania Mikołaja „Niezapomnianego" na tępienie „intrygi" krajowej i emigracyjnej miano w Rosji i Austrji „sądy krzywoprzysiężne"; w Prusiech w r. 1847 spróbowano sądu jawnego, na którym najgorzej wyszedł monarcha pruski.

Po upadku powstania styczniowego, za które odpowiedzialność rząd rosyjski całkowicie na emigrację zwalał, na dyskredytowanie jej w oczach krajowców w Polsce i samychże wychodźców, oraz rządów i społeczeństw zagranicznych, chwycił się on sposobów kulturalniejszych: prasowych i prowokacyjnych. Zaprowadził biura szpiegowskie, przez wychodźców polskich obsługiwane; opłacał hojnie oszczerców, pisujących korespondencje do *Dziennika Warszawskiego* (obecnie *Warszawskij Dniewnik*), opłacał redakcje niektórych francuskich i niemieckich dzienników, założył w Brukseli dziennik (zredukowany później na tygodnik) *Le Nord*, wreszcie na dosięgnięcie emigracji polskiej w punkcie najbardziej w opinji zagranicą drażliwym założył agencję celem zwabiania Polaków do fałszowania monety papierowej i narażania ich na procesy.

Działalność ta polityczna z Paryża, gdzie się pierwotnie była zawiązała, z Londynu następnie i z Brukseli przeniosła się do Szwajcarji. Przed przybyciem naszem odbył się w Yverdon, miasteczku leżącem przy południowej jeziora Neuchâtel kończynie, proces wytoczony gromadzie Polaków fałszerzy, śród których sumienne sądownictwa szwajcarskiego dochodzenie odkryło dwóch agentów prowokatorów: Francuza, nazwiskiem Bourbon, który się w więzieniu powiesił, i Moskala, nazwiskiem Kamienskoj, w randze radcy tajnego urzędnika z ministerstwa finansów w Petersburgu, który uciekł i osądzony został zaocznie. Dzięki procesowi temu, kompromitującemu mocno rząd rosyjski, spadły na Szwajcarję ze strony Rosji reklamacje, sprawia-

jące jej duże kłopoty dyplomatyczne. Jakże! Taki jak Helwecja drobiazg odważył się skazać wysłańca carskiego?

Po imprezie tej uspokoiło się sczasem. Polacy fałszerze karę więzienia odsiadywali, gniew carski się ułagodził i byłby w materji fałszerstwa spokój zapanował, gdyby — jakby na dowód, że zbrodnia ta nie z carskiego, ale z emigracyjnego polskiego wypływała natchnienia — policja znów występnej fabrykacji pieniędzy papierowych przez Polaków nie zwęszyła. Dochodzenia się rozpoczęły, rozszerzyły i aresztowania sprowadziły znów do odkrycia, w osobie męża nazwiskiem Peretz, urzędnika carskiego, stawiając rząd helwecki wobec alternatywy: albo prowadzenia procesu do końca i narażenia się na kłopoty dyplomatyczne, albo zaniechania go. Rząd wybrał to ostatnie, pozostawiając dowody w oryginałach (telegramy, listy i okazy) w rękach dwóch tłumaczy *ad hoc* zaprzysiężonych: studenta uniwersytetu Krupskiego, i handlarza tytoniem Pawłowskiego. Za ich sprawą Towarzystwo Polskie w Zurychu zwołało emigrację polską w Szwajcarji na wiec, na który otrzymałem wezwanie specjalne. Pojechałem. Wybrano mnie na przewodniczącego. Obrady trwały dni trzy, polegając na czytaniu i dyskutowaniu zredagowanego wedle dokumentów przez Krupskiego sprawozdania, obejmującego objaśnione poglądami fakty, tyczące się zabiegów moskiewskich, mających na celu zdyskredytowanie wobec świata emigracji, a przez nią i sprawy polskiej. Po przedyskutowaniu i odczytaniu sprawozdania w całości i przyłączeniu do niego nakreślonego przeze mnie wstępu zagłosowanem zostało opublikowanie onego drukiem [1].

Ogłoszenie tej pracy, wykazującej machinacje na szkodę naszą rządów rosyjskich, zapobiegło ostatecznie fałszerstwu monety papierowej pod firmą polską. Należy się za to wdzięczne nieżyjącemu już Krupskiemu, doktorowi medycyny, wspomnienie. Niestety, niewszystkie jego czyny na uznanie i wdzięczność zasługują.

Ustawiczna z Juljuszem wymiana korespondencyjna w sprawie zakładu naukowego zniewoliła mnie wkońcu do wyszuki-

---

[1] *Die polnische Fälscherbande und die russischen Staatsräthe. Zur Aufklärung der öffentlichen Meinung herausgegeben von der Gesammtheit der in der Schweiz ansässigen Polen,* Zürich 1874, str. 96.

wania w Lozannie lokalu odpowiedniego. W celu tym jęliśmy zwiedzać domy do najęcia. Szukaliśmy dosyć długo, nimeśmy znaleźli odpowiedni: dom nowozbudowany, za miastem nieco, na pochyłości, skutkiem czego czterech jeden nad drugim apartamentów o czterech pokojach mieszkalnych, kuchni i kąciku, rozkład był taki, że najniższy znajdował się niżej poziomu ulicy, zwanej Route de Morges (droga do Morges), wyższy, stanowiący parter, wychodził wprost na ulicę, nad nim piętro pierwsze, nad tem apartament pod strychem, *à la mansarde,* nad którym było jeszcze izdebek cztery dla sług, oraz lamusów *(greniers)* na składanie rupieci cztery — po jednemu na apartament. Apartament każdy posiadał piwnicę na użytek kuchenny i opałowy, dom zaś piwnicę osobną, obszerną, dziedzińczykiem bowiem przylegał do pochyłości gruntu wdół schodzącej kilkumorgowej winnicy, produkującej wino i będącej własnością właściciela domu, krawca z fachu. Jemuto potrzebną była piwnica obszerna do przechowywania w beczkach ogromnych wycisku winogradowego, którym się bł. p. Noe ku zgorszeniu synów swoich spijał. Zgorszenie podobne nie zagrażało chłopcom, mającym pod dozorem człowieka nieskłonnego do naśladowania Noego zapełnić dom, pokaźnie się zzewnątrz przedstawiający i na urząd wewnątrz zbudowany. Z lewej strony przylegał do niego plac, również własność właściciela, któryśmy wraz z trzema niższemi apartamentami najęli za cenę roczną nie pamiętam jak wysoką, nie niższą atoli od franków tysięcy najmniej dwóch i pół. Za cenę tę mieliśmy, nie licząc apartamentu dla siebie i dziatwy naszej, w dwóch przeznaczonych na pomieszczenie mniejwięcej 12 młodzieńców apartamentach pokoi mieszkalnych ośm i dwie kuchnie, mogące być na pokoje przerobione. Miejsca by przeto nie zabrakło ani na sypialnie dla uczniów, ani na uczelnię, ani na mieszkanie dla korepetytora-dozorcy, ani na gabinet dla mnie. Potrąciwszy bowiem trzy izby ostatnie od 10, pozostawało na wygodne uczniów pomieszczenie izb 7. Plac przyległy przeznaczyłem na zaopatrzenie zakładu w przyrządy gimnastyczne.

W ciągu roku kalendarzowego pory na zajęcia naukowe i wypoczynki szkolne w gimnazjach szwajcarskich nie wypadały jednakowo. Zależało to od kantonu. W kantonie Vaud promocje z klas niższych do wyższych odbywały się i nadgrody uczniom

rozdawane były w miesiącu kwietniu, pociągając za sobą krótkie ferje wielkanocne. Następnie w porze kanikularnej nadchodziły wielkie półtoramiesięczne wakacje, z których końcem, przypadającym w miesiącu sierpniu, rozpoczynał się rok szkolny. We wrześniu rozpuszczano uczniów dla winobrania na parutygodniowe małe wakacje, po których przychodziły również parutygodniowe wakacje noworoczne, rozpoczynające się we wigilję Bożego Narodzenia.

Ponieważ mnie wespół z Juljuszem, zasiłkującym zakład mój tysiącem rubli, danym jednorazowo na wydatki instalacyjne *(frais généraux)*, niemożliwem było otworzenie szkoły polskiej, poprzestać musiałem na otworzeniu zakładu naukowego dla młodzieży polskiej, uczęszczającej do szkół rządowych dla kształcenia się obywatelskiego ogólnego, dopełnianego kształceniem się domowem narodowem. Pierwszemu za język wykładowy służył język francuski, drugiemu polski. Wykłady polskie obejmowały: język, literaturę, historję i katechizm, oraz — dla młodzieży, pochodzącej z zaboru rosyjskiego, — język rosyjski. Wykładanie języka polskiego, historji i literatury wziąłem na siebie; religję wziął na siebie ksiądz Jasiewicz, do języka rosyjskiego wyszukanie nauczyciela odłożyłem na później, będąc pewnym, że [go] znajdę śród rzadkich jeszcze poprzedników rosyjskiego wychodztwa politycznego, pochodzących ze sfer inteligentnych. Nauczyciele religji i języka rosyjskiego, mający wykładać po godzin dwie tygodniowo, płatnymi być mieli od godziny.

Chodziło mi o korepetytora, —korepetytora Polaka, do przerabiania z uczniami w domu lekcyj i zadań szkolnych, posiadającego dostateczną zasad gramatycznych języków łacińskiego i greckiego znajomość i uzdolnionego do tłumaczenia po polsku lekcyj i zadań francuskich, francuskiemi bowiem w kraju francuskim były dwa gimnazja lozańskie: klasyczne i realne.

Zdawało się, że o korepetytora tak uzdolnionego i język francuski posiadającego trzeba będzie w pruskim lub austrjackim zaborze kołatać w sferach nauczycieli domowych. Pokazało się jednak, że byli oni do znalezienia w szeregach wychodztwa politycznego polskiego, zasilanego przez jednostki zdolniejsze z klas wyższych gimnazjalnych w kraju, prześladowane z racji zdolności ich specjalnie przez władze szkolne w zaborach moskie-

wskim, pruskim i austrjackim, — w tym ostatnim mimo spolszczenia szkół[1].

Wiedziałem o wychodztwie tem w Brukseli, przesuwającem się przez Belgję do Francji. W Lozannie o niem opytu nie miałem. Objaśnił mnie we względzie tym czcigodny kapitan Stryjeński, opiekun w Genewie r. 1864 powierzonej mu przeze mnie chorej żony mojej i uznawany przez helwecki rząd centralny *(Conseil fedéral)* w Bernie przedstawiciel emigracji polskiej w Szwajcarji. Odwiedziłem go z Lozanny dwukrotnie: raz dla zabrania znajomości z polskiem Towarzystwem Pomocy Wzajemnej, najstarszem w emigracji polskiej, bo istniejącem od r. 1832, drugi raz, gdym r. 1875 dni dwa w miesiącu wrześniu z Juljuszem na kongresie Ligi Pokoju i Wolności w Genewie zabawił. Mimochodem zaznaczę wrażenie jaknajlepsze, jakie kongres na Juljuszu wywarł i zupełne przezeń zasad Ligi Pokoju i Wolności uznanie, hojnym na rzecz jej przypieczętowane datkiem.

Stryjeński podjął się zakład mój w czasie swoim zaopatrzyć w korepetytora odpowiedniego.

Juljusz zjechał był wówczas do Lozanny dla przekonania się *de visu* o stanie, w jakim znajdowały się przygotowania odnoszące się do zakładu. Znalazł on je posunięte o tyle, żeśmy już w Clos Rosiers zamieszkali i dom stosownie do przeznaczenia onego meblowali. Zajęliśmy tymczasowo parter, zamierzając przenieść się do apartamentu niższego w razie zbliżania się ilości młodzieży do cyfry normalnej dwunastu. Piętro pierwsze zapełniały już łóżka żelazne, stoły, stoliki, szafy, szafki, krzesła w pokojach przeznaczonych na sypialnie; w sali balkonowej, mającej służyć za uczelnię, środek zajmował stół duży; przylegający doń pokój mój pustką jeszcze świecił.

Juljuszowi, któregośmy na piętrze w sali balkonowej ulokowali, podobało się wszystko: i dom, i rozkład onego, i zaprowadzane przez nas porządki, łącznie z kuchnią, na którą się żonie mojej uskarżał:

— Siostra dobrodzika przysmakami mnie obkarmia. Tak nie można.

---

[1] W r. 1894 gromadka uczniów gimn. tarnopolskiego siedziała w więzieniu dla procesu, wytoczonego jej za knowania patrjotyczne. (Nota T. T. Jeża).

Upomnienie to powtarzane odnosiło się zapewne do żywienia młodzieży, mającej zakład zapełnić za miesięcy dziesięć, której należało się zdrowe ale niewykwintne jadło. Upomnień jego cenić nie umiałem, jako niesmakosz, którym Juljusz był w całem wyrazu tego znaczeniu. Uprzedziłem o tem żonę i ona go snadź należycie ugościć chciała.

— Tak nie można — powtarzał. — To zbytki, na podniebienia ich szkodliwe, a przytem kosztowne. Trzeba się, siostro kochana, rachować. Będzie siostra do karmienia miała gęb dwanaście, jeżeli sczasem nie więcej. Proszę pamiętać o tem.

„Pamiętanie“ o tem rozkładało się na dwa lata i polegało na stosunku wydatków do dochodów, uwarunkowanym podnoszeniem się tych ostatnich w miarę przybywania uczniów. Opierało się to na wysokości opłaty, która musiała być znaczną, wynosiła 2.400 fr rocznie od ucznia (3.600 od dwóch braci). Tak wypadło z narady z Juljuszem i po pobraniu informacyj w kilku pensjach cudzoziemskich. Chciałem opłaty oznaczyć w rublach ze względu na to, że powierzani mi będą przeważnie chłopcy z zaboru rosyjskiego. Nie zrobiłem atoli tego z uwagi na uczynione mi ostrzeżenie, tyczące się zmienności kursu rubla. Wynosił on r. 1875 na 1876 fr 3 z czemeś i w r. 1877 na 1878 spadł do 1 franka z czemeś. Odnośnie do wskazówek tych rezultat obrachowania ścisłego wróżył pomiędzy dochodem a rozchodem niezgodę na niekorzyść zakładu, którego przetrzymanie koniecznem było, licząc na przyszłoć *(qui ne risque rien n'a rien)*. Przyszłość przy końcu roku pierwszego zapowiedziała się cale dobrze. Mimo duże wydatki instalacyjne, mimo dopełnienie z kieszeni własnej braku w funduszu Heltmana, mimo niedobór kilkuset franków, rok pierwszy (1876—7) dał rezultaty świetne we względzie postępów w naukach: wszyscy uczniowie moi weszli do szeregu celujących.

Było ich jednak tylko trzech: dwóch Dynowskich, synów dra Konrada Dynowskiego, lekarza z Berdyczowa (Konrad i Wacław) i Jan Bilczyński. Za tego ostatniego Juljusz płacił. Z opłat za tych trzech dochód wyniósł franków 6.000. Wydatki na życie wyłącznie wyniosły fr 6.720, bez opłaty korepetytora i nauczycieli oraz wydatków drobnych. W roku drugim przybyło trzech Kundziczów, za których ojciec jak za dwóch płacił, i ponieważ liczba wzrosła do cyfry sześciu, w bi-

lansie zaszła różnica: dochód wynosił fr. 9.600, rozchód 9.100. Skutkiem przyczyn jednak, które poniżej wymienię, dochodu nie dostałem w całości.

Różnica w bilansie wykazywała możliwość i pomnażania się z latami liczby uczniów i jeżeli nie powodzenia finansowego, to przynajmniej wiązania końców. Temu jednak służyć powinny były warunki nietylko ilościowe, ale i jakościowe. Te ostatnie zadaniu odpowiadały częściowo. Pierwszą połowę chłopców natura obdarzyła zdolnościami wyjątkowemi, na których w połowie drugiej dwóm Kundziczom starszym brakło, najmłodszy zaś posiadał je, ale w kierunku antynaukowym, połączonym z zadziwiającą w chłopcu ośmio- czy dziewięcioletnim wymową. Sprawiał on niemały kłopot tak mnie, jak korepetytorom. Jam go często karcić musiał; korepetytor rady z nim sobie dać nieraz nie mógł.

Wymieniłem powyżej korepetytorów w liczbie mnogiej. Miałem ich dwóch, nie razem, ale jednego po drugim, z pierwszym bowiem, przez Stryjeńskiego mi przysłanym — gdym w dziennikach wyczytał, że go policja badeńska listami gończemi poszukuje, — rozstać się w trzy miesiące po objęciu przezeń posady musiałem. Naraziło go na to poszukiwanie szczęścia w zakładach gry w karty. Stało się to było dla niego manją, podtrzymywaną rachunkiem prawdopodobieństwa, któremu poświęcał każdą chwilę wolną, a często i noce. Inaczej był to człowiek wykształcony, towarzysko nieogładzony, lecz fach korepetytorski posiadający. Gra karciana do tego opanowała go stopnia, że się jej niewolnikiem stał. W odniesieniu do niej przedstawiał on specjalny, chorobliwy typ. Żal mi go było.

Na miejsce jego Stryjeński przysłał mi człowieka młodego — nazwiskiem Morski (imię z pamięci mi wypadło) [1] — we względzie towarzyskim lepiej niż tamten uposażonego i w szkołach galicyjskich dostatecznie w fachu korepetytorskim wyrobionego. Ani uczniowie, ani ja na zamianieśmy nie stracili. Szkolne i wychowawcze zajęcia poszły nadal dobrze i zadowalniająco.

Obok nich wiązały się powoli stosunki towarzyskie stałe i dorywcze. Do pierwszych od początku osiedlenia się naszego,

---

[1] Ludwik (informacja p. Antoniny R. Gawrońskiej).

nie licząc generałowej i jej brata, należał zacny i w uczynności niewyczerpany dr Józef Zanietowski. Czuwał on nad nami fachowo i po przyjacielsku, czem zaskarbił sobie dozgonną wdzięczność moją. Na wdzięczność zasłużył on nietylko moją, ale wszystkich, z kim do czynienia miał, między innymi rodziny Rechniewskich, której głowa — ojciec —, dotknięty chorobą serca, wymagał nieustającego dozoru lekarskiego. Dr J. Zanietowski we dnie i w noce na jego był usługi.

Nie on atoli zapośredniczył mi w zabraniu z Rechniewskimi znajomości. Zapośredniczył Ostoja Chodylski (imię jego zapomniałem), były oficer od kozaków Sadyka paszy (Mich. Czajkowskiego), inżynier z fachu. Znajomość z nim moja datuje od wojny krymskiej (1853—6). Po zakończeniu jej Ostoja Chodylski zużytkował fach swój w powierzanych mu przez rząd turecki robotach, na czem dorobił się fortunki, która, ulokowana w banku na przeżycie, zapewniła jemu i żonie jego, Francuzce z rodu, w czasie kampanji pojętej, dochód dożywotni i swobodę przenoszenia się z miejsca na miejsce. Dzięki swobodzie tej wybrali sobie Lozannę, jako nadające się na wypoczynek ustronie, na zamieszkanie w niej. W celu tym przyjechali. Wypoczynek wszelako za zbyt się wypoczynkowym wydał pani, mieszkali więc niedługo.

Wkrótce po przyjeździe swoim, po złożeniu nam wizyty, Ostoja poranka pewnego przyszedł do mnie z propozycją: towarzyszenia mu do Jouxtens.

— Nie znam Rechniewskiego — odrzekłem.

— Warto go poznać. Ciekawy człowiek, rozumny.

— Inżynier — wtrąciłem z akcentem.

— Niedlatego tylko. Interesuje się literaturą.

— Moskiewską.

— Nie! polską. Ma u siebie całą bibljotekę polską.

— Powiadają, że to Moskal.

— Moskal? Nie Moskal; liberał, kosmopolita raczej. Ciekawy człowiek, powiadam ci.

— Hm? — pomyślałem i propozycję przyjąłem.

Do Jouxtens, odległego od Lozanny o kilometrów nie więcej jak cztery, piechotąśmy poszli. Przyjęcia doznaliśmy na zimno grzecznego, spowodowanego zapewne pretensją do mnie za takie długie wstrzymywanie się od złożenia należnej od nas

rodzinie Rechniewskich wizyty. Od pierwszego niemal słowa gospodarz głos zabrał dla oświadczenia mi, że nie wierzy w możliwość odzyskania przez Polskę niepodległości.

— A ja wierzę — odpowiedziałem.

— Doskonale! — zainterwenjował Ostoja. — Zarekomendowaliście się sobie panowie wzajemnie z otwartością, usuwającą na przyszłość w materji tej dyskusje.

— A może wywołującą je — wtrąciłem.

Rechniewskiego, zdaje się, wtrącenie to moje zafrapowało. Zwrócił na mnie wejrzenie nacechowane wyrazem pytającym i odezwał się:

— Dodać winienem, żem nie Moskal, jak się panu wydaje. Rosjan nieprzyjacielem nie jestem, a rządu rosyjskiego nienawidzę.

— To i dobrze — odparłem. — Mamy punkt porozumienia spólnego, mogący w dyskusjach pełnić funkcje osi.

Tak się pomiędzy nami zawiązała znajomość, która nas prędko zbliżyła i w przyjaźń [się] zmieniła. Rechniewski w dni parę później rewizytował mnie. Niebawem do Jouxtens poszedłem z żoną. Nie zwlekając, oboje państwo Rechniewscy rewizytowali nas. Dzieci ich, których mieli czworo: dwóch chłopców starszych, dwie dziewczynki młodsze, poznały się z dziećmi naszemi. Chłopcy ich chodzili do gimnazjum realnego i w naukach odznaczali się, jak chłopcy z zakładu mego. Urządzaliśmy wycieczki wspólne. Jedna z nich upamiętniła się nam, ojcom, strachem, jakiego nas nabawiła: Rechniewskiego o synów swoich, mnie o uczniów moich, o córkę najstarszą i o syna.

Wybraliśmy się byli z dziećmi w towarzystwie Morskiego do Evian, miejscowości kąpielowej, położonej we Francji, *vis à vis* Lozanny. Statkiem parowym dostaliśmy się do Evian z łatwością, i tam widok łodzi w porcie wzbudził w dzieciach ochotę pływania po jeziorze. Powód słuszny nieuczynienia ochocie tej zadość nie istniał. Nie pomnę kto z nas, Rechniewski czy ja, chciał wraz z łodzią nająć wioślarza. Temu jednak sprzeciwił się Morski, twierdząc, że posiada we wiosłowaniu wprawę. Z nim przeto młodzieży sześcioro, śród której najmłodszym był urodzony r. 1870 syn mój, puściło się na jezioro. Żony nasze z dziewczynkami odeszły dla zwiedzenia kąpieli. My dwaj, chodząc nad brzegiem i tocząc rozmowę, spoglądaliśmy na łódź,

która zrazu poszła gładko, lecz, gdy się na środek jeziora wydostała, poczęła dziwne jakieś wykonywać ruchy. Dziwiły one Rechniewskiego, dziwiły i mnie, aleśmy nie mówili o nich, nie chcąc jeden drugiego trwożyć. Rechniewski przyznał się później, że wypadku spodziewał się napewne i pocieszał siebie: „Potoną mi chłopcy, pozostaną dziewczęta". Głowy mojej nie czepiała się pociecha podobna, liczyłem bowiem na to, że gdyby niebezpieczeństwo rzeczywiście zagrażało, wioślarze w porcie widzieliby je i z ratunkiem pospieszyli. Uspokajało to mnie do pewnego stopnia. Jakoż niebawem łódź ruch normalny odzyskała i ku brzegowi nawróciła. Nienormalności ruchów jej powodem był syn mój, pięcioletni w czasie onym, któremu zawadzało siedzenie spokojne, kręcił się i z łodzi wychylał. Wcześnie się w nim niespokojność temperamentu zdradzała. Na parę przed tą do Evian wycieczką miesięcy znikł był poranka pewnego z domu, zabrawszy ze sobą młodszą od niego o lat trzy siostrę. Godzin kilka, wezwawszy ku pomocy całą policję lozańską, szukaliśmy ich po mieście. Znaleziono tę parę za miastem, spoczywającą w cieniu woza piekarskiego. Na pytanie, poco wyszedł, odpowiadał, że się udawał do Ameryki. Wywróżył sobie włóczęgę na przyszłość. Rzadkim jest w Europie osobnik, któryby tyle co on świata lądem i wodą objeździł i obszedł. Wędrówkę tę rozpoczął później, tymczasem zaś lądy i wodę brał za pole prób i doświadczeń o tyle oryginalnych, o ile nieprzewidzianych.

Z Rechniewskimi wycieczki urządzaliśmy o tyle często, o ile na to pogoda pozwalała. Stosunek pomiędzy nami przybrał rychło charakter zażyłości, dogadzającej mnie zwłaszcza, w Rechniewskim bowiem znalazłem człowieka rozumnego, oczytanego i myślącego, z którym obcowanie umysł zasilało. Stronę jego mocną stanowiła krytyka wierzeń religijnych w odniesieniu do etyki życiowej — do zachodzącej pomiędzy nią a niemi niezgody. Kościół, bez względu na wyznanie, uważał za instytucję przestarzałą i nieodpowiadającą potrzebom ludzkości, a szkodliwą ze względu na sojusz jej z instytucją państwową. Przekonania jego co do sojuszu tego schodziły się z corazto bardziej w momencie owym w sfery inteligencji rosyjskiej wnikającym nihilizmem, doktryną, której miano w jednej z powieści swoich dał Turgeniew i która, dzięki językowo-wychowawczej rusyfikacji szkolnej, udzielać się poczynała młodzieży

polskiej, szczepiąc śród niej zarodki socjalizmu. Rechniewski socjalistą nie był, ale nihilistą siebie uznawał, był bezwyznaniowcem bezwzględnym i wierzył w Rosji potęgę destruktywną, mającą ludzkość doprowadzić do stanu ciemnoty pierwotnej nato, ażeby się na nowo społecznie i politycznie kształtowała. Tak się jego przekonania skrystalizowały. O tem myślał, o tem mówił, w materji tej dyskutował i w dyskusjach do tego zapalał się stopnia, że dr. K. Dynowski, ojciec synów w zakładzie moim, przeraził się zapału, z jakim dyskutował człowiek ten dotknięty chorobą serca.

— Lękałem się, że trupem padnie — słowa doktora.

I pani Rechniewska i dr Zanietowski, i my, lękając się o niego, wystrzegaliśmy się w rozmowach uniesienia w nim wywoływać. Niezawsze się to udawało. Drażniły go wyrażenia, ubliżające np. narodowości rosyjskiej. Pochodziło to stąd, że rodzinę Rechniewskich łączyły związki bliskie pokrewieństwa z rodziną polską zrusyfikowaną Krasowskich. Nas raziło rusyfikowanie się Polaków. W oczach naszych było to renegacją, rodzajem zdrady, na potępienie zasługującej w tym zwłaszcza razie, jeżeli podnieta jej w osobistym tkwiła interesie. Rechniewski przeciwnie w interesie osobistym widział podnietę godziwą, usprawiedliwiającą w zupełności swobodę wyboru narodowości. Przekonania te na ślepo podzielała z nim żona, z domu Ratyńska. Raziły one żonę moją. Uwzględniała je ona w nim, jako w człowieku chorym; nie mogła jednak w niej, w Polce, uwzględniać unoszenia się nad pięknością utworów literatury rosyjskiej. Nawiasowo przyznać w tem muszę rację żonie mojej, która snadź przeczuła następstwa rusyfikacji, odbijające się obecnie (r. 1909) na literaturze polskiej, wprowadzanej przez wychowańców szkoły rosyjskiej, wpatrujących się w Dostojewskich, Gorkich i t. p., na błędne patrjotycznie i etycznie drogi.

Rechniewski był ofiarą rusyfikacyjną. Nie przeszkadzało mu to — dodać winienem — być człowiekiem bardzo zacnym. Niezupełnie w nim nawet miłość ojczyzny wygasła. Pokazało się to w r. 1877. Nic go tak nie oburzało, jak obojętność Europy dla sprawy polskiej w czasie wojny, wytoczonej w roku tym przez Rosję Turcji. Nie ręczyłbym, że oburzenie to śmierci jego powodem się nie stało.

Zbliżenie się do rodziny Rechniewskich korzystnem się

dla nas stało z tej racji, że wyprowadziło nas z odosobnienia towarzyskiego, w jakiem znaleźliśmy się wobec przebywających naonczas w Lozannie Polaków. Trzymali się oni od nas zdaleka, nie wyłączając krewnych (pani Paszkowska i brat jej), których raził antymoskalizm nasz. Gałecki, żony mojej wuj, brał ode mnie do czytania *Kłosy*; generałowa Paszkowska, ciotka jej, strofowała ją niekiedy.

— Czemu wy, maszerciu, Ruskich stale Moskalami nazywacie? Gniewa ich to. Pomiędzy nimi (wierz mi, ja ich znam) dużo jest ludzi dobrych i Polakom przyjaznych.

Słyszeliśmy to i od Rechniewskich, ale Rechniewski potępiał rząd, generałowa zaś rząd usprawiedliwiała, utrzymując, że, ponieważ innym być nie może, winniśmy się do takiego, jakim jest, stosować.

Zakład mój jednak zainteresował do pewnego stopnia obywatelstwo w kraju i popularyzował Lozannę w Polsce, zwabiając do niej i turystów, ptactwo przelotne, i takich, co się w niej zatrzymywali na dłużej. I jedni i drudzy do nas zaglądali. Pożądaliśmy gości tych podwójnie: raz dla siebie samych, powtóre dla zakładu — przez nich urabiał się i utrzymywał łącznik z krajem rodzinnym.

Z wielką radością powitaliśmy u siebie pp. Henrykostwa Lipkowskich z matką pani, panią Koszarską z Zakrzewskich, z którymi przed laty rodziców moich łączyły stosunki sąsiedzkie. Znałem ją, będąc dzieckiem, kiedy ona, kwitnąc wdziękami i zdrowiem, była panną Pulcherją na wydaniu. Od czasów onych imię jej, Pulcherja, w pamięci mi tkwiło. Powitaliśmy się niby krewni bliscy. Z panem Henrykiem jeździłem do Montreux dla wyszukania dla nich mieszkania na miesiąc. Przy okazji tej zwiedziliśmy zamek czyloński. W parę tygodni później z żoną i dwojgiem dzieci moich wizytowałem ich w Montreux i wyczytawszy w dzienniku miejscowym w spisie cudzoziemców nazwisko Kraszewskiego, odwiedziłem go.

Odwiedziny te nastąpiły po trzykrotnych spotkaniach się moich z tym naszym pisarzem wielkim, — po spotkaniach się, z których pierwsze zdarzyło się w Paryżu r. 1864, a było charakterystyczne; drugie w Dreznie w tymże roku, w miesiącu marcu, upamiętnione mi oddaniem się Kraszewskiego przez dni trzy na usługi moje; trzecie w Paryżu r. 1867 na wystawie,

na której słowem honoru zapewnił mnie o objęciu przez siebie katedry profesora literatury polskiej w Uniwersytecie Krakowskim. Odwiedziny przeto moje w Montreux wiązały się ze spotkaniami temi, z trzeciem zwłaszcza. Idąc do niego, myślałem sobie: „co też mi on o niedotrzymaniu słowa powie?“

Nie powiedział o tem nic — a przyjął mnie z takiem w oczach zdziwieniem, w którem wyczytałem: „Czego ten człowiek chce ode mnie!“

Wyczytany w oczach jego wyraz ten podziałał na mnie. Usprawiedliwiłem odwiedziny moje obowiązkiem powitania go, gdym się przypadkowo u Lipkowskich o pobycie jego w Montreux dowiedział. Odpowiedział mi, że do Montreux przysłali go lekarze dla kuracji winogradowej. Że zaś, mimo iż zastałem u niego jednego z malarzy polskich, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, siedział przy stoliku, mając przed sobą rękopis i w ręku pióro, uważałem za właściwe odezwać się:

— Pracujecie. *Nulla dies sine linea.* —

— O tak — odrzekł. — Wciągnąłem się. Nie wyżyłbym bez tego.

Przedstawił mi malarza i malarzowi mnie, a zwracając się do niego zaczął mówić o Romanie Popielu.

Nazwisko to uderzyło mnie. Wtrąciłem:

— Owczarz.

Jakby wyrazu tego nie słyszał, opowiadał malarzowi o Polakach natrętach, czyhających zagranicą na rodaków przejezdnych dla wyłudzania u nich datków.

— Znam się jednak na nich — ciągnął —, odprawiłem go z niczem... Nie złudził mnie pozorami i listami.

Na dni przedtem parę ów R. Popiel był u mnie w Lozannie i z niczem go nie odprawiłem. Dałem mu bowiem tytułem pożyczki kilkutygodniowej franków trzysta na wiarę dokumentów niezawodnie autentycznych, składających się z listów polecających od jednego z posiadających majątki na Ukrainie magnatów rosyjskich, tyczących się zakupna baranów w Szwajcarji celem poprawy rasy owiec. Wypadek, który go zniewolił zwrócić się do mnie o pomoc, polegał na tem, że mu śpiącemu na kolei oderznięto torbę z pieniędzmi. Wypadki podobne zdarzają się. Zdarzają się również przy najszczerszej uiszczenia się z długu chęci niemożliwości nieprzełamalne. Przy-

puszczalnem to jest co do R. Popiela, który mi nietylko wystawił rewers na kwotę pożyczoną, ale dał mi adresy znanych powszechnie z reputacji osobistości w Warszawie, oraz adres pisma rolniczego, którego był spółpracownikiem. Nie otrzymując od niego za długo zwrotu wypożyczonych mu franków, zgłosiłem się do Warszawy wedle wskazanych mi przezeń adresów. Odpowiedziano mi, że go znano jako owczarza, nie umiano mnie jeno o losach jego zawiadomić. Może narazie służbę u magnata rosyjskiego stracił, może zachorował, może — czy można wiedzieć, co go spotkało! Z przykrością wysłuchałem wyrzekań Kraszewskiego na natrętów, na przejezdnych czyhających. I na natrętach i na prześladowanych przez losy niebrak. We względzie tym wyrozumiałość jest konieczną.

Przy pożegnaniu Kraszewskiego pytał mnie, co porabiam. Powiedziałem mu o zakładzie edukacyjnym w Lozannie. Zajęło go to. Obiecał spowrotem z kuracji odwiedzić mnie. Obietnicy nie dotrzymał, ale około czwartej popołudniu rewizytował mnie u Lipkowskich.

Okrom Lipkowskich odwiedzało nas Polaków sporo. Niektórzy, jak rodzice Dynowskich, dłużej, inni krócej przemieszkiwali. Niektórzy zgłaszali się z interesem. Pewien Litwin, przedstawiwszy się mi, pytał o Jeża, i dowiedziawszy się ode mnie, że Miłkowski i Jeż to jedno, mocno się tem ucieszył i prosił mnie, żebym się zajął wyrobieniem mu rozwodu z żoną, poprzedziwszy prośbę opowiadaniem o szczegółach pożycia z nią, streszczających się w konkluzji.

— Powiadam panu dobrodziejowi, że młoda i powabna aż miło, a jędza z niej aż strach... nie do wytrzymania! nie do wytrzymania!

Z żądaniem podobnem zgłosiła się do mnie była i dama pewna. Było to następstwem błędnego u nas w kraju mniemania o wszelakich w Szwajcarji wolnościach, dostępnych zarówno Szwajcarom i cudzoziemcom. Nie tak tu wszystko wolno, jak się komu zdaje.

Zdarzali się i natręci — tak na emigracji zwani „chodzikowie“ — płci męskiej i żeńskiej, którzy jednak z łatwością poznać się dają. Jak np. nie poznać chodzika w młodym, elegancko odzianym, w cylindrze i urękawicznionym młodym człowieku, przysyłającym mi przez służącą kartę wizytową, pod wylito-

grafowanem po francusku nazwiskiem: „Le Comte (imienia nie pamiętam) Ziemiałkowski“. Pozwoliłem hrabiemu wejść, gdym go okiem zmierzył, gdy mi od niego jakaś zapachniała perfuma, zapytałem go, poco do mnie przyszedł. Począł mi o jakimeś na kolei wypadku opowiadać. Nie słuchając opowiadania jego, ofiarowałem mu 50 centymów. Okazał zdziwienie, lecz wziął je i wyszedł.

Włóczęgostwo atoli, czyli chodzikostwo, nie zasługuje na potępienie bezwzględne. Nie jest bowiem bez przyczyny jednej z dwóch: ekonomicznej lub psychicznej. Pierwszą wytwarza potrzeba zaspokajania głodu ciała, drugą — głodu duszy. Jedna i druga jest wytworem natury, wytworem chorobliwym, zagnieżdżającym się bądź w żołądku, bądź w wyobraźni. Co tysiące ludu roboczego z Polski, Włoch, Anglji, Niemiec od ogniska rodzinnego odrywa i za góry, za morza pędzi? Co chłopca mego pięcioletniego pobudziło do zabrania siostrzyczki dwuletniej i wyniesienia się z nią do Ameryki? Włóczęgostwo usprawiedliwiają poważne zdarzenia historyczne, zapełniające sobą dzieje rodzaju człowieczego od czasów najdawniejszych. Rozpoczynają je Adam i Ewa, wyemigrujący z raju gwoli jabłka. Najpóźniejszymi naśladowcami ich są polityczni emigranci polscy, dla których jabłko zakazane nie przez Boga stanowi ojczyzna.

O raju mój polski, pókiż w tobie Moskwa, Prusy i Austrja gospodarzyć mają!

Włóczęgostwo na szerokie zasługuje uwzględnienie, brane z punktu potrzeb ludzkościowych, handlowych, przemysłowych, kulturalnych, niemogących być zaspokajanemi inaczej, tylko na drodze wymiany. Rozwój oświeceniowy na tej dokonywa się drodze. Że ciekawość, próżność, chorobliwość gustów i popędów w zamożnych zwłaszcza społeczeństwa klasach prowadzą na niej do nadużyć, dzieje się to skutkiem ułomności natury człowieczej. *Homo sapiens* skłonniejszym jest do takowych, aniżeli przedstawiciele rodzajów i gatunków, zajmujący niższe szczeble drabiny, na których szeregują się jestestwa organiczne. Zwierzę zadowalnia się zaspokojeniem żywotnych potrzeb swoich, śród ludzi rzadkim jest w najzupełniej zaopatrzonem bytowaniu swojem człowiek zadowolony. Zapytajcie „pokojotwórczych“ zaborców Polski, czy mają dosyć.

Tygrys najedzony nie poluje na rodzaju odmiennego jestestwa organiczne. Monarchowie na bliźnich swoich polują z zawziętością granic nieznającą, w celach nieziszczalnych. *Homo sapiens* w nadużyciach rodzaju wszelakiego się lubuje. Natura jego wytwarza wędrówki celowe i bezcelowe, przymusowe i dobrowolne, potrzebne i zbyteczne, wchodzące do kategorji namiętności, których zaspokajanie pobudza umysł człowieczy do odkryć i wynalazków. Jak namiętność zdobywcza wywołała doskonalenie sztuki wojennej, tak dla zaspokojenia namiętności wędrowniczej odkryto prężność pary, zużytkowaną do wynalezienia dróg żelaznych, okrętów pasażerskich, do zakładania hoteli pałacowych, do urządzania rozmaitych samotrzasków celem wywabiania i odrywania od ognisk rodzinnych ludzi żądnych użycia świata.

Wędrowców tego rodzaju pojedynczo i w gromadkach, spółziomków naszych, sporo się przez Lozannę w czasie naszego w niej pobytu przesunęło. Z takich, co się o nas otarli, do zanotowania przypomina mi się spokrewniona z Rechniewskimi rodzina moskiewska pochodzenia polskiego, nazwiskiem zmodyfikowanem nieco, dla nadania mu — jak się zdaje — akcentu rosyjskiego, z Krasuski czy Krasowski na Krassowskoj (o dwóch s). Ród tych ostatnich nie sięgnął — wedle relacji Rechniewskiego — przeszłości nader odległej. Protoplastę nadał mu Mikołaj I w osobie noszącego to nazwisko kapitana od piechoty, który na jednej rewji wojennej zwrócił na siebie uwagę jego donośnością organu komendy. Dzięki temu Krasuski czy Krasowski ów, przeniesiony z pułku linjowego do Petersburga do pułku wzorowego („obrazcowaho"), szybko awansował, zachwycając miną, postawą i sprawnością swoją żołnierską imperatora. Obsypywał on go nietylko orderami, ale i łaskami, w drodze łaski bowiem rozkazał („prikazał") mu ożenić się z Moskiewką grubo posażną. Z nią miał dzieci, w prawosławiu — skutkiem ukazu o małżeństwach mieszanych — wychowywane. Może i sam dla porządku wiarę „karienną" przyjął. Umarł generałem, faworyzowanym do śmierci przez cara. Zapewne Krassowskij, odegrywający obecnie w pseudokonstytucyjnym Rosji ustroju rolę polityczną i figurujący w szeregach neoslawistów, jest synem, może wnukiem jego i już Moskalem „kariennym". Owi atoli, co dla Rechniewskich do Lozanny zaglądali, trzymali się na

wysokości polskiej miary Spasowicza, służącego Rechniewskim za wzór obywatela-Polaka pod panowaniem moskiewskiem. Z krewnych ich Krassowskich jeden tylko okaz „istinno russkij“ w Lozannie pojawił się pod postacią niewieścią. Była to kobieta młoda, przystojna, bardzo bogata — liczono ją na kilka (ośm?) miljonów rubli — bardzo dobra, która po jednym Krassowskim owdowiała i wkrótce po śmierci męża, będąc matką dwóch synów i jednej córki, wyszła za brata nieboszczyka, inżyniera, człowieka ubogiego i chorobą piersiową dotkniętego.

Osobliwe to było stadło. On jej nie chciał. Ona się w nim rozmiłowała i wzięła go sobie na męża, przyjmując warunki jego, czyniące małżeństwo ich pozornem. Polegały one na separacji absolutnej, majątkowej i życiowej. Zastrzegł sobie swobodę niekorzystania z jej dostatków w żadnym względzie — w takim np. jak jeżdżenie jej pojazdami, posługiwanie się jej służbą, branie udziału w jej stosunkach towarzyskich i t. p. Stanowisko „męża i pana“, które mu ona dawała, zniżył do stanowiska lokatora u żony własnej. Pani żaliła się pani Rechniewskiej, która tego przed nami w sekrecie nie trzymała, że wzięła go nietylko z miłości, ale i dlatego, żeby jemu, człowiekowi prawemu, powierzyć zarząd majątku i wychowanie dzieci. O troskliwości jej o dzieci wiem stąd, że mnie się radziła. O majątkach swoich nie mówiła ze mną. Małżeństwo to nie trwało długo. Pani, po wyjściu za brata męża pierwszego zamąż i po nabyciu w Lozannie domu z ogrodem obszernym i zamieszkaniu w nim, powtórnie wkrótce owdowiała i po raz trzeci za jakiegoś lekarza— okulistę podobno — zamąż wyszła. Straciliśmy ją z oczu. Nim to jednak nastąpiło, zeszedłem się z nią raz jeszcze, o czem na wspomnienie miejsce w następnym znajdzie się rozdziale.

Okrom Krassowskich bliższa rodzina, bo bracia p. Kornela Rechniewskiego, generał i adwokat (imion ich nie pamiętam), odwiedzali chorego i u nas bywali. Adwokat zabawił krótko i w pamięci mi się nie zaznaczył. Generał przyjeżdżał dwa razy: raz pierwszy z żoną Rosjanką, redaktorką dziennika mód, raz drugi sam, po śmierci brata, która nastąpiła w drugim roku mego w zakładzie naukowym dyrektorstwa. Należał on do oficerów wyższych uczonych, wykładał bowiem astronomję — jeżeli mnie pamięć nie myli — w akademji marynarki wojskowej i posiadał wogóle kwalifikacje profesora. Nie zdradzało się

to na nim, nie w ten jak na Lelewelu sposób, w którym nauka żyła, ale dlatego, że on naukę traktował formalnie, dla wykładania onej, nie zaś dla wnikania w nią, dla życia nią. We względzie przekonaniowym był patrjotą r. 1863: wybierał się do powstania, sprawił sobie czamarkę i rogatywkę, w których się fotografował i na tem poprzestał. Po śmierci brata przyjechał do bratowej rozstrojony umysłowo na punkcie w rodzinie niebezpiecznym. Pani Rechniewska odesłać go żonie musiała. Podobno życie w domu obłąkanych zakończył.

W drugiem dyrektorstwa mego półroczu przybyła do Lozanny gromadka pań i panien z sąsiedztwa naszego w kraju z czasu, kiedy ojciec mój dzierżawił Krasnopółkę, w powiecie hajsyńskim. Najbliżej od Krasnopółki leżała Skarzynówka, wieś duża, własność rodziny Opackich, o której wzmiankowałem w jednym z początkowych pamiętnika mego rozdziałów. Nie znaliśmy się z nimi i nie bywaliśmy u siebie. Wiedzieliśmy jednak, że majątkiem zawiadowała matka wdowa, a rodzina składała się z jednego syna i dwóch córek, z których jedną wsławił w okolicy wierszyk o niej i o topoli Krasickiego (wnuka, może prawnuka, w linji — naturalnie — ubocznej autora *Myszeidy*). Z tejto rodziny przedstawicielki, skojarzone matrymonjalnie ze związaną przyjaźnie z matki mojej rodziną Chaborskich, zjawiły się w towarzystwie małżonka jednej z nich, nazwiskiem — jeżeli się nie mylę — Konopacki, w Lozannie. Zjawiły się, i może dlatego, że to stało się zagranicą, może z racji skrzyżowania rasy opackiej z rasą chaborską, a może dla czego innego, od nas się nie boczyły. Ulokowały się u protegowanej mocno przez generałową Paszkowską panny Pauliny i po dwie, po trzy, niekiedy gromadką całą odwiedzały nas. Pomiędzy niemi a nami nastało zbliżenie zażyłe prawie. Widzę we wspomnieniu postacie pań i panien tych dziś, mimo że od czasu onego dzieli nas przeciąg lat trzydziestu kilku i mimo że mi w pamięci ani jedno z nazwisk ich nie zostało. Widzę je jednak. W widzeniu przechowałem zwłaszcza jedną z panien, której obraz w chodzie żywcem w tym momencie w oczach mi stoi. Biedactwo, ofiara mody. Noszono wówczas trzewiki na wysokich obcasach, i ona, modzie hołdując, karykaturę ze siebie czyniła: chodząc niby na szczudłach, nogi sobie kalecząc, zataczając się i pomagając potężnie zaciskającemu biust gor-

setowi do przysposabiania w członkach wewnętrznych ciała człowieczego, w nerkach, wątrobie, płucach, zaczynów chorobliwych. Takto się w czasach onych kobiety na macierzyństwo, na to najważniejsze ich w ludzkości zadanie, sposobiły w klasie obowiązanej do dawania wzorów ze siebie.

We względzie tym te nieznane dawniej sąsiadki zawiodły mnie. Zawiodły one i we względzie innym. Śród wspomnień krasnopolskich odzywało się jedno nacechowane powagą, odnoszące się do Skarzynówki, w której opinja publiczna ogniskowała kult dla Kraszewskiego. Zaciekawiało mnie to w stopniu wysokim do mieszkanek dworu skarzynowieckiego. Wyobraźnia przedstawiała mi je pod postacią istot wyższych, idealnych, stworzonych na wywoływanie natchnień w poetach. Prawda, że wspomnienia te miały z górą ćwierć wieku za sobą, że więc istoty owe należą do pokolenia i czasów pojęć innych. *Tempora mutantur et nos in illis.* Niesłuszną więc była pretensja moja do przybyszek z Humańszczyzny za to, żem w nich nie znalazł tego idealizmu, który mi się w dawniejszych ukazywał kobietach. Zmieniłem się bowiem ja. Dwadzieścia kilka lat temu młodemi patrzałem oczami na świat i na wszystko, co mi się na nim ukazywało. Dziwiła mnie wszelako wyjątkowość wrażenia wywieranego przez te panie. Wiało od nich chłodem, takim samym jak od generałowej, która nie do ich, ale do mego należała pokolenia. Nie było z niemi, jak z generałową, o czem mówić. Czuło się w nich cudzoziemskość osobliwą, bo nie francuską, nie niemiecką, nie angielską. Była to atoli — niestety — niepolskość, wytwór niewoli rezygnacyjnej, oswajającej, a nawet i rozmiłowującej się w obroży, zwłaszcza gdy ona złotą być może. Że tem powodowała się polskość ciotki mojej żony, było to rzeczą naturalną, przywiązaną do emerytury generalskiej. Nic podobnego nie zobowiązywało tych pań; cudzoziemskość ich przeto smutnie o patrjotyzmie polskim w Krajach Zabranych świadczyła, a tem smutniej, że kobiety polskie na Rusi stronę onego oporną dotychczas stanowiły.

Na szczęście nasze symptomaty podobne nie posiadają charakteru chronicznego. Nie było o czem z Humańszczankami i mówić, można jednak było z niemi niekiedy się pośmiać. Rozśmieszył je razu pewnego syn mój pięcioletni, w którym się przejawiać poczynała ochota śpiewacza. Powyuczał się pio-

senek sporo polskich, rusińskich i francuskich. Panie za każdą u nas wizytą na popisy go wyzywały. I on się rad popisywał. Raz jedna z nich zaczepiła go:

— A umiesz jaką piosenkę francuską.

— Umiem — odrzekł bez wahania.

— Zaśpiewaj!

Zaśpiewał.

Że zaś upodobania jego w żołnierskim przejawiały się kierunku, więc i śród żołnierskich piosnek francuskich najbardziej do gustu przypadła mu piosenka, podłożona pod nutę bębna w biciu na trwogę. Zaczyna się od wiersza:

Tambour, battez la générale.

Chłopaś często słyszał ciotkę żony mojej tytułowaną *Madame la générale*. Wyrazy te zlały mu się na języczku. Gdy przeto wypadło mu piosnką się przed paniami popisać, zaintonował z przyciskiem:

Tambour, battez madame la générale.

Na co panie śmiechem wybuchnęły, wiersz bowiem zmienił i po francusku i w tłumaczeniu znaczenie z

Doboszu, bij na trwogę

na

Doboszu, bij panią generałową...[1]

---

[1] Na tem się urywa rękopis Wspomnień.

INDEKS OSÓB

Abancourt F. K. d' III 323
Abdul Azis III 321
— Medżid II 280, III 321
Abgarowicz Franciszek II 466, 470—472, 477, III 3, 12, 15, 16, 172—4, 183, 184
— Kajetan (Abgar Sołtan) II 472
Abgarowiczowa S. II 465, 472
Abramowicz I. III 25
Abramowiczowa II 275, 276
Achliostyszew I 201
Acht W. I 282
Adam III 470
Ajwas II 51, 283
Akord Cyrjak I 332, 333, III 49, 101, 121
— Józef II 212
Aleksander I car. I 245, II 77, 267, III 369, 370, 378
— II car. I 140 II 238, III 353, 410—2, 417, 418, 421, 423, 489, 511, 536
III car. III 356, 417
— Karageorgewicz II 133, 224
Aleon A. III 167
Algiu III 126, 127
Ancillon Fryderyk III 393
Andrejewskij I 164, 165, 229
Andrews I 423, 426
Andriolli M. III 335
Andrzejowski A. I 31, 181, III 369
Ankwiczowie III 372, 384
Ankwiczówna H. III 222, 384
Antonowicz W. II 213, 333
Arago E. III 418
Ariosto I 165
Armelini II 247
Arndt III 287, 288
Artoszewski ks. I 102
Asnyk A. III 207—10, 505
August II król pol. III 385
Aulich gen. II 300, 318
Awejde O. II 405, 408, 412
Baczyński kpt. I 331, 361, 384—6, II 68, 289, 302
Badowski J. III 261, 312
Bagoccy I 29
Bajewscy I 29, 76
Bajewska I 76, 124
Bajewski I 54, 76, 92
— T. III 161, 162, 196, 198
Bajkow III 376
Baligot de Bayne II 236, III 141—3
Balzac I 46, 47
Baragnon III 141, 142, 152, 158
Bartochowski I 428, 432, 454
Batorówna Gryzelda I 1
Baworowski Włodzimierz II 468, 473, 474, III 187
Bednarczyk E. II 94, 95, 202—4, III 20, 23, 60
Bécu A. III 376
Beethoven III 453
Beklemiszowa I 56
Belcredi R. III 322, 323, 326
Bellini I 192, III 453
Bem J. gen. I 269, 275, 276, 285, 300, 324, 325, 352—4, 358, 359, 361, 368, 371, 372, 385, 386, 394, II 68, 77, 289, III 400
Benedek gen. I 349, II 155, III 297
Benni K. III 242, 263, 266
Bentkowscy I 28, 33
Bentkowska E. I 28, 29
Bentkowski Feliks I 28
— Władysław I 342, 355, 383, II 456 III 474
Berenstein II 386, 387, 392
Berg M. II 415
Berwiński R. II 230
Berezowski A. III 410, 413—8, 421—3
Bernatowicz F. I 74
Bestużew M. III 395, 396
Beze I 428
Bibeskowie III 22

Bibikow I 150, 232, 235, 239, 242, II 37, 451, III 123
Bielawski Bruno II 278, 295, 314
Bielińscy I 29
Bielińska I 67
Bieliński I 68
— S. II 77, 189
Bielowski A. I 381
Bilczyński J. III 565
Biłgorajska Józefa I 90
— z Miłkowskich Marja I 6, 47, 90
Biłgorajski J. I 6, 30
Bismarck O. I 234, III 184, 233, 253, 299, 521
Biulbiul II 86
Blanc Ludwik I 462, II 54
Blanqui II 54, 343
Blejm III 195, 196, 200
Bobowska z Miłkowskich III 180
Bobowski III 179
— J. I 2
Boberska z Wasilewskich F. II 445
Bobrowski Stefan II 382, 383, 385, 424, 463, III 288
— Tadeusz II 383
Bobrzyński (lub Bobrzycki) I 241
Boehme J. III 220, 404
Bohdanowicz A. II 438, 439, 444
Boileau I 151
Boleac II 13
Bolentineanu II 13
Bolesław Chrobry III 394
— Krzywousty I 2
Bona królowa I 126
Bonowscy I 29
Bonowska I 67, 69
Bonowski I 66—8
Bońkowski H. III 218, 221
Borkowska II 311
Borkowski J. II 251
Borzysławski III 42
Bossuet I 85
Braniccy I 208, 229—31, 237, 242
Branicki Ksawery I 469, 470, 471, II 12, 65, 66, 212, 224, 225, 228, 281, 457, III 12, 65, 66
Bratianowie II 233
Bratianu D. I 457, 462, II 1, 19, 122, 127, 133
Bratkowski I 105, 146, 149, 150
— F. I 133, 146
Braun II 84, 146, 151, 152
Brazewicz por. II 334, 395
Breański F. gen. II 195, 199—203
Brockhaus III 443
Brodziński K. I 74, 76
Bronikowski I 74, 75
Browczyński ks. I 89, 90
Bruat adm. II 186
Brudzewscy I 23, 26, 33, 73, 191
Brudzewska I 197
— Honorata I 24, 33, 34, 48, 52
Brudzewski Jan I 23, 33, 34, 47—9, 50—3, 73
— Jan (dziad T. T. Jeża) I 54
— Józef I 23, 29, 34, 47, 48, 53
— Konrad I 178
— Maciej I 23, 81, 168—70, 174, 178, II 464
— Michał I 23, 81, 82
Brun Filip I 185
— Karol I 185
Brzozowski I 54
— Józef III 451, 452, 454, 456
— Karol II 77—9, 83, 84, 87, 91, 153, 184—6, 188, 194—6, 210—2, 214, III 32, 45, 49, 84, 98, 101, 105, 150
Buchenthal-Dobrowolski II 341
Buchez I 461
Bukowska Tekla I 118, 167
— D. I 167
Bulewska z Zienkowiczów II 243
Bulewski L. II 238, 243, 244, 249, 250, 258, 259
Buls III 453
Burbina III 447, 451
Butowicz I 240
Bürger I 164, III 427
Bychowiec I 171
Byron I 165, 173, 446, III 3, 386
Bystrzonowski L. gen. II 200, 201, 203

Cabet I 462
Caille Paulina III 514, 515, 535
Callier III 474
Cankow II 233, 237
Carlier E. I 474
Carnot III 418
Carrel Armand III 407
Cavour II 245
Celiński N. III 29—31
Cellini B. III 381
Cezar J. II 300
Chaborska K. I 211, 228
Chaborski I 212, III 577
Chajmowski II 183
Chalecki III 165
Charras III 327
Chevalier III 32
Chłopicki J. gen. III 386
Chmieliński Ignacy II 404
— Zygmunt II 354, 372, III 244
Chmielnicki B. II 193, III 375
Chodkiewicz III 337

Chodylski Ostoja M. II 229, III 197, 198, 285, 295, 312, 567, 568
Chojecki M. II 477, 479
Choiseul G. de hr. III 39, 99, 147
Cholewiński III 43, 49, 145, 152
Chołoniewski S. ks. III 380, 381, 384
Chomentowscy I 29
Chomentowski I 54
Chondzyńscy I 86
Chondzyński I 83, 84, 86—8, 94
Chopin F. I 199, III 367, 438, 451, 456, 537
Chrzanowski W. gen. II 77, 413
— Leon II 453
Chrząstowski I 20
Chrząszczewski I 20
Cieleccy II 311, 455, III 177
Cielecka III 177, 178
Cielecki A. III 176
— F. II 454, 455
— W. II 442, 454, 455, 474, III 229
Cieszkowski I 171
— kap. III 177
— August III 32
Codrington lady II 231
Cormontaigne I 446, II 333
Corneille P. I 151
Cousin W. III 403
Couthon II 339
Cuisinier III 426
Cunnigham II 62—7
Cuza Aleksander II 284, 287, 429, III 21, 22, 60, 69, 70, 109, 122, 126, 128, 132—40, 142—5, 149, 158, 212, 311, 312
Cywińska I. III 16
Cywiński I. II 471, III 16, 179
Czacki T. I 152, II 369
Czajkowska Ludwika ob. Śniadecka Ludwika
Czajkowski Józef I 363, II 83, 212, 223—6, 283, 354, 423, 435, 437, 438, 457, III 12, 49, 64, 65, 100, 121, 123, 124, 151
— Michał I 152, 171, 371, II 70, 74—6, 79—82, 85, 90—2, 99—101, 120, 141, 146, 179, 180, 186, 192, 193, 196, 201, 214—6, 220, 228, 374, III 13, 26—9, 33, 40, 49, 50, 68, 70, 153, 156, 157, 159, 163, 166—8, 185, 206, 262, 366, 501, 525, 567
Czaplicki II 406
Czapski I 195
Czarkowscy I 213
Czarnecki hr. III 482
Czarniecki Stefan II 330, 442, III 337
Czarnomscy I 29
Czarnomski Gabrjel I 54, II 222
— Mikołaj I 54, II 222
— Roman II 195, 199, 201—4, 220—2
Czartoryscy III 13
Czartoryska Marcelina III 137
Czartoryski Adam ks. I 355, 371, 381, 423, 460, II 77, 81, 92, 97, 180, 185, III 25, 28, 29, 40, 49, 211, 369, 400, 403, 546, 553
— Aleksander III 137
— Konstanty II 213
— Marceli III 137, 138
— Witold III 46
— Władysław ks. I 424, 425, III 13, 40, 214
Czech I 74
Czeczott J. III 451
— Danilewicz W. ks. III 451, 457
Czegadajew I 235
Czekońska III 499, 502
— Kamila III 502
Czekoński Leon III 174, 187, 188, 210, 217, 218, 499, 502
Czengeri gen. II 398, 399, 413
Czernicka I 90
Czerniewicz I 130, 133, 144, 146, 153, 161, 178
— L. I 178, 192, 195
Czernik I. I 277, 302, 313, 336, 339, 340, 375—7, III 59
Czetwertyńska J. II 215
Czetwertyński G. I 141
— L. I 141
Czetz J. gen. II 93
Czunichin I 130, 134—6
Ćwierciakiewicz Józef II 406

Dagmara ks. duńska III 417
Dalkiewicz II 339, 346
Damianicz Jogen I 288, 289, 292, 295, 300, 304, 307
Dannenberg I 244, 253
Dante III 245, 556
Danton II 256
Darasz Wojciech I 430, 457, 460, 462, 474, II 238
Darowscy II 41, III 38
Darowska III 464
— Marja III 433
— Olga III 37—9
Darowski Adam III 38
— Aleksander I 56, III 38, 188
— Jan I 124, III 37—9, 190, 433
— Kazimierz III 38
— Mieczysław III 488, 511
— Zygmunt III 433, 559
Daville dr III 124, 126, 281, 282

Dąbrowska T. III 335
Dąbrowski II 424, III 12
— dr III 60, 107, 122
— ks. III 533
— Jan Henryk I 268, III 335, 556
— Jarosław III 335, 336
— Ksawery II 341
— Teodor III 335
— Witold I 182, 187, 195
Deak III 350
Deakonowicz II 283, 284
De Castro Lacerdo II 40, 43
Delaroche III 438
Delescluze L. Ch. I 462
Delille I 151
Deluvier III 51, 52
Dembiński H. gen. I 291, 299, 301, 334—8, 341, 346, 347, 350—2, 358, 368, 372—5, 384, 394, 397, 398, II 77, III 386
Demelville II 147, 148
Demidowiczowie II 456, III 486
Demontowicz J. III 213—6
Denis I 167
Denysko gen. I 125, II 341
— S. I 31, 125, 126
Denyskowie I 29, 126
Deribas I 197, 198
Detroit Karol (Mehmet-Ali) II 75, 229
Dębek II 395
Dębicki kpt. III 87
Długoborski II 51
— Wincenty II 283, 352, 385, III 21, 23, 60, 68
Długosz J. I 60
Dmochowski F. S. III 376
Dmuchowski W. III 469
Dobrowolski Bruno III 451, 457, 474, 475
Dobkowska II 38
Dobrzańska II 279
Dobrzański Jan II 187—9, 197, 198, 260, 276, 278, 282, 290, 293—6, 390—2 419, 449, 458, III 169, 186, 270, 321—3, 487
— Stefan II 278
Dobrzelewski II 109, 216
Dobrzyński Faustyn I 287, 314, 362, 369, 464, III 59
Dodun de Perrier III 129—31, 140, 141, 143
Dolański II 220
Domagalski Michał I 453—5, II 243
Domański I 39, 64, 72, 82
Dorosz II 42
Doroszenko III 375
Dostojewski T. III 570
Drohojewski ks. III 447, 450, 457, 458
Drozdowski II 69, 228
— W. II 132
Drzewiecki III 68, 111, 114, 115, 118, 126
Drzymała III 480
Duchińska S. III 222
Duchiński F. I 98, 99, 105, 194, II 84—8, 91, 220, 265, III 222, 403
Dudziński II 440
Dufour III 247
Dumas A. III 208
Dunajewski Edward I 395, II 452
Dunin I 212
— Kalikst II 34, 35
Duninowa z Jeleńkowskich I 212
Durand II 152—5, 157—60, 162, 164, 167—9, 179, 189
Duszan III 299
Dwernicka II 477
Dwernicki J. gen. I 268, 269, II 68, 220, III 400
Dybicz III 390
Dymidowicz II 273, 392, 393
Dymidowiczowie II 418
Dynowski K. III 565, 570, 573
— W. III 565
Działyńscy III 189
Działyński J. III 484
Dzieduszycki Aleksander II 280—2, 293, 313, 444, 449, 453
— Mieczysław II 290, 291, 313
— Stanisław II 478
— Włodzimierz II 280, 444
— Wojciech III 179
Dziekoński I 19
Dzierzański Stanisław III 447
Dzierzek Józef II 208, 236, 240—2
Dzierzkowa z Piątkowskich II 208
Dzierzkowski J. I 380, II 278, III 276
Dzwonkowski E. I 399, 400, 404, 407, 410, 422, 424—7

Elżanowski Seweryn II 72, 77, 196, 238, 241, 251, 252, 269—71, 273
Elżbieta kr. ang. III 466
Englert mjr I 325, 337
Englisch III 200, 202, 203
Erlach F. d' I XXX
Erlacher II 320, 332
Este Ferdynand de III 180
Eugenja ces. fr. II 229, III 437
Eugenjusz ks. sabaudzki III 306, 309
Eytel III 512, 513, 516, 518, 523, 527, 540, 541

Farnese II 227, III 157
Favre J. III 418

Feliński Alojzy I 152, III 369
— Szczęsny arcbp II 402
Fénelon I 85
Ferdynand, ces. austr. I 318
— III, król syc. I 402
Féron I 102
Fiedotow-Czachowskij I 144—8
Filanowicz II 50, 51, 299, 300, III 21
Fisz Z. II 217, 218
Floquet III 410, 412
Floreskowie II 284
Floresku gen. III 131, 143—4
Fomberg I 232
Fourier I 462
Franciszek I ces. III 18
— Józef I ces. I 318, II 474, 453, III 450
Franko Iwan III 374
Frankopulo II 286, 298, 321, 325, 335—8, 346—8
Frankowski Aleksander III 334, 414, 421
— Leon II 372, 373
Fredro J. A. I 374
Frenkel II 15—7, 19, 445
Fricz Józef III 342—6, 348, 349, 351, 353, 355
Friczowa J. III 342, 343
Friguessy płk. III 41
Fryderyk II król prus. II 343
— Wilhelm III 311, 491, 520
Fuad-pasza I 393, 394 III 152—6, 158, 163, 168, 212, 214
Fudakowski I 208

Gabel I 19
Gabor III 289, 290
Gałeccy III 536, 545
Gałecka Helena III 514, 535, 548
Gałecki III 515, 535, 536, 571
Gałęzowski I 54, 68
— Ksawery II 263, 264
— Seweryn II 240, 241, 281, III 40, 160, 211
Garaszanin E. III 236, 263, 264, 266, 269, 311, 321
Garibaldi Józef II 186, 355, 363, III 39, 40, 42, 43, 60, 255, 498
— Menotti III 40, 43, 60
Gaszyński Konstanty II 393—7, 400, 401, 412
— płk. II 397, 398, 414
Gatti de Gammond III 468, 526, 527
Gawrońska z Miłkowskich Antonina II 367, 422, 439, III 16, 175, 234, 248, 257, 267, 269, 566, 278, 285, 320, 321, 429, 446, 468, 536, 566
Gawroński płk. II 241
Gąsiorowscy III 291
Gąsowski P. III 33
Gebethner III 270, 482
Gembarzewski B. III 447
Gembka Antoni III 153, 212
Gendebien Aleksander III 450, 451, 527, 533
Ghica II 129—31, 133, 234, III 22, 145—8, 151, 152, 159, 169
— Leon III 122—4
Gieysztor J. II 266
Giller A. I XXX, III 243, 244, 470, 489, 490
Girard III 559
Glavani II 189, 437
Glinka Grzegorz II 52
Głowacki Aleksander (Prus Bol.) I 50 III 262
Godlewski Franciszek II 241, 270, 401, 405, 408, 412
Goegg III 512, 523, 524
— Marja III 516
Goethe I 164, II 53
Golczewski I. III 33
Golejewski A. II 422, 458—61, 467
Golesko A. II 12, 13, 98
— Mikołaj II 94, 95
Goleskowie II 13, 125—3, 233, III 142
Gołuchowski Artur I 269, II 458, 460, 461, 467—70, 472—5, 478, 479, III 8, 11, 18, 170, 174, 182, 183, 414
— Agenor I 455, II 227, 285, 310, 334, III 18, 239, 322, 323
— Mieczysław II 387, III 18
Gonzal I 94, 97, 98, 100, 102, 105—112, 130
Gonzalowa I 94, 97, 98, 100, 105—7
Gonzalowie I 97, 100, 107, 108, 110
Gorecki I 286
— Antoni II 250
Görgey I 300, 340, 341, 351, 358—61, 364, 384, III 350
Götz gen. I 311
Gordon I 181, 235
Gorkij III 570
Górnicki Ł. III 276
Górski II 341
— Artur III 554
Gosławski M. I 175
Goszczyński S. 142, 158, III 343
Gouvion Saint-Cyr I 19
Grabowski B. III 356
— M. I 164, 196
Grabski II 321, 332, 335
Gradowicz III 128, 131
Grendyszyński III 507

Grévy III 418
Grocholski II 34
— J. II 380—2, 389
— K. II 380
Grochowalski I 302, 303
Grodzki I 187, 202
Grodzki F. I 195
Groppler H. II 84, 184, 189, 197, 204, 205, 208, 209, 213, 214, 237, III 449, 486
Gropplerowa II 84, 213, 214, III 485, 486
Gropplerowie II 91, 93, 213, 214, III 128, 156, 485, 486
Grotowski mjr III 68, 112
Groza A. I 105, 147, 154, 198
Grudziński I 101, 155
— L. I 155, 172—4, 199
— St. I 173
Gruszecki P. III 476
Grzegorz XVI pap. III 384, 552
Grzymała III 343
Gubrynowicz W. III 270, 271
Guizot II 54
Gurjew I 232, 233
Gutowska I 46
— z Czajkowskich III 166
Gutowski dr III 166
Guttry A. III 31, 429, 430, 440, 444, 462, 468, 469, 471, 472, 474—81, 483, 484

Haller III 320
Harden M. III 483
Harthausen II 87
Hartman I 474
Haryta II 353, 373, 374, 385, 424
Hashagen I 185
Hatzfeld I 124
Hauke Bosak J. III 52, 208, 247, 498, 508, 511, 516, 529
Hauslap gen. I 369
Hausner II 260
Hawlett W. I 440—3, 446, 447, 450, 466, 463, 472.
Haynau feldmarsz. I 340, 341, 358, 359, 444
Heidenreich M. (gen. Kruk) III 166
Heine II 15
Helena ks. serbska III 313
Heliado II 98, 102, 233
Heltman W. I 382, II 252, 255—7, III 327, 330, 426, 468, 469, 472, 481, 565
Heltmanowa II 255, 256
Henryk ces. niem. I 1, 2
Hercen A. II 247, 248, 249, III 354
Heydl Henryk III 173, 174
Hilarski II 321, 335
Hładki II 73
Hoche II 413
Hołyński II 333
Horbaczewski ks. III 448, 467
Horodyński kap. I 336, 353, 355
Hoszowski I 105
— A. II 226
Hryniewiecki III 424
Hugo W. II 54, III 163, 327
Hulaniccy III 16, 173, 174
Hulanicki C. I 214
— F. I 247
— G. I 214
— N. I 214
Hurko III 48
Husar hr. III 264
Huss J. III 405

Ibrahim-pasza II 104, 112
Idzikowski płk. I 287, 326, 379, 384, II 12, 205, 206
Iliński A. I 354, II 105, 222
Iwanowski II 257, III 208, 210
Izet-bej I 397
Izmaił-pasza II 229
Iżycki I 112

Jabłonowski II 274
— gen. I 311, 314
— (lub Jabłoński) I 252
Jabłoński H. II 186, 188, 196, 210, 295
Jachimowicz bp I 241, 266
Jackowski III 35, 41, 96
Jagmin J. I 288, 302—5, 311—3, 315, 323, 334, 335, III 31, 32, 63, 64, 74, 89, 92—4, 97, 99, 107, 118, 119, 121, 124, 149—51
Jakubson B. I 407, II 144, 145
Jan III Sobieski I 335, III 252, 394, 514
Janina Olga III 457—9, 538
Janko H. II 212
Jankowicz II 128, 129, 131
Janiszewski I 351
Janowczykowa z Miłkowskich J. I 6
— W. 6, 54
Janowska I 79
Janowski A. I 65, 66, 69, 72, 74, 78, 81, 83, 203
— Jan Nepomucen I 454
— Józef K. III 169
— Leon I 78, 79
Januszewicz T. II 241, 263, 264
Januszkiewicz E. III 397, 400—2
Jarmund S. III 334
Jaroszkiewicz II 299, 300, 337

Jaroszyńscy III 58
Jaroszyński I 5
— J. I 53, 137, 160
Jasiewicz ks. III 515, 545, 563
Jasińscy III 444, 449
Jasiński I 212, III 330
— S. III 449
Jastrzębski III 59
— L. I 362, 369, 380, 466, 468, 473, 464
Jelačić III 350
Jeleki II 321, 332, 335, 336, 359, 366
Jeleńkowscy I 24
Jeleńkowska I 23, 40, 44, 46, 47, 56, 70, 73, 75, 77, 78, 81, 91—4, 112, 118, 129, 137. 139, 141. 167, 217, 218, 245, 250, II 26, 30—4, 36
— Idalja I 46, 223, II 33
— Józefa I 46, 60, 118, 218, 223, 225, 250, II 33
Jeleńkowski Juljusz I 40, 70, 73, 75, 190, 191, 229, 231, 232, 247, 250, 251, II 26, 30, 32. 34—6, 38, 39, 41, 42, 45, III 223, 224, 463—8, 522, 528, 547, 548, 561, 563—5
Jełowicki A. ks. I 59
Jerscy I 466, 467, 461
Jerzy Czarny I 307, III 301, 305, 310, 320
Jeske II 408, III 244, 245
Jeskowa ze Szwarców II 404, 406, 407, III 244
Jeskowie II 405
Jesse III 54—7, 75, 76
Jezierski III 431—2
Jilich III 191
Jokisz III 261, 293
Jomigny II 343
Jordan Władysław II 69, 92, 194, 195, 214, III 13, 28, 44, 45, 48, 214, 216
— Zygmunt II 92, 194, 195, 199
Jordanowie II 196
Joselowicz Berek II 16, 257
Jotejko G. I 123, 196
Jotejkowa I 196
— z Rylskich I 123
Jovanni I 401—4.
Jurgens E. II 383
Jurkowski Jan III 105

Kabat II 227
Kaczanowski III 56
Kaczkowski Karol III 255, 256
— Zygmunt II 462, 463, III 164, 276
Kaczyński I 232
Kalinesku III 83—6, 89, 91—3, 96, 102—6, 108, 110, 111, 114, 116—120, 122, 123, 126, 127, 133
Kalinka W. II 92, 199. III 213, 347
Kalinowski II 266
Kalm-Podoski I 469
Kałussowski H. III 493
Kamieński H. I 194
— M. płk. II 190—3, III 160, 161
Kamienskoj III 560
Kamiński I 405. 410
Kant I. III 517
Kapri bar. II 286
Kara-Fatma II 105
Karadžić Wuk I 283, III 302, 316, 352
Karageorgewicze III 263
Karamzin II 87
Karłowicz J. III 169, 186
Karol arcyks. austr. II 343
— X, król franc. III 471
— XII, król szwedz. I 385, III 67.
Karpiniec II 443, 455
Karpiński F. I 5, 28
Karpow I 90
Karpowicz I 156
Kassiusz I 450, 451
Kaszyc III 402
Katarzyna II car. ros. I 75, 220, III 35, 411, 491, 520
Katkow M. I 376
Kazimierz Wielki I 1
Kazinczy I 336
Kędrzycki I 232, 248
— J. I 156
Kęszyccy III 18
Kęszycki J. III 17, 18
Kiliński J. płk. III 175
Kinezi II 19, 49
Kiślański III 448, 531
Klaczko J. II 250
Klapka J. gen. I 300, 311, 312, 340, II 93, 100, 234, 235, III 40, 233, 236—9, 246, 247, 251, 266, 321, 331
Kleczyński I 426, 428. 438, 449, 450
— J. II 263
Kluk K. I 49
Klustin hr. III 382
Kłodnicki E. I 182, 191, 192, 195, 196
Kłopotowicz I 232
Kmety gen. I 300, 368
Kniaziewicz K. gen. I 408, III 335
Kniaźnin F. I 28
Kochanowski J. I 28, 60
Kogolniczanu II 342
Kollar J. III 272
Kołb-Sielecki I 105
Kołodziejski I 276, 324, 325

Kołysko A. I 74
Komar I 65, 70
Komarnicka T. I 27, II 326, 416, III 180
Komarnicki hr. II 326, 398, 399, 415
— R. ks. I 31—3, 142, 158—60, 199, 200, II 27, 79
Komorowski III 171
Konarski Szymon I 128, 129, 131, 132, 193, II 21, 35, 51, III 37, 272
Konaszewicz P. III 525
Konopacki III 577
König J. II 254, 403
Konopnicka M. III 403
Konstanty Pawłowicz w. ks. I 19, II 432, III 370
Kopczyński I 232
Kopernicka M. III 433
Kopernicki Izydor I 238, II 317, 333, 350, 358, III 107, 150, 197, 198, 224, 272—83, 306, 309, 312, 433, 434, 486, 504—7
Kopernik M. I 60, III 252, 349
Korejwa I 238
Korczyńscy II 311
Körner I 164
Korytkiewiczowie II 311
Korzeliński I 298
Korzeniowscy I 105
Korzeniowski Apollo I 105, 111, 156, II 383
— Józef II 266, III 276
— Tadeusz II 383
Kosiński II 144
Kossak J. II 117, 265
Kossuth L. I 278, 310, 335, 360, 361, 368, 371, 372, 378, 384, 385, 394, II 93, 206, 254, III 236
Kostomarow I 236
Kosz II 274, 456
Koszarska P. III 571
Koszarski I 157, III 402
Kościelski W. II 69, 228—30, III 359
Kościuszko T. I 5, 25, 95, II 214, III 25, 70, 252, 320, 394, 418, 514
Kotlarzewski I 28
Kotoni J. I 198—200, II 79
Kotzebue gen. III 39, 48, 67
Kowalska K. I 203
Kowalski I 133, 145, 146, 150, 203, 204, II 51, 327, 350
Kozadini II 19
Koziebrodzki II 291, 313, 452, 469, 470
Kozieradzki I 385, 386, II 68—71, 76, 138
Kozłow III 376—8, 380, 382, 395
Kozłowski Włodzimierz I 373, 374, II 89, 91, 146, 181, 182, 184, 186, 187, 191, 193—7, 201, 202, 204, 205, 209, 210, 211, 213, 214, 232, 234, 235, III 279
— Zygmunt II 209
Kożuchowscy I 28
Kożuchowska I 30
Kożuchowski W. I 28, 29, 31, 125, 126, II 241, 272, 283, 316
Kraiński Maurycy II 209
Krajewscy III 153, 156, 157, 167
Krajewska z Trypolskich III 156
Krajewski III 152
Kranz II 337, 338, 349
Krasicki I. bp. I 28, 60, III 276, 577
Krasiński II 186
— Wincenty III 376
— Zygmunt I 139, 158, 211, II 42, 397, III 164, 324, 372, 437—9, 523, 551, 552
Krasnodębski II 473, 475, 476, 478
Krasowscy III 570
Krasowska III 576
Krassowskij III 575
Krasuscy I 113
Kraszewski J. I. I XXXIV 164, 171 211, II 264, III 164, 227—31, 233, 242, 244—6, 270, 276, 337, 356, 357, 363—7, 410, 430, 571, 573, 578
— Stefan II 261, 264
Kray K. III 379
Krechowiecki A. ks. III 334
Krobicki I 317
Kremer J. II 219
Kromer I 1
Kropiński L. I 74
Kropiwnicki III 330, 426
Kruk gen. zob. Heidenreich.
Krukowiecki gen. III 386
Krupski S. III 561
Krynicki II 341
Kubala L. III 201
Kucz III 41
Kuczewska I 29
Kuczyński H. II 89—91, 95—7, 102, 104, 106—11, 113—5, 117, 119, 142—4, 216—20
Kujundzicz III 261
Kulczycki I 118
— dr II 286, 298, 323, 331, 360
Kulesza I 158
Kulisz I 236
Kulżyński I 153, 154, 170
Kumanowska z Potockich III 502
Kumanowski I 64
Kundziczowie III 565, 566
Kuniewicz II 212, 353

Kurowska II 454
Kurowski II 398, 411—6, 418, 436, 437, 454
Kurzańscy I 93, 94, 112, 123, 126, 129, 141, 189, 220, 222, 224, II 33
Kurzańska I 197
Kurzański I 197, II 317
Kurzański A. I 75, 92, 123, 137, 139, 196, 220, 221
Kvaternik E. III 236—8, 241, 249, 251, 260, 262
Kwilecki III 559

Lachowicz ks. III 181, 503
La Fayette E. III 418, 419
Laisné J. II 343
Lam Jan II 459, III 186
Lamartine A. I 156, 175, 266, II 54
Lamennais F. ks. III 418
Langiewicz Marjan II 383, 451, 452, 456, 463, III 474
Lasocki III 432
Latour-Maubourg gen. I 9, 10
Lavater I 417
Leclerc II 413
Lednicki W. III 396
Ledóchowski J. II 205, 251
— M. kard. III 475, 476
Ledru-Rollin I 457, 462, 473
Leiningen I 289
Leka Jan II 19, 20, 49, 50, 54—8, 60, 61, 66, 127, 286
Lelewel J. I 80, 461, II 252—8, 305, III 226, 349, 355, 400, 476, 526, 577
Lemi II 234
Lemonnier Karol III 512, 513, 516, 519, 520, 523
Lenormand III 398
Leopold kr. belg. II 109, III 453
Léouzon le Duc L. III 237
Lesznowski Antoni II 197, 198, 266, 403, III 278, 425
Leśniewicz I 162
Lévy Armand II 182
Lewakowski Karol III 61—3, 214
Lewandowski Walenty I 381, II 236
Lewenthal S. III 364, 459, 460, 463
Lewteropuło I 185
L'Herbois Collot II 339
Libelt K. III 480—4
Liczbiński III 32, 49
Limanowski B. II 65
Linton I 462
Lipiński I 36, III 459
Lipkowscy I 195, III 465, 466
Lipkowska III 465
Lipkowski H. III 467, 468, 571—3
Listopad III 289, 290
Liszt III 335, 451, 457, 459, 537
Littré III 434
Löwenthalowa z Wyleżyńskich II 369
Loyson H. III 335
Lubecki III 431
Lubliner L. II 254, 255, 257, III 327
Lubomirscy II 462, III 241
Lubomirska III 240
Lubomirski J. I 5, III 239, 241
— Marceli III 232, 238—41
Ludwik XV król fr. III 22, 211
— XVI król. fr. III 471
— Filip III 394, 399, 471

Łapiński Teofil III 184, 214
Łaski I 105
— Aleksander III 14, 62
Łazarz car serb. III 316, 317
Łątkiewicz III 272, 286
Łękawski K. I 381, 382, 387, 464, III 48, 294
Łoś mjr III 193, 194
Łozińscy I 198
Łoziński W. II 278
Łubieński F. I 2
Łuczyński A. I 343, II 129, 132—4, 136, 137
Łukaszewski J. III 294
Łuniewski kap. I 403
Łysakowski I 196

Maciejowski I. (Sewer) II 446
Mackiewicz bp I 159, 160
Madejski II 425, III 144
Majewski III 165
— Karol II 383, 402
Maksymiljan arcyks. austr. III 450
Malczewski A. I 152, II 305
Malinowscy E. III 444, 490
Malinowski I 195
— Erazm III 330, 332, 426—30, 432, 440, 445, 468, 469, 490
Małachowski F. I 258, II 285
— Z. I 187, 188, 195, 203, 251, 254
Małuja II 451, 459, 477, III 3
Mamet E. II 153, 168
Manes III 405
Marat II 339
Maratowski dr I 179, 187, 190, 191, 214
Marceau II 413
Mariassi płk. I 280, 284
Marja Stuart III 466
— Teresa III 520
Marko król. serbski III 316, 317
Markowska J. I 265

Martin H. III 403
Martinet L. II 198
Martini K. II 212, 401
Maszadro I 429
Matejko J. III 59, 344, 345, 349, 367, 457
Matczyński K. I 274, 277, 280, 288
Matuszyński I 343
Maunoire dr III 247, 248
Mazepa II 17
Mazurkiewicz W. II 2, 77, 238, 241, 251, 252, 263, 264, 269—71, 377
Mazzini J. I 457, 458, II 1, 5, 45, 234, 244—7, III 142, 212
Mazzucheti I 341
Mączuńska T. III 437—9
Medowicz III 289
Mehmet-Ali zob. Karol Detroit
Mejean III 451, 452, 453—6, 538
Mejzeles II 414, 415
Mendsdorff Pouilly Aleks. II 436, 442
Menk Paulina ob. Mękarska P.
Merzbach H. III 330, 333, 425, 431, 432, 454, 456
Messaros I 341, 350, 358, 368
Metternich I 234
Mękarska Paulina III 513, 514, 517—9
Michalscy III 39
Michalski I. III 37
— L. III 541
— Wł. III 37
Michał Anioł III 457
— Obrenowicz ks. serbski III 236, 263, 295, 311, 318
Michałowski A. II 228
Michelet J. II 54
Michniewicz I 185
Mickiewicz Adam I XXVII, 73, 74, 157, 158, 170, 183, II 79, 90, 177, 179—83, 217, 218, 314, III 10, 31, 123, 164, 169, 207, 220, 222, 249, 252, 276, 277, 322, 335, 343, 349, 352, 360, 361, 365, 409, 441, 451, 514, 523, 551—3
Mieleniewska III 208—10, 505
Mielżyński Seweryn III 484
Mierosławski L. I 382, 461, II 1—3, 77, 79, 81, 216, 221 234, 238, 241, 242, 249—54, 269, 271—3, 290, 291, 318, 353—6, 361, 370, 375—7, 405, 407, 413, 414, 450, III 40, 206, 217, 218, 223, 413, 430, 501
Mierzejewska III 447
Migurscy III 180
Migurska I 112
Migurski I 114, 166
Miklaszewski I 80
Mikołaj I car I 96, 132, 139, 140, 249, 335, II 50, 190, 207, III 79, 385, 393, 407, 431, 536, 560, 575
— Aleksandrowicz w. ks. III 417
— z Miłkowic I 1
Mikorskie II 263
Mikoszewski K. II 404
Mikulski ks. II 80, 212
Mikułowski J. I 397, 399, 400, 403, 405, 422, 463, II 89, 91, 92, 103, 105, 106, 120, 123, 128, 131, 136—8, III 225, 257
Milan ks. serbski III 263, 311, 318
Milowicz W. II 406, 410, 422, 445, III 214, 222, 224, 225, 334, 337
Miładowska I 147
Miładowski J. I 96, 97, 101—5, 130, 134, 135, 143—7, 150, 153
Miłkowscy I 1, 2, 24, 43, 73, 213
Miłkowska Anna, córka T. T. Jeża, ob. Pojawska Anna
— Anna I 1
— Antonina, córka T. T. Jeża, ob. Gawrońska Antonina
— Aurelja I 203, 204
— z Brudzewskich Balbina, matka T. T. Jeża, I 23, 24, 26, 27, 43—7, 55—9, 61, 64, 67, 68, 70, 77, 80, 81, 84, 85, 87, 88, 91, 94, 105, 106, 112—6, 127, 137, 140, 142, 143, 147, 168—70, 178, 180, 189, 190, 219, 228, 229, 250, II 36, 39, 42, 46, 208, 464, III 499
— Bronisława, siostra T. T. Jeża, I 31, 45, 60, 80, 84, 118, 156, 168, 210, 218, 228, 250, 251, 39, 44, III 320, 554, 557, 559
— Erazmowa III 339
— Helena, córka T. T Jeża, ob. Tarczyńska Helena
— Konstancja I 203, 204
— Leonida, siostra T. T. Jeża, I 156, II 39, 44, 317, III 554, 559
— Marja, córka T. T. Jeża, ob. Weilowa Marja
— z Komarnickich Marja I 3, 4, 6,26
— z Kopernickich Michalina II 317, III 559
— Szczęsnowa III 433
— z Wiktorów Zofja I 1
— z Wróblewskich Zofja, żona T. T. Jeża, II 288, 292, 293, 296, 297, 302—5, 314—6, 319, 320, 332—4, 336, 337, 345, 348, 349, 351, 360, 365—8, 384, 386, 387, 421—4, 427, 434—6, 439, 440, 461, 466, 467, III 16, 30, 31, 173,

175, 176, 183, 234, 242, 245, 246, 248, 257, 266, 267, 269, 271, 274, 276, 278, 280, 283—8, 290—3, 312, 319—25, 328, 332, 333, 335, 433—5. 437, 439—44, 464, 468, 499, 502
Miłkowska Zofja, córka T. T. Jeża, III 432
Miłkowski I 22, 331
— dr med. III 60
— Aleksander I 1
— Antoni I 2, 5
— Antoni, stryj T. T. Jeża, I 90
— Edmund III 338—42
— Erazm I 5, 21, 28, 32, 90, III 338
— Ignacy I 2, 5, 21, 22, 26
— Jakub I 1, 190, 195
— Jan, dziad T. T. Jeża, I 2—6, 20—2, 24—6
— Jan, brat T. T. Jeża, I 64, 65, 80, 90, 156, 178, 192, 204, 205, 209, 216, 228, 250, II 39, 43, 44, 101, III 556, 558
— Józef, ojciec T. T. Jeża, I 3, 5—27, 31, 33, 36—40, 43—7, 57—66, 70, 71, 73—5, 77—9, 81—5, 88—98, 106, 113, 114, 116, 117, 119, 122, 123, 125, 127—9, 133, 137—42, 151, 153, 156, 158, 160. 161, 177—9, 181—184, 187, 189—192, 204, 205, 207—10, 216, 219, 227, 229—31, 245, 246, 250, II 25, 26, 30, 35—9, 42, 43, 46, 208, 262, III 439, 499
— Józef, brat T. T. Jeża, I 40, 60, 80, 90, 119, 125, 130, 137, 141, 142, 151, 153, 179, 180, 192, 204—6, 209, 212, 216, 218—20, 226—8, 250, II 39, 43, 44, 57—62, 64—6, 71, 72, 73, 101, 136, 430, III 555, 558
— Józef, syn T. T. Jeża, III 443, 461, 462
— Justynjan I 90
— Justynjan, brat T. T. Jeża. I 156, 192, 204, 205, 216, 250, II 39, 42—4, 208, III 556, 558
— Konstanty I 29
— Maciej, stryj T. T. Jeża, I 2, 5, 73, 90, 91, 203, III 158
— Szczęsny I 90, 156, 168, 170, 192, 204—6, 209, 216, 218—21, 228—231, 242, 250, II 39, 40, 42—5, 47, 57—9, 61, 62, 64—6, 71, 72, 208, 283. 316—9, 353, III 558, 559
— Zygmunt (T. T. Jeż):
Artykuły:
w *Dzienniku Emigracji* w Szumli I 380
w *Demokracie Polskim*, Londyn 1851—9. I 456, II 185, 248
w *Dzienniku Poznańskim* II 235, 261, III 425, 435
w *Gazecie Warszawskiej* II 197, 235, III 278, 424
w *Gońcu Polskim*, Poznań 1851. I 456
w *Kłosach*, Warszawa, III 425, 446, 463
w *Kraju*, Petersburg. II 222
w *Przeglądzie Rzeczy Polskich*, Paryż, II 261, 273
w *Tygodniku Ilustrowanym*, Warszawa, III 439, 446
Dzieła:
Asan II 283, 284, 342, 344, III 277
Belgja i Belgowie III 534
Dyplomacja szlachecka (W obronie gniazda) II 230, III 476
Historja o prapradziadku i praprawnuku II 266, 284, 321, 344
Handzia Zahornicka II 198, 344
Hrabianka Dynia II 322
Jubileusz serbski III 283
Krwawe dzieje II 342, 344
Ludwik Mierosławski oszkicowany II 271, 273
Pamiętniki włóczęgi II 74, 188, 189, 205
Pani Komisarzowa II 322, 344
Pierwsze i drugie Boże przykazanie II 321, 344
Sen starego księdza II 260, 262
Serbja, studjum historyczne, III 319
Sylwety emigracyjne III 222
Szandor Kowacz II 261. 262, 344
Udział Polaków w wojnie wschodniej II 76, 78, 190, 196, 198, 201
W Galicji i na Wschodzie III 42, 54, 72, 84, 146, 271
Wasyl Hołub II 197, 198, 344
Wnuk Chorążego III 482
Za króla Olbrachta II 342
Miłosz Obrenowicz ks. serbski II 133, III 284, 301, 305. 310
Minejko II 382
Młochowski III 343
Młodecka I 304
Młodecki I 167
Mochnacki M. I 164

Modrzewski Frycz A. I 153
Mogilnicki I 251
Mohyła Piotr III 525
Mokijewski I 100, 102
Molière III 210
Moltke III 483
Mołodecki I 214
Monasterscy I 196
Moniuszko S. II 411, III 214, 426
Montalembert K. III 418
Moraczyńska M. III 433
Morawski T. III 476
Moreau II 413
Morgenbesser II 342
Morgulec A. I 133, 145, 146, 149, 151
Morski L. III 566, 568
Moruzzi II 51, 321, 327, 339, 350, 352, 424
Moszczyński M. II 148, 149, III 484
Mrozowicki M. III 60, 61, 70, 71, 126, 137—9, 149—51, 159, 169
Mrozowski (albo Mroziński) II 20, 49, 50
Mozart III 453
Muczkowski I 112
Mułkowscy II 456
Mułkowski S. II 274
Murat II 413
Murawiew III 336, 353
Murzakiewicz I 185, 186
Musiał III 324
Mustafa-pasza II 112—5, 201
Mysłowska III 15
Mysłowski II 388, 389
— A. II 380—2
— J. III 15
— M. I 103—5, 148, 149

Napoleon I: I 6, 15, 16, 25, 156, II 45, 223, III 125, 211, 248, 357, 368, 387, 407, 418, 556
— III: I 453, 454, 462, 467, 469, II 20, 21, 234, 235, 254, 268, 280, 281, III 51, 125, 142, 189, 211, 212, 216, 228, 253, 362, 403, 410, 411, 418—21, 435, 437, 450
— Hieronim ks. I 467, II 186, 228, 234, 235, 280, 281, III 211, 418
Narbutt F. II 353, III 435, 450
— L. III 435
Naruszewicz I 28, 60, III 276
Narzymski J. III 222
Neczaj I 180
Negri K. II 63—7, 71
Negruzzi II 22, 49
Nenadowicz L. III 261
Niedźwiedzki L. II 450
Niemayer A. H. III 559
Niemcewicz J. U. I 74, 89, III 335, 476
Niemojewski II 230
Niesiecki I 1
Nietzsche F. III 390, 457
Niewiadomscy II 350
Niewiadomska I 211, II 350, 351
Niewiadomski I 370, 384, II 352, 364, 449
Nordman I 185, 186
Norwid Cyprjan II 265, III 31
Nowakowicz III 261, 294, 301—3
Nowakowski I 308
Nowosielski Feliks I 439—41, 453
Nowosilcow III 371, 376
Nullo F. III 232

Oborski L. II 7
Obradowicz D. III 302
Obrenowiczowie III 263, 318
Obylicz Miłosz III 316, 317
Ochocki Wł. II 312, III 503
Odynecki I 461
Odyniec A. E. III 373, 380, 399, 403
Ogiński I 47, III 537
Ohryzko J. II 266
Olchowski F. II 51, 323, 331, 339—351, 385, 439, III 23
Oleszkiewicz J. III 373
Olizarowski T. A. I 158
Olszewski II 215, III 105
Omer-Lutwi-pasza II 94, 95, 98, 100—3, 106—8, 111, 118—21, 219, 228, III 123
Opaccy I 213, III 577
Orda I 130, 131, 149, 168, 170
Ordęga Józef II 1, 77, 238, 241, 251, 252, 263, 264, 269, 270, III 40, 160, 211, 233, 448
— Władysław II 264
Ordon Konstanty II 186, III 386, 394
Ordyński I 132—4, 143, 145, 146, 148, 150
Orlikowscy II 31
Orlikowski II 31, 37, 38
Orłowski II 275, 276
Orpiszewska III 546, 547
Orpiszewski J. III 553
— L. III 546—9, 551—4
Orsini I 112, III 228, 415
Orzechowska III 255
Orzechowski Stanisław III 525
— Juljusz III 256
— Stanisław III 525
— Oksza Tadeusz III 156, 242, 251, 255—7, 266, 267, 359, 460, 461
Osman-bej II 113, 114

Ossolińscy III 189
Ostaszewska A. III 499
Ostaszewski Seweryn II 291, 292
— Spirydjon I 211
Ostrogski Konstanty III 525
Ostrowski II 416
— J. B. I 470, 471
Otton król grecki II 9
Owen Robert I 462

Paczek płk. II 226, 227
Padalica Tadeusz zob. Fisz Z.
Paderewski Ignacy III 472, 537, 538
Padlewscy III 179
Padlewski I 83, 87
— Walerjan II 310, 311, III 175, 176
— Władysław II 45
— Zygmunt II 384, 402, 405
Pajgert Adam II 295, 305, 310, III 3—5, 9
— Kalasanty II 305, III 4, 5, 17, 18
— Stanisław III 3, 5, 11
Pajgertowa III 4, 5
Palacki III 353
Paniutin gen. I 354
Paprocki B. I 1
Paradowski II 461, 467
Parczewska M. III 559
Parczewski A. III 559
Pasakas III 20, 21, 52
Pasek I 32
Passwan Oglu II 341
Paszkiewicz I 358, 359, III 12, 65
— J. gen. III 390, 501
— (lub Paszkowski) II 457
Paszkowscy I 223, III 447
Paszkowska I 223, 224, III 511, 515, 529, 531, 535, 571, 577
Paszkowski I 223, III 531, 532
Paternowa II 440, 441
Paternowscy I 183
Paternowski I 182
Patti III 224, 226, 448
Paweł I car I 76
Pawlikowski M. II 277, 279—83, 293, 313
Pawłowicz II 136
Pawłowski I 7, 11—5, 17, 18, 25, III 561
Pelikan W. III 376
Penczyński I 194, 195, 198
Perczel I 300, 339, 340, 368
Peretiatkiewicz I 54, 213
— F. I 54—6
Peretiatkiewiczowie I 24
Peretz III 561
Perkowski II 195, 200—3
Pérrier Kazimierz III 393
Pestalozzi I 102, III 320, 534, 547, 559
Petrarca III 441
Petion I 195
Petroniewicz II 224
Pieńczykowscy III 12
Pieńczykowski III 8
Piketti płk. I 289, 297
Piotr Wielki III 373, 395
Piotrowski I 185, 327, II 143
— R. II 86—9
Pistolet II 436
Pius IX pap. I 235, III 211, 482, 483, 552
Pleszojano płk. II 94, 95
Plater Ludwik III 402
— Władysław III 508
Pląskowscy II 252
Pląskowska II 252, 253
Pląskowski II 252
Poczobut ks. II 311
Podgórski II 183
Podhorodeńscy I 175
Podhorodeńska K. I 175, 176, 178, 201, 217
Podhorscy I 213
Podhorski Z. I 100, 105
Podolecki J. K. I 430, 450, 451, 457, 459, 460, 466
Podsiedlewicz I 54
Podsiedlewiczowie I 29
Pojawska z Miłkowskich Anna III 320, 323, 443
Pol W. I 211, 327, 459, II 42, III 25, 38, 407
Polewoj III 376, 395
Poniatowski ks. Józef I 17, 25
Poniński gen. I 326
— K. II 192, 263, 264, 462
— W. I 280
Popiel R. III 572, 573
Popielówna II 282
Popowscy I 29, 87, 213
Popowska I 29, 197
Popowski I 71, 83, 87, 166, II 25
— A. I 83
— B. I 83, 197, 226, 247, 252, 345
Postępski I. I 171, 232, 237, 238, 363
Potoccy I 24, 34, II 393, 421, 441, III 9, 38, 439
Potocka Delfina I 139—41, III 437—439, 441
— Klementyna II 402, III 207, 209, 210
— ze Szwejkowskich M. I 139
Potocki I 141, II 420, III 220, 221
— Adam II 219

Potocki Aleksander II 384, 402, III 156, 206—10, 217—9, 226
— Bolesław I 128, 131, 245
— Leon II 402
— Mieczysław I 92, 112, 122, 137—140, 150, 161, 189, 204, 245, II 39, III 8, 9, 438, 439
— Mikołaj I 139—41
— Stanisław II 296
— Wacław I 32
Powell I 446, 448, 449, 466
Pracki I 213, 214
Prażmowska I 153, 160
Prażmowski I 232, 243, 244
Prądzyński A. II 107
Prohaska III 268
Prozor III 355
Prus Bolesław zob. Głowacki A.
Przesieccy II 285
Przesiecki II 283
Przesmycki I 229
Przewłocki Klemens II 91, 143, 374
— Walerjan II 89, 91, 219, 227, 373—7, III 13—5, 17, 19, 24, 30, 32, 49, 81—3, 86, 90, 92, 101, 121, 122, 124, 126—8, 132, 137, 144, 145, 147
Przezdziecka z Lachmanów M. III 435—7
Przezdziecki Alojzy I 454, 455, II 227, 229
— Karol III 435, 436
Przyborowski Walery II 415, III 184, 252
Przybylski W. III 206, 210—4, 217, 233, 235—7, 241, 246, 247, 252, 257, 321, 327, 359, 360, 468
Przyłuski I 446
Pułaski Kazimierz III 261
— Józef II 145
Pustowojtówna Henryka II 358—68, 371—4, III 21, 36
Puszkin A. I 165, III 112, 376, 395, 396
Puzyna II 477, 478
Puzynowie II 477
Pyat Feliks I 462

Quinet E. III 327

Racine I 151
Radoliński (Radłowski) III 103
Radziszewscy III 444, 458
Radziszewska III 534, 535
Radziszewski Bronisław III 330
— Henryk III 446
— Ksawery III 330, 448, 453, 457—459, 530, 534, 535
Radziwiłł Karol II 216, III 206
Rafael III 242, 243, 457
Raglan F. J. II 121
Raklisz II 52, 59—61, 65
Rakoczy I 273, 327, 341, II 6
Ramorino H. gen. III 386
Raoux III 512, 523, 541, 542, 544, 545
Ratyński III 49, 124
— Józef II 202, 212
Rawscy III 500
Rawski I 74
— Sydor II 89, 143, III 499, 501, 504, 523, 525
Raznocwietow Grisza III 41
Rebczyńscy I 105
Rechniewscy III 547, 567—71, 575, 576
Rechniewska III 570, 577
Rechniewski K. III 576
Rejtan T. III 344
Renan E. III 207, 223, 224, 244
Reszyd-pasza II 82, III 43, 71, 72
Rettel L. III 218—21, 252, 358—60, 362
Reutt Gustaw II 328, 329
Rivoire mark. III 147
Robespierre II 256
Rochebrun III 232
Rodakowski II 458, 462
Rogosz J. II 392
Rollanday III 513, 514, 516
Romanowicz Tadeusz III 490—2, 494, 495
Romanowski Emeryk II 290, 291, 295
— Konstanty II 290
— Mieczysław II 290, 390, 391, III 207, 288
Rosa Salvator I 436
Rossetti II 233, 428, 429
Rossi II 189
Rotländer II 390
Rotszyld II 219, 474
Rousseau J. J. I 102, II 54, III 320, 534
Roza Szandor I 342
Rozbicki S. III 4
Rozengart I 8
Różałowscy I 29
Różen I 151, 152, 156, 165
Różycki Edmund II 333, 370, 405, 409, III 3—11, 14, 66, 152, 157, 159, 168, 169, 171, 172, 183—5, 187, 206, 210, 217, 218, 233, 334, 338, 414
— Karol II 333, 369, III 8, 10, 157, 386

Rubczyńscy I 112, 156, 168
Rubczyński I 112, 142, 182, 190, 224, II 31
— Włodzimierz I 165, 166
Rubinstein III 537
Ruchonnet L. III 540, 541
Ruczkay I 278
Rudnicka z Jeleńkowskich J. II 33, 40, 316
Rudnicki I 379, II 12, 38—41, 181
— A. II 316, 359
— R. II 317, 359
Rudzki I 105
Ruge I 457, 473
Rukiert I 194, 195
Rulikowska II 358
Rulikowski I 248, 345, 346, 363, 364
Rustejko Józef I 428, 429, 432—5, 439
Ruszczewski H. II 77, III 414, 415, 417, 419, 421, 470
Rużycka II 31, 32
Rybiński I 224
— M. gen. I 461, 470
Rylejew III 375, 377, 395, 396
Rylski I 123, II 333
Rymtowt II 331, III 199, 202, 204—6
Rytwiański I 105
Rzewuska I 59
Rzewuski Henryk I 171, 172, 193, III 276, 372, 380, 381, 384
— Wacław I 33, 54, 56—9
Rzyszczewski I 7

Sadowska II 311
— Marja (Szeliga) III 358—62
Sadowski II 291, 311
Sadyk pasza zob. Czajkowski M.
Saegiu III 133
Saffi II 247
Sagatowscy I 162, 167
Sagatowski I 167, 168
Sahajdakowscy II 440
Sahajdakowski II 440
Saint Arnaud J. L. II 121
Saint Marc Girardin III 211
Saint Martin L. III 404
Saint Pierre III 517
Sainte Beuve III 262
Sakowicz R. I 118, 120, 126—9, 164
Sakowiczowa I 126—8, 141
Sallis bar. I 417, 435
Sanguszko I 247, II 452, III 295
Sapieha Adam II 437, 438, 446, 451, 452, 458, 459, III 62
— Leon II 442, III 484, 485
Sarneccy I 195
Sarnecka L. 188, 189
Sarnecki N. II 241, 270, 272, 283, 316, 318, 354, III 188—90
— Z. II 241, 270, III 209
Sawicki J. III 169, 187, 335, 489, 490
Say I. B. II 54, 343
Sągajło I 469, 470, 471
Schiller F. I 164, III 289
Schlegel August I 164
— Ernest I 164, 165, 200, 201, 233
Schlik I 307, 309
Schmidt Henryk I 382, III 191, 278, 294, 298, 299
Schmidtowa H. III 191, 192
Scott Walter I 74, 75, 170
Scovasso III 249, 263, 265, 269
Scovazzi J. III 249, 251, 252
Selim-pasza II 104, 110—3, 119, 143
Sembrich-Kochańska III 178
Serbinowicz III 324
Servais III 457, 458
Servet III 405
Sewer zob. Maciejowski I.
Shakespeare W. I 164, III 3, 210
Sielnicka I 92
Siemaszko II 38
Siemianowski I 144, 145
Siemiginowscy II 359
Siemiginowski II 387, 388
Sienkiewicz Henryk II 222, III 262, 472
— Karol II 265
Sierakowski Z. II 405, 409
Sierzputowski I 29—31, 182
Siewers I 139, III 447
Sikorski A. I 323, 324, III 105
Simicz Sawa I 283, 284, 286, 287, 289, 373, III 235
Simois II 10
Simon III 324
— de Trèves III 512
Skalkowski A. I 200
Skalski Stefan (Plum) II 50, 52—4, 56, 83, 212, 225, 385, 425, 427—430, 437, 438, III 23, 60, 61, 68—70, 88, 111, 112, 115—7, 135, 144
Skarbek I 1, 2
Skarbkowie I 189
Skibniewscy II 291, 292, 469
Skibniewski II 291
Skorupka Leon III 185, 238
Skowroński III 545
Skrzynecki J. gen. III 386, 406
Skulimowski II 449
Skulski II 356
Skwarczyńska II 290
Słotwińscy III 261, 312
Słotwińska P. III 261, 288

Słotwiński ks. III 261
— Paweł II 94, 95, 98, 148, 178, 183, 184, 187, III 260, 261, 263—5, 284, 288, 303
Słowacki Euzebjusz I 152, 157, II 344, III 402
— Juljusz I 157, 158, 211, II 215, 246, 270, 292, 314, III 10, 26, 29, 167, 209, 210, 222, 276, 360, 361, 374, 401—3, 407—8, 523, 551, 552
Słubicki płk. II 195, 221
Służalski H. II 180, 216
Smith Adam III 298
— William II 1
Smoliński J. III 192—4
Smolka F. I 381, II 452, 453, III 59
Smulscy II 338
Smulski G. II 337, 338
Sobańscy III 256
Sobański A. I 74, III 12
Sobolewski (Sokołowski) III 39
Sokulski F. I 381, 382, 387, 423, II 12, 20, 76, 78, 79, 83, 84, 95, 101, 103, 106, 107, 118, 120, 146, 150, 151, 209—11, 229, 236, 219, 424, 437, 457, III 12, 23, 24, 26, 28, 58, 64, 65, 145, 152, 156, 158, 159, 449
Soroka II 22—4
Sortylewski II 12, 185, 212
Sośniccy I 189
Sośnicki I 205
Sowiński A. I 199
Spasowicz W. II 266, 268, III 576
Spinoza I 292
Sprigg III 536
Sretkowicz III 261
Stadniccy II 208
Stadnicki M. II 43
Staniewicz Sylwester II 241, 251
Stanisław August I 8, III 380
Stankiewicz P. III 105
Starcewicz A. III 236, 242, 266, 350
Starkel J. II 445, III 224
Starzyński I 259, 260, 262
Starzyński Stanisław III 464
Stefanek ob. Skalski Stefan
Stein I 134, 144, 145, 147—9
Stepkowski II 435, 436, 438
Stirbej Bibesku III 158, 267
Stirbejowie III 22
Stolzman K. B. I 446, 453, 454, II 238, 413
Stratford Redcliffe Canning de II 90
Strossmayer J. J. bp III 344—57
Strowski Fortunat I 380
Strutyński Juljusz I 239, 340
Stryjeński kpt. III 247, 564, 566
Strzelbicki I 232
Stuart kpt. II 194
— Dudley lord I 425
Sturdza III 158, 267
— M. II 284, 321
Stwosz Wit III 326
Suchodolska z Czajkowskich III 166
Suchodolski P. II 80, III 166, 187
Supiński II 343
Surmacki II 191, 204, 213, 222, 223, III 249
Suworow III 35
Suzin Kalikst I 264
Swedenborg III 404
Szafarzyk Józef II 44, III 261
— Paweł III 261, 294, 303
Szajnocha K. I 381, III 169
Szapka ks. II 103, 121—3
Szawłowscy I 24, 73, II 466, III 176, 182
Szawłowska z Przysieckich Ewelina II 464—6, 472, III 182
— z Tarnowskich II 465
Szawłowski I 75, II 464
— G. I 73
— L. II 440, 461, 463—7, 470, III 3, 16, 177—9, 181, 182, 503
— M. II 440, 441, 466
— Roch I 73
— Romuald I 73
— T. II 440, 464
Szczeniowski ks. III 447, 530, 531
Szczepański Alfred II 387, 392, 393, 456, III 505, 506
Szczotkowscy I 69, 76, 78, 79, 142
Szczotkowska I 70, 76, 88, 142
Szczotkowski Tomasz I 65, 70, 77, 142, 160, II 26, 28—30, 32, 33
Szczuka I 240
Szeliga M. zob. Sadowska
Szerszenik ks. I 264
Szewczenko T. I 132, 236, II 28
Szmit II 51, 283, 331, 337, 357, 363
Szołdrski II 230, 357, 385
Szostakowski F. II 383
Szpaczek I 342, 366, 367
Szpak I 37
Szpicel J. III 200, 201
Szpyrko Horski II 361, 382
Sztoch II 363, 430, 431
Szubert G. L. II 419
Szujski J. II 294
Szulc ks. III 223
Szulczewski K. I 438, 449
Szumlański I 395, 399, III 206
Szumowski I 238
Szwarc Bronisław II 404, 405, 408, 412, 422, III 244

Szwejkowska z Lachmanów I 190, 191, III 436
— z Paszkowskich I 191
Szwejkowski Leon I 190, 191, III 436
Szydłowski W. III 102
Szymanowska Z. III 373

Śliwińska III 31, 32
Śliwiński III 31
Śniadecka Ludwika II 70, 214, 215, III 26—9, 33, 166, 167, 501
Śniadecki Jędrzej I 60, II 10, 70, III 29
Świdzińscy III 189
Świejkowski III 69, 88, 111, 112, 135, 144
Świętorzecki B. III 333, 336—8, 355, 356, 413—5, 417—9
Świętosławowicz W. III 347
Świętosławski Zenon I 461, 466

Tańska Klementyna I 66
Taraszczenko I 154, 155
Tarczyńska z Miłkowskich Helena III 539, 547, 548
Targoński I 62, 63, 66
Tarnowscy II 442, 452, III 178 184
Tarnowska T. III 190
Tarnowski Jan II 290
— Marcin I 7, 253
— Stanisław III 252, 363, 507
— Tadeusz III 190—2
Tasso I 60
Tchórznicki I 226, 287, II 200
Tefik-pasza II 233
Tell gen. II 93—5, 98, 102, 121, 233, III 131, 138, 142
Thiers II 54
Tokarska III 36, 37, 140, 141
Tokarski II 299, 426, III 36, 37, 127, 130
Tołstoj L. III 542
Tonner E. III 242
Towarnicki W. III 32, 73, 87
Towiański A. III 219, 252, 406, 407, 413
Traugutt R. III 217
Trembecki S.II 315
Trentowski B. I 171, 172, II 265, III 480, 559
Treter K. II 444
Tretiak J. III 374
Trębicki I 23
Trylowski I 301
Trypplin T. II 219
Trypplinowa T. II 219
Turgeniew III 354, 569
Turkuł F. I 70, 257—60, 262
Turkułowie I 258, 259, III 436
Türr S. II 159, 199, 234, 235
Tustanowska Aniela z Miłkowskich I 220
Tustanowski I 220, II 283
Tutulmin I 76
Tyszkiewicz I 239, 343
— J. II 152, 212, 282—6, 352, 426, 427, 429, 437, III 23, 36, 60, 61, 68, 111, 112, 115, 116, 130, 135, 144, 239, 271—3, 447
Twardowscy I 170
Twardowska I 170
Twardowski I 169, 170, 178
Tysiewicz I 206

Ubysz II 296
Udrycka II 284
Udrycki II 52, 299, 357
Ujejska Henryka II 295, III 191—3, 197, 324, 443—5
Ujejski Kornel II 310, 294, 295, 314, 315, 390, 438, 444, III 169, 186, 187, 192—5, 209, 323, 324, 361, 440—5, 450—71, 488—90
— Roman III 443
Ulanieccy I 213
Ulaniecka II 311
Ulaniecki II 302
Ulatowscy I 29
Ułaszyn I 189
Ułaszynówna I 213
Umińscy III 427, 444
Umiński P. III 330
Unruh II 194, 195, 214, 230, III 477
Urqhardt III 48
Uszczapowski dr I 44
Uzun-Mirko III 314

Van der Mahlen II 256
Vetter gen. I 291
Vieuxtemps III 448, 538
Vinci Leonardo da I 43
Visconti-Venosta III 236, 250
Vogt Karol I 474, III 506, 519
Voltaire I 129, 151, II 54, 311
Vulliet III 514, 536, 539, 540, 545—548, 577

Waga I 316
Wagner II 284, 403
Walewski A. II 398
Warnery III 538
Waryński I 238
Washington II 236, III 5
Wasilewski II 160
— Gustaw II 385, III 207, 288
Waszczyński II 305, 306, III 17

Weidlich I 157
— Kornela I 156
Weidlichowie I 142
Welden gen. I 311, 315
Wereszczakówna Maryla III 371, 372, 380, 381, 390
Wermiński III 272, 284, 290
Węclowa II 422, 439
Węgierski K. I 28
Wiaziemski III 376, 382, 395
Wielopolski III 28, 33, 149
— A. II 323, 377, 378, 383, 407, 411, 422, 432, 433, 442, 449
Wieniawski H. III 454—6, 538
Wieruski II 186, 195
Wiktor Emanuel III 212, 232, 238, 265
Wild Karol II 295, III 270
Wildowa K. III 191, 441, 443—5
Wierzbicki Tomasz II 229
Wilhelm II ces. niem. III 506
Wilkoński August I 196
Windischgrätz ks. I 291, 311
Winnicki II 405, 408, 412
Wiśniewski II 445
Wiśniowscy III 180
Wiśniowska Wincenta III 180, 181
Wiśniowski Sygurd II 326, 327, III 180
— Teofil I 474, II 50, 51, 299, 300
Witowski H. II 276, 277, 280, 293
Wittgenstein I 105
Witwicki III 42, 49
— Soter I 252, 254, 256
— Stefan I 252, III 401
Wiwulska M. II 308, III 175
Wiwulski II 308, 309, 338
Wizanti II 61—3
Władysław IV król pol. II 176, III 353
— Łokietek I 53
Wnuczkowski I 161, 163
Wodzińska III 222
Wojciechowski I 43
Wojnesku II 20, 21, 26, 46, 48, 49, 57, 58, 61
Wojno III 39, 90, 94, 97
Wolańscy II 389, 390, III 179
Wolański I 73
— Erazm II 470
— Franciszek II 304—6, III 17
— Władysław III 176
Wollman II 373, 378, 391
Wolski Ludwik II 294
— Włodzimierz III 214—6, 330, 426—9, 442, 450, 452—6
Wołkońska ks. III 373, 376, 382
Wołowski Bronisław III 511, 512
Wołyński I 465
Worcell S. I 426—32. 439, 450, 456, 457—60, 462—4, 467, 474, II 238, 245
Worona M. III 50
Woroncow I 185, 201
Woronicz J. III 41, 49—51
Woroniecki M. I 331
Woronowicz J. II 34, 36
Worthley Stuart lady II 149—51, 189
Wostokow I 130
Wroński J. III 220, 406
Wróblewscy II 288, 292, 295, 302, 303, 315, 317, 320, 325, 334, III 240, 450, 503, 515
Wróblewska Antonina III 325
— Olimpja II 304, 314, 367, III 496
Wróblewski Karol II 320, 325, 339, III 499
— Kazimierz II 285, 334, III 239, 240
— Leon I 258, II 285, 286, 297, 299, 301, 303, 310, 315, 316, 320, 333, 334, 336, 338, 345, 390, 435, 461, III 239, 240, 496
— Walery III 338, 466
— Władysław II 285—9, 292, 293, 297, 302, 316, 320, 325, 334, 336, 338, 358, 359, 367, 390, 436, 461, 462, 479, III 270, 324, 332, 495—7, 499, 444
Wukatowicz L. III 300, 301
Wulfart I 195
Wybranowski II 461
Wyleżyńscy II 369
Wyleżyńska K. II 369
Wyleżyński A. II 368, 370, 382, 386—8, III 174
— J. N. II 369
— M. II 369, III 174
Wysocki Józef gen. I 275—7, 279, 284, 288, 296, 301, 303—5, 307, 309, 313, 315—7, 324, 325, 331, 333, 334, 336, 337, 340, 361, 364, 365, 372, 381, 384, 394, II 77, 81—7, 90—5, 97—9, 101, 123, 145, 146, 150, 151, 189, 192, 193, 199, 224, 233, 238, 239, 269, 270, 343, 370, 405, 413, 414, 451—3, 456, 457, 459, 460, 474, 480, III 3—8, 11—5, 17, 19, 20, 23, 25, 60—2, 65, 66, 183
Wyspiański S. III 408

Young E. III 232

Zabłocki F. I 54, 59

Zaborowski T. II 305, III 186
Zach Franciszek III 293
Zajączkowski I 382, 383
Zakrzewscy I 142, 157, 159, III 402
Zakrzewski II 256, 257
Zaleska B. II 262, 263
Zaleski Bohdan I 158, II 261—3, 289, III 221
— Jan I 182, 194, 195
— Józef II 262, 263, III 221
— Zygmunt I 232
— Włodzimierz I 232
Zaliwski J. II 186
Zalutyńscy III 37—9
Zalutyńska O. I 124
Zamoyska M. II 214
Zamoyski Andrzej II 377
— Jan hetm. I 1, 330
— Jan I 330, 362, 369, 380, 397, 399, 423
— Władysław I 355, 362, 371, 380, 381, 384, 385, 393, 395, II 85, 92, 103, 146, 176, 178—80, 182, 184, 186, 190, 192—4, 199, 202, 221, 227, 228, 230, III 33, 50, 64, 161, 167, 501
Zan T. III 375
Zanietowski J. III 545, 547, 567, 570
Zanko III 142
Zapolscy I 167, 213, II 55
Zapolski E. I 162, 163
— J. I 247
— K. I 162
— S. I 213
Zarudzki II 308
Zarzycki płk. II 219
Zawadzka II 295
Zawadzki I 429, 432, 433
— J. I 182, 195, II 198
— W. II 295, 310
Zawisza Czarny I 375
Zbyszewscy I 209, 211
Zbyszewski H. I 196
— K. I 206, 207, 208
— W. I 207
Zdziechowski M. III 507
Zełtuchin I 212
Zeyer J. III 389
Zieleniecki I 185
Ziemiałkowski F. I 381, II 279—82, 293, 313, 339, 444, 458, 470, III 489
Zima F. I 362, 365, 369, 379, 464, 466, 468, II 258, III 24, 41, 43, 44, 55, 56, 58—62, 74—6, 81, 83, 86, 87, 89, 92—4, 101, 116, 121, 124, 126, 127, 145, 147, 149, 150, 488
Zimowski I 170, 171, 177, 228
Zienkowicz L. II 243, 249, 251
Ziółkowski I 211
Zmorski R. III 243
Zwierkowski W. I 461, II 241
Zwierzchowscy I 270
Zwierzchowska z Duninów I 266
Zwierzchowski E. I 265—70
— J. I 266
Zwiezdowski III 52
Zwolińscy I 189, 197
Zwolińska II 317

Żabicki A. II 238, 243, 244, 258, 259, 260
Żardzińska III 191
Żarski II 236, III 494
Żeleński W. III 505
Żmijewski J. III 23
Żółkiewski St. hetm. II 46, III 337
Żukowscy II 70—2
Żukowski II 68—71, 74—6, 79, 80, III 49
Żupański J. K. III 24, 476, 501
Żychliński III 425, 474, 475, 493
Żyłokowa III 223

BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
3
28831/2